

ISABEL ALLENDE

CÓRKA FORTUNY

przełożyła Marta Jordan

Tytuł oryginału: Hija de la fortuna

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA 1843-1848.....	3
VALPARAISO	4
ANGLICY	18
PANIENKI	34
ZEPSUTA OPINIA.....	45
KONKURENCI	54
MISS ROSE.....	64
MIŁOŚĆ	75
CZEŚĆ DRUGA 1848-1849	87
WIADOMOŚĆ	88
POŻEGNANIE	103
CZWARTY SYN.....	113
TAO CHIEN	126
PODRÓŻ	147
ARGONAUCI.....	164
SEKRET	182
CZEŚĆ TRZECIA 1850-1853.....	195
ELDORADO	196
INTERESY	210
ROZCZAROWANIA.....	230
SING SONG GIRLS	246
JOAQUIN	260
NIEZWYKŁA PARA	269

CZEŚĆ PIERWSZA
1843 - 1848

VALPARAISO

Każdy rodzi się z jakimś szczególnym talentem, a Eliza Sommers bardzo wczesnie odkryła, że jej przypadły w udziale aż dwa, a mianowicie dobry węch i świetna pamięć. Dzięki pierwszemu potrafiła zarobić na życie, dzięki drugiemu - była w stanie je zapamiętać, nawet jeśli w sposób nie dość precyzyjny, to przynajmniej poetycko nieuchwytny, niczym astrolog. Jeśli coś odchodzi w niepamięć, to jakby nigdy się nie wydarzyło; ona natomiast wspomnień, realnych czy też zmyślonych, miała całe mnóstwo, więc zdawać się mogło, że żyła dwa razy. Wierny przyjaciel Elizy, mądry Tao Chi'en, nieraz słyszał od niej, że jej pamięć przypomina brzuch statku, na którym się poznali; jest pojemna i mroczna, pełna skrzyń, beczek i worków, kryjących w sobie wydarzenia całego jej życia. Na jawie niełatwo było Elizie odnaleźć coś w tym przeogromnym bałaganie, ale zawsze mogła to zrobić we śnie, tak jak ją uczyła Mama Frezja w owe słodkie noce dzieciństwa, kiedy kontury rzeczywistości przypominały delikatny rysunek wykonany wyblakłym tuszem. Wkraczała do krainy snów wielokrotnie wydeptaną ścieżką i powracała bardzo ostrożnie, aby subtelne wizje nie roztrzaskały się w ostrym świetle świadomości. Uciekała się do tego sposobu z taką samą ufnością, jaką inni żywią wobec liczb, i tak rozwinęła sztukę przywoływania wspomnień, że potrafiła zobaczyć Miss Rosę pochyloną nad skrzynką po marsylskim mydle, która była jej pierwszą kołyską.

- Nie możesz tego pamiętać, Elizo, to wykluczone. Noworodki są jak koty, nie mają uczuć ani pamięci - utrzymywała Miss Rosę przy nielicznych okazjach, kiedy rozmawiały na ten temat.

Niemniej jednak ta patrząca na nią z góry kobieta w sukni barwy topazu i ze zwisającymi luźno z koka lokami i wstążkami targanymi przez wiatr była wyryta w pamięci Elizy, która nigdy nie potrafiła przyjąć do wiadomości tej drugiej wersji swego pochodzenia.

- Masz w sobie angielską krew, tak jak my - zapewniła ją Miss Rosę, kiedy osiągnęła już wiek, w którym mogła to pojąć. - Tylko komuś z angielskiej kolonii mogło przyjść do głowy, żeby położyć cię w koszyku na progu biura Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej. Ten ktoś z pewnością znał dobre serce mojego brata Jeremy'ego i domyślił się, że cię przygarnie. W tamtych czasach szaleńczo pragnęłam mieć dziecko i dlatego Pan zesłał cię w moje ramiona, abym mogła cię wychować w duchu solidnych zasad religii protestanckiej i w angielskiej kulturze.

- Ty miałabyś być Angielką? Dziecino, nie rób sobie złudzeń, masz włosy Indianki jak

ja - obstawała przy swoim Mama Frezja za plecami swej pani.

Narodziny Elizy były w tym domu tematem tabu i dziewczynka przywykła do otaczającej je tajemnicy. Ani tej, ani innych delikatnych kwestii nie poruszała w obecności Miss Rosę i Jeremy'ego Sommersa, jednakże omawiała je szeptem w kuchni z Mamą. Frezją, która niezmiennie opisywała jej skrzynkę po mydle z Marsylii, podczas gdy wersja Miss Rosę z biegiem lat była stale upiększana, aż w końcu zaczęła brzmieć jak bajka.

Według niej koszyk znaleziony w biurze wykonany był z najdelikatniejszej wikliny i wyścielony batysem, jej koszulka była haftowana ścięgiem zwanym „plaster miodu”, pościel zaś obszyta brukselskimi koronkami, nie mówiąc już o tym, że dodatkowo otulona była w kołderkę z futra z norek, co już było ekstrawagancją, jakiej nigdy w Chile nie widziano. Z biegiem czasu doszło do tego jeszcze sześć złotych monet zawiniętych w jedwabną chusteczkę i notatka w języku angielskim, wyjaśniająca, że dziewczynka, chociaż z nieprawego łoża, wywodzi się z bardzo dobrej rodziny.

Tych ostatnich rzeczy jednak Elizie nigdy nie udało się obejrzeć. Norki, monety i notatka zniknęły, jakby komuś wręcz na tym zależało, i po jej narodzinach nie pozostało ani śladu. Niemniej jednak wyjaśnienia Mamy Frezji były bardziej zbliżone do jej wspomnień: w pewien poranek u schyłku lata pod drzwiami domu znaleziono podrzucone w skrzynce nagie dziecko płci żeńskiej.

- Ale żadnej kołderki z norek ani złotych monet, co to, to nie. Byłam przy tym i pamiętam dobrze. Byłaś zawinięta w męską kamizelkę i trzęsała się jak galareta; nawet pieluszki ci nie dali, a byłaś cała obsrana. Zasmarkana, czerwona jak odgrzewana langusta, z żółtym wiechciem na czubku głowy - oto jak wyglądałaś. Nie myśl sobie, nie urodziłaś się na księżniczkę i gdybyś wtedy miała takie czarne włosy jak teraz, skrzynka z pewnością wylądowałaby na śmietniku - upierała się kobieta.

Wszyscy zgadzali się przynajmniej co do jednego, a mianowicie, że dziewczynka wkroczyła w ich życie 15 marca 1832 roku, w półtora roku od przybycia Sommersów do Chile, i dlatego też przyjęto tę datę jako dzień jej urodzin. Wszystko poza tym było nagromadzeniem sprzeczności i Eliza doszła w końcu do wniosku, że nie warto tracić energii na powracanie do tego tematu, gdyż bez względu na to, co okazałoby się prawdą, i tak nie można było nic już na to poradzić. Ważne jest to, co człowiek robi na tym świecie, a nie jak na niego przychodzi, zwykła mawiać do Tao Chi'ena podczas długich lat ich przyjaźni, ale on był innego zdania; nie potrafił wyobrazić sobie swojej własnej egzystencji w oderwaniu od długiego łańcucha przodków, którzy nie tylko przekazali mu swe cechy fizyczne i umysłowe, ale i karmę, Jego los - tak uważał - był wyznaczony przez postępowanie krewnych, którzy

żyli przed nim, dlatego w codziennych modlitwach należało oddawać im cześć i drżeć przed nimi ze strachu, kiedy zjawiali się w postaci widm, spowici w odświętne szaty, żeby dochodzić swoich praw. Tao Chi'en potrafił wyrecytować imiona wszystkich swoich przodków, nawet najdawniejszych i najczcigodniejszych prapradziadków, zmarłych przed ponad wiekiem. W czasach gorączki złota jego największym pragnieniem było powrócić do swej wioski w Chinach i tam umrzeć, aby zostać pochowanym pomiędzy swymi, w przeciwnym bowiem razie jego dusza na zawsze miała się błąkać po obcej ziemi. Eliza naturalnie skłaniała się ku historii uroczego koszyczka - nikt będący przy zdrowych zmysłach nie lubi pojawiać się na tym świecie w skrzynce po szarym mydle - ale chcąc pozostać w zgodzie z prawdą, nie mogła jej zaakceptować. Jej wąż myśliwskiego psa doskonale pamiętał pierwszy zapach jej istnienia i nie unosił się on bynajmniej znad czystej batystowej pościeli; zalatywało wełną, męskim potem i tytoniem. Do niego dochodził jeszcze cuchnący, prostacki, kozi fetor.

Eliza dorastała, patrząc na Pacyfik z balkonu rezydencji swoich przybranych rodziców. Dom, wystający ponad zbocza wzgórz otaczających port Valparaiso, usiłował naśladować styl modny wówczas w Londynie, jednakże wymogi terenu, klimatu i chilijskiego trybu życia sprawiły, że trzeba było przeprowadzić w nim zasadnicze przeróbki, których wynik okazał się dość cudaczny. W głębi patio, niczym nowotwory w żywym organizmie, zaczęły wyrastać przybudówki pozbawione okien, a za to wyposażone w drzwi przypominające wejście do jakichś kazamatów, za którymi Jeremy Sommers przechowywał najcenniejsze ładunki Kompanii, jakie w składach portowych zginęłyby bez wieści.

- To kraj złodziei, nigdzie na świecie biuro nie wydaje tyle na zabezpieczenie towaru, co tutaj.

Wszystko rozkradną, a czego nie wyniosą, albo zimą zaleje powódź, albo latem spali słońce, albo zmiążdży trzęsienie ziemi - powtarzał za każdym razem, ilekroć muły przywoziły nowe pakunki, które wyładowywano na patio jego domu.

Od tego wysiadywania w oknie, kiedy to wpatrywała się w morze i liczyła statki i wieloryby na horyzoncie, Eliza nabrała przekonania, że jest córką rozbitka, a nie jakiejś wynaturzonej matki zdolnej do porzucenia jej, goluteńkiej, na niepewny los w marcowy dzień. W swoim dzienniku napisała, że jakiś rybak znalazł ją na plaży pośród resztek roztrzaskanego statku, owinął w kamizelkę i podrzucił przed największym domem w dzielnicy Anglików. Z latami doszła do wniosku, że jej historyjka nie jest taka zła: w tym, co wyrzuca morze, kryje się pewna poezja i tajemnica.

Gdyby ocean się cofnął, odsłonięty piasek byłby rozległą, wilgotną pustynią, pełną

syren i dogorywających ryb, mawiał John Sommers, brat Jeremy'ego i Rosę, który przepłynął wszystkie morza świata i ze swadą opisywał wodę, która cofa się pośród cmentarnej ciszy, aby następnie powrócić jedną jedyną - za to przeogromną - falą, porywającą ze sobą wszystko, co napotka po drodze. Jest to okropne, twierdził, ale przynajmniej daje czas, żeby uciec na wzgórze, natomiast podczas pełnych dyscypliny ćwiczeń wyobraźni. Czasami śniło się jej, że ściany pokoju pokryte są krwią, że dywan jest nią nasiąknięty, a sufit zbryzgany, a pośrodku ona, naga i potargana niczym lunatyczka, wydaje na świat salamandrę.

Zrywała się wtedy z krzykiem i przez resztę dnia krążyła wytrącona z równowagi, nie mogąc uwolnić się od tego koszmaru.

Jeremy obserwował ją, martwiąc się o stan jej nerwów i wyrzucając sobie, że zawlókł ją tak daleko od Anglii, chociaż nie mógł sobie odmówić pewnej egoistycznej satysfakcji z układu, jaki między nimi panował. Jako że idea małżeństwa nigdy nie zagościła w jego sercu, obecność Rosę rozwiązywała problemy domowe i towarzyskie, a były to dwa aspekty ważne dla jego kariery. Siostra kompensowała jego naturę introwertyka i samotnika, dlatego pogodnie znosił jej zmiany nastroju i niepotrzebne wydatki. Kiedy pojawiła się Eliza, a Rosę uparła się, że ją zatrzyma, Jeremy nie ośmielił się zaoponować czy wyrazić najmniejszej choćby wątpliwości i elegancko przegrał wszystkie potyczki o to, aby dziecko było traktowane z dystansem, poczynając od tej pierwszej, kiedy przyszło do nadania mu imienia.

- Będzie miała na imię Eliza, jak nasza matka, i otrzyma nasze nazwisko - postanowiła Rosę, ledwie zdążyła ją nakarmić, wykapać i zawinąć we własną mantylkę.

- Wykluczone, Rosę! Co ludzie na to powiedzą?

- To już zostaw mnie. Powiedzą, że jesteś święty, bo przygarnąłeś tę biedną sierotkę, Jeremy. Nie ma nic gorszego niż brak rodziny. Cóż ja bym poczęła bez takiego brata jak ty? - odparła świadoma przerażenia, jakie budził u niego najmniejszy choćby przejaw sentymentalizmu.

Plotek nie dało się uniknąć i Jeremy Sommers musiał je przełknąć z rezygnacją, jak również i to, że dziewczynka nosiła imię jego matki, przez pierwsze lata spała w pokoju jego siostry i wywróciła cały dom do góry nogami. Rosę na lewo i prawo rozpowiadała niewiarygodną historyjkę o wytwornym koszyczku pozostawionym przez anonimowe dłonie w biurze Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej i faktycznie nikt w to nie uwierzył. Nie mogąc jednak niczego zarzucić Rosę (ponieważ w każdą niedzielę, odkąd tu żyła, widziano ją, jak śpiewa podczas nabożeństw w obrządku anglikańskim, a jej wążutka talia kpiła z praw anatomii), uznano, że niemowlę jest efektem jego stosunków z jakąś ulicznicą i dlatego wychowują ją jak córkę. Jeremy nie zadał sobie trudu, aby stawić czoło złośliwym

pomówieniom. Dziecięca bezmyślność wytrącała go z równowagi, ale Elizie udało się go podbić.

Chociaż się do tego nie przyznawał, lubił patrzeć, jak wieczorami bawi się u jego nóg, kiedy zasiadał w fotelu, żeby poczytać gazetę. Nie było między nimi oznak serdeczności; sztywniał, kiedy miał komuś bodaj ucisnąć rękę, a sama myśl o jakimś bardziej intymnym kontakcie budziła w nim lęk.

*

Kiedy owego 15 marca nowo narodzona pojawiła się w domu Sommersów, Mama Frezja, która od czasu do czasu pełniła rolę kucharki i klucznicy, stwierdziła, że powinni się małej pozbyć.

- Skoro własna matka ją opuściła, to znaczy, że jest przeklęta i lepiej jej nie ruszać - orzekła, ale wobec determinacji swej pani nic nie mogła zdziałać.

Ledwo Miss Rosę uniosła ją w ramionach, dziecina wy - buchnęła tak donośnym płaczem, że dom zatrzęsł się w posadach, a nerwy jego mieszkańców napięły się jak postronki. Nie mogąc jej uciszyć, Miss Rosę wymościła naprędce kołyskę w jednej z szuflad komody i okryła ją pledem, sama zaś pomknęła jak strzała na poszukiwanie mamki. Wkrótce potem wróciła z kobietą napotkaną na targu, jednakże nie pomyślała o tym, żeby się jej przyjrzeć z bliska; wystarczyło, że zobaczyła jej przeogromne piersi, które zdawały się wystrzelać spod bluzki, i pośpiesznie ją najęła. Ta, jak się okazało, nieco niedorozwinięta wieśniaczka wkroczyła do domu wraz ze swoim dzieckiem, biedactwem równie niedomytym jak ona sama. Trzeba je było przez dłuższą chwilę moczyć w letniej wodzie, żeby oderwać brud, jaki przywarł do jego tyłeczka, kobietę zaś zanurzyć w kadzi pełnej wody z ługiem, żeby wytepić u niej pchły. Życie obojga niemowląt, Elizy i dziecka mamki, uchodziło z nich wśród ataków kolki i podbiegniętej złością biegunki, wobec których lekarz rodzinny i niemiecki aptekarz okazali się niekompetentni.

Pokonana przez płacz dzieci, zawodzących nie tylko z głodu, ale i bólu albo smutku, Miss Rosę płakała również. W końcu trzeciego dnia do akcji wkroczyła, acz niechętnie, Mama Frezja.

- Nie widzi pani, że ta kobieta ma przegniłe cycki? Do karmienia małej niech pani lepiej kupi kozę, a tymczasem niech jej pani da naparu z cynamonu, bo jak nie, to do piątku nie pociągnie - gderała pod nosem.

W tamtych czasach Miss Rosę ledwo co mówiła po hiszpańsku, ale zrozumiała słowo „koza”, wysłała zatem natychmiast stangreta, żeby takową kupił, i zwolniła mamkę. Zaledwie sprowadzono zwierzę, Indianka podstawiała Elizę bezpośrednio pod nabrzmiąle wymiona;

działo się to ku przerażeniu Miss Rosę, która nigdy przedtem nie była świadkiem tak haniebnej sceny, jednakże ciepłe mleko i napary z cynamonu prędko uratowały sytuację: dziewczynka przestała płakać, przespala ciurkiem siedem godzin i obudziła się wciągając z zapamiętaniem powietrze. Po paru dniach zaczęła wyglądać jak normalne zdrowe dziecko i wyraźnie było widać, że przybiera na wadze. Kiedy Miss Rosę zdała sobie sprawę, że ilekroć na patio zabeczała koza, Eliza zaczyna kręcić się niespokojnie w poszukiwaniu sutka, kupiła butelkę ze smoczkiem. Nie życzyła sobie widzieć, jak dziewczynka wzrasta w błędnym przeświadczeniu, że zwierzę jest jej matką. Owe kolki były jednymi z nielicznych niedomagań Elizy w okresie dzieciństwa, wszelkie inne zaś choroby - włączając w to straszliwą epidemię afrykańskiej odry, przywleczonej do Valparaiso przez jakiegoś greckiego marynarza - dzięki ziołom i zaklęciom Mamy Frezji zostały zduszone tuż po ukazaniu się pierwszych objawów. Póki istniało niebezpieczeństwo, Mama Frezja kładła nocami na pępku Elizy kawałek surowego mięsa i opasywała go mocno kawałkiem czerwonego wełnianego sukna, co było niezawodnym sekretem natury zdolnym zapobiec zarażeniu.

W następnych latach Miss Rosę uczyniła Elizę swoją zabawką. Całymi godzinami uczyła ją śpiewać i tańczyć, recytowała wierszyki, których miała bez wysiłku uczyła się na pamięć, zaplatała jej włosy i stroiła w cudowne fatałaszkę, jednakże wystarczyło, żeby pojawiła się jakaś inna atrakcja albo żeby rozbolała ją głowa, a natychmiast odsyłała Elizę do kuchni, do Mamy Frezji. Dziewczynka wychowywała się między pokoikiem do szycia i podwórkami na tyłach rezydencji, mówiąc po angielsku w jednej części domu i jakąś mieszaniną hiszpańskiego i mapuche (indiańskiego języka jej niani) w drugiej, jednego dnia wystrojona i obuta niczym księżniczka, drugiego zaś - dokazując z kurami i psami na bosaka, ledwo okryta zgrzebnym fartuchem. Miss Rosę pokazywała ją na swoich wieczorkach muzycznych, zabierała powozem na gorącą czekoladę do najlepszej cukierni, na zakupy albo na molo, żeby popatrzeć na przyplływające statki, ale równie dobrze mogło upłynąć wiele dni, podczas których w roztargnieniu zapelniała jakieś tajemnicze zeszyty albo czytała książkę, ani myśląc o swej podopiecznej. Kiedy wreszcie sobie o niej przypominała, biegła skruszona na jej poszukiwanie, obsypywała ją pocałunkami, przekarmiała słodyczami i znowu stroiła jak lalkę, żeby wyjść z nią na spacer. Zatrzaszczyła się o to, aby dać jej jak najlepsze wykształcenie, nie zaniedbując przy tym także pewnych „ozdobników” odpowiednich dla edukacji dobrze wychowanej panienki. Kiedy na wieść o czekających ją lekcjach gry na fortepianie Eliza dostała ataku konwulsji, Miss Rosę chwyciła ją za ramię i nie czekając, aż im postawią powóz, powlokła ją dwanaście przecznic w dół ulicy w stronę jakiegoś klasztoru. W murze z niewypalanej cegły, na grubej dębowej bramie pełnej żelaznych nitów,

można było odczytać litery wyblakłe od słonego wiatru: „Dom dla Porzuconych Sierot”.

- Podziękuj, że mój brat i ja zajęliśmy się tobą. Tutaj trafiają bękarty i porzucone dzieci. Tego chcesz? Mała bez słowa pokręciła przecząco głową.

- W takim razie lepiej będzie, jak się nauczysz grać na fortepianie jak grzeczna panienka. Zrozumiano?

Eliza nauczyła się grać, nie mając do tego ani talentu, ani warunków, jednakże siłą dyscypliny udało jej się osiągnąć to, że w wieku dwunastu lat mogła towarzyszyć Miss Rosę podczas jej muzycznych wieczorków.

Pomimo długich okresów, kiedy nie ćwiczyła, nie straciła tej umiejętności i wiele lat później mogła dzięki niej zarobić na swe utrzymanie w pewnym objazdowym burdelu, co nigdy by nie przyszło do głowy Miss Rosę, kiedy z takim uporem wprowadzała ją w tajniki wysublimowanej sztuki muzycznej.

Po wielu latach, kiedy w pewien spokojny wieczór rozmawiała ze swym przyjacielem Tao Chi'em w zacisznym ogrodzie, który oboje uprawiali, i popijała chińską herbatę, doszła do wniosku, że owa wiecznie zmienna w nastrojach Angielka była bardzo dobrą matką, i była jej wdzięczna za ogromne przestrzenie wewnętrznej swobody, jakie jej zostawiała. Drugim filarem jej dzieciństwa była Mama Frezja.

Czepiała się jej sutych czarnych spódnic, towarzyszyła podczas zajęć i przy okazji doprowadzała do szału pytaniami. W ten sposób poznała indiańskie mity i legendy, dowiedziała się, jak odczytywać ślady pozostawiane przez morze i zwierzęta, odgadywać zwyczaje duchów i przesłania, jakie niosą sny, a także nauczyła się gotować.

Dzięki swemu nieomylnemu węchowi z zamkniętymi oczami potrafiła rozróżnić składniki, zioła i przyprawy i tak jak to robiła z wierszykami, zapamiętywała, jak je stosować. W niedługim czasie skomplikowane kreolskie dania Mamy Frezji i delikatne wypieki Miss Rosę przestały być dla niej tajemnicą. Posiadała rzadkie zamiłowanie do zajęć kuchennych; w wieku siedmiu lat umiała bez obrzydzenia ściągnąć skórę z wołowego ozora albo wypatroszyć kurę, bez najmniejszej fady zagniała ciasto na dwadzieścia empanadas i spędzała długie godziny na łuskaniu fasoli, a jednocześnie z otwartymi ustami chłonęła okrutne legendy indiańskie Mamy Frezji i ubarwione przez nią wersje żywotów świętych.

Rosę i jej brat John od dzieciństwa byli nierozłączni. W zimowe wieczory ona robiła na drutach kamizelki i skarpetki dla kapitana, on zaś starał się jej odplacić, przywożąc z każdej podróży kufry pełne prezentów i wielkie paki książek; wiele z nich trafiało do zamykanej na klucz szafy Rosę. Jeremy, jako pan domu i głowa rodziny, miał prawo otwierać korespondencję siostry, czytać jej prywatny dziennik i domagać się kopii kluczy od jej mebli,

ale nigdy się do tego nie posunął. W stosunkach między Jeremym i Rosę dominowała powaga, mieli niewiele wspólnego poza wzajemnym uzależnieniem, które chwilami wydawało się przyjmować ukrytą formę nienawiści. Jeremy zaspokajał potrzeby Rosę, jednakże nie finansował jej kaprysów ani nie pytał, skąd brała na nie pieniądze, zakładając, że dostawała je od Johna. W zamian za to ona z powodzeniem i w dobrym stylu prowadziła dom, mając zawsze porządek w rachunkach, ale nie zwracając mu głowy szczegółami. Miała dobry gust i niewymuszony wdzięk i dodawała blasku egzystencji ich obojga, wreszcie swoją obecnością zadawała kłam bardzo rozpowszechnionej w tamtych stronach opinii głoszącej, iż mężczyzna bez rodziny jest potencjalnym okrutnikiem.

- Natura samca jest dzika; przeznaczeniem kobiety jest ochrona wartości moralnych i dobrego wychowania utrzymywał Jeremy Sommers.

- Oj, braciszku! Już ty i ja dobrze wiemy, że moja natura jest bardziej dzika od twojej - podkpiwała Rosę.

Jacob Todd, charyzmatyczny rudzielec obdarzony najpiękniejszym głosem kaznodziei, jaki kiedykolwiek słyszano w tych stronach, wysiadł w Valparaiso w roku 1843 z bagażem zawierającym trzysta egzemplarzy Biblii w języku hiszpańskim. Jego przybycie nie zdziwiło nikogo: był jeszcze jednym z licznych misjonarzy, których wszędzie było pełno i którzy głosili wiarę protestancką. Jednakże jego podróż była wynikiem awanturniczej ciekawości, a nie religijnego zapału. Z przechwałką w głosie, typową dla mężczyzny czerpiącego z życia pełnymi garściami, którego ciało wchłonęło w dodatku za dużo piwa, przy stole do gry w swoim klubie w Londynie założył się, że potrafi sprzedawać Biblie w dowolnym zakątku ziemi. Przyjaciele zawiązali mu oczy, zakręcili globusem i jego palec dotknął jakiejś kolonii Królestwa Hiszpanii zagubionej gdzieś w dolnej części świata, gdzie żaden z jego wesołych kompanów nie podejrzewał nawet, iż mogło istnieć jakieś życie. Prędko odkrył, że mapa była nieaktualna, kolonia zdążyła się uniezależnić dobre trzydzieści lat wcześniej i teraz była dumną Republiką Chile, krajem katolickim, do którego idee protestanckie nie miały wstępu, ale zakład był zakładem, a on nie zamierzał się wycofywać. Był kawalerem, nie miał żadnych zobowiązań uczuciowych ani zawodowych i niezwykłość takiej podróży natychmiast wydała mu się pociągająca. Przy założeniu, iż rejs przez dwa oceany potrwałby trzy miesiące w jedną i drugie trzy w powrotną stronę, zanosilo się na dłuższą wyprawę. W otoczeniu wiwatujących przyjaciół, przepowiadających mu tragiczny koniec z rąk papistów owego nieznanego i barbarzyńskiego kraju, oraz dzięki poparciu finansowemu Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, które opłaciło mu książki i bilet, wyruszył w długą drogę statkiem w kierunku portu Valparaiso. Zakład polegał

na tym, aby sprzedać Biblie i przed upływem roku powrócić do kraju z podpisanym pokwitowaniem za każdy egzemplarz. W archiwum biblioteki natknął się na listy sławnych mężów, marynarzy i kupców, którzy byli w Chile i opisywali naród składający się z Metysów, liczący niewiele ponad milion dusz, oraz przedziwną geografiją pełną imponujących gór, urwistych brzegów, żyznych dolin, starych puszczy i wiecznych lodów. Kraj ten, jak zapewniali ci, którzy zwiedzili go wcześniej, cieszył się sławą najbardziej nietolerancyjnego w kwestii religii na całym kontynencie amerykańskim. Mimo to pobożni misjonarze próbowali zaszczerpić tam protestantyzm i nie mówiąc ani słowa po hiszpańsku czy też w języku Indian, dotarli na południe, gdzie stały ląd przechodził w łańcuszek wysp niczym rozsypany sznur koralu. Wielu z nich umarło z głodu, zimna albo, jak podejrzewano, zostało zjedzonych przez swoich własnych wiernych. W miastach nie wiodło im się lepiej. Poczucie gościnności, święte dla Chilijczyków, było silniejsze od nietolerancji religijnej i przez grzeczność pozwalano im głosić kazania, ale nie poświęcano im większej uwagi. Na prelekcje organizowane przez nielicznych pastorów chodziło się jak na przedstawienie, tym zabawniejsze, iż uważano ich za heretyków. Żadna z tych rzeczy nie zdołała zniechęcić Jacoba Todda, jako że jechał nie jako misjonarz, ale jako sprzedawca Biblii.

W archiwum biblioteki odkrył, że od chwili zdobycia niepodległości w roku 1810 Chile otworzyło swe wrota dla imigrantów, którzy całymi setkami przybywali i osiedlali się na owym długim i wąskim terytorium, skąpanym od stóp do głów w Oceanie Spokojnym. Anglicy szybko dorobili się fortuny jako kupcy i armatorzy; wielu z nich sprowadziło swoje rodziny i już pozostało. W głębi kraju stworzyli niewielkie państewko, z własnymi obyczajami, wierzeniami, gazetami, klubami, szkołami i szpitalami, a zrobili to z zachowaniem tak dobrych manier, iż nie dość, że nie wzbudzali żadnych podejrzeń, to jeszcze uznano ich za wzór cnót obywatelskich. Pragnąc kontrolować handel morski na Pacyfiku, swoją flotę rozlokowali w Valparaiso, które z biednej wioski bez przyszłości, jaką było na początku Republiki, w czasie krótszym niż dwadzieścia lat przekształciło się w ważny port, do którego zawijały żaglowce przybywające z Atlantyku przez przylądek Horn, a następnie parowce docierające przez Cieśninę Magellana.

Valparaiso, jakie ukazało się oczom zmęczonego podróżnika, sprawiło mu niespodziankę. Ponad sto statków stało pod banderami krajów połowy świata. Góry o zaśnieżonych szczytach zdawały się być tak blisko, że wyglądały, jakby wynurzały się bezpośrednio z morza barwy atramentu, z którego unosił się jakiś niebywały syreni aromat. Jacob Todd nigdy się nie dowiedział, że pod tą pozornie spokojną taflą wody drzemie całe miasto zatopionych hiszpańskich żaglowców i liczne szkielety patriotów z kamieniem

uwiązany u stóp, posłanych na dno przez żołnierzy kapitana generalnego. Statek opuścił kotwicę w zatoce, pośród milionów mew, które były powietrze skrzydłami i skrzeczały przeraźliwie z głodu. Na falach kołysały się niezliczone łodzie, niektóre obładowane olbrzymimi, jeszcze żywymi węgorzami i łubinami, rzucającymi się rozpaczliwie w powietrze.

Powiedziano mu, że Valparaiso jest handlowym imperium Pacyfiku, że w jego magazynach składowano metale, wełnę owczą i z al - paki, a także zboża i skóry przeznaczone na światowe rynki. Liczne łodzie przetransportowały pasażerów i ładunek z żaglowca na ląd stały. Wsiadłszy na nabrzeżu pośród marynarzy, dokerów, pasażerów, osłów i wózków, znalazł się w mieście ciasno otoczonym amfiteatrem wysmukłych gór, tak samo gęsto zaludnionym i brudnym jak wiele miast Europy cieszących się dobrą sławą. Wąskie uliczki między domami z niewypalanej cegły i drewna, które najmniejszy pożar w parę godzin mógł obrócić w popiół, wydały mu się jakąś architektoniczną bzdurą. Wóz ciągnięty przez dwa zmaltretowane konie zawiózł Todda oraz kufry i skrzynie stanowiące jego bagaż do Hotelu Angielskiego. Przejechał obok budynków wzniesionych wokół jakiegoś placu, kilku dosyć topornych kościołów i jednopiętrowych rezydencji otoczonych rozległymi ogrodami i sadami. Doliczył się jakichś stu kwartałów, ale prędko przekonał się, że się mylił, gdyż miasto było istnym labiryntem uliczek i przejść. W oddali dojrzał dzielnicę rybaków z domkami wystawionymi na wiatr wiejący od morza i sieciami rozpiętymi niczym ogromne pajęczyny, a jeszcze dalej żyzne pola obsadzone warzywami i drzewami owocowymi.

Mijające go powozy - wolanty, dorożki i kolaski - były równie nowoczesne jak w Londynie, ale oprócz nich w samym sercu miasta widział także karawany jucznych mułów konwojowane przez obdarte dzieci i dwukołowe wozy ciągnięte przez woły. Na rogach ulic, między sforami bezpańskich psów i stadami zdeorientowanych kur, mnisi i zakonnice prosili o jałmużnę dla biednych. Dostrzegł kilka kobiet dźwigających torby i kosze, ciągnących za sobą dzieci - były bose, za to na głowach nosiły czarne chusty - a także wielu mężczyzn w stożkowatych kapeluszach, którzy siedzieli na progach domów albo rozmawiali w grupach, nie robiąc nic poza tym. W godzinę od zejścia ze statku Jacob Todd siedział w eleganckim salonie Hotelu Angielskiego, paląc czarne cygara importowane z Kairu i przeglądając jakiś angielski magazyn, pełen nieaktualnych już wiadomości.

Odetchnął z ulgą: najwidoczniej nie będzie miał problemów adaptacyjnych, a dobrze gospodarując swoimi dochodami będzie tu mógł żyć równie wygodnie jak w Londynie. Czekał, aż ktoś podejdzie, by go obsłużyć wyglądało na to, że nikomu tutaj się nie spieszy - kiedy zbliżył się John Sommers, kapitan żaglowca, którym odbył swoją podróż. Był to

postawny mężczyzna o ciemnych włosach i cerze spalonej słońcem niczym skóra na buty, zdradzającej jego zamiłowanie do mocnych trunków, kobiet oraz gier w karty i kości, którym niezmordowanie się oddawał. Na statku zdążyli się dobrze poznać i zaprzyjaźnić i na grze spędzali całe noce, które podczas żeglugi po otwartym morzu zdawały się nie mieć końca, a także burzliwe i lodowate dnie, kiedy opływali przylądek Horn na południu świata. John Sommers nadchodził w towarzystwie jakiegoś bladego mężczyzny z dobrze przystrzyżoną brodą, ubranego na czarno od stóp do głów, którego przedstawił jako swojego brata Jeremy'ego. Trudno byłoby znaleźć dwa typy ludzkie bardziej do siebie niepodobne. Swobodny, hałaśliwy i miły John wyglądał jak żywy okaz zdrowia i tężyzny fizycznej, podczas gdy ten drugi sprawiał wrażenie upiora, który wpadł w szpony wiecznej zimy.

To jedna z tych osób, które tak naprawdę nigdy nie są całkowicie obecne i które trudno zapamiętać, gdyż brak im wyraźnych konturów, podsumował go Jacob Todd. Nie czekając na zaproszenie, obaj przysiedli się do jego stolika z poufałością rodaków, którzy nieoczekiwanie spotkali się na obcej ziemi. W końcu pojawiła się jakaś kelnerka i kapitan John Sommers zamówił butelkę whisky, podczas gdy jego brat - żargonem wymyślonym przez Brytyjczyków w celu porozumiewania się ze służbą - poprosił o herbatę.

- Co słyhać w domu? - dopytywał się Jeremy. Mówił cicho, niemalże szeptem, ledwie rozchylając wargi, nieco afektowanym tonem.

- W Anglii od trzystu lat nic się nie dzieje - odrzekł kapitan.

- Zechce pan wybaczyć mi moją ciekawość, panie Todd, ale widziałem, jak wchodził pan do hotelu, i nie mogłem nie zauważyć pańskiego bagażu. Zdawało mi się, że było w nim wiele skrzyń oznakowanych jako Biblie... czyżbym się mylił? - zapytał Jeremy Sommers.

- Faktycznie, to Biblie.

- Nikt nas nie uprzedził, że przysyłają nam nowego pastora...

- Płynęliśmy razem trzy miesiące i nie miałem pojęcia, że jest pan pastorem, panie Todd! - zawołał kapitan.

- W rzeczywistości nim nie jestem - odrzekł Jacob Todd, ukrywając zmieszanie za kłębam dymu swego cygara.

- A zatem jest pan misjonarzem. Jak sądzę, zamierza pan jechać na Ziemię Ognistą. Patagońscy Indianie są gotowi poddać się ewangelizacji. O Araukanach proszę lepiej zapomnieć: już ich zagarnęli katolicy - skomentował Jeremy Sommers.

- Araukanów została może garstka. Ci ludzie mają dziwną manię: uwielbiają dawać się masakrować - zauważył jego brat.

- To byli najdzikszy Indianie Ameryki, panie Todd. Większość z nich zginęła, walcząc z

Hiszpanami. Byli kanibalami.

- Odcinali po kawałku z żywych jeńców: woleli świeżą kolację - dodał kapitan. - To samo zrobilibyśmy pan i ja, gdyby ktoś zabił naszą rodzinę, spalił wioskę i zagrabił.

- Doskonale, John. Teraz bronisz kanibalizmu! - zareplikował jego brat z niesmakiem.
- W każdym razie, panie Todd, muszę pana ostrzec, żeby pan nie zadzierał z katolikami. Nie powinniśmy prowokować miejscowych. To ludzie bardzo przesądni.

- Obce wierzenia to przesady, panie Todd. Nasze to religia. Indianie z Ziemi Ognistej, Patagoni, bardzo się różnią od Araukanów.

- Są tak samo dzicy. Chodzą nago, a klimat jest tam okropny - stwierdził Jeremy.

- Niech pan zawiezie im swoją religię, panie Todd. Może chociaż nauczą się nosić gacie - zauważył kapitan.

Todd nigdy nie słyszał o owych Indianach i ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, było nauczać o czymś, w co sam nie wierzył, ale nie miał odwagi, by im wyznać, że jego podróż była rezultatem zakładu przyjętego po pijanemu. Nie wdając się zbytnio w szczegóły, odpowiedział, iż zamierza zorganizować wyprawę misyjną, ale na razie musi zdecydować, jak ją sfinansuje.

- Gdybym wiedział, że przybywa pan głosić wśród tych dobrych ludzi wiarę w jakiegoś Boga - tyrana, wyrzuciłbym pana za burtę na środku Atlantyku, panie Todd.

Przerwała im kelnerka z whisky i herbatą. Była to młoda dziewczyna o ciele niczym dojrzały owoc, wciśnięta w czarną suknię, w nakrochmalonym czepku i fartuchu. Gdy pochylała się, trzymając tacę, pozostawiła w powietrzu niepokojący zapach gniecionych kwiatów i żelazka na węgiel. Przez ostatnie tygodnie Jacob Todd nie widywał kobiet, więc patrząc na nią, boleśnie odczuł swoją samotność. John Sommers odczekał, aż dziewczyna odejdzie.

- Proszę się mieć na baczności, panie Todd. Chilijki to kobiety fatalne - powiedział.

- Nie wyglądają mi na to. Są niskie, szerokie w biodrach i mają nieprzyjemny głos - stwierdził Jeremy Sommers, sięgając po filiżankę z herbatą.

- Marynarze dezertują dla nich ze statków! - wykrzyknął kapitan.

- Przyznaję, nie jestem autorytetem, jeśli chodzi o kobiety. Nie mam na to czasu. Muszę zajmować się moimi interesami i naszą siostrą, zapomniałeś?

- Ani na chwilę, stale mi to wypominasz. Widzi pan, panie Todd, w naszej rodzinie ja jestem czarną owcą, postrzeleńcem. Gdyby nie mój pocziwy braciszek Jeremy...

- Ta dziewczyna wygląda na Hiszpankę - przerwał Todd, odprowadzając spojrzeniem kelnerkę, która w tym momencie obsługiwała inny stolik. - Mieszkałem dwa miesiące w

Madrycie i widziałem wiele takich jak ona.

- Tutaj wszyscy to Metysi, nawet w wyższych klasach. Nie przyznają się do tego oczywiście. Indiańską krew ukrywa się niczym zarazę. Nie winie ich, Indianie mają opinię brudasów, pijaków i nierobów. Rząd stara się poprawić rasę, sprowadzając imigrantów z Europy. Na południu rozdaje się ziemię osadnikom.

- A ich ulubiony sport to zabijanie Indian.

- Przesadzasz, John.

- Nie zawsze trzeba aż kuli w łeb, wystarczy ich rozpić. Ale zabijanie ich jest zabawniejsze, to jasne. W każdym razie my, Brytyjczycy, nie uczestniczymy w takich rozrywkach, panie Todd. Ziemia nas nie interesuje. Po cóż mielibyśmy uprawiać ziemniaki, skoro możemy zbić fortunę, nie zdejmując rękawiczek?

- Dla przedsiębiorczego człowieka nie brak tu okazji. W tym kraju jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Jeśli chce pan się wzbogacić, niech pan jedzie na północ. Jest tam srebro, miedź, saletra, guano...

- Guano?

- Ptasie gówno - wyjaśnił marynarz.

- Nie znam się na tym, panie Sommers.

- Pan Todd nie jest zainteresowany zbijaniem fortuny, Jeremy. Pańska sprawa to chrześcijaństwo, prawda?

- Kolonia protestancka jest liczna i zamożna, pomoże panu. Proszę przyjść jutro do mnie do domu. W środy moja siostra Rosa organizuje wieczorki muzyczne i będzie to dobra okazja do nawiązania znajomości. Przyślę po pana mój powóz o piątej. Zabawi się pan - powiedział Jeremy Sommers, żegnając się.

Następnego dnia, odświeżony po dobrze przespanej nocy i długiej kąpieli, żeby się pozbyć zapachu soli, który przyłgnął mu do duszy, ale czując się jeszcze niepewnie na nogach po tak długim żeglowaniu, Jacob Todd wybrał się na spacer po porcie. Nie spiesząc się, przeszedł wzdłuż głównej ulicy, równoległej do morza i biegnącej tak blisko brzegu, że dosięgały go bryzgi fal, w jakiejś kawiarni wychylił kilka kieliszków, a w gospodzie na targu zjadł obiad. Kiedy wyjeżdżał, w Anglii panowała lodowata lutowa zima, a przepłynąwszy wieczną pustynię pełną wody i gwiazd, gdzie stracił rachubę nawet co do liczby swych dawnych miłostek, na półkulę południową dotarł z początkiem nowej bezlitosnej zimy. Przed wyjazdem nie przyszło mu do głowy, żeby dowiedzieć się czegoś o klimacie. Wyobrażał sobie, że w Chile panuje upał i wilgoć, tak jak w Indiach, gdyż - jak sądził - tak wyglądały ubogie kraje, ale tutaj znalazł się na łasce lodowatego wiatru, który przenikał go do kości i

wzbijał tumany piasku i śmieci. Wiele razy gubił się pośród splątanych uliczek, kręcił się, chodził w kółko, aby znowu znaleźć się w punkcie wyjścia. Wspinał się zaułkami umęczonymi przez niekończące się schody i ograniczonymi przez absurdalne domy zwisające znikąd, starając się dyskretnie nie zaglądać w okna i nie naruszać cudzej intymności.

Natknął się na romantyczne place o wyglądzie europejskim, zwieńczone okrągłymi podwyższeniami, na których orkiestry wojskowe przygrywały zakochanym, i na skromne ogrody zdeptane przez osły. Na obrzeżach głównych ulic rosły okazałe drzewa odżywiane przez cuchnące wody spływające ze wzgórz otwartymi kanałami. W części handlowej obecność Brytyjczyków była tak namacalna, że niemal oddychało się powietrzem prosto z innych szerokości geograficznych. Wiele sklepów miało szyldy w języku angielskim, a przechodzący ziomkowie Todda ubrani byli jak w Londynie; mieli nawet takie same czarne parasole jak u grabarzy. Ledwie oddalił się od centralnych ulic, gdy natknął się na obrazy nędzy, które odczuł niczym policzek; ujrzał niedożywionych i odrętwiałych ludzi, żołnierzy w wyświechtanych mundurach i żebraków u wrót kościołów. O dwunastej w południe kościelne dzwony unisono zerwały się do lotu i w jednej chwili ucichł zgiełk, przechodnie przystanęli, mężczyźni zdjęli kapelusze, nieliczne kobiety, jakie widział, uklęknęły i wszyscy uczynili znak krzyża. Scena trwała dokładnie tyle co dwanaście uderzeń dzwonu, po czym natychmiast ruch na ulicy powrócił, jakby nic się nie stało.

ANGLICY

Powóz wysłany przez Sommersa przybył do hotelu z półgodzinnym opóźnieniem. Stangret zdążył wcześniej wlać w siebie sporą dawkę alkoholu, ale Jacob Todd nie miał wyboru. Mężczyzna wiozł go na południe. Przez kilka godzin padał deszcz i na pewnych odcinkach - gdzie kałuże wody i błota kryły w sobie fatalne pułapki w postaci wyrw, w których mógłby się zapaść nawet jakiś roztargniony koń - drogi stały się nieprzejezdne. Po obu stronach ulicy stały dzieci z parami wołów, gotowe za parę monet wyciągnąć unieruchomione powozy, jednak pomimo swego pijackiego niedowidzenia stangret zdołał ominąć wyrwy i wkrótce zaczęli się wspinać pod górę. Po dotarciu na Cerro Alegre, gdzie mieszkała większość cudzoziemskich kolonistów, widok miasta zmieniał się tym bardziej, im wyżej wjeżdżali i znikwały nędzne chatynki oraz wielorodzinne domy biedoty. Powóz zatrzymał się przed domostwem o proporcjach pełnych rozmachu, ale dość nieszczęsnym wyglądem; było to nieudane połączenie pretensjonalnych wieżyczek i niepotrzebnych schodów, wpasowane w nierówności terenu i oświetlone tyłoma pochodniami, że noc została zmuszona do odwrotu. Drzwi otworzył indiański służący w liberii, która była dla niego za duża, odebrał od Todda płaszcz i kapelusz, po czym zaprowadził go do przestronnego salonu, którego wyposażenie stanowiły solidne meble i nieco teatralne kotary z zielonego aksamitu. Był on tak przeładowany ozdobami, że brakowało choćby centymetra białej powierzchni, gdzie wzrok mógłby odpocząć. Toddowi przyszło na myśl, że w Chile, tak jak w Europie, naga ściana jest oznaką biedy, i swój błąd pojął dopiero później, kiedy już zdarzyło mu się bywać w skromnych domach Chilijczyków. Obrazy były nachylone, żeby można je było podziwiać od dołu, a wzrok ginął w półcieniu wysokich sufitów. Wielki kominek, w którym płonęły grube polana, i kilka piecyków na węgiel nierówno rozdzielały ciepło - stopy pozostawały lodowate, a głowę ogarniała gorączka.

W salonie było już nieco ponad pół tuzina osób ubranych na modłę europejską i kilka służących w wykrochmalonych fartuszkach, roznoszących tace. Jeremy i John Sommers wyszli go powitać.

- Przedstawię pana mojej siostrze Rosę - powiedział Jeremy, prowadząc go w głąb salonu.

I wówczas Jacob Todd na prawo od kominka ujrzał siedzącą kobietę, która miała zburzyć spokój jego duszy. Rosę Sommers olśniła go w jednej chwili, nie tyle swoją urodą, co pewnością siebie i pogodą. Nie miała nic z wulgarniej wylewności kapitana ani z męczącej

powagi jego brata Jeremy'ego.

Była kobietą, której wyraz twarzy zdawał się zapowiadać, że lada moment wybuchnie kokieteryjnym śmiechem. Kiedy to robiła, wokół jej oczu pojawiała się siateczka cieniutkich zmarszczek i z jakiegoś powodu właśnie to wydało mu się najbardziej pociągające. Nie potrafił określić jej wieku, mogła mieć od dwudziestu do trzydziestu lat, ale domyślał się, że za dziesięć lat będzie wyglądać tak samo, gdyż miała dobre kości i królewską postawę. Ubrana była w suknię z tafty barwy brzoskwini i nie nosiła żadnych ozdób z wyjątkiem prostych koralowych kolczyków. Najbardziej elementarna grzeczność nakazywała ograniczyć się do zamarkowania tylko gestu całowania w rękę, bez dotykania jej ustami, jednakże zmieszany Todd utracił zdolność pojmowania i, sam nie wiedząc jak, złożył na jej dłoni pocałunek. Powitanie to okazało się tak niefortunne, że przez trwającą wieczność chwilę oboje znaleźli się w pełnym niepewności zawieszeniu: on - ujmując jej dłoń, jakby chwycił za szpadę, ona - wpatrując się w ślad po ślinie i nie mając odwagi go zetrzeć, żeby nie obrazić gościa.

Trwało to aż do chwili, gdy pojawiła się jakaś dziewczynka ubrana jak księżniczka. Wówczas Todd otrząsnął się ze swego zmieszania i prostując się, zdołał pochwycić coś w rodzaju kpiącego uśmiechu, jaki wymienili między sobą bracia Sommersowie. Pragnąc zatrzeć wywarte wrażenie, zwrócił się do dziewczynki z przesadną atencją, gotów ją oczarować.

- To Eliza, nasza protegowana - powiedział Jeremy Sommers.

Jacob Todd popełnił drugą gafę.

- Jak to: protegowana? - zapytał.

- To znaczy, że nie należę do tej rodziny - wyjaśniła Eliza cierpliwie tonem kogoś, kto przemawia do głupka.

- Nie?

- Jak nie będę grzeczna, to mnie odeślą do zakonnic - papistek.

- Co ty mówisz, Elizo! Niech pan nie zwraca na nią uwagi, panie Todd. Dzieciom przychodzą do głowy dziwne rzeczy.

Oczywiście, że Eliza należy do naszej rodziny - przerwała jej Miss Rosę, wstając.

Eliza spędziła ten dzień z Mamą Frezją, przygotowując kolację. Kuchnia urządzona była na patio, ale Miss Rosę kazała połączyć ją z domem specjalnym daszkiem, aby nie musieć palić się ze wstydu, gdyby na stół podano danie zimne albo zachlapanie odchodami gołębia. Owo pomieszczenie, poczerniałe od tłuszczu i okopcone sadzą z paleniska, było niekwestionowanym królestwem Mamy Frezji. Koty, psy, gęsi i kury spacerowały swobodnie

po podłodze z prostych, niewoskowanych cegieł; tutaj przez całą zimę przeżuwała swoją strawę karmicielka Elizy, wielce już wiekowa koza, której nikt nie ośmieliłby się zabić, gdyż byłoby to tak, jakby pozbawiał życia własną matkę. Dziewczynka lubiła zapach surowego chlebowego ciasta w formach, kiedy pośród westchnień drożdże dokonywały tajemniczego procesu spulchniania masy; aromat cukru smażonego na karmel do zdobienia tortów; czekolady w blokach rozpuszczającej się w mleku.

We środy, kiedy odbywały się wieczorki, pokojówki - dwie dorastające Indianki, które mieszkały w domu i pracowały za wyżywienie - czyściły srebro, prasowały obrusy i polerowały kryształy. W południe wysyłały stangreta do cukierni po słodczyce przygotowane zgodnie z przepisami zazdrośnie strzeżonymi od czasów kolonialnych. Mama Frezja korzystała z okazji, żeby do upręży konia przytroczyć skórzany bukłak ze świeżym mlekiem, które w rytm końskiego truchtania ubijało się na masło.

O trzeciej po południu Miss Rosę wzywała Eliza do swego pokoju, gdzie stangret i lokaj ustawiali wannę z brązu z nóżkami w kształcie lwich łap, którą pokojówki wyścielały prześcieradłem i napełniały gorącą wodą naperfumowaną liśćmi mięty i rozmarynu. Rosę i Eliza chlapały się w wannie jak dzieci aż do chwili, gdy woda ostygła i służące wracały, niosąc w ramionach ubranie, aby pomóc im włożyć pończochy i trzewiki, majtki do kolan, batystową koszulę, następnie pas wypełniony na biodrach dla podkreślenia smukłości talii, na to trzy wykrochmalone halki i na koniec suknię, która zakrywała je całkowicie, zostawiając na wierzchu jedynie głowę i dłonie. Oprócz tego Miss Rosę nosiła także gorset usztywniony za pomocą fiszbinów, tak obcisły, że nie mogła głębiej odetchnąć ani podnieść ramion w górę; tak samo nie była w stanie ubrać się samodzielnie ani schylić, gdyż fiszbiny pękały i wbijały się jej w ciało jak druty. Była to jedyna kąpiel w tygodniu, rytuał porównywalny tylko z sobotnim myciem głowy, które pod byle pretekstem mogło zostać odwołane, gdyż uważano je za szkodliwe dla zdrowia.

W ciągu tygodnia Miss Rosę ostrożnie używała mydła, wołała przecierać się gąbką nasączoną mlekiem i odświeżać wodą toaletową o zapachu wanilii, co jak słyszała, było w modzie we Francji od czasów madame de Pompadour.

Eliza z zamkniętymi oczami umiała rozpoznać ją pośród tłumu, gdyż niosła ze sobą niepowtarzalny zapach deseru.

Skończywszy trzydzieści lat, Miss Rosę zachowała ową przezroczystą i delikatną cerę, jaką mogą się pochwalić niektóre młode Angielki, zanim światła wielkiego świata i ich własna wyniosłość nie zmieniają jej w pergamin. O swój wygląd dbała, używając wody różanej i cytryny dla rozjaśnienia cery, miodu z kwiatów oczaru dla jej wygładzenia, rumianku dla

rozświetlenia odcienia włosów i całej kolekcji egzotycznych balsamów i toników przywożonych przez jej brata Johna z Dalekiego Wschodu, gdzie jak twierdził, mieszkały najpiękniejsze kobiety świata. Inspirując się magazynami przysyłanymi z Londynu, wymyślała sobie suknie i sama je szyla w swoim pokoiku do szycia; przy odrobinie intuicji i pomysowości ciągle przerabiała swą garderobę, całymi latami używając tych samych wstążek, kwiatów i piór, które mimo to nie wyglądały na znoszone.

Wychodząc nie zakładała czarnej chusty jak Chilijki, gdyż zwyczaj ten uważała za zboczenie; wolała swoje krótkie pelerynki i kolekcję kapeluszy, mimo że na ulicy oglądano się za nią jak za kurtyzaną.

Zachwycona widokiem nowej twarzy na swym cotygodniowym zebraniu Miss Rosę wybaczyła Jacobowi Toddowi jego impertynencki pocałunek i ująwszy go pod ramię, za-prowadziła go do okrągłego stołu w kącie salonu. Dała mu do wyboru różne trunki, nalegając, by spróbował jej misteli, dziwnego napoju z cynamonu, wódki i cukru, którego nie był w stanie przełknąć i który dyskretnie wylał, stanąwszy przy jakiejś zardynierce. Następnie przedstawiła go przybyłym gościom: panu Appelgrenowi, fabrykantowi mebli, będącemu w towarzystwie córki, młodej bezbarwnej i nieśmiałej dziewczyny; madame Colbert, dyrektorce angielskiej pensji dla dziewcząt; panu Ebelingowi, właścicielowi najlepszego sklepu z męskimi kapeluszami, i jego żonie, która uczepiła się Todda, prosząc go o najświeższe wiadomości na temat angielskiej rodziny królewskiej, jakby to chodziło o jego własnych krewnych. Poznał również chirurgów, panów Page'a i Poetta.

- Doktorzy operują, używając chloroformu - wyjaśniła Z podziwem Miss Rosę.

- Tutaj to jeszcze nowość, ale w Europie medycyna praktycz-na przeszła prawdziwą rewolucję - tłumaczył jeden z chirurgów.

- O ile wiem, w położnictwie jest już w Anglii regularnie stosowany. Czyż nie użyła go królowa Wiktoria? - dodał Todd, byle tylko coś powiedzieć, jako że nie miał o tym bladego pojęcia.

- Tutejsi katolicy bardzo są temu przeciwni. Biblijnym przekleństwem kobiety jest rodzić w bólach, panie Todd.

- Czy nie wydaje się to panom niesprawiedliwe? Przekleń-stwem mężczyzny jest pracować w pocie czoła, jednak w tym salonie, nie szukając dalej, panowie zarabiają na życie, wycis-kając siódme poty z innych - odparła Miss Rosę, oblewając się gwałtownym rumieńcem.

Chirurdzy uśmiechnęli się zmieszani, ale Todd obserwował ją urzeczony. Gotów był spędzić u jej boku całą noc, mimo że o ile sobie przypominał, w Londynie z wieczorku

należało wyjść po półgodzinie. Zauważył, że uczestnicy tego spotkania zachowują się, jakby zamierzali zostać dłużej, i pomyślał, że krąg znajomych musi tu być bardzo ograniczony i może to spotkanie u Sommersów jest jedynym w ciągu całego tygo-dnia. Właśnie się nad tym zastanawiał, kiedy Miss Rosę zapowiedziała część muzyczną. Służące wniosły więcej świecz-ników, przez co w salonie zrobiło się jasno jak w biały dzień, ustawily krzesła dookoła fortepianu, altówki i harfy, kobiety usadowily się w półkolu, a mężczyźni stanęli za nimi. Do fortepianu zasiadł jakiś pyzaty młodzian i spod jego rzeźnickich dłoni wytrysnęła zachwycająca melodia, podczas gdy córka fabrykanta mebli śpiewała starą szkocką balladę głosem tak znakomitym, że Todd zapomniał na chwilę o jej wy-gładzie wystraszonej myszy. Dyrektorka pensji dla dziewcząt wyrecytowała jakiś, niepotrzebnie długi, poemat heroiczny; Rosę, w duecie z bratem Johnem, wyśpiewała kilka frywolnych piosenek, nic sobie nie robiąc z wyraźnej dezaprobaty Jeremy'ego Sommersa, a potem wymogła na Jacobie Toddzie, aby zaprezentował im coś ze swego repertuaru, co dało nowo przybyłemu gościowi możliwość popisania się swym dobrym głosem.

- Jest pan prawdziwym odkryciem, panie Todd! Już pana nie wypuścimy. Jest pan skazany na przychodzenie tutaj w każdą środę! - wykrzyknęła, kiedy ucichły oklaski, nie zwracając uwagi na wyraz oczarowania na jego twarzy, z jakim na nią patrzył.

Todd czuł, że zęby ma sklezione karmelem i kręci mu się w głowie, nie wiedział jednak, czy powodem tego był wyłącznie jego podziw dla Rosę Sommers, czy także wy-sączone trunki i potężne cygaro wypalone w towarzystwie kapitana Sommersa. W tym domu nie można było odmówić kieliszka albo dania, nie obrażając gospodarzy; prędko miał się przekonać, że taka gościnność to narodowa cecha Chilijczyków, którzy ją manifestowali, zmuszając gości do picia i jedzenia znacznie ponad ludzką wytrzymałość. O dziewiątej zapowiedziano kolację i zaproszeni jeden za drugim przeszli do jadalni, gdzie czekała na nich kolejna seria ciężkich dań i nowych deserów. Około północy kobiety podniosły się od stołu i kontynuowały rozmowę; w salonie, podczas gdy męż-czyźni pili brandy i palili w jadalni. Na koniec, kiedy Todd bliski był zemdlenia, goście zaczęli prosić o swoje płaszcze i o podstawienie powozów. Państwo Ebeling, żywo zaintereso-wani ewentualną misją ewangelizacyjną na Ziemi Ognistej, zaoferowali się odwieźć go do hotelu, na co on natychmiast się zgodził, przerażony myślą o powrocie w kompletnych ciemnościach przez owe ulice jak ze złęgo snu i to w towarzy-stwie pijanego stangreta Sommersów. Podróż zdawała się nie mieć końca, nie był w stanie skupić się na rozmowie, kręciło mu się w głowie, a żołądek wywracał na drugą stronę.

- Moja małżonka urodziła się w Afryce, jest córką mis-jonarzy, którzy szerzą tam

prawdziwą wiarę; wiemy, jak wielu poświęceń to wymaga, panie Todd. Mamy nadzieję, że przyzna nam pan ten przywilej, abyśmy wspierali pana w jego szlachetnej pracy na rzecz Indian - powiedział uroczyście pan Ebeling przy pożegnaniu.

Owej nocy Jacob Todd nie mógł zasnąć, obraz Rosę Sommers przeszywał go na wskroś niczym okrutne żądło i zanim nastał świt, postanowił na serio uderzyć w konkury. Nic o niej nie wiedział, i nie chciał wiedzieć, możliwe że jego przeznaczeniem było przegrać zakład i dotrzeć do Chile tylko po to, aby poznać swoją przyszłą żonę. Zabrałby się do tego już nazajutrz, ale złożony gwałtownym atakiem kolki, nie mógł wstać z łóżka. Tak spędził cały dzień i całą noc, raz nieprzytomny, a raz umierający, aż w końcu zdołał zebrać na tyle siły, żeby podejść do drzwi i wezwać pomoc. Na jego prośbę kierownik hotelu wysłał wiadomość do Sommersów, jedynych znajomych, jakich miał w tym mieście, i polecił pokojowemu sprzątnąć pokój, który cuchnął niczym gnojowisko. W południe w hotelu zjawił się Jeremy Sommers w towarzystwie cyrulika, słynącego z tego, że jak nikt w Valparaiso potrafił puszczać krew. Ten, jak się okazało, posiadał niejaką znajomość angielskiego i utoczywszy mu krwi z nóg i ramion, tak że niemal całkowicie go jej pozbawił, wyjaśnił mu, że wszyscy cudzoziemcy, którzy po raz pierwszy postawią stopę w Chile, chorują.

- Nie ma powodu do obaw, o ile wiem, tylko nieliczni z nich umierają - uspokoił go.

Podał mu chininę w opłatkach z ryżowego papieru, ale Todd, zgięty wpół z powodu mdłości, nie był w stanie jej przełknąć. Był w Indiach i znał objawy malarii i innych chorób tropikalnych leczonych chininą, ale te bóleści w najmniejszym choćby stopniu ich nie przypominały. Zaraz po wyjściu cyrulika ponownie zjawił się pokojowy, żeby zabrać brudy i jeszcze raz zmyć cały pokój. Jeremy Sommers zostawił adresy doktorów Page'a i Poetta, jednak Toddowi nie było dane ich wezwać, gdyż w dwie godziny później do hotelu przybyła jakaś herod - baba, żądając widzenia z chorym. Prowadziła za rękę dziewczynkę ubraną w niebieski aksamit, białe trzewiczki i haftowany w kwiaty berecik, wyglądającą jak postać z bajki. Były to Mama Frezja i Eliza, wysłane przez Rosę Sommers, która miała bardzo niskie mniemanie o owych krwawych zabiegach. Obie wkroczyły do pokoju z taką pewnością siebie, że osłabiony Jacob Todd nie miał odwagi zaprotestować. Pierwsza przybywała w charakterze znachorki, druga zaś tłumaczki.

- Mamusia mówi, że zdejmie panu piżamę. Ja nie będę podglądać - wyjaśniła dziewczynka i odwróciła się do ściany, gdy tymczasem Indianka dwoma szarpnięciami swych szponów zdarła z niego ubranie i zabrała się do nacierania mu całego ciała wódką.

Wsunęły do jego łóżka gorące cegły, owinęły go kocami i dały po łyżeczce jakiś napar z gorzkich ziół słodzony miodem, mający złagodzić bóle trawienia.

- Teraz moja mamusia będzie „zamawiać” chorobę - po-wiedziała dziewczynka.

- A to co takiego?

- Niech się pan nie boi, nie będzie bolało.

Mama Frezja zamknęła oczy i zaczęła przesuwać dłońmi po jego torsie i brzuchu, mamrocząc jednocześnie jakieś zaklęcia w języku mapuche. Jacob Todd poczuł, że ogarnia go nieodparta senność, i zanim kobieta skończyła, zasnął głąbo-ko i nie wiedział, kiedy obie pielęgniarki zniknęły. Spał osiemnaście godzin i obudził się mokry od potu. Następnego ranka Mama Frezja i Eliza wróciły, żeby zaaplikować mu kolejne mocne nacieranie i olbrzymią filiżankę rosolu z kury. - Mamusia mówi, żeby pan nigdy nie pił wody. Proszę pić tylko gorącą herbatę i nie jeść owoców, bo znowu zachce się panu umierać - przetłumaczyła dziewczynka.

Po tygodniu, kiedy mógł już stanąć na nogi i przyjrzał się sobie w lustrze, stwierdził, że w tym stanie nie może pokazać się Miss Rosę: stracił kilka kilogramów, był wymizerowany i nie potrafił zrobić paru kroków, żeby nie opaść zaraz na krzesło, z trudem łapiąc powietrze. Kiedy odzyskał siły na tyle, żeby wysłać do niej liścik z podziękowaniem za uratowanie życia wraz z czekoladkami dla Mamy Frezji i Elizy, dowiedział się, że dziewczyna wyjechała z przyjaciółką i jej służącą do Santiago, która to podróż, wzięwszy pod uwagę lichą drogę i złe warunki klimatyczne, była bardzo ryzykowna. Miss Rosę odbywała tę liczącą trzydzieści cztery mile trasę raz do roku, zawsze z początkiem jesieni albo w pełni wiosny, żeby pójść do teatru, posłuchać dobrej muzyki i zrobić doroczne zakupy w Wielkim Magazynie Japońskim, pachnącym jaśminem i oświetlonym lampkami gazowymi z kloszami z różowego szkła, gdzie nabywała drobiazgi trudne do zdobycia w porcie. Jednak tym razem istniał ważki powód dla odbycia tej podróży zimą: miała pozować do portretu. Na zaproszenie rządu przybył do kraju znakomity francuski malarz Monvoisin, żeby wspólnie z artystami krajowymi założyć szkołę. Mistrz malował jedynie głowę, cała reszta zaś była dziełem jego pomocników, a nawet dla zyskania na czasie koronki przyklejano bezpośrednio na płótnie, mimo tych oszukańczych wybiegów nic jednak nie dawało takiego prestiżu jak sygnowany przez niego portret. Obraz kosztował sześć uncji złota plus dodatkowo po jednej za każdą namalowaną dłoń, ale w tym wypadku nie było miejsca na robienie oszczędności. Szansa na posiadanie autentycznego dzieła wielkiego Monvoisina nie pojawiała się w życiu dwa razy, jak mawiali jego klienci.

- Skoro wydatek nie jest problemem, chcę, żeby mnie namalował z trzema dłońmi. Będzie to najślawniejszy jego obraz i przynajmniej trafi do jakiegoś muzeum, a nie nad nasz kominek - skomentowała Miss Rosę.

Był to rok powodzi, które zostały odnotowane w tekstach szkolnych czytanek i w pamięci dziadków. Potop porwał setki domostw, a kiedy wreszcie burza ucichła i wody zaczęły opadać, przyszło kilka niewielkich trzęsień ziemi, które odebrano niczym ciosy siekiery w rękach Boga, a które dopełniły dzieła zniszczenia wszystkiego, co rozmiękło pod wpływem ulewy. Szubrowcy wszelkiego autoramentu buszowali pośród rumowisk i korzystając z zamieszania okradali domy. Żołnierze otrzymali instrukcje, aby nie oglądając się na nic rozstrzeliwać każdego przyłapanego na takowym przestępstwie, jednakże rozochoceni okrucieństwem, dla samej przyjemności słuchania skarg i lamentów zaczęli wymachiwać szablami, rozdając ciosy na lewo i prawo, tak że trzeba było odwołać rozkaz, zanim przy okazji nie wytną w pień również niewinnych ludzi. Zamknięty w hotelu Jacob Todd, leczący się z przeziębienia i jeszcze osłabiony tygodniem silnych kolek jelitowych, doprowadzony do rozpaczki nieustannym biciem kościelnych dzwonów wzywających do pokuty, spędzał czas czytając nieaktualne czasopisma i szukając kogoś, z kim by mógł pograć w karty. W poszukiwaniu toniku na wzmocnienie żołądka wyszedł do apteki, ale ta okazała się jakimś zagraconym sklepikiem, pełnym zakurzonych butelek z niebieskiego i zielonego szkła, a niemiecki sprzedawca zaoferował mu olej ze skorpionów i nalewkę na dżdżownicach. Pierwszy raz pożałował, że jest tak daleko od Londynu.

Nocami ledwo mógł zmrużyć oczy, a to z powodu pijackich burd i kłótni oraz pogrzebów, które wyprawiano między północą a trzecią nad ranem. Migocący światłami, pochylony nad miastem cmentarz znajdował się na szczycie wzgórza. Kiedy rozpętała się burza, groby się otworzyły i trumny stoczyły się po zboczach; nastąpiło takie wymieszanie kości, że wszyscy zmarli zostali zrównani w jednakim pohańbieniu. Wielu komentowało, że dziesięć lat wcześniej zmarłym wiodło się lepiej, gdyż ludzi zamożnych chowano wtedy w kościołach, biednych w wąwozach, a cudzoziemców na plażach. To jakiś dziwaczny kraj, stwierdził Todd; twarz miał obwiązana chustką, gdyż wiatr niósł ze sobą mdlące wyziewy śmierci, które władze zwalczały, każąc rozpalać wielkie ogniska z drzew eukaliptusa. Poczuvszy się lepiej, poszedł obejrzeć procesje. Zazwyczaj nie zwracały uwagi, gdyż każdego roku przez siedem dni Wielkiego Tygodnia i w czasie innych świąt religijnych powtarzało się to samo, jednak tym razem nabrały charakteru masowych aktów błagania niebios o zakończenie opadów. Z kościołów wychodziły długie szeregi wiernych prowadzone przez bractwa, składające się z mężczyzn w czerni, niosących feretrony z posągami świętych we wspaniałych szatach haftowanych złotem i drogimi kamieniami. Jedna z kolumn dźwigała przybitego do krzyża Chrystusa w koronie cierniowej na szyi. Wyjaśniono mu, że to Chrystus Majowy, specjalnie na tę okazję przywieziony z Santiago, gdyż jest to najcudowniejszy

wizerunek na świecie, jedyny, jaki może wpłynąć na zmianę klimatu. Przed dwustu laty potworne trzęsienie zrównało stolicę z ziemią, powodując całkowite zawalenie kościoła Świętego Augustyna; ocalał jedynie ołtarz, na którym znajdował się ów Chrystus. Korona obsunęła mu się z głowy na szyję, gdzie nadal widnieje, gdyż ilekroć próbowano umieścić ją na swoim miejscu, wstrząsy powraca-ły. Procesje gromadziły niezliczone rzesze mnichów i zakon-nic, dewotek wycieńczonych zbyt długim postem, prostych ludzi modlących się i śpiewających na całe gardło, pokut-ników w grubych, szorstkich kapotach i biczowników smaga-jących się po gołych plecach skórzanymi dyscyplinami zakon-czonymi ostrymi, metalowymi rozetkami. Niektórzy z nich padali zemdleni, dostając się pod opiekę kobiet, które prze-mywały im otwarte rany i podawały coś na ugaszenie prag-nienia, jednakże ledwo dochodzili do siebie, na nowo wypycha-ły ich do procesji. Szły szeregi Indian, okaleczających się w jakimś obłąkańczym ferworze, i zespoły muzyczne wy-grywające religijne hymny. Hałas płaczących modłów przy-wodził na myśl potok rwącej wody, a przesycone wilgocią powietrze cuchnęło kadzidłem i potem. Były procesje arysto-kratów ubranych w bogate stroje, jednakże ciemne i bez ozdób, a także procesje bosego i obdartego gminu; przecinały one sobie drogę na tym samym placu, nie dotykając się ani nie mieszając ze sobą. W miarę jak ludzie posuwali się, skargi narastały, a przykłady pobożności stawały się coraz bardziej wymowne, wierni jękami błagali o przebaczenie za swoje grzechy, przekonani, że zła pogoda była karą za ich nieprawo-ści. Pokutnicy masami napływali do kościołów, które pękały w szwach, więc przed świątyniami pojawiły się rzędy księży, którzy siedząc pod płóciennymi daszkami i parasolami wysłuchiwali tam spowiedzi. Całe to przedstawienie wydało się Anglikowi fascynujące, podczas żadnej z dotychczasowych podróży nie był świadkiem czegoś tak egzotycznego i tak posępnego zarazem. Przyzwyczajony do protestanckiej po-wściągliwości miał wrażenie, że cofnął się do średniowiecza w jego pełnym rozkwicie, przyjaciele z Londynu nigdy by mu nie uwierzyli. Nawet zachowując bezpieczną odległość potrafił wyczuć prymitywne i przeniknięte bólem zwierzęce drzenie, jakie falami przebiegało tę ludzką masę. Z trudem wdrapał się na podstawę jakiegoś pomnika na placu przed kościołem Błogosławionego Żywota, skąd mógł mieć panoramiczny wi-dok na tłum. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za spodnie, spojrzał w dół i zobaczył jakąś wystraszoną dziewczynkę z chustką narzuconą na głowę i twarzą umorusaną krwią i łzami. Odsunął się gwałtownie, ale było już za późno, już zdążyła pobrudzić mu spodnie. Zaklął i próbował ją odpędzić, wymachując rękami, gdyż nie mógł przypomnieć sobie odpowiednich słów, aby uczynić to po hiszpańsku, jednakże bardzo się zdziwił, kiedy ona w doskonałej angielszczyźnie powiedziała, że się zgubiła, i zapytała, czy nie mógłby odprowadzić jej do

domu. Wtedy przyjrzał jej się lepiej.

- Jestem Eliza Sommers Pamięta mnie pan? - wymam-rotąła.

Korzystając z okazji, że Miss Rosę była w Santiago, gdzie pozowała do portretu, a Jeremy Sommers w tych dniach rzadko bywał w domu, ponieważ zalane zostały składy należące do jego firmy, wymyśliła sobie, że pójdzie na procesję, i tak długo męczyła Mamę Frezję, aż ta w końcu ustąpiła. Państwo zabronili jej wspominać przy dziewczynce o obrzędach katolickich czy też indiańskich, a już tym bardziej nie życzyli sobie, aby je oglądała, ale Mama Frezja również umierała z chęci ujżenia Majowego Chrystusa chociaż raz w życiu. Rodzeństwo Sommersów nigdy się nie dowie, stwierdziła. Tak więc obie wyszły cichaczem z domu, piechotą zeszły ze wzgórza, wsiadły do dwukółki, która dowiozła je w okolice placu, i dołączyły do kolumny indiańskich pokutników. Wszystko odbyłoby się zgodnie z planem, gdyby w zamieszaniu i fer-worze owego dnia Eliza nie wypuściła ręki Mamy Frezji, która - zarażona zbiorową histerią - wcale tego nie zauważyła. Zaczęła krzyczeć, ale jej głos przepadł pośród modlitewnych skarg i smutnego walenia w bębny należące do poszczególnych bractw. Rzuciła się biegiem na poszukiwanie niani, ale wszystkie kobiety, okryte ciemnymi chustami, wydały się jej jednakowe, a jej stopy ślizgały się na bruku pokrytym błotem, woskiem ze świec i krwi. Wkrótce różne kolumny połączyły się w zwarty tłum, wlokący się niczym ranne zwierzę, a w powietrzu niósł się rozszalały dźwięk dzwonów i syren statków zacumowanych w porcie. Nie wiedziała, jak długo stała sparaliżowana strachem, jednak w końcu powoli rozjaśniło się jej w głowie. Tymczasem procesja uspokoiła się, wszyscy klęczeli, a na podium przed kościołem jakiś biskup osobiście odprawiał śpiewaną mszę. Eliza zamierzała skierować się w stronę Cerro Alegre, ale przestraszyła się, że zanim trafi do domu, zrobi się ciemno, jeszcze nigdy sama nie wychodziła i nie miała orientacji. Postanowiła nie ruszać się z miejsca, dopóki tłum nie zacznie się rozchodzić, może wtedy Mama Frezja ją znajdzie. W tym momencie wzrok jej padł na wysokiego rudzielca, który wdrapał się na pomnik na placu, i rozpoznała w nim chorego, którego doglądała wspólnie z nianią. Nie wahając się ani chwili, przedarła się ku niemu.

- Co tu robisz? Jesteś ranna? - wykrzyknął mężczyzna.

- Zgubiłam się. Może mnie pan odprowadzić do domu? Jacob Todd wytarł jej buzię własną chustką i obejrzał ją pobieżnie, upewniając się, iż rzeczywiście nie odniosła żadnych widocznych obrażeń. Domyślił się, że krew musiała pochodzić od biczowników.

- Zaprowadzę cię do biura pana Sommersa.

Ale ona zaczęła go prosić, żeby tego nie robił, bo gdy jej protektor dowie się, że była

na procesji, zwolni Mamę Frezję. Todd ruszył na poszukiwanie jakiegoś powozu do wynajęcia, co w owym momencie wcale nie było łatwe, dziewczynka zaś w milczeniu dreptała obok niego, nie wypuszczając jego ręki. Po raz pierwszy w życiu, trzymając tę maleńką i ciepłą rączkę wtuloną w jego dłoń, Anglik czuł, jak wstrząsa nim dreszcz tkliwości. Od czasu do czasu przyglądał się jej ukradkiem, wzruszony widokiem owej dziecinniej twarzyczki o czarnych oczach w kształcie migdała. W końcu znaleźli dwukołowy wóz ciągnięty przez dwie mulice i za opłatę dwukrotnie wyższą, niż to było przyjęte, woźnica zgodził się zawieźć ich na szczyt wzgórza. Drogę odbyli w milczeniu, a w godzinę później Todd wysadził Elizę pod domem. Pożegnała się z nim i podziękowała, ale nie poprosiła, żeby wszedł do środka. Widział, jak się oddala, maleńka i drobna, od stóp do głów okryta czarną chustą. Nagle dziewczynka zawróciła, podbiegła do niego, zarzuciła mu rączki na szyję i pocałowała go w policzek. Dziękuję, powiedziała, jeszcze raz dziękuję. Jacob Todd wrócił do hotelu tym samym wozem. Od czasu do czasu dotykał policzka, zaskoczony owym słodkim i smutnym uczuciem, jakie wzbudzała w nim ta dziewczynka.

Zasługą procesji był wzrost zbiorowej skruchy oraz, jak osobiście zdołał się przekonać Jacob Todd, powstrzymanie padających deszczy, co jeszcze raz potwierdziło wiekopomną sławę Majowego Chrystusa. Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin, kiedy niebo przetańczyło się i nieśmiało wyjrzało słońce, dodając do koncertu nieszczęść owych dni jedną optymistyczną nutę. Z powodu ulewy i epidemii minęło w sumie dziewięć tygodni, zanim w domu Sommersów przywrócono środowe wieczorki, i znacznie więcej - zanim Jacob Todd zdobył się na odwagę, aby wyznać Miss Rosę swoje romantyczne uczucia. Kiedy w końcu to zrobił, udała, że tego nie słyszy, jednakże wobec jego nalegania udzieliła mu odpowiedzi, którą zamknęła mu usta.

- Najlepsze, co może się trafić w małżeństwie, to zostać wdową - odrzekła.

- Mąż, choćby nie wiem jak głupi, zawsze przydaje blasku - odpowiedział, nie tracąc dobrego humoru.

- Nie w moim przypadku. Mąż byłby kulą u nogi i nie mógłby dać mi niczego, czego bym jeszcze nie miała.

- Może dzieci?

- Też coś... Jak pan sądzi, ile ja mam lat, panie Todd?

- Nie więcej niż siedemnaście!

- Proszę nie drwić. Na szczęście mam Elizę.

- Jestem uparty, Miss Rosę, nigdy się nie poddam.

- Jestem panu wdzięczna, panie Todd. Jednak to nie jeden mąż przydaje blasku, lecz

wielu konkurentów.

W każdym razie Rosę była powodem, dla którego Jacob Todd pozostał w Chile znacznie dłużej niż owe trzy miesiące, jakie wyznaczył sobie na sprzedaż Biblii. Sommersowie byli doskonałym kontaktem towarzyskim; dzięki znajomości z ni-mi przed Toddem otworem stanęły drzwi zamożnej kolonii cudzoziemskiej, gotowej wesprzeć go w ewentualnej misji chrystianizacyjnej na Ziemi Ognistej. Postanowił dowiedzieć się czegoś o Indianach z Patagonii, jednak rzuciwszy gnuśnym okiem na opasłe tomiszczą stojące w bibliotece, pojął, że na jedno wychodziło, czy coś wiedział, czy też nie, gdyż ignorancja na ten temat była powszechna. Wystarczyło mówić to, co ludzie chcieli usłyszeć, a do tego dość mu było jego daru wymowy. Aby rozdysponować ładunek Biblii między potencjalnych chilijskich klientów, musiał poprawić swój racz-kujący hiszpański. Mając za sobą dwa miesiące spędzone w Hiszpanii oraz dobry słuch, nauczył się mówić szybciej i lepiej niż wielu Brytyjczyków przybyłych do kraju dwadzieścia lat przed nim. Z początku nie zdradzał się ze swymi zbyt liberalnymi poglądami, jednak zauważył, że na każdym spotkaniu towarzyskim zasypywano go pytaniami i zawsze otaczała go grupa zdumionych słuchaczy. Jego przemówienia, w których głosił abolicjonizm, równość i demokrację, stanowiły wstrząs dla głęboko uśpionych sumień owych dobrych ludzi, były powodem wiecznych dyskusji wśród mężczyzn, wywoływały okrzyki przerażenia wśród dojrzałych kobiet, jednakże niezawodnie przyciągały te najmłodsze. Opinia powszechna określała go jako narwańca, a jego obrazoburcze poglądy jako zabawne, natomiast żarty z brytyjskiej rodziny królewskiej zrobiły jak najgorsze wrażenie, gdyż królowa Wiktoria, na równi z Bogiem i Imperium, była dla członków kolonii angielskiej nietykalna. Jego dochody - skromne, acz-kolwiek bynajmniej nie do pogardzenia - pozwalały mu wieść dość hulaszczy żywot, bez żadnego poważniejszego zajęcia, co ustawiało go w kategorii dżentelmenów. Zaledwie wyszło na jaw, że jest człowiekiem wolnym od zobowiązań, natychmiast zaroilo się od dziewcząt w wieku stosownym do zamążpójścia gotowych go usidlić, jednakże on, poznawszy Rosę Sommers, nawet nie spojrzął na inną, Tysiąc razy zadawał sobie pytanie, dlaczego dziewczyna była panną, i jedyna odpowiedź, jaka przyszła do głowy owemu racjonalistcie i agnostykowi, brzmiała, iż widocznie była mu przeznaczona przez niebiosy.

- Jak długo jeszcze będzie mnie pani dręczyć, Miss Rosę? Nie boi się pani, że w końcu znudzi mi się ją prześladować? - żartował.

- Nie znudzi się panu, panie Todd. Gonić kota jest znacznie przyjemniej niż go złapać - odpowiadała.

Elokwencja fałszywego misjonarza stanowiła w owym środowisku pewną nowość,

więc skoro tylko dowiedziano się, że ma za sobą poważne studia Pisma Świętego, zaproponowano mu głoszenie kazań. Istniał mały kościółek anglikański, na który władze katolickie spoglądały niechętnym okiem, ale wspólnota protestancka gromadziła się także w domach prywatnych. „Czy to kto widział kościół bez dziewic i diabłów? Wszyscy gringos to heretycy, nie wierzą w papieża, nie umieją się modlić, śpiewają tylko i nawet nie przystępują do komunii” - mruzczała pod nosem Mama Frezja, ilekroć nabożeństwo niedzielne wypadało w domu Sommersów. Todd był przygotowany, że odczyta krótki fragment o wyprowadzeniu Żydów z Egiptu, a następnie zrobi odniesienie do sytuacji imigrantów, którzy niczym biblijni Żydzi muszą dostosować się do życia na obcej ziemi, ale Jeremy Sommers przedstawił go przybyłym jako misjonarza i poprosił, żeby powiedział coś o Indianach z Ziemi Ognistej. Jacob Todd nie potrafił zlokalizować tego regionu, jak również nie wiedział, czemu zawdzięcza on swą sugestywną nazwę, niemniej zdołał wzruszyć słuchaczy do łez, opowiadając im historię o trzech dzikusach schwytanych przez angielskiego kapitana i zawiezionych do Anglii. Nie trzeba było nawet trzech lat, aby ci nieszczęśnicy - którzy do niedawna chodzili nago w lodowa-tym zimnie i popełniali akty kanibalizmu - ubierali się jak należy, stali się dobrymi chrześcijanami i nauczyli dobrych manier, a nawet tolerowali angielską kuchnię. Niemniej jednak nie wyjaśnił, że po odesłaniu ich do kraju natychmiast powrócili do swych dawnych nawyków, jakby nigdy nie mieli do czynienia ani z Anglią, ani ze słowem Jezusowym. Pod wpływem sugestii Jeremy'ego Sommersa na miejscu zorganizowano zbiórkę pieniędzy na rzecz szerzenia wiary, a uczyniono to z tak dobrym skutkiem, że już na drugi dzień Jacob Todd mógł otworzyć konto w oddziale Banku Londyńskiego w Valparaiso. Rachunek zasilany był co tydzień datkami protestantów i rósł pomimo częstych wypłat dokonywanych przez Todda, ilekroć jego własne dochody nie wystarczały na pokrycie osobistych wydatków. Im więcej wpływało pieniędzy, tym bardziej mnożyły się przeszkody i preteksty każące przełożyć na później jego ewangelizacyjną misję. Tak minęły dwa lata.

Jacob Todd zaczął czuć się w Valparaiso tak dobrze, jakby się tam urodził. Chilijczycy i Anglicy mieli wiele cech wspólnych: wszystkie problemy rozwiązywali za pośrednictwem syndyków i adwokatów; odczuwali absurdalne przywiązanie do tradycji, symboli narodowych i rutyny; z dumą oświadczały, iż są indywidualistami i wrogami wszelkiej ostentacji, którą mieli w pogardzie jako oznakę karierowiczostwa; wyglądali na miłych i opanowanych, a byli zdolni do wielkiego okrucieństwa. Niemniej jednak, w przeciwieństwie do Anglików, Chilijczycy czuli paniczny lęk przed ekscentrycznością i niczego się tak nie obawiali, jak tego, że narażą się na śmieszność. Gdybym mówił dobrze po

hiszpańsku, myślał Jacob Todd, czułbym się jak u siebie w domu. Zamieszkał w pensjonacie u pewnej angielskiej wdowy, która opiekowała się kotami i piekła najwspanialsze ciasta w mieście. Spał z czterema ulubieńcami swojej gospodyni usadowionymi na łóżku - a zatem w towarzystwie lepszym niż kiedykolwiek - i co rano na śniadanie delektował się jej kuszącymi wypiekami. Nawiązał stosunki z Chilijczykami ze wszystkich klas, poczynając od najniższych - tych poznawał podczas swoich wędrówek po gorszych dzielnicach portu - aż do stojących na samej górze. Jeremy Sommers przedstawił go w Klubie Związkowym, do którego został przyjęty jako członek zaproszony. Przywilejem tym mogli się poszczycić tylko cudzoziemcy o uznanej pozycji towarzyskiej, jako że Klub stanowił enklawę posiadaczy ziemskich i konserwatywnych polityków, gdzie wartość członków mierzona była ich nazwiskami. Drzwi Klubu stanęły przed nim otworem dzięki jego zdolności do gry w karty i w kości; przegrywał z takim wdziękiem, że niewielu zdawało sobie sprawę, jak dużo wygrywał. Tam zaprzyjaźnił się z Agustinem del Valle, właścicielem terenów rolnych w tym regionie i stad owiec na południu, gdzie nigdy nie postawił nawet stopy, gdyż od tego miał swoich nadzorców sprowadzonych ze Szkocji. Ta nowa znajomość dała mu okazję do odwiedzania surowych siedzib rodzin chilijskiej arystokracji, kwadratowych i ciemnych budynków o wielkich, prawie pustych pokojach, ozdobionych bez wyrafinowania ciężkimi meblami, żalobnymi kandelabrami i całym orszakiem krwawiących krucyfiksów, gipsowych Najświętszych Pańienek i świętych ubranych niczym dawna hiszpańska szlachta. Były to domy zwrócone do wewnątrz, zamknięte od ulicy wysokimi żelaznymi parkanami, niewygodne i toporne, ale wyposażone w przewiewne korytarze i dziedzińce wewnętrzne obsadzone jaśminem i krzewami pomarańczy i róż.

Z nadejściem wiosny Agustin del Valle zaprosił Sommersów i Jacoba Todda do jednego ze swych majątków. Droga była koszmarna: jeździec na koniu mógłby ją przebyć w ciągu czterech do pięciu godzin, jednak karawana wioząca rodzinę i gości wyjechała o świcie, a na miejsce dotarła, kiedy już na dobre się ściemniło. Rodzina del Valle przemieszczała się ciągniętymi przez woły długimi dwukołowymi wozami, na których ustawiono stoły i pluszowe otomany. Za nimi jechały rzędem mulice z bagażem i robotnicy rolni na koniach, uzbrojeni w prymitywne sztucery dla obrony przed zbójcami, którzy na zakrętach górskich ścieżek czekali przyczajeni w ukryciu. Do opieszałości zwierząt dochodziły wyboje w drodze, w które zapadały się wozy, oraz częste postoje na wypoczynek, podczas których ginąca w chmarach much służba roznosiła prowiant wyciągnięty z koszyków. Todd nie znał się na uprawie roli, ale wystarczyło tylko spojrzeć dokoła, aby pojąć, że ta urodzajna ziemia rodziła wszystko w wielkiej obfitości; owoce spadały z drzew i gniły u ich stóp, i nikt nie

zadawał sobie trudu, by je zebrać. W hacjendzie zetknął się z tym samym stylem życia, jaki lata wcześniej zaobserwował w Hiszpanii: liczna rodzina połączona zawikłanymi więzami krwi i sztywnym kodeksem honorowym. Jego gospodarz był potężnym, feudalnym patriarchą, który trzymał w garści losy wszystkich członków swego rodu, i z dumą mógł się po-szczycić, iż w prostej linii wywodzi się od pierwszych hisz-pańskich konkwistadorów. Moi prapradziadowie, opowiadał, żeby założyć miasto Santiago, przebyli ponad tysiąc kilometrów zakuci w ciężkie żelazne zbroje, przedarli się przez góry, rzeki i najbardziej wypaloną pustynię na świecie. Pomiędzy swymi był symbolem autorytetu i uczciwości, ale poza jego własną klasą mówiono o nim nie inaczej jak „diabelski pomiot”. Miał na pęczki bękartów i krążyła o nim niechlubna opinia, iż w swych legendarnych przyływach złego humoru uśmiercił niejednego dzierzawcę, jednakże o tych zmarłych, podobnie jak o wielu innych grzechach, nigdy się nie mówiło. Jego żona mogła mieć jakieś czterdzieści lat, ale wyglądała jak trzęsąca się i przygięta do ziemi staruszka; nosiła wieczną żalobę po dzieciach utraconych w niemowlęctwie i dusiła się w żelaznym uścisku gorsetu, religii i męża, jakiego zesłał jej los. Synowie prowadzili próżniaczy żywot, spędzając czas na mszach, spacerach, sjestach, grach, hulankach i swawolach, podczas gdy córki, niczym tajemnicze nimfy, pośród szelestu halek snuły się po pokojach i ogrodach pod bacznym okiem opiekunek. Od małości przygotowywano je do życia w cnocie, wierze i wyrzeczeniu; ich przeznaczeniem było małżeństwo z rozsądku i macierzyństwo.

Poszli na wieś obejrzeć corridę, która ani na jotę nie przypominała owego wspaniałego przedstawienia o męstwie i śmierci, jakie Todd widział w Hiszpanii; żadnych błyszczących strojów, żadnych zaczepek, namiętności ani pasji i godności, tylko szamotanina zuchwałych pijaków, dręczących zwierzę lancami i wyzwickami, kotłujących się w kurzu pośród przekleństw i wybuchów śmiechu, ilekroć byk wymierzał im cios rogami. Najniebezpieczniejszą rzeczą z całej corridy było ściągnąć z placu rozszalałe, ale ciągle jeszcze żywe zwierzę. Todd dziękował Bogu, że zaoszczędzono bykowi tej ostatniej niegodziwości, jaką byłaby publiczna egzekucja, gdyż jego pocziwe serce Anglika wołało widzieć na marach raczej toreadora niż zwierzę. Wieczorami mężczyźni grywali w tresillo i rocambor, obsługiwani niczym książęta przez całe zastępy ciemnoskórych i pokornych służących, których spojrzenia nigdy nie wznosiły się ponad podłogę, a głosy ponad szept. Nie będąc niewolnikami, bardzo ich przypominali. Pracowali w zamian za opiekę, dach nad głową i część plonów; teoretycznie byli wolni, ale trzymali się patrona, choćby nie wiadomo jakim okazał się despotą i choćby nie wiadomo jak ciężkie okazały się warunki życia, ponieważ nie mieli dokąd pójść. Niewolnictwo zniesiono przed ponad dziesięcioma laty i zrobiono to

bez większego hałasu. Handel Murzynami nigdy nie był w tych stronach opłacalny, gdyż nie było tu wielkich plantacji, jednak nikt nie przejmował się losem Indian, pozbawionych swej ziemi i doprowadzonych do nędzy, ani wiejskich dzierżawców, których można było sprzedać albo odziedziczyć wraz z majątkiem ziemskim, niczym zwierzęta. Również nie mówiło się o całych transportach niewolników chińskich i polinezyjskich, przeznaczonych do zbierania guana na wyspach Chinchas. O ile tylko nie schodzili ze statku, nie było problemu: prawo zabraniało niewolnictwa na stałym lądzie, ale nic nie mówiło o morzu. Podczas gdy mężczyźni grali w karty, Miss Rosę nudziła się dyskretnie w towarzystwie pani del Valle i jej licznych córek. Natomiast Eliza galopowała po polu z Pauliną, jedyną córką Agustina del Valle, która nie pasowała do apatycznego modelu kobiet z tej rodziny. Była o wiele lat starsza od Elizy, ale owego dnia bawiła się z nią, jakby były w tym samym wieku, i obie z rozwianym włosiem i twarzami wystawionymi do słońca pędziły przed siebie, okładając ba-tem niosące je konie.

PANIENKI

Eliza Sommers była szczupłą i niewysoką dziewczynką o delikatnych rysach twarzy przypominających rysunek piórkiem. W roku 1845, kiedy skończyła trzynaście lat i zaczęły zaznaczać się jej piersi i talia, wydawała się jeszcze smarkułą, chociaż jej ruchy zdradzały już ów wdzięk, który miał się stać najlepszym atrybutem jej urody. Miss Rosę dzięki swojej nieubłaganej czujności sprawiła, że Eliza miała kręgosłup strzelisty niczym lanca: podczas niekończących się lekcji fortepianu albo haftu zmuszała ją do siedzenia prosto, przymocowując jej do pleców metalowy drążek. Nie urosła zbyt i zachowała ten sam zwodniczy dziecięcy wygląd, który nie raz uratował jej życie. W gruncie rzeczy była taka dziecinna, że jeszcze w okresie dorastania sypiała w swoim dziecinnym łóżeczku otoczona lalkami, ssąc palec. Naśladowała zniechęconą postawę Jeremy'ego Sommersa, gdyż uważała ją za oznakę wewnętrznej siły. Z biegiem lat zmęczyło ją to udawanie znudzonej, ale trening ów przydał się jej do poskromienia swego charakteru. Brała udział w zajęciach służby: jednego dnia piekła chleb, drugiego meła kukurydzę, innego wystawiała materace na słońce, a kiedy indziej wygotowywała bieliznę. Całe godziny spędzała skulona za zasłoną w salonie, pochłaniając jakieś klasyczne dzieło z biblioteki Jeremy'ego Sommersa, romantyczne powieści Miss Rosę, nieaktualne czasopisma i wszelką lekturę, jaka jej wpadła w ręce, bez względu na to, jak trudna by się okazała. Udało jej się sprawić, że Jacob Todd podarował jej jedną ze swych Biblii, i z ogromną cierpliwością starała się ją rozszyfrować, co nie było łatwe, gdyż nauki w szkole pobierała po angielsku. Zgłębiała Stary Testament, pełna niezdrowej fascynacji wadami i namiętnościami królów uwodzających cudze żony, proroków miotających straszliwe gromy i ojców płodzących potomstwo z własnymi córkami. W schowku na rupiecie znalazła mapy, książki podróżnicze i dokumenty nawigacyjne wuja Johna, dzięki którym udało się jej sprecyzować własną wizję świata. Nauczyciele wynajęci przez Miss Rosę nauczyli ją francuskiego, kaligrafii, historii, geografii i co nieco łaciny; było to znacznie więcej, niż wykładano w najlepszych pensjach dla dziewcząt w stolicy, skąd właściwie można było wynieść jedynie znajomość modlitw i dobrych manier. Zarówno owe nieuporządkowane lektury, jak i opowiadania kapitana Sommersa poderwały do lotu jej wyobraźnię. Ów żeglujący wuj pojawiał się w domu obładowany prezentami, rozbudzał jej fantazję niesłychanymi opowieściami o czarnych imperatorach zasiadających na tronach z czystego złota, o malajskich piratach gromadzących ludzkie oczy w pudełkach z macicy perłowej i o księżniczkach palonych na żałobnych stosach swych małżonków - staruszków.

Za każdą jego wizytą wszystko odkładano na później, od zadań szkolnych do lekcji fortepianu. Rok upływał na oczekiwaniu na jego przyjazd, wpinaniu szpilek w mapę i wyobrażaniu sobie szerokości geograficznych na otwartym morzu, które prze-mierzał jego żaglowiec. Eliza miała mały kontakt z dziećmi w jej wieku, żyła w zamkniętym świecie domu swych dob-roczyńców, w niezmiennej iluzji, że nie jest tu, tylko w Anglii. Jeremy Sommers zamawiał wszystko z katalogów, poczynając od mydła, a na butach kończąc, i nosił się lekko w zimie i ciepło latem, gdyż kierował się kalendarzem półkuli północ-nej. Dziewczynka słuchała i obserwowała z uwagą, miała wesołe i niezależne usposobienie, nigdy nie prosiła o pomoc i posiadała rzadki talent do stawania się niewidzialną, kiedy tylko przysła jej na to ochota, przepadając pośród mebli, zasłon i kwiatów na tapecie. W dniu, w którym obudziła się w nocnej koszuli zaplamionej jakąś czerwönawą substancją, poszła do Miss Rose, żeby jej zakomunikować, że się od dołu wykrwawia.

- Nikomu o tym nie mów, to bardzo osobista sprawa. Jesteś już kobietą i będziesz musiała zacząć się odpowiednio zachowywać, żarty się skończyły. Pora, abyś zaczęła chodzić na pensję dla dziewcząt madame Colbert - brzmiało całe wyjaśnienie, jakie jej przybrana matka wypowiedziała jednym tchem i nie patrząc jej w oczy, wyciągając jednocześnie z szafy tuzin małych podpasek, własnoręcznie przez nią obrębionych.

- No to się doigrałaś, dziecino, ciało ci się zmieni, myśli ci się zmacą i pierwszy lepszy chłop będzie mógł z tobą zrobić, co mu się żywnie spodoba - uprzedziła ją z kolei Mama Frezja, przed którą Eliza nie zdołała ukryć tej nowiny.

Indianka wiedziała, że są takie rośliny, które raz na zawsze mogą zatrzymać miesięczne krwawienia, ale obawiając się państwa, nie podała ich jej. Eliza wzięła to ostrzeżenie na serio i postanowiła się pilnować, aby nie dopuścić, by się spełniło. Jedwabną szarfą obwiązała sobie ciasno tułów, gdyż była przekonana, że skoro - zgodnie z tym, co opowiadał jej wuj John - przez wieki skutecznie powodowało to zmniej-szenie stóp u Chinek, nie było powodu, aby miało zawieść, gdy chodziło o spłaszczenie piersi. Postanowiła również pisać; latami widywała Miss Rose zapisującą swoje zeszyty i domyś-liła się, że robiła to, starając się nie dopuścić, aby się spełniło ciężące nad nią przekleństwo zmacenia myśli. Co do ostatniej części przestrogi - że pierwszy lepszy chłop będzie mógł zrobić z nią, co mu się żywnie spodoba - nie potraktowała jej z tą samą uwagą, gdyż po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, aby w jej życiu mieli się w przyszłości pojawić jacyś mężczyź-ni. Wszyscy byli przynajmniej dwudziestoletnimi starcami; świat był pozbawiony istot płci męskiej należących do tego samego pokolenia co ona. Jedyni, których chętnie widziałyby w roli męża - to jest kapitan Sommers i Jacob Todd - byli poza jej zasięgiem, jako że pierwszy był jej wujem, a

drugi był zakochany w Miss Rosę, o czym wiedziało całe Valparaiso.

Po latach, wspominając swoje dzieciństwo i młodość, Eliza myślała, że Miss Rosę i pan Todd byliby dobraną parą; ona złagodziłaby szorstkość Todda, a on wybawiłby ją od nudy, jednakże sprawy ułożyły się inaczej. W wiele lat potem, kiedy oboje już posiwieli, a samotność stała się ich długoletnim nawykiem, mieli się spotkać w Kalifornii w dość niezwykłych okolicznościach; wówczas on z tą samą intensywnością miał się ponownie zacząć do niej zalecać, a ona z taką samą determinacją miała go odrzucać. Ale wszystko to zdarzyło się znacznie później.

Jacob Todd nie tracił żadnej okazji, aby się zbliżyć do Sommersów. Nikt tak jak on nie przybywał na ich wieczorki równie gorliwie i punktualnie, nikt z taką uwagą nie wsłuchiwał się w donośne pienia Miss Rosę ani z taką determinacją nie znosił jej humorów, nawet tych najokrutniejszych, z jakimi zwykła go traktować. Była osobą pełną sprzeczności, ale czyż on nie był taki sam? Czyż nie był ateistą, który sprzedawał Biblie i oszukiwał połowę świata bajeczką o rzekomej misji ewangelizacyjnej? Ciągle łamał sobie głowę, dlaczego mimo swej atrakcyjności nie wyszła za męża; samotna kobieta w jej wieku nie miała przyszłości ani miejsca w towarzystwie. W angielskiej kolonii szeptano coś o jakimś skandalu, który przed laty wybuchł w Anglii; to tłumaczyłoby jej obecność w Chile w charakterze pani domu brata, ale Todd nigdy nie chciał dochodzić szczegółów, przedkładając tajemnicę nad pewność co do czegoś, czego może nie mógłby zaakceptować. Przeszłość nie ma większego znaczenia, powtarzał sobie. Wystarczyła drobna niedyskrecja albo błąd w rachunkach, aby honor kobiety został splamiony, a ona sama nigdy już nie mogła dobrze wyjść za męża. Oddałby lata swego przyszłego życia, gdyby tylko mógł liczyć na wzajemność, jednakże ona nie sprawiała wrażenia, aby miała ulec jego zalotom, chociaż nie próbowała go również zniechęcić; bawiła ją ta zabawa w kotka i myszkę, kiedy tak popuszczała mu cugli, aby potem gwałtownie je przykrócić.

- Pan Todd to typek spod ciemnej gwiazdy; ma dziwne poglądy, końskie zęby i spocone dłonie. Nigdy bym za niego nie wyszła, choćby był ostatnim kawalerem na świecie - wyznała ze śmiechem któregoś dnia Elizie.

Dziewczynce nie spodobała się ta uwaga. Miała dług wobec Jacoba Todda nie tylko ze względu na to, że ją wyprowadził z procesji ku czci Majowego Chrystusa, ale także dlatego, że przemilczał to zajście, jakby nigdy się nie wydarzyło. Lubiła tego dziwnego sojusznika: pachniał wielkim psem jak jej wujek John. Sympatia, jaką u niej budził, przerodziła się w pełną lojalności czułość, kiedy ukryta za ciężką kotarą z zielonego aksamitu wiszącą w salonie, podsłuchiwała, jak rozmawiał z Jeremym Sommersem.

- Muszę coś postanowić w sprawie Elizy. Nie ma naj-mniejszego pojęcia, jaka jest jej pozycja towarzyska. Ludzie zaczynają zadawać pytania, a Eliza z pewnością wyobraża sobie swoją przyszłość inaczej od tej, która jej przysługuje. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż demon fantazji przyczajony w duszy kobiety.

- Niech pan nie przesadza, przyjacielu. Eliza to jeszcze dziecko, ale jest inteligentna i z pewnością znajdzie swoje miejsce.

- Inteligencja to dla kobiety kula u nogi. Rosę chce ją wysłać na pensję do madame Colbert, ale ja nie jestem zwolennikiem zbytniego kształcenia dziewcząt, gdyż nie moż-na sobie potem z nimi poradzić. Niech każdy zna swoje miejsce, to moja dewiza.

- Świat się zmienia, Jeremy. W Stanach Zjednoczonych ludzie wolni są równi wobec prawa. Klasy społeczne zostały zniesione.

- Mówimy o kobietach, nie o mężczyznach. Ponadto Stany Zjednoczone to kraj kupców i pionierów, bez tradycji i bez poczucia historii. Nigdzie nie ma równości, nawet wśród zwierząt, a cóż dopiero w Chile.

- Jesteśmy cudzoziemcami, Jeremy, ledwo możemy się dogadać po hiszpańsku. Co nas obchodzą chilijskie klasy społeczne? Nigdy w tym kraju nie będziemy u siebie...

- Powinniśmy dawać dobry przykład. Jeśli my, Brytyj-czycy, nie potrafimy utrzymać porządku we własnym domu, czego można spodziewać się po innych?

- Eliza wychowała się w tej rodzinie. Nie wierzę, aby Miss Rosę zdecydowała się ją usunąć tylko dlatego, że dorasta.

Tak też się stało. Rosę wypowiedziała bratu wojnę, przywo-lując cały arsenał swoich różnorodnych chorób. Na pierwszy ogień poszły kolki, po których nastąpiła niepokojąca czkawka, od której z dnia na dzień straciła wzrok. Przez wiele dni w domu panowała cisza: opuszczono zasłony, chodziło się na palcach i rozmawiano, nie podnosząc głosu. Zaprzestano gotowania, ponieważ zapach jedzenia nasilał objawy, Jeremy Sommers stołował się w Klubie i wracał do domu stropiony i onieśmielony, zachowując się jak ktoś, kto odwiedza chorego w szpitalu. Dziwna ślepotą i rozliczne dolegliwości Rosę, jak również podstępne milczenie służby szybko złamały jego upór. Kropkę nad „i” postawiła Mama Frezja, która jakimś sposobem znała treść prywatnych sporów między rodzeń-stwem, prowadzonych na osobności, i stała się cudowną sojusz-niczką swojej pani. Jeremy Sommers uważał się za człowieka wykształconego i pragmatycznego, odpornego na groźby ze strony jakiejś zabobonnej czarownicy w rodzaju Mamy Frezji, ale kiedy Indianka zapaliła czarne świece i pod pretekstem przepędzania komarów okadziła wszystkie pomieszczenia dy-mem z szałwi, zamknął się w bibliotece tyleż wystraszony, co wściekły. Nocami słyszał, jak u jego drzwi

powłóczy bosymi stopami i zawodzi półgłosem uroki i przekleństwa. Kiedy w środę w swojej butelce brandy znalazł zdechłą jaszczurkę, postanowił wkroczyć do akcji. Pierwszy raz zapukał do drzwi pokoju siostry i został przyjęty w owym sanktuarium niewieś-cich sekretów, którego istnienie wolał ignorować, tak jak celowo nie dostrzegał pokoiku do szycia, kuchni, pralni, mrocznych pomieszczeń na strychu, w których sypiały służą-ce, i domku Mamy Frezji w głębi patio; jego światem były salony, biblioteka z półkami z polerowanego mahoni i kolekcją grafik przedstawiających sceny myśliwskie, sala bilardowa ze wspaniałym rżniętym stołem, sypialnia umeblowana ze spartańską prostotą i mały pokoiik wyłożony włoskimi kafelkami, służący jako jego własna toaleta, w którym pewnego dnia zamierzał zainstalować nowoczesny sedes, taki jaki widział w katalogu z Nowego Jorku, ponieważ czytał, że używanie nocników i zbieranie ludzkich ekskrementów do wiader, a następnie wykorzystywanie ich w charakterze nawo-zów jest źródłem epidemii. Musiał zaczekać, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku, a tymczasem, speszony, wdychał mieszaninę zapachu lekarstw i uporczywego aromatu wanilii. Rosę ledwo było widać; wymizerowana i cierpiąca leżała w łóżku na wznak, bez poduszki, z rękami skrzyżowa-nymi na piersiach, jakby trenowała własną śmierć. Obok niej Eliza wyżywała chusteczkę nasączoną naparem herbaty, żeby położyć jej na powiekach.

- Zostaw nas samych, dziecko - odezwał się Jeremy Sommers, siadając na krześle obok łóżka.

Eliza usunęła się dyskretnie, ale że doskonale знаła słabe punkty domu, przycisnąwszy ucho do cienkiej ścianki działo-wej, słyszała całą rozmowę, którą potem powtórzyła Mamie Frezji i zanotowała w swoim dzienniku.

- W porządku, Rosę. Nie możemy dalej prowadzić wojny. Pogódźmy się. Czego chcesz? - zapytał Jeremy, z góry stając na straconych pozycjach.

- Niczego, Jeremy... - wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

- Nigdy nie przyjmą Elizy na pensję madame Colbert. Tam chodzą tylko dziewczęta wysoko urodzone i z dobrych domów. A wszystkim wiadomo, że Eliza jest adoptowana.

- Już moja w tym głowa, żeby ją przyjęli! - wykrzyknęła Miss Rosę z werwą, jakiej trudno by oczekiwać od umierającej.

- Wysłuchaj mnie, Rosę. Eliza nie potrzebuje dalej się kształcić. Powinna nauczyć się jakiegoś zawodu, żeby móc zarobić na swoje utrzymanie. Co się z nią stanie, kiedy nie będzie ciebie ani mnie, żeby ją chronić?

- Jak będzie wykształcona, wyjdzie dobrze za mąż - stwierdziła Rosę, strącając kompres z zielonej herbaty na podłogę i siadając na łóżku.

- Eliza nie jest szczególnie urodziwa, Rosę.

- Nie przyjrzałeś się jej, Jeremy. Z dnia na dzień robi się coraz ładniejsza, a kiedyś będzie piękna, możesz być pewien. Będzie miała na pęczki konkurentów!

- Sierota i bez posagu?

- Będzie miała posag - odrzekła Miss Rosę, wstając z łóżka; potargana i bosa, potykając się, stawiała drobne kroczki.

- Jak to? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy...

- Nie było po temu odpowiedniego momentu, Jeremy. Panna na wydaniu musi mieć klejnoty, wyprawę, a w niej tyle sukien, żeby wystarczyło na wiele lat, i wszystko, co niezbędne do domu, a poza tym odpowiednią sumę pieniędzy, jaka posłuży młodej parze na otwarcie jakiegoś interesu.

- A czy mogę wiedzieć, co wnosi pan młody?

- Dom, a poza tym będzie musiał utrzymywać żonę przez resztę swoich dni. Tak czy tak minie jeszcze wiele lat, zanim Eliza będzie gotowa do zamążpójścia, a wtedy będzie już miała posag. John i ja postaramy się o to, by jej go dać, nawet o jednego reala ciebie nie poprosimy, ale nie warto teraz tracić czasu na rozmowę. Powinieneś traktować Elizę, jakby była twoją córką.

- Nie jest nią, Rosę.

- A więc traktuj ją, jakby była moją. Przynajmniej na to możesz się zgodzić?

- Mogę - ustąpił Jeremy Sommers.

Okazało się, że napar z herbaty może czynić cuda. Chora całkowicie wyzdrowiała, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin odzyskała wzrok i promieniała szczęściem. Otoczyła brata czarującą troską i staraniem; nigdy nie była dla niego tak pełna słodyczy i uśmiechu. Dom powrócił do normalnego rytmu, a z kuchni w kierunku jadalni ruszyły smakowite kreolskie dania Mamy Frezji, pachnące bochenki chleba zagniatane przez Elizę i delikatne ciasta, które tak znacząco przyczyniły się do sławy znakomitych gospodarzy, jaką Sommersowie cieszyli się wśród swoich gości. Od tej chwili Miss Rosę drastycznie zmodyfikowała swoje dotychczasowe niewłaściwe postępowanie wobec Elizy i z prawdziwie matczynym oddaniem, jakiego nigdy przedtem nie przejawiała, zaczęła przygotowywać ją do pójścia na pensję, przypuszczając jednocześnie szturm nie do odparcia na madame Colbert. Zdecydowała, że Eliza będzie miała wykształcenie, posag i opinię urodziwej, choćby nawet nią nie była, gdyż jej zdaniem uroda była kwestią stylu. Każda kobieta, która będzie zachowywać się z królewską pewnością własnej urody, w końcu przekona wszystkich, że ją posiada, utrzymywała. Pierwszym krokiem na drodze do usamodzielnienia Elizy miało być

dobrze małżeństwo, ponieważ dziewczynka nie miała starszego brata, który mógłby ją osłaniać, jak to było w jej przypadku. Ona sama nie widziała w zamążpójściu żadnej korzyści; żona stanowiła własność męża, mając mniej praw niż służący albo dziecko; jednak z drugiej strony kobieta samotna i bez majątku mogła paść ofiarą najgorszego bez-prawia. Mężatka, o ile tylko była sprytna, mogła przynajmniej manipulować mężem, a nawet przy odrobinie szczęścia wcześ-nie zostać wdową...

- Chętnie oddałabym połowę życia, byle tylko mieć tyle swobody, co mężczyzna, Elizo. Ale jesteśmy kobietami i nic nie poradzimy. Jedyne, co możemy zrobić, to starać się wycisnąć jak najwięcej z tej odrobiny, jaką mamy.

Nie powiedziała jej, że ten jedyny raz, kiedy ona sama spróbowała żyć własnym życiem, w zderzeniu z rzeczywistością nabiła sobie niezłego guza; nie chciała w umyśle dziewczynki zaszczepiać wywrotowych poglądów. Była zdecydowana zapewnić jej lepszy los niż jej własny, wprowadzić w arkana sztuki udawania, manipulacji i podstępu, gdyż były bardziej przydatne od naiwności, była tego pewna. Zamykała się z nią na trzy godziny rano i kolejne trzy po południu i studiowała teksty szkolnych czytanek sprowadzanych z Anglii; zintensyfikowała naukę francuskiego z pewnym profesorem, ponieważ żadna dobrze wychowana panienska nie mogła nie znać tego języka. Przez resztę czasu osobiście doglądała każdego ściegu, jaki wychodził spod palców Elizy, przygotowującej swoje wiano: pościel, ręczniki, obrusy i bieliznę, a wszystko to pieczołowicie haftowane; rzeczy te następnie chowały do kufrów, owinięte w płótna i skropione lawendą. Co trzy miesiące wyjmowały je i wystawiały na słońce, unikając w ten sposób zniszczenia pod wpływem wilgoci i moli, jakiemu mogłyby ulec, zanim Eliza doczekałaby się małżeństwa. Kupiła szkatułkę na ślubne klejnoty i swemu bratu Johnowi poleciła, by ją napełnił prezentami z podróży. Zgromadzono indyjskie szafiry, brazylijskie szmaragdy i amerykańskie, naszyjniki i bransoletki z weneckiego złota, nie brakowało nawet maleńkiej diamentowej broszki. Jeremy Sommers nigdy nie dowiedział się szczegółów i trwał w nieświadomości co do sposobu, w jaki jego rodzeństwo opłacało takie ekstrawagancje.

Lekcje fortepianu - teraz z przybyłym z Belgii profesorem, który używał linijki do bicia swoich niezgrabnych uczniów po palcach - stały się codzienną torturą Elizy. Uczęszczała również do akademii tańca salonowego, a za namową nauczyciela tańca Miss Rose całym godzinami kazała jej chodzić z książką na głowie, żeby trzymała się prosto. Wypełniała swoje zadania, ćwiczyła wprawki na fortepianie i chodziła prosta jak świeca nawet bez książki na głowie, ale nocami wymykała się bosą na patio służących i nieraz świt zastawał ją śpiącą na sienniku, przytuloną do Mamy Frezji.

W dwa lata po powodzi los się odmienił i kraj rozkoszował się dobrym klimatem, spokojem politycznym i dobrobytem gospodarczym. Chilijczycy siedzieli jak na rozżarzonych węglach; byli przyzwyczajeni do kataklizmów matki natury i tak wielka pomyślność mogła być zapowiedzią jakiegoś większego nieszczęścia. Ponadto na północy odkryto bogate złoża złota i srebra. W czasie konkwisty, kiedy Hiszpanie w poszukiwaniu owych metali przemierzali Amerykę, łupiąc każdego, kogo napotkali na swej drodze, Chile uważane było za zadupie świata, ponieważ w porównaniu z bogactwem reszty kontynentu miało niewiele do zaoferowania. Podczas katorżniczego marszu przez jego niebotyczne góry i księżycowe pustynie północy z serc owych konkwistadorów ulatywała żądza posiadania i jeśli nawet trochę jej zostawało, dzicy Indianie prędko przekształcali ją w skruchę. Wyczerpani i zubożali kapitanowie przeklinali ową ziemię, na której nie pozostawało im nic innego, jak tylko zatknąć swe chorągwie i zginąć, gdyż powrócić w niesławie było jeszcze gorzej. W trzysta lat później owe kopalnie, ukryte przed oczyma ambitnych hiszpańskich żołnierzy i ujawnione nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stały się dla ich potomków nieoczekiwaną nagrodą. Pojawiły się nowe fortuny, do których dołączyły majątki zbite na przemyśle i handlu. Dawna arystokracja ziemiska, która zawsze grała pierwsze skrzypce, poczuła się zagrożona w swych przywilejach, w związku z czym pogarda dla świeżo wzbogaconych stała się oznaką dystynkcji.

Jeden z takich nowobogackich zakochał się w Paulinie, najstarszej córce Agustina del Valle. Chodziło o Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, który w ciągu kilku lat dorobił się majątku dzięki kopalni złota, którą eksploatował do spółki z bratem. Mało wiedziano o jego pochodzeniu; przypuszczano, iż jego przodkami musieli być nawróceni Żydzi, którzy przyjęli owo dzwiczne chrześcijańskie nazwisko dla odwrócenia uwagi Inkwizycji, co dla wyniosłej rodziny del Valle było wystarczającym powodem, by go odrzucić. Jacob Todd wyróżniał Paulinę spośród pięciu córek Agustina, ponieważ jej odważne i wesołe usposobienie przypominało mu Miss Rosę. Dziewczyna miała zwyczaj śmiać się szczerze, co kontrastowało z powściągliwymi uśmiechami zza wachlarzy i mantylek rozsyłanymi przez jej siostry. Na wieść o tym, iż ojciec - stojąc na przeszkodzie jej miłości - zamierza zamknąć ją w klasztorze, Jacob Todd, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, postanowił jej pomóc. Zanim ją wywieziono, udało mu się zmylić czujność jej damy do towarzystwa i zamienić z nią kilka zdań na osobności. Mając świadomość, że nie ma zbyt wiele czasu na wyjaśnienia, Paulina wyciągnęła zza dekoltu list po tylekroć poskładany, że był twardy jak kamień i poprosiła, aby dostarczył go jej ukochanemu. Następnego dnia uprowadzona przez własnego ojca dziewczyna wyruszyła w kilkudniową podróż nieprzejezdnymi drogami do Concepción,

miasta na południu, w pobliżu rezerwatów Indian, w którym zakonnice za pomocą modlitw i postów miały dokonać dzieła przywrócenia jej zdrowych zmysłów. Aby nie zaświtała jej w głowie - nawet przelotnie - myśl o buncie albo ucieczce, ojciec kazał jej ogolić głowę. Matka zebrała warkocze, zawinęła je w haftowaną batystową serwetkę i zaniósła w darze do sióstr z kościoła Błogosławionego Żywota z przeznaczeniem na peruki dla świętych. Tymczasem Todd nie dość że zdołał dostarczyć wiadomość, to jeszcze od braci dziewczyny dowiedział się, gdzie dokładnie leży klasztor, i przekazał tę informację strapionemu Felicianowi Rodriguezowi de Santa Cruz. Ten, uradowany, wyjął z kieszeni swój zegarek ze złotą dewizką i koniecznie chciał podarować go swemu błogosławionemu emisariuszowi miłości, ale obrażony Todd odrzucił dar.

- Nie mam czym zapłacić panu za to, co pan zrobił - wyszeptał zmieszany Feliciano.

- Nie musi pan tego robić.

Przez dłuższy czas Jacob Todd nic nie słyszał o nieszczęśliwej parze, ale w dwa miesiące później smakowita wiadomość o ucieczce panienki stała się ulubionym tematem rozmów na wszystkich spotkaniach towarzyskich, a dumny Agustin del Valle nie mógł na to poradzić, iż dodawano do niej coraz to nowe malownicze szczegóły, narażając go na śmieszność. Wersja, jaką w kilka miesięcy później Paulina opowiedziała Jacobowi Toddowi, głosiła, iż któregoś czerwcowego wieczoru - jednego z tych zimowych wieczorów, gdy siąpi drobniutki deszczyk i szybko zapada zmrok - udało jej się uśpić czujność pilnujących i uciec z klasztoru w habicie nowicjuszki, zabierając ze sobą srebrne lichtarze z głównego ołtarza. Dzięki informacji od Jacoba Todda, Feliciano Rodriguez de Santa Cruz przeniósł się na południe i od samego początku utrzymywał z nią tajemny kontakt, licząc na okazję, by się ponownie spotkać. Tamtego wieczoru czekał na nią niedaleko klasztoru, a kiedy ją zobaczył, musiało minąć kilka sekund, zanim ją rozpoznał w owej na wpół łysej nowicjuszce, która padła mu w ramiona, nie wypuszczając lichtarzy.

- Nie patrz tak na mnie, człowieku, włosy odrastają - powiedziała, całując go w otwarte usta.

Zamkniętym powozem Feliciano przywiózł ją z powrotem do Valparaiso i tymczasowo umieścił w domu swojej owidowiałej matki - najbardziej szacownej kryjówce, jaką mógł sobie wyobrazić - zamierzając bronić jej czci, jak tylko się da, chociaż nie było sposobu, aby skandal ich nie splamił. W pierwszym odruchu Agustin pragnął wyzwąć uwodziciela córki na pojedynek, jednakże kiedy chciał to zrobić, dowiedział się, że ten wyjechał w interesach do Santiago. Wówczas, mając do pomocy uzbrojonych synów i siostrzeńców zdecydowanych pomścić honor rodziny, postanowił odnaleźć Paulinę, gdy

tymczasem matka i siostry odmawiały chórem różaniec w intencji upadłej córki, która zeszła na złą drogę. Wuj biskup, który poradził, aby wysłano Paulinę do zakonnicy, próbował uspokoić nieco rozgorączkowane umysły, jednakże owi protoplasci machos nie mieli głowy do kazań pobożnego chrześcijanina. Podróż Feliciano była częścią strategii za-planowanej wspólnie z bratem i Jacobem Toddem. Bez hałasu wyjechał do stolicy, podczas gdy dwaj pozostali wprowadzali plan akcji w czyn, publikując w pewnym liberalnym piśmie informację o zaginięciu pani Pauliny del Valle, którą to wiadomość rodzina bardzo pilnie starała się zachować w tajemnicy. To uratowało życie zakochanym.

W końcu Agustin del Valle przyznał, że to już nie te czasy, aby sprzeciwiać się prawu, i że plamę na honorze lepiej zmyje huczny ślub niż podwójne zabójstwo. Ustalono, aczkolwiek pod przymusem, warunki pokoju i w tydzień później, kiedy wszystko już było gotowe, Feliciano powrócił. Para uciekinierów przybyła do rezydencji rodziny del Valle w towarzystwie brata narzeczonego, adwokata i biskupa. Jacob Todd był dyskretnie nieobecny. Paulina miała na sobie bardzo skromną suknię, jednak kiedy zdjęła chustę, wszyscy zobaczyli, iż na jej głowie wyzywająco lśni królewski diadem. Zbliżyła się, idąc pod rękę z przyszłą teściową, która była gotowa zaświadczyć o jej cnocie, ale nie dano jej po temu okazji. Ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej rodzina by sobie życzyła, była kolejna wzmianka w prasie, Agustinowi del Valle nie pozostało nic innego, jak przyjąć zbuntowaną córkę i jej niechcianego konkurenta. Uczynił to w otoczeniu swych synów i siostrzeńców w jadalni, przekształconej na tę okazję w salę sądową, podczas gdy kobiety należące do rodziny, zamknięte w drugiej połowie domu, dowiadywały się szczegółów od służących, które podsłuchiwały pod drzwiami i pędem donosiły każde słowo. Opowiadały, że dziewczyna przybyła z brylantami lśnącymi pośród włosów odrastających jej dopiero na głowie ogolonej, jakby miała liszaj, że stanęła przed ojcem, nie okazując ani trochę skromności czy strachu, i że uprzedziła, iż jeszcze ma owe lichtarze, które w rzeczywistości zabrała jedynie po to, żeby zrobić zakonnicom na złość. Agustin del Valle uniósł w górę koński bat, ale narzeczoney zasłonił ją własnym ciałem, żeby samemu otrzymać uderzenie, a wtedy biskup, bardzo zmęczony godnym dźwiganiem ciężaru swej władzy, wkroczył do akcji, przytaczając nieodparty argument, iż o żadnym głośnym ślubie, który miałby położyć kres plotkom, nie będzie mowy, jeśli narzeczeni mieliby się na nim pojawić ze śladami pobicia na twarzach.

- Każ nam podać filiżankę czekolady, Agustinie, i usiądźmy porozmawiać jak porządni ludzie - zaproponował dygnitarz Kościoła.

Tak też uczyniono. Córce i wdowie Rodriguez de Santa Cruz kazano poczekać na zewnątrz, gdyż była to męska sprawa, i po wypiciu wielu dzbanków pienistej czekolady

osiągnięto porozumienie. Zredagowano dokument, na mocy którego sprawy finansowe zostały wyjaśnione, a honor obu stron uratowany, podpisano w obecności notariusza i przystąpiono do planowania szczegółów dotyczących ślubu. W miesiąc później Jacob Todd wziął udział w niezapomnianym balu, podczas którego przekroczone zostały wszelkie granice szczodrej gościnności rodziny del Valle: były tańce, śpiewy i uczta aż do następnego dnia, a rozjeżdżający się goście komentowali urodę panny młodej, szczęście pana młodego i pomyślność teściów, którzy wydali córkę za posiadacza solidnej, chociaż świeżo zdobytej, fortuny. Małżonkowie natychmiast wyjechali na północ kraju.

ZEPSUTA OPINIA

Jacob Todd żałował, iż Feliciano i Paulina wyjechali, gdyż bardzo się zaprzyjaźnił z tym milionerem i właścicielem kopalń oraz jego błyskotliwą małżonką. Pośród młodych przedsiębiorców czuł się tak dobrze, jak źle zaczynał się czuć pośród członków Klubu Związkowego. Podobnie jak on, młodzi przemysłowcy, przepojeni ideami europejskimi, byli nowocześni i liberalni, w przeciwieństwie do dawnej oligarchii ziemiańskiej, zacofanej o dobre pół wieku. Pod łóżkiem zostało mu jeszcze sto siedemdziesiąt egzemplarzy Biblii, o których już nie pamiętał, gdyż zakład dawno był przegrany. Udało mu się opanować hiszpański na tyle dobrze, żeby dawać sobie radę bez niczyjej pomocy i - mimo iż bez wzajemności - nadal był zakochany w Rosę Sommers, i oba te powody były wystarczająco dobre, aby pozostać w Chile. Nieustanne objawy lekceważenia ze strony dziewczyny stały się słodkim obyczajem i przestały go już upokarzać. Nauczył się je odbierać z ironią i oddawać bez złości, jakby to była gra w piłkę, której zasady były znane tylko im obojgu. Nawiązał stosunki z kilkoma intelektualistami i całe noce spędzał dyskutując o filozofach francuskich i niemieckich oraz o od-kryciach naukowych, które przed ludzkim poznaniem ot-wierały nowe horyzonty. Miał do dyspozycji długie godziny na myślenie, lekturę i dyskusje. Powoli klarowały mu się idee, które notował w grubym, sfatygowanym zeszycie, znaczna zaś część jego dochodów rozchodziła mu się na książki zamawia-*ne* w Londynie oraz kupowane w księgarni „Santos Tornero” w dzielnicy El Almendral, gdzie mieszkali Francuzi; tam również położony był najlepszy burdel w Valparaiso. Księgar-*nia* była punktem spotkań intelektualistów i adeptów pisar-*stwa*. Todd zazwyczaj spędzał całe dni na czytaniu; potem przekazywał książki swoim kolegom, którzy z mozołem tłu-*maczyli* je i publikowali w postaci skromnych biuletynów krążących z rąk do rąk.

Najmłodszy w grupie intelektualistów - bo zaledwie osiem-nastoletni - był Joaquin Andieta, który brak doświadczenia nadrabiał charyzmą urodzonego przywódcy. Jeśli się wzięło pod uwagę jego młodość i ubóstwo, jego elektryzująca osobo-*wość* jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Joaquin nie był człowiekiem słów, ale czynu, jednym z niewielu, którzy mieli dosyć szczerości i odwagi, aby poglądy wyczytane w książ-*kach* przekształcić w rewolucyjny impuls; inni woleli bez końca o nich dyskutować nad butelką na zapleczu księgarni. Od samego początku Todd wyróżniał Andietę; chłopak miał w sobie coś niepokojącego i patetycznego, co go pociągało. Zauważył jego zniszczoną teczkę i znoszone ubranie, którego materiał prześwitywał i rozlatywał się w rękach niczym łupina cebuli. żeby

ukryć dziury w podeszwach butów, Joaquin nigdy nie siadał z nogami w górze; nie zdejmował również marynarki, gdyż, jak domyślał się Todd, jego koszula musiała być po wielekroć cerowana i łatana. Nie miał porządnego płaszcza, jednak zimą był pierwszy do tego, żeby zerwać się o świcie i roznosić biuletyny albo rozklejać odezwy wzywające robotników do buntu przeciwko nadużyciom panów lub też marynarzy przeciwko kapitanom i przedsiębiorstwom żeg-lugowym, co częstokroć okazywało się bezcelowe, gdyż jego adresaci w większości byli analfabetami. Jego wołanie o sprawiedliwość było rzucaniem słów na wiatr i spotykało się z ludzką obojętnością.

Przeprowadziwszy dyskretne śledztwo, Jacob Todd do-wiedział się, że jego przyjaciel jest zatrudniony w Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej. Za mizerną pensję, nie-adekwatną do wyczerpujących godzin pracy, prowadził rejestr artykułów, które przechodziły przez biura portu. Wymagano od niego również, by miał wykrochmalony kołnierzyk i wy-pastowane buty. Jego życie upływało w pozbawionej wen-tylacji i źle oświetlonej sali, w której biurka stały jedno za drugim w niekończącym się rzędzie i gdzie na stosach gromadziły się pliki papierów i zakurzone książczydła, do których całymi latami nikt nie zaglądał. Todd zapytał o niego Jeremy'ego Sommersa, ale ten nie mógł go sobie przy-pomnieć; na pewno codziennie go widuje, odrzekł, ale nie utrzymuje ze swoimi podwładnymi osobistych stosunków i tylko do niektórych z nich umiałby zwrócić się po imieniu. Innymi kanałami dowiedział się, że Andieta mieszka z matką, ale o ojcu nic nie było wiadomo; zakładał, że mógł być marynarzem, natomiast matka - jedną z tych nieszczęsnych kobiet, które nie pasują do żadnej kategorii społecznej, gdyż albo same są nieślubnymi dziećmi, albo rodzina się ich wyrzekła. Joaquin Andieta miał andaluzyjskie rysy twarzy i męski wdzięk młodego toreadora; wszystko w nim zdradzało wewnętrzną siłę, zdolność do błyskawicznej reakcji i opa-nowanie; jego ruchy były precyzyjne, spojrzenie przenikliwe, a duma ujmująca. Utopijnym poglądom Todda przeciw-stawiał niewzruszone poczucie rzeczywistości. Todd zapo-wiadał powstanie społeczeństwa opartego na wspólnocie, bez duchownych i bez policji, rządzonego demokratycznie w oparciu o jedyne i nieodwołalne prawo moralne.

- Jest pan na księżycu, panie Todd, proszę wrócić na ziemię. Jest dużo do zrobienia, nie warto tracić czasu na fantazjowanie - przerywał mu Joaquin Andieta.

- Ale jeśli nie zaczniemy od wyobrażania sobie społeczeń-stwa doskonałego, jak zdołamy je stworzyć? - odpowiadał Todd, unosząc w górę swój zeszyt, coraz to grubszy, do którego włączył plany idealnych miast, w których każdy mieszkaniec uprawiał swoje poletko zapewniające mu wyży-wienie, a dzieci rosły zdrowe i szczęśliwe, wychowywane przez

wspólnotę, ponieważ skoro nie istniała własność prywatna, nie sposób było również ustalić, kto jest ich ojcem.

- Musimy uzdrowić tę katastrofalną sytuację, w jakiej tutaj żyjemy. Po pierwsze należy włączyć do walki robotników, biednych i Indian, dać chłopom ziemię i odebrać władzę księżom. Trzeba koniecznie zmienić konstytucję, panie Todd. Tutaj głosują tylko posiadacze, to znaczy rządzą tylko bogaci. Biedni się nie liczą.

Z początku Todd obmyślał wyszukane sposoby, ażeby przyjść przyjacielowi z pomocą, jednakże szybko musiał tego zaniechać, ponieważ tamten czuł się dotknięty jego inicjatywą. Zlecał mu jakieś prace, żeby mieć pretekst do dania mu pieniędzy, ale Andieta wykonywał sumiennie swe zadania, po czym wyrzekał się zapłaty w jakiegokolwiek formie. Kiedy częstował go cygarem, kieliszkiem brandy albo podczas nocnej burzy proponował mu swój parasol, Andieta reagował z lodowatą wyniosłością, sprawiając, że Todd czuł się speszo-ny, a czasem nawet obrażony. Młodzieniec nigdy nie wspominał o swoim życiu prywatnym albo o przeszłości; zdawało się, iż powłokę cielesną przybierał tylko na krótko, aby dzielić z nim w księgarni godziny rewolucyjnych dyskusji albo lektur dzieł porywających do czynu, po czym - gdy spotkania te dobiegały końca - rozwiewał się jak dym. Nie miał drobnych, żeby pójść z innymi do tawerny, i nie przyjmował zaproszeń, których nie mógłby odwzajemnić.

Pewnej nocy Todd nie mógł dłużej znieść niepewności i poszedł za nim przez labirynt ulic portu, gdzie mógł się ukryć w cieniu bram i na zakrętach owych absurdalnych uliczek, które - jak powiadano - celowo tak się wiły, żeby zmylić drogę diabłu. Zobaczył, jak Joaquin Andieta podwija spodnie, zdejmując buty, zawija je w gazetę i chowa ostrożnie do swej zniszczonej teczki, a wyjmując z niej chłopskie chodaki i wkłada je na nogi. O tej porze po ulicach krążyły tylko nieliczne zagubione dusze i bezpańskie koty buszujące w śmieciach. Czując się jak złodziej, Todd w ciemnościach szedł przed siebie, deptając niemal przyjacielowi po piętach; słyszał, jak niespokojnie oddycha i jak bez przerwy rozciera sobie ręce, pragnąc złagodzić ostre ukłucia lodowatego wiatru. Idąc w ślad za nim, doszedł do wielorodzinnego domu biedoty, którego bramę stanowił jeden z owych wąziutkich zaułków, typowych dla miasta. W twarz uderzył go fetor uryny i ekskrementów; straż sanitarna uzbrojona w długie haki do przetykania rynsztoków przejeżdżała przez te dzielnice bardzo rzadko. Zrozumiał ostrożność Andiety, który zdejmował swoje jedyne buty: sam nie wiedział, po czym deptając, stopy zapadały mu się w jakimś siejącym zarazę błocku. W bezksiężycową noc słabe światło wślizgiwało się przez popsute okiennice; wiele okien nie miało szyb, zasłonięte były kartonami albo deskami. Przez dziury mógł zajrzeć do środka

nędznych pokoi rozjaśnianych świecami. Przez lekką mgiełkę, która nadawała scenie nie-rzeczywisty wygląd, zobaczył, jak Joaquin Andieta zapala zapałkę, osłaniając ją od wiatru własnym ciałem, wyjmując klucz i w drżącym świetle płomienia otwiera jakieś drzwi.

„Czy to ty, synu?” - usłyszał wyraźnie jakiś kobiecy głos, dźwięczniejszy i młodszy, niż się spodziewał. Drzwi natychmiast się zamknęły. Todd dłuższą chwilę stał w ciemnościach, obserwując domostwo, odczuwając nieprzeparte pragnienie, aby zapukać do drzwi, pragnienie, które było nie tylko ciekawością, ale przytłaczającym go uczuciem, jakie żywił wobec swego przyjaciela. Do diabła, zaczynam wario-wać, wymamrotał w końcu.

Zawrócił na pięcie i ruszył w stronę Klubu Związkowego, żeby się napić i poczytać gazety, ale zanim tam dotarł, pożałował tego, gdyż nie mógł znieść kontrastu między nędzą, którą dopiero co za sobą zostawił, a tamtejszymi salonami z meblami ze skóry i lampami z kryształami. Wrócił do siebie, ogarnięty ogniem współczucia podobnym do go-rączki, jaka o mało go nie zabiła w pierwszym tygodniu po przybyciu do Chile.

Tak miały się sprawy pod koniec roku 1845, kiedy to - dla zaspokojenia potrzeb duchowych protestantów - flota handlowa Wielkiej Brytanii wyznaczyła Valparaiso kapelana. Mężczyzna ów przybył z zamiarem rzucenia wyzwania katolikom, wzniesienia solidnej świątyni anglikańskiej i przydania swej kongregacji nowego blasku. Jego pierwszą oficjalną czynnością było przestudiowanie rachunków dotyczących planowanej misji na Ziemi Ognistej, której rezultatów jakoś nigdzie nie było widać. Jacob Todd na zaproszenie Agustina del Valle wyjechał na wieś, licząc, iż przez ten czas nowy pastor się zniechęci, ale kiedy po dwóch tygodniach powrócił, przekonał się, że kapelan nie zapomniał o sprawie. Przez jakiś czas Todd wynajdował coraz to nowe preteksty, by go unikać, jednak w końcu musiał stanąć przed audytorem, a następnie - komisją Kościoła anglikańskiego. Płatał się w zeznaniach, które brzmiały coraz bardziej fantastycznie, w miarę jak cyfry jasno i wyraźnie dowodziły defraudacji. Zwrócił pieniądze, które pozostały mu jeszcze na koncie, ale jego reputacja ucierpiała w sposób nieodwracalny. Skończyły się dla niego środowe wieczorki w domu Sommersów i żaden z członków cudzoziemskiej kolonii już go więcej nie zaprosił; na ulicy udawali, że go nie widzą, a jeśli ktoś prowadził z nim jakieś interesy, uznawał je za skończone. Wiadomość o oszustwie dotarła do jego chilijskich przyjaciół, którzy dyskretnie, ale stanowczo zasugerowali mu, aby jeśli pragnie uniknąć hańby wyrzucenia, nie pojawiał się więcej w Klubie Związkowym. Nie dopuszczono go do gry w krykieta ani do baru w Hotelu Angielskim, prędko został odizolowany i nawet jego liberalni przyjaciele odwrócili się do niego plecami. Rodzina del Valleenbloc przestała mu się kłaniać, z wyjątkiem Pauliny, z którą Todd utrzymywał sporadyczny kontakt listowny.

Paulina urodziła swego pierwszego syna na północy i z jej listów widać było, że jest zadowolona ze swego małżeńskiego życia. Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, jak powiadano - coraz bogatszy, okazał się rzadko spotykanym rodzajem małżonka. Był przekonany, że odwaga, jaką wykazała się Paulina, uciekając z klasztoru i zmuszając rodzinę do udzielenia zgody na ich ślub, nie może rozmywać się w zajęciach domowych, ale powinna być wykorzystana dla dobra ich obojga. Jego żona, wykształcona podobnie do innych panienek z dobrych domów, ledwo umiała czytać i dodawać, ale odkryła w sobie prawdziwą żyłkę do interesów. Z początku Feliciano dziwił się ciekawości, z jaką wypytywała go o szczegóły procesu wydobywania i transportu minerałów albo wahań na Giełdzie Handlowej, ale szybko nauczył się szanować niezwykłą intuicję swojej żony. Kierując się jej radami, w ciągu siedmiu miesięcy od ich ślubu zgromadził wielki majątek, spekulując cukrem. Z wdzięczności podarował jej serwis do herbaty ze srebra grawerowanego w Peru, ważący dziewiętnaście kilo. Paulina, która ledwo mogła się poruszać, nosząc w brzuchu zwarty tobół ze swym pierwszym synem, odrzuciła prezent, nie podnosząc nawet oczu znad dzierganych właśnie niemowlęcych bucików.

- Wolę, żebyś otworzył konto w jakimś banku w Londynie na moje nazwisko i od tej pory odkładał tam dwadzieścia procent z dochodów, jakie dla ciebie uzyskam.

- Ale po co? Czyż nie daję ci wszystkiego, czego pragniesz, a nawet jeszcze więcej? - zapytał oburzony Feliciano.

- Życie jest długie i pełne wstrząsów. Nie chcę być nigdy biedną wdową, a w dodatku z dziećmi - wyjaśniła, obmacując swój brzuch.

Feliciano wyszedł, trzaskając drzwiami, ale jego wrodzone poczucie sprawiedliwości było silniejsze niż zły humor sprowokowanego małżonka. Poza tym uznał, że owe dwadzieścia procent byłoby dla Pauliny potężnym bodźcem. Zrobił, o co prosiła, chociaż nigdy nie słyszał o zameżnej kobiecie posiadającej własne pieniądze. Jeżeli żadna żona bez zgody małżonka nie mogła sama podróżować, podpisywać aktów prawnych, zwracać się do sądu ani niczego sprzedawać albo kupować, tym bardziej nie mogła dysponować kontem bankowym i używać go, jak jej przyjdzie ochota. Trudno byłoby wytłumaczyć to bankowi i wspólnikom.

- Proszę przyjechać do nas na północ, przyszłość należy do kopalń i będzie pan mógł zacząć tam od początku - zasugerowała Paulina Jacobowi Toddowi, kiedy podczas jednej ze swych krótkich wizyt w Valparai'so dowiedziała się, że popadł w niełaskę.

- A cóż ja bym tam robił, droga przyjaciółko? - wymamrotał.

- Sprzedawał swoje Biblie - zadrwiła Paulina, ale widząc przepastny smutek w jego

oczach, wzruszyła się i oddała mu do dyspozycji swój dom i przyjaźń i zaoferowała pracę w przedsiębiorstwach męża.

Jednak Todd tak upadł na duchu z powodu odmiany losu i publicznej niesławy, że nie znalazł w sobie sił, aby rozpo-czynąć na północy nową przygodę. Ciekawość i niepokój, które kiedyś nim kierowały, zostały wyparte przez obsesyjne pragnienie odzyskania dobrego imienia.

- Jestem skończony, czyż pani nie widzi? Mężczyzna bez honoru to martwy mężczyzna.

- Czasy się zmieniły - pocieszała go Paulina. - Kiedyś splamiony honor kobiety zmywało się tylko krwią. Ale widzi pan, panie Todd, w moim przypadku wystarczyło kilka dzbanków czekolady. Męski honor jest znacznie bardziej wytrzymały od naszego. Proszę się nie załamywać.

Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, który nie zapomniał o jego interwencji w czasach, gdy nieszczęśliwie kochał się w Paulinie, chciał pożyczyć mu pieniądze, żeby oddał co do ostatniego centavo wszystko, co winien był misji, ale Todd uznał, że mając do wyboru dług wobec przyjaciela albo protestanckiego kapelana, woli to ostatnie, jako że jego reputacja i tak była zszargana. Niedługo potem musiał pożeg-nać się z kotami i ciastami, ponieważ angielska wdowa, przy wtórze niekończącej się litanii wymówek, kazała mu pakować manatki. Owa zacna kobieta, pragnąc przyczynić się do propagowania wiary w regionach objętych wieczną zimą, gdzie wiatr, niczym widmo, wyje dniami i nocami, jak opowia-dał Jacob Todd upajając się własną elokwencją, podwoiła swe wysiłki w kuchni. Dowiedziawszy się, że jej oszczędności trafiły do rąk fałszywego misjonarza, zapłonęła słusznym gniewem i wyrzuciła go z pensjonatu. Dzięki pomocy Joaquina Andiety, który poszukał mu innego mieszkania, zdołał przenieść się do maleńkiego pokoiku, za to z widokiem na morze, w jednej z ubogich dzielnic miasta. Dom należał do chilijskiej rodziny i nie rościł sobie pretensji do europejskości, jak poprzedni; miał starą konstrukcję z bielonych wapnem, niewypalanych cegieł i dach z czerwonych dachówek, składał się z sieni, do której wchodziło się z ulicy, dużego pokoju, niemalże bez mebli, pełniącego rolę salonu, jadalni i sypialni rodziców, drugiego mniejszego, bez okna, w którym sypiały wszystkie dzieci, i w głębi jeszcze jednego, który wynaj-mowano. Właściciel pracował w szkole jako nauczyciel, a jego żona wspierała domowy budżet, prowadząc w kuchni wyrób świec domowym sposobem. Cały dom przesiąknięty był zapachem wosku. Todd czuł ten słodkawy aromat w swoich książkach, ubraniu, włosach, a nawet w duszy; tak bardzo wżarł mu się w skórę, że w wiele lat później, na drugim końcu świata nadal pachniał świecami. Krążył tylko po biednych dzielnicach portu,

gdzie nikogo nie obchodziła dobra albo zła reputacja jakiegoś rudowłosego gringo. Żywił się w garkuchniach dla biedoty i całe dni spędzał pośród rybaków, przy sieciach i łodziach. Praca fizyczna dobrze mu robiła, gdyż przynajmniej na parę godzin mógł zapomnieć o zranionej dumie. Tylko Joaquin Andieta nie przestał go odwiedzać. Zamykali się, żeby prowadzić dyskusje o polityce i wymieniać się tekstami francuskich filozofów, podczas gdy za drzwiami biegały dzieci nauczyciela i niczym strumień płynnego złota przelewał się wosk świec. Joaquin Andieta nigdy nie wspominał o pieniądzach na misje, chociaż nie mógł o nich nie wiedzieć, jako że skandal ów był głośno komentowany przez długie tygodnie. Kiedy Todd chciał mu wytłumaczyć, że oszustwo nigdy nie było jego zamiarem i że wszystkiemu winne były jego brak głowy do interesów, przysłowiowe bałaganiarstwo i pech, Joaquin Andieta zwyczajowym gestem podniósł palec do ust, każąc mu zamilknąć. W przypiływie wstydu i afektu Jacob Todd objął go niezgrabnie, a on przytulił go na chwilę, po czym, zaczerwieniony po uszy, gwałtownie odepchnął. Obaj równocześnie odsunęli się od siebie spłoszeni, nie pojmując, jak mogli pogwałcić elementarną zasadę wychowania, zabraniającą mężczyznom jakiegokolwiek kontaktu fizycznego między sobą, z wyjątkiem potyczek i brutalnych sportów. W ciągu następnego miesiąca Anglik powoli zaczął się staczać, zaniedbał swój wygląd i snuł się po mieście z kilkudniowym zarostem, ciągnąc za sobą zapach świec i alkoholu. Ilekroć przesadził z dzinem, z uporem maniaka zaczynał wznosić okrzyki przeciwko rządowi, angielskiej rodzinie królewskiej, wojsku i policji, systemom przywilejów klasowych, które przyrównywał do indyjskiej kastowości, oraz religii w ogólności, a chrześcijaństwu w szczególności.

- Lepiej, żeby pan stąd wyjechał, panie Todd, zaczyna się robić gorąco - ośmielił się mu powiedzieć Joaquin Andieta pewnego dnia, kiedy na jakimś skwerze uratował go z rąk policji, która już go miała aresztować.

Dokładnie w takim stanie - przemawiającego na ulicy niczym obłąkaniec - spotkał go kapitan John Sommers, który kilka tygodni wcześniej zawinął do portu. Jego statek w trakcie opływania przylądka Horn tak wysmagał wicher i fale, że trzeba go było oddać do długiego remontu. John Sommers cały miesiąc spędził w domu swego rodzeństwa, Jeremy'ego i Rosę. To zmusiło go do poszukania pracy na jednym z nowoczesnych statków parowych zaraz po powrocie do Anglii, gdyż nie zamierzał ponownie dać się zamknąć w rodzinnej klatce. Kochał swoich bliskich, ale wolał trzymać ich na dystans. Do tej pory nie chciał nawet myśleć o parowcach, gdyż nie pojmował morskiej przygody inaczej, jak tylko jako wyzwanie rzucone żaglom i pogodzie, po którym można było poznać dobrego kapitana, jednak w końcu musiał przyznać, że przyszłość należy do nowych statków, większych, bezpieczniejszych i

szybszych. Kiedy zauważył, że łysieje, winą za to obarczył oczywiście swój osiadły tryb życia. Wkrótce nuda zaczęła mu ciążyć niczym zbroja, więc z niecierpliwością zwierzęcia schwytanego w sidła uciekał z domu, żeby przejść się po porcie. Jacob Todd, rozpoznawszy kapitana, pragnąc zaoszczędzić sobie upokorzenia i kolejnej zniewagi, opuścił rondo kapelusza, udając, że go nie widzi, ale marynarz zatrzymał go i przywitał się z nim, poklepując go serdecznie po ramieniu.

- Musimy się napić, przyjacielu! - zawołał i zaciągnął go do pobliskiego baru.

Okazało się, że jest to jeden z zakątków portu znany klientom z uczciwego wyszynku, a ponadto oferowano tam jedyne, za to cieszące się zasłużoną sławą, danie: smażonego węgorza z ziemniakami i sałatką z surowej cebuli. Todd, który ostatnimi czasy zwykł zapominać o jedzeniu i stale chodził bez grosza przy duszy, poczuwszy smakowity zapach potrawy, miał wrażenie, że zemdleje. Fala wdzięczności i zadowolenia sprawiła, że zwilgotniały mu oczy. John Sommers przez grzeczność odwrócił wzrok, kiedy Todd wylizywał talerz do czysta.

- Ten pomysł, żeby jeździć z misjami do Indian, nigdy nie wydawał mi się dobry - odezwał się dokładnie w chwili, gdy Todd zaczynał zadawać sobie pytanie, czy kapitan wiedział o skandalu finansowym. - Ci biedni ludzie niczym sobie nie zasłużyli, żeby miało na nich spadać nieszczęście ewan-gelizacji. I co pan teraz zamierza?

- Zwróciłem wszystko, co zostało na koncie, ale i tak jeszcze jestem sporo winien.

- I nie ma pan jak tego spłacić, prawda?

- Na razie nie, ale...

- Żadne „ale”, człowieku. Dostarczył pan tym dobrym chrześcijanom pretekstu, żeby poczuli się zacni, a teraz na jakiś czas dał im pan powód do skandalu. Nie wykosztowali się na tę rozrywkę. Kiedy pytałem, co pan teraz zamierza, miałem na myśli pańską przyszłość, a nie długi.

- Nie mam żadnych planów.

- Niech pan wraca ze mną do Anglii. Tutaj nie ma dla pana miejsca. Ilu cudzoziemców mieszka w tym porcie? Czterech na krzyż i wszyscy się znają jak łyse konie. Nie dadzą panu żyć, proszę mi wierzyć. Za to w Anglii może pan rozplynać się w tłumie.

Jacob Todd wpatrywał się w dno swej szklanki z tak zdesperowanym wyrazem twarzy, że kapitan wybuchnął swo-im charakterystycznym śmiechem.

- Niech mi pan tylko nie mówi, że zostanie pan tutaj ze względu na moją siostrę Rosę!

Tak właśnie było. Powszechne potępienie byłoby dla Todda nieco bardziej do zniesienia, gdyby Miss Rosę okazała mu choćby odrobinę lojalności albo zrozumienia, jednak

ona przestała go przyjmować i bez otwierania odesłała listy, w których usiłował oczyścić swe imię. Nigdy się nie dowiedział, że jego przesyłki nie dotarły do rąk adresatki, ponieważ Jeremy Sommers - przekraczając granice umowy o wzajemnym poszanowaniu, jaką zawarł z siostrą - postanowił chronić ją przed jej własnym dobrym sercem i nie dopuścić, by popełniła kolejne głupstwo nie do naprawienia. Kapitan również o tym nie wiedział, ale domyślił się, jakie środki ostrożności przedsięwziął Jeremy, i doszedł do wniosku, że i on w takich okolicznościach zrobiłby to samo. Pomysł, aby żaloszny sprzedawca Biblii miał aspirować do ręki jego siostry Rosę, wydał mu się fatalny: pierwszy raz całkowicie zgadzał się ze swym bratem.

- Tak jasne były moje intencje względem Miss Rosę? - zapytał zmieszany Todd.

- Powiedzmy, że dla nikogo nie są tajemnicą, przyjacielu.

- Obawiam się, że nie ma najmniejszej nadziei, że które-goś dnia mnie zechce...

- Też tak sędzę.

- Czy wyświadczyłby mi pan tę ogromną przysługę i przemówił za mną, kapitanie?

Gdyby Miss Rosę choć jeden raz zgodziła się mnie przyjąć, mógłbym jej wyjaśnić...

- Proszę nie liczyć, że będę pańskim stręczycielem, Todd. Gdyby Rosę odwzajemniała pańskie uczucia, już by pan o tym wiedział. Moja siostra nie jest nieśmiała, zapewniam pana. Powtarzam panu, że jedyne, co mu pozostaje, to zabrać się z tego przekłętą portu, gdyż inaczej skończy pan tu jako żebrak. Mój statek za trzy dni wypływa do Hongkongu, a stamtąd do Anglii. Rejs będzie długi, ale panu się nie spieszy. Świeże powietrze i ciężka praca to niezawodne lekarstwo na ogłupienie miłością. Mówię to ja, który zakochuję się w każdym porcie i odkochuję, ledwo znów się znajdę na morzu.

- Nie mam pieniędzy na bilet.

- Będzie pan musiał pracować jako marynarz, a wieczora-mi grać ze mną w karty. O ile nie zapomniał pan sztuczek, jakie pan znał, kiedy trzy lata temu przywiozłem pana do Chile, z pewnością po drodze mnie pan oskubie.

W kilka dni później Jacob Todd wsiadł na statek znacznie biedniejszy, niż był w chwili przybycia. Jediną osobą, która odprowadziła go na molo, był Joaquin Andieta. Posępny młodzian zwolnił się na godzinę z pracy. Pożegnał się z Jacobem Toddem, mocno ściskając mu dłoń.

- Jeszcze się zobaczymy, przyjacielu - powiedział Anglik.

- Nie sędzę - odrzekł Chilijczyk, który miał jaśniejsze przecucia co do swego losu.

KONKURENCI

W dwa lata po wyjeździe Jacoba Todda w Elizie Sommers dokonała się ostateczna metamorfoza. Z kanciastego owada, jakim była w dzieciństwie, przekształciła się w dziewczynę o miękkich kształtach i delikatnych rysach twarzy. Pod opieką Miss Rosę przeżyła niewdzięczne lata dojrzewania, nosząc na głowie książkę i grając wprawki na fortepianie, a jednocześnie od Mamy Frezji uczyła się dawnych sposobów leczenia chorób już poznanych i tych, które dopiero miały się ujawnić, i w jej ogródku uprawiała miejscowe zioła, takie jak gorczyca - na obojętność w sprawach codziennych, liść hortensji - na dojrzewanie wrzodów i przywrócenie uśmiechu, fiołek - na znoszenie samotności, i werbena, którą doprawiała zupę Miss Rosę, jako że owa szlachetna roślina leczy przyływy złego nastroju. Miss Rosę nie zdołała zniszczyć zainteresowania kuchnią, jakie wykazywała jej podopieczna, i w końcu zrezygnowała, widząc, jak pośród czarnych rondli Mamy Frezji traci cenne godziny. Uważała, że w edukacji młodej panienki wiedza kulinarna stanowi jedynie dodatek, jako że umożliwia jej wydawanie rozkazów służbie, tak jak to robiła ona, ale od tego do brudzenia sobie rąk misami i patelniami było bardzo daleko. Dama nie mogła rozsiewać zapachu czosnku i cebuli, jednak Eliza nad teorię przedkładała praktykę i wypytywała przyjaciółki o przepisy, które notowała w zeszycie, a następnie doskonaliła we własnej kuchni. Mogła spędzić cały dzień, mieląc przyprawy i orzechy na kreolskie torty albo kukurydzą na ciasta, skubiąc turkawki na marynatę albo myjąc owoce na konfitury. W wieku czternastu lat pobiła na głowę Miss Rosę, mającą raczej skromną wiedzę o wypiekach, i opanowała repertuar Mamy Frezji; w wieku lat piętnastu - przejęła odpowiedzialność za przygotowanie poczęstunku na środowe wieczorki, a kiedy chilijskie potrawy przestały być już dla niej wyzwaniem, zainteresowała ją wyrafinowana kuchnia francuska, w której tajniki wprowadziła ją madame Colbert, oraz egzotyczne przyprawy indyjskie, które zwykł przywozić wuj John, a ona rozpoznawała po zapachu, chociaż nie znała ich nazw. Przynosząc jakąś wiadomość od Sommersów, posłaniec oprócz koperty zawoził ich przyjaciółom również jakiś słodki smakołyk, który dopiero co wyszedł z rąk Elizy; miejscowy zwyczaj wymieniania się daniami i deserami dziewczyna podniosła do kategorii sztuki. Jej oddanie sprawom kuchni było tak wielkie, że Jeremy Sommers zaczął ją sobie wyobrażać jako posiadaczkę własnej herbaciarni, który to projekt - jak zresztą wszystkie inne pomysły brata odnoszące się do dziewczyny - Miss Rosę odrzuciła bez najmniejszego wahania. Kobieta, która sama zarabia na życie, spada do niższej klasy społecznej, choćby nie wiadomo jak godne szacunku było jej

zajęcie, twierdziła. Tymczasem ona zabiegała dla swej pod-opiecznej o dobrego męża i wyznaczyła sobie dwuletni termin na znalezienie go w Chile, po czym planowała wywieźć Elizę do Anglii; nie mogła ryzykować, że dziewczyna skończy dwadzieścia lat i, nie mając narzeczonego, zostanie starą panną. Kandydat powinien być kimś, kto nie dociekałby prawdy o jej mrocznym pochodzeniu, za to z entuzjazmem potrafiłby się odnieść do jej zalet. Pośród Chilijczyków nie mogło być o kimś takim mowy: arystokracja zawierała małżeństwa we własnym gronie, między kuzynami, a klasa średnia jej nie interesowała; nie chciała widzieć Elizy cierpiącej na brak pieniędzy. Od czasu do czasu miała kontakty z przedsiębiorcami zajmującymi się handlem albo kopalniami, którzy robili interesy z jej bratem Jeremym, jednak ci woleli nazwiska i herby oligarchii. Wydawało się niemożliwe, aby zwrócili uwagę na Elizę, gdyż niewiele z wyglądu fizycznego dziewczyny mogło wzbudzić namiętność: była niska i szczupła, brakowało jej młeczej błości oraz - tak modnej - bujności biustu i bioder. Dopiero przyjrząwszy się Elizie po raz drugi, odkrywało się jej dyskretną urodę, wdzięk ruchów oraz siłę wyrazu oczu; przypominała laleczkę z porcelany, przywiezioną z Chin przez kapitana Johna Sommersa. Miss Rosę szukała konkurenta, który byłby w stanie docenić to, iż jej protegowana wyróżnia się na tle innych panien, jak również i to, że ma silny charakter i umiejętność obracania różnych sytuacji na swoją korzyść, co Mama Frezja nazywała szczęściem, a co ona sama wołała nazywać inteligencją; winien to być niezależny finansowo mężczyzna o dobrym charakterze, mogący zapewnić jej bezpieczeństwo i szacunek, a jednocześnie taki, którego Eliza z łatwością potrafiłaby owinąć sobie wokół palca. W odpowiednim czasie planowała przekazać jej subtelny wiedzę na temat codziennych zabiegów, które podsycają w mężczyźnie nawyki życia rodzinnego; całego systemu odważnych pieszczot, by go nagrodzić, i podstępnego milczenia, by go ukarać; sekretnych sposobów pozbawiania go woli, których ona sama nie miała okazji wypróbować, jak również - liczącej tysiąclecia - sztuki miłości fizycznej. Nigdy by się nie odważyła z nią o tym rozmawiać, ale w szafie zamkniętej na dwa klucze przechowywała rozliczne książki, które w stosownej chwili zamierzała jej pożyczyć. Wszystko można wyrazić na piśmie, brzmiała jej teoria, a w tej kwestii nikt nie był lepszy od niej. Miss Rosę mogłaby prowadzić wykłady na temat wszelkich możliwych i niemożliwych sposobów uprawiania miłości.

- Musisz formalnie adoptować Elizę, żeby mogła przyjąć nasze nazwisko - zażądała od swego brata Jeremy'ego.

- Od lat go używa, czego jeszcze chcesz, Rosę.

- żeby mogła wyjść za mąż z wysoko podniesioną głową.

- Wyjść za mąż: za kogo?

Miss Rosę nie powiedziała mu przy tej okazji, że ma już kogoś na oku. Nazywał się Michael Steward, miał dwadzieścia osiem lat i był oficerem angielskiej floty stacjonującej w Valparaiso. Za pośrednictwem swego brata Johna dowiedziała się, że marynarz pochodzi ze starej rodziny. Jego rodzice nie byłiby zadowoleni, gdyby ich najstarszy syn i jedyny spadko-bierca ożenił się z jakąś nieznajomą bez posagu, pochodzącą z kraju, którego nazwa nigdy nie oblała im się nawet o uszy. Było nieodzowne, aby Eliza mogła liczyć na atrakcyjne wiano, i aby Jeremy ją adoptował; w ten sposób przynajmniej kwestia jej pochodzenia nie stałaby na przeszkodzie.

Michael Steward był atletycznej budowy, miał niewinne spojrzenie niebieskich źrenic, jasne bokobrody i wąsy, zdrowe zęby i arystokratyczny nos. Jedyne, co go szpeciło, to cofnięty podbródek i Miss Rosę miała nadzieję zdobyć jego zaufanie na tyle, by móc mu zasugerować zapuszczenie brody. Wedle tego, co mówił kapitan Sommers, młodzieniec świecił przykładem moralności i jego nienaganny przebieg służby gwarantował mu błyskotliwą karierę w marynarce. W oczach Miss Rosę fakt, iż tyle czasu spędzał na morzu, dla kobiety, która miałaby go poślubić, stanowił ogromną zaletę. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej była przekonana, że znalazła idealnego mężczyznę, jednak znając charakter Elizy, wiedziała, że ta nie przyjmie go z rozsądku: musi się zakochać. Na to była niejaka nadzieja: mężczyzna prezentował się bardzo dobrze w mundurze, a bez niego nikt go jeszcze nie widział.

- Steward nie jest nikim więcej jak tylko głupcem o dobrych manierach. Eliza, wyszedłszy za niego, umarłaby z nudów - stwierdził kapitan John Sommers, kiedy opowiedziała mu o swoich planach.

- Wszyscy mężowie są nudni, braciszku. Żadna kobieta mająca co nieco oleju w głowie nie wychodzi za mąż, żeby ją ktoś zabawiał, tylko żeby ją utrzymywał.

Eliza wyglądała jeszcze jak dziewczynka, ale zakończyła swą edukację i niedługo miała osiągnąć wiek stosowny do małżeństwa. Zostało jeszcze trochę czasu, uznała Miss Rosę, jednak powinna działać zdecydowanie, aby nie dopuścić, by tymczasem inna, bardziej szczwana, sprzątnęła jej kandydata sprzed nosa. Podjąwszy tę decyzję, postawiła sobie za cel przyciągnięcie oficera, używając do tego wszelkich sposobów, jakie tylko zaświtały jej w głowie. Zmieniła terminy wieczorów muzycznych, tak że zbiegały się one z datami, w których Michael Steward zawijał do portu; zrobiła to, nie zważając na pozostałych uczestników, którzy od lat na tę uświęconą okazję rezerwowali środek. Niektórzy, urażeni, przestali się pojawiać. O to właśnie jej chodziło; w ten sposób mogła przekształcić spokojne wieczory przy muzyce w wesołe zabawy taneczne i odświeżyć listę gości, wpisując na nią

młodych kawalerów i panienki na wydaniu z cudzoziemskiej kolonii w miejsce nudnych Ebelingów, Scottów i Appelgrenów, którzy zaczynali stawać się skamieliną. Recitale poezji i śpiewu ustąpiły miejsca grom salonowym, niezobowiązującym tańcom, konkursom i szaradom. Organizowała wystawne pikniki na łonie przyrody i spacery po plaży. Wyjeżdżali powozami; wcześniej, już o świcie wyruszały ciężkie wozy, z podłogami wyściełanymi skórą i z dachami ze słomy, którymi jechali służący, żeby pod namiotami i parasolami rozlokować nie-zliczone koszyki z podwieczorkiem. Przed ich oczami rozciągały się żyzne doliny porośnięte drzewami owocowymi, usiane winnicami, polami pszenicy i kukurydzy, urwiste brzegi, o które pośród chmur morskiej piany rozbijały się fale Pacyfiku, i w oddali - dumny profil ośnieżonego górskiego łańcucha. Miss Rosę zawsze udawało się tak pokierować sprawami, żeby Eliza i Steward jechali jednym powozem, siedzieli obok siebie i jako członkowie jednego zespołu grali w piłkę albo wystawiali pantomimę, jednak przy grze w karty albo w domino wołała ich rozdzielić, gdyż Eliza zdecydowanie nie chciała dać się pokonać.

- Musisz sprawić, żeby mężczyzna poczuł się lepszy od ciebie, dziecko - tłumaczyła jej cierpliwie Miss Rosę.

- Z tym jest dużo zachodu - odparła niewzruszona Eliza. Jeremy Sommers nie zdołał powstrzymać fali wydatków siostry. Miss Rosę hurtem kupowała materiały i zatrudniała dwie służące, które po całych dniach szyły nowe suknie skopiowane z magazynów. Wbrew rozsądkowi coraz bardziej zadłużała się u marynarzy trudniących się kontrabandą, byle tylko zapewnić sobie ciągłość dostaw perfum, tureckiego karminu, belladony i kholu dla podkreślenia tajemniczości spojrzenia, i kremu z żywych pereł dla rozjaśnienia cery. Pierwszy raz nie miała czasu na pisanie, tak była pochłonięta zabiegami wokół angielskiego oficera, wśród których nie zabrakło nawet miejsca na ciasteczka i konfitury - wszystko domowej roboty i w przepięknych słoiczkach - które ten zabierał ze sobą w morze.

- Eliza przygotowała to dla pana, ale jest zbyt nieśmiała, żeby wręczyć to panu osobiście - mówiła, nie wyjaśniając, że Eliza gotowała wszystko, o co ją poproszono, nie pytając, dla kogo było przeznaczone, w związku z czym była zaskoczona, kiedy jej dziękował.

Michael Steward nie pozostawał obojętny na uwodzicielską kampanię. Oszczędny w słowach, swoją wdzięczność wyrażał w krótkich i uprzejmych liścikach pisanych na papierze z nagłówkiem marynarki oraz poprzez bukiety, z którymi pojawiał się, ilekroć schodził na ląd. Znał się na mowie kwiatów, jednakże subtelność owa trafiała w próżnię, ponieważ ani Miss Rosę, ani nikt inny w tamtych stronach, tak daleko od Anglii, nie słyszał o różnicy

między różą a goź-dzikiem, a tym bardziej nie domyślał się znaczenia koloru zdobiącej je wstążki. Wysiłki Stewarda, aby znaleźć kwiaty, których ton - mający ukazać jego rosnącą namiętność - stop-niowo przybierałby na sile, przechodząc od blad różowego poprzez wszystkie odcienie szkarłatu aż do najbardziej roz-palanej czerwieni, całkowicie spaliły na panewce. Z czasem oficerowi udało się pokonać nieśmiałość i od przygnębiającego milczenia, jakie go z początku charakteryzowało, przeszedł do gadulstwa niewygodnego dla słuchaczy. Z euforią przedstawiał swoje poglądy moralne dotyczące błahostek i gubił się w niepotrzebnych wyjaśnieniach na temat prądów morskich i map nawigacyjnych. Zdecydowanie najlepiej wypadł w brutalnych sportach, w których mógł się wykazać odwagą i dobrą muskulaturą. Miss Rosę zachęcała go, by zademonstrował swoje umiejętności akrobatyczne, wisząc w ogrodzie na gałęzi, a nawet - nalegając nieco - udało się jej namówić go, by ucieszył oczy obecnych, wykonując przytupy, skłony i serię salto mortale, składające się na taniec ukraiński, którego nauczył się od innego marynarza. Miss Rosę oklaskiwała to wszystko z przesadnym entuzjazmem, Eliza zaś obserwowała w milczeniu i z powagą, nie wyrażając swej opinii. Tak minęły tygodnie, podczas których Michael Steward rozważał i oceniał konsekwencje kroku, jaki zamierzał uczynić, porozumiewając się listownie z ojcem, z którym dyskutował o swoich planach. Nieuchronne opóźnienia w wymianie korespondencji przedłużyły niepewność o wiele miesięcy. Chodziło o najpoważniejszą decyzję w jego życiu i do jej podjęcia potrzebował znacznie więcej odwagi, niż gdyby mu przyszło walczyć na Pacyfiku z potencjalnymi wrogami Brytyjskiego Imperium. Wreszcie na jednym z muzycznych wieczorków - przeprowadziwszy przed lustrem ponad sto prób - zdołał zebrać w sobie opuszczającą go odwagę i przemówił pełnym głosem, który ze strachu zabrzmiał niczym dźwięk fletu.

- Muszę pomówić z panią na osobności - wyszeptał do Miss Rosę, którą zatrzymał w korytarzu.

Zaprowadziła go do pokoiku do szycia. Przeczuwała, co miała usłyszeć, i zaskoczyły ją jej własne emocje; czuła, że policzki jej płoną, a serce galopuje. Poprawiła kosmyk, który wysuwał jej się z koka, i wytarła dyskretnie pot z czoła. Michael Steward pomyślał, że nigdy nie widział jej równie pięknej.

- Sądzę, że już pani odgadła, co jej chcę powiedzieć, Miss Rosę.

- Niebezpiecznie jest zgadywać, panie Steward. Słucham. ..

- Chodzi o moje uczucia. Wie pani z pewnością, o czym mówię. Pragnę powiadomić panią, że moje intencje są jak najbardziej poważne i szczerze.

- Nie spodziewam się niczego innego po kimś takim jak pan. Czy sądzi pan, że są

odwzajemnione?

- Tylko pani może na to odpowiedzieć - wyjąkał młody oficer.

Patrzyli na siebie, ona - z brwiami uniesionymi w geście oczekiwania, a on - obawiając się, że sufit się zawali i go przygniecie. Zdecydowany działać, zanim czar chwili obróci się w proch, młodzian wziął ją w ramiona i schylił się, by ją pocałować. Zdrętwiała z zaskoczenia Miss Rosę nie zdołała się poruszyć. Na ustach czuła wilgotne wargi i miękkie wąsy oficera; zastanawiała się, co, u licha, wyszło źle, i kiedy w końcu zdobyła się na to, by zareagować, odepchnęła go gwałtownie.

- Co pan robi! Nie widzi pan, że mam znacznie więcej lat od pana! - wykrzyknęła, wycierając usta wierzchem dłoni.

- A jakież znaczenie ma wiek? - wybełkotał zbity z tropu oficer, gdyż, prawdę mówiąc, zakładał, że Miss Rosę nie ma więcej niż jakieś dwadzieścia siedem lat.

- Jak pan śmie! Rozum panu odjęło?

- Ale pani... pani dawała mi do zrozumienia... Niemożliwe, żebym aż tak się mylił! - wymamrotał biedaczyna oszołomiony ze wstydu.

- Ja chcę pana dla Elizy, a nie dla siebie! - zawołała Miss Rosę wystraszona i wybiegła, żeby zamknąć się w swoim pokoju, podczas gdy niefortunny konkurent poprosił o pelerynę i kapelusz i odszedł, nie żegnając się z nikim, aby już nigdy więcej do tego domu nie powrócić.

Ukryta w kątku korytarza Eliza słyszała wszystko przez uchylone drzwi pokoiku do szycia. Ona również źle rozumiała zabiegi wokół oficera. Miss Rosę zawsze odnosiła się do swych konkurentów z taką obojętnością, że Eliza zwykła uważać ją za staruszkę. Dopiero podczas ostatnich miesięcy, kiedy widziała, jak duszą i ciałem oddaje się sztuce uwodzenia, zauważyła jej majestatyczną postawę i jaśniejącą cerę. Przypuszczała, że Miss Rosę umiera z miłości do Michaela Stewarda, i nawet jej przez myśl nie przeszło, że owe sielankowe pikniki na trawie pod japońskimi parasolami i maślane ciasteczka na osłodę trudów żeglugi stanowiły elementy strategii rozwiniętej przez jej opiekunkę, aby złowić oficera i podać go jej na tacy. Ta myśl przeszła jej pierś niczym sztylet i pozbawiła oddechu, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej życzyłaby sobie na tym świecie, było małżeństwo uzgodnione za jej plecami. Już ją ogarnął ślepy poryw pierwszej miłości i z nieodwołalnym przekonaniem przysięgła, że nie poślubi nikogo innego.

Eliza Sommers ujrzała Joaquina Andietę po raz pierwszy w któryś piątek maja 1848 roku, kiedy przybył do jej domu, siedząc na koźle wozu ciągniętego przez kilka mulic i aż po brzegi wyładowanego pakunkami Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej. Ich

zawartość stanowiły perskie dywa-ny, lampy z kryształowych łez i kolekcja figurek z kości słoniowej, zamówione przez Feliciana Rodrigueza de Santa Cruz do ozdoby domu, który wybudował sobie na północy. Był to jeden z owych cennych ładunków, jakie w porcie narażone były na niebezpieczeństwo, i pewniej było składować je w domu Sommersów aż do chwili wysyłki do miejsca przeznaczenia. O ile dalsza część podróży przebiegała lądem, Jeremy do ochrony transportu zatrudniał uzbrojonych strażników, ale w tym przypadku musiał odesłać ładunek na pokładzie chilijskiego szkunera, który podnosił kotwicę dopiero w następnym tygodniu. Andieta miał na sobie swój jedyny garnitur, niemodny, ciemny i znoszony, był bez kapelusza i parasola. Trupia bladość jego twarzy kontrastowała z płoną-cymi oczami, a czarne włosy lśniły od wilgoci pierwszej jesiennej mżawki. Miss Rosę wysła mu na spotkanie, a Ma-ma Frezja, która zawsze nosiła przy sobie klucze od domu, zawieszane na kółku przy pasku, zaprowadziła go na ostatnie patio, gdzie znajdował się magazyn. Młodzieniec ustawił robotników w szeregu, ci zaś z rąk do rąk podawali sobie pakunki, które pokonywały wertepy i nierówności terenu, powykrzywiane schodki, nachodzące na siebie tarasy i zbyte-czne wieżyczki. Podczas gdy on liczył, oznaczał i zapisywał coś w zeszycie, Eliza wykorzystwała swoją zdolność do stawa-nia się niewidzialną i mogła obserwować go do woli. Przed dwoma miesiącami skończyła szesnaście lat i była gotowa do miłości. Widok dłoni o długich palcach poplamionych at-ramentem, należących do Joaquina Andiety, i głos, jakim wydawał suche rozkazy robotnikom - głęboki, a zarazem przejrzysty i chłodny niczym plusk rzeki - poruszyły ją aż do szpiku kości i straszliwe pragnienie, by podejść bliżej i go powąchać, zmusiło ją do opuszczenia kryjówki za trzema palmami w wielkim kwietniku. Mama Frezja, która narzekała, że mulice ciągnące wóz zabrudziły jej bramę, a w dodatku zajęta była przy kluczach, niczego nie zauważyła, ale Miss Rosę kątem oka dostrzegła rumieniec dziewczyny. Nie miało to dla niej większego znaczenia; pracownik brata wydał się jej biednym, nic nie znaczącym typem, jednym cieniem więcej pośród licznych cieni tego pochmurnego dnia. Eliza zniknęła w kuchni i po kilku minutach powróciła ze szklankami i dzbankiem soku pomarańczowego słodzonego miodem. Po raz pierwszy w życiu - ona, która przez całe lata nosiła na głowie książkę, nie myśląc o tym, co robi - miała świadomość swoich kroków, falowania swych bioder, balansowania ciała, kąta utworzonego przez ramiona, odległości między nimi a podbródkiem. Chciała być piękna jak Miss Rosę, kiedy jako wspaniała młoda dziewczyna wydobywała ją z jej zaimprowi-zowanej kołyski w skrzynce po marsylskim mydle; chciała śpiewać słowiczym głosem panny Appelgren, jakim ta in-tonowała swoje szkockie ballady; chciała tańczyć z nieosiągal-ną lekkością swej nauczycielki tańca i chciała paść martwa na miejscu, pokonana przez uczucie

ostre i nieposkromione niczym szpada, które ciepłą krwią wypełniło jej usta i które, zanim jeszcze zdolała to nazwać, przygniotło ją straszliwym ciężarem wyidealizowanej miłości. W wiele lat później, pa-trząc na ludzką głowę zakonserwowaną w słoju z dżinem, Eliza miała sobie przypomnieć owo pierwsze spotkanie z Joaquinem Andietą i znowu poczuć ten sam nieznośny niepokój. Podążając swą drogą, tysiące razy sama siebie zapytywała, czy miała jakąkolwiek szansę uciec przed ową przytłaczającą namiętnością, jaka złamała jej życie, czy może w trakcie tych paru chwil mogła odwrócić się na pięcie i uratować, ale za każdym razem, ilekroć zadawała sobie to pytanie, dochodziła do wniosku, że jej los był postanowiony od zarania dziejów. I kiedy mądry Tao Chi'en wprowadził ją w poetycką możliwość reinkarnacji, nabrała przeświadczenia, że w każdym z jej istnień powtarzał się ten sam dramat: gdyby przyszła na świat tysiąc razy przedtem i miała się narodzić jeszcze tysiąc razy w przyszłości, zawsze jej przeznaczeniem byłoby tak samo kochać tego mężczyznę. Nie było dla niej ucieczki. Wówczas Tao Chi'en nauczył ją magicznych formułek, pozwalających pozbyć się węzłów karma i uwolnić od powtarzania tej samej rozdzierającej miłosnej niepewności w każdym wcieleniu.

W ów majowy dzień Eliza postawiła tacę na ławce i zaproponowała chłodny napój najpierw robotnikom - aby zyskać na czasie, stanąć mocno na nogach i pokonać drętwość, jaka paraliżowała jej pierś, nie dając jej odetchnąć - a dopiero potem Joaquinowi Andiecie, który zaabsorbowany tym, co robi, ledwo podniósł wzrok, kiedy podawała mu szklankę. Uczyniwszy to, Eliza stanęła pod wiatr jak najbliżej niego, aby poczuć zapach tego mężczyzny, który - co było już postanowione - należał do niej. Z półprzymkniętymi oczami wdychała zapach wilgotnej bielizny, szarego mydła i świeżego potu. Rzeka płonącej lawy przenikła ją na wskroś, nogi się jej ugięły i przez chwilę w panice pomyślała, że naprawdę umiera. Sekundy owe były tak intensywne, że Joaquin Andieta upuścił zeszyt, jakby jakaś niepowstrzymana siła wyrwała mu go z rąk, podczas gdy gorąco, bijące niczym od ogniska, dosięgło również i jego, paląc go swym odbiciem. Spojrzał na Elizę, nie widząc jej; wydawało mu się, że twarz dziewczyny była bladym zwierciadłem, w którym dostrzega swój własny wizerunek. Ledwo zamajaczyła przed nim jej sylwetka i ciemna aureola włosów. Dopiero przy drugim spotkaniu, w parę dni później, miał zatonać, aż do zatracenia, w jej czarnych oczach i wdzięku płynnych ruchów. Oboje schylili się jednocześnie, żeby podnieść zeszyt, zderzyli się ramionami i zawartość szklanki wylała się jej na sukienkę.

- Patrz, co robisz, Elizo! - krzyknęła zaalarmowana Miss Rose, ponieważ uderzenie tej nagłej miłości dosięgło i jej.

- Idź się przebrać i namocz sukienkę w zimnej wodzie; może się uda sprać tę plamę -

dodała sucho.

Jednak Eliza nie poruszyła się, wpatrzona w oczy Joaquina Andiety, drżąca, z rozszerzonymi nozdrzami, wciągając otwarcie jego zapach, aż w końcu Miss Rosę wzięła ją za ramię i zaprowadziła do domu.

- Powiedziałaś ci, dziecino: pierwszy lepszy chłop, choć-by nie wiem jaka mizerota, może z tobą zrobić, co zechce - przypomniała jej tej nocy Indianka.

- Nie wiem, o czym mówisz, Mamo Frezjo - odparła Eliza.

Owego jesiennego poranka, kiedy na patio swego domu poznała Joaquina Andietę, Eliza doszła do wniosku, że znalazła swoje przeznaczenie: zostanie jego niewolnicą, i to na zawsze. Nie żyła jeszcze wystarczająco długo, żeby zrozumieć, co się stało, słowami wyrazić dławiący ją ucisk albo obmyślić jakiś plan, jednak przecucie czegoś nieuchronnego nie opuszczało jej ani przez chwilę. W jakiś niejasny, ale za to bolesny sposób, zdała sobie sprawę, że jest w potrzasku, a reakcja fizyczna ze strony jej ciała przypominała dżumę.

Przez cały tydzień, póki go znów nie zobaczyła, walczyła z atakami kolki, wywołującymi u niej konwulsje; na nic się nie zdały cudowne zioła Mamy Frezji, proszki z arszeniku rozpuszczane w czereśniowym likierze od niemieckiego aptekarza. Straciła na wadze i - ku przerażeniu Mamy Frezji, która krążyła po domu, zamykając okna, żeby morski wiatr nie porwał dziewczyny i nie poniósł gdzieś za horyzont - kości jej stały się lekkie niczym u turkawki. Indianka aplikowała jej różnorakie mikstury i zaklęcia ze swego bogatego repertuaru, a kiedy zrozumiała, że nic nie daje efektu, zwróciła się ku panteonowi świętych katolickich. Z głębi kufra wyciągnęła jakieś mizerne oszczędności, kupiła dwanaście świec i poszła targować się z księdzem. Pobłogosławiwszy je podczas niedzielnej sumy, zapaliła po jednej przed wizerunkami wszystkich świętych umieszczonymi w bocznych kapliczkach kościoła (w sumie było ich ośmiu), trzy zaś postawiła przed obrazem świętego Antoniego, patrona panienek bez nadziei na zamęcie, nieszczęśliwych mężatek i innych beznadziejnych spraw. Ostatnią, jaka jej została, razem z kosmykiem włosów i koszulą Ehzy zaniosiła do machi, cieszącej się w okolicy najlepszą opinią. Była to staruszka z plemienia Mapuczów, niewidoma od urodzenia, czarownica białej magii, słynąca ze swych nieodwołalnych przepowiedni i zdrowego rozsądku, z jakim leczyła dolegliwości ciała i niepokoje duszy. Mama Frezja spędziła swe młode lata u tej kobiety jako uczennica i służąca, jednak nie mogła pójść w jej ślady, tak jak tego pragnęła, gdyż nie miała daru. Nic nie można było poradzić: albo się ktoś z nim rodzi, albo nie. Kiedyś chciała to wyjaśnić Elizie i jedyne, co jej przyszło do głowy, to to, że dar oznaczał zdolność widzenia, co jest po drugiej stronie lustra. Z braku tego tajemniczego talentu Mama Frezja musiała zrezygnować ze swych aspiracji znachorki i

pójść na służbę do Anglików.

Machi mieszkała sama w głębi parowu między dwoma zboczami w glinianej chatce ze słomianym dachem, która wyglądała, jakby za chwilę miała się zawalić. Dokoła domu w nieładzie walały się odłamki skał, polana, rośliny w słojach, snuły się kościste psy i czarne ptaszyska, które na próżno grzebały w ziemi, szukając czegoś do zjedzenia. Na ścieżce prowadzącej do domu wyrastał mały las podarunków i amule-tów, zasadzony przez zadowolonych klientów na pamiątkę uzyskanych łask. Kobieta rozsiewała zapach wszystkiego, co kiedykolwiek w życiu ugotowała, otulona chustą w takim samym kolorze co wysuszona ziemia otaczającego ją pust-kowia, chodziła boso i była brudna, ale za to - dla ozdoby - obwieszona mnóstwem naszyjników ze srebra niskiej próby. Jej twarz przypominała ciemną pomarszczoną maskę, miała tylko dwa zęby i martwe oczy. Przywitała swą dawną uczen-nicę tak, że nie było wiadomo, czy ją poznaje, przyjęła podarunki w postaci jedzenia i butelki likieru z anyżku, dała znak, aby usiadła na wprost niej, i zastygła w milczeniu i oczekiwaniu. Pośrodku chaty płonęły głównie rzucające migotliwe światło, a unoszący się z nich dym uciekał przez otwór w dachu. Na ścianach poczerniałych od sadzy wisiały garnki z gliny i mosiądzu, rośliny i cały zbiór zasuszonych drobnych zwierząt. Gęsty zapach suchych ziół i kory o lecz-nicznym działaniu mieszał się z odorem padliny. Rozmawiały w mapudungo, języku Indian Mapuczów. Przez dłuższą chwilę czarownica słuchała historii Elizy od jej przybycia w skrzynce po marsylskim mydle aż do ostatniego kryzysu, następnie wzięła świecę, włosy i koszulę i pożegnała Mamę Frezję, każąc jej przyjść z powrotem, kiedy ona sama dopełni swych czarów i wróżebnych rytuałów.

- Wiadomo, że na to nie ma lekarstwa - oświadczyła, ledwie Mama Frezja zdążyła przekroczyć jej próg w dwa dni później.

- Czy moja dziecina umrze?

- O tym nie umiem powiedzieć, ale że będzie cierpieć, to pewne.

- A co jej jest?

- Zaślepienie miłością. To bardzo silna choroba. Dziej-czyna z pewnością zostawiła otwarte okno w jasną noc i choroba wkradła się w jej ciało, kiedy spała. Nie ma na to zaklęcia.

Mama Frezja wróciła do domu zrezygnowana: jeśli sztuka owej jakże mądrej machi nie wystarczała, by odmienić los Elizy, tym bardziej nie wystarczy jej skromna wiedza ani świece ofiarowane świętym.

MISS ROSE

Miss Rosę obserwowała Elizę bardziej z ciekawością niż ze współczuciem, gdyż dobrze znała te objawy i z doświadczenia wiedziała, że czas i przeciwności losu są zdolne ugasić jeszcze większe miłosne pożary. Ona sama miała siedemnaście lat, kiedy z niedorzeczną namięt-nością zakochała się w pewnym wiedeńskim tenorze. Mieszkała wówczas w Anglii i - na przekór zdecydowanemu sprzeciwowi matki i brata Jeremy'ego, który od śmierci ojca był głową rodziny - marzyła o tym, aby zostać diwą. Żadne z nich nie uważało śpiewu operowego za zajęcie wskazane dla młodej panienki, przede wszystkim dlatego, że zmuszałoby ją do przebywania w teatrze nocami, i to ubraną w wydekol-towane suknie. Nie mogła liczyć również na poparcie brata Johna, ponieważ zaciągnął się do marynarki handlowej i w do-mu pojawiał się zaledwie kilka razy w roku, zawsze w po-śpiechu. Przybywał, żeby zburzyć rutynę niewielkiej rodziny, kwitnący i spalony słońcem innych stron świata, z dumą obnosząc jakiś nowy tatuaż albo bliznę. Rozdawał prezenty, zamęczał egzotycznymi opowieściami i natychmiast przepadał, udając się w kierunku dzielnic uciechy, gdzie zaszywał się aż do chwili, gdy trzeba było wracać na statek. Sommersowie należeli do prowincjonalnej szlachty bez większych ambicji. Od wielu pokoleń byli właścicielami ziemskimi, jednak ojciec - któremu znudziły się już tępe owce i nędzne zbiory - wolał spróbować szczęścia w Londynie. Tak bardzo kochał książki, że był gotów odjąć rodzinie chleb od ust i narobić długów, byle tylko zdobyć pierwsze wydania podpisane przez swoich ulubionych autorów, jednak brakowało mu chciwości prawdziwych kolekcjonerów. Po kilku bezowocnych próbach utrzymania się z handlu postanowił dać upust swemu prawdziwemu powołaniu i w końcu otworzył antykwariat, w którym sprzedawał również publikacje wydawane własnym nakładem. Na tyłach księgarni zainstalował małą drukarnię, którą obsługiwał wspólnie z dwoma pomocnikami, na poddaszu tego samego lokalu zaś złotym krokiem posuwał się do przodu jego handel pojedynczymi egzemplarzami białych kruków. Z trojga dzieci jedynie Rosę interesowała się jego pracą, wzrastała, wykazując zamiłowanie do muzyki i lektury, i o ile nie siedziała przy fortepianie albo nie ćwiczyła wokaliz, można ją było znaleźć zaczytaną w jakimś kącie. Ojciec żałował, że tylko ona była zakochana w jego książkach, a nie Jeremy albo John, którzy mogliby odziedziczyć interes. Po jego śmierci synowie zamknęli drukarnię i antykwariat, John wyruszył w morze, a Jeremy zaopiekował się owdowiałą matką i siostrą. Jako pracownik Brytyjskiej Kompanii Importowo - - Eksportowej dysponował skromną pensją oraz niewielką rentą z majątku pozostawionego

przez ojca, nie licząc sporadycznych zastrzyków finansowych od brata Johna, które nie zawsze przychodziły w postaci żywej gotówki, ale czasem była to kontrabanda. Oburzony Jeremy chował owe - godne potępienia - skrzynie na poddaszu, nie otwierając ich do czasu następnej wizyty brata, do którego należało sprzedanie ich zawartości. Rodzina przeniosła się do małego mieszkanca - zbyt drogiego jak na jej możliwości, za to położonego w samym sercu Londynu - gdyż uznała to za dobrą inwestycję. Trzeba było korzystnie wyswatać Rosę.

W wieku siedemnastu lat dziewczyna zaczęła rozkwitać i miała aż zbyt wielu dobrze sytuowanych konkurentów gotowych umrzeć z miłości, ale podczas gdy jej przyjaciółki gorliwie szukały męża, ona szukała nauczyciela śpiewu. Tak poznała Karla Bretznera, wiedeńskiego tenora, który przybył do Londynu, żeby zaśpiewać w kilku operach Mozarta; ukoronowaniem jego występów miał być galowy wieczór z Weselem Figara, odegranym w obecności rodziny królewskiej. Patrząc na niego, trudno się było domyślić jego niezwykłego talentu: przypominał rzeźnika. Jego ciało (miał pękaty brzuch i pałakowate nogi od kolan w dół) brakowało elegancji, a przekrwiona twarz zwieńczona szopą wypłowiałych kędziurów była dość pospolita, ale kiedy otwierał usta, aby świat mógł się rozkoszować potęgą jego głosu, stawał się inną osobą: zdawał się wyższy, brzuch znikał mu w obfitej klatki piersiowej, a czerwona germańska twarz napelniała się olimpijskim światłem. Takim przynajmniej widziała go Rosę Sommers, która zrobiła wszystko, aby zdobyć bilety na wszystkie przedstawienia. Przychodziła do teatru na długo przed jego otwarciem i - nic sobie nie robiąc z oburzonych spojrzeń przechodniów, nienawykłych do widoku dziewczyny o jej pozycji społecznej, spacerującej samotnie - całymi godzinami wyczekiwała pod drzwiami dla aktorów, żeby nie przegapić chwili, gdy mistrz będzie wysiadał z powozu. W niedzielę wieczorem zwrócił uwagę na stojącą na ulicy piękność i podszedł, żeby ją zagadnąć. Drżąc na całym ciele, odpowiedziała na jego pytania i wyznała mu swój podziw dla niego oraz pragnienie, by pójść w jego ślady wyboistą, ale boską ścieżką belcanta, jak to ujęła.

- Proszę przyjść po przedstawieniu do mojej garderoby i zobaczymy, co mogę dla pani zrobić - odparł swoim cudownym głosem z silnym austriackim akcentem.

Tak też zrobiła, czując się, jakby już ją niosły skrzydła sławy. Kiedy zakończyła się owacja na stojąco, zgotowana Karłowi Bretznerowi przez publiczność, wysłany przez niego woźny zaprowadził ją za kulisy. Nigdy przedtem nie widziała teatru od wewnątrz, jednak nie traciła czasu na oglądanie wymyślnych maszyn do wywoływania burzy ani pejzaży namalowanych na kurtynach; jedynym jej celem było poznać swego idola. Kiedy go ujrzała, ubrany był w lamowany złotem aksamitny szlafrok w kolorze królewskiego błękitu, na twarzy miał jeszcze makijaż, a na głowie kunsztowną perukę z pukli białych włosów. Woźny

zostawił ich samych i zamknął drzwi. W pokoju pełnym luster, mebli i kotar unosił się zapach tytoniu, szminek i pleśni. W którymś kącie stał parawan z wymalowanymi scenami, przedstawiającymi rumiane kobie-cy w tureckim haremie, a na hakach wystających ze ścian wisały operowe kostiumy. Ujrawszy swego idola z bliska, przez parę chwil Rosę czuła, jak entuzjazm z niej ulatuje, jednakże śpiewak prędko odzyskał stracone pole. Ujął jej dłonie w swoje, podniósł je do ust i złożył na nich długi pocałunek, po czym wypuścił z piersi dźwięk do, który wprowadził w drżenie parawan z odaliskami. Ostatnie skrupuły Rosę runęły niczym mury Jerycha w obłoku kurzu, który uniósł się z peruki, kiedy artysta zerwał ją z głowy namiętym i zdecydowanie męskim gestem i cisnął ją na fotel, na którym spoczęła nieruchomo niczym martwy królik. Włosy miał przyplaszczony pod gęstą siatką, co - w połączeniu z makijażem - czyniło go podobnym do wysłużonej kurtyzany.

Na tym samym fotelu, na który upadła peruka, w kilka dni później, dokładnie kwadrans po trzeciej, Rosę oddała mu swoje dziewictwo. Owego wtorku, kiedy nie miało być spektaklu, wiedeński tenor umówił się z nią pod pretekstem pokazania jej teatru. Spotkali się ukradkiem w jakiejś cukierni, w której on z wdziękiem skonsumował pięć eklerów z bitą śmietaną i dwie filiżanki czekolady, podczas gdy ona mieszała swoją herbatę, nie mogąc jej przełknąć ze strachu i w przeczuciu tego, co miało nastąpić. Prosto stamtąd udali się do teatru. O tej porze było tam tylko parę kobiet sprzątających widownię i człowiek zajmujący się oświetleniem, który przygotowywał lampki oliwne, pochodnie i świece na następny dzień. Karl Bretzner, biegły w sztucz-kach miłosnych, niczym iluzjonista wyczarował butelkę szampana i nalał sobie i Rosę po kieliszku, które wychylili, wznosząc toast za Mozarta i Rossiniego. Zaraz potem usadowił dziewczynę w wybitej pluszem łoży, w której zasiadał jedynie król, ozdobionej od góry do dołu pyzatymi gipsowymi amorkami i różami, a sam ruszył ku scenie. Stanąwszy na kawałku tekturowej malowanej kolumny w świetle świeżo zapalonych pochodni wyśpiewał tylko dla niej arię Z Cyrulika sewilskiego, w niekończących się koloraturach dowodząc całej swej sprawności wokalne i słodkiego brzmienia swego głosu. Kiedy ucichła ostatnia nuta tego hołdu, uszu jego dosięgło dalekie szlochanie Rosę Sommers. Z nieoczekiwaną zwinnością pędem rzucił się ku niej, przebiegł salę widowni, dwoma susami wspiał się do łoży i padł na kolana u stóp dziewczyny. Bez tchu złożył swoją wielką głowę na jej spódnicy, chowając twarz w jedwabnych fałdach w kolorze mchu. Płakał razem z nią, ponieważ - nie mając takiego zamiaru - również i on się zakochał: to, co zaczęło się jak każdy inny chwilowy podbój, w ciągu kilku zaledwie godzin przekształciło się w pełną żaru namiętność.

Rosę i Karl wstali, opierając się jedno o drugie, zdjęci strachem wobec nieuchronnego,

i potykając się, sami - nie wiedząc jak, przeszli wzdłuż długiego korytarzyka, w którym panował półmrok, wspięli się na niewielkie schodki i dotarli do tej części teatru, w której mieściły się garderoby. Na jednych z drzwi widniało nazwisko tenora wypisane kursywą. Weszli do pokoju pełnego mebli i luksusowych tkanin, w którym dwa dni wcześniej po raz pierwszy byli sam na sam. Nie było w nim okna, więc na chwilę zniknęli w kryjówce mroku, gdzie - podczas gdy tenor zapalał najpierw zapalkę, a następnie pięć świec kandelabru - zdolali na nowo złapać oddech, zagubiony wcześniej pośród szlochu i westchnień. W drżącym świetle żółtego światła płomyków, zmieszani i nie-zręczni, patrzyli na siebie z podziwem, czując wzbierający w sobie strumień emocji, lecz nie mogli wymówić ani słowa. Rosę nie wytrzymała przeszywającego ją spojrzenia i ukryła twarz w dłoniach, ale on oderwał je z tą samą delikatnością, z jaką wcześniej dzielił na cząstki ciastka z bitą śmietaną. Zaczęli od leciutkich niczym uderzenia dziobków gołębi łzawych muśnięć, które naturalną kolejną rzeczą przerodziły się w pocałunki poważne i głębokie. Rosę miała za sobą czule, pełne wahań i uników, spotkania z konkurentami i niektórzy z nich zdolali dotknąć ustami jej policzka, ale nigdy nie wyobrażała sobie, aby można było dojść do takiego stopnia intymności, żeby język tego drugiego splatał się z jej własnym niczym figlarny wąż, a cudza ślina moczyła ją z zewnątrz i wdzierала się do środka, jednakże początkowa odraza szybko została pokonana przez jej młodzieńczy poryw i entuzjizm dla liryki. Nie dość, że z równym zapalem oddała pieszczoty, to jeszcze przejęła inicjatywę, pozbywając się kapelusza i szarej karakułowej pelerynki okrywającej jej ramiona. Od tego - do rozpięcia guzików żakietu, a następnie bluzki - wystarczyło już tylko kilka umożliwiających ów zamysł ruchów. Wiedziona instynktem i zaznajomiona z lekturą zakazanych książek, jakie wcześniej podkrađała cichaczem z półek ojca, dziewczyna krok po kroku potrafiła odtńczyć kopulacyjny taniec. Był to najbardziej pamiętny dzień w jej życiu i miała go odtwarzać w najdrobniejszych szczegółach, które w późniejszych latach upiększała aż do przesady. Miało to być jedyne źródło jej doświadczenia i wiedzy, jedyny motyw inspiracji, jaki ożywiał jej wyobraźnię i pozwolił, w wiele lat później, rozwinąć sztukę, jaka w pewnych - bardzo sekretnych kręgach - miała jej przynieść sławę. Ów cudowny dzień mógł - pod względem intensywności przeżyć - równać się jedynie z pewnym dniem marca - w dwa lata później, w Valparaiso - kiedy to wpadła jej w ramiona nowo narodzona Eliza, na pociechę po dzieciach, których nie miała urodzić, mężczyznach, których nie miała kochać i domowym ognisku, którego nigdy nie miała założyć.

Wiedeński tenor okazał się wyrafinowanym kochankiem. Kochał i znał kobiety dogłębnie, ale potrafił wymazać z pamięci dawne rozproszone miłości, frustrację licznych

pożeg-nań, zazdrość, ekscesy i zdrady innych związków, aby z cał-kowitą niewinnością oddać się krótkotrwałej namiętności do Rosę Sommers. Swego doświadczenia nie czerpał z pełnych patosu objęć mizernych kurewek; Bretzner szczyił się tym, że nie musiał płacić za przyjemność, gdyż kobiety wszelkiego autoramentu - od skromnych pokojówek po dumne księżne - składały mu hołd bez żadnych warunków, na sam dźwięk jego głosu. Sztuki miłosnej nauczył się jednocześnie ze sztuką śpiewu. Śpiewał już od dziesięciu lat, kiedy zakochała się w nim kobieta, która miała stać się jego mentorką.

- Francuzka o oczach tygrysa i piersiach z alabastru - a miała wystarczająco dużo lat, by być jego matką. Ona sama do-stąpiła wtajemniczenia w wieku lat trzynastu we Francji za sprawą mężczyzny nazwiskiem Donatien - Alphonse - Francois de Sade. Będąc córką dozorca więziennego z Bastylii, poznała sławnego markiza w jakiejś plugawej celi, gdzie przy płomyku świecy spisywał swe perwersyjne historie. Kierowana zwykłą dziecięcą ciekawością przychodziła przyglądać mu się przez żelazne pręty celi, nie wiedząc, że jej ojciec sprzedał ją więźniowi za złoty zegarek, stanowiący ostatnią własność zubożałego szlachcica. Pewnego ranka, kiedy zaglądała przez judasz, ojciec odpiął od pasa pęk wielkich kluczy, otworzył drzwi i jednym ruchem wepchnął dziewczynkę do celi, jakby ją rzucał lwom na pożarcie. Co się tam wydarzyło, nie mogła sobie przypomnieć, dość że została z markizem, cierpiąc z nim na wolności jeszcze większą nędzę, niż to miało miejsce pośród więziennych murów, i ucząc się od niego wszystkiego, czego był ją w stanie nauczyć. Kiedy w roku 1802 de Sade trafił do domu dla obłąkanych w Charenton, została na ulicy bez grosza przy duszy, za to dysponując rozległą wiedzą miłosną, która pozwoliła jej zdobyć męża pięćdziesiąt dwa lata starszego od siebie, właściciela ogrom-nej fortuny. Mężczyzna ten - wyczerpany ekscesami młodej małżonki - zmarł po krótkim czasie, pozostawiając ją naresz-cie wolną i na tyle zamożną, by mogła robić, na co jej przyjdzie ochota. Miała trzydzieści cztery lata, przeżyła bru-talne terminowanie u boku markiza, nędzną młodość, kiedy do przeżycia musiała jej wystarczyć skórka chleba, zamęt rewolucji francuskiej, grozę wojen napoleońskich, teraz zaś przyszło jej znosić dyktatorskie represje Cesarstwa. Miała dość. Postanowiła poszukać jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie by mogła spędzić resztę swych dni, i wybór jej padł na Wiedeń. Właśnie na tym etapie swego życia poznała Karla Bretznera, syna sąsiadów, który liczył sobie wówczas zaledwie dziesięć lat, ale już wtedy śpiewał niczym słowik w chórze katedry. Dzięki niej, wówczas już przyjaciółki i powiernicy rodziny Bretznerów, mały uniknął kastracji, co - dla za-chowania jego głosu cherubina - sugerował dyrektor chóru.

- Nie dotykajcie go, a w krótkim czasie będzie najlepiej opłacanym tenorem Europy - wyróżyla piękność. Nie omy-liła się.

Pomimo ogromnej różnicy wieku między nią i małym Karlem narodził się niezwykle związek. Ona podziwiała czys-tość uczuć i talent muzyczny, jaki przejawiał chłopiec; on znalazł w niej mużę, która nie tylko ocaliła jego męskość, ale także nauczyła go jej używać. Do chwili, kiedy definitywnie zmienił głos i zaczął się golić, zdążył rozwinąć przysłowiową zdolność eunuchów do usatysfakcjonowania kobiety w sposób nie przewidziany przez naturę ani obyczaj, jednak z Rosę Sommers nie chciał ryzykować. Żadnych ognistych ataków pośród zbyt śmiałych pieszczot, gdyż nie chodziło mu o to, aby zaszokować ją trickami rodem z seraju - postanowił; nie podejrzewał, że wystarczą niespełna trzy lekcje praktyczne, aby jego uczennica pobiła go na głowę, jeśli chodzi o pomys-łowość. Był człowiekiem dbałym o szczegóły i znał o bezwład-niającą moc słowa stosownego w miłosnej godzinie. Lewą ręką, jeden po drugim, odpiął jej na plecach maleńkie guzi-czki z masy perłowej, podczas gdy prawą wyjmował szpilki z włosów, nie wypadając z rytmu pocałunków, jakich jej nie szczędził na zmianę z pochlebstwami. Mówił o wąsności jej talii, o pierwotnej bieli cery, o klasycznej krągłości szyi i ramion, wywołujących w nim pożar i szaleństwo wymykające się wszelkiej kontroli.

- Szaleję za tobą... Nie wiem, co się ze mną dzieje, nigdy nie kochałem i nie pokocham nikogo tak jak ciebie. To spotkanie zgotowali nam bogowie, naszym przeznaczeniem jest się kochać - mamrotał raz po raz.

Wyrecytował cały repertuar, ale uczynił to bez złych inten-cji, głęboko przekonany o własnej uczciwości i olśniony Rosę. Rozwiązał jej tasiemki gorsetu i powoli wydobywał ją z halek, aż została w końcu w samych długich majtkach z batystu, i koszulce, tak zwiewnej, jakby utkanej z niczego, przez którą prześwitywały truskawki jej sutków. Nie zdjął jej bucików z kurdybanu z powykręcanyimi obcasami ani białych poń-czoszek podtrzymywanych na wysokości kolan haftowanymi podwiązkami. W tym miejscu zatrzymał się zasapany, dysząc ciężko, czując w piersiach huk całej ziemi, w przekonaniu, że Rosę Sommers to najpiękniejsza kobieta wszechświata, istny anioł, i że - o ile się nie uspokoi - serce wybuchnie mu jak petarda. Bez trudu wziął ją na ręce, przeszedł przez pokój i postawił przed wielkim lustrem w złożonych ramach. Migot-liwe światło świec i wiszące na ścianach kostiumy teatralne, w pomieszaniu brokatów, piór, aksamitów i wyblakłych koro-nek, nadawały scenie nierzeczywisty wygląd.

Bezwolna, oszłomiona od emocji Rosę spojrzała na siebie w lustrze i nie poznała owej kobiety w białźnie, z włosami w nieładzie i płonąącymi policzkami, którą jakiś równie nie-znany mężczyzna całował w szyję, otwartymi dłońmi piesz-cząc jednocześnie jej piersi. Owa pełna pożądlivosti przerwa dała tenorowi szansę na złapanie oddechu i odzyskanie

niejakiej jasności umysłu, utraconej podczas pierwszego natarcia. Stojąc twarzą do lustra, bez zażenowania zaczął się rozbierać i - trzeba przyznać - nago wyglądał znacznie lepiej niż w ubraniu. Przydałby mu się dobry krawiec, pomyślała Rosę, która nigdy przedtem nie widziała nagiego mężczyzny, nawet swoich braci w dzieciństwie, a jej znajomość rzeczy pochodziła z wyolbrzymiających je opisów drukowanych w pi-kantnych książkach oraz z japońskich pocztówek, odkrytych przez nią w bagażu Johna, na których męskie organy przedstawione były z zachowaniem iście optymistycznych proporcji. Różowy i wyprężony korniszon, jaki ukazał się jej oczom, nie przstraszył jej, czego obawiał się Karl Bretzner, ale wywołał u niej niepohamowany i radosny wybuch śmiechu. To nadało ton wszystkiemu, co nadeszło potem. Zamiast odbyć uroczystą i raczej bolesną ceremonię, jaką zwykle bywa defloracja, oni, swawoląc i dokazując jak dzieci, ganiali się po pokoju, przeskakując przez meble, wypili resztkę szampana i otworzyli następną butelkę, którą wylali na siebie pienistym strumieniem, śmiejąc się mówili sobie świństwa, a szepcząc zaklęcia, gryźli się, lizali i podniecali bez skrpułów w bezdennej czeluści świeżo odkrytej miłości, a trwało to przez cały wieczór i sporą część nocy, gdyż na śmierć zapomnieli o godzinie i reszcie świata. Tylko oni istnieli. Wiedeński tenor wyniósł Rosę na epickie wysokości, ona zaś, będąc pilną uczennicą, poszła za nim bez wahania, a znalazłszy się na szczycie, z zadziwiającym wrodzonym talentem sama rzuciła się do lotu, kierując się wskazówkami i pytając o to, czego nie potrafiła się domyślić, olśniewając mistrza i ostatecznie pokonując go swą improwizowaną zręcznością i zmuszającym do milczenia darem swej miłości. Kiedy wreszcie udało im się od siebie oderwać i powrócić do rzeczywistości, zegar wskazywał dziesiątą w nocy. Teatr był pusty, na zewnątrz panowała ciemność, a na dodatek opadła mgła, gęsta niczym beza.

Dopóki w Londynie nie zakończył się sezon teatralny, dopóty między kochankami trwała ożywiona wymiana liścików, kwiatów, cukierków, przepisanych skądś wierszy i małych relikwii sentymentalnych. Spotykali się, gdzie tylko mogli, namiętność odebrała im zdrowy rozsądek. Dla zyskania na czasie szukali pokoi w hotelach położonych bliżej teatru, nie przejmując się, iż mogliby zostać rozpoznani. Rosę wymykała się z domu, wymyślając żalosne wymówki, a jej zatrwożona matka nic nie mówiła Jeremy'emu o swych podejrzeniach, modląc się tylko o to, aby rozpasanie jej córki okazało się chwilowe i minęło, nie pozostawiając śladów. Karl Bretzner wpadał na próby spóźniony, od ciągłego rozbierania się o przeróżnych porach przeziębził się i w dwóch przedstawieniach nie mógł zaśpiewać, jednakże - daleki od myśli, by tego żałować - wykorzystał ten czas, by się kochać, czując dodatkowe podniecenie wywołane gorączką. W wynajętym pokoju zjawiał się, przynosząc kwiaty dla Rosę, szampana do wznoszenia toastów i do kąpieli, ciasteczka z bitą śmietaną,

napisane w locie wiersze do czytania w łóżku, aromatyczne olejki, którymi nacierali sobie niedostępne dotychczas zakamarki ciała, erotyczne książki, które kartkowali w poszukiwaniu najbardziej inspirujących scen, strusia pióra do łaskotania i całe mnóstwo innych środków pomocniczych przeznaczonych do zabawy. Dziewczyna czuła, że się otwiera niczym jakiś mięsożerny kwiat, rozsiewa zgubne zapachy, aby przyciągnąć mężczyznę jak owada, zmiażdżyć go, połknąć, przetrawić i na koniec wypluć jego kosteczki jak drzazgi. Była naładowana niepohamowaną energią, dusiła się, ani przez chwilę nie mogła usiedzieć na miejscu, trawiona niecierpliwością. Tymczasem Karl Bretzner miotał się, zmieszany, między uniesieniem wiodącym go niemalże na skraj szaleństwa a wyczerpaniem; starał się wypełniać swoje muzyczne zobowiązania, jednakże widać było, jak marnieje w oczach, w związku z czym bezlitośni krytycy orzekli, iż słysząc, jak wiedeński tenor wykonuje - a właściwie wykańcza - jego kompozycje, Mozart z całą pewnością przewraca się w grobie.

Zdjęci paniką kochankowie widzieli, jak zbliża się chwila rozstania, i doszli do etapu, kiedy zdali sobie sprawę z przeszkód piętrzących się przed ich miłością. W swoich rozważaniach wahali się między ucieczką do Brazylii a wspólnym samobójstwem, jednakże przez myśl im nie przeszło takie rozwiązanie jak ślub. Ostatecznie apetyt na życie okazał się silniejszy niż tragiczna pokusa i po ostatnim spektaklu wynajęli powóz, i udali się na wakacje na północ Anglii, do pewnego wiejskiego zajazdu. Postanowili nacieszyć się sobą, spędzając incognito owe dni, zanim Karl Bretzner wyruszy do Włoch, gdzie miał do wypełnienia inne kontrakty. Rosę miała się z nim spotkać w Wiedniu, jak tylko ukochany znajdzie odpowiednie mieszkanie, zainstaluje się i przyśle jej pieniądze na podróż.

Właśnie jedli śniadanie pod daszkiem na tarasie zajazdu, z nogami okrytymi wełnianym kocem, ponieważ wiatr wybrzeża był ostry i zimny, kiedy przerwał im Jeremy Sommers, oburzony i uroczysty niczym prorok. Rosę zostawiła za sobą takie mnóstwo śladów, że brat z łatwością zlokalizował miejsce jej pobytu i dotarł za nią aż do owego oddalonego kąpieliska. Na jego widok głośno krzyknęła - raczej z zaskoczenia niż ze strachu, gdyż miłosny zamęt dodał jej odwagi. W tym momencie po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła, i ciężar konsekwencji objawił się jej w całej rozciągłości. Poderwała się na równe nogi, gotowa bronić swego prawa do życia takiego, na jakie przyjdzie jej ochota, jednak brat nie dał jej czasu się odezwać i zwrócił się bezpośrednio do tenora.

- Winien pan jest mojej siostrze pewne wyjaśnienie. Przypuszczam, że nie powiedział jej pan, że jest żonaty i ma dwoje dzieci - wypalił prosto z mostu do uwodziciela.

Była to jedyna rzecz, jaką Karl Bretzner pominął w rozmowach z Rosę. Aż do

przesytu opowiadali sobie wszystko, wyznał jej nawet najintymniejsze szczegóły swych poprzednich miłostek, nie zapominając o ekstrawagancjach markiza de Sade, o których opowiedziała mu jego mentorka, Francuzka o tygrysiach oczach, gdyż dziewczyna wykazywała chorobliwą ciekawość, dopytując się, kiedy, z kim, a zwłaszcza jak się kochał od ukończenia dziesięciu lat do dnia poprzedzającego ich spotkanie. I wszystko to zrelacjonował jej bez skrpułów, zauważywszy, jak jej się podobało to, co słyszała, i jak wprowadzała to do swej własnej teorii i praktyki. Jednak o żonie i dzieciach nie wspomniał ani słowem, z litości dla tej pięknej dziewczyny, która oddała mu się, nie stawiając żadnych warunków. Nie chciał zniszczyć magii tego spotkania: Rosę Sommers zasługiwała na to, by w pełni nacieszyć się swą pierwszą miłością.

- Jest mi pan winien satysfakcję - z tymi słowami Jeremy Sommers cisnął mu w twarz rękawiczkę.

Karl Bretzner był człowiekiem światowym i nie zamierzał zniżać się do barbarzyństwa, dając się wyzwać na pojedynek. Zrozumiał, że nadeszła chwila, by się wycofać, i żałował, że nie dane mu jest spędzić kilka chwil z Rosą na osobności, by spróbować jej wszystko wyjaśnić. Nie chciał jej zostawiać ze złamanym sercem i przeświadczeniem, że uwiódł ją w złych zamiarach, aby ją następnie porzucić. Pragnął jeszcze raz jej powiedzieć, jak bardzo naprawdę ją kocha i jak żałuje, że nie jest wolny, aby móc spełnić marzenia ich obojga, ale z twarzy Jeremy'ego Sommersa wyczytał, iż ten nie zamierza mu na to pozwolić. Jeremy ujął pod rękę siostrę, która stała jak osłupiała, i ze stanowczością zaprowadził ją do powozu, nie dając jej szansy pożegnać się z kochankiem ani zabrać niewielkiego bagażu. Zawiózł ją do Szkocji, do domu jednej z ciotek, gdzie miała pozostać do czasu, aż wyjaśni się jej stan. Gdyby zdarzyło się najgorsze nieszczęście, jak Jeremy nazwał ciężę, jej życie i honor rodziny byłyby zaprzepaszczone raz na zawsze.

- Nikomu o tym ani słowa, nawet mamie i Johnowi, zrozumiałaś? - było to jedyne, co usłyszała w trakcie podróży.

Rosę przeżyła kilka tygodni w niepewności, aż się przekonała, że nie jest brzemienna. Wiadomość ta przyniosła jej ogromną ulgę, jakby niebiosa udzielały jej rozgrzeszenia. Kara potrwała jeszcze trzy miesiące, które spędziła, robiąc na drutach ubrania dla biednych, czytając i pisząc coś ukradkiem, nie uroniwszy choćby jednej łzy. W tym czasie zastanowiła się nad swoim losem i coś w niej musiało się przewartościować, gdyż kiedy skończyła się jej kwarantanna w domu ciotki, była już inną osobą. Tylko ona sama zdawała sobie sprawę z tej zmiany. Ponownie pojawiła się w Londynie taka sama jak przed wyjazdem, uśmiechnięta, spokojna, zainteresowana śpiewem i lekturą, bez słowa wyrzutu wobec Jeremy'ego za

wyrwanie jej z ramion kochanka i nie czując nostalgii za mężczyzną, który ją oszukał, zachowując olimpijski spokój, jakby nie zdawała sobie sprawy z ludzkiej obmowy ani ze zboląłych twarzy członków rodziny. Na zewnątrz wydawała się tą samą dziewczyną co przedtem, nawet matka w jej doskonałej postawie nie mogła znaleźć najmniejszej rysy, która pozwoliłaby wyrzucać coś córce lub doradzać. Z drugiej strony, wdowa nie była w stanie ani jej pomagać, ani bronić, gdyż w szybkim tempie toczył ją rak. Jediną zmianą w zachowaniu Rosę był pewien kaprys: całe godziny spędzała Zamknięta w swoim pokoju i coś pisała. Drobnymi literkami zapelniała tuziny zeszytów, które trzymała pod kluczem. Jako że nigdy nie próbowała wysłać żadnego listu, Jeremy Sommers, który niczego się tak nie obawiał, jak szyderstwa, przestał się przejmować jej nałogową pisaniną i doszedł do wniosku, że siostra zrobiła dobry użytek z rozumu i zapomniała o nieszczęsnym wiedeńskim tenorze. Jednak ona nie dość, że o nim nie zapomiała, to jeszcze z całą wyrazistością pamiętała każdy szczegół tego, co zaszło, i każde wypowiedziane albo wyszeptane słowo. Jedyne, co wymazała z pamięci, to rozczarowanie na wieść o tym, że była oszukiwana. Żona i dzieci Karla Bretznera po prostu zniknęły, jako że na ogromnym fresku jej wspomnień o pierwszej miłości nigdy nie było dla nich miejsca.

Zamykając się na odludziu w domu ciotki w Szkocji, nie zdołała uniknąć skandalu, jednak w obliczu faktu, iż plotki nie znalazły potwierdzenia, nikt nie ośmielił się zrobić rodzinie otwartego afrontu. Jeden po drugim powrócili liczni konkurenci, którzy wcześniej otaczali Rosę, jednak oddaliła ich pod pretekstem choroby matki. Jeśli się o czymś nie mówi, to jakby nigdy się nie wydarzyło, utrzymywał Jeremy Sommers, gotów milczeniem zatrzeć wszelki ślad po tym epizodzie. Haniebna eskapada Rosę zawisła w niebycie rzeczy nienazwanych, chociaż czasami rodzeństwo robiło sobie przytyki, odświeżające ich wzajemne urazy, lecz zarazem łączące wspólną tajemnicą. W wiele lat później, kiedy dla nikogo nie miało to już znaczenia, Rosę zdobyła się na odwagę i wyznała wszystko bratu Johnowi, przed którym odgrywała zawsze rolę rozkapryzonego i niewinnego dziewczątka. Wkrótce po śmierci matki Jeremy Sommers otrzymał propozycję objęcia biura Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej w Chile. Wyjechał na drugą stronę świata, zabierając ze sobą siostrę Rosę wraz z ich nietkniętą tajemnicą.

Z końcem zimy 1830 roku dotarli do Valparaiso, które było jeszcze wtedy wioską, ale już istniały w nim kompanie handlowe i mieszkaly rodziny europejskie. Rosę uznała wyjazd do Chile za swoją karę, którą przyjęła ze stoickim spokojem i rezygnacją, zdecydowana owym nieodwracalnym wygnaniem zapłacić za swój błąd, nie pozwalając jednak, aby ktokolwiek, a już najmniej brat Jeremy, domyślił się, jaka jest zrozpaczona. Dyscyplina, którą

sobie narzuciła, zabraniająca jej się skarżyć i nawet we śnie mówić o utraconym kochanku, utrzymywała ją w ryzach, kiedy przytłaczały ją przeciwności losu. Rozgościła się w hotelu najwygodniej, jak mogła, próbując chronić się przed wichrami i wilgocią, jako że wybuchła właśnie epidemia dyfterytu, którą miejscowi cyrulicy zwalczali okrutnymi i zbytecznymi operacjami chirurgicznymi, jakie przeprowadzali przy użyciu zwykłych noży. Wiosna, a następnie lato poprawiły nieco jej złą opinię o tym kraju. Postanowiła zapomnieć o Londynie i wykorzystać swą nową sytuację, na przekór temu, iż znalazła się w prowincjonalnym otoczeniu, a wiatr od morza nawet w słoneczne południa przenikał ją aż do szpiku kości. Przekonała brata, ten zaś swoje biuro, o konieczności wynajęcia na koszt firmy jakiegoś przyzwoitego domu i sprowadzenia mebli z Anglii. Przedstawiła to jako kwestię autorytetu i prestiżu: niemożliwe, aby przedstawiciel tak ważnego przedsiębiorstwa zatrzymał się w jakimś podejrzanym hotelu. W osiemnaście miesięcy później, kiedy w życie ich wkroczyła mała Eliza, rodzicielstwo mieszało już w dużym domu na Cerro Alegre. Miss Rosę relegowała dawnego kochanka do zamkniętego na cztery spusty zakątka pamięci i wszystkie swe siły poświęciła zdobyciu uprzywilejowanego miejsca w towarzystwie, w jakim żyła. W następnych latach Valparaiso rosło i modernizowało się w tym samym tempie, w jakim ona rozstawiała się ze swoją przeszłością, stając się wspaniałą i na pozór szczęśliwą kobietą, która w jedenaście lat później miała podbić serce Jacoba Todda. Fałszywy misjonarz nie był pierwszym, którego odrzuciła; nie wydawała się zainteresowana zamążpójściem. Odkryła niezwykłą formułę, dzięki której nadal mogła trwać w idyllicznym romansie z Karlem Bretznerem, wciąż na nowo przeżywając wszystkie chwile swej obrazoburczej namiętności na równi z majakami, które jawiły się jej w ciszy panińskich nocy.

MIŁOŚĆ

Nikt nie mógł wiedzieć lepiej niż Miss Rose, co się dzieje w chorej na miłość duszy Elizy. Natychmiast domyśliła się, o którego mężczyznę chodzi, gdyż tylko ślepy mógłby nie dostrzec związku między obłędem dziewczyny a wizytą pracownika jej brata, który przywiózł skrzynie ze skarbami Feliciana Rodrigueza de Santa Cruz. W pierwszym odruchu chciała jednym pociągnięciem pióra skreślić młodzieńca z listy potencjalnych konkurentów, jako biedaka bez znaczenia, jednak szybko przypomniała sobie, że i ona na własnej skórze odczuła jego niebezpieczną atrakcyjność i nie mogła go sobie wybić z głowy. To prawda, że na pierwszy rzut oka uwagę jej zwróciło jego pocerowane ubranie i posępna bladość, jednak już drugie spojrzenie wystarczyło, by móc docenić otaczającą go tragiczną aurę wyklętego poety. Haftując zawzięcie w pokoiku do szycia, po tysiącokroć rozważała ów kaprys losu, który mieszał jej szyki i komplikował plany znalezienia dla Elizy pobłażliwego i majątnego małżonka. Jej myśli były jednym pasmem intryg i knoń mających na celu zabicie tej miłości, zanim jeszcze na dobre się zacznie, poczynając od wysłania Elizy do Anglii, do szkoły z internatem dla panienek, albo do Szkocji, do jej wiekowej ciotki, kończąc na poinformowaniu o wszystkim brata, aby ten pozbył się swego pracownika. Niemniej jednak, w głębi serca - i wbrew jej woli - dojrzywało w niej ukryte pragnienie, aby Eliza przeżyła swą namiętność aż się wyczerpie, aby zrekompensować straszliwą pustkę, jaką osiemnaście lat wcześniej w jej własnym życiu pozostawił tenor. Tymczasem dla Elizy, targanej burzą sprzecznych uczuć, godziny płynęły przeraźliwie powoli. Nie wiedziała, czy to dzień czy noc, wtorek czy piątek i czy od chwili, gdy poznała młodzieńca, minęło parę godzin czy wiele lat. Nagle doznała wrażenia, że jej krew zaczyna się pieniść, a skóra pokrywa sińcami, które znikają w sposób tak samo nieoczekiwany i niewytłumaczalny, jak się pojawiły. Widziała ukochanego wszędzie: w cieniu zakamarków, w kształtach chmur, w filiżance herbaty, a przede wszystkim w snach. Nie znała jego nazwiska, a nie miała śmiałości pytać Jeremy'ego Sommersa, gdyż obawiała się, że wzbudzi falę podejrzeń, za to całymi godzinami obmyślała imię, jakie byłoby dla niego odpowiednie. Rozpaczliwie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o swojej miłości, przeanalizować każdy szczegół krótkiej wizyty młodzieńca, rozważyć to, co przemilczeli, co powinni sobie powiedzieć, co zamierzali i co sobie przekazali spojrzeniami i rumieńcami, jednak nie było nikogo, komu mogłaby zaufać. Marzyła, żeby przyjechał kapitan John Sommers, wujek o zacięciu flibustiera, który był najbardziej fascynującą postacią jej dzieciństwa, jedyny, który potrafiłby ją zrozumieć i

pomóc w takiej chwili. Nie miała cienia wątpliwości, że Jeremy Sommers, gdyby się dowiedział, wypowiedziałby skromnemu pracownikowi swojej firmy bezpar-donową wojnę, natomiast nie umiała przewidzieć, jakie stanowisko zajęłaby Miss Rose. Uznała, że im mniej wiedziano w domu, tym więcej swobody działania będą mieli ona i jej przyszły narzeczony. Ani na chwilę nie dopuszczała do siebie myśli, że jej uczucie mogłoby nie wywołać równie żarliwego oddźwięku, gdyż wydawało jej się po prostu niemożliwe, aby miłość tej miary miała oszołomić wyłącznie ją. Najbardziej elementarna logika i sprawiedliwość wskazywały na to, że w jakimś punkcie miasta on cierpiał te same rozkoszne katusze.

Eliza chowała się po kątach, aby dotykać swego ciała w miejscach nigdy dotąd nie badanych. Zamykała oczy, a wówczas to jego ręka pieściła ją z delikatnością ptasiego skrzydła, to jego usta całowała w lustrze, jego obejmowała, tuląc się do poduszki, jego miłosne szepty przynosił jej wiatr. Nawet jej sny nie umknęły władzy Joaquina Andiety. Widzia-ła, jak się pojawia niczym ogromny cień, rzucający się na nią, aby na tysiąc nedorzecznych i niepokojących sposobów pożreć ją żywcem. Czy był kochankiem, demonem czy ar-chaniołem - nie wiedziała. Nie chciała się obudzić i z fana-tyczną determinacją wykorzystywała w praktyce umiejętność wchodzenia do snów i wychodzenia z nich zależnie od własnej woli, jak nauczyła ją Mama Frezja. Sztukę tę opanowała do tego stopnia, że jej iluzoryczny kochanek zjawiał się przed nią i wyglądał tak realnie, jakby był człowiekiem z krwi i kości; mogła go dotknąć, powąchać i z bliska wsłuchiwać w jego jasny głos. Gdyby mogła w ogóle się nie budzić, nic więcej nie byłoby jej potrzebne do szczęścia: mogłaby leżeć w łóżku i bez przerwy go kochać, myślała. I byłaby umarła w obłędzie tej namiętności, gdyby Joaquin Andieta nie pojawił się w do-mu w tydzień później, żeby zabrać pakunki ze skarbami i odesłać je klientowi na północ.

Już poprzedniej nocy wiedziała, że przyjdzie, jednak nie za sprawą instynktu ani przeczucia, jak to w wiele lat później miała zasugerować Tao Chi'enowi, tylko dlatego, że przy kolacji usłyszała, jak Jeremy Sommers wydawał polece-nia siostrze i Mamie Frezji.

- Po ładunek zgłosi się ten sam pracownik, który go przywiózł - dodał mimochodem, nie domyślając się, jaki huragan emocji budzą jego słowa w trzech kobietach, u każ-dej z innego powodu.

Dziewczyna spędziła pierwsze pół dnia na tarasie, śledząc drogę pnącą się wzdłuż wzgórza ku domowi. Około południa zobaczyła wóz ciągnięty przez sześć mulic, za którym jechali konno uzbrojeni chłopci. Poczula lodowaty spokój, jakby już umarła; nie zdawała sobie sprawy, że Miss Rose i Mama Frezja obserwują ją z głębi domu.

- Tyle wysiłku, żeby ją wykształcić, a ona zakochuje się w pierwszym lepszym

chłystku, jaki nawinie się jej pod rękę - wymamrotała przez zęby Miss Rosę.

Postanowiła uczynić wszystko, żeby zapobiec nieszczęściu, jednakże robiła to bez większego przekonania, gdyż zbyt dobrze знаła niewzruszoną niezłomność pierwszej miłości.

- Ja wydam ładunek. Powiedz Elizie, żeby wracała do domu, i pod żadnym pozorem nie pozwól jej wyjść - roz-kazała.

- A niby jak mam to zrobić? - zapytała Mama Frezja niechętnie.

- Zamknij ją, gdyby to okazało się konieczne.

- To niech ją pani sama zamknie, o ile pani zdoła. Mnie proszę w to nie mieszać - odpowiedziała i odeszła, szurając chodakami.

Nie udało się zapobiec temu, aby dziewczyna podeszła do Joaquina Andiety i podała mu list. Uczyniła to bez skrępowania, patrząc mu w oczy z tak dziką determinacją, że Mama Frezja nie zdobyła się na to, by temu przeszkodzić, a Miss Rosę - żeby list przechwycić. Wówczas obie kobiety pojęły, że zauroczenie było znacznie silniejsze, niż to sobie wyobrażały, i że, aby je odczynić, nie wystarczą drzwi zamykane na cztery spusty, ani pobłogosławione świece. Młodzieniec również spędził ów tydzień zafascynowany dziewczyną, którą uznał za córkę swego pracodawcy, Jeremy'ego Sommersa, i jako taką - absolutnie nieosiągalną. Nie domyślał się wrażenia, jakie na niej wywarł, i nawet mu przez myśl nie przeszło, iż częstując go podczas poprzedniej wizyty ową pamiętną szklanką soku, wyznaje mu miłość, w związku z czym nie na żarty się przestraszył, kiedy tym razem podała mu zamkniętą kopertę. Zmieszany włożył ją do kieszeni i dalej nadzorował załadunek skrzyń na wóz, czując, jak uszy mu płoną, ubranie nasiąka potem, a plecy przebiega gorączkowy dreszcz. Stojąca nieruchomo i milcząca Eliza wpatrywała się w niego uporczywie z odległości kilku kroków, udając, że nie widzi wściekłego wyrazu twarzy Miss Rosę i przygnębionego Mamy Frezji. Kiedy ostatnia skrzynia została przytwierdzona do wozu i mulice zawróciły, aby zacząć schodzić ze wzgórza, Joaquin Andieta przeprosił Miss Rosę za kłopoty, ukłonił się Elizie króciutkim skinieniem głowy i odszedł tak szybko, jak tylko potrafił.

Liścik od Elizy zawierał zaledwie dwie linijki, w których wskazywała mu, gdzie i jak mieli się spotkać. Fortel Elizy był tak prosty i zuchwały, że z łatwością można by ją uznać za doświadczoną bezwstydnicę: Joaquin miał się stawić za trzy dni o dziewiątej wieczorem w kapliczce Matki Boskiej Nie-ustającej Pomocy, wzniesionej w pobliżu domu Sommersów na Cerro Alegre dla opieki nad wędrowcami. Eliza wybrała to miejsce, ponieważ było blisko, a datę - ponieważ była to środa. Miss Rosę, Mama Frezja i służący będą zajęci przy kolacji i nikt nie zauważy jej chwilowej nieobecności. Od czasu wyjazdu zrozpaczonego Michaela

Stewarda nie było już powodu, by organizować bale, a i przedwczesna zima do nich nie skłaniała, jednak Miss Rosę utrzymała ten zwyczaj, pragnąc ukręcić łeb plotkom, jakie krążyły o niej i oficerze marynarki. Zawieszenie wieczorków muzycznych pod nieobecność Stewarda równałoby się przyznaniu, iż był on jedynym powodem, dla którego w ogóle je urządzano.

Już o siódmej Joaquin Andieta stawił się na wyznaczonym miejscu i niecierpliwie zaczął czekać. Z daleka widział blask oświetlonego domu, defiladę powozów gości i zapalone latarnie stangretów oczekujących na drodze. Kilka razy musiał się kryć na dźwięk kroków nocnych stróżów zapalających od nowa gaszone wiatrem lampy kaplicy. Była to niewielka prostokątna budowla z niewypalanej cegły, zwieńczona drewnianym malowanym krzyżem, niewiele tylko większa od konfesjonału, dająca schronienie gipsowej figurce Matki Boskiej. Oprócz niej znajdowała się tam taca z rzędami wygasłych świec wotywnych i wazon w kształcie amfory pełen zwiędłych kwiatów. Noc była księżycowa, ale niebo zasnuwały gęste chmury, które chwilami przyćmiewały blask księżyca. Punktualnie o dziewiątej poczuł obecność dziewczyny i dostrzegł jej postać, od stóp do głów otuloną ciemną chustą.

- Czekałem na panienkę - było to jedyne, co zdołał wyjąkać, czując się jak idiota.

- Ja na ciebie zawsze czekałam - odpowiedziała bez śladu wahania.

Zrzuciła chustę i Joaquin zobaczył, że jest odświętnie ubrana, chociaż miała podkasaną spódnicę i chodaki na nogach. W ręce trzymała białe pończochy i zamszowe pantofelki, których nie chciała ubłocić po drodze. Czarne włosy, przedzielone pośrodku, miała zebrane po obu stronach głowy i zaplecione w warkocze przetykane wstążkami z satyny.

Usiedli w głębi kaplicy na chuście, którą rozłożyła na ziemi, ukryci za figurką, w ciszy, bardzo blisko, jednakże nie dotykając się. Przez dłuższą chwilę nie mieli odwagi na siebie spojrzeć, tylko siedzieli w słodkim półcieniu, oszołomieni wzajemną bliskością, oddychając tym samym powietrzem i płonąc, na przekór powiewom wiatru, grożącym im, że znikną w całkowitych ciemnościach.

- Nazywam się Eliza Sommers - odezwała się w końcu ona.

- A ja Joaquin Andieta - odrzekł on.

- Myślałam, że masz na imię Sebastian.

- Dlaczego?

- Bo wyglądasz jak święty Sebastian, męczennik. Nie chodzę do kościoła papistów, jestem protestantką, ale Mama Frezja zabierała mnie parę razy, żeby wypełnić swoje

obietnice.

Na tym rozmowa utknęła, ponieważ nie wiedzieli, co jeszcze powiedzieć; rzucali sobie spojrzenia spod oka i oboje naraz się rumienili. Eliza czuła bijący od niego zapach mydła i potu, ale nie miała odwagi, żeby zbliżyć do niego swój nos, tak jak miała na to ochotę. Jedyne dźwiękami, jakie słychać było w kaplicy, były szepty wiatru i niespokojne oddechy ich obojga. Po kilku minutach stwierdziła, że musi wrócić do domu, zanim ktoś zauważy jej nieobecność, i pożegnali się uściskiem dłoni. Tak mieli się spotykać w kolejne środy, zawsze o innej godzinie i na chwilę. Na każdym z owych radosnych spotkań gigantycznymi krokami zmierzali ku sobie w miłosnym oblędie i udręczeniu. W pośpiechu opowiadali sobie to, co niezbędne, gdyż słowa zdawały się stratą czasu, i nagle chwyтали się za ręce i dalej rozmawiali, ich ciała przysuwały się coraz bliżej, w miarę jak zbliżały się ich dusze, aż nocą w piątą środę pocałowali się w usta, najpierw próbując rozkoszy, potem ją badając, aż w końcu gubiąc się w niej aż do całkowitego poddania się ogarniającemu ich żarowi. Do tej chwili zdążyli już wymienić skrócone podsumowania szesnastu lat Elizy i dwudziestu jeden Joaquina. Omówili zarówno kwestię mało prawdopodobnego koszyka z batystową pościelą i kołderką z nerek, jak skrzynki po mydle z Marsylii, i Andieta poczuł ulgę, że Eliza nie jest córką żadnego z Sommersów i jej pochodzenie jest równie niepewne, jak jego samego, chociaż i tak dzieliła ich przepaść społeczna i majątkowa. Eliza dowiedziała się, że Joaquin jest dzieckiem przelotnej miłości, jego ojciec przepadł jak kamień w wodę równie szybko, jak zostawił swe nasienie, i chłopiec dorósł, nie wiedząc, jak się nazywa, nosząc nazwisko matki, naznaczony piętnem bękarta, które miało ograniczać każdy krok na drodze jego życia. Rodzina wykluczyła ze swego łona zhańbioną córkę i nie uznała dziecka z nieprawego łoża. Dziadkowie i wujkowie, kupcy i urzędnicy pograżonej w przesądach klasy średniej, mieszkali w tym samym mieście, o kilka przecznic od siebie, ale ich drogi nigdy się nie przecinały. W niedzielę chodzili do tego samego kościoła, ale o różnych porach, ponieważ biedni nie bywali na sumie. Naznaczony stygmatem grzechu Joaquin nie bawił się w tych samych parkach ani nie chodził do tych samych szkół co jego kuzyni, ale donaszał ubranka i dostawał popsute zabawki, które jakaś współczująca ciotka okrężnymi drogami przekazywała odrzuconej siostrze. Matka Joaquina Andiety miała mniej szczęścia niż Miss Rosę i za swoją słabość zapłaciła znacznie drożej. Obie kobiety były prawie w tym samym wieku, ale podczas gdy Angielka wyglądała młodo, ta druga była wyniszczona przez nędzę, suchoty i smutne zarabianie na życie wyszywaniem wypraw ślubnych przy świetle świecy. Zły los odebrał jej godności i swego syna wychowała w niezłomnych zasadach honoru. Joaquin już od małego nauczył się chodzić z wysoko podniesioną głową, odrzucając

najmniejszy przejaw szyderstwa albo litości.

- Któregoś dnia wyciągnę matkę z tej rudery - obiecywał Joaquin, gdy szeptem rozmawiali w kaplicy. - Stworzę jej godziwe życie, takie jak to, którym żyła, zanim utraciła wszystko...

- Nie straciła wszystkiego. Ma syna - odrzekła Eliza.

- Ja byłem jej nieszczęściem.

- Nieszczęściem jest zakochać się w złym człowieku. Ty jesteś jej odkupieniem - stwierdziła.

Spotkania młodych były bardzo krótkie, a jako że nigdy nie odbywały się o tej samej porze, Miss Rosę nie mogła stać na straży dzień i noc. Wiedziała, że coś się dzieje za jej plecami, jednak nie starczyło jej perfidii, aby trzymać Elizę pod kluczem albo wysłać ją na wieś, co nakazywał obowiązek, jak również powstrzymała się od wspomnienia bratu Jeremy'emu o swoich podejrzeniach. Domyślała się, że Eliza i jej ukochany wymieniają listy, jednak nie udało jej się żadnego przechwycić, mimo że postawiła w pogotowiu wszystkich służących. Listy rzeczywiście istniały, a ich ton był tak żarliwy, że gdyby Miss Rosę je zobaczyła, poczułaby się unicestwiona. Joaquin nie wysyłał ich, lecz wręczał je Elizie na każdym spotkaniu. W najbardziej gorących słowach mówił jej w nich to, czego twarzą w twarz - z dumy i wstydu - nie miał odwagi powiedzieć. Ona chowała je do pudełka, trzydzieści centymetrów pod ziemią, w małym przydomowym ogródku, w którym za dnia udawała, że jest zajęta przy grządkach leczniczych ziół Mamy Frezji. Strony te, czytane po tysiąc razy w kradzionych chwilach, stanowiły główną pożywkę dla jej namiętności, gdyż ujawniały tę stronę osobowości Joaquina Andiety, która nie dawała się zauważyć, kiedy byli razem. Zupełnie jakby były napisane przez kogoś innego. Ów dumny chłopak, przyjmujący zawsze postawę obronną, posępny i udręczony, który przytulał ją jak oszalały i natychmiast odpychał, jakby paliło go dotknięcie jej ciała, na piśmie otwierał przed nią na oścież bramy swej duszy i opisywał swe uczucia niczym poeta. Później, kiedy Eliza całymi latami miała szukać niewyraźnych śladów Joaquina Andiety, listy te miały stać się jej jedynym punktem zaczepienia, niepodważalnym dowodem na to, że owa nieokiełznana miłość nie była chorym tworem jej młodzieńczej wyobraźni, ale że istniała naprawdę, przynosząc krótkie błogosławieństwo i długie katusze.

Po tej pierwszej środzie w kapliczce Elizie jak ręką odjął przeszły ataki kolki i nic w jej zachowaniu czy wyglądzie nie wskazywało na tajemnicę; wyjątek stanowił jedynie nieprzytomny blask jej oczu i częstsze wykorzystywanie talentu do stawania się niewidzialną. Czasami sprawiała wrażenie, iż w tym samym czasie przebywa w różnych

miejskach, wy-prowadzając wszystkich w pole, lub też przeciwnie: nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją ostatnio widział, i dokładnie w chwili, gdy zaczynano ją wołać, materializowała się z miną kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest poszukiwany. Kiedy indziej odnajdywała się w pokoiku do szycia z Miss Rosę albo przygotowywała pieczeń z Mamą Frezją, ale stała się tak cicha i przezroczyta, że żadna z kobiet nie miała wrażenia, że w ogóle ją widzi. Jej obecność była subtelna, niemal niedostrzegalna, a kiedy znikwała, nikt nie zdawał sobie z tego sprawy wcześniej niż po upływie kilku godzin.

- Zupełnie jakbyś była duchem! Mam dosyć tego ciągłego szukania ciebie. Nie chcę, żebyś wychodziła z domu ani znikowała mi z oczu - powtarzała jej bez przerwy Miss Rosę.

- Nie ruszałam się stąd przez cały wieczór - odpowiadała nieulękła Eliza, pojawiając się spokojnie w jakimś kącie z książką albo robótką w ręku.

- Odezwij się czasem, na Boga! Jak mam cię widzieć, skoro siedzisz cicho jak mysz pod miotłą? - dodawała ze swej strony Mama Frezja.

„Dobrze” - odpowiadała, a potem robiła, co chciała, ale starała się udawać posłuszną i tym się im przypodobać. W ciągu kilku dni osiągnęła zdumiewającą umiejętność zadawania kłamu rzeczywistości, zupełnie jakby całe życie nie robiła nic innego, jak tylko praktykowała magiczne sztuczki. Wobec niemożności przyłapania jej na krętactwie czy kłamstwie, które dałoby się udowodnić, Miss Rosę postanowiła zaskarbić sobie jej zaufanie i co chwila poruszała temat miłości. Pretekstów było aż nadto: plotki dotyczące przyjaciółek, romantyczne lektury, które nawzajem sobie pożyczały, czy też libretta nowych włoskich oper, których uczyły się na pamięć, ale Eliza nie puściła pary z ust i ani słowem nie zdradziła się ze swymi uczuciami. Wówczas Miss Rosę bez powodzenia przetrząsnęła cały dom w poszukiwaniu jakichś kompromitujących poszlak; przeszukała ubranie i pokój dziewczyny, przewróciła do góry nogami jej kolekcję lalek i pozytywek, przejrzała książki i zeszyty, ale mimo to nie znalazła jej dziennika. Gdyby jej się to udało, bardzo by się rozczarowała, gdyż na owych stronicach nie było najmniejszej wzmianki o Joaquinie Andiecie. Eliza pi-sała tylko po to, żeby nie zapomnieć. Jej dziennik zawierał wszystko, począwszy od opisów powracających z uporem snów do mnóstwa przepisów kulinarnych i porad domo-wych typu: jak utuczyć kurę czy wywabić tłustą plamę. Były w nim również spekulacje dotyczące jej narodzin, wy-twornego koszyka i skrzynki po mydle z Marsylii, jednak ani słowa na temat Joaquina Andiety. żeby o nim pamię-tać, dziennik nie był jej potrzebny. Dopiero w wiele lat później miała na tych stronicach opowiedzieć o swych śro-dowych miłosnych spotkaniach.

W końcu którejś nocy młodzi nie spotkali się w kapliczce, tylko w rezydencji Sommersów. Zanim mogło dojść do tej chwili, Eliza przeżyła burzę niekończących się

wątpliwości, gdyż rozumiała, że jest to krok ostateczny, od którego nie ma odwrotu. Już przez sam fakt, że spotykała się z mężczyzną w tajemnicy i bez dozoru, traciła cześć, ten najcenniejszy paniński skarb, bez którego nie było przed nią przyszłości. „Kobieta bez czci jest nic nie warta, nigdy nie zostanie żoną i matką, lepiej byłoby dla niej, gdyby sobie przywiązała kamień do szyi i rzuciła się w morze” - wbijano jej do głowy. Pomyślała, że nie ma okoliczności łagodzących dla błędu, jaki zamierza popełnić; robiła to z premedytacją i wyrachowaniem. O drugiej nad ranem, kiedy wszyscy spali, a po mieście krążyli tylko nocni stróże wypatrujący oczy w ciemnościach, Joaquin Andieta niczym złodziej zdołał wślizgnąć się do domu przez taras biblioteki, gdzie w nocnej koszuli i boso, drząc z zimna i niepokoju czekała na niego Eliza. Wzięła go za rękę i po omacku przeprowadziła przez dom aż do oddalonego pokoju, gdzie w wielkich szafach przechowywano ubrania całej rodziny, a w różnych pudłach - materiały na suknie i kapelusze, które Miss Rosę w ciągu lat nosiła i do których powracała. Na podłodze składano owinięte w kawałki płótna zasłony z salonu i jadalni, które czekały na kolejną porę roku. Elizie miejsce to - oddalone od innych pokoi - wydało się najbezpieczniejsze. Tak czy inaczej, na wszelki wypadek dodała waleriany do kieliszeczka likieru z anyżku, który Miss Rosę wypijała przed snem, oraz do brandy, którą delectował się Jeremy, zaciągając się kubańskim cygarem po kolacji. Znała każdy centymetr domu, wiedziała dokładnie, gdzie trzeszczy podłoga i jak otwierać drzwi, żeby nie zaskrzypiały, mogła prowadzić Joaquina po ciemku, przyświecając sobie swoją własną pamięcią, a on szedł za nią, posłuszny i blady ze strachu, nie słuchając głosu sumienia, który - brzmiąc niczym głos jego matki - nieubłaganie przypominał mu o kodeksie honorowym ucziwego mężczyzny. Nigdy nie zrobię Elizie tego, co mój ojciec zrobił mojej matce, mówił do siebie, posuwając się po omacku prowadzono-ny przez dziewczynę za rękę, świadom, że wszystkie te rozważania były nic niewarte, gdyż już go pokonało owo gwałtowne pożądanie, które nie dawało mu spokoju od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Tymczasem u Elizy wewnętrzne głosy przestrogi walczyły z porywem instynktu, z jego cudownymi podstępami. Nie bardzo wiedziała, co miało się wydarzyć w pokoju z szafami, ale już z góry godziła się na wszystko.

Domu Sommersów, zawieszony w powietrzu niczym pajak zdany na łaskę wiatru, nie sposób było ocieplić pomimo piecyków na węgiel, które służące rozpały przez siedem miesięcy w roku. Pościel, z uwagi na nieustający powiew wiatru od morza, zawsze była wilgotna i do snu w nogi łóżka wkładano butelki z gorącą wodą. Jedynym ciepłym miejscem była kuchnia, której palenisko na drewno - ogromne urządzenie o wielu zastosowaniach - nigdy nie było gaszone. Zimą drewno skrzypiało, deski się rozsychały i zdawało się, że

jeszcze chwila, a szkielec domu zacznie płynąć niczym pra-stara fregata. Miss Rosę nigdy się nie przyzwyczała do burz na Pacyfiku, tak jak nie mogła się przyzwycząć do drgań ziemi. Prawdziwe trzęsienia ziemi, te, które przewracały świat do góry nogami, zdarzały się mniej więcej raz na sześć lat i za każdym razem wykazywała zadziwiająco zimną krew, jednak codzienne drgania, które uprzykrzały życie, przyprawiły ją o okropny humor. Zawsze była przeciwna umieszczeniu porcelany i szklanek w kredensach na poziomie podłogi, wzorem Chilijczyków, i kiedy meble w jadalni chwiały się i talerze spadały, rozbijając się na kawałki, przeklinała ów kraj na cały głos. Na parterze znajdował się schowek, w którym Eliza i Joaquin kochali się na grubej warstwie zasłon z kretonu w kwiaty, zastępujących latem w salonie ciężkie kotary z zielonego aksamitu. Kochali się w otoczeniu majestatycznych szaf, pudeł z kapeluszami i paczek z wiosennymi sukniami Miss Rosę. Ani zimno, ani zapach naftaliny nie były im przykre, gdyż wzniesli się ponad niedogodności praktyczne, ponad strach przed konsekwencjami i ponad własną szczenięcą nieporadność. Nie wiedzieli, jak się do tego zabrać, ale sposoby wymyślali w trakcie, oszołomieni i zmieszani, w całkowitej ciszy, prowadząc się niezręcznie nawzajem. On, mając dwadzieścia jeden lat, był tak samo dziewiczy jak ona. W wieku czternastu lat postanowił zostać księdzem, żeby zrobić przyjemność matce, jednak kiedy doszedł do szesnastu, zagłębił się w lekturze liberalnych książek, stał się zadeklarowanym wrogiem kleru, chociaż nie samej religii, i postanowił zachować czystość aż do chwili, gdy wyciągnie swą matkę z ich nędznej nory. Wydawało mu się, że przynajmniej w taki sposób może wynagrodzić jej bezmierne poświęcenie. Pomimo swego dziewictwa i przeraźliwego strachu, że zostaną przyłapani na gorącym uczynku, udało im się w ciemnościach znaleźć to, czego szukali. Odpięli guziki, rozwiązali tasiemki, wyzbyli się wstydu i nagle stanęli przed sobą nadzy, spijając z siebie oddech i ślinę i wdychając zuchwałe zapachy. Ogarnięci szczerym pragnieniem, aby rozszyfrować tajemnice, sięgnąć dna i wspólnie zginąć w tej samej otchłani, gorączkowo poszukali sobie wygodnego miejsca. Zasłony na lato zostały splamione gorącym potem, dziewiczą krwią i nasieniem, ale żadne z nich nie zauważyło owych śladów miłości. Po ciemku ledwo potrafili odróżnić swoje kontury i wymierzyć przestrzeń, jaką dysponowali, tak aby obejmując się gwałtownie, nie przewrócić stert pudełek ani wieszaków z sukniami. Błogosławili wiatr i deszcz bijące o dach, gdyż zagłuszały skrzypienie podłogi, ale galop ich serc i ekstaza miłosnych jęków i westchnień były tak ogłuszające, że nie pojmowali, jak to możliwe, że cały dom nie zrywa się na równe nogi.

O świcie Joaquin Andieta wyszedł przez to samo okno w bibliotece, a wyczerpana Eliza wróciła do łóżka. Podczas gdy ona spała otulona kilkoma kołdrami, on przez dwie

godziny w strugach deszczu schodził piechotą ze wzgórza. Ukradkiem przeszedł przez miasto, nie wzbudzając zainteresowania straży, i dotarł do domu dokładnie w chwili, gdy dzwony kościoła zrywały się do lotu, wzywając na pierwszą mszę. Miał zamiar wejść dyskretnie, obmyć się trochę, zmienić kołnierzyk koszuli i wyjść do pracy w mokrym ubraniu, jako że nie miał drugiego, ale matka jak co rano czekała na niego, nie śpiąc, z gorącą wodą na matę i grzanką z czerstwego chleba.

- Gdzie byłeś, synu? - zapytała go z takim smutkiem w głosie, że nie potrafił jej okłamać.

- Odkrywałem miłość, mamó - odrzekł, przytulając ją rozpromieniony.

Joaquin Andieta żył dręczony przez romantyzm polityczny, który w owym kraju ludzi praktycznych i ostrożnych pozostawiał bez echa. Stał się fanatykiem teorii Lamennais'go, którym zaczytywał się w kiepskich i zawyłych przekładach z francuskiego na równi z encyklopedystami. Podobnie jak jego mistrz opowiadał się za liberalizmem katolickim w polityce i oddzieleniem Kościoła od państwa. Uważał się za pierwotnego chrześcijanina, na wzór apostołów i męczenników, ale wroga księży, zdrajców Jezusa i jego prawdziwej doktryny, jak mawiał, porównując ich do pijawek tuczących się na łatwo-wierności uczniów. Jednakże bardzo się pilnował, aby nie rozwodzić się nad takimi ideami przed matką, którą taka przykrość mogłaby zabić. Twierdził również, iż jest wrogiem oligarchii, jego zdaniem zbędnej i dekadencjonalnej, oraz rządu, jako że ten nie reprezentował interesów ludu, tylko bogaczy, na co niezliczonych dowodów mogli dostarczyć współuczestnicy jego spotkań w księgarni „Santos Tornero” i co cierpliwie wyjaśniał Elizie, chociaż ona ledwo go słyszała, bardziej zainteresowana obwąchiwaniem go niż jego przemówieniami. Młodzieniec gotów był ryzykować życie dla niepotrzebnej chwały ulotnego bohaterstwa, ale panicznie bał się spojrzeć Elizie w oczy i mówić jej o swych uczuciach. Stało się rutyną, że kochali się przynajmniej raz w tygodniu w tym samym pokoju pełnym szaf, w którym uwili sobie gniazdo. Chwile, jakie mieli do swej dyspozycji, były tak nieliczne i cudowne, że tracenie ich na filozofowaniu wydawało się jej niedorzecznością; jeżeli już miała rozmawiać, wołała słuchać o jego gustach, przeszłości, matce i o tym, że któregoś dnia zamierza ją poślubić. Gotowa była dać wszystko, byleby tylko powiedział jej twarzą w twarz te wspaniałe zdania, jakie czytała w jego listach. Żeby powiedział jej, na przykład, że łatwiej byłoby zmierzyć siłę wiatru albo cierpliwość fal na plaży niż intensywność jego miłości; że nie ma takiej zimowej nocy, która zdołałaby ugasić płomień jego namiętności; że za dnia śni na jawie, a noce spędza bezsennie, nieustannie dręczony szaleństwem wspomnień, z udręką skazańca licząc godziny dzielące go od chwili, gdy znów ją obejmie, szepcząc: „Jesteś moim aniołem i moją zgubą,

przy tobie osiągam boską ekstazę, a bez ciebie spadam na dno piekieł. Na czym polega ta władza, jaką masz nade mną, Elizo? Nie mów mi o jutrze ani o dniu wczorajszym, liczy się tylko dziś, żyję tylko dla tej chwili, kiedy na nowo zatracę się w bezkresnej nocy twoich ciemnych oczu”. Wychowana na opowieściach z biblioteki Miss Rose i poetach romantycznych, których wiersze знаła na pamięć, dziewczyna poddawała się trującej rozkoszy wyobrażania sobie, że jest adorowana niczym bogini, i nie zauważała rozbieżności między owymi płomiennymi deklaracjami a osobą z krwi i kości, jaką był Joaquin Andieta. W listach stawał się kochankiem doskonałym, zdolnym opisać swą namiętność, nadając jej tak anielskie tchnienie, że wina i strach znikwały, ustępując miejsca totalnej egzaltacji zmysłów. Nikt przed nimi tak nie kochał, spośród wszystkich śmiertelników tylko oni zostali przeznaczeni do przeżycia namiętności, której nikt nie potrafi naśladować, pisał Joaquin w swoich listach, a ona mu wierzyła. Niemniej jednak kochał się z nią jak ktoś spieszący się i wygłodniały, nie delectując się miłością, jakby nie mógł się oprzeć jakiemuś nałogowi, a jednocześnie cierpiał w poczuciu winy. Nie zostawiał sobie czasu na poznanie jej ciała ani na odkrycie swojego własnego; zwyciężała niecierpliwość pożądania i konieczność zachowania tajemnicy. Wydawało mu się, że zawsze braknie im czasu, mimo że Eliza uspokajała go, tłumacząc, że w nocy nikt nie zagląda do tego pokoju, że Sommersowie śpią ukołysani działaniem alkoholu, Mama Frezja także śpi w swoim domku w głębi patio, a pomieszczenia reszty służby są na poddaszu. Instykt rozpalał śmiałość dziewczyny, zachęcając do odkrywania rozlicznych możliwości osiągnięcia rozkoszy, jednak szybko nauczyła się powściągliwości. Jej inicjatywa w grach miłosnych ustawiała Joaquina na pozycjach obronnych; czuł się krytykowany, zraniony albo zagrożony w swej męskości. Dręczyły go najgorsze podejrzenia, gdyż nie mógł sobie wyobrazić tyle naturalnej zmysłowości u szesnastoletniej dziewczynki, której świat zamykał się w czterech ścianach jej domu. Sytuację pogarszał strach przed ciążą, ponieważ żadne z nich nie wiedziało, jak jej uniknąć. Joaquin miał niejakie pojęcie o mechanizmie zapłodnienia i zakładał, że jeśli się w porę wycofa, będą bezpieczni, jednak nie zawsze mu się to udawało. Zdawał sobie sprawę z frustracji Elizy, ale nie wiedział, jak ją pocieszyć, i zamiast tego spróbował, natychmiast szukał ucieczki wchodząc w rolę intelektualnego mentora, w której czuł się pewnie. Podczas gdy ona pragnęła, by ją przytulił, albo chciała przynajmniej odpocząć na jego ramieniu, on odsuwał się, pospiesznie ubierał i trwonił cenny czas, jaki im jeszcze pozostawał, na dodawanie nowych argumentów do tych samych, sto razy powtarzanych idei politycznych. Takie pieszczoty pozostawiały Elizę roznamiętnioną, jednak nie śmiała przyznać się do tego nawet przed samą sobą, gdyż równałoby to się kwestionowaniu jakości łączącego ich uczucia.

Wpadała zatem w pułapkę litości i usprawiedliwiania kochanka, wmawiając sobie, że gdyby mieli więcej czasu i bezpieczne miejsce, kochaliby się lepiej. Znacznie przyjemniejsze niż ich wspólne igraszki były godziny późniejsze, które spędzała na wymyślaniu tego, co się nie zdarzyło, i noce, kiedy śniła o tym, co może się zdarzyć w pokoju z szafami następnym razem.

Z taką samą powagą, z jaką wykonywała wszystkie swoje czynności, Eliza zaczęła idealizować swego ukochanego, aż stało się to jej obsesją. Pragnęła tylko służyć mu bezwa-runkowo aż do końca swoich dni, poświęcić się i cierpieć, aby dowieść swego oddania, i umrzeć za niego, gdyby okazało się to konieczne. Zaślepią urokiem owej pierwszej na-miętności nie dostrzegła, że jej uczucie nie jest odwza-jemniane z taką samą intensywnością. Jej kochanek nigdy nie był całkowicie obecny. Nawet podczas najbardziej rozszalałych pieszczot na stosie zasłon on duchem krążył gdzie indziej, gotów do odejścia albo już daleki. Odkrywał się tylko do połowy, przelotnie, w rozpaczliwej grze chińskich cieni, ale na odchodnym, kiedy ona była bliska płaczu, gdyż tak łaknęła jego miłości, wręczał jej jeden ze swych cudownych listów. Wówczas dla Elizy cały świat przemieniał się w kryształ, którego jedynym przeznaczeniem było od-zwierciedlenie jej uczuć. Zajęta trudnym zadaniem przeżywa-nia miłości absolutnej, nie wątpiła w swoją zdolność do oddania się bez reszty i dlatego nie zdawała sobie sprawy z dwoistości Joaquina. Wymyśliła kochanka doskonałego i z nieugiętym uporem karmiła ową chimerę. Rekompensatą dla jej wyobraźni były niewdzięczne pieszczoty ukochanego, które pozostawiały ją zagubioną w mrocznym przedpieklu niezaspokojonego pożądania.

CZEŚĆ DRUGA

848 - 1849

WIADOMOŚĆ

1 września, w dniu, w którym - zgodnie z kalendarzem Miss Rosę - zaczynała się wiosna, przewietrzono pokoje, wystawiono na słońce materace i kołdry, wywoskowano drewniane meble i wymieniono zasłony w salonie. Mama Frezja bez komentarzy uprała te z kretonu w kwiaty, przekonana, że suche plamy to siuski myszy. Na patio przygotowała wielkie kadzie gorącego ługu z korą drzewa quillay, przez cały dzień moczyła w nich zasłony, potem wykrochmalila je wodą ryżową i wysuszyła na słońcu; następnie dwie kobiety je uprasowały, a kiedy wyglądały jak nowe, rozwiesiły na powitanie nowej pory roku. Tymczasem Eliza i Joaquin, nie zważając na wiosenne ożywienie Miss Rosę, swawolili na kotarach z zielonego ak-samitu, miększych od tych kretonowych. Już nie było zimno i noce były jasne. Mijały trzy miesiące, odkąd się kochali, i listy Joaquina Andiety, w których roilo się od poetyckich zwrotów i płomiennych deklaracji, stały się znacznie rzadsze. Eliza czuła, że jej kochanek jest nieobecny, czasami obejmowała zjawę. Mimo smutku z powodu niezaspokojonego pożądanego i coraz bardziej osłabiającej ją konieczności do-chowywania tyłu tajemnic, dziewczyna pozornie odzyskała spokój. Dni upływały jej na tych samych zajęciach co przed-tem, w wolnych chwilach czytała albo ćwiczyła na fortepianie, bądź też krzątała się w kuchni lub w pokoiku do szycia, nie wykazując najmniejszego zainteresowania wyjściem z domu, ale kiedy Miss Rosę ją prosiła, towarzyszyła jej chętnie, jak ktoś, kto nie ma nic lepszego do roboty. Kładła się i wstawała wcześnie, jak zawsze; miała apetyt i wyglądała zdrowo, jednak owe objawy doskonałej normalności wzbudzały u Miss Rosę i Mamy Frezji okropne podejrzenia. Nie spuszczały jej z oczu. Wątpiły, żeby odurzenie miłością nagle ją opuściło, jednak gdy mijały tygodnie, podczas których Eliza nie dawała powodów do niepokoju, powoli przestały jej tak pilnować. Może świece świętego Antoniego coś dały, przypuszczała Indianka; może to wcale nie była miłość, myślała Miss Rosę bez specjalnego przekonania.

Wiść o złocie odkrytym w Kalifornii dotarła do Chile w sierpniu. Najpierw była to mamiąca pogłoska, jaką z ust do ust podawali sobie pijani żeglarze w burdelach dzielnicy El Almendral, jednak w kilka dni później kapitan szkunera „Adelaida” oznajmił, że po dopłynięciu do San Francisco połowa jego załogi zdezerterowała.

- Złoto jest wszędzie, można je łopatom zbierać, widziano samorodki wielkości pomarańczy! Przy odrobinie sprytu każdy może być milionerem! - opowiadał, zachłystując się entuzjazmem.

W styczniu tego roku w okolicach młyna pewnego szwajcarskiego farmera nad brzegiem rzeki Americano jakiś osobnik nazwiskiem Marshall znalazł w wodzie okruch złota. Owa żółta drobina, która rozpętała szaleństwo, została odkryta w dziewięć dni po tym, jak w mieście Guadalupe Hidalgo podpisano traktat kładący kres wojnie między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi. Kiedy wieść się rozeszła, Kalifornia już do Meksyku nie należała. Zanim stwierdzono, że teren ów kryje niewyczerpane skarby, nikt się nim zbytnio nie interesował; dla Amerykanów był ziemią Indian, a osadnicy woleli podbijać Oregon, gdzie - jak przypuszczali - gleby lepiej nadawały się pod uprawę. Meksyk uważał go za wylęgarnię złodziei i nie zniżył się do tego, aby wysłać tam swych żołnierzy, którzy broniliby go w czasie wojny. Niedługo potem Sam Brannan, wydawca pewnego dziennika, a zarazem mormoński kaznodzieja wysłany, aby propagował swą wiarę, przebiegał ulice San Francisco, rozgłaszając nowinę. Pewnie nawet by mu nie uwierzono, gdyż jego reputacja była nieco nadszarpnięta (powiadano, że zrobił niewłaściwy użytek z przeznaczonych dla Boga datków i kiedy Kościół Mormonów wezwał go do ich zwrotu, odpowiedział, że zrobi to... za pokwitowaniem podpisanym przez Pana Boga), ale na poparcie swych słów pokazywał flaszkę pełną złotego proszku, która krążyła z rąk do rąk, rozpalając ludzkie umysły. Słyszac hasło: „Złoto! Złoto!”, na każdych czterech mężczyzn trzech rzucało wszystko i wyruszało na poszukiwanie złotonośnego piasku. Trzeba było zamknąć jedyną szkołę, gdyż na miejscu nie zostały nawet dzieci. W Chile wiadomość ta znalazła równie silny odzew. Średnia dniówka wynosiła dwadzieścia centavos, a dzienniki informowały, iż nareszcie odkryto Eldorado, wyśnione miasto konkwistadorów, w którym nawet ulice wybrukowane były owym szlachetnym kruszcem: „Zasobność kopalń dorównuje tej, o jakiej mowa jest w baśniach o Sindbadzie albo lampie Aladyna; bez obawy o popadanie w przesadę szacuje się, że dzienny urobek wynosi jedną uncję czystego złota” - podawały dzienniki, dodając, iż jest go wystarczająco dużo, aby przez całe dziesięciolecia mogły się bogacić tysiące ludzi. Pożar zachłanności natychmiast ogarnął Chilijczyków, którzy mieli dusze górników, i w miesiąc później rozpoczął się wyścig do Kalifornii. W porównaniu z wszelkimi innymi poszukiwaczami przygód, którzy pragnęliby dopłynąć tam przez Atlantyk, Chilijczycy i tak byli o połowę drogi bliżej. Podróż z Europy do Valparaiso trwała trzy miesiące, a stamtąd do Kalifornii kolejne dwa. Odległość od Valparaiso do San Francisco nie przekraczała siedmiu tysięcy mil, podczas gdy od wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych - wokół przylądka Horn - dochodziła do dwudziestu tysięcy. Fakt ten, jak ocenił Joaquin Andieta, dawał Chilijczykom znaczne fory, jako że pierwsi przybysze mogli zarezerwować sobie najlepsze żyły złota.

Feliciano Rodriguez de Santa Cruz przeprowadził tę samą kalkulację i postanowił natychmiast się zaokrętować, zabierając ze sobą swoich pięciu najlepszych i najlojalniejszych górników, którym dla zachęty obiecał nagrodę, byle tylko porzucili swoje rodziny i porwali się wraz z nim na owo wysoce ryzykowne przedsięwzięcie. W ciągu trzech tygodni przygotował wyposażenie, które miało mu umożliwić przeżycie kilku miesięcy na owej ziemi na północy kontynentu, którą wyobrażał sobie jako opustoszałą i dziką. Pod tym względem okazał się znacznie przeczniejszy niż większość jego nie-ostrożnych rodaków, którzy wyjeżdżali na oślep, z pustymi rękami, tak jak stali, ulegając pokusie łatwej fortuny, jednakże nie mając pojęcia o niebezpieczeństwach i trudach takiego zamierzenia. Nie myślał zginać karku harując jak wyrobnik, dlatego wyjeżdżał dobrze zaopatrzony i brał ze sobą zaufanych służących, jak wyjaśnił swojej żonie, która oczekiwała drugiego dziecka, a mimo to upierała się, by mu towarzyszyć. Paulina zamierzała wybrać się w drogę z dwiema mamkami, kucharzem, żywą krową i kurami, aby zapewnić maleństwu mleko i jajka na czas rejsu, jednak tym razem mąż stanowczo się temu sprzeciwił. Pomysł wyruszenia w podobną odyseję z rodziną na karku był całkowitym szaleństwem. Jego żona postradała zmysły.

- Jak się nazywał ten kapitan, przyjaciel pana Todda? - przerwała mu w połowie wywód Paulina, usiłując utrzymać równo na swym ogromnym brzuchu filiżankę czekolady, nadgryzając jednocześnie francuskie ciasteczko przekładane kajmakiem wedle przepisu sióstr klarysek.

- Może John Sommers?

- Mam na myśli tego, który mówił, że ma dosyć pływania pod żaglami i opowiadał o statkach na parę.

- To on.

Paulina zamyśliła się na chwilę, wrzucając do ust ciasteczka i nie zwracając najmniejszej uwagi na liczne przykłady niebezpieczeństw przytaczane przez męża. Utyła i niewiele zostało z tamtej pełnej wdzięku dziewczyny, która z ogoloną głową uciekała z klasztoru.

- Ile mam na koncie w Londynie? - zapytała w końcu.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów. Jesteś bardzo bogatą damą.

- To nie wystarczy. Możesz mi pożyczyć dwa razy tyle na dziesięć procent płatne za trzy lata?

- Co ci przychodzi do głowy, kobieto, na litość boską! Na diabła ci tyle?

- Na statek parowy. Wielki interes to nie złoto, Felicianie; w gruncie rzeczy to zwykłe

żółte gówieńko. Wielki interes to górnicy. W Kalifornii będą potrzebować wszystkiego i zapłacą gotówką. Powiadają, że parowce płyną prosto, nie muszą ulegać kaprysom wiatru, są większe i szybsze. Żaglowce to przeszłość.

Feliciano nadal snuł swoje plany, jednak doświadczenie nauczyło go nie lekceważyć finansowych przepowiedni mał-żonki. Przez wiele nocy nie mógł zmrużyć oka. Krążył po pełnych przepychu salonach rezydencji, pośród worków z prowiantem, skrzyń z narzędziami, beczek z prochem i stosów broni na drogę, mierząc i ważąc słowa Pauliny. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym słuszniejszy wydawał mu się pomysł zainwestowania w transport, zanim jednak podjął decyzję, skonsultował się ze swym bratem, który był jego współnikiem we wszystkich interesach. Ten wysłuchał go z otwartymi ustami, a kiedy Feliciano skończył wyłuszczać całą sprawę, pacnął się dłonią w czoło.

- Cholera, braciszku! że też nie wpadliśmy na to wcześniej!

Tymczasem Joaquin Andieta, jak tysiące innych Chilijczyków w jego wieku i dowolnej kondycji, śnił o workach złotego proszku i samorodkach kruszcu leżących wprost na ulicy. Wielu jego znajomych już wyjechało; wśród nich był nawet jeden z bywalców księgarni „Santos Tornero”, młody liberał, który głośno występował przeciwko bogaczom i z żar-liwością odsłaniał korupcyjogenną rolę pieniądza, a mimo to nie potrafił oprzeć się wezwaniu i wyjechał, nie żegnając się z nikim. Joaquinowi Kalifornia jawiła się jako jedyna szansa na to, żeby wydzwignąć się z nędzy, zabrać matkę z rudery i poszukać lekarstwa dla jej schorowanych płuc; stanąć przed Jeremym Sommersem z głową podniesioną wysoko do góry i wypchanymi kieszeniami i poprosić o rękę Elizy. Złoto... mnóstwo złota... Przed oczami stawały mu całe worki krusz-cu w proszku, kosze ogromnych samorodków, kieszenie pełne banknotów, pałac, który każe sobie wybudować, okazalszy i bardziej wyłożony marmurami niż Klub Związkowy, żeby zamknąć usta krewnym, którzy upokarzali jego matkę. Wi-dział się również, jak wychodzi z kościoła Błogosławionego Żywota pod rękę z Elizą Sommers, z którą tworzą najszczeń-liwszą młodą parę na ziemi. Wystarczyło jedynie zdobyć się na odwagę. Jaką przyszłość oferowało mu Chile? W najlep-szym wypadku zestarzeje się, licząc produkty przechodzące przez biuro Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej.

Tak czy inaczej, nie miał nic do stracenia, ponieważ niczego nie posiadał. Gorączka złota sprawiła, że przestał być sobą, stracił apetyt i nie mógł spać, chodził rozpalony i oczami szaleńca wpatrywał się w morze. Jego przyjaciel księgarz pożyczył mu mapy i książki o Kalifornii oraz broszurkę o tym, jak wypłukiwać metal; rzucił się na nią zachłannie, robiąc jednocześnie rozpaczliwe kalkulacje, które miały mu pomóc znaleźć sposób na pokrycie

kosztów podróży. Wiadomości podawane w dziennikach nie mogły być bardziej zachęcające: „W części kopalń, zwanych dry diggins, niepotrzebne są żadne narzędzia poza zwykłym nożem do odłupywania metalu od skał. W innych minerał jest już oddzielony i tam używa się jedynie bardzo prostego urządzenia przypominającego zwykłą dzieżę z desek o okrągłym dnie, długości dziesięciu stóp i szerokości dwóch w części górnej. Jako że kapitał nie jest konieczny, istnieje wielka rywalizacja w pracy, i mężczyźni, którzy ledwo byli w stanie zapewnić sobie miesiąc przeżycia, teraz są posiadaczami tysięcy pesos w tym cennym kruszcu”.

Kiedy Andieta napomknął o możliwości zaokrętowania się i wyruszenia na północ, jego matka zareagowała równie źle jak Eliza. Mimo iż nigdy się nie widziały, obie kobiety powiedziały dokładnie to samo: jeśli ty wyjedziesz, Joaquinie, ja umrę. Obie próbowały przedstawić mu niezliczone zagrożenia towarzyszące podobnemu przedsięwzięciu i przysięgły, że tysiąc razy wolą nieuchronną nędzę u jego boku niż jakąś iluzoryczną fortunę obciążoną ryzykiem, że utracą go na zawsze. Matka zapewniła go, że nie wyprowadzi się ze swej rudery, choćby została milionerką, bo tu mieszkają jej przyjaciele, a poza tym nie ma dokąd pójść na tym świecie. A co do jej płuc, to już i tak nic się nie da zrobić, powiedziała, trzeba tylko czekać, aż się na dobre rozerwą. Eliza ze swej strony zgłosiła chęć ucieczki w przypadku, gdyby nie dano im zgody na ślub; on jednak ich nie słuchał, pogrążony w swych rozważaniach, przekonany, że nie będzie miał drugiej takiej szansy jak ta i że przegapienie jej byłoby niewybaczalnym tchórzostwem. Tej nowej manii poświęcił się z taką samą gorliwością, z jaką kiedyś głosił liberalne idee, jednak na zrealizowanie planów brakowało mu środków. Nie mógł wypełnić swego przeznaczenia bez pewnej sumy na bilet i na zaopatrzenie się w najniezbędniejsze sprzęty. Zwrócił się do banku o drobną pożyczkę, nie miał jednak czym jej umotywoować, a jego nędzny wygląd sprawił, że usłyszał lodowatą odmowę. Pierwszy raz w życiu pomyślał, czyby nie zwrócić się do krewnych matki, z którymi aż do tej pory nie zamienił ani słowa, ale był zbyt dumny, by to zrobić. Wizja jego świetlanej przyszłości nie dawała mu spokoju, w pracy z trudem wywiązywał się ze swych zadań, długie godziny spędzane przy biurku zmieniły się w katorgę. Z piórem w ręce zastygł w bezruchu i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w białą kartkę, powtarzając zarazem wyryte w pamięci nazwy statków, które mogły zawieźć go na północ. Noce upływały mu na burzliwych snach i niespokojnym czuwaniu, a kiedy się budził, był fizycznie wyczerpany, za to wyobraźnię miał rozpaloną do czerwoności. Popępiał błędy niczym ktoś po-czątkujący w tej pracy, gdy tymczasem dokoła niego podniecenie osiągnęło poziom hysterii. Wszyscy chcieli wyjechać, a ci, którzy nie mogli sami tego zrobić, zakładali

przedsiębiorstwa, inwestowali w naprędce zawiązywane spółki albo wysyłali jakiegoś swojego zaufanego przedstawiciela, z którym wcześniej umawiali się co do podziału zysków. Pierwsi wyruszyli kawalerowie; wkrótce żonaci mężczyźni pozostawiali swoje żony i dzieci i nie oglądając się za siebie, również wsiadali na statki, nie zważając na mrożące krew w żyłach opowieści o nieznanym chorobach, nieszczęśliwych wypadkach i brutalnych zbrodniach. Najspokojniejsi z nich byli gotowi stawić czoło ryzyku z pistoletem w dłoni, a nawet mając do dyspozycji wyłącznie własne pięści; najostrożniejsi porzucali bezpieczeństwo osiągnięte wysiłkiem wielu lat i z bagażem obłędu wyruszali na spotkanie z przygodą. Jedni wydawali na bilety swoje oszczędności, inni opłacali sobie podróż, zatrudniając się jako marynarze albo zobowiązując się do wykonania jakiejś pracy w przyszłości, niemniej jednak chętnych było tak wielu, że Joaquín Andieta nie znalazł miejsca na żadnym statku, mimo że dzień w dzień chodził i rozpytywał po całym nabrzeżu.

W grudniu nie wytrzymał dłużej. Przepisując specyfikację ładunku, który przybył do portu, tak jak to pieczołowicie czynił każdego dnia, pozmieniał cyfry w rejestrze, a następnie zniszczył oryginalne dokumenty przewozowe. W ten sposób, zastosowawszy w księgowości sztukę magiczną, sprawił, że zniknęło kilka skrzyń pełnych rewolwerów i kul, pochodzących z Nowego Jorku. W ciągu trzech kolejnych nocy udało mu się uśpić czujność strażników, zerwać zamki, wdrzeć się do magazynu Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej i wykraść zawartość owych skrzyń. Musiał to robić na raty, gdyż ładunek był ciężki. Najpierw wyniósł broń: część w kieszeniach, a część pod ubraniem, przywiązaną do rąk i nóg; następnie w torbach zabrał kule. Nieraz mało brakowało, aby zauważyli go krążący po ulicach nocni stróż, ale szczęście mu dopisywało i za każdym razem udawało mu się w porę umknąć. Wiedział, że zanim ktoś zgłosi się po skrzynie i kradzież się wyda, minie parę tygodni; domyślał się również, że bardzo łatwo będzie prześledzić drogę nieistniejących dokumentów i zamienionych cyfr, dochodząc w końcu winnego, ale wówczas miał nadzieję być już na pełnym morzu. Zdobywszy zaś majątek, zamierzał zwrócić wszystko do ostatniego centavo i to z odsetkami, jako że jedynym powodem, dla którego popełnił taki występki, była - co sobie po tysiackroć powtarzał - desperacja. Była to kwestia życia i śmierci: życie zaś, tak jak on je pojmował, było w Kalifornii, podczas gdy pozostanie w Chile równało się powolnemu umieraniu. Część swego łupu sprzedał za pół darmo w podejranej dzielnicy portowej, część zaś swoim przyjaciółom z księgarni „Santos Tornero”, każąc im przysiąc, iż dochowają tajemnicy. Żaden z owych idealistycznych zapaleńców nie miał wcześniej broni w ręku, ale wszyscy od lat doskonalili sztukę słowa, którą mieli wykorzystać w służbie jakiejś utopijnej rewolucji skierowanej przeciwko konserwatywnemu rządowi. Nie

kupić rewolwerów na czarnym rynku, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich okazijną cenę, oznaczałoby zdradę ich własnych intencji. Joaquin Andieta dwa zachował dla siebie, zdecydowany ich użyć, gdyby coś - lub ktoś - stanął mu na drodze, jednak towarzyszący mu nie powiedział ani słowa o swych wyjazdowych planach. Tamtej nocy na zapleczu księgarni również i on wraz z innymi uniósł prawą dłoń do serca, aby w imieniu ojczyzny przysiąc, iż odda życie za demokrację i sprawiedliwość. Następnego dnia kupił bilet trzeciej klasy na pierwszy szkuner, jaki w tych dniach odpływał, oraz kilka worków prażonej mąki, fasoli, ryżu, cukru, suszonej koniny i słoniny, które - oszczędnie wydzielane - mogły jako tako utrzymać go przy życiu podczas rejsu. Nieliczne reale, jakie mu zostały, włożył sobie za pas i ciasno się nim obwiązał.

W nocy 22 grudnia pożegnał się z Elizą i matką, a naza-jutrz wyruszył w kierunku Kalifornii.

Mama Frezja natknęła się na listy miłosne przez przypadek, kiedy w swoim wąskim ogródku na patio wrywała cebulę i jej grabki natrafiły na blaszane pudełko. Nie umiała czytać, jednak wystarczył jej jeden rzut oka, żeby pojąć, o co chodzi. Kusiło ją, żeby oddać je Miss Rose, bo dość było potrzymać je w rękach, żeby wyczuć zagrożenie (mogłaby przysiąc, że paczuszka obwiązana wstążeczką pulsowała niczym żywe serce), jednak miłość do Elizy okazała się silniejsza niż rozsądek i zamiast zwrócić się do swej pani, włożyła listy na powrót do pudełka po ciastkach, ukryła je pod swoją szeroką czarną spódnicą i wdychając, udała się do pokoju dziewczyny. Zastąpiła Elizę siedzącą na krześle, z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi na kolanach, jakby uczestniczyła we mszy, wpatrującą się przez okno w morze i tak przygnębioną, że powietrze wokół niej wydawało się aż gęste od złych przeczuć. Położyła pudełko na kolanach dziewczyny i zastygła w oczekiwaniu na jakieś wyjaśnienie, którego się nie doczekała.

- Ten mężczyzna to szatan. Tylko nieszczęście na ciebie sprowadzi - odezwała się w końcu.

- Nieszczęścia już się zaczęły. Sześć tygodni temu wyjechał do Kalifornii, a ja nie dostałam okresu.

Mama Frezja usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, jak to zawsze czyniła, kiedy gości bardzo już jej dokuczały, i zaczęła kołysać się w przód i w tył, jęcząc cicho.

- Przestań, mamusiu, Miss Rose może nas usłyszeć - błagała Eliza.

- Jakiś ulicznik, prosto z rynsztoka! Huacho! I co my teraz zrobimy, dziecino, co my teraz zrobimy? - nie przestawała lamentować kobieta.

- Wyjdę za niego za męża.

- Ale jak, skoro wyjechał?
- Będę musiała pojechać i go odszukać.
- Aj, Jezusiczku malusieńki! Czyś ty oszalała? Wyleczę cię i w parę dni będziesz jak nowa.

Kobieta przygotowała napar na bazie zioła borraja i kurzych ekskrementów rozpuszczonych w ciemnym piwie, który poda-wała Elizie do wypicia trzy razy dziennie; poza tym kazała jej brać nasiadówki z siarki, a na brzuch robiła okłady z musztar-dy. Rezultat był taki, że dziewczyna zżółkła i chodziła lepiąc się od potu śmierdzącego zgniłą gardenią, jednak minął tydzień, a ciągle nie było widać żadnych objawów poronienia. Mama Frezja uznała, że dziecko jest chłopcem, i to niewątpliwie przeklętym, dlatego tak się wczepia we wnętrzności matki. Niepowodzenie to okazało się ponad jej siły, było sprawką szatana i tylko jej mistrzyni, machi, mogła pokonać tak wielkie nieszczęście. Tego samego wieczoru poprosiła państwa o wy-chodne i jeszcze raz na piechotę przebyła tę samą uciążliwą drogę do wąwozu, aby z pochyloną głową stanąć przed ślepą staruszką - czarownicą. Przyniosła jej w prezencie dwie foremki marmolady z pigwy i kaczkę duszoną w estragonie.

Machi wysłuchiwała ostatnich nowin, potakując ze znuże-niem, jakby z góry wiedziała, co się stanie.

- Już mówiłam, zaślepienie to bardzo ciężka choroba: ogarnia umysł i łamie serce. Jest go wiele rodzajów, ale najgorsze ze wszystkich jest zaślepienie miłością.
- Możesz coś zrobić, żeby moja dziecina rzuciła tego huachol.
- Móc to mogę. Ale to jej nie uleczy. Będzie musiała iść za swym mężczyzną, i tyle.
- Wyjechał bardzo daleko na poszukiwanie złota.
- Po miłości drugim największym zaślepieniem jest złoto - zawyrokowała machi.

Mama Frezja zdała sobie sprawę, że nie ma sposobu, żeby wyciągnąć Elizę z domu, przyprowadzić ją do wąwozu machi, sprawić, by poroniła, i wrócić z nią do domu, tak żeby Miss Rosę się o tym nie dowiedziała. Czarownica miała sto lat, a od pięćdziesięciu nie opuszczała swego nędznego domo-stwa, tak więc nie mogła przybyć do domu Sommersów, żeby tam zająć się dziewczyną. Nie pozostawało więc nic innego, jak zrobić to samej. Machi wręczyła jej cienki kijek z drzewa colihue i jakąś ciemną cuchnącą maść, po czym szczegółowo wyjaśniła, jak ma postępować dalej. Potem nauczyła ją słów zaklęcia, które miało usunąć owo diabelskie nasienie, a zara-zem ocalić życie matce. Całą operację należało przeprowadzić w piątkową noc, gdyż piątek był jedynym dniem, kiedy było to dozwolone, uprzedziła ją. Mama Frezja wróciła bardzo późno, wyczerpana, z kijkiem i maścią pod chustą.

- Módl się, dziecino, za dwie noce cię ulecę - zapowie-działa Elizie, przynosząc jej

do łózka czekoladę na śniadanie.

Kapitan Sommers zszedł ze statku w Valparaiso w dniu wskazanym przez machi. Był to drugi piątek lutego w pełni lata. Cała zatoka aż kipiała od zgiełku: pół setki statków stało na kotwicy, a drugie tyle na otwartym morzu czekało na swoją kolej, aby podpłynąć do lądu. Jak zawsze Jeremy, Rosę i Eliza powitali na nabrzeżu swego podziwianego brata i wuja, który przybywał obładowany nowinkami i prezentami. Przedstawiciele mieszczaństwa, którzy uczynili sobie z portu miejsce spotkań, gdzie zwiedzano statki i kupowano towary z przemytu, mieszały się z ludźmi morza, podróżnymi, dokerami i celnikami, gdy tymczasem prostytutki, stojące na posterunku w pewnej odległości, przeprowadzały swoje kalkulacje. Przez ostatnie miesiące, odkąd wiadomość o złocie rozpałała ludzką chciwość na wszystkich wybrzeżach świata, statki wchodziły i wychodziły z portu w jakimś szalonym rytmie i burdele dwoiły się i troiły. Niemniej jednak co bardziej rozzuchwalonym kobietom nie wystarczało chwilowe powodzenie w interesie w Valparaiso i obliczały, o ile więcej mogłyby zarobić w Kalifornii, gdzie - jak głosiła wieść - na jedną kobietę przypadało dwustu mężczyzn. W porcie ludzie potykali się o wozy, zwierzęta i pakunki; toczono rozmowy w różnych językach, rozlegały się dźwięki syren statków i gwizdki straży. Miss Rosę, z pachnącą wanilią chusteczką przy nosie, w poszukiwaniu swego ukochanego brata rozglądała się pośród pasażerów łódek dobijających do brzegu, podczas gdy Eliza szybko i łapczywie wdychała powietrze, starając się rozróżnić i zidentyfikować zapachy. Odór ryb wystawionych w wielkich koszach na słońce mieszał się z wyziewami ekskrementów zwierząt pociągowych i smrodem ludzkiego potu. Ona pierwsza wypatrzyła kapitana Sommersa i poczuła tak wielką ulgę, że o mało nie wybuchnęła płaczem. Czekala na niego od wielu miesięcy w przekonaniu, że tylko on może zrozumieć udrękę jej napotykałej na przeszkodzie miłości. Ani Miss Rosę, ani tym bardziej Jeremy'emu Sommersowi, nie powiedziała o Joaquinie Andiecie ani słowa, ale była przekonana, że jej wujek - żeglarz, którego nic nie mogło zaskoczyć ani przestraszyć, na pewno jej pomoże.

Ledwo kapitan zdążył postawić stopy na stałym lądzie, a już Eliza i Miss Rosę rzuciły się na niego uradowane, on zaś chwycił je w pół swymi krzepkimi ramionami korsarza, podniósł obie naraz w górę i zaczął się kręcić w kółko jak bąk, pośród okrzyków radości Miss Rosę i protestów Elizy, której zbierało się na wymioty. Jeremy Sommers przywitał się z nim uściskiem dłoni, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, aby jego brat przez ostatnich dwadzieścia lat nic się nie zmienił i ciągle był tym samym postrzeleńcem co zawsze.

- Co ci jest, maleńka? Bardzo źle wyglądasz - powiedział kapitan, przyglądając się Elizie.

- Najadłam się niedojrzałych owoców, wujku - wyjaśniła, opierając się o niego, żeby nie upaść, takie miała nudności.

- Wiem, że nie przyszłyście do portu, żeby mnie witać. Chcecie sobie kupić perfumy, prawda? Powiem wam, kto ma najlepsze, prosto z Paryża.

W tej samej chwili jakiś obcokrajowiec, przechodząc obok, trącił go niechętnie walizką, którą niósł na ramieniu. John Sommers odwrócił się zagniewany, jednak poznawszy kto to, rzucił jedno ze swych charakterystycznych przekleństw w żar-tobliwym tonie i zatrzymał go, biorąc za ramię.

- Chodź, Chińczyku, przedstawię cię mojej rodzinie - za-wołał do niego serdecznie.

Eliza przyjrzała mu się otwarcie, bo nigdy jeszcze nie widziała z bliska żadnego Azjaty i nareszcie miała przed oczami mieszkańca Chin, owej baśniowej krainy, która poja-wiała się w wielu opowieściach wuja. Był to mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, raczej wysoki w porównaniu z Chilijczykami, chociaż stojąc obok korpulentnego angielskiego kapitana wyglądał jak dziecko. Poruszał się bez wdzięku, jego twarz była gładka, ciało szczupłe i chłopiące, a migdałowe oczy miały jakiś staroświecki wyraz. Jego powściągliwość, zdradzająca w nim uczonego, kontrastowała z dziecięcym śmiechem, jaki na słowa Sommersa wydobył się z głębi jego piersi. Ubrany był w spodnie do połowy łydki, luźną bluzę z grubego samodziału i pas, zza którego wystawał mu duży nóż, na stopach miał płaskie pantofle, poza tym wyróżniał go mocno sfatygowany słomkowy kapelusz i długi war-kocz zwisający na plecach. Przywitał się, pochylając po wielokroć głowę, nie wypuszczając walizki i nie patrząc nikomu w oczy. Miss Rosę i Jeremy Sommers, speszzeni bezpośredniością, z jaką ich brat traktował osobę niewątpliwie niższego stanu, nie wiedzieli, jak się zachować i odpowiedzieli krótkim i suchym skinieniem. Ku przerażeniu Miss Rosę Eliza wyciągnęła do niego rękę, ale mężczyzna udał, że tego nie widzi.

- To Tao Chi'en, najgorszy kucharz, jakiego kiedykolwiek miałem, ale potrafi uleczyć niemal wszystkie choroby, dlatego jeszcze go nie wyrzuciłem za burtę - zażartował kapitan.

Tao Chi'en powtórzył serię pokłonów, ponownie wybuchnął śmiechem bez wyraźnego powodu, po czym natychmiast odszedł szybkim krokiem. Eliza zapytywała się w duchu, czy rozumie po angielsku. Za plecami obu kobiet John Sommers szeptał do brata, że Chińczyk może mu sprzedać najlepszej jakości opium i proszek z rogu nosorożca na impotencję, na wypadek gdyby któregoś dnia zdecydował skończyć z celibatem. Kryjąc twarz za wachlarzem, Eliza przysłuchiwała się zaintrygowana.

Po południu przy herbacie kapitan rozdzielił przywiezione prezenty: angielski krem do golenia, komplet toledańskich nożyczek i cygara dla brata, szylkretowe grzebienie i chustę z

Manili dla Miss Rosę i, jak zwykle, klejnot na posag dla Elizy. Tym razem był to naszyjnik z pereł, za który dziewczyna podziękowała wzruszona, po czym odłożyła go do swej szkatułki, gdzie trzymała klejnoty, które dostała wcześniej. Dzięki uporowi Miss Rosę i szczodroblewości wuja jej ślubny kufer napełniał się skarbami.

- Ten zwyczaj gromadzenia posagu wydaje mi się głupi, zwłaszcza kiedy nawet nie ma się narzeczonego - uśmiechnął się kapitan. - A może jest już jakiś na horyzoncie?

Dziewczyna wymieniła przerażone spojrzenia z Mamą Fre-zją, która w tym momencie weszła z tacą, wnosząc herbatę. Kapitan nie powiedział nic więcej, ale zapytywał się, jak jego siostra Rosę mogła nie widzieć zmian, jakie zaszły w Elizie. Najwyraźniej kobieca intuicja nie na wiele się zdaje.

Reszta wieczoru zeszła na wysłuchiwanie cudownych opowieści kapitana o Kalifornii, chociaż od czasu fantastycznego odkrycia nie był w tamtych stronach, a o San Francisco mógł powiedzieć jedynie tyle, iż jest to osiedle raczej nędzne, za to położone nad najpiękniejszą zatoką na świecie. Rwetes wokół złota był tematem numer jeden w Europie i Stanach Zjednoczonych, a wiadomość o nim dotarła nawet do najdalszych wybrzeży Azji. Jego statek pękał od pasażerów płynących do Kalifornii; większość z nich nie miała najmniejszego bodaj pojęcia o górnictwie, a wielu z nich w całym swoim życiu nie widziało nawet złotego zęba. Nie było wygodnego ani szybkiego sposobu, żeby dotrzeć do San Francisco, rejs trwał długie miesiące i odbywał się w najbardziej prymitywnych warunkach, wyjaśniał kapitan, ale podróż łodem przez kontynent amerykański, zmuszająca do zmierzenia się z bezkresną przestrzenią i agresją Indian, trwała jeszcze dłużej i dawała mniej szans na ujęcie z życiem. Ci, którzy ryzykowali wyprawę do Panamy statkiem, pokonywali przesmyk, płynąc rzekami rojącymi się od drapieżników, następnie na mułach przedzierali się przez selwę, a dotarłszy do wybrzeży Pacyfiku przesiadali się na kolejny statek płynący na północ. Musieli znosić piekielny upał, ukąszenia jadowitych gadów i płazów, moskity, masowe zachorowania na cholera i żółtą febrę, a do tego nie mającą sobie równej ludzką nikczemność. Podróżni, którym udało się wyjść cało, mimo że ich konie staczały się prosto w przepaść albo w niebezpieczne moczary, dotarłszy na drugą stronę padali ofiarami bandytów, którzy ich ograbiali albo najemników, którzy kazali sobie płacić fortunę za zawieszenie ich do San Francisco, stłoczonych niczym bydło na rozpadających się statkach.

- Czy Kalifornia jest bardzo duża? - zapytała Eliza, starając się, aby głos nie zdradził niepokoju jej serca.

- Przynies mi mapę, to ci pokażę. Jest znacznie większa od Chile.

- A jak się dostać tam, gdzie jest złoto?

- Powiadają, że wszędzie go pełno...

- Ale gdyby ktoś chciał, na przykład, odnaleźć kogoś w Kalifornii...

- To byłoby raczej trudne - odparł kapitan, przyglądając się z ciekawością wyrazowi twarzy Elizy.

- Jedziesz tam w następną podróż, wujku?

- Mam pewną kuszącą ofertę i sądzę, że ją przyjmę. Kilku chilijskich inwestorów chce założyć stałą linię do przewozu towarów i ludzi do Kalifornii. Potrzebują kapitana na swój parowiec.

- A zatem będziemy cię częściej widywać, Johnie - wykrzyknęła Rosę.

- Nie znasz się na parowcach - zauważył Jeremy.

- Nie, ale morze znam jak nikt.

W nocy we wskazany piątek Eliza odczekała, aż w całym domu zapadnie cisza, żeby pójść do domku na ostatnim patio na spotkanie z Mamą Frezją. Wstała z łóżka i zeszła na dół na bosaka, ubrana jedynie w batystową nocną koszulę. Nie domyślała się, jakiego rodzaju lekarstwo dostanie, ale była pewna, że czekają ją niemiłe chwile, z doświadczenia wiedziała, że wszystkie lekarstwa są nieprzyjemne, a te, które przygotowywała Indianka, w dodatku okazywały się obrzydliwe. „Nie martw się, dziecino, dam ci tyle wódki, że jak się ockniesz po przepiciu, nie będziesz pamiętać o bólu. Tyle że będziemy potrzebować dużo gałganków do tamowania krwi”. - powie-działa jej kobieta. Eliza często odbywała po ciemku tę wędrówkę przez dom, żeby przyjąć swego kochanka, i nie musiała zachowywać środków ostrożności, ale tej nocy posuwała się bardzo powoli, zwlekając, pragnąc, aby przyszło jedno z tych chilijskich trzęsień ziemi, zdolnych obrócić wszystko w perzynę, aby mieć dobry pretekst, by nie stawić się na spotkanie z Mamą Frezją. Czuła, że ma lodowate stopy, i jakiś dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie wiedziała, czy to z zimna, czy ze strachu przed tym, co miało się stać, czy też było to ostatnie ostrzeżenie jej sumienia. Od pierwszej chwili, gdy zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży, słyszała jakiś wołający ją głos. To dziecko z głębi jej brzucha domagało się prawa do życia, była tego pewna. Próbowwała go nie słuchać i nie myśleć, czuła, że znalazła się w potrzasku, kiedy tylko jej stan zacznie być widoczny, nie będzie dla niej ani nadziei, ani przebaczenia. Nikt nie zrozumie jej występku, a raz utraconej czci w żaden sposób nie da się odzyskać. Ani modlitwy, ani świece Mamy Frezji nie odwrócą złego losu, jej kochanek nie zawróci nagle w pół drogi, żeby się z nią ożenić, zanim będzie widać, że jest w ciąży. Na to było już za późno. Przerazała ją myśl, że miałyby skończyć jak matka Joaquina, naznaczona stygmatem niesławy, odtrącona przez rodzinę i skazana na życie w nędzy i samotności z nieślubnym dzieckiem, nie zniosłaby pogardy wołała umrzeć. I mogła

umrzeć jeszcze tej samej nocy, zginąć z rąk tej dobrej kobiety, która ją wychowała i kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Rodzina wcześniej udała się na spoczynek, ale kapitan i Miss Rosę zamknęli się w pokoiku do szycia i szeptali tam ze sobą jeszcze kilka godzin. Z każdej podróży John Sommers przywoził siostrze książki, wyjeżdżając zaś zabierał tajemnicze paczki, które - jak podejrzewała Eliza - zawierały teksty pisane przez Miss Rosę. Widziała ją, jak starannie zawija w papier swoje zeszyty, te same, które w wolne wieczory zapełniała swoim ścisłym kaligraficznym pismem. Przez szacunek albo jakąś dziwną wstydlivość nikt o nich nie wspominał, tak samo jak nie komentowano jej wyblakłych akwarelek. Pisanie i malowanie traktowano jak niegroźne dewiacje, nie było to nic, czego można by naprawdę się wstydzić, ale i nic takiego, czym by można się chwalić. Kulinarne wyczyny Elizy przyjmowane były z taką samą obojętnością, Sommersowie smakowali jej potrawy w milczeniu i zmieniali temat, ilekroć komentowali je goście, natomiast niezasłużony aplauz wzbudzała u nich jej wymuszona gra na fortepianie, chociaż ledwo potrafiła nadać za rytmem wykonywanych przez kogoś pieśni. Eliza przez całe życie widziała, jak jej opiekunka pisze i nigdy nie zapytała, co to takiego, podobnie jak nie zrobili tego Jeremy albo John. Była ciekawa, dlaczego wujek dyskretnie wywoził zeszyty Miss Rosę, ale - mimo że nikt jej tego nie powiedział - wiedziała, że był to jeden z tych fundamentalnych sekretów, na których opierała się równowaga rodziny, i pogwałcenie go mogło jednym dmuchnięciem zniszczyć ten domek z kart, w którym żyli. Już od dobrej chwili Jeremy i Rosę spali w swoich pokojach, a wujek John - jak przypuszczała - wyjechał konno po kolacji. Znając zwyczaje kapitana, dziewczyna wyobraziła go sobie na hulance w towarzystwie jednej z jego swobodnie zachowujących się przyjaciółek, które zaczepiały go na ulicy, kiedy nie było z nimi Miss Rosę. Domyślała się, że tańczą i piją, a ponieważ o prostytutkach wiedziała tyle, ile zdołała podsłuchać z sekretnych szeptów, myśl o czymś jeszcze bardziej plugawym nawet nie przyszła jej do głowy. Możliwość robienia dla pieniędzy albo dla sportu tego, co ona robiła z Joaquinem Andietą z miłości, była poza jej rozumieniem. Wyliczyła sobie, że wuj nie wróci wcześniej niż późnym rankiem następnego dnia, dlatego też, zszedłszy na parter, strasznie się przeraziła, kiedy ktoś po ciemku chwycił ją za ramię. Tuż obok siebie poczuła ciepło czyjegoś wielkiego ciała, na twarzy zaś oddech pachnący likierem i tytoniem, i natychmiast rozpoznała swego wuja. Próbując się uwolnić, w myślach szukała gwałtownie jakiegoś wyjaśnienia, dlaczego o tej porze chodzi po domu w samej koszuli, ale wuj zdecydowanym ruchem wprowadził ją do biblioteki, ledwo oświetlonej promieniami księżycy padającymi przez okno. Zmusił ją, by usiadła w fotelu z angielskiej skóry należącym do Jeremy'ego, sam natomiast zaczął szukać

zapalek, żeby zapalić lampę.

- Dobra, Elizo, to teraz mi powiesz, co się, do diabła, z tobą dzieje! - rozkazał jej tonem, jakim nigdy dotąd się do niej nie zwracał.

W przeblasku świadomości Eliza zrozumiała, że kapitan nie jest jej sojusznikiem, jak się tego spodziewała. Tolerancja, którą tak się chwalił, nie miała w tym przypadku zastosowania: jeżeli w grę wchodziło dobre imię rodziny, jego lojalność była po stronie rodzeństwa. Nie odzywając się, dziewczyna wytrzymała jego wzrok, patrząc na niego wyzywająco.

- Rosę mówi, że zakochałaś się w jakimś narwańcu w dziurawych butach, to prawda?

- Widziałam go dwa razy, wujku. Kilka miesięcy temu. Nawet nie wiem, jak ma na imię.

- Ale nie zapomniałaś o nim, prawda? Pierwsza miłość jest jak wietrzna ospa, zostawia niezatarte ślady. Spotykałaś się z nim na osobności?

- Nie.

- Nie wierzę ci. Myślisz, że jestem głupi? Każdy widzi, jak się zmieniłaś, Elizo.

- Jestem chora, wujku. Najadłam się zielonych owoców i wierci mnie w brzuchu, to wszystko. Właśnie szłam do ubikacji.

- Masz oczy jak suka podczas ciecarki!

- Dlaczego mnie wujek obraża?!

- Wybacz, dziecko. Nie widzisz, że cię kocham i się martwię? Nie mogę pozwolić, abyś zrujnowała sobie życie. Rosę i ja mamy doskonały plan... chciałabyś pojechać do Anglii? Mogę załatwić, że obie wsiądziecie na statek za miesiąc, to da wam czas, żeby kupić wszystko, co niezbędne do podróży.

- Do Anglii?

- Popłyniecie pierwszą klasą, jak królowe, a w Londynie zamieszkacie w pewnym wspaniałym pensjonacie parę kroków od pałacu Buckingham.

Eliza zrozumiała, że rodzeństwo postanowiło już o jej losie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było wyruszyć w kierunku przeciwnym, niż to zrobił Joaquin, rzucając między nich oddalenie dwóch oceanów.

- Dziękuję, wujku. Bardzo bym chciała poznać Anglię - powiedziała z największą słodyczą, na jaką potrafiła się zdobyć.

Kapitan nalewał sobie jedną brandy za drugą, zapalił fajkę i przez następne dwie godziny wyliczał zalety życia w Londynie, gdzie panienka taka jak ona może obracać się w najlepszym towarzystwie, chodzić na bale, do teatru i na koncerty, kupować najpiękniejsze

suknie i wyjść dobrze za mąż. A jest już w wieku po temu. A może ma ochotę pojechać również do Paryża albo do Włoch? Nikt nie powinien umrzeć, nie zobaczywszy Wenecji i Florencji. Już on się zajmie spełnianiem jej kaprysów, bo czyż nie robił tego od zawsze? Świat jest pełen mężczyzn przystojnych, interesujących i dobrze sytuowanych; sama się o tym przekona, wystarczy, że opuści tę zapadłą dziurę, ten port zapomniany od Boga i ludzi. Valparaiso nie jest miejscem dla takiej pięknej i dobrze wychowanej młodej dziewczyny jak ona. To nie jej wina, że zakochała się w pierwszym, jaki nawinął się pod rękę, żyła w zamknięciu... A co do tego chłopaka - jak mu tam?... tego pracownika Jeremy'ego - to prędko o nim zapomni. Miłość, zapewniał wuj, umiera w sposób nieubłagany: albo kiedy się sama wypali, albo kiedy - wykorzystując oddalenie - wyrwie się ją z korzeniami. Nikt nie może doradzić jej lepiej od niego: złym bo złym, ale jest ekspertem od odległości i od romansów, które obróciły się w popiół.

- Nie wiem, o czym wujek mówi. Miss Rosę wymyśliła jakąś miłosną historię, biorąc za punkt wyjścia szklankę soku z pomarańczy. Ktoś przyszedł zostawić pakunki, podałam mu sok, wypił go i odjechał. Nic się nie stało i więcej go nie widziałam.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to masz szczęście: nie będziesz musiała wybijać sobie z głowy tej mrzonki.

John Sommers pił i mówił aż do świtu, gdy tymczasem skulona w skórzanym fotelu Eliza zapadała w sen, myśląc, że koniec końców niebiosy wysłuchały jej błagań. To nie specjalnie zesłane trzęsienie ziemi uratowało ją przed straszliwą kuracją Mamy Frezji, tylko jej wuj. W domku na patio Indianka czekała na nią całą noc.

POŻEGNANIE

W sobotę po południu John Sommers zaprosił swoją siostrę Rosę na statek należący do rodziny Rodriguezów de Santa Cruz. O ile doszliby w najbliższych dniach do porozumienia, zostałby jego kapitanem, spełniając tym samym swoje marzenie o dowodzeniu parow-cem. Nieco później Paulina przyjęła ich w salonie Hotelu Angielskiego, w którym się zatrzymała. Przybyła z północy, aby wprowadzić swój projekt w czyn, podczas gdy jej mąż od kilku miesięcy przebywał w Kalifornii. Stałe rejsy statków kursujących tam i z powrotem wykorzystywali do prowadze-nia ożywionej korespondencji, w której zapewnienia o małżeń-skich uczuciach przeplatały się z planami handlowymi. Pauli-na zdecydowała się zatrudnić Johna Sommersa, kierując się wyłącznie intuicją. Ledwie pamiętała, że jest bratem Jeremy'ego i Rosę Sommersów, dwojga gringos, których jej ojciec zaprosił niegdyś parę razy do siebie na wieś, ale widziała go tylko raz i wymieniła z nim zaledwie parę grzecznościowych formułek. Jedyłą jego referencją była ich wspólna przyjaźń z Jacobem Toddem, jednak w ciągu ostatnich tygodni zasięgnęła języka i była bardzo zadowolona z tego, co usłyszała. Zarówno wśród ludzi morza, jak i w kantorach handlowych kapitan cieszył się opinią rzetelnego. Na jego doświadczeniu i słowie można było polegać bardziej, niż to zazwyczaj bywało, zwłaszcza w owych dniach zbiorowego szaleństwa, kiedy każdy mógł wynająć statek, skrzyknąć grupę awantur-ników i ruszyć w morze. Zwykle byli nimi jacyś obszarpańcy, a ich statki przypominały na wpeł rozchybotane łajby, jednak nie miało to większego znaczenia, gdyż po przybyciu do Kalifornii wszelkie spółki umierały śmiercią naturalną, statki pustoszały i wszyscy rzucali się ku złotonośnym złożom. Tym-czasem wizja Pauliny sięgała dalej. Przede wszystkim nie była zmuszona nagiąć się do cudzych wymagań, ponieważ jedy-nymi jej współnikami byli mąż i szwagier, a większość kapitału należała do niej, tak więc miała całkowitą swobodę w podejmowaniu decyzji. Jej parowiec, któremu nadała imię „Fortuna” - mimo iż raczej nieduży i ze śladami wielu lat zmagania z morzem - był w doskonałym stanie. Gotowa była sownie wynagrodzić załogę, aby ta nie zdezerterowała, ogar-nięta gorączką złota, jednak podejrzewała, że bez żelaznej ręki dobrego kapitana nie było takiej płacy, która potrafiłaby utrzymać na pokładzie dyscyplinę. Pomysł jej męża i szwagra polegał na tym, aby eksportować maszyny górnicze, drewno na budowę domów, odzież roboczą, sprzęty domowe, suszone mięso, zboże, fasolę i inne produkty trwałe, jednak zaledwie postawiła stopę w Valparaiso, pojęła, że wielu innym również przyszedł do głowy podobny plan i że czeka ją straszliwa konkurencja. Rozejrzała się zatem wokół siebie i

dostrzegła obfitość warzyw i owoców owego szczodrego lata. Było ich tyle, że nie sposób ich było sprzedać. Jarzyny rosły na dziedzińcach, a drzewa łamały się pod ciężarem owoców; mało kto chciał płacić za coś, co mógł mieć za darmo. Przyszła jej na myśl posiadłość ojca, gdzie płody rolne gniły na ziemi, bo nikomu nie chciało się ich zbierać. Gdyby tak zawieźć je do Kalifornii, byłyby cenniejsze od samego złota, pomyślała. Świeże produkty, chilijskie wino, lekarstwa, jajka, delikatna bielizna, instrumenty muzyczne i - czemuż by nie?

- spektakle teatralne, operetki, zarzuele. Do San Francisco codziennie przybywały setki imigrantów. Na razie byli to poszukiwacze przygód i bandyci, ale bez wątpienia przyjadą osadnicy z drugiej strony Stanów Zjednoczonych, uczciwi rolnicy, prawnicy, lekarze, nauczyciele i całe mnóstwo porządnych ludzi, gotowych osiedlić się tam wraz ze swymi rodzinami. Tam gdzie są kobiety, jest i cywilizacja, więc - niech no tylko wkroczy do San Francisco na dobre - mój parowiec już tam będzie ze wszystkim co niezbędne, postanowiła.

Paulina przyjęła kapitana Johna Sommersa i jego siostrę Rosę w porze herbaty, kiedy upał południa nieco już zelżał i od morza zaczynała docierać lekka bryza. Jak na spotkanie z członkami skromnej społeczności portowej ubrała się z przesadnym przepychem: od stóp do głów spowita była w muślin i koronki barwy masła, z koroną loków nad uszami i większą ilością biżuterii, niż to było przyjęte o tej porze dnia. Jej dwuletni syn wierzgał nogami w objęciach umundurowanej opiekunki, a kudłaty piesek u jej stóp zajadał kawałki ciasta, które wkładała mu do pyszczka. Pierwsze pół godziny upłynęło na prezentacjach, picciu herbaty i wspomina-niu Jacoba Todda.

- Co też się mogło stać z tym dobrym przyjacielem?

- dopytywała się Paulina, która nigdy nie miała zapomnieć udziału owego angielskiego aferzysty w jej romansie z Felicianem.

- Już od jakiegoś czasu nie mam od niego żadnych wiadomości - poinformował ją kapitan. - Kilka lat temu zabrał się ze mną do Anglii. Był bardzo przygnębiony, ale morskie powietrze dobrze mu zrobiło i kiedy schodził na ląd, odzyskał już swój dobry humor. Ostatnie, co o nim słysza-łem, to, że zamierza utworzyć jakąś utopijną kolonię.

- Co takiego? - zakrzyknęły unisono Paulina i Miss Rosę.

- To taka grupa ludzi, która mieszka poza nawiasem społeczeństwa, ma własne prawa i władze i działa w oparciu o zasady równości, wolnej miłości i wspólnej pracy. Tak mi przynajmniej tłumaczył tysiąc razy podczas podróży.

- Jest bardziej pomyłony, niż nam wszystkim się wydawało - podsumowała Miss Rosę z niejakim żalem za swoim wiernym adoratorem.

- Ludzi o oryginalnych pomysłach zawsze w końcu uważa się za szaleńców - zauważyła Paulina. - Nie szukając daleko, ja sama mam pewien pomysł, który chciałabym z panem przedyskutować, kapitanie Sommers. Zna pan już „Fortunę”? Ile czasu zajęłoby panu popłynięcie pełną parą z Valparaiso do zatoki Penas?

- Penas? Przecież to daleko na południu!

- Oczywiście. Dalej niż Puerto Aisen.

- I cóż bym tam robił? Przecież tam są tylko wyspy, lasy i deszcze.

- Zna pan tamte strony?

- Tak, ale myślałem, że chodzi o rejs do San Francisco...

- Proszę spróbować tych francuskich ciasteczek, są pyszne - zaproponowała, głaszcząc pieska.

Podczas gdy John i Rosę Sommers rozmawiali z Pauliną w Hotelu Angielskim, Eliza i Mama Frezja krążyły po dzielnicy El Almendral. O tej porze do akademii tańca zaczęli schodzić się uczniowie i goście zaproszeni na wieczorki i Miss Rosę wyjątkowo puściła tam Elizę na parę godzin z nianią jako przyzwoitką. Zazwyczaj nie pozwalala jej nawet zbliżyć się do akademii (chyba że w swoim towarzystwie), ale nauczyciel tańca częstował napojami alkoholowymi dopiero po zachodzie słońca, dzięki czemu przez kilka pierwszych popołudniowych godzin młodzieńcy, których obecność mogłaby okazać się kłopotliwa, trzymali się z daleka. Eliza, zdecydowana wykorzystać tę jedyną okazję do wyjścia z domu bez Miss Rosę, przekonała Indiankę, żeby wsparła ją w jej planach.

- Daj mi swoje błogosławieństwo, mamusiu. Muszę jechać do Kalifornii na poszukiwanie Joaquina - poprosiła.

- Ale jak ty pojedziesz: sama i w ciąży! - wykrzyknęła kobieta z przerażeniem.

- Nawet jak mi nie pomożesz, i tak to zrobię.

- Powiem wszystko Miss Rosę!

- Jeśli to zrobisz, zabiję się. A potem będę cię dręczyć każdej nocy aż do końca życia.

Przysięgam ci - odrzekła dziewczyna z dziką determinacją.

Poprzedniego dnia widziała w porcie grupę kobiet załatwiających sobie zaokrętowanie. Z powodu ich powierzchowności - tak różnej od wyglądu kobiet, które zazwyczaj mijała na ulicy, zimą i latem okutane w czarne chusty - domyśliła się, że to te same ulicznice, z którymi zabawiał się wujek John. „To dziwki, idą do łóżka za pieniądze i pójdą prościutko do piekła”, wyjaśniła jej przy jakiejś okazji Mama Frezja. Obiło się jej o uszy parę zdań kapitana opowiadającego Jeremy'emu Sommersowi o Chilijkach i Peruwiankach, które wyruszały do Kalifornii z zamiarem zagarnięcia złota górników, ale nie mogła sobie

wyobrazić, jak one to robią. Jeżeli te kobiety mogą same odbyć podróż i przeżyć bez niczyjej pomocy, ona też potrafi, uznała. Szła szybko, z bijącym sercem i twarzą do połowy zasloniętą wachlarzem, pocąc się w grudniowym upale. W małej aksamitnej torebce niosła posagowe klejnoty. Jej nowe buciki okazały się istną torturą, a gorset cisnął ją w pasie; odór otwartych rynsztoków, którymi płynęły odchody miasta, wywoływał u niej mdłości, ale szła trzymając się tak prosto, jak ją tego nauczono, latami każąc jej chodzić z książką na głowie i grać na fortepianie z metalowym drążkiem przymocowanym do pleców. Mama Frezja, jęcząc i mamrocząc litanie w swoim języku, cierpiąc z powodu żyłaków i tuszy, ledwo mogła za nią nadążyć. Dokąd my idziemy, dziecino, na litość Boga, ale Eliza nie mogła jej odpowiedzieć, bo sama tego nie wiedziała. Jednego była pewna: nie mogła zastawić klejnotów i kupić biletu do Kalifornii, bo nie było sposobu, żeby to zrobić tak, aby wujek John się o tym nie dowiedział. Mimo że codziennie zawijały tu dziesiątki statków, Valparaiso było małym miastem, a w porcie wszyscy znali kapitana Johna Sommersa. Nie miała także żadnych dokumentów tożsamości ani tym bardziej paszportu, którego nie można było sobie wyrobić, ponieważ właśnie w tych dniach, z powodu burzliwego romansu jakie-goś amerykańskiego dyplomaty z pewną chilijską damą, zamknięto przedstawicielstwo Stanów Zjednoczonych w Chile. Eliza uznała, że jedyny sposób, aby podążyć za Joaquinem Andietą do Kalifornii, to zaokrętować się jako pasażer na gapę. Wujek John opowiadał jej, że czasami, z pomocą jakiegoś członka załogi, dostają się na statek nielegalni podróżni. Być może niektórym udaje się przetrwać w ukryciu przez cały rejs, inni umierają, ich ciała pochłania morze, a on nawet o tym nie wie, jednak ilekroć ich odkrywa, tak samo karze pasażera na gapę, jak i tych, którzy mu pomagali. To był jeden z tych przypadków, kiedy z największą surowością sprawował swoją niekwestionowaną władzę kapitana: na otwartym morzu nie było innego prawa ani sprawiedliwości niż jego własne.

Zdaniem wujka większość nielegalnych transakcji zawiera-no w portowych tawernach. Eliza nigdy nie przekroczyła progu takiego miejsca, ale zobaczyła, że jakaś kobieca postać kieruje się do pobliskiego lokalu, i rozpoznała w niej jedną z kobiet, które poprzedniego dnia były na nabrzeżu i szukały sposobu, żeby się dostać na statek. Była to młoda, szerokobiodra dziewczyna z czarnymi warkoczami zwisającymi jej na plecach, ubrana w bawełnianą spódnicę, haftowaną bluzkę i chustkę zarzuconą na ramiona. Nie zastanawiając się dwa razy, Eliza ruszyła w ślad za nią, podczas gdy Mama Frezja została na ulicy recytując ostrzeżenia: „Tam wchodzą tylko kurwy, dziecino, to śmiertelny grzech”. Pchnęła drzwi i mu-siało upłynąć kilka sekund, zanim jej wzrok przyzwyczyił się do ciemności, a węch do wyziewów tytoniu i stęchłego piwa, którymi przesycone było powietrze. Wewnątrz siedział

tłum mężczyzn i oczy ich wszystkich zwróciły się w stronę obu kobiet. Na chwilę zapadła pełna wyczekiwania cisza, po czym rozległ się chór żartów i sprośnych docinków. Tamta zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód w stronę jakiegoś stołu w głębi, wprawnym ruchem rozdając ciosy na prawo i lewo, ilekroć ktoś próbował jej dotknąć, ale przerażona Eliza cofnęła się po omacku, nie pojmując, co się dzieje i dlaczego mężczyźni na nią wrzeszczą. Dotarłszy do drzwi, zderzyła się z jakimś klientem, który właśnie wchodził. Mężczyzna zawołał coś w obcym języku i udało mu się ją podtrzymać, kiedy upadała na podłogę. Spojrzawszy na nią, zastygł w bezruchu, dezorientowany: w swojej dziewczęcej sukience, z wachlarzem, Eliza zupełnie do tego miejsca nie pasowała. Ona również popatrzyła na niego i natychmiast rozpoznała w nim kucharza, z którym poprzedniego dnia przywitał się jej wujek.

- Tao Chi'en? - zapytała, błogosławiąc w duchu swoją dobrą pamięć.

Ten pozdrowił ją, składając ręce na wysokości twarzy i kłaniając się kilkakrotnie, podczas gdy kpiny w barze nie ustawały. Dwóch marynarzy wstało i zataczając się, podeszło do nich. Tao Chi'en wskazał Elizie drzwi i oboje wyszli.

- Miss Sommers? - zapytał już na zewnątrz.

Eliza potaknęła, ale nie zdołała powiedzieć nic więcej, ponieważ przerwało im dwóch mężczyzn z baru, najwyraźniej pijanych i szukających zwady, którzy stanęli w drzwiach.

- Jak śmiesz zaczepiać tę piękną panienkę, ty zasrany Chińczyku? - odezwał się jeden z nich z pogroźką w głosie.

Tao Chi'en pochylił głowę, odwrócił się na pięcie i zrobił gest, jakby miał zamiar odejść, ale wtedy tamten zastąpił mu drogę i pociągnął go za warkocz, gdy tymczasem drugi mamrotał komplementy prosto w twarz Elizy, owiewając ją przy tym oddechem cuchnącym kwaśnym winem. Chińczyk odwrócił się z kocią szybkością i zmierzył z agresorem. W ręce miał jakiś nóż niezwykłych rozmiarów, którego ostrze w letnim słońcu jaśniało niczym lustro. Mama Frezja wydała z siebie krzyk i nie zastanawiając się dłużej, popchnęła marynarza stojącego bliżej, chwyciła Elizę za ramię i rzuciła się truchtem w dół ulicy ze zwinnością, o jaką trudno by podejrzewać kogoś jej tuszy. Przebiegły wiele przecznic, oddalając się od dzielnicy czerwonych latarni, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarły do placu San Agustin, gdzie Mama Frezja opadła, drżąc, na pierwszą ławeczkę, jaka znalazła się w jej zasięgu.

- Aj, dziecino! Jak się państwo o tym dowiedzą, to mnie zabiją! Natychmiast wracajmy do domu...

- Jeszcze nie zrobiłam tego, po co tu przyszłam, mamusiu. Muszę wrócić do tamtej tawerny.

Mama Frezja złożyła ręce na piersi, odmawiając stanowczo ruszenia się z miejsca, gdy tymczasem Eliza przechadzała się wielkimi krokami, usiłując pokonać wzburzenie i obmyślić jakiś plan. Nie miała zbyt dużo czasu do dyspozycji. Polecenia Miss Rosę były bardzo jasne: punktualnie o szóstej przed akademią tańca miała na nie czekać powóz i zabrać je do domu. Musi działać szybko, postanowiła, bo druga taka okazja już się nie powtórzy. W tym momencie ujrzały Chińczyka, który kołyszącym się krokiem, spokojnie, z nie-zmąconym uśmiechem zbliżał się ku nim. Przywitał się ponownie, bijąc pokłony, jak to miał w zwyczaju, po czym poprawną angielszczyzną zwrócił się do Elizy z pytaniem, czy czcigodna córka kapitana Johna Sommersa potrzebuje pomocy. Wyjaśniła, że nie jest jego córką tylko siostrzenicą, i w przyływie nagłego zaufania albo desperacji wyznała mu, iż faktycznie potrzebna jej pomoc, ale że chodzi o bardzo osobistą sprawę.

- Coś, o czym kapitan nie może się dowiedzieć?

- Nikt się nie może dowiedzieć.

Tao Chi'en odmówił, przepaszając. Kapitan to dobry człowiek, powiedział, co prawda podstępem porwał go na statek, ale dobrze go traktował, więc teraz nie zamierza go zdradzić. Załamana Eliza z twarzą ukrytą w dłoniach opadła na ławkę, gdy tymczasem Mama Frezja obserwowała ich, nie rozumiejąc ani słowa po angielsku, jednak domyślając się intencji. W końcu podeszła do Elizy i kilkakrotnie pociągnęła za aksamitną torebkę, w której znajdowały się posagowe klejnoty.

- Sądzisz, że na tym świecie ktoś zrobi coś za darmo? - spytała.

Eliza zrozumiała w jednej chwili. Otarła łzy i wskazała mężczyźnie miejsce na ławce obok siebie, prosząc go, by usiadł. Włożyła rękę do torebki, wyciągnęła sznur pereł, który poprzedniego dnia podarował jej wujek John, i położyła go na kolanach Tao Chi'ena.

- Może mnie pan ukryć na jakimś statku? Muszę jechać do Kalifornii - wyjaśniła.

- Po co? To nie miejsce dla kobiet, tylko dla bandytów.

- Muszę czegoś poszukać.

- Złota?

- Czegoś cenniejszego od złota.

Mężczyzna zastygł z ustami otwartymi ze zdumienia, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie spotkał kobiety, która byłaby zdolna do takich ekstremalnych zachowań, chyba że w klasycznych powieściach, ale ich bohaterki zawsze na końcu umierały.

- Za ten naszyjnik może pani kupić sobie bilet. Nie musi pani podróżować w ukryciu - zwrócił jej uwagę Tao Chi'en, który nie zamierzał komplikować sobie życia, działając wbrew prawu.

- Żaden kapitan mnie nie zabierze, nie zawiadamiając przedtem rodziny.

Początkowe zaskoczenie Tao Chi'ena przeszło w szczere osłupienie: ta kobieta zamierzała - ni mniej, ni więcej - pozbawić czci swoją rodzinę i oczekiwała, że on jej w tym pomoże! Miała diabła za skórą, nie było wątpliwości. Eliza ponownie sięgnęła do torebki, wyjęła złotą broszkę wysadzaną turkusami i położyła ją na kolanach mężczyzny obok naszyjnika.

- Czy kochał pan kiedyś kogoś bardziej niż własne życie?

- zapytała.

Tao Chi'en pierwszy raz, odkąd się poznali, popatrzył jej w oczy i widocznie coś w nich zobaczył, bo wziął naszyjnik i schował go za pazuchę, po czym zwrócił broszkę. Wstał, poprawił sobie bawełniane spodnie i rzeźniczy nóż za pasem i ponownie uklonił się ceremonialnie.

- Już nie pracuję dla kapitana Sommersa. Jutro odpływa do Kalifornii brygantyna „Emilia”. Proszę przyjść dzisiaj o dziesiątej w nocy, to zaprowadzę panią na pokład.

- Jak?

- Nie wiem. Zobaczymy.

Tao Chi'en jeszcze raz złożył pożegnalny ukłon i oddalił się tak dyskretnie i szybko, że zdawało się, iż wyparował.

Eliza i Mama Frezja wróciły do akademii tańca dokładnie na czas, aby spotkać stangreta, który czekał na nie od pół godziny, pociągając z manierki.

„Emilia” pływała dawniej pod banderą francuską; niegdyś była smukła i zwinna, ale przeryła już wiele mórz i wieki temu utraciła swój młodzieńczy rozmach. Przecinały ją stare marynarskie blizny, jej rozłożyste biodra matrony pokrywała gruba warstwa mięczaków, wyrobione złącza jęczały pod uderzeniami fal, a poplamione i po tysiackroć naprawiane ożaglowanie przypominało resztki starych halek. Opuściła Valparaiso słonecznego poranka 18 lutego 1849 roku, zabierając na swym pokładzie osiemdziesięciu siedmiu pasażerów płci męskiej, pięć kobiet, sześć krów, osiem świń, trzy koty, osiemnastu marynarzy, jednego holenderskiego kapitana, jednego chilijskiego nawigatora i jednego chińskiego kucharza. Oraz Elizę, ale jedyną osobą, która wiedziała o jej istnieniu, był Tao Chi'en.

Pasażerowie pierwszej klasy tłoczyli się na dziobie, gdzie nie mieli zbytnej prywatności, jednak i tak było im znacznie wygodniej niż pozostałym, ściśniętym w maleńkich kabinach, z których każda liczyła po cztery koje, albo na gołych deskach pokładu, gdzie musieli uprzednio rzucić losy o miejsce na swój bagaż. Jedna kabina poniżej linii wody została przeznaczona dla pięciu Chilijek płynących do Kalifornii w poszukiwaniu fortuny. W

porcie Callao wsiadły jeszcze dwie Peruwianki, które bez większych ceregieli dołączyły do nich, i odtąd kobiety spały po dwie na każdej koi. Kapitan Vincent Katz pouczył marynarzy i pasażerów, że nie powinni utrzymywać z damami najmniejszych kontaktów, gdyż nie zamierza tolerować na swoim statku nieprzyzwoitych transakcji pod żadną postacią, a jego zdaniem pasażerki owe nie należą do najcnotliwszych, jednakże zakaz ten - co było logiczne nie raz został w trakcie rejsu pogwałcony. Mężczyźni tęsknili za towarzystwem kobiet, one zaś - zwyczajne prostytutki rzucające wyzwanie losowi - nie miały grosza przy duszy. Krowy i świnię, dobrze uwiązane w małych zagrodach na drugim pokładzie, miały zapewnić świeże mleko i mięso podróżnym, których dieta składała się głównie z fasoli, twardych czarnych sucharów, suszonego solonego mięsa i tego, co udało im się złowić. Dla zrekompensowania owego niedostatku co zamożniejsi pasażerowie wieźli własne wiktuały, przede wszystkim wino i cygara, jednakże większość chodziła głodna. Dwa koty puszczane były wolno, żeby w bezpiecznej odległości utrzymać szczury, które w przeciwnym razie podczas trwającego dwa miesiące rejsu rozmnożyłyby się w sposób niekontrolowany. Trzeci kot podróżował z Elizą.

W brzuchu „Emilii” zgromadzono różnorodne bagaże podróżnych oraz ładunek przeznaczony na sprzedaż w Kalifornii, upchane tak, by ograniczoną przestrzeń wykorzystać do maksimum. Aż do chwili osiągnięcia portu przeznaczenia niczego tam nie dotykano i nikt tam nie wchodził z wyjątkiem kucharza, który jako jedyny miał dostęp do ściśle racjonowanego suchego prowiantu. Tao Chi'en pilnował kluczy wiszących na pasku i osobiście odpowiadał przed kapitanem za zawartość ładowni. Tam, w najgłębszym i najciemniejszym zakątku, w niszy o wymiarach dwa metry na dwa, płynęła Eliza. Ściany i dach jej klitki tworzyły paki i skrzynie z towarem, łóżkiem był worek, a całe oświetlenie stanowił ogarek świecy. Miała miskę do jedzenia, dzbanek na wodę i nocnik. Mogła zrobić parę kroków i wyprostować się pośród pakunków oraz płakać i krzyczeć do woli, ponieważ bicie fal o kadłub statku tłumilo jej głos. Jedyny kontakt ze światem zewnętrznym stanowił Tao Chi'en, który pod różnymi pretekstami schodził, kiedy tylko mógł, żeby ją nakarmić i opróżnić nocnik. Za całe towarzystwo miała kota, który został zamknięty w ładowni do walki ze szczurami, jednak podczas okropnych tygodni rejsu nieszczęsne zwierzę stopniowo zaczęło tracić zmysły i w końcu Tao Chi'en z litości odciął mu nożem głowę.

Eliza znalazła się na statku w worku, który przerzucił sobie przez ramię jeden z licznych dokerów, jacy w Valparaiso wnieśli na pokład ładunek i bagaże. Nigdy nie dowiedziała się, jak Tao Chi'en zdołał pozyskać sobie tego mężczyznę jako współnika i zadzwic z kontroli kapitana i nawigatora, którzy notowali w księdze wszystko, co wnoszono. Uciekła kilka godzin wcześniej, utkawszy skomplikowaną intrygę, obejmującą sfałszowanie

pisemnego zaproszenia ze strony rodziny del Valle do spędzenia kilku dni na ich hacjendzie. Nie był to taki całkiem niedorzeczny pomysł. Córki Agustina del Valle już kilkakrotnie zapraszały ją na wieś i Miss Rosę pozwalała jej jechać, zawsze w towarzystwie Mamy Frezji. Pożegnała się z Jeremym, Miss Rosę i wujkiem Johnem z udawaną lekkością, czując jednocześnie w piersi ogromny i przytłaczający niczym skała ciężar. Zobaczyła ich, jak siedząc przy stole czytają angielskie gazety, całkowicie nieświadomi jej planów, i jakaś bolesna niepewność o mało nie kazała jej się wycofać. Byli jej jedyną rodziną, reprezentowali sobą bezpieczeństwo i dobrobyt, lecz ona przekroczyła już granice przyzwoitości i nie było odwrotu. Sommersowie wpoili jej sztywne normy dobrego wychowania i wiedziała, że tak wielki błąd stanowił plamę na honorze ich wszystkich. Wraz z jej ucieczką część rodziny nadal pozostawała splamiona, ale przynajmniej było miejsce na wątpliwość: zawsze mogli powiedzieć, że umarła. Bez względu na to, jakie wyjaśnienie mieli dać światu, jej już nie będzie dane patrzeć na ich wstyd. Godny Odyseusza pomysł, aby wyruszyć na poszukiwanie kochanka, wydawał się jedyną możliwą drogą, jednakże w tamtej chwili milczącego pożegnania ogarnął ją taki smutek, że mało brakowało, a wybuchnęłaby płaczem i wszystko wyznała. W tym momencie z okrutną wyrazistością stanął jej przed oczami obraz odjeżdżającego nocą Joaquina Andiety, przypominając, co jest winna swojej miłości. Poprawiła sobie kilka niesfornych kosmyków, włożyła na głowę kapelusik z włoskiej słomki i wyszła, machając ręką na pożegnanie.

Wzięła ze sobą przygotowaną przez Miss Rosę walizkę, z najlepszymi letnimi sukienkami, kilka reali podkradzionych z pokoju Jeremy'ego Sommersa i klejnoty stanowiące jej posag. Miała ochotę zabrać także biżuterię Miss Rosę, jednak w ostatniej chwili zwyciężył szacunek dla kobiety, która zastępowała jej matkę. W swoim pokoju na dnie pustego kufra zostawiła krótki list, dziękując za wszystko, co od nich dostała, i jeszcze raz powtarzając, jak bardzo ich kocha. Przyznała się, co zabiera, żeby uchronić służbę przed jakimkolwiek podejrzeniem. Mama Frezja włożyła jej do walizki najmocniejsze buty, a także zeszyty i plik miłosnych listów od Joaquina Andiety. Poza tym zabierała ciężką chustę z kastyljskiej wełny, otrzymaną w prezencie od wujka Johna. Wyszły nie wzbudzając podejrzeń. Stangret zostawił je na ulicy, przy której mieszkała rodzina del Valle, i nie czekając na otwarcie drzwi, znikł im z oczu. Mama Frezja i Eliza ruszyły w kierunku portu, aby w umówionym miejscu i porze spotkać się z Tao Chi'enem.

Chińczyk już na nie czekał. Odebrał walizkę od Mamy Frezji i skinął na Elizę, żeby poszła za nim. Dziewczyna i jej niania obejmowały się długo. Były pewne, że nigdy więcej się nie zobaczą, ale żadna z nich nie uroniła ani jednej łzy.

- Co powiesz Miss Rose, mamusiu?

- Nic. Zaraz jadę do swoich, na południe, gdzie nikt mnie nigdy nie znajdzie.

- Dziękuję, mamusiu. Zawsze będę o tobie pamiętać...

- A ja się będę modlić, żeby ci się udało, dziecino - były to ostatnie słowa, jakie Eliza usłyszała z ust Mamy Frezji, zanim idąc krok w krok za chińskim kucharzem, weszła do jakiejś rybackiej chaty.

W mrocznym, drewnianym, pozbawionym okien pomieszczeniu pachnącym mokrymi sieciami, w którym jedyne źródło powietrza stanowiły drzwi, Tao Chi'en podał Elizie spodnie do kolan i mocno znoszoną bluzę, polecając jej, by się w nie ubrała. Nie zrobił gestu, jakby miał wyjść albo dyskretnie się odwrócić. Eliza zawahała się; nigdy nie rozbierała się przed mężczyzną, z wyjątkiem Joaquina Andiety, jednakże Tao Chi'en nie zauważył jej zmieszania, gdyż nie miał poczucia prywatności; ciało i jego funkcje traktował jako coś naturalnego, a wstydlivość była dla niego raczej zawadą niż cnotą. Zrozumiała, że nie jest to dobry moment na skrupuły, statek wypływał o świcie i ostatnie łódki dostarczały na pokład brakujące bagaże. Zdjęła słomkowy kapelusik, rozpięła buciki z kurdybanu i sukienkę, rozwiązała tasiemki halek i umierając ze wstydu, poprosiła gestem Chińczyka, żeby jej pomógł rozsznurować gorset. W miarę jak kolejne części jej wykwintnej garderoby angielskiej paniarki opadały na podłogę, jeden po drugim traciła punkty styczne ze znaną rzeczywistością, wkraczając nieodwracalnie w dziwną iluzję, jaka na najbliższe lata miała stać się jej życiem. Wyraźnie czuła, że zaczyna nową historię, w której będzie bohaterką i narratorką zarazem.

CZWARTY SYN

Tao Chi'en nie zawsze nosił to imię. Prawdę mówiąc, aż do jedenastego roku życia w ogóle nie miał imienia; jego rodzice byli zbyt biedni, żeby zajmować się takimi drobnostkami: nazywano go po prostu Czwartym Synem. Urodził się dziewięć lat wcześniej niż Eliza w małej wiosce w prowincji Kuangtung, o półtora dnia drogi marszem od Kantonu. Pochodził z rodziny znachorów. Od niezliczonych pokoleń mężczyźni jego rodu z ojca na syna przekazywali sobie wiedzę dotyczącą roślin leczniczych, sztuki usuwania złych nastrojów, magii odstraszałającej demony i umiejętności kierowania energią qi. W roku, w którym Czwarty Syn przyszedł na świat, rodzina żyła w skrajnej nędzy, utraciwszy stopniowo ziemię na rzecz lichwiarzy i oszustów. Urzędnicy Cesarstwa zbierali podatki, pieniądze zatrzymywali dla siebie, po czym, nie chcąc, aby ich kradzież wyszła na jaw, nakładali nowe podatki, a oprócz tego pobierali nielegalne prowizje i łapówki. Rodzina Czwartego Syna, podobnie jak większość rolników, nie mogła im płacić. Jeśli nawet ze swych nędznych dochodów udawało jej się ocalić przed mandarynami kilka monet, natychmiast traciła je w grach hazardowych, stanowią-cych jedną z niewielu rozrywek dostępnych biedocie. Zakłady można było robić na wyścigach żab albo koników polnych, walkach karaluchów lub wan tan, nie mówiąc o wielu innych popularnych grach ludowych.

Czwarty Syn był wesołym chłopcem, który śmiał się bez powodu, lecz zarazem posiadał niezwykłą zdolność do koncentracji i ciekawość świata. W wieku siedmiu lat wiedział, że talent dobrego znachora polega na utrzymywaniu równowagi między yin i yang; kiedy miał dziewięć lat, znał właściwości okolicznych roślin i mógł pomagać ojcu i starszym braciom w żmudnym przygotowywaniu plastrów, maści, toników, balsamów, syropów, proszków i pigułek z wiejskiej farmakopei. Jego ojciec i Pierwszy Syn wędrowali od wsi do wsi, proponując kuracje i medykamenty, podczas gdy synowie Drugi i Trzeci uprawiali mizerny splachetek ziemi, stanowiący jedyny kapitał rodziny. Czwarty Syn miał za zadanie zbierać rośliny i lubił to robić, gdyż dzięki temu miał okazję krążyć po okolicach bez dozoru, wymyślając różne zabawy i naśladując głosy ptaków. Czasami, o ile po niekończących się zajęciach domowych starczało jej jeszcze sił, towarzyszyła mu matka, która - jako kobieta - nie mogła pracować na roli, nie narażając się na drwiny sąsiadów. Z trudem, popadając w coraz większe długi, przeżyli do fatalnego roku 1834, kiedy to przeciwko rodzinie obróciły się najgorsze demony. Najpierw garnek z wrzącą wodą przewrócił się na młodszą, zaledwie dwuletnią siostrę, parząc ją od stóp do głów. Przykładali jej kurze białko i leczyli ziołami

odpowiednimi w takich przypadkach, jednak nie minęły trzy dni, a wyczerpana cierpieniem dziewczynka zmarła. Matka już się z tego nie podniosła. Wcześniej straciła również inne dzieci i każde z nich pozostawiło w jej duszy ranę, jednak wypadek najmłodszej był niczym ostatecznie ziarnko ryżu przepelniające miseczkę. Zaczęła marnieć w oczach, z dnia na dzień była coraz chudsza, jej skóra zaczęła nabierać zielonkawej barwy, kości stały się łamliwe, a mikstury męża nie potrafiły powstrzymać nieubłaganego postępu tajemniczej choroby, aż w końcu któregoś ranka zastali ją sztywną, z uśmiechem ulgi i spokojem w oczach, gdyż miała się wreszcie spotkać ze swymi zmarłymi dziećmi. Obrzędy pogrzebowe były bardzo proste, jako że chodziło o kobietę. Nie mogli zatrudnić mnicha, nie mieli też ryżu, żeby w trakcie ceremonii poczęstować krewnych i sąsiadów, ale przynajmniej upewnili się, że jej duch nie schroni się pod dachem, w studni ani w mysich dziurach, skąd mógłby kiedyś wyjść, żeby ich dręczyć. Bez matki, która swoim wysiłkiem i cierpliwością utrzymywała jedność rodziny, nie sposób było uniknąć nieszczęścia. Był to rok tajfunów, nieurodzaju i głodu; rozległe terytorium Chin zaroilo się od żebraków i bandytów. Siedmioletnią córkę, która pozostała jeszcze w rodzinie, sprzedano jakiemuś agentowi i nigdy więcej nikt o niej nie usłyszał. Pierwszy Syn, którego przeznaczeniem było zastąpić ojca w jego profesji wędrownego medyka, został ugryziony przez chorego psa i wkrótce potem umarł, wygiąwszy ciało w łuk, tocząc pianę z ust. Synowie Drugi i Trzeci byli już w wieku odpowiednim do pracy i na nich spadł obowiązek opieki nad ojcem za życia, dopełnienia obrzędów pogrzebowych, kiedy umrze, oraz czczenia pamięci jego i wszystkich męskich przodków od pięciu pokoleń. Czwarty Syn nie był szczególnie przydatny, jak również nie mieli czym go żywić, tak więc ojciec sprzedał go na dziesięcioletnią służbę jakimś kupcom, którzy przejeżdżali karawaną w pobliżu wioski. Chłopiec miał jedenaście lat.

Dzięki jednemu z owych kaprysów fortuny, które w przyszłości nieraz miały go zmusić do zmiany kierunku, w jakim zmierzał, okres niewolnictwa, który mógł stać się dla chłopca piekłem, w rzeczywistości okazał się znacznie lepszy niż lata spędzone pod ojcowskim dachem.

Dwie mulice ciągnęły wóz, na którym jechał najcięższy ładunek z całej karawany. Denerwujący jęk towarzyszył każdemu obrotowi kół, których - dla odstraszenia demonów - celowo nie oliwiono. Czwarty Syn, który płakał niepokieszony od chwili, gdy rozłączono go z ojcem i braćmi, został przywiązany sznurem do jednego ze zwierząt, żeby nie uciekł. Bosy i spragniony, z workiem zawierającym jego skromny dobytek, patrzył na oddalające się dachy wioski i znajomy krajobraz. Życie w tamtej chacie było jedynym, jakie znał, i nie było złe, rodzice odnosili się do niego z czułością, matka opowiadała mu różne historie i wystarczył

byle pretekst, żeby się pośmiać albo świętować, nawet w czasach największego niedostatku. Dreptał za mulicą przekonany, że z każdym krokiem coraz bardziej wstępuje na terytorium złych duchów, i obawiał się, że skrzypienie kół i dzwoneczki zawieszane na wozie nie wystarczą, by go ochronić. Ledwo rozumiał dialekt podróźnych, ale kilka pochwyconych w locie słów nappełniało go przejmującym strachem. Rozmawiali o złych widmach, krążących licznie w tych stronach, potępionych duszach nieboszczyków, których pogrzebano bez należytego ceremoniału. Głód, tyfus i cholera rozsiały trupy po całym regionie i brakowało żywych, żeby oddać cześć tak wielu zmarłym. Na szczęście zjawy i demony miały opinię nierozgarniętych: nie potrafiły skręcić za róg i łatwo było odwrócić ich uwagę, podsuwając im jedzenie albo prezenty z papieru. Niemniej jednak czasami żadnym sposobem nie dawały się odpędzić i materializowały się, zdecydowane walczyć o swe oswobodzenie, zabijając cudzoziemców, aby wstępować w ich ciała, a potem zmuszać do popełniania niewyobrażalnych występków. Maszerowali od wielu godzin; letni upał i pragnienie były nieznośne, mały potykał się co dwa kroki i jego nowi właściciele, zniecierpliwieni, smagali go po nogach witkami, jednakże bez specjalnej złośliwości. O zachodzie słońca postanowili zatrzymać się i rozbić obóz. Zdjęli ze zwierząt ładunek, rozpalili ognisko, przygotowali herbatę i podzielili się na małe grupki, żeby zagrać w fan tan i madzonga. W końcu ktoś przypomniał sobie o Czwartym Synu i podał mu miseczkę ryżu i kubek herbaty, na które on rzucił się z żarłocznością spotęgowaną długimi miesiącami głodu. Byli właśnie zajęci jedzeniem, kiedy nieoczekiwanie rozległo się głośnie wycie i otoczył ich tuman kurzu. Do wrzasku napastników dołączył krzyk podróźnych, a wystraszony chłopiec wczołgał się pod wóz na tyle, na ile pozwalał mu sznur, którym był przywiązany. Nie był to jakiś legion z piekła rodem, jak się natychmiast okazało, tylko jedna z licznych band, jakie w owych czasach pozbawionych wszelkiej nadziei grasowały po drogach, kpiąc sobie z nieudolności żołnierzy Cesarstwa. Doszedłszy do siebie po pierwszym ataku, kupcy chwycili za broń i pośród zgiełku krzyków, gróźb i wystrzałów, trwającego zaledwie parę minut, stawili czoło włóczęgóm. Kiedy kurz opadł, okazało się, że jeden z bandytów zbiegł, a pozostali dwaj leżą na ziemi ciężko ranni. Ściągnęli im chustki z twarzy i stwierdzili, że było to dwóch wyrostków w łachmanach, uzbrojonych w pałki i prymitywne lance. Wówczas - pragnąc ich upokorzyć, każąc im opuścić ten świat w kawalkach, a nie w całości, tak jak na niego przyszli - co prędzej ucięli im głowy, które wbili na pale i ustawili po obu stronach drogi. Kiedy umysły nieco się uspokoiły, stwierdzono, że jeden z członków karawany zwija się na ziemi z okropną raną od lancy w udzie. Czwarty Syn, który sparaliżowany strachem przesiadzał całą bitwę pod wozem, wyczolgał się ze swej kryjówki i z całym szacunkiem poprosił

szlachetnych kupców, by mu pozwolili opatrzyć rannego, na co - z braku alternatywy - przystali. Poprosił o herbatę do obmycia krwi, po czym otworzył swój worek i wydobyl z niego flakonik z bai yao. Posmarował ranę białą papką, obwiązał ciasno nogę i bez najmniejszego wahania oznajmił, że nie miną trzy dni, jak rana się zasklepi. Tak też się stało. Przypadek ów uratował go przed spędzeniem następnych dziesięciu lat w charakterze niewolnika traktowanego gorzej od psa, gdyż ze względu na jego umiejętności kupcy sprzedali go w Kantonie sławnemu zhong yi - lekarzowi medycyny tradycyjnej i mistrzowi akupunktury - któremu potrzebny był uczeń. U tego mędrca Czwarty Syn zdobył wiedzę, jakiej nigdy nie przekazałby mu jego prosty ojciec.

Wiekowy mistrz był łagodnym, powoli mówiącym człowiekiem, o przypominającej księżyc płaskiej twarzy i kościstych czułych dłoniach, stanowiących jego najlepsze narzędzia. Pierwsze, co zrobił ze swym służącym, to nadał mu imię. Sięgnął do astrologicznych i wróżbiarskich ksiąg, aby sprawdzić, jakie byłoby dla chłopca najodpowiedniejsze: Tao. Słowo to miało wiele znaczeń, na przykład droga, kierunek, sens i harmonia, przede wszystkim jednak symbolizowało drogę życia. Mistrz dał mu swe własne nazwisko.

- Będiesz się nazywał Tao Chi'en. To imię stawia cię na początku drogi do medycyny. Twoim przeznaczeniem będzie przynosić innym ulgę w cierpieniu i osiągnąć mądrość. Będiesz zhong yi, jak ja.

Tao Chi'en... Młody uczeń przyjął swoje imię z wdzięcznością. Ucałował ręce nauczyciela i pierwszy raz, odkąd opuścił swój dom, uśmiechnął się. Pogoda ducha, która kiedyś sprawiała, że bez żadnego powodu tańczył z zadowolenia, na nowo zagościła w jego piersi, a uśmiech nie schodził mu z twarzy przez całe tygodnie. W podskokach krążył po domu, z rozkoszą delektując się swym imieniem, obracając je w ustach niczym cukierek, powtarzając je głośno i śniąc o nim, aż w końcu całkowicie się z nim utożsamiał. Jego mistrz - wyznawca Konfucjusza w sprawach praktycznych i Buddy w kwestiach ideologicznych - silną, lecz zarazem bardzo delikatną ręką nauczył go dyscypliny, mającej uczynić go dobrym lekarzem.

- Jeśli zdołam nauczyć cię wszystkiego, co zamierzam, pewnego dnia będziesz światłym człowiekiem - powiedział.

Uważał, że rytuały i obrzędy są tak samo niezbędne jak normy dobrego wychowania i szacunek dla hierarchii. Zwykł mawiać, że nie na wiele się zda wiedza bez mądrości, że nie ma mądrości bez duchowości i że prawdziwa duchowość zawsze obejmuje służbę na rzecz innych. Po wielekroć powtarzał mu, że istota dobrego leczenia polega na umiejętności współczucia i poczuciu etyki, bez których święta sztuka uzdrawiania degeneruje się i

przeradza w zwykłą szarlatanerię. Podobało mu się, że jego uczeń dużo i często się śmieje.

- Masz za sobą znaczny odcinek drogi ku mądrości, Tao. Mędrzec zawsze jest radosny
- utrzymywał.

Przez okrągły rok Tao Chi'en wstawał o świcie, jak każdy uczeń, aby przez godzinę medytować, śpiewać i modlić się. Na odpoczynek miał tylko jeden dzień - kiedy czcił nadejście Nowego Roku; poza tym jedynymi jego zajęciami były nauka i praca. Przede wszystkim musiał do perfekcji opanować pisany język chiński, stanowiący oficjalny środek porozumiewania się, obowiązujący na owym ogromnym terytorium setek ludów i języków. Jego mistrz był nieugięty w kwestii piękności i precyzji kaligrafii, która odróżniała człowieka wytwornego od błazna. Z uporem rozwijał również u Tao Chi'ena wrażliwość artystyczną, która - jego zdaniem - charakteryzowała istoty wyższe. Jak każdy cywilizowany Chińczyk odczuwał głęboką pogardę dla wojny, natomiast skłaniał się ku muzyce, malarstwu i literaturze. U jego boku Tao Chi'en nauczył się podziwiać delikatną koronkę pajęczyny z perlącymi się na niej kroplami rosy o poranku i wyrażać swój zachwyt w natchnionych poematach pisanych eleganckim kaligraficznym pismem. Zdaniem mistrza jedyne, co mogło być gorsze od nieukładania wierszy, to układać je źle. W jego domu chłopiec uczestniczył w częstych spotkaniach, w trakcie których goście pod wpływem chwili składali rymy sławiące piękno ogrodu, gdy tymczasem on podawał im herbatę i słuchał oczarowany. Tworząc literaturę, a zwłaszcza poezję, można zdobyć nieśmiertelność, mawiał nauczyciel, który sam również ją uprawiał. Do prostych umiejętności praktycznych, jakie nabył, obserwując pracę ojca, Tao Chi'en dodał imponującą wiedzę teoretyczną z dziedziny starożytnej chińskiej medycyny. Chłopak dowiedział się, że ciało ludzkie składa się z pięciu elementów: drewna, ognia, ziemi, metalu i wody, którym odpowiada pięć planet, pięć warunków atmo-sferycznych, pięć kolorów i pięć dźwięków. Stosując od-powiednio rośliny lecznicze, akupunkturę i bańki, dobry lekarz mógł zapobiec i wyleczyć różne schorzenia, jak również kontrolować pasywną i mroczną energię żeńską oraz aktywną i lekką energię męską - yin i yang. Niemniej jednak celem owej sztuki było nie tyle wyeliminowanie chorób, co utrzymanie harmonii. „Musisz dobierać sobie pożywienie, ustawić odpowiednio swoje łóżko i prowadzić medytację zgodnie z porą roku i kierunkiem wiatru. W ten sposób zawsze będziesz w zgodzie ze wszechświatem” - radził mu mistrz. Zhong yi był zadowolony ze swego losu, chociaż brak potomstwa kładł się cieniem na jego pogodnym usposobie-niu. Nie miał dzieci, mimo cudownych ziół zażywanych regularnie przez całe życie dla oczyszczenia krwi i wzmoc-nienia członka, i mimo środków i uroków, jakie aplikował obu swoim żonom, zmarłym w młodości, oraz rozlicznym kon-kubinom, które po nich nastały. Z pokorą musiał

zaakceptować fakt, iż nie było to winą owych oddanych mu kobiet, lecz niemocy jego męskiego płynu. Żaden ze sposobów na płodność, które z powodzeniem pozwoliły mu pomóc innym, u niego nie dał rezultatów, tak że w końcu ustąpił wobec niezaprzecznego faktu, iż jego jądra są wyschnięte. Przestał zamęczać kobiety swymi bezużytecznymi żądaniem i zaczął na dobre zażywać z nimi rozkoszy, zgodnie z zaleceniami pochodzącymi z pięknych „książek do poduszki” z jego kolekcji. Jednakże starzec, bardziej zainteresowany zdobyciem nowych umiejętności i pójściem jak najdalej wąską ścieżką poznania, dawno już pozostawił za sobą owe przyjemności i jedną po drugiej oddalił swoje konkubiny, gdyż ich obecność rozpraszała go i odrywała od intelektualnych zajęć. Nie musiał mieć przed oczami pięknej dziewczyny, żeby opisać ją we wzniosłych poematach; wystarczyło mu wspomnienie. Zrezygnował również z posiadania własnych dzieci, jednak musiał pomyśleć o przyszłości. Kto mu pomoże na ostatnim etapie i w godzinie śmierci? Kto zadba o jego grób i uczci pamięć o nim? Już przedtem miewał uczniów i w każdym z nich pokładał ukrytą nadzieję, że go adoptuje, jednak żaden nie okazał się godzien takiego zaszczytu. Tao Chi'en nie był inteligentniejszy ani nie miał więcej intuicji od innych, jednak w głębi duszy nosił żądzę poznania, którą mistrz natychmiast w nim dostrzegł, gdyż była identyczna z jego własną. Poza tym był słodkim i zabawnym dzieckiem i bardzo łatwo było go pokochać. Po latach ich wspólnego życia tak się do niego przywiązał, że sam sobie zadawał pytanie, jak to możliwe, że nie jest jego rodzonym synem. Niemniej jednak szacunek dla ucznia nie zaślepił go, z doświadczenia wiedział, że zmiany zachodzące w okresie dorastania są zazwyczaj bardzo głębokie, i nie potrafił przewidzieć, na jakiego człowieka wyrośnie. Pewne chińskie przysłowie mówi: „To, że jako młodzieniec jesteś błyskotliwy, nie oznacza jeszcze, że jako dorosły będziesz się do czegoś nadawał”. Bał się, że znowu popełni błąd, tak jak to już mu się wcześniej zdarzało, i wołał cierpliwie czekać, aż objawi się prawdziwy charakter chłopca. Tymczasem zamierzał go ukierunkować - podobnie jak swoje młode drzewka w ogrodzie - pomagając mu dorastać. Ten przynajmniej szybko się uczy, myślał stary medyk, kalkulując, ile lat życia ma jeszcze przed sobą. Zgodnie ze znakami astralnymi i wnikliwą obserwacją własnego ciała nie było mu sądzone wykształcić jeszcze jednego ucznia.

Wkrótce Tao Chi'en potrafił wybrać surowce na targu i w sklepach z ziołami - wyklócając się odpowiednio o cenę - i mógł przygotowywać leki bez jego pomocy. Obserwując lekarza przy pracy poznał skomplikowany mechanizm ludzkiego ciała i nauczył się, jak ostudzić rozgorączkowanych i obdarzonych ognistym temperamentem, a rozgrzać tych, którym doskwierał przedwczesny chłód śmierci, oraz jak poruszyć soki bezpłodnym i wysuszyć tym, którzy ich mają w nadmiarze. Odbывał długie wycieczki po polach w

po-szukiwaniu najlepszych roślin dokładnie wtedy, gdy były najbardziej skuteczne, następnie przynosił je do miasta, owinięte w wilgotne szmaty dla zachowania świeżości. Kiedy skończył czternaście lat, jego mistrz uznał, że jest wystarczająco dojrzały, żeby móc praktykować, i regularnie zlecał mu leczenie prostytutek, zakazując kategorycznie wdawania się z nimi w jakiegokolwiek układy, gdyż - jak sam mógł się przekonać podczas badania - nosiły w sobie śmierć.

- Choroby wywodzące się z burdeli zabijają więcej ludzi niż opium i tyfus. Ale jeśli będziesz wypełniał swoje obowiązki i szybko się uczył, w odpowiednim momencie kupię ci dziewczinę - obiecał mu nauczyciel.

Tao Chi'en w dzieciństwie cierpiał głód, jednak jego ciało wydłużyło się, osiągając większą wysokość niż u kogokolwiek innego z jego rodziny. W wieku czternastu lat nie czuł pociągu do dziewcząt na godziny, lecz naukową ciekawość. Były od niego tak różne, żyły w tak dalekim i tajemniczym świecie, że nie mógł uważać ich za prawdziwe istoty ludzkie. Później, kiedy nagły zew natury wyprowadził go z równowagi do tego stopnia, że chodził jak pijany, potykając się o własny cień, jego preceptor pożałował, iż odprawił konkubiny. Nic tak nie rozpraszało i nie odrywało dobrego studenta od obowiązków jak wybuch jego męskich sił. Kobieta uspokoiła-by go i przy okazji posłużyłaby mu do zdobycia umiejętności praktycznych, ale mistrz - jako że pomyślał, aby takową kupić, wydawał mu się kłopotliwy (w swoim wyłącznie męskim świecie było mu bardzo wygodnie) - zmuszał Tao do picia naparów na ukojenie żądz. Zhong yi zapomniał już o huraganie cielesnych namiętności i w najlepszej wierze dawał swemu uczniowi do czytania „książki do poduszki” ze swojej biblioteki, traktując je jako część jego wykształcenia, nie biorąc pod uwagę osłabiających skutków, jakie wywierały na biednego chłopca. Kazał mu nauczyć się na pamięć każdej z dwustu dwudziestu dwóch miłosnych pozycji o poetyckich nazwach, które musiał bez wahania rozpoznawać na przepięknych książkowych ilustracjach, co znacznie przyczyniło się do pogłębiającego się roztargnienia chłopca.

Tao Chi'en poznał Kanton tak dobrze, jak kiedyś znał swoją małą wioskę. Podobało mu się to starożytne, otoczone murami miasto, chaotyczne, pełne krętych uliczek i kanałów, w którym pałace i nędzne lepianki mieszały się w całkowitym nieładzie, a ludzie mieszkali i umierali w łodziach kołyszących się na rzece, nie postawiwszy nigdy stopy na stałym lądzie. Przyzwyczaiał się do wilgotnego i gorącego klimatu z częstymi tajfunami, za to przyjemnego zimą, od października do marca. Kanton był zamknięty dla obcych, chociaż zdarzało się, że znieścacka napadali na niego piraci pływający pod banderami innych krajów. Istniało kilka instytucji handlowych, w których cudzoziemcy mogli wymieniać towary

wyłącznie od listopada do maja, jednakże związanych z tym podatków, regulaminów i prze-szkód było tak dużo, że międzynarodowi kupcy woleli osied-lać się w Macao. Czasami wczesnie rano, kiedy Tao Chi'en wychodził na targ, zdarzało mu się znajdować - żywe lub martwe - nowo narodzone dziewczynki porzucone jak śmieci na ulicy albo ich zwłoki unoszące się na wodzie w kanałach, nieraz rozszarpane zębami psów albo szczurów. Były nikomu niepotrzebne, pogardzane. Po co karmić córkę, która nic nie jest warta i której przeznaczeniem jest skończyć jako służąca w rodzinie męża? „Lepszy koślawy syn niż tuzin córek mądrych niczym Budda” - głosiło ludowe porzekadło. Tak czy inaczej dzieci było zbyt dużo i dalej mnożyły się jak myszy. Wszędzie przybywało burdeli i palarni opium. Kan-ton był gęsto zaludnionym, bogatym i wesołym miastem, pełnym świątyń, restauracji i domów gry, w których hałaśliwie obchodzono uroczystości przypadające w kalendarzu. Nawet kary i egzekucje stawały się pretekstem do świętowania. Zgromadzone tłumy wiwatowały na cześć katów, ubranych w zakrwawione fartuchy i uzbrojonych w kolekcje naostrzo-nych noży, którzy jednym zręcznym ruchem ucinali głowy. Sprawiedliwość zaprowadzano w sposób sprawny i prosty, bez możliwości odwołania i bez zbytecznego okrucieństwa, z wy-jątkiem przypadku zdrady wobec cesarza, co było najgorszą z możliwych zbrodni, karaną powolną śmiercią i wygnaniem wszystkich krewnych, zepchniętych do roli niewolników. Mniejsze wykroczenia karano chłostą albo zakuwając winowajców w drewniane dyby, przytwierdzone do szyi na wiele dni, tak że nie mogli ani odpocząć, ani dosięgnąć głowy rękami, żeby coś zjeść albo się podrapać. Na placach i tar-gowiskach zachwalali swoje usługi opowiadacze historii, któ-rzy - wzorem żebrzących mnichów - podróżowali po kraju, podtrzymując tysiącletnią tradycję ustnego przekazu. Sztuk-mistrze, akrobaci, zaklinacze węży, transwestyci, wędrowni muzycy, magowie i ekwilibryści spotykali się na ulicach, podczas gdy dokoła nich wrzał handel jedwabiem, herbatą, jademitem, przyprawami, złotem, szylkretem, porcelaną, kością słoniową i drogimi kamieniami. Pośród zgiefku i bałaganu oferowano warzywa, owoce i mięso: kapustę i delikatne kiełki bambusa obok klatek z kotami, psami i szopami, które na życzenie klientów rzeźnik jednym ruchem zabijał i obdzierał ze skóry. Jako że w żadnym domu nie mogło zabraknąć ptaków, wyłącznie dla nich i dla klatek - od najprostszych do wykonanych z cieniutkiego drewna i inkrustowanych srebrem i macią perłową - przeznaczone były całe długie ulice. Na innych uliczkach targu handlowano egzotycznymi rybkami przynoszącymi szczęście. Tao Chi'en, jak zawsze ciekawy, pochłaniał wszystko wzrokiem i nawiązywał znajomości, tak że w końcu musiał biec, żeby zrobić zakupy w sektorze, w którym sprzedawano surowce potrzebne w jego profesji. Poznałby go z zamkniętymi oczami po przenikliwym zapachu przypraw, roślin i leczniczej kory. Zasuszone

węże leżały zwinięte na stosach niczym przykurzone pukle włosów; żaby, salamandry i dziwne zwierzęta morskie wisiały nawleczone na sznurki jak naszyjniki; świerszcze i wielkie skarabeusze o twar-dych fosforyzujących pancerzach marniały w pudełkach; mał-py wszelkiej maści czekały na swą kolej, by umrzeć; łapy niedźwiedzia i orangutana, rogi antylop i nosorożców, oczy tygrysa, płetwy rekina i szpony tajemniczych nocnych ptaków kupowano na wagę.

Pierwsze lata w Kantonie upłynęły Tao Chi'enowi na nauce, pracy i służeniu wiekowemu preceptorowi, którego szanował jak dziadka. Były to szczęśliwe lata. Wspomnienie o jego własnej rodzinie ulotniło się i w końcu zapomniał twarze ojca i braci. Pamiętał jednak twarz matki, gdyż ta częstokroć mu się objawiała. Nauka prędko przestała być obowiązkiem i stała się pasją. Za każdym razem, kiedy dowiadywał się czegoś nowego, jak na skrzydłach biegł do mistrza, żeby mu to opowiedzieć, zachłystując się z przejęcia. Im więcej się nauczysz, tym szybciej przekonasz się, jak mało wiesz, śmiał się starzec. Z własnej inicjatywy Tao Chi'en postanowił opanować dialekty mandaryński i kantoński, gdyż zasięg tego, którego używał w swojej wiosce, okazał się bardzo ograniczony. Chłonał wiedzę swego mistrza tak prędko, że czasami starzec żartował, mówiąc, iż podkrada mu nawet sny, jednakże jego własna żądza poznania czyniła go wyrozumia-łym. Dzielił się z chłopcem wszystkim, czego ten chciał się dowiedzieć nie tylko w materii medycyny, ale także w innych aspektach jego rozległej wiedzy i subtelnej kultury. Dobrotliwy z natury, był zarazem surowym krytykiem i wymagał od niego wysiłku. „Nie zostało mi już zbyt wiele czasu, a na tamten świat nie mogę zabrać wszystkiego, co wiem; ktoś musi tego używać po mojej śmierci” - mówił. Jednakże ostrzegał go zarazem przed przesadnym dążeniem do po-znania, które może tak samo stać się nałogiem człowieka, jak łakomstwo czy lubieżność. „Mędrzec niczego nie pragnie, nie sądzi, nie planuje, zachowuje swój umysł otwarty i serce spokojne” - twierdził. Kiedy Tao Chi'en czymś zawinił, ganił go z takim smutkiem, że ten wolałby już chłostę, jednakże taka praktyka była sprzeczna z temperamentem zhong yi, który nigdy by nie pozwolił, aby jego czynami powodował gniew. Ceremonialnym uderzeniem bambusową witką karał go jedynie w tym przypadku (bez gniewu, ale będąc przeko-nanym o silnym działaniu dydaktycznym kary), kiedy ponad wszelką wątpliwość mógł stwierdzić, że jego uczeń dał się skusić grze hazardowej albo kobiecie. Tao Chi'en zwykł naciągać rachunki z targu i robić zakłady w szulerniach, czemu nie potrafił się oprzeć, korzystał też ze studenckiego upustu w ramionach którejs z swych pacjentek z burdeli, oferującej mu krótkotrwałą pociechę. Jego pan nie potrzebował dużo czasu, by się o tym dowiedzieć, ponieważ jeśli przegrywał, nie potrafił powiedzieć, gdzie jest reszta pieniędzy, a jeśli

wygrywał, nie umiał ukryć swojej euforii. Zapach kobiety mistrz wyczuwał na skórze chłopca.

- Ściągaj koszulę, będę musiał dać ci parę batów, może wreszcie zrozumiesz, synu. Ile razy ci mówiłem, że najgorsze choroby Chin to hazard i burdele? W domu gry mężczyźni tracą owoce swojej pracy, w domu rozpusty - zdrowie i życie. Z takimi nałogami nigdy nie zostaniesz dobrym lekarzem ani poetą.

Kiedy w roku 1839 między Chinami i Wielką Brytanią wybuchła wojna opiumowa, Tao Chi'en liczył sobie szesnaś-cie lat. W całym kraju roiło się wówczas od żebraków. Ludzie masowo porzucali wsie i w łachmanach, pokryci krostami, przybywali do miast, skąd usuwano ich siłą, zmuszając do włóczenia się - niczym sfory wygłodniałych psów - po drogach Cesarstwa. Bandy zbiegów i rebeliantów ścierały się z oddziałami rządowymi, prowadząc niekończącą się wojnę podjazdową. Były to czasy zniszczeń i grabieży. Osłabione wojska cesarskie pod władzą skorumpowanych oficerów, otrzymujących z Pekinu sprzeczne rozkazy, nie mogły stawić czoła potężnej i zdyscyplinowanej flocie angielskiej. Naród ich nie popierał, gdyż chłopcy byli wymęczeni widokiem swoich zniszczonych zasiewów, płonących wiosek i gwałconych przez żołnierzy córek. Po blisko czterech latach walki Chiny musiały przyjąć upokarzające warunki kapitulacji i wypłacić zwycięzcom równowartość dwudziestu jeden milionów dolarów, odstąpić im Hongkong i zgodzić się na ustanowienie tzw. koncesji, czyli stworzenie willowych dzielnic, posiadających status obszarów eksterytorialnych. Mieszkający w nich cudzoziemcy posiadali swoją własną policję, usługi, władze i prawa i byli chronieni przez swoje wojska, były to autentyczne „państwa w państwie”, z których Europejczycy kontrolowali wymianę handlową, a głównie handel opium. Do Kantonu dotarli dopiero pięć lat później, niemniej jednak na wieść o haniebnej klęsce swego uwielbianego cesarza oraz widząc, że gospodarka i moralność ojczyzny legły w gruzach, mistrz akupunktury uznał, że nie ma po co dłużej żyć.

Podczas wojny stary zhong yi załamał się i utracił pogodę ducha, z takim trudem zachowywaną przez wszystkie lata życia. Jego obojętność i roztargnienie w sprawach materialnych pogłębiły się tak dalece, że Tao Chi'en musiał go karmić, gdyż inaczej przez całe dni nic nie jadł. Zaczął się mylić w rachunkach i do jego drzwi zapukali wierzyciele, których wyrzucił, bynajmniej się nimi nie przejmując, gdyż wszystko, co miało jakikolwiek związek z pieniędzmi, wydało mu się jakimś wstydlwym ciężarem, od którego mędrcy w naturalny sposób byli wolni. W owym starczym pomieszczeniu ostatnich lat swego życia zapomniał o chwalebny zamiarze adoptowania swego ucznia i zdobycia dla niego żony, w rzeczywistości jego umysł był już tak przyćmiony, że staruszek co chwila przyglądał się Tao

Chi'elowi z za-kłopotaniem, nie mogąc sobie przypomnieć jego imienia czy też umiejscowić go w labiryncie twarzy i wydarzeń, które bez ładu i składu nieustannie go bombardowały. Niemniej jednak jasności umysłu starczyło mu na tyle, żeby w najdrobniejszych szczegółach wydać rozporządzenia co do swego pochówku, gdyż dla światłego Chińczyka najważniejszym wydarzeniem w życiu jest jego własny pogrzeb. Od jakiegoś czasu chodził mu po głowie pomysł, aby odbierając sobie życie w jakiś elegancki sposób, położyć kres swemu przygnębieniu, jednak żywiąc ukrytą i irracjonalną nadzieję na triumf wojsk Niebiańskiego Cesarstwa, czekał na rozstrzygnięcie wojny. Buta cudzoziemców była dla niego nie do zniesienia, odczuwał głęboką pogardę dla tych brutalnych fan guey, „białych złych duchów”, którzy się nie myli, pili mleko i alkohol, byli całkowitymi ignorantami w elementarnych kwestiach dobrego wychowania, niezdolnymi do należytego oddawania czci swoim przodkom. Umowy handlowe wydawały mu się uprzejmością wyświadczaną przez cesarza owym niewdzięcznym barbarzyńcom, którzy zamiast wychwalać go, zgiąwszy się w pełnym wdzięczności ukłonie, domagali się więcej. Podpisanie traktatu w Nankinie było dla zhong yi ostatecznym ciosem. Cesarz i wszyscy mieszkańcy Chin, aż do najskromniejszego, utracili honor. Jak można było, po takiej ujmie, odzyskać jeszcze godność?

Stary mędrzec otrul się, połykając złoto. Powróciwszy z jednej z wypraw na wieś w poszukiwaniu roślin, jego uczeń znalazł go w ogrodzie, opartego na jedwabnych poduszkach, w białym stroju na znak żałoby po sobie samym. Obok stała jeszcze ciepła herbata i świeży tusz do pisania. Na małym biurczku leżał niedokończony wiersz, a na delikatnym pergaminie naszkicowana była ważka. Tao Chi'en ucałował dłonie człowieka, któremu tyle zawdzięczał, po czym zatrzymał się na chwilę, aby w świetle zmierzchu podziwiać rysunek przezroczystych skrzydełek owada, tak jak by sobie tego życzył jego mistrz.

Na pogrzeb mędrca przybyły tłumy, gdyż w ciągu swego długiego żywota dopomógł tysiącom ludzi żyć w zdrowiu i umrzeć bez trwogi. Oficerowie i dygnitarze rządu przemaszerowali z największą powagą, literaci wyrecytowali swoje najlepsze wiersze, a kurtyzany stawiały się strojne w jedwabie. Dzień pochówku został wyznaczony przez wróżbitę, a artysta specjalizujący się w wyrobieniu przedmiotów pogrzebowych odwiedził dom zmarłego, żeby skopiować rzeczy, które stanowiły jego własność. Powoli przeszedł się po posiadłości, nie biorąc wymiarów ani nie robiąc żadnych notatek, ale pod obszernymi rękawami robił paznokciem znaczki na tabliczce z wosku; następnie z papieru wykonał miniatury domu, jego pokoi, mebli oraz ulubionych przedmiotów zmarłego, które miały być spalone razem ze zwitkami pieniędzy, również z papieru. Na tamtym świecie nie mogło mu brakować niczego, czym cieszył się na tej ziemi. Ogromna trumna, udekorowana niczym

cesarska karoca, przejechała alejami miasta między dwoma rzędami żołnierzy w galowych mundurach; na przedzie podążali jeźdźcy wystrojeni w żywe barwy i zespół muzyków wyposażonych w cymbały, bębny, flety, dzwony, metalowe trójkąty i kilka instrumentów struno-wych. Hałas był nie do zniesienia, jak przystało, by uczcić zmarłego tej rangi. Na grobie złożono kwiaty, ubranie i jedzenie; zapalono świece i kadzidło i na koniec spalono pieniądze i pieczołowicie przygotowane przedmioty z papieru. Nad grobem umieszczono drewnianą tabliczkę rodową pokrytą złotem z wyrytym na niej imieniem mistrza na przyjęcie ducha, podczas gdy ciało wracało do ziemi. Powinien ją otrzymać najstarszy syn, który umieściłby ją w swoim domu na honorowym miejscu, obok tabliczek innych męskich przodków, jednak lekarz nie miał nikogo, kto mógłby spełnić ten obowiązek. Tao Chi'en był tylko służącym i zaproponować mu, by to zrobił, byłoby całkowicie sprzeczne z etykietą. Był szczerze wzruszony, w całym tłumie z pewnością tylko jego łzy i jęki wyrażały autentyczny żal, jednak rodowa tabliczka trafiła do rąk jakiegoś dalekiego bratanka, który odąd miał mieć moralny obowiązek składania ofiar i zanoszenia przed nią modłów co piętnaście dni i w każde święto Nowego Roku. Kiedy już uroczystości pogrzebowe dobiegły końca, wierzy-ciele niczym szakale rzucili się na majątek mistrza. Pogwałcili święte teksty i laboratorium, powywracali rośliny, zniszczyli preparaty medyczne, podarli starannie skomponowane wieszaki, zabrali meble i dzieła sztuki, zdeptali przepiękny ogród i zlicytowali stare domostwo. Na krótko przedtem Tao Chi'en uratował złote igły do akupunktury, walizeczkę z narzędziami lekarskimi oraz kilka podstawowych medykamentów, jak również nieco pieniędzy podbieranych po trochu w ciągu ostatnich trzech lat, odkąd jego pan zaczął się gubić, krążąc po splątanych ścieżkach starczej demencji. Nie miał zamiaru okradać czcigodnego zhong yi, ale użyć tych pieniędzy, żeby go wykarmić, widział bowiem, jak jego długi rosły, i przyszłość napawała go strachem. Samobójstwo przyspieszyło rozwój wypadków i Tao Chi'en stanął wobec faktu posiadania nieoczekiwanych środków. Zawłaszczenie tych funduszy mogło kosztować go głowę, gdyż można by to uznać za zbrodnię popełnioną przez osobę stanu niższego na osobie stanu wyższego, jednak był pewien, że nikt się o tym nie dowie z wyjątkiem ducha zmarłego, który bez wątpienia zaaprobowałby jego postępek. Czyż nie wolałby wynagrodzić swego wiernego sługi i ucznia, zamiast spłacić jeden z wielu długów zaciągniętych u swych okrutnych wierzycieli? Z takim oto skromnym skarbem i jedną zmianą bielizny Tao Chi'en uciekł z miasta. Zaświtała mu nawet w głowie myśl, aby powrócić do swej wioski, jednak z miejsca ją odrzucił. Dla rodziny na zawsze pozostałby Czwartym Synem, a swoim starszym braciom winien byłby pokorę i posłuszeństwo. Musiałby dla nich pracować, zgodzić się na przyjęcie żony, którą by mu

wybrali, i pogodzić się z nędzą. Nic go nie ciągnęło w tamtą stronę, nawet obowiązki wobec ojca i jego przodków, które spadały na starszych braci. Musiał odejść daleko, tam gdzie nie dosięgłoby go długie ramię chińskiej sprawiedliwości. Miał dwadzieścia lat, do zakończenia dziesięcioletniego okresu służby brakowało mu jeszcze roku i któryś z wierzycieli mógł dochodzić prawa, by do tego momentu pozostał u niego w niewoli.

TAO CHIEN

Tao Chi'en wypłynął sampanem w kierunku Hongkon-gu z zamiarem rozpoczęcia tam nowego życia. Teraz był zhong yi, wprowadzonym w tajniki tradycyjnej chińskiej medycyny przez najlepszego mistrza z Kantonu. Winien był dozgonną wdzięczność duchom swych czcigodnych przodków za tak pomyślne pokierowanie jego karmą. Przede wszystkim, stwierdził, musi znaleźć sobie żonę, gdyż dawno już osiągnął wiek odpowiedni do małżeństwa, a celibat zbytnio mu ciążył. Brak żony był jawną oznaką ubóstwa. Podsycał w sobie ambicję zdobycia młodej, delikatnej dziewczyny o pięknych stopach. Jej „złote lotosy” nie powinny liczyć więcej niż trzy do czterech cali długości i być pulchne i miękkie jak u niemowlęcia. Fascynował go chód dziewcząt, które z cofniętymi biodrami dreptały na swych maleńkich stopkach krótkimi i niepewnymi kroczkami, jakby za chwilę miały się przewrócić, kołysząc się niczym trzciny nad brzegiem stawu w ogrodzie jego mistrza. Nienawidził stóp dużych, muskularnych i zimnych, jak u wieśniaczek. W swojej wsi widział kiedyś z daleka kilka dziewczynek o skrępowanych stopach, będących dumą swoich rodziców, którym bez wątpienia udało się wydać je dobrze za męża, jednak dopiero kiedy w Kantonie nawiązał stosunki z prostytutkami, miał okazję potrzymać w dłoniach parę owych „złotych lotosów i zachwycić się maleńkimi haftowanymi pantofelkami, które je zawsze okrywały, co było nieodzowne, gdyż połamane kości przez długie lata wydzielały z siebie jakąś cuchnącą substancję. Dotknąwszy ich, zrozumiał, że elegancja ta była owocem nieustannego bólu, który stanowił o ich wartości. Wówczas należycie docenił książki poświęcone kobiecym stopom, gro-madzone przez jego mistrza, w których wymieniano pięć klas i osiemnaście różnych stylów „złotych lotosów”. Jego żona powinna również być bardzo młoda, gdyż piękność jest krótkotrwała, zaczyna się mniej więcej w wieku lat dwunastu i zanika niedługo po skończeniu dwudziestu. Tak wyjaśniał mu jego mistrz. Nie bez powodu najszlachetniejsze bohaterki chińskiej literatury umierały zawsze w szczytowym momencie rozkwitu swej urody, szczęśliwe, że giną, zanim pokona je upływ czasu, i wspominać się je będzie w pełni świeżości. Ponadto istniały względy praktyczne przemawiające za wybraniem młodej oblubienicy: mogłaby mu dać synów, a jej charakter łatwo byłoby okiełznać, czyniąc ją prawdziwie uległą. Nie ma nic bardziej nieprzyjemnego niż zrzędliva kobieta; nieraz widywał, jak opluwały albo policzkowały swoich mężów i synów, i to nawet na ulicy w obecności sąsiadów - Taka obraza ze strony kobiety była dla mężczyzny najgorszą hańbą. Płynąc sampanem, który niósł go powoli przez dziewięćdziesiąt mil z Kantonu do

Hongkongu, oddalając go minuta za minutą od jego dawnego życia, Tao Chi'en marzył o takiej dziewczynie, rozkoszy i synach, których miała mu urodzić. Raz po raz przeliczał pieniądze ze swej sakiewki, jakby poprzez abstrakcyjne kalkulacje mógł je pomnożyć, jednak było jasne, że na żonę o takich przymiotach mu nie wystarczy. Niemniej jednak, bez względu na to, jak pałaca była jego potrzeba, nie zamierzał zadowalać się byle czym i spędzić reszty swych dni z żoną o wielkich stopach i silnym charakterze.

Wyspa Hongkong, ze swym górzystym profilem i zielenią przyrody, stanęła mu przed oczami nagle, wyłaniając się niczym syrena z wód Morza Chińskiego o barwie indygo. Zaledwie lekka łódź, która go przewoziła, zacumowała w porcie, Tao Chi'en zauważył obecność zniechęconych cudzoziemców. Przedtem widział paru z daleka, teraz jednak byli tak blisko, że gdyby tylko miał odwagę, mógłby ich dotknąć, żeby przekonać się, czy rzeczywiście owe wielkie i pozbawione jakiegokolwiek wdzięku istoty są ludźmi. Ze zdziwieniem stwierdził, że wielu z nich ma czerwone albo żółte włosy, wypłowiałe oczy i skórę zaczerwienioną jak u gotowanej langusty. Kobiety - jego zdaniem bardzo brzydkie - nosiły kapelusze z piórami i kwiatami, być może próbując ukryć swoje szatańskie fryzury. Cudzoziemcy ubrani byli dziwnie, w sztywne i dopasowane stroje; domyślił się, że pewnie dlatego poruszają się jak automaty i nie pochylają się w uprzejmych pokłonach, tylko przechodzą obok siebie wyprostowani, na nikogo nie patrząc, cierpiąc w milczeniu w letnim upale w swych niewygodnych ubraniach. W porcie, pośród tysięcy azjatyckich statków i łódek wszystkich rozmiarów i kolorów, stało około tuzina statków europejskich. Na ulicach zobaczył kilka zaprzęzonych w konie powozów prowadzonych przez stangretów w uniformach. Zdawały się one ginać w morzu pojazdów napędzanych siłą ludzkich mięśni - lektyk, palankinów, riksz; widział też mężczyzn niosących swych klientów po prostu na barana. Zapach ryb uderzył go gwałtownie w nozdrza, przypominając mu, że jest głodny. Najpierw powinien znaleźć jakąś jadłodajnię, oznaczoną długimi paskami żółtego materiału.

Tao Chi'en najadł się jak książę w restauracji pełnej rozmawiających i śmiejących się głośno ludzi - demonstrujących w ten sposób swe zadowolenie i dobre trawienie - gdzie posmakował delikatnych dań, które w domu mistrza akupunktury popadły w zapomnienie. Zhong yi przez większą część swego życia był wielkim smakoszem i chwalił się, że służyli u niego najlepsi kantońscy kucharze, jednak w ostatnich latach żywił się zieloną herbatą i ryżem z odrobiną jarzyn. Teraz więc Tao Chi'en był tak chudy jak pierwszy z brzegu gruzlik z Hongkongu. Był to jego pierwszy przyzwoity posiłek od bardzo dawna i nagły przypływ smaków, zapachów i konsystencji doprowadził go do ekstazy. Ucztę zakończył, wypalając fajkę z największą rozkoszą. Wszedł na ulicę niemalże płynąc w powietrzu i śmiejąc się sam

do siebie jak wariat: nigdy w życiu nie czuł takiego entuzjazmu i przychylności losu. Wciągnął głęboko do płuc tutejsze powietrze, tak podobne do tego z Kantonu, i doszedł do wniosku, że z łatwością podbije to miasto, tak jak dziewięć lat wcześniej udało mu się podbić tamto. Najpierw musi poszukać targu i dzielnicy znachorów i zielarzy, gdzie mógłby znaleźć mieszkanie i zaoferować swoje profesjonalne usługi. Potem zastanowi się nad kwestią kobiety o maleńkich stopach...

Jeszcze tego samego wieczoru Tao Chien znalazł schronienie na poddaszu domostwa podzielonego przepierzeniami, gdzie w każdym pokoju mieszkała inna rodzina; było to istne mrowisko. Jego pokój, ponury tunel szerokości jednego metra na trzy metry długości, pozbawiony okna, ciemny i parny, skupiał wyziewy jedzenia i nocników wszystkich lokatorów, zmieszane z charakterystycznym zapachem brudu. W porównaniu z wytwornie urządzonym domem mistrza przypominał raczej mysią norę, jednak jego rodzinny dom był jeszcze nędzniejszy. Doszedł do wniosku, że jako samotny mężczyzna nie potrzebuje więcej przestrzeni ani wygod, wystarczy mu kąt, gdzie mógłby rozłożyć sobie matę i przechowywać skromny dobytek. Potem, kiedy się ożeni, poszuka odpowiedniego mieszkania, gdzie będzie mógł przygotowywać swoje lekarstwa, przyjmować pacjentów i być należycie obsłużony przez żonę. Na razie, dopóki nie nawiąże kontaktów potrzebnych mu w pracy, miejsce to zapewniało mu przynajmniej dach nad głową i nieco prywatności. Zostawił swoje rzeczy i poszedł wziąć porządną kąpiel, ogolić czoło i na nowo zapleść warkocz. Ledwo odzyskał jaki taki wygląd, udał się na poszukiwanie domu gry, postanowiwszy w jak najkrótszym czasie podwoić swój majątek, aby co prędzej ruszyć w drogę po sukces.

Nie upłynęły nawet dwie godziny, a Tao Chi'en, obstawiając zakłady w grze fan tan, stracił wszystkie pieniądze, a swych narzędzi lekarskich nie przegrał tylko dlatego, że nie przyszło mu do głowy, żeby je wziąć ze sobą. Na sali zasnutej gęstym tytoniowym dymem panował taki rwetes, że zakłady przyjmowano na migi. Gra fan tan była bardzo prosta, wystarczyło mieć garść guzików ukrytych pod filizanką. Obstawiano, odliczano po cztery guziki i ten, kto zgadł, ile ich zostało - jeden, dwa, trzy albo żaden - wygrywał. Tao Chi'en z trudem śledził ręce mężczyzny, który rzucał i liczył guziki. Wydawało mu się, że oszukuje, ale publiczne oskarżenie go byłoby taką obrazą, że - gdyby się pomylił - mogłoby go to kosztować życie. W Kantonie każdego dnia w pobliżu domów gry zbierano ciała niefortunnych zuchwalców; nie inaczej musiało być również w Hongkongu. Wrócił do nory na poddaszu i opadł na swą matę, łkając jak dziecko i myśląc o uderzeniach trzcina, które otrzymywał z ręki starego mistra akupunktury. Jego rozpacz trwała aż do następnego dnia, kiedy z niezmierną jasnością pojawiła się niecierpliwość i pychę.

Wówczas wybuchnął szczerym śmiechem w obliczu takiej lekcji, przekonany, że to figlarny duch jego mistrza zjawił się przed nim, aby jeszcze go czegoś nauczyć. Obudził się w głębokich ciemnościach, słysząc gwar panujący w domu i na ulicy. Były późne godziny poranne, ale do jego klitki nie dochodziło żadne naturalne światło. Po omacku, jeszcze śmiejąc się sam do siebie, włożył jedyne czyste ubranie, jakie miał na zmianę, wziął swą lekarską walizeczkę i ruszył na targ. Wkrótce znalazł się w królestwie tatuazu, gdzie rzędem stały kramy pokryte od dołu do góry kawałkami materiału i papieru z rysunkami i można było wybierać spośród tysięcy deseni, od dyskretnych kwiatów, wykonywanych tuszem w ko-lorze indygo, do fantastycznych pięciokolorowych smoków, których rozpostarte skrzydła i ognisty oddech mogły pokryć całe plecy rosnącego mężczyzny. Po półgodzinnej dyskusji dobił w końcu targu z artystą pragnącym wymienić skromny tatuaz na syrop przeczyszczający wątrobę. Nie upłynęło nawet dzie-sięć minut, jak na wierzchu prawej dłoni, tej od obstawiania zakładów, prostymi, lecz zarazem eleganckimi pociągnięciami piórka wytatuował mu słowo „Nie”.

- Jeśli posłuży panu mój syrop, proszę polecić moje usługi przyjaciołom - poprosił go Tao Chi'en.

- Jeśli posłuży panu mój tatuaz, proszę uczynić to samo - odrzekł artysta.

Tao Chi'en zawsze był zdania, że ów tatuaz przyniósł mu szczęście. Wyszedł z kramu i zanurzył się w zgiełku targowiska, przepychając się łokciami przez wąskie uliczki pękające od ludzi. Nie było widać ani jednego cudzoziemca i targ wyglądał identycznie jak w Kantonie. Hałas był niczym przy wodospadzie, sprzedawcy krzykiem zachwalali zalety swoich produktów, a klienci targowali się, wrzeszcząc wnie-bogłomy wśród ogłuszającego jazgotu ptaków w klatkach i zwierząt, które kolejno szły pod nóż. Smród potu, żywych i martwych zwierząt, ekskrementów i śmieci, przypraw, opium, kuchni i wszelkich produktów i stworzeń wywodzą-cych się z ziemi, powietrza i wody, był tak gęsty, że można by go dotknąć palcami. Zauważył kobietę sprzedającą raki. Wyj-mowała je żywe z worka, gotowała przez kilka minut w kocioł-ku z wodą o konsystencji piasku z dna morskiego, wyławiała je sitkiem, zanurzała w sosie sojowym i podawała przechod-niom owinięte w kawałek papieru. Jej ręce pokryte były brodawkami. Tao Chi'en umówił się z nią, że przez miesiąc będzie miał u niej zapewniony obiad w zamian za lekarstwo na jej dolegliwość.

- Ach! Widzę, że bardzo lubi pan raki - powiedziała.

- Nie znoszę, ale będę je jadł za karę; będzie to dla mnie lekcja, przypominająca mi inną, o której zawsze muszę pa-miętać.

- A jeśli po miesiącu nie wyleczy mnie pan, kto mi zwróci za raki, które pan zje?

- Jeśli za miesiąc pani nadal będzie miała brodawki, sam ogłoszę własną

niewiarygodność. A kto wtedy kupi moje lekarstwa? - zaśmiał się Tao Chi'en.

- Niech będzie.

Tak rozpoczęło się w Hongkongu jego nowe życie wolnego człowieka. Po dwóch czy trzech dniach opuchlizna zeszała i tatuaż zaczął wyglądać jak błyszczący rysunek z błękitnych żyłek. Przez ten miesiąc, krążąc między straganami na targu i oferując swoje zawodowe usługi, jadał tylko raz dziennie, stale te same gotowane raki, i tak stracił na wadze, że w rowkach między żebrami mógł utrzymać monetę. Każdy rak, którego - pokonując obrzydzenie - wkładał sobie do ust, wywoływał na jego twarzy uśmiech, gdyż przypominał mu mistrza, który również ich nie znosił. Po dwudziestu sześciu dniach brodawki zniknęły z rąk kobiety, ta zaś, pełna wdzięczności, rozgłosiła dobrą nowinę wśród sąsiadów. Zapropozowała mu, aby przez następny miesiąc jadał u niej raki, o ile usunie jej kataraktę, jednak Tao uznał, że jego kara jest już dostateczna i może sprawić sobie ten luksus, aby do końca życia nigdy więcej nie tknąć tych stworzeń. Nocami wracał wyczerpany do swej klitki, przy świetle świecy przeliczał monety, chował je pod deską w podłodze, po czym na węglowym piecyku podgrzewał wodę, żeby herbatą oszukać głód. Od czasu do czasu, kiedy czuł, że uginają mu się nogi albo słabnie siła woli, kupował miseczkę ryżu, odrobinę cukru albo fajkę opium, którymi delectował się powoli, wdzięczny, że istnieją na świecie tak zachwycające dary, jak pociecha ryżu, słodycz cukru czy doskonale opiumowe sny. Wydawał tylko na komorne, lekcje angielskiego, golenie czoła i pranie ubrania na zmianę, gdyż nie mógł chodzić jak żebrak. Jego mistrz ubierał się jak mandaryn. „Dobra prezencja jest oznaką uprzejmości, zhong yi to nie to samo co jakiś wiejski znachor. Im uboższy jest pacjent, tym bogatszy ma być twój strój, przez szacunek” - nauczał go. Powoli jego sława zaczęła sięgać coraz dalej, najpierw dotarła między ludzi z targowiska i ich rodziny, a potem do dzielnicy portowej, gdzie leczył marynarzy z ran odniesionych w bójkach, szkorbutu, ropni wenerycznych i przepicia.

Po sześciu miesiącach Tao Chi'en miał już swoją wierną klientelę i zaczęło mu się dobrze powodzić. Przeniósł się do pokoju z oknem, wstawił do niego wielkie łóżko, które miało mu się przydać, kiedy się ożeni, oraz fotel i angielskie biurko. Nabył również kilka sztuk odzieży, gdyż od lat pragnął być dobrze ubrany. Postanowił nauczyć się angielskiego, ponie-waż szybko zorientował się, kto jest u władzy. Garść Brytyj-czyków kontrolowała Hongkong, ustanawiała prawa i wprowa-dzała je w życie, decydowała w sprawach handlu i polityki. Przedstawiciele rasy fan giiey mieszkali w ekskluzywnych dzielnicach i utrzymywali stosunki wyłącznie z bogatymi Chińczykami, z którymi prowadzili interesy, rozmawiając zawsze po angielsku. Nieprzebrane tłumy Chińczyków dzieli-ły z nimi tę samą przestrzeń i

czas, ale jakby nie istniały. Każdego dnia z Hongkongu najwytworniejsze towary płynęły wprost do salonów Europy, zafascynowanej ową tysiącletnią i odległą kulturą. Chińszczyzna była w modzie. Jedwab robił furorę w ubiorach; w żadnym parku nie mogło zabraknąć uroczych mostków z lampionikami i smutnych wierzb, imitujących cudowne, tajemnicze ogrody Pekinu; charakterystyczne dachy rodem z pagody okrywały altanki, a w wystroju wnętrza do znudzenia powtarzał się motyw smoka i kwiatu wiśni. Żadna angielska rezydencja nie mogła się obejść bez orientального saloniku, a w nim - parawanu z Wybrzeża Koromandelskiego w Indiach, kolekcji porcelany i wyrobów z kości słoniowej, wachlarzy haftowanych przez dziecięce rączki unikatowym ścięciem czy cesarskich kanarków w rzeźbionych klatkach. Statki wywożące owe skarby do Europy nie wracały puste; przywoziły z Indii opium, sprzedawane następnie na czarnym rynku, oraz tanie błyskotki, które rujnowały małe przedsiębiorstwa lokalne. Pragnąc handlować w swoim własnym kraju, Chińczycy zmuszeni byli konkurować z Anglikami, Holendrami, Francuzami i Amerykanami. Jednak największym nieszczęściem było opium. Od wieków stosowano je w Chinach dla rozrywki i do celów medycznych, ale kiedy Anglicy zalali nim rynek, opium stało się złem, które wymknęło się spod kontroli. Zaatakowało wszystkie warstwy społeczeństwa, osłabiając je i krusząc niczym czerstwy chleb.

Początkowo Chińczycy patrzyli na cudzoziemców z pogardą, obrzydzeniem i silnym poczuciem wyższości, samych siebie uważając za jedyne prawdziwie cywilizowane istoty we wszechświecie, jednak po upływie kilku lat nauczyli się traktować ich z szacunkiem i obawą. Europejczycy ze swej strony w swoich działaniach kierowali się taką samą, wpojona im, koncepcją wyższości rasowej, w przekonaniu, iż są zwiastunami cywilizacji na ziemi zamieszkałej przez ludzi brudnych, brzydkich, słabych, hałaśliwych, skorumpowanych i dzikich, którzy jedzą koty i zabijają swoje własne córki zaraz po urodzeniu. Niewielu wiedziało, że Chińczycy znali pismo tysiąc lat przed nimi. Podczas gdy kupcy narzucali kulturę narkotyku i przemocy, misjonarze usiłowali nawracać. Chrześcijaństwo musiało być głoszone za wszelką cenę, była to jedyna prawdziwa wiara i fakt, że Konfucjusz żył pięćset lat przed Chrystusem, nie znaczył nic. Z trudem przychodziło im uznać Chińczyków za istoty ludzkie, jednak próbowali ratować ich dusze i za każde nawrócenie płacili ryżem. Nowi chrześcijanie zjadali swoją porcję boskiej łapówki i szli do następnego kościoła, żeby się jeszcze raz nawrócić, wielce ubawieni ową manią, z jaką ludzie rasy fan giley głosili swoje wierzenia jako jedyne. Dla nich, praktycznych i tolerancyjnych, duchowość była bliżej filozofii niż religii; była kwestią etyki, a nie dogmatu.

Tao Chi'en pobierał lekcje u pewnego ziomka, którego angielski w mowie był

niepewny i drżący niczym galareta, i pozbawiony spółgłosek, za to w piśmie jak najbardziej poprawny. Alfabet europejski w porównaniu z literami chińskimi okazał się zachwycająco prosty i po upływie pięciu tygodni Tao Chi'en mógł czytać brytyjskie czasopisma nie myląc liter, chociaż przy co piątym słowie musiał zerkać do słownika. Po nocach godzinami studiował. Tęsknił za swoim czcigodnym nauczycielem, który na zawsze na-znaczył go żądzą wiedzy, równie dojmującą jak dla pijaka pragnienie alkoholu czy dla ambitnego - władzy. Nie miał już biblioteki staruszka ani jego niewyczerpanego źródła doświadczenia, nie mógł zwrócić się do niego po radę ani przedyskutować objawów choroby, brakowało mu przewodnika, czuł się osierocony. Od śmierci swego pre-ceptora nie pisał ani nie czytał poezji, nie tracił czasu na podziwianie natury, medytację i odprawianie codziennych rytuałów i obrzędów, które kiedyś wzbogacały jego eg-zystencję. Czuł w sobie jakiś wewnętrzny hałas, tęsknił do pustki ciszy i samotności, które jego mistrz nauczył go kultywować niczym najcenniejszy dar. W swojej praktyce zawodowej dowiadywał się o złożonej naturze istot ludzkich, różnicach emocjonalnych między mężczyznami a kobietami, chorobach, które można było uleczyć jedynie lekarstwami, i o takich, które wymagały ponadto magii właściwego słowa, jednak nie miał z kim podzielić się swymi doświadczeniami. Marzenie o kupnie żony i założeniu rodziny nie opuszczało go, było jednak nikłe i słabe, niczym piękny pejzaż na-malowany na jedwabiu, natomiast pragnienie, aby kupić książki, studiować i znaleźć nowych nauczycieli, którzy skłonni byłiby dopomóc mu na drodze do poznania, za-czynano przeradzać się w obsesję.

Tak miały się sprawy w momencie, kiedy Tao Chi'en poznał doktora Ebanizera Hobbsa, angielskiego arystokratę, który nie miał w sobie nic z pyszałka i w przeciwieństwie do innych Europejczyków interesował się lokalnym kolorytem miasta. Pierwszy raz ujrzał go na targu, jak grzebał w ziołach i wywarach w sklepiku znachorów. Znał zaledwie dziesięć słów w dialekcie mandaryńskim, za to powtarzał je tak donośnym głosem i z tak niezachwianym przekonaniem, że zebrał wokół siebie mały tłumek, na poły drwiący, na poły wystraszony. Łatwo było zauważyć go z daleka, gdyż jego głowa wystawała ponad tłum Chińczyków. Tao Chi'en nigdy nie widział cudzoziemca, który zapędziłby się w te strony, tak daleko od dzielnic, w jakich normalnie się poruszali, i pod-szedł, żeby mu się przyjrzeć z bliska. Był to młody jeszcze człowiek, wysoki i szczupły, o szlachetnych rysach twarzy i ogromnych niebieskich oczach. Tao Chi'en z zachwytem stwierdził, że potrafi przetłumaczyć owe dziesięć słów, które wypowiadał fan giiey, i że on sam zna przynajmniej drugie tyle po angielsku, więc może uda im się porozumieć. Złożył mu pokłon pełen serdeczności i uszanowania, na co tamten odpowiedział, nieudolnie go naśladowając. Obaj uśmiechnęli się, a

potem wybuchnęli śmiechem, do którego przyłączyli się ich przyjaźnie nastawieni obserwatorzy. Przy rosnącej wesołości ciekawskich podjęli urywany dialog, mając do dyspozycji w sumie dwadzieścia źle wymawianych słów i komiczną kuglarską pantomimę. Wkrótce otaczała ich spora grupa ludzi, blokujących wszelki ruch i pokładających się ze śmiechu, co spowodowało brytyjskiego konnego policjanta, który w jednej chwili rozpedził całe zbiegowisko. Tak narodził się trwały sojusz między obu mężczyznami.

Ebanizer Hobbs był tak samo świadom ograniczeń swojej profesji, jak Tao Chi'en swoich. Pierwszy pragnął poznać sekrety medycyny Wschodu, których istnienia domyślił się podczas swoich podróży po Azji, szczególnie jeśli chodzi o kontrolowanie bólu za pomocą igieł wbijanych w zakończenia nerwowe, jak również stosowanie kombinacji roślin i ziół do leczenia licznych chorób, które w Europie uchodziły za śmiertelne. Drugi odczuwał fascynację medycyną Zachodu i jej agresywnymi metodami leczenia, sam skupiał się bowiem na delikatnej sztuce równowagi i harmonii, powolnym prostowaniu skrzywionej energii, zapobieganiu chorobom i poszukiwaniu przyczyn ich objawów. Tao Chi'en nigdy nie praktykował chirurgii i jego znajomość anatomii, bardzo precyzyjna w odniesieniu do rozlicznych pulsów i punktów akupunktury, ograniczała się do tego, co mógł zobaczyć albo dotknąć. Znał na pamięć rysunki anatomiczne z biblioteki swego dawnego mistrza, jednak nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby przeprowadzić sekcję zwłok. Zwyczaj ten był w chińskiej medycynie nieznanym; jego mądry mistrz, który przez całe życie uprawiał sztukę uzdrawiania, rzadko miał okazję widzieć ludzkie organy wewnętrzne i nie potrafił wydać diagnozy, jeśli miał do czynienia z objawami, które nie pasowały do repertuaru znanych schorzeń. Natomiast Ebanizer Hobbs otwierał zwłoki i szukał przyczyny; w ten sposób się uczył. Tao Chi'en zrobił to po raz pierwszy pewnej nocy w piwnicy szpitala dla Anglików przy szalejącym tajfunie, jako pomocnik doktora Hobbsa; on zaś tego samego ranka, w gabinecie, w którym Tao Chi'en przyjmował swoich pacjentów, pierwszy raz wbił igły do akupunktury, aby ulżyć cierpiącemu na migrenę. W Hongkongu było kilku misjonarzy zainteresowanych w równym stopniu leczeniem ciała, co nawróceniem duszy wiernych; doktor Hobbs utrzymywał z nimi doskonałe stosunki. Byli oni znacznie bliżej ludności lokalnej niż lekarze brytyjscy z kolonii i podziwiali metody medycyny orientalnej. Otworzyli przed zhong yi drzwi swoich małych szpitalików. Entuzjazm Tao Chi'ena i Ebanizera Hobbsa dla studiowania i eksperymentowania połączył ich - co było nieuniknione - więzami serdecznej przyjaźni. Spotykali się niemal potajemnie, albowiem gdyby ich przyjaźń wyszła na jaw, wystawiliby na szwank swoją reputację. Ani pacjenci europejscy, ani chińscy nie przyjmowali do wiadomości, że mogliby się czegoś od drugiej rasy nauczyć.

Z chwilą gdy sytuacja finansowa Tao Chi'ena jako tako się ustabilizowała, w jego snach na nowo zagościło marzenie o kupnie żony. W dniu swych dwudziestych drugich urodzin jeszcze raz przeliczył oszczędności, tak jak to często robił, i z zachwytem stwierdził, że wystarczy na kobietę o małych stopach i słodkim charakterze. Ponieważ nie miał rodziców, którzy - tak jak nakazywał obyczaj - mogliby mu w tej kwestii dopomóc, musiał zwrócić się do agenta. Obejrzał portrety wielu kandydatek, ale wszystkie wydawały się jed-nakowe; nie potrafił odgadnąć wyglądu dziewczyny - a tym bardziej jej osobowości - na podstawie owych skromnych rysunków tuszem. Nie wolno mu było zobaczyć jej na własne oczy ani posłuchać głosu, tak jak by tego sobie życzył; nie miał również żadnej krewnej, która mogłaby to zrobić za niego. Jedyne, co było dozwolone, to zobaczyć jej stopy, wystające spod zasłony; opowiadano jednak, że nawet to nie było pewne, ponieważ agenci zwykle oszukiwali i pokazywali „złote lotosy” należące do innej kobiety. Musiał zaufać przeznaczeniu. Już był prawie bliski temu, aby zdać się na los szczęścia, rzucając kości, jednak tatuaż na prawej ręce przy-pomniał mu o jego dawnych niepowodzeniach w grach hazar-dowych i wolał zlecić owo zadanie duchom swej matki i mistrza akupunktury. Złożywszy ofiary w pięciu kolejnych świątyniach, powrózył sobie z patyczków I Ching; przeczytał, że nadszedł odpowiedni moment, i tym sposobem wybrał narzeczoną. Metoda go nie zawiodła. Kiedy - dopełniwszy minimalnych obrzędów, gdyż na bardziej wystawny ślub nie miał pieniędzy - uniósł jedwabną czerwoną chustkę, okrywa-jącą głowę jego olśniewającej małżonki, ujrzał jej twarz o re-gularnych rysach i wzrok uporczywie skierowany w podłogę. Trzy razy powtórzył jej imię, zanim oczami pełnymi łez, drżąc z przerażenia, odważyła się na niego spojrzeć.

- Będę dla ciebie dobry - obiecał jej równie wzruszony jak ona.

Od chwili gdy uniósł ów czerwony materiał, Tao uwielbiał dziewczynę, którą podarował mu los. Miłość ta zaskoczyła go: nie wyobrażał sobie, żeby między mężczyzną i kobietą mogły istnieć podobne uczucia. Nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek okazywał taką miłość, napotykał tylko jakieś niejasne wzmian-ki w literaturze klasycznej, gdzie piękne dziewice, podobnie jak pejzaże czy księżyc, stanowiły obowiązkowy motyw po-etyckiej inspiracji. Niemniej jednak uważał, że w realnym świecie kobiety są jedynie istotami przeznaczonymi do pracy i reprodukcji - tak jak to było z chłopkami, wśród których się wychował - albo cennymi przedmiotami służącymi do deko-racji. Lin nie odpowiadała żadnej z tych kategorii, była osobą tajemniczą i złożoną, zdolną rozbroić go swą ironią i wyzwąć na pojedynkę pytaniami. Jak nikt potrafiła go rozśmieszyć, wymyślała nieprawdopodobne historie, prowokowała słowny-mi gierkami. W obecności Lin wszystko zdawało się jaśnieć jakimś neodpartym blaskiem. Cudowne odkrycie intymności dzielonej z innym człowiekiem

stało się najgłębszym doświadczeniem jego życia. Z prostytutkami załatwiał sprawę szybko, niczym przynaglany potrzebą kogut, jednak nigdy nie zdecydował się poświęcić żadnej doś czasu ani miłości, aby ją dobrze poznać. Poranne przebudzenie i widok Lin śpiącej u jego boku wywoływały u niego uśmiech szczęścia i w chwilę potem lękliwe drżenie. A gdyby któregoś ranka się nie obudziła? Słodki zapach jej potu w czasie miłosnych nocy, cieniutka kreska uniesionych brwi, nadająca jej twarzy wyraz ciągłego zaskoczenia, niewiarygodna smukłość talii, wszystko w niej sprawiało, że czuł się aż przytłoczony tkliwością. Ach! I jeszcze ten śmiech ich obojga. To było najlepsze ze wszystkiego, owa nieskrępowana radość tej miłości. „Książki do poduszki” jego starego mistrza, które w okresie dorastania przyprawiały go o taką niepotrzebną egzaltację, teraz, gdy przyszła pora na przyjemność, okazały się bardzo przydatne. Jak przystało dobrze wychowanej młodej dziewczycy, za dnia Lin zachowywała się skromnie, jednak ledwie wyzbyła się lęku przed mężem, objawiła swą spontaniczną i namiętą naturę. W krótkim czasie ta żarliwa uczennica nauczyła się dwustu dwudziestu dwóch sposobów kochania i - zawsze gotowa podążyć za mężem w owym szaleńczym biegu - zasugerowała mu, żeby wymyślił nowe. Na szczęście dla Tao Chi'ena subtelne wiadomości teoretyczne wyniesione z biblioteki jego preceptora obejmowały również niezliczone sposoby sprawienia kobiecie przyjemności; wiedział ponadto, że sam wigor znaczy o wiele mniej niż cierpliwość. Jego palce były zaprawione w wyczuwaniu różnorodnych pulsów ciała i po omacku potrafiły ustalić najwrażliwsze punkty; jego ciepłe i mocne ręce, wyćwiczone w łagodzeniu bólu u pacjentów, stały się dla Lin narzędziem nieskończonej rozkoszy. Poza tym odkrył coś, czego czcigodny zhong yi zapomniał go nauczyć: że najlepszym afrodyzjakiem jest miłość. W łóżku potrafili być tak szczęśliwi, że wszelkie problemy życiowe przez noc zniknęły. Jednak, jak się wkrótce okazało, problemów tych było dużo.

Duchy wezwane przez Tao Chi'ena na pomoc przy podejmowaniu decyzji co do małżeństwa wywiązały się ze swej misji doskonale: Lin miała skrępowane stopy i była nieśmiała i słodka jak wiewiórka. Jednak Tao Chi'enowi nie przyszło do głowy poprosić, aby jego żona była również silna i zdrowa. Ta sama kobieta, która w nocy wydawała się tryskać energią, za dnia stawała się inwalidką. Swymi kroczkami kaleki ledwie była w stanie przejść parę ulic. Oczywiście, kiedy to robiła, poruszała się z subtelną gracją trzciny na wietrze, jak to kiedyś ujął w jednym ze swych wierszy stary mistrz akupunktury, jednak okazywało się, że krótka wyprawa na targ po kapustę na kolację stawała się dla jej „złotych lotosów” istną torturą. Nigdy głośno się nie skarżyła, ale wystarczyło zoba-czyć, jak się poci i jak zagryza wargi, żeby domyślić się, jak wielki wysiłek wkładała w każdy ruch. Również płuca jej nie

były zbyt zdrowe. Oddychała wydając ostry świst szczygła, w porze deszczowej chodziła zakatarzona, a w porze suchej dusiła się, bo gorące powietrze grzęzło jej między zębami. Ani zioła męża, ani mikstury jego przyjaciela, angielskiego doktora, nie przynosiły ulgi. Kiedy zaszła w ciążę, dolegliwości te nasiliły się, jej kruchy kręgosłup z trudem był w stanie unieść ciężar dziecka. W czwartym miesiącu przestała w ogóle wychodzić i tylko siedziała przygnębiona przy oknie, patrząc, jak na ulicy toczy się życie. Tao Chi'en zatrudnił dwie służące, żeby zajęły się sprawami domowymi i do-trzymywały jej towarzystwa, obawiał się, że Lin może umrzeć, gdy jego przy niej nie będzie. Podwoił godziny pracy i po raz pierwszy nachodził swoich pacjentów, żeby ściągnąć od nich zapłatę, co napawało go wstydem. Czuł na sobie krytyczne spojrzenie mistrza, który przypominał mu o obo-wiązku służenia ludziom bez wynagrodzenia, gdyż „kto więcej wie, ma więcej obowiązków wobec ludzkości”. Niemniej jed-nak nie mógł przyjmować pacjentów bezpłatnie albo w za-mian za wyświadczanie mu przysługi, tak jak to robił przed-tem, bo potrzebował każdego centa, aby zapewnić Lin wygo-dę. Zajmował już wówczas drugie piętro starego domu, do którego przeniósł żonę, otaczając ją takimi zbytkami, jakich żadne z nich nigdy wcześniej nie zaznało, ale nie był zadowo-lony. Zapragnął zdobyć dom z ogrodem, w ten sposób Lin mogłaby cieszyć się pięknem i czystym powietrzem. Widząc, że on sam nie chce przyjąć do wiadomości tego, co było ; oczywiście, jego przyjaciel Ebanizer Hobbs wyjaśnił mu, że gruźlica Lin jest już bardzo zaawansowana i nie ma takiego ogrodu, który mógłby ją uleczyć.

- Zamiast pracować od świtu do północy, żeby jej kupować jedwabne suknie i luksusowe meble, niech pan z nią jak najwięcej przebywa, doktorze Chi'en. Powinien się pan nią nacieszyć, dopóki pan ją ma - radził mu Hobbs.

Obaj lekarze - każdy patrząc z perspektywy własnego doświadczenia - byli zgodni co do tego, że poród będzie dla Lin decydującą próbą. Żaden nie był w tej dziedzinie eksper-tem, gdyż zarówno w Europie jak i w Chinach pozostawało to zawsze w gestii akuszerki, ale postanowili sami zająć się tym przypadkiem. Nie dowierzali fachowości jakiegoś nieokrzesanego babska, jak oceniali wszystkie kobiety parające się owym zajęciem. Widzieli je, jak pracują swymi obrzydliwymi rękami, stosując czary i brutalne metody, żeby wyrwać dziecko z łona matki, i postanowili uchronić Lin przed tak fatalnym doświadczeniem. Jednak dziewczyna nie chciała rodzić w obec-ności dwóch mężczyzn, zwłaszcza że jednym z nich był fan giiey o wyblakłych oczach, który nawet nie potrafił mówić jak istota ludzka. Błagała męża, żeby wezwał akuszerkę z dziel-nicy, gdyż elementarna przyzwoitość nie pozwalała jej roz-kładać nóg przed cudzoziemskim diabłem, ale Tao Chi'en, tak zawsze jej uległy, tym razem okazał się nieugięty. W koń-cu zgodzili się, że to on się nią zajmie, podczas gdy

Ebanizer Hobbs będzie w pokoju obok, aby w razie konieczności udzielić mu słownego wsparcia.

Pierwszą zapowiedzią mającego nastąpić rozwiązania był atak astmy, który o mało nie pozbawił Lin życia. Wysiłek, z jakim usiłowała złapać oddech, zbiegł się z próbą wydania na świat dziecka, i zarówno Tao Chi'en, przy całej swej miłości i wiedzy, jak i Ebanizer Hobbs, ze swymi medycz-nymi księgami, nie potrafili jej pomóc. W dziesięć godzin później, kiedy jęki matki przeszły w chrapliwe rżenie wisielca i nic nie zapowiadało, aby dziecko zamierzało się urodzić, Tao Chi'en wybiegł pędem na poszukiwanie akuszerki i, pokonując odrazę, praktycznie przywlókł ją do domu. Zgodnie z tym, czego się Chi'en i Hobbs obawiali, kobieta okazała się cuchnącą staruchą, z którą nie sposób było podzielić się najmniejszą choćby znajomością medycyny, gdyż z jej strony nie była to wiedza, tylko długoletnie doświadczenie i odwieczny instynkt. Zaczęła od wypchnięcia jednym szturchańcem - obu mężczyzn za zasłonę od-dzielającą pomieszczenia, zabraniając im zza niej zaglądać. Tao Chi'en nigdy się nie dowiedział, co się tam działo, jednak uspokoił się, usłyszawszy, że Lin oddycha, nie dusząc się, i mocno krzyczy. Podczas następnych godzin, kiedy Ebanizer Hobbs drzemał wyczerpany w fotelu, a Tao Chi'en rozpacz-liwie zasięgał rady u ducha swego mistrza, Lin wydała na świat niedającą oznak życia dziewczynkę. Ponieważ chodziło o dziecko płci żeńskiej, ani akuszerka, ani ojciec nie próbowali go ożywić, za to oboje rzucili się do ratowania matki, z której - wraz z krwią sączącą się spomiędzy nóg - powoli uchodziły, i tak już wątłe siły.

Lin nie opłakiwała zbytnio śmierci córki, jakby się domyś-lała, że nie starczyłoby jej życia, by ją wychować. Powoli doszła do siebie po ciężkim porodzie i przez jakiś czas próbowała znowu stać się wesołą uczestniczką nocnych za-baw. Z tą samą dyscypliną, z jaką ukrywała ból stóp, udawała entuzjazm dla namiętnych uścisków męża. Seks jest jak podróż, święta podróż, mawiała do niego, jednak nie miała już chęci mu w niej towarzyszyć. Tao Chi'en był tak sprag-niony tej miłości, że nauczył się nie dostrzegać kolejnych sygnałów ostrzegawczych i do końca wierzył, że Lin jest taka sama jak kiedyś. Całymi latami marzył o męskich potomkach, teraz jednak starał się jedynie uchronić żonę przed następną ciążą. Jego uczucia wobec Lin przerodziły się w uwielbienie, do którego tylko przed nią mógł się przyznać; sądził, że nikt nie mógłby zrozumieć tej pełnej udręki miłości do kobiety, nikt nie znał Lin tak jak on, nikt nie wiedział, ile światła wniosła w jego życie. Jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy, powtarzał, żeby oddalić od siebie czarne myśli i złe prze-czucia, które go osaczały, kiedy tylko się zapomniał. Ale nie był szczęśliwy. Już się nie śmiał tak beztrudnie jak dawniej, a kiedy byli razem, z trudem potrafił się nią cieszyć - z wyjątkiem chwil

doskonałej rozkoszy cielesnej - albowiem przez cały czas obserwował ją niespokojnie, czuwał nad jej zdro-wiem i - świadom jego kruchości - wsłuchiwał się w rytm jej oddechu. Doszło do tego, że znenawidził jej „złote lotosy”, które w początkach małżeństwa całował w uniesieniu w pory-wach pożądania. Ebanizer Hobbs był zdania, że Lin powinna wychodzić na długie spaceru na świeżym powietrzu dla wzmocnienia płuc i nabrania apetytu, jednak ona ledwo była w stanie zrobić dziesięć kroków i zaraz opadała z sił. Tao nie mógł cały czas przebywać z żoną, tak jak to sugerował Hobbs, gdyż musiał zarobić na nich oboje. Każda chwila spędzona z dala od niej wydawała mu się bezpowrotnie stracona, była czasem zrabowanym miłości. Do dyspozycji ukochanej po-stawił całą swą farmakopeę i wiedzę zdobytą w ciągu długich lat, kiedy praktykował medycynę, jednak w rok po porodzie Lin stała się już tylko cieniem radosnej dziewczyny, jaką kiedyś była. Mąż starał się ją rozweselać, jednak uśmiech, jaki pojawiał się na twarzy każdego z nich, był fałszywy.

Któregoś dnia Lin nie mogła już wstać z łóżka. Dusila się i traciła siły, plując krwią i usiłując chwytać ustami powietrze. Nie chciała nic jeść, poza kilkoma łyżeczkami cienkiej zupy, gdyż wysiłek ją wyczerpywał. Spała niespokojnie, w rzadkich chwilach, kiedy kaszel się uspokajał. Tao Chi'en wyliczył, że od sześciu tygodni oddychała, wydając z siebie bulgotliwe chrapnięcia, jakby cała była zanurzona w wodzie. Kiedy brał ją na ręce, przekonywał się, jak bardzo traciła na wadze, i dusza kurczyła się w nim z przerażenia. Tyle się napatrzył na jej cierpienie, że uznał, iż śmierć powinna być dla niej wybawieniem, jednak fatalnego poranka, kiedy obudził się o świcie, tuląc do siebie lodowate ciało Lin, pomyślał, że wraz z nią umarł i on. Długi i straszliwy krzyk, zrodzony z samego dna ziemi, niczym ryk wulkanu wstrząsnął domem i zerwał ze snu całą dzielnicę. Przybyli sąsiedzi kopniakiem otworzyli drzwi i zastali go nagiego i wyjącego pośrodku pokoju z żoną w ramionach. Siłą musieli oderwać go od jej ciała i uspokajać do chwili, gdy nadszedł Ebanizer Hobbs i zmusił go do połknięcia dawki laudanum, wystarczającej, żeby powalić lwa. Tao Chi'en pogrzyżył się we wdowieństwie z totalną roz-paczą. Z portretu Lin i kilku przedmiotów, których używała, zrobił ołtarz i załamany spędzał przed nim całe godziny. Przestał odwiedzać pacjentów i wspólnie z Ebanizerem Hobbsem spędzać czas na studiach i badaniach, stanowią-cych podstawę ich przyjaźni. Czuł wstręt do rad Anglika, który utrzymywał, że - w myśl zasady „klin klinem” - najlep-szy sposób na otrząśnięcie się z żałoby to zacząć odwiedzać portowe burdele, gdzie miał do wyboru do koloru kobiet o zdeformowanych stopach, jak nazywał „złote lotosy”. Jak mógł mu sugerować coś podobnego? Nikt nie mógł zastąpić Lin, nigdy nie będzie kochał żadnej innej, tego Tao Chi'en był pewien. W owym czasie przyjmował od Hobbsa jedynie butelki whisky, którymi tamten hojną ręką go obdarowywał. Całe tygodnie

trwał w alkoholowym letargu, wreszcie skończyły mu się pieniądze i stopniowo sprzedawał albo zastawiał swoje ruchomości, aż przyszedł taki dzień, kiedy nie miał na czynsz i musiał się przenieść do hotelu niskiej kategorii. Wówczas przypomniał sobie, że jest zhong yi, i w brudnym ubraniu, z potarganym warkoczem i nie ogolony, na nowo zaczął pracować, chociaż przychodziło mu to z wielkim trudem. Ponieważ cieszył się dobrą sławą, pacjenci z pełną rezygnacją pokorą właściwą ludziom ubogim znosili jego wygląd stracha na wróble i pomyłki popełniane po pijanemu, jednak wkrótce przestali do niego przychodzić po poradę. Ebanizer Hobbs również nie wzywał go już do trudnych przypadków, gdyż stracił zaufanie do jego opinii. Do tej pory obaj z powodzeniem się uzupełniali: Anglik - dzięki silnym narkotykom i złotym igłom, zdolnym uśmierzać ból, hamować krwotoki i skracać czas gojenia się ran - pierwszy raz miał okazję śmiało praktykować chirurgię, Chińczyk zaś uczył się, do czego służy skalpel i inne metody europejskiej wiedzy medycznej. Jednak z trzęsącymi się rękami i wzrokiem zamglonym od przepicia i łez Tao Chi'en przedstawiał sobą raczej zagrożenie niż wsparcie.

Wiosną 1847 roku w życiu Tao Chi'ena nastąpił gwałtowny zwrot, tak jak to już miało miejsce kilka razy. W miarę jak tracił swych stałych pacjentów i roznosiły się plotki o spadku jego wiarygodności jako lekarza, musiał ograniczać się do świadczenia usług w najędźniejszych dzielnicach portowych, gdzie nikt nie pytał go o referencje. Przypadki były rutynowe: kontuzje, rany cięte albo postrzały. Pewnej nocy Tao Chi'en został pilnie wezwany do tawerny, żeby po ogólnej bijatyce pozszywać jakiegoś marynarza. Zaprowadzono go na tyły lokalu, gdzie mężczyzna leżał nieprzytomny, z głową rozłupaną jak melon. Jego przeciwnik, gigantyczny Norweg, podniósł ciężki stół i użył go jako maczugi, broniąc się przed atakującą go grupą Chińczyków, zdecydowanych spuścić mu lanie, które by długo popamiętał. Wszyscy razem rzucili się na Norwega i byłiby go zatłukli, gdyby na pomoc nie przyszło mu kilku skandynawskich marynarzy, którzy również pili w tym lokalu, i tak to, co zaczęło się jako sprzeczka pijanych graczy, skończyło się jako starcie na tle rasowym. Zanim nadszedł Tao Chi'en, wszyscy, którzy jako tako mogli się utrzymać na nogach, dawno się ulotnili. Norweg, eskortowany przez dwóch angielskich policjantów, bez szwanku powrócił na swój statek, tak że zostali jedynie właściciel tawerny, ofiara w agonii i pilot, któremu udało się nakłonić policjantów, żeby sobie poszli. Gdyby ranny był Europejczykiem, z pewnością znalazłby się w angielskim szpitalu, ale ponieważ chodziło o Azjatę, władze portu zbytnio się nim nie przejęły.

Tao Chi'enowi wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że nic nie może zrobić dla tego nieszczęśnika z rozplataną czaszką i mózgiem na wierzchu. Tak też wyjaśnił

to pilotowi, brodatemu i ordynarnemu Anglikowi.

- Przeklęty Chińczyku! Nie możesz wytrzeć krwi i zaszyć mu łba? - domagał się.

- Ma roztrzaskaną czaszkę. Po co go zszywać? Ma prawo umrzeć w spokoju.

- Nie może umrzeć! Mój statek o świcie odpływa i ten człowiek jest mi potrzebny na pokładzie! To kucharz!

- Bardzo mi przykro - odrzekł Tao Chi'en, kłaniając się z szacunkiem i starając się nie pokazywać po sobie, jak ów mówiący od rzeczy fan giiey działa mu na nerwy.

Pilot zamówił butelkę dżinu i zaprosił Tao Chi'ena, żeby się z nim napił. Skoro kucharzowi nic już nie może pomóc, spokojnie mogą za niego wypić jedną kolejkę, żeby potem jego pieprzony duch nie przychodził i nie szarpał ich, skur-wysyn jeden, za nogi. Zajęli miejsca nieopodal umierającego, żeby się bez pośpiechu upić. Od czasu do czasu Tao Chi'en pochylał się, żeby zmierzyć mu puls, zakładając, że nie powinno mu zostać więcej niż parę minut życia, jednak mężczyzna okazał się bardziej wytrzymały, niż się spodziewał. Zhong yi niezbyt jasno zdawał sobie sprawę z tego, że Anglik nalewa mu jeden kieliszek za drugim, podczas gdy sam ledwo co pije ze swojego. W krótkim czasie zaczęło mu się kręcić w głowie i już nie pamiętał, dlaczego się tam znalazł. W godzinę później, kiedy jego pacjent po kilku agonalnych drgawkach ostatecznie wyzionął ducha, Tao Chi'en nie był już tego świadom, gdyż nieco wcześniej runął bez czucia na ziemię.

Obudziły go promienie południowego słońca, z ogromnym trudem otworzył oczy i, uniósłszy się nieco, stwierdził, że wokół siebie ma jedynie niebo i wodę. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że leży twarzą do góry na zwoju lin na pokładzie jakiegoś statku. Fale bijące o burty huczały mu w głowie niczym potworne dzwony. Miał wrażenie, że słyszy czyjeś głosy i krzyki, jednak niczego nie był pewien, równie dobrze mógł się znajdować w piekle. Udało mu się uklęknąć i przejść parę metrów na czworakach, ale porwały go mdłości i upadł na twarz. W kilka minut później poczuł uderzenie strumienia zimnej wody, którą ktoś lał mu z wiadra na głowę, i usłyszał głos zwracający się do niego w dialekcie kantońskim. Podniósł wzrok i ujrzał nad sobą czyjąś wygoloną i sympatyczną twarz, witającą go uśmiechem, w którym brakowało połowy zębów. Drugi kubeł morskiej wody pomógł mu otrząsnąć się ze zdumienia. Młody Chińczyk, który z takim zapałem go oblewał, przykucnął obok niego, śmiejąc się hałaśliwie i uderzając dłońmi o uda, jakby jego żalosne położenie miało jakiś nieodparty wdzięk.

- Gdzie ja jestem? - zdołał wybełkotać Tao Chi'en.

- Witaj na pokładzie „Liberty”! Płyniemy na zachód, jak się wydaje.

- Ale ja się nigdzie nie wybieram! Muszę natychmiast wsiąść!

Jego zamiary wywołały ponowny wybuch śmiechu. Kiedy wreszcie mężczyźni udało się poskromić swą wesołość, wyjaśnił mu, że został „zakontraktowany”, podobnie jak i on sam, tyle że kilka miesięcy wcześniej. Tao Chi'en poczuł, że zaraz zemdleje. Znał tę metodę. Kiedy do skompletowania załogi brakowało ludzi, uciekano się do wypróbowanej praktyki: jeśli ktoś nie potrafił się upilnować, pojono go alkoholem albo ogłuszano uderzeniem kija w głowę, i w ten sposób werbowano wbrew jego woli. Życie na morzu było ciężkie i źle opłacane, wypadki, niedożywienie i choroby siały spustoszenie, podczas każdego rejsu wielu marynarzy umierało, a ich ciała spoczywały na dnie oceanu i nikt nigdy nawet o nich nie zapytał. Ponadto kapitanowie zwykle byli despotami, z niczego nie musieli przed nikim się tłumaczyć i każde uchybienie karali chłostą. W Szanghaju dla ograniczenia przypadków porwania wolnych obywateli zaszła konieczność zawarcia dżentelmeńskiej umowy między kapitanami, uniemożliwiającej wzajemne wydzieranie sobie marynarzy. Przedtem, ilekroć ktoś zszedł do portu, żeby wypić parę kolejek, ryzykował, że obudzi się na innym statku. Pilot „Liberty” postanowił zastąpić zmarłego kucharza Tao Chi'eniem - w jego oczach wszystkie „zółtki” były jednakowe, ten czy tamten, to nie robiło mu żadnej różnicy - i spoiwszy go, kazał przenieść na pokład. Zanim Tao Chi'en się obudził, odcisnął jego prawy kciuk na kontrakcie zobowiązującym go do służby przez dwa lata. Powoli skala wydarzenia nabrała wyrazistości w przytępionym umyśle Tao Chi'ena. Nie przyszło mu do głowy, by się zbuntować, gdyż równałoby się to samobójstwu, jednakże postanowił, że zdezerteruje, ledwie dotkną lądu w jakimkolwiek punkcie na ziemi.

Chłopak pomógł mu się podnieść i umyć, po czym zaprowadził go pod pokład statku, gdzie rzędem umieszczone były kajuty i hamaki. Wyznaczył mu jego miejsce do spania i skrzynię na rzeczy. Tao Chi'en sądził, że stracił wszystko, jednak na drewnianej pryczy, która miała służyć mu za łóżko, zobaczył swoją walizeczkę z narzędziami lekarskimi. Pilot miał dobry pomysł, żeby ją zabrać. Niemniej jednak rysunek Lin został na swoim ołtarzyku. Przerażony Tao pomyślał, że może duch jego żony nie zdoła go znaleźć pośrodku oceanu. Przez pierwsze dni rejsu cierpiał katusze z powodu złego samopoczucia, chwilami kusiła go myśl, żeby wyskoczyć za burtę i raz na zawsze zakończyć swoje męki. Ledwie doszedł do siebie na tyle, że mógł się utrzymać na nogach, odesłano go do kuchni wyposażonej w podstawowe urządzenia, w której na hakach wisiały garnki, z ogłuszającym łoskotem uderzając o siebie przy każdym przechyle. Świeży prowiant otrzymany w Hongkongu szybko się wyczerpał i wkrótce zostały jedynie solone ryby i mięso, fasola, cukier, masło, zroboczywiała mąka i suchary tak wiekowe, że nieraz trzeba było łamać je siłą. Wszystkie potrawy polewano sosem sojowym. Każdy marynarz otrzymywał pół kwarty wódki dziennie

do odpędzania smutków i płukania ust, gdyż za-palenie dziąseł było na morzu jednym z problemów ży-ciowych. Na kapitański stół Tao Chi'en miał do dyspozycji jajka i angielską marmoladę, których - jak mu polecono - ma bronić jak własnego życia. Racje żywnościowe były tak wyliczone, żeby starczyły na cały czas trwania rejsu (o ile nie pojawiłyby się jakieś niesprzyjające warunki po-godowe, takie jak sztormy, które zniosłyby ich z kursu, albo brak wiatru, który by ich unieruchomił) i uzupełniane o świeże ryby złowione po drodze w sieci. Od Tao Chi'ena nie oczekiwano talentów kulinarnych; jego rola polegała na wydawaniu racji żywnościowych, alkoholu i wody pitnej, przypadających na każdego mężczyznę, i chronieniu ich przed zepsuciem i szcurami. Musiał również utrzymywać czystość i zajmować się żegluga jak każdy marynarz.

Po tygodniu zaczął doceniać świeże powietrze, ciężką pracę i towarzystwo owych mężczyzn, pochodzących z czterech stron świata, z których każdy miał swoją historię, swoje nostalgiczne i zdolności. W wolnych chwilach grywali na różnych instrumentach i opowiadali sobie historie o morskich du-chach i egzotycznych kobietach z dalekich portów. Człon-kowie załogi przybywali z różnych stron, mieli odmienne języki i zwyczaje, lecz łączyło ich coś na kształt przyjaźni. Odosobnienie i pewność, że są sobie nawzajem potrzebni, sprawiały, że mężczyźni, którzy na stałym lądzie nawet by na siebie nie spojrzeli, tutaj czuli się towarzyszami. Tao Chi'en znowu zaczął się śmiać, czego nie robił od czasów choroby Lin. Pewnego ranka pilot osobiście przedstawił go kapitanowi Johnowi Sommersowi, którego do tej pory Tao Chi'en widy-wał tylko z daleka, na mostku. Stał przed wysokim męż-czyzną o twarzy ogorzałej od wiatrów wielu szerokości geogra-ficznych, ciemnej brodzie i stalowym spojrzeniu. Mężczyzna odezwał się do niego za pośrednictwem pilota, który mówił co nieco po kantońsku, ale Tao odpowiedział mu w swojej książkowej angielszczyźnie, z afektowanym arystokratycznym akcentem, jaki przejął od Ebanizera Hobbsa.

- Pan Oglesby wspominał mi, że jesteś czymś w rodzaju znachora?

- Jestem lekarzem, zhong yi.

- Lekarzem? Jak to lekarzem?

- Medycyna chińska jest o wiele wieków starsza od angiel-skiej, kapitanie - uśmiechnął się lekko Tao Chi'en, cytując dokładnie słowa swego przyjaciela Ebanizera Hobbsa.

W obliczu takiego zuchwalstwa kapitan Sommers uniósł gniewnie brwi, jednak prawda tego stwierdzenia rozbroiła go. Roześmiał się szczerze.

- Panie Oglesby, proszę nam przynieść trzy kieliszki bran-dy. Napijemy się z panem doktorem. To bardzo rzadki luksus. Pierwszy raz mamy na pokładzie własnego lekarza!

Tao Chi'en nie spełnił swego zamiaru, by zdezerterować w pierwszym porcie, do którego przybije „Liberty”, ponieważ nie wiedział, dokąd iść. Powrót do Hongkongu, do rozpaczliwej egzystencji wdowca, był tak samo bezsensowny jak dalsza żegluga. Tutaj czy tam - nie robiło różnicy, a jako marynarz mógł przynajmniej podróżować i uczyć się sposobów leczenia stosowanych w innych częściach świata. Dręczyła go tylko jedna myśl: że kiedy on będzie przeskakiwał z jednej fali na drugą, Lin pewnie nie zdoła go odnaleźć, choćby nie wiadomo jak głośno wykrzykiwał jej imię na wiatr. W pierwszym porcie wysiadł razem z innymi, mając pozwolenie na spędzenie sześciu godzin na lądzie, ale zamiast przesiadnąć w tawernach, poszedł na targ, żeby - na zlecenie kapitana - poszukać przypraw i roślin leczniczych. Skoro już mamy doktora, potrzebujemy również lekarstw, powiedział. Dał mu sakiewkę z odliczonymi pieniędzmi i ostrzegł, że jeśli zamierza uciec albo go oszukać, będzie go szukał tak długo, aż go znajdzie i własnoręcznie utnie mu głowę, gdyż nie narodził się jeszcze człowiek, który bezkarnie ośmieliłby się z niego zakpić.

- Jasne, Chińczyku?

- Jasne, Angliku.

- Do mnie masz mówić „proszę pana”!

- Tak, proszę pana - odrzekł Tao Chi'en, spuszczać wzrok, ponieważ nauczył się, żeby nie patrzeć białym w twarz.

Pierwszym zaskoczeniem był dla niego fakt, że Chiny nie są absolutnym centrum świata. Istniały inne kultury, bardziej barbarzyńskie oczywiście, ale za to znacznie potężniejsze. Nie wyobrażał sobie, że Brytyjczycy mają pod kontrolą znaczną część kuli ziemskiej, tak samo jak nie podejrzewał, że inni przedstawiciele rasy fan giiey są w posiadaniu rozległych kolonii w dalekich stronach podzielonych na cztery kontynenty, jak to - zadawszy sobie wiele trudu - wyjaśnił mu kapitan John Sommers w dniu, w którym u wybrzeży Afryki wyrwał mu bolący ząb. Operację przeprowadził czysto i niemal bezboleśnie, dzięki zastosowaniu kombinacji złotych igieł wbitych w skronie kapitana i pasty z goździków i eukaliptusa, którą posmarował mu dziąsła. Kiedy skończył i jego wdzięczny pacjent - czując znaczną ulgę - mógł dokończyć swą butelkę likieru, Tao Chi'en ośmielił się go zapytać, dokąd płyną. Czuł się zdezorientowany, podróżując na ślepo, za jedyny punkt odniesienia mając niewyraźną linię horyzontu między bezkresem morza i nieba.

- Płyniemy do Europy, ale dla nas to nie ma znaczenia. Jesteśmy ludźmi morza, zawsze na wodzie. Chcesz wrócić do domu?

- Nie, proszę pana.

- Masz gdzieś rodzinę?

- Nie, proszę pana.

- W takim razie wszystko ci jedno, czy płyniemy na północ czy na południe, na wschód czy na zachód, czyż nie tak?

- Tak, ale lubię wiedzieć, gdzie się znajduję.

- Dlaczego?

- Na wypadek gdybym miał wpaść do wody albo gdybyś-my mieli zatonać. Mój duch będzie musiał ustalić swoje położenie, żeby wrócić do Chin, inaczej będzie się błakał bez celu. Brama do niebios jest w Chinach.

- Co też ci przychodzi do głowy! - zaśmiał się kapitan. - Więc żeby pójść do nieba, trzeba umrzeć w Chinach? Spójrz na mapę, człowieku. Rzeczywiście, twój kraj jest największy, ale oprócz Chin istnieje również spory kawał świata. Tutaj jest Anglia, to zaledwie mała wyspa, jednak gdy zsumujesz nasze kolonie, sam zobaczysz, że jesteśmy w posiadaniu ponad połowy kuli ziemskiej.

- Jak to możliwe?

- Tak samo, jak to zrobiliśmy z Hongkongiem: przy pomocy wojny i podstępu. Powiedzmy, że dzięki mieszaninie potęgi morskiej, zachłanności i dyscypliny. Nie jesteśmy lepsi, tylko bardziej okrutni i stanowczy. Fakt, że jestem Anglikiem, nie napawa mnie szczególną dumą, a kiedy ty będziesz miał za sobą tyle podróży, co ja, też nie będziesz dumny, że jesteś Chińczykiem.

W ciągu dwóch następnych lat Tao Chi'en trzykrotnie zszedł na ląd stały, z czego raz miało to miejsce w Anglii.

Zmieszał się z tłumem prostaków w porcie i krążył po ulicach Londynu, oglądając wszystko oczami zachwyconego dziecka. Ludzie rasy fan giley byli pełni niespodzianek; z jednej strony brakowało im najmniejszego choćby wyrafinowania i zachowywali się jak dzicy, z drugiej jednak potrafili być niezwykle pomysłowi. Przekonał się, że we własnym kraju cechowała ich ta sama arogancja i złe wychowanie, co w Hongkongu: traktowali go bez szacunku i nie mieli pojęcia o grzeczności czy etykiecie. Chciał się napić piwa, ale wypchnięto go z tawerny; żółte psy nie mają tu prawa wstępu, usłyszał. Wkrótce dołączył do innych azjatyckich marynarzy i wspólnie znaleźli lokal, który prowadził jakiś stary Chińczyk, gdzie w spokoju mogli jeść, pić i palić. Słuchając opowieści innych mężczyzn, oceniał, ile jeszcze musi się nauczyć, i uznał, że przede wszystkim musi umieć używać pięści i noża. Wiedza na nic się nie zdaje, jeśli człowiek nie umie się bronić; mądry mistrz akupunktur zapomniał przekazać mu również i tę podstawową zasadę.

W lutym 1849 roku „Liberty” zawinęła do Valparaiso. Następnego dnia kapitan John

Sommers wezwał go do kabiny i wręczył mu jakiś list.

- Dano mi go w porcie, jest do ciebie i przyszedł z Anglii. Tao Chi'en wziął kopertę, zarumienił się i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Tylko mi nie mów, że to list miłosny! - zakpił kapitan.

- Jeszcze lepiej - odrzekł, chowając go za pazuchę. List mógł pochodzić jedynie od jego przyjaciela Ebanizera Hobbsa, i był pierwszym, jaki dotarł do niego po dwóch latach, które spędził na morzu.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Chi'en.

- Myślałem, że nie smakuje panu moja kuchnia - uśmiech-nął się Tao.

- Jako kucharz jesteś beznadziejny, ale znasz się na medycynie. W ciągu dwóch lat nie umarł mi ani jeden, człowiek i nikt nie ma szkorbutu. Wiesz, co to znaczy?

- Szczęście.

- Twój kontrakt dzisiaj się kończy. Myślę, że mogę cię upić i kazać ci podpisać jego przedłużenie. Z innym może bym tak zrobił, ale winien ci jestem przysługę, a ja spłacam moje długi. Chcesz się ze mną zabrać? Podniosę ci pensję.

- Dokąd?

- Do Kalifornii. Ale zostawię ten statek, właśnie zaproponowano mi parowiec, to okazja, na jaką czekałem od lat. Chciałbym, żebyś mi towarzyszył.

Tao Chi'en słyszał o parowcach i bał się ich. Pomysł, żeby parą - otrzymywaną z wielkich kotłów pełnych wrzątku - napędzać jakąś piekielną maszynę, mógł przyjść do głowy tylko ludziom, którzy się bardzo spieszą. Czyż nie lepiej było podróżować w rytmie wiatrów i prądów morskich? Po co wyzywać przyrodę? Opowiadano o kotłach, które na pełnym morzu wybuchały, gotując żywcem całą załogę. Kawałki ludzkich ciał, ugotowanych niczym krewetki, wystrzeliwały we wszystkich kierunkach, stając się pożywieniem ryb, podczas gdy dusze owych nieszczęśników, rozproszone w błysku eksplozji i zawirowań pary, nigdy już nie zdołały z powrotem połączyć się ze swymi przodkami. Tao Chi'en doskonale pamiętał, jak wyglądała jego młodsza siostrzyczka, kiedy spadł na nią garnek z gorącą wodą, tak jak nie zdołał wymazać z pamięci jej przeraźliwych bolesnych jęków i śmiertelnych drgawek. Nie zamierzał wystawiać się na takie ryzyko. Kalifornijskie złoto, które - jak opowiadano - leżało wprost na ziemi niczym odłamki skał, także nie wydawało mu się zbyt kuszące. Nie miał wobec Johna Sommersa żadnych zobowiązań. Kapitan był nieco bardziej tolerancyjny niż większość przedstawicieli rasy fan giiey i dość obiektywny w traktowaniu załogi, ale nie był jego przyjacielem i nigdy nie mógłby nim zostać.

- Nie, dziękuję panu.

- Nie chcesz poznać Kalifornii? W krótkim czasie możesz się wzbogacić i wrócić do Chin jako magnat.

- Tak, ale na żaglowcu.

- Dlaczego? Parowce są nowocześniejsze i szybsze.

Tao Chi'en nie próbował wyjaśniać motywów swego postępowania. Zamilkł, patrząc w podłogę, z czapką w ręce, podczas gdy kapitan dopijał swoją whisky.

- Nie mogę cię zmuszać - odezwał się w końcu Sommers. - Dam ci list polecający do mojego przyjaciela Vincenta Katza z brygantyny „Emilia”, która również w najbliższych dniach rusza do Kalifornii. To dość szczególny Holender, bardzo religijny i surowy, ale porządny człowiek i dobry marynarz. Twój rejs potrwa dłużej od mojego, ale może zobaczymy się w San Francisco, a jeśli kiedyś pożałujesz swojej decyzji, zawsze możesz wrócić do pracy u mnie.

Kapitan John Sommers i Tao Chi'en pierwszy raz podali sobie ręce.

PODRÓŻ

Skulona na swym legowisku w ładowni, Eliza zaczęła umierać. Do ciemności i wrażenia, że jest pochowana żywcem, dochodził smród: mieszanka zapachu zawar-tości pakunków i kufarów, beczek solonych ryb i morskiej wody, którą inkrustowane były belki statku. Jej doskonały węch, tak przydatny przy poruszaniu się po świecie z zamkniętymi oczami, stał się narzędziem tortury. Do towarzys-twa miała jedynie dziwnego, trójkolorowego kota, pogrzeba-nego wraz z nią w ładowni, żeby bronił jej przed szczurami. Tao Chi'en zapewniał ją, że przywyknie do zapachu i zamknięcia, gdyż w razie konieczności ciało potrafi przyzwyczaić się do wszystkiego, dodał także, iż podróż potrwa długo i przez cały czas ani razu nie będzie mogła wyjść na świeże powietrze, tak więc lepiej niech o tym nawet nie myśli, bo inaczej oszaleje. Wodę i jedzenie ma zapewnione, tyle jej może obiecać, on się tym zajmie, ilekroć, nie budząc podejrzeń, uda mu się zejść do ładowni. Brygantyna jest nieduża, ale wypełniona ludźmi i łatwo będzie się przemknąć pod różnymi pretekstami.

- Dziękuję. Kiedy dopłyniemy do Kalifornii, dam panu turkusową broszkę...

- Proszę ją zatrzymać, już mi pani zapłaciła. Może się jeszcze przydać. Dlaczego jedzie pani do Kalifornii?

- Żeby wyjść za mąż. Mój narzeczony ma na imię Joaquin. Ogarnęła go gorączka złota i wyjechał. Powiedział, że wróci, ale ja nie mogę czekać.

Ledwie statek opuścił zatokę Valparaiso i wypłynął na otwarte morze, Eliza zaczęła majaczyć. Całe godziny leżała w ciemnościach, we własnych odchodach jak zwierzę, tak chora, że nie pamiętała, gdzie się znajduje i dlaczego, aż w końcu drzwi ładowni otworzyły się i przyświecając sobie ogarkiem świecy, stanął w nich Tao Chi'en, niosąc jej talerz z jedzeniem. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by się zorientować, że dziewczyna nie jest w stanie wziąć niczego do ust. Oddał kolację kotu, poszedł po wiadro z wodą i wrócił, żeby ją umyć. Zaczął od podania jej silnego naparu z imbiru i zaaplikowania tuzina złotych igieł, dzięki czemu jej żołądek się uspokoił. Eliza niezbyt sobie zdawała sprawę z tego, że ją rozebrał do naga, obmył delikatnie morską wodą, opłukał filizanką słodkiej i wymasował od stóp do głów balsamem zalecanym przy gorączce wywołanej malarią. W kilka chwil potem usnęła, owinięta w kastylijską chustę, z kotem w nogach, podczas gdy Tao Chi'en, wyszedłszy na pokład, płukał w morzu jej ubranie, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, chociaż o tej porze marynarze odpoczywali. Pasażerowie, którzy niedawno weszli na pokład, cierpieli tak samo jak Eliza, spotykając się z obojętnością tych, którzy płynęli z

Europy już trzeci miesiąc i mieli tę próbę za sobą.

W ciągu następnych dni, podczas których nowi pasażerowie „Emilii” przyzwyczajali się do kołysania fal i uczyli, jak się mają zachowywać podczas dalszej podróży, stan Elizy jeszcze się pogorszył. Tao Chi'en schodził, kiedy tylko mógł, żeby dać jej wody i próbować złagodzić mdłości. Dziwił się, że zamiast ustępować, dolegliwości stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Próbował jej ulżyć metodami sprawdzonymi w takich przypadkach oraz nowymi, które wymyślał na po-czekaniu, jednak Elizie udawało się zatrzymać w żołądku niewiele z tego, co zjadła, i jej organizm zaczynał się odwadniać. Przygotowywał jej wodę z solą i cukrem i z niewyczerpaną cierpliwością podawał po łyżeczce, ale minęły dwa tygodnie, a nie było widać znaczniejszej poprawy, aż w końcu przyszedł moment, że skóra wisiała na niej, przezroczysta jak pergamin, a ona sama nie była w stanie się podnieść, żeby wykonywać ćwiczenia, których domagał się od niej Tao. Jak się nie będziesz ruszać, ciało ci zdrętwieje, a myśli się splączą, powtarzał jej. Brygantyna na krótko przybiła do portów w Coquimbro, Calderze, Antofagastie, Iquique i Arice, i przy każdej okazji próbował ją przekonać, żeby zeszła na ląd i spróbowała wrócić do domu, gdyż widział, jak opadała siła, i ogarniał go lęk.

Kiedy zostawili za sobą port w Callao, stan Elizy gwałtownie się pogorszył. Tao Chi'en zdobył na targu zapas liści koki, której właściwości medyczne znał bardzo dobrze, i trzy żywe kury, które zamierzał ukryć i zabijać po kolei, gdyż chora potrzebowała czegoś bardziej pożywnego niż szczupłe racje żywnościowe wydawane na statku. Ugotował pierwszą z nich w rosole mocno doprawionym świeżym imbirem i zszedł do ładowni, zdecydowany nakarmić nim Elizę, choćby nawet miał użyć siły. Zapalił lampkę na wielorybi tran, precyzyjnie się między pakunkami i podszedł do dziewczyny, która leżała w swojej norze z zamkniętymi oczami, i zdawało się, że nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Pod jej ciałem rozciągała się wielka plama krwi. Zhong yi krzyknął i pochylił się nad nią, podejrzewając, że nieszczęsna sama zadała sobie śmierć. Nie mógł jej obwiniać; w podobnych warunkach zrobiłby to samo, pomyślał. Podciągnął jej koszulę, lecz nie dostrzegł żadnej widocznej rany, a kiedy jej dotknął, przekonał się, że jeszcze żyje. Potrząsał nią, aż otworzyła oczy.

- Jestem w ciąży - wyznała w końcu słabym głosem.

Tao Chi'en złapał się obiema rękami za głowę i wyrzucił z siebie całą litanię lamentów w dialekcie swojej rodzinnej wioski, do którego nie wracał od piętnastu lat: gdyby o tym wiedział, nigdy by jej nie pomógł, jak mogło jej przyjść do głowy, żeby w ciąży wyruszać do Kalifornii, jest szalona, brakowało tylko poronienia, jeśli ona umrze, on będzie zgu-biony, w niezłą kabałę go wpakowała, wszystko dlatego, że jest taki głupi, jak mógł od razu się nie

domyślić, dlaczego w takim pośpiechu ucieka z Chile. Dodał jeszcze przysięgi i przekleństwa po angielsku, ale ona znowu zemdląła i znalazła się poza zasięgiem jakichkolwiek wyrzutów. Trzymał ją w ramionach, kołysząc jak małe dziecko, gdy tymczasem jego gniew ustępował miejsca niepowstrzymanej fali współczucia. Przemknęło mu przez myśl, żeby zwrócić się do kapitana Katza i opowiedzieć o całej sprawie, ale nie potrafił przewidywać jego reakcji. Ten holenderski luteranin, który przebywająca na pokładzie kobiety traktuje jak zapowietrzone, dowiedziawszy się, że wiezie jeszcze jedną, ukrytą, a do tego ciężarną i umierającą, z pewnością się wścieknie. A jaka kara spotka jego? Nie, nikomu nie może o tym powiedzieć. Pozostaje tylko zaczekać, aż Eliza sama przeniesie się na tamten świat, o ile taka jest jej karma, a następnie wrzucić ciało do morza razem z workami kuchennych odpadków. Jedyne, co może dla niej zrobić, to - widząc, że jej cierpienia są już zbyt wielkie - pomóc umrzeć z godnością.

Zmierzał ku wyjściu, kiedy przez skórę poczuł czyjaś obecność. Przerazony uniosł lampkę i w kręgu migotliwego światła z całą wyrazistością ujrzał swoją uwielbianą Lin, jak przygląda mu się z bliska, a na jej półprzezroczystej twarzy błąka się ten sam kpiarski wyraz, który zawsze stanowił jej największy urok. Miała na sobie suknię z zielonego jedwabiu haftowanego złotymi nićmi, tę samą, którą nosiła na wielkie okazje, włosy miała zebrane w prosty kok, podpięty pałeczkami z kości słoniowej, a za uszami dwie świeże peonie. Taką ją widział po raz ostatni, kiedy sąsiadki ubrały ją przed ceremonią pogrzebową. Widok jego żony w ładowni był tak realny, że poczuł panikę: duchy zmarłych, nawet jeśli ludzie ci za życia byli bardzo dobrzy, zwykli traktować żyjących w sposób okrutny. Próbował rzucić się do ucieczki ku drzwiom, ale Lin zastąpiła mu drogę. Tao Chi'en upadł na kolana, dygocąc ze strachu i nie wypuszczając z ręki lampki, swojego jedyne go łącznika z rzeczywistością. Próbował odmówić modlitwę na przepędzenie diabłów, na wypadek gdyby chciały go podejść, przybierając postać Lin, ale nie mógł przypomnieć sobie słów i z ust jego wyrwał się jedynie przeciągły jęk miłości do niej i nostalgii za przeszłością. Wtedy Lin ze swą niezapomnianą delikatnością pochyliła się nad nim tak nisko, że gdyby tylko się ośmielił, mógłby ją pocałować, i wyszeptala, że nie przybyła z tak daleka, żeby go straszyć, lecz aby przypomnieć mu o obowiązkach godnego szacunku lekarza. Ona również o mało nie wykrwawiła się na śmierć, wydając na świat córkę, ale wtedy on potrafił ją uratować. Dlaczego tego nie zrobi dla tej dziewczyny? Co się stało z jej ukochanym Tao? Czyżby stracił swe dobre serce i stał się karaluchem? Przedwczesna śmierć nie jest karmą Elizy, zapewniła go. Jeśli jakaś kobieta jest w stanie przemierzyć świat, pochowana żywcem w jakiejś koszarnej norze, żeby się spotkać ze swym mężczyzną, to znaczy, że ma dużo qt.

- Musisz jej pomóc, Tao, jeśli umrze, nie ujrzawszy swego ukochanego, nigdy nie zazna spokoju i jej duch już zawsze będzie cię prześladował - ostrzegła go Lin, zanim jej postać się rozwiała.

- Zaczekaj! - błagał mężczyzna, wyciągając rękę, żeby ją zatrzymać, ale jego palce zacisnęły się w próżni.

Tao Chi'en dłuższy czas przeleżał wyciągnięty na ziemi, usiłując odzyskać zmysły, aż w końcu jego rozszalałe serce przestało pędzić galopem i w ładowni rozwiął się delikatny zapach Lin. Nie odchodź, nie odchodź, powtórzył tysiąc razy, pokonany miłością. Wreszcie udało mu się stanąć na nogi, otworzyć drzwi i wyjść na świeże powietrze.

Noc była ciepła. Ocean Spokojny, w którym odbijały się promienie księżyca, lśnił niczym srebro, a lekka bryza wydy-mała stare żagle „Emilii”. Wielu pasażerów udało się już do swych kabin na spoczynek albo żeby zagrać w karty, inni rozwiesili sobie na noc hamaki pośród maszyn, końskich siodła i skrzyń, które wypełniały pokłady, a niektórzy dla rozrywki przystanęli na rufie, obserwując figlarne delfiny baraszkujące w pienistej smudze, którą pozostawiał za sobą statek. Tao Chi'en z wdzięcznością podniósł wzrok ku prze-ogromnemu sklepieniu niebios. Pierwszy raz od chwili śmierci Lin zjawiała się przed nim tak realnie. Zanim rozpoczął swój marynarski żywot, wiele razy czuł ją przy sobie, zwłaszcza kiedy pogrążał się w głębokiej medytacji, ale wtedy łatwo było pomylić ulotną obecność jej ducha z jego tęsknotą wdowca. Lin zwykła przechodzić obok niego, muskając go swymi cienkimi palcami, ale on miał wątpliwości, czy to naprawdę ona, czy tylko wytwór jego udręczonej duszy. Jednak przed kilkoma minutami, w ładowni, nie miał wątpliwości: promień-na twarz Lin objawiła mu się tak wyraźnie, niczym ów księżyc odbijający się w morzu. Pojął, że nie jest sam, i poczuł się tak szczęśliwy jak niegdyś, dawno temu, kiedy ona po miłosnej nocy zasypiała zwinięta w kłębek w jego ramionach.

Tao Chi'en skierował się do kajuty załogi, gdzie wy-znaczono mu wąską drewnianą koję daleko od drzwi, je-dynego miejsca, którędy wpadało nieco świeżego powietrza.

W smrodzie męskich ciał nie sposób było zasnąć, jednak odkąd wypłynęli z Valparaiso, nie musiał tego robić, ponieważ lato pozwalało spać na pokładzie. Odszukał swój kufer, przymocowany do podłogi dla ochrony przed kołysaniem fal, zdjął z szyi klucz, otworzył kłódkę i wyjął walizeczkę i bute-leczkę z laudanum. Następnie wyniósł ukradkiem podwójną rację słodkiej wody i poszukał w kuchni jakichś szmat, którymi zamierzał się posłużyć z braku czegoś lepszego.

Wracał już do ładowni, kiedy czyjaś ręka chwyciła go za ramię. Odwrócił się zaskoczony i ujrzał jedną z Chilijek, która wbrew rygorystycznemu rozkazowi kapitana, aby

po zachodzie słońca nie opuszczać swoich kajut, wyszła na pokład, żeby wabić klientów. Natychmiast ją rozpoznał. Ze wszystkich kobiet znajdujących się na pokładzie Azucena Placeres była najsympatyczniejsza i miała najwięcej śmiałości. W pierwszych dniach tylko ona była skłonna przyjść z pomocą pasażerom cierpiącym na chorobę morską i bardzo troskliwie zajęła się młodym marynarzem, który spadł z masztu i zламаł ramię. W ten sposób zdobyła sobie szacunek nawet kapitana Katza, który od tej chwili patrzył przez palce na to, że łamie dyscyplinę. Azucena Placeres bezpłatnie świadczyła swoje usługi jako pielęgniarka, ale kto by chciał położyć rękę na jej jędrnych wdziękach, musiał zapłacić brzęczącą monetą, gdyż - jak mawiała - nie należy mylić dobrego serca z głupotą. To jest mój jedyny kapitał i jak nie będę o niego dbała, jestem skończona, wyjaśniała, klepiąc się wesoło po pośladkach. Azucena Placeres zwróciła się do niego czterema słowami zrozumiałymi w każdym języku: czekolada, kawa, tytoń, brandy. Tak jak to zawsze czyniła, ilekroć zastępowała mu drogę, śmiałymi gestami przedstawiła mu swe pragnienie wymiany któregoś z owych luksusowych dóbr na jej usługi, ale zhong yi odepchnął ją i ruszył dalej swoją drogą.

Znaczną część nocy Tao Chi'en spędził przy gorączkującej Elizie. Mając do dyspozycji ograniczone środki ze swej walizeczki, długoletnie doświadczenie i ogarniające go co chwilę przypływy czułości, tak długo zajmował się jej wyczerpanym ciałem, że w końcu wydało z siebie coś, co wyglądało jak krwawiący mięczak. Tao Chi'en obejrzał to w świetle lampki i bez cienia wątpliwości stwierdził, że jest to płód liczący sobie kilkanaście tygodni, i że został wydalony w całości. Chcąc dokładnie oczyścić łono dziewczyny, wbił jej igły w ramiona i nogi, wywołując silne skurcze. Kiedy był już pewien wyniku, odetchnął z ulgą: zostało jeszcze tylko poprosić Lin o wstawiennictwo, żeby uniknąć infekcji. Do tej nocy Eliza stanowiła dla niego część umowy handlowej, na dowód czego na dnie jego kufra spoczywał sznur pereł. Była tylko obcą dziewczyną, która - jak mu się wydawało - osobiście bynajmniej go nie interesowała: kobietą rasy fan giiey o wielkich stopach i silnym temperamencie; z pewnością trudno byłoby jej znaleźć męża, gdyż nie wyglądała na taką, która by była skłonna schlebiać albo służyć mężczyźnie, to od razu było widać. Teraz, zepsuta przez poronienie, nigdy nie wyjdzie za mąż. Nawet kochanek, który w dodatku już raz ją opuścił (o ile kiedykolwiek go znajdzie, co wydaje się mało prawdopodobne), nie zechce jej za żonę. Przyznawał, że jak na cudzoziemkę Eliza wcale nie jest taka brzydka, w jej migdałowych oczach było przynajmniej coś orientального, no i jeszcze te długie, czarne i lśniące włosy niczym dumny ogon cesarskiego wierzchowca... Gdyby miała diabelską czuprynę, żółtą albo czerwoną, jakich wiele widywał, odkąd opuścił Chiny, pewnie nawet by się do niej nie zbliżył; jednak ani przyjemny wygląd, ani siła charakteru na nic się zdadzą,

jej zły los już się rozstrzygnął, nie było dla niej nadziei: w Kalifornii skończy jako prostytutka. Bywał u wielu takich kobiet w Kantonie i w Hongkongu. Znaczną część swych umiejętności medycznych zawdzięczał praktyce zdobywanej latami na ciałach owych nieszczęśnic, noszących ślady bicia, chorób i narkotyków. Wiele razy podczas tej długiej nocy zastanawiał się, czy - wbrew instrukcjom Lin - nie byłoby lepiej pozwolić jej umrzeć i w ten sposób oszczędzić strasznego losu, ale zapłaciła mu z góry i musi wywiązać się ze swojej części umowy, powiedział sobie. Nie, to nie jest jedyny powód, podsumował, jako że od początku zastanawiał się, co go skłoniło do przemycenia tej dziewczyny na statek jako pasażera na gapę. Ryzyko było ogromne, nie był pewien, czy popełnił tak wielką nieostrożność tylko ze względu na wartość pereł. W męskiej determinacji Elizy było coś wzruszającego, w kruchości jej ciała i odwadze, z jaką wyznawała miłość do swego kochanka, było coś, co przypo-minało mu Lin...

Wreszcie nad ranem Eliza przestała krwawić. Pomimo nieznośnego gorąca, jakie panowało w ładowni, dygotała w gorączce, ale miała lepszy puls i spokojnie oddychała przez sen. Niemniej jednak niebezpieczeństwo nie było jeszcze zażegnane. Tao Chi'en chciał zostać, żeby jej doglądać, ale ocenił, że do świtu brakuje już niewiele czasu i niedługo odezwie się dzwonek wzywający go do pracy. Wyczerpany wyczołgał się na pokład, upadł twarzą na podłogę i zasnął jak dziecko; spał, dopóki przyjazny kopniak innego marynarza nie obudził go, żeby przypomnieć mu o jego obowiązkach. Zanurzył głowę w wiadrze morskiej wody, żeby otrzeźwieć, i na wpół przytomny rzucił się do kuchni, żeby ugotować gęstą owsiankę, którą na statku podawano na śniadanie. Wszyscy jedli ją bez komentarzy, wliczając w to małymów-nego kapitana Katza, z wyjątkiem Chilijczyków, którzy chó-rem protestowali, mimo iż wsiadłszy jako ostatni, byli naj-lepiej zaopatrzeni w prowiant. Pozostali wyczerpali swoje zapasy tytoniu, alkoholu i słodczy podczas miesiący żeglugi, jaką mieli za sobą, zanim dotarli do Valparai'so. Krążyły pogłoski, że niektórzy z Chilijczyków to arystokraci i dlatego nie umieją uprać sobie własnych kalesonów czy zagotować wody na herbatę. Podróżujący pierwszą klasą zabrali ze sobą służących, których zamierzali wykorzystać w kopalniach zło-ta, gdyż myśl, że mieliby osobiście ubrudzić sobie ręce, nawet im nie zaświtała w głowie. Inni woleli płacić za usługi marynarzom, jako że kobiety gremialnie tego odmówiły; mogły zarobić dziesięć razy tyle, przyjmując ich na dziesięć minut w zaciszu swych kabin, nie było powodu, dla którego miałyby przez dwie godziny prac im gacie. Załoga i pozostali pasażerowie drwili z owych rozpieszczonych paniczków, jednak nigdy nie robili tego wprost. Chilijczycy mieli dobre maniery, wyglądali na nieśmiałych i popisywali się swoją wielką uprzejmością i rycerskością, ale do wzniesienia pożaru ich pychy wystarczała

najmniejsza iskra. Tao Chi'en wolał się z nimi nie zadawać. Ludzie ci nie ukrywali pogardy wobec niego i dwóch czarnych podróżnych, którzy wsiedli w Brazylii, zapłaciwszy w całości za swój bilet, a mimo to jako jedyni nie mieli kabiny i nie byli upoważnieni do dzielenia stołu z pozostałymi. Wolał już pięć skromnych Chilijek ze względu na ich solidne praktyczne podejście do życia, nieustający dobry humor i macierzyński instynkt, jakim się wykazywały w nagłych wypadkach.

Przepracował cały dzień jak we śnie, z umysłem zaprząt-niętym Elizą, jednak aż do nocy nie miał ani chwili wolnej, żeby do niej zajrzeć. Przed południem marynarzom udało się złowić wielkiego rekina, który dogorywał na pokładzie waląc straszliwie ogonem, ale nikt nie ośmielił się podejść bliżej, żeby kilkoma uderzeniami kija skrócić jego mękę. Tao Chi'enowi, jako kucharzowi, przypadło w udziale nad-zorować obdzieranie go ze skóry, ćwiartowanie, gotowanie części mięsa i zasolenie reszty, podczas gdy marynarze szczotkami zmywali krew z pokładu, a pasażerowie czcili przerażający spektakl ostatnimi butelkami szampana, uprzedzając ucztę, jakiej spodziewali się w porze kolacji. Serce Tao Chi'en odłożył na zupełną dla Elizy, a płetwy do suszenia, ponieważ na rynku afrodyzjaków były warte fortunę. W miarę jak upływały godziny, podczas których zajęty był przy rekinie, Tao Chi'en coraz częściej wyobrażał sobie, że Eliza umarła. Kiedy wreszcie mógł zejść do ładowni i przekonał się, że żyje i lepiej wygląda, odczuł wielką radość. Krwotok ustał, dzbanek na wodę był pusty i wszystko wskazywało, że w ciągu tego długiego dnia chwilami odzyskiwała przytomność. Podziękował krótko Lin za jej pomoc. Dziewczyna z trudem otworzyła oczy, miała wyschnięte wargi i twarz zaczerwienioną od gorączki. Pomógł jej się podnieść i podał silny napar z ziół tangkuei na odtworzenie krwi. Upewniwszy się, że zatrzymała go w żołądku, dał jej kilka łyków świeżego mleka, które łączywie wypila. Krowy, które wieźli na pokładzie - nienawykłe do żeglugi - dawały mało mleka, sterczały im kości i mówiono już, że trzeba je zabić. Myśl o picciu mleka budziła w Tao Chi'enie wstręt, jednak przyjaciel Ebanizer Hobbs uprzedzał go o jego zaletach, gdy zachodziła konieczność odbudowania utraconej krwi. Uznał, że skoro Hobbs stosował je w diecie u ciężko rannych, ten sam efekt powinno przynieść i w tym przypadku.

- Tao, czy ja umrę?
- Jeszcze nie - uśmiechnął się, głaszcząc ją po głowie.
- Ile jeszcze brakuje do Kalifornii?
- Dużo. Nie myśl o tym. Teraz musisz się wysuszyć.
- Nie, proszę - zaprotestowała.
- Jak to nie? Musisz to zrobić!

- Przy tobie?

- Jestem zhong yi. Nie możesz się mnie wstydzić. Widziałem już wszystko, co jest w twoim ciele do zobaczenia.

- Nie mogę się ruszyć, nie zniosę tej podróży, Tao, wolę umrzeć... - zaszlochała Eliza, opierając się o niego, żeby usiąść na nocniku.

- Odwagi, dziewczyno! Lin mówi, że masz dużo qit i że nie po to dotarłaś tak daleko, żeby umierać w połowie drogi.

- Kto?

- Nieważne.

Tej nocy Tao Chi'en pojął, że nie da rady sam się nią zajmować, potrzebuje pomocy. Nazajutrz, ledwie kobiety opuściły swą kabinę i rozłożyły się na rufie, jak to zwykle robiły, żeby prać bieliznę, zaplatać sobie włosy i przyszywać pióra i szklane koraliki do sukien noszonych w ich profesji, dał znak Azucenie Placeres, że chce z nią mówić. Podczas podróży żadna nie włożyła stroju kurtyzany, ubierały się w ciężkie ciemne spódnice i bluzki bez ozdób, na nogi wkładały sandały, wieczorami zawijały się w chusty, czesały w dwa warkocze spadające na plecy i nie robiły makijażu. Wyglądały jak grupa zwykłych wieśniaczek pochłoniętych zajęciami domowymi. Chilijka mrugnęła porozumiewawczo do koleżanek i ruszyła za nim do kuchni. Tao Chi'en wręczył jej duży kawałek czekolady, wykradziony z zapasów kapitana, i próbował wyjaśnić swój problem, ale ona nie rozumiała ani słowa po angielsku, a on zaczął tracić cierpliwość. Azucena Placeres powąchała czekoladę i dziecięcy uśmiech rozjaśnił jej okrągłą twarz Indianki. Wzięła kucharza za rękę i położyła ją sobie na piersi, wskazując - wolną o tej porze - kabinę kobiet, ale on cofnął dłoń, wziął ją za rękę i poprowadził do zapadni, przez którą wchodziło się do ładowni - Tyleż zaskoczona, co zaciekawiona, Azucena zaczęła się słabo bronić, ale nie dał jej szansy, by się wycofała, tylko otworzył klapę i popchnął ją w stronę schodków, uśmiechając się cały czas uspokajająco. Przez kilka chwil szli po omacku, aż u/reszcie odnalazł lampkę zawieszoną na jednej z belek i zdołał ją zapalić. Azucena śmiała się: ten dziwaczny Chińczyk zrozumiał w końcu warunki umowy. Nigdy tego nie robiła z Azją i bardzo chciała się dowiedzieć, czy jego narzędzie jest takie jak u innych mężczyzn, ale kucharz nie uczynił nic, co mogłoby wskazywać, że zamierza skorzystać z tego ustronnego miejsca, za to chwycił ją za ramię i pociągnął, robiąc sobie przejście w owym labiryncie pakunków. Przestraszyła się, że może oszalał, i próbowała się wyrwać, jednak jej nie puścił, zmuszając, by szła za nim aż do chwili, gdy lampka oświetliła norę, w której leżała Eliza.

- Jezusie, Maryjo i Józefie święty! - zawołała Azucena, zegnając się z przerażenia na

jej widok.

- Powiedz jej, żeby nam pomogła - poprosił po angielsku Tao Chi'en Elizę, potrząsając nią, żeby ją obudzić.

Dobry kwadrans potrwało, zanim Eliza, zacinając się, prze-tłumaczyła krótkie instrukcje Tao Chi'ena, który z torebki z klejnotami wyjął turkusową broszkę i wymachiwał nią przed oczami wystraszonej Azuceny. Umowa, powiedział, polega na tym, że dwa razy dziennie ma zejść na dół, umyć Elizę i nakarmić ją, tak żeby nikt się o tym nie dowiedział. Jeśli to zrobi, w San Francisco broszka będzie należała do niej, ale jeśli piśnie komuś choć słowo, utnie jej głowę. Mężczyzna wyjął nóż zza pasa i przesunął jej pod nosem, podczas gdy w drugiej ręce trzymał broszkę, tak aby przesłanie było jasne.

- Rozumiesz?

- Powiedz temu przekłętemu Chińczykowi, że rozumiem, i niech schowa ten nóż, bo przez nieuwagę może mnie niechcący zabić.

Przez jakiś czas, który zdawał się nie mieć końca, Eliza walczyła z majakami wywołanymi gorączką, w nocy otoczona opieką Tao Chi'ena, a za dnia Azuceny Placeres. Chilijka wykorzystywała wczesne godziny ranne i porę sjęsty, kiedy większość pasażerów uciwała sobie drzemkę, żeby przemknąć się cichaczem do kuchni, gdzie Tao wręczał jej klucz. Z po-czątku schodziła do ładowni, umierając ze strachu, jednak wkrótce wrodzone dobre usposobienie i broszka pomogły jej pokonać lęk. Zaczęła nacierać Elizę namydloną szmatką, aż zmyła z niej śmiertelny pot, potem zmuszała ją do zjedzenia papkowej owsianki na mleku i rosółków z kury z ryżem wzmocnionych tangkuei, przygotowywanych przez Tao Chi'ena, zgodnie z jego zaleceniami podawała jej zioła i - z własnej inicjatywy - raz dziennie filiżankę naparu z krzewu borraja. Ślepo wierzyła w ów środek oczyszczający brzuch po ciąży; borraja i święty obrazek Matki Bożej z góry Karmel były to dwie pierwsze rzeczy, które ona i jej towarzyszy-ki zapakowały do swych podróжных kufrów, gdyż bez ich protekcji drogi Kalifornii mogły okazać się bardzo trudne do przebycia. Chora krążyła po bezdrożach śmierci aż do ranka, kiedy przybili do portu Guayaquil, który był zaledwie grupką zabudowań na wpół pochłoniętych przez bujną roślinność równikową, gdzie - oprócz handlarzy owocami tropikalnymi albo kawą - mało kto się zatrzymywał, ale kapitan Katz obiecał dostarczyć kilka listów pewnej rodzinie holenderskich misjonarzy. Korespondencja ta była w jego posiadaniu już od ponad sześciu miesięcy, a nie należał do ludzi uchylających się od raz podjętych zobowiązań. Poprzedniej nocy, w upale przypominającym żar bijący od ogniska, Eliza wypociła gorączkę aż do ostatniej kropli; śniło się jej, że bosko wspina się po rozpalonym zboczu wybuchającego wulkanu, i obudziła się cała mokra od potu, ale przytomna i z

chłodnym czołem. Wszyscy pasażerowie, włącznie z kobietami, oraz większość załogi zeszli na kilka godzin na ląd wyprostować nogi, wykąpać się w rzece i najeść owoców, ale Tao Chi'en został na statku, żeby nauczyć Elizę palić fajkę, którą wiozł w swoim kufrze. Miał wątpliwości co do tej metody leczenia dziewczyny; była to jedna z tych okazji, kiedy oddałby wszystko, by móc zasięgnąć rady swego mądrego mistrza. Rozumiał, że chcąc jej pomóc spędzić czas w zamkniętej ładowni, musi ją wyciszyć, ale straciła dużo krwi i obawiał się, że narkotyk może rozrzedzić tę resztę, jaka jej jeszcze została. Podjął decyzję z wahaniem, uprosiwszy uprzednio Lin, aby z bliska czuwała nad snem Elizy.

- Opium. Sprawi, że zaśniesz, w ten sposób czas płynie szybciej.

- Opium! Od tego się szaleje!

- Ty już i tak jesteś szalona, nie masz wiele do stracenia - uśmiechnął się Tao.

- Chcesz mnie zabić, prawda?

- Oczywiście. Nie udało mi się, kiedy się wykrwawiałaś, i zrobię to teraz za pomocą opium.

- Oj, Tao, kiedy się boję... .

- Dużo opium jest złe. Mało niesie pociechę, a ja ci dam bardzo mało.

Dziewczyna nie wiedziała, ile to jest mało czy dużo. Tao Chi'en dawał jej do picia wywary - „kość smoka” i „muszlę ostrygi” - i dawkował opium, aby sprowadzić na nią kilka godzin litościwej drzemki, nie dopuszczając, aby całkowicie przepadła w raj bez powrotu. Następne tygodnie spędziła, fruując w przestrzeni innych galaktyk, daleko od niezdrowego legowiska, gdzie spoczywało jej ciało, i budziła się tylko, kiedy tamci schodzili, żeby ją nakarmić, umyć albo zmusić do zrobienia kilku kroków w wąskim labiryncie ładowni. Nie odczuwała męczarni zadawanych przez pchły i wszy ani • wywołującego mdłości smrodu - którego początkowo nie mogła znieść - gdyż narkotyki stępiły jej cudowny węch. Wchodziła i wychodziła ze swych snów bez żadnej kontroli, jak również nie mogła ich sobie przypomnieć, ale Tao Chi'en miał rację: czas płynął szybko. Azucena Placeres nie mogła zrozumieć, dlaczego Eliza podróżuje w takich warunkach. Żadna z Chilijek nie zapłaciła za swój przejazd, wsiadły na statek na podstawie umowy z kapitanem, który miał otrzymać równowartość biletu po przybyciu do San Francisco.

- O ile te pogłoski są prawdziwe, w jeden dzień możesz mieć w kieszeni pięćset dolarów. Górnicy płacą czystym złotem. Od miesięcy nie widzieli kobiety, są zdesperowani. Pogadaj z kapitanem, zapłacisz mu, jak przyjedziesz - nalegała w chwilach, gdy Eliza wstawiała z łóżka.

- Nie jestem jedną z was - odpowiadała Eliza, pogrążona w słodkiej narkotykowej

mgiełce.

Wreszcie w którymś momencie przytomności Elizy Azucenie Placeres udało się skłonić dziewczynę do opowiedzenia części historii. Myśl, że pomaga uciekinierce poszukującej ukochanego, tak zawładnęła wyobraźnią kobiety, że od tej chwili doglądała jej z jeszcze większym oddaniem. Już nie tylko dopełniała warunków umowy, karmiąc ją i myjąc, lecz również siedziała przy niej dla samej przyjemności patrzenia, jak śpi. Kiedy nie spała, opowiadała o swoim życiu i uczyła odmawiać różaniec, co - według niej - było najlepszym sposobem, żeby spędzać czas, nie myśląc, a zarazem bez większego wysiłku zasłużyć sobie na niebo. Dla osoby jej profesji, tłumaczyła, nie ma nic lepszego. Część swoich dochodów skrupulatnie odkładała na kupno kościelnych od-pustów, redukując tym samym liczbę dni, które na tamtym świecie przyszłoby jej spędzić w czyścicu, chociaż - wedle obliczeń - dla pokrycia wszystkich jej grzechów nigdy nie będzie ich dosyć. Upływały tygodnie, a Eliza nie wiedziała, czy to dzień czy noc. Chwilami odnosiła niejasne wrażenie, że ma przy sobie jakąś kobietę, ale potem zasypiała i budziła się, nie będąc pewna, czy Azucena Placeres jej się śniła, czy też nieduża kobieta o czarnych warkoczach, perkatym nosie i wystających kościach policzkowych, podobna do Mamy Frezji w młodości, istnieje naprawdę.

Klimat nieco się ochłodził, kiedy zostawili za sobą Panamę, gdzie kapitan, w obawie przed zarażeniem się żółtą febrą, zabronił schodzić na ląd, ograniczając się jedynie do wysłania kilku marynarzy łodzią na poszukiwanie słodkiej wody, gdyż resztką, jaka im jeszcze została, zalatywała bajorem. Minęli Meksyk i kiedy „Emilia” przemierzała wody północnej Kalifornii, nastąpiła zimna pora roku. Duchota pierwszej połowy podróży przerodziła się w chłód i wilgoć; z walizek wyciąg-nięto futrzane czapki, wysokie buty, rękawiczki i wełniane spódnice. Od czasu do czasu brygantyna mijała się z innymi statkami, z którymi z daleka wymieniała pozdrowienia, nie zmniejszając prędkości. Na każdym nabożeństwie kapitan dziękował niebiosom za pomyślne wiatry, wiedział bowiem o statkach zniesionych ku wybrzeżom Hawajów albo i jeszcze dalej, zanim jakiś podmuch zadał im w żagle. Do figlujących delfinów dołączyły wielkie, poważne wieloryby, towarzyszące im na dłuższych odcinkach. O zmierzchu, kiedy w refleksach zachodzącego słońca woda barwiła się na czerwono, zwierzęta baraszkowały w szumie złocistej piany, wydając gdzieś pod powierzchnią wody głębokie porykiwania. Czasami zaś w nocnej ciszy podchodziły do statku tak blisko, że można było usłyszeć wyraźnie ciężki i tajemniczy pogłos, świadczący o ich obecności. Świeża żywność skończyła się, a suchy prowiant wydawano w coraz mniejszych racjach; poza grą w karty i łowieniem ryb nie było innych rozrywek. Pasażerowie omawiali szczegóły dotyczące spółek zakładanych w celu poszukiwania złota;

dla niektórych opracowywano surowe regulaminy, na wzór wojskowych, a nawet umundurowanie, inne miały luźniejszy charakter. Wszystkie opierały się na ogólnych wspólnych zasadach: połączenie sił dla finansowania podróży i ekipy, praca w kopalniach, transport złota, a następnie równy podział zysków. Nikt nie znał terenu ani odległości. Jedną ze spółek ustaliła, że jej członkowie każdej nocy mają wracać na statek, na którym przez kilka miesięcy mieli mieszkać, i oddawać wykopane w ciągu dnia złoto do kasy pancерnej. Kapitan Katz wyjaśnił im, że „Emilia” nie podlega wynajmowi jak hotel, ponieważ on zamierza wrócić do Europy najszybciej jak to możliwe, a kopalnie znajdują się o setki mil od portu, ale go zignorowano. Podróż trwała już pięćdziesiąt dwa dni, monotonia bezkresnej wody działała na nerwy i pod byle pretekstem wybuchały bójkі. Kiedy mało brakowało, aby jeden z chilijskich pasażerów wystrzelił ze swego sztucera w stronę jankeskiego marynarza, którego Azucena Placeres za bardzo kokietowała, kapitan Vincent Katz skonfiskował wszelką broń, z brzytwami do golenia włącznie, obiecując zwrócić ją, kiedy San Francisco znajdzie się już w zasięgu wzroku. Jedyną osobą upoważnioną do manewrowania nożami był kucharz, któremu przypadło w udziale niewdzięczne zadanie zabijania zwierząt domowych, jednego po drugim. Kiedy wreszcie ostatnia krowa trafiła do garnka, Tao Chi'en zaimprovizował wymyśloną przez siebie ceremonię, żeby zapewnić sobie przebaczenie ze strony zabitych zwierząt i obmyć się z przelanej krwi, po czym zdezynfekował swój nóż, przesuwając go po wielokroć w płomieniu pochodni.

Zaledwie statek wpłynął na wody Kalifornii, Tao Chien zaczął ograniczać podawanie Elizie uspokajających ziół i opium, zaczął dokarmiać ją i zmuszał do wykonywania ćwiczeń, aby mogła opuścić swoje więzienie o własnych siłach. Azucena Placeres namydlała ją cierpliwie, a nawet wymyśliła sposób, żeby umyć jej włosy, polewając je wodą z filizanki, dzieląc się z nią jednocześnie opowiadaniem o swym smutnym życiu kurtyzany i radosnymi nadziejami na to, iż wzbogaciwszy się w Kalifornii, powróci do Chile jako wielka pani, z sześcioma kuframi pełnymi królewskich sukien i złotym zębem. Tao Chi'en zastanawiał się nad sposobem wyprowadzenia Elizy ze statku, ale skoro mógł wnieść ją w worku, z pewnością w ten sam sposób zdoła ją wynieść. A kiedy dziewczyna znajdzie się już na stałym lądzie, prze-stanie być za nią odpowiedzialny. Myśl, że całkowicie się jej pozbędzie, wywoływała u niego mieszanię szalonej ulgi i niepojętej trwogi.

Kiedy do celu podróży brakowało już niewiele mil, „Emilia” zaczęła płynąć wzdłuż brzegów północnej Kalifornii. Wedle słów Azuceny Placeres były one tak podobne do wybrzeży Chile, że ani chybi krążyli w kółko jak langusty, i znowu znajdowali się w Valparaiso. Tysiące uchatk i fok odrywały się od skał i pośród przeraźliwego harmideru

mew i pelika-nów wpadały ciężko do wody. Na skalistych urwiskach nie było widać ani żywej duszy, ani śladu jakiegś osady, ani cienia Indian, którzy, jak powiadano, od stuleci zamieszkiwali te opustoszałe regiony. W końcu podpłynęli do sterczących z wody skał, zapowiadających bliskość sławnych „Złotych Wrót”, Golden Gate, progu zatoki San Francisco. Gęsta mgła otuliła statek niczym płaszcz, nic nie było widać w odległości pół metra i kapitan - w obawie, że mogą się roztrzaskać - kazał się zatrzymać i rzucić kotwicę. Byli już bardzo blisko i zniecierpliwienie pasażerów przeszło w zamęt. Wszyscy mówili naraz, przygotowując się, żeby zejść na stały ląd i rzucić się pędem ku złotonośnym terenom w poszukiwaniu skarbów. Większość spółek zakładanych w celu eksploatacji kopalń rozpadła się w ostatnich dniach, znużenie żegluga posiadało niezgodę między dotychczasowymi przyjaciółmi i każdy mężczyzna myślał już tylko o sobie samym, pogrążony w rozważaniach, na co przeznaczy swą olbrzymią fortunę. Nie brakowało takich, którzy oświadczyli się prostytutkom i go-towi byli prosić kapitana, aby jeszcze przed zejściem na ląd udzielił im ślubu, gdyż słyszeli, że to, czego najbardziej brakowało na tych barbarzyńskich ziemiach, to kobiety. Jedna z Peruwianek przyjęła propozycję pewnego Francuza, który spędził na morzu tyle czasu, że nie pamiętał już nawet, jak się nazywa, ale kapitan Katz odmówił udzielenia im ślubu, dowiedziawszy się, że mężczyzna miał w Awinionie żonę i czworo dzieci. Pozostałe odrzuciły pretendentów, gdyż - jak stwierdziły - odbyły tak uciążliwą podróż, żeby być wolne i bogate, a nie żeby zostać nieopłacanymi służącymi pierwszego lepszego obdartusa, który zaproponuje im małżeństwo.

Entuzjazm mężczyzn - w miarę jak mijały godziny, a oni tkwili nieruchomo, zanurzeni w mlecznej nierzeczywistości mgły - powoli zaczął opadać. Wreszcie na drugi dzień niebo nagle się roz pogodziło, można było podnieść kotwicę i z roz-winiętymi żaglami wyruszyć w ostatni etap długiej podróży. Pasażerowie i załoga wyszli na pokład, żeby podziwiać wąski przesmyk Golden Gate, przez sześć mil pchani kwietniowym wiatrem, pod przejrzystym niebem. Po obu stronach wznosiły się nadmorskie wzgórza zwieńczone lasami, przecięte niczym rana przez odwieczną pracę fal, z tyłu zostawał Ocean Spokojny, a przed nimi rozciągała się wspaniała zatoka niczym jezioro o srebrnej wodzie. Salwą okrzyków powitano koniec uciążliwego rejsu i początek przygody ze złotem, jaka miała się stać udziałem owych mężczyzn i kobiet, jak również dwudziestu członków załogi, którzy w jednej chwili postanowili zostawić statek na łasce losu i również ruszyć ku kopalniom. Jedynymi osobami zachowującymi niewzruszony spokój byli kapitan Vincent Katz - który trwał na swym posterunku przy sterze, nie zdradzając żadnych uczuć, ponieważ złoto było mu obojętne, pragnął jedynie wrócić na czas do Amsterdamu, żeby spędzić z rodziną Boże Narodzenie - i

Eliza Sommers w brzuchu żaglowca, która o tym, że już dopłynęli, dowiedziała się dopiero w wiele godzin później.

Pierwszym, co zaskoczyło Tao Chi'ena po wplynięciu do zatoki, był las masztów, jaki ujrzał po prawej stronie. Nie sposób było je zliczyć, jednak oszacował, że w szyku bojowym stało tam ponad sto opuszczonych statków. Byle robotnik na łodzi zarabiał w ciągu dnia więcej niż marynarz przez miesiąc żeglugi; mężczyźni dezercerowali nie tylko ze względu na złoto, ale także skuszeni możliwością zarobku przy noszeniu worków, pieczeniu chleba czy wykuwaniu narzędzi. Niektóre opuszczone statki wynajmowano jako magazyny albo prowizoryczne hotele, inne niszczały, porastając algami morskimi i gniazdami mew. Drugie spojrzenie ukazało Tao Chi'enowi miasto rozłożone na zboczach wzgórz na kształt wachlarza, gmatwaninę namiotów, szałasów z desek i dykty i nielicznych zabudowań o prostej, ale solidnej konstrukcji, pierwszych w owej rozrastającej się osadzie. Zarzuciwszy kotwicę powitali pierwszą łódź, która nie należała do kapitałatu portu, jak przypuszczali, ale do pewnego Chilijczyka, któremu spieszno było powitać rodaków i odebrać pocztę. Był nim Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, który zmienił swoje dźwięczne nazwisko na Felix Cross, aby jankesi mogli je wymówić. Mimo że wielu podróżnych znało go osobiście, nikt go nie poznał, gdyż z elegancika w surducie, z napomadowanym wąsem, jakim po raz ostatni widzieli go w Valparaiso, nie zostało nic; przed nimi stał zarośnięty jaskiniowiec z ogorzałą skórą Indianina, w ubraniu odpowiednim do chodzenia po górach, butach wysokich do połowy uda, z dwoma pistoletami za pasem, w towarzystwie Murzyna o równie dzikim wyglądzie i także uzbrojonego niczym rozbójnik. Był to zbiegły niewolnik, który z chwilą, gdy znalazł się w Kalifornii, odzyskał wolność, ale nie mogąc znieść trudów górniczego losu, wolał zarabiać na życie jako płatny morderca. Przedstawivszy się, Feliciano przyjęty został okrzykami entuzjazmu i praktycznie zaniesiony do kabiny pierwszej klasy, gdzie pasażerowie masowo prosili go o informacje. Wszyscy pragnęli się dowiedzieć, czy minerału rzeczywiście jest tak dużo, jak opowiada-no, na co odrzekł, iż jest go znacznie więcej, i wyjął z torby jakąś żółtą substancję w kształcie rozdeptanego gówna, oznajmiając, że jest to ważący pół kilograma samorodek, który jest gotów z ręki do ręki wymienić na cały alkohol, jaki znajduje się na pokładzie, do czego jednakże nie doszło, gdyż zostały jedynie trzy butelki, resztę zaś wypito po drodze. Samorodek, rzekł, znaleźli dzielni górnicy, których sprowadził z Chile, obecnie pracujący dla niego nad brzegiem rzeki Americano. Wzniósłszy toast ostatnim zapasem alkoholu i odebrawszy listy od żony, Chilijczyk zaczął udzielać im informacji, jak przeżyć w tych stronach.

- Kilka miesięcy temu istniał jeszcze kodeks honorowy i nawet najgorsi szubrawcy

zachowywali się przyzwoicie. Można było zostawić złoto w namiocie bez dozoru i nikt go nie ruszył, ale teraz wszystko się zmieniło. Rządzi prawo dżungli, a jedyną ideologią jest chciwość. Nie rozstawajcie się z bronią i poruszajcie się parami albo w grupach, to ziemia zbójców - radził im.

Statek został otoczony przez mnóstwo łodzi; siedzący w nich mężczyźni krzyżąc proponowali rozmaite transakcje, gotowi kupić cokolwiek, gdyż na lądzie mogli to sprzedać Z pięciokrotnym zyskiem. Nieobcy pasażerowie szybko mieli nauczyć się sztuki spekulacji. Wieczorem pojawił się kapitan portu w towarzystwie agenta celnego, a za nimi podpłynęły dwie łodzie z Meksykanami i paroma Chińczykami, którzy zaoferowali się przewieźć ładunek ze statku na nabrzeże. Żądali fortuny, ale nie było innego wyjścia. Kapitan portu nie przejawiał najmniejszej chęci, by sprawdzać paszporty albo ustalać tożsamość pasażerów.

- Dokumenty? Nic z tego! Przybyliście państwo do raju wolności. Tutaj nie jest ważny papier z pieczętą - oświadczył.

Żywo natomiast zainteresował się kobietami. Szczycił się tym, że jako pierwszy osobiście wypróbował wszystkie razem i każdą z osobna, kiedy tylko zeszyły na ląd w San Francisco, chociaż nie było ich tak dużo, jak by sobie tego życzył. Opowiadał, że pierwsze, które pojawiły się w mieście - dobre kilka miesięcy wcześniej - zostały z euforią przyjęte przez tłumy mężczyzn, którzy godzinami stali w ogonku, czekając na swoją kolej, płacąc złotem w proszku, w samorodkach, w monetach, a nawet w sztąbkach. Rzecz dotyczyła dwóch dzielnych jankeskich dziewczyn, które odbyły podróż z Bostonu, docierając do Pacyfiku przez Przesmyk Panamski. Swoje usługi wystawiły na licytację, oferując je temu, kto dał najwięcej, i w jeden dzień zarobiły tyle, co normalnie w ciągu roku. Od tamtej pory przybyło ich ponad pięćset, prawie wszystkie - z wyjątkiem paru Amerykanek i Francuzek - były Meksykankami, Chilijkami i Peruwiankami; jednak ich liczba okazała się nieznaczna w porównaniu z narastającą inwazją młodych i samotnych mężczyzn.

Azucena Placeres nie wysłuchała informacji jankesa, gdyż Tao Chi'en na wieść o obecności agenta celnego zabrał ją do ładowni. Nie będzie można wynieść dziewczyny w worku przerzuconym przez ramię jakiegoś dokera, tak jak ją wniósł, gdyż Z pewnością pakunki będą sprawdzane. Eliza była zaskoczona ich widokiem, gdyż oboje zmienili się nie do poznania: on miał na sobie świeżo upraną bluzę i spodnie, jego ciasno zapleciony warkocz lśnił jak natłuszczony, i dokładnie, aż do ostatniego włoska, wygolił sobie czoło i twarz, natomiast Azucena Placeres zmieniła swoje ubranie wieśniaczki na strój „służbowy” i włożyła błękitną suknię z pióra-mi przy dekolcie, włosy upięła w wysoką fryzurę zwieńczoną kapeluszem i umalowała karminem usta i policzki.

- Podróż się skończyła, a ty żyjesz, dziecinko - oświadczyła jej wesoło.

Zamierzała pożyczyć Elizie jedną ze swych wyzywających sukien i wyprowadzić ją ze statku jako jeszcze jedną z grupy, co nie było takim złym pomysłem, gdyż - jak wyjaśniła - na stałym lądzie to właśnie będzie z pewnością jej jedynym zajęciem.

- Przyjechałam wyjść za mąż za mojego narzeczonego - powtórzyła Eliza po raz setny.

- Żaden narzeczony na nic ci się teraz nie zda. Jeżeli chcąc jeść, trzeba sprzedawać dupę, to się sprzedaje. To nie pora na grymasy, dziecinko.

Tao Chi'en przerwał im. Jeżeli przez dwa miesiące na pokładzie było siedem kobiet, nie mogło zejść ich osiem, dowodził. Zwrócił uwagę na grupę Meksykanów i Chińczyków, którzy weszli na pokład, żeby zająć się wyładunkiem, i czekali na rozkazy kapitana i agenta celnego. Poleciał Azucenie uczesać długie włosy Elizy w warkocz podobny do tego, jaki sam nosił, a tymczasem poszedł po ubranie, które miał na zmianę. Ubrali dziewczynę w spodnie, bluzę ściągniętą w pasie sznurkiem i rozłożyły niczym parasol słomkowy kapelusz. W ciągu tych dwóch miesięcy, podczas których taplała się na mieliznach piekła, Eliza straciła na wadze i była mizerna i blada niczym papier ryżowy. W ubraniu Tao Chi'ena, które było na nią za duże, przypominała niedożywno-ne i smutne chińskie dziecko. Azucena Placeres objęła ją swymi potężnymi ramionami praczki i wzruszona wycisnęła jej na czole pocałunek. Pokochała ją i w głębi duszy cieszyła się, że ma narzeczonego, który na nią czeka, bo nie mogła jej sobie wyobrazić wystawionej na brutalność życia, którą ona sama znosiła.

- Wyglądasz jak jaszczurka - roześmiała się Azucena Placeres.

- A jak mnie odkryją?

- A co cię może spotkać najgorszego? Że Katz każe ci zapłacić za bilet. Możesz zapłacić mu twoimi klejnotami, czy nie po to je trzymasz? - zawyrokowała Chilijka.

- Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteś. W ten sposób kapitanowi Sommersowi nie przyjdzie do głowy, żeby cię szukać w Kalifornii - powiedział Tao Chi'en.

- Jak mnie znajdzie, zabierze mnie z powrotem do Chile.

- A po co? Tak czy inaczej honor już straciłaś. Bogacze tego nie wytrzymują. Twoja rodzina pewnie jest bardzo zadowolona, że zniknęłaś, przynajmniej nie będą musieli wyrzucać cię na ulicę.

- Tylko tyle? W Chinach zabiliby cię za to, co zrobiłaś.

- Dobra, Chińczyku, nie jesteśmy w twoim kraju. Nie strasz mi dziewczynki. Możesz wyjść spokojnie, Elizo. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Będą zajęci patrzeniem na mnie - zapewniła ją Azucena Placeres, żegnając się z nią pośród furkotu błękitnych piór, z turkusową broszką przypiętą przy dekolcie.

Tak też się stało. Pięć Chilijek i dwie Peruwianki w swoich najbardziej wyzywających strojach, w których dokonywały swych podbojów, okazały się spektaklem dnia. Zeszły do łódek po sznurkowych drabinkach, poprzedzane przez sied-miu uszczęśliwionych marynarzy, którzy wylosowali przywilej podtrzymywania kobiet za pośladki, pośród chóru gwizdów i aplauzów setek ciekawskich zgromadzonych w porcie na ich powitanie. Nikt nie zwrócił uwagi na Meksykanów i Chiń-czyków, którzy niczym rząd mrówek z ręki do ręki podawali sobie pakunki. Eliza wsiadła do jednej z ostatnich łódek razem z Tao Chi'enem, który oświadczył swoim rodakom, że chłopak jest głuchoniemy i trochę przygłupi, tak więc nie mają po co próbować się z nim dogadać.

ARGONAUCI

Tao Chi'en i Eliza Sommers pierwszy raz postawili stopę w San Francisco w pewien wtorek o drugiej po południu w kwietniu 1849 roku. Wcześniej na krótko zawitały tam tysiące poszukiwaczy przygód, udających się w kierunku złóż złotonośnego piasku. Marsz utrudniał uporczywy wiatr, ale dzień był bezchmurny i mogli podziwiać panoramę zatoki w całej jej krasie. Tao Chi'en - ze swą lekarską walizeczką, z którą nigdy się nie rozstawał, z węzełkiem przytroczonym do pleców, słomianym kapeluszem i sarape utkanym z różnokolorowej włóczki, kupionym od jednego z meksykańskich dokerów - wyglądał dość dziwnie. Jednakże w tym mieście wygląd zewnętrzny liczył się najmniej. Pod Elizą uginały się nogi, na których od dwóch miesięcy nie stawała, i na stałym lądzie kręciło się jej w głowie tak samo jak przedtem na morzu, jednak męskie ubranie dawało jej nieznaną poczucie swobody; jeszcze nigdy nie czuła się taka niewidzialna. Kiedy już otrząsnęła się z wrażenia, że jest naga, mogła nacieszyć się lekką bryzą wpadającą jej w rękawy bluzy i nogawki spodni. Przyzwyczajona do ucisku halek, teraz oddychała pełną piersią. Z trudem dźwigała niewielką walizkę z wytwornymi sukienkami, którą Miss Rosę w najlepszej wierze jej przygotowała; widząc to, Tao Chi'en odebrał jej walizkę i przerzucił sobie przez ramię. Kastyljska chusta zwinięta pod pachą ważyła tyle samo co walizka, jednak Eliza zrozumiała, że nie może jej zostawić; nocami miała stanowić jej najcenniejszy dobytek. Z opuszczoną głową, ukryta pod słomianym kapeluszem, potykając się, szła przed siebie w straszliwym chaosie portu. Osada Yerba Buena, założona przez hiszpańską ekspedycję w roku 1769, liczyła mniej niż pięciuset mieszkańców, jednak ledwie rozeszła się pogłoska o złocie, zaczęli napływać chętni, by go szukać. W ciągu kilku miesięcy owo niewinne miasteczko przybrało nazwę San Francisco, a jego sława dotarła do najodleglejszego zakątka świata. Nie było to jeszcze prawdziwe miasto; raczej gigantyczny obóz ludzi będących tam przejazdem.

Gorączka złota nikogo nie pozostawiła obojętnym: kowale, stolarze, nauczyciele, lekarze, żołnierze, wyjęci spod prawa, kaznodzieje, piekarze, rewolucjoniści i niegroźni szaleńcy wszelkiej maści porzucali rodziny i dorobek całego życia, aby przebyć pół świata w poszukiwaniu przygody. Szukają złota, a po drodze gubią duszę, powtarzał niezmordowanie kapitan Katz podczas wszystkich krótkich nabożeństw, do udziału w których co niedziela zmuszał pasażerów i załogę „Emilii”, ale nikt nie zwracał uwagi na jego słowa; wszyscy omamieni byli marzeniem o nagłym bogactwie zdolnym odmienić ich życie. Po raz pierwszy w historii złoto leżało na ulicy, było niczyje, bezpłatne i w wielkiej obfitości, w zasięgu

każdego, kto zdecydowałby się po nie schylić. Z najdalszych stron przybywali argonauci: Europejczycy, szukający ucieczki od wojen, zarazy i tyranii; ambitni i porywczy jankesi; Murzyni w poszukiwaniu wolności; mieszkańcy Oregonu i Rosjanie ubrani w skóry na wzór Indian; Meksykanie, Chilijczycy i Peruwiańczycy; bandyci australijscy; wygłodzeni rolnicy z Chin, ryzykujący głowę za pogwałcenie cesarskiego zakazu opuszczania ojczyzny. W grząskich zaułkach San Francisco mieszały się wszystkie rasy.

Główne ulice, wytyczone w kształcie szerokich półkoli, których końce dochodziły do plaży, poprzecinane były pros-tymi uliczkami schodzącymi z urwistych zboczy i kończącymi się na nabrzeżu; niektóre z nich były tak strome i śliskie od błota, że nawet mulice nie były w stanie się po nich wspiąć. Nagle zrywał się wiatr zapowiadający burzę, wzbijając tumany kurzu i piasku, ale po chwili powietrze uspokajało się, a niebo rozpogadzało. Stało już sporo solidnych domów i całe tuziny w budowie, niektóre nawet ogłaszały się jako przyszłe luk-susowe hotele, ale resztę stanowiła mieszanina naprędce skleconych zabudowań, baraków, domków z żelaznej blachy, drewna albo tektury, płóciennych namiotów i słomianych daszków. Deszcze poprzedniej zimy zamieniły nabrzeże w trzęsawisko, nieliczne pojazdy grzęzły w błocie i trzeba było położyć deski, żeby móc przejść przez rowy pełne śmieci, tysiące potłuczonych butelek i innych odpadków. Nie istniały ścieki ani kanalizacja, a studnie były zanieczyszczone; cholera i dyzenteria były powodem wysokiej śmiertelności mieszkańców, z wyjątkiem Chińczyków, którzy mieli zwyczaj pić herbatę, i Chilijczyków, wychowanych na skażonej wodzie we własnym kraju i w związku z tym uodpornionych na bakterie. Różnobarwny tłum kłębił się, wykazując jakieś frenetyczne ożywienie, ludzie przepychali się i potykali po-śród materiałów budowlanych, beczek, skrzyń, osłów i wozów. Chińscy bagażowi balansowali ze swymi ładunkami uwieszonymi na końcach żerdzi, nie zważając, czy o kogoś po drodze nie zawadzają; silni i cierpliwi Meksykanie zarzucali sobie na plecy ciężar ważący tyle, co oni sami, i truchcikiem wspinali się na zbocza; Malajczycy i Hawajczycy pod byle pretekstem wszczynali bójki; jankesi wjeżdżali konno do prowizorycznych sklepików, miażdżąc każdego, kto znalazł się na ich drodze; rodowici Kalifornijczycy z dumą obnosili swoje piękne haftowane marynarki, srebrne ostrogi i spodnie zapinane z obu boków na podwójny rząd złotych guzików, od pasa aż do butów. Wrzawa z powodu bójek albo wypadków zlewała się z hałasem młotków, pił i kilofów. Z przerażającą częstotliwością słychać było strzały, ale jeden zmarły mniej czy jeden więcej nikogo nie wzruszał, natomiast zawłaszczenie skrzynki gwoździ natychmiast przyciągało grupę oburzonych obywateli, gotowych własnymi rękami wymierzyć sprawiedliwość. Własność prywatna była znacznie cenniejsza od życia, kradzież czegokolwiek o wartości

ponad stu dolarów karano szubienicą. Roilo się od domów gry, barów i „salonów”, zdobionych wizerunkami nagich kobiet (z braku prawdziwych). W namiotach sprzedawano wszystko, co się dało, głównie alkohol i broń, po zawrotnych cenach, gdyż nikt nie miał czasu się targować. Klienci prawie zawsze płacili złotem, nie zatrzymując się nawet, żeby zebrać pył, jaki przywierał do odważników. Tao Chi'en uznał, że słynna Gum San, „Złota Góra”, o której tyle się nasłuchał, to istne piekło, i wyliczył, że przy takich cenach jego oszczędności wystarczą na bardzo krótko. Torebka z klejnotami Elizy nie przydawała się na nic, gdyż jedyną akceptowaną monetą był czysty kruszec.

Eliza torowała sobie drogę w tłumie, najlepiej jak potrafiła, przyklejona do Tao Chi'ena i wdzięczna mu za męskie ubranie, gdyż nigdzie nie było widać kobiet. Siedem pasażerów „Emilii” zanesiono do jednego z „salonów”, gdzie niewątpliwie już zaczęły zarabiać, żeby uskładać dwieście siedemdziesiąt dolarów, które były winne kapitanowi Vincentowi Katzowi za bilet. Tao Chi'en dowiedział się od bagażowych, że miasto podzielone jest na sektory i wszyscy przedstawiciele jednej narodowości mieszkają blisko siebie. Ostrzeżono go, aby nie zbliżał się do dzielnicy australijskich łajdaków, gdyż mogliby go zaatakować dla zabawy, i wskazano mu, w jakim kierunku ma się udać, żeby trafić do skupiska namiotów i szałasów, w których mieszkali Chińczycy. Ruszył w tamtą stronę.

- Jak ja w tym tłumie znajdę Joaquina? - pytała Eliza, czując się zagubiona i bezsilna.
- Skoro jest dzielnica chińska, musi być i chilijska. Po-szukaj jej.
- Nie zamierzam się od ciebie oddalać, Tao.
- W nocy wracam na statek - uprzedził ją.
- Po co? Nie interesuje cię złoto?

Tao Chi'en przyspieszył kroku, a ona zrobiła to samo, żeby nie stracić go z oczu. Tak dotarli do dzielnicy chińskiej - Little Canton, jak ją nazywano - kilku niezdrowych uliczek, w których obrębie natychmiast poczuł się jak u siebie, gdyż nigdzie nie było widać ani jednej twarzy rasy fan giiey, powietrze było przesycone smakowitymi zapachami kuchni jego kraju i wszędzie słychać było różne dialekty, głównie kantoński. Za to Eliza poczuła się, jakby znalazła się na innej planecie, nie rozumiała ani słowa i wydawało się jej, że wszyscy są zagniewani, gdyż gestykulowali i głośno krzyczeli. Tutaj również nie zauważyła żadnych kobiet, ale Tao pokazał jej kilka zakratowanych okienek, przez które wyglądały jakieś zrozpaczone twarze. Od dwóch miesięcy nie był z kobietą, a one wzywały go, ale zbyt dobrze wiedział, jakie spus-toszenia mogą wywołać choroby weneryczne, żeby ryzykować z którąś tak niskiej kategorii. Były to wiejskie dziewczyny kupione za parę monet i sprowadzone z najodleglejszych prowincji Chin. Pomyślał o swojej siostrze sprzedanej przez ojca i nagły

przyływ mdłości zgiął go wpół.

- Co ci jest, Tao?

- Złe wspomnienia... Te dziewczynki to niewolnice.

- A podobno w Kalifornii nie ma niewolników?

Weszli do restauracji, tradycyjnie oznaczonej paskami żółtego materiału. Był tam długi stół; mężczyźni, którzy go ciasno obsiedli, jedli w pośpiechu. Stukanie pałeczek o mi-seczki i głośna rozmowa brzmiały w uszach Tao Chi'ena jak muzyka. Zaczekali na stojąco w podwójnym szeregu, aż w końcu udało im się usiąść. Wyboru nie było, należało tylko łapać, co wpadnie w ręce. Przechwycenie talerza w locie, zanim zrobi to ktoś inny, sprytniejszy, wymagało zręczności, ale Tao Chi'enowi udało się zdobyć jeden dla Elizy, a drugi dla siebie. Przyjrzała się nieufnie zielonkawej cieczy, w której pływały jakieś blade strzępki i galaretowate mięczaki. Była dumna, że po zapachu potrafi rozpoznać każdy składnik potrawy, ale to coś nie wydawało jej się nawet jadalne, wyglądało jak woda z kijankami, ale przynajmniej miało tę zaletę, że nie wymagało pałeczek, można było pić bezpośrednio z miseczki. Głód okazał się silniejszy niż podejrzliwość i ośmieliła się spróbować, podczas gdy za jej plecami rząd zniecierpliwionych stołowników poganiał ją krzykiem. Danie okazało się pyszne i z chęcią zjadłaby więcej, ale Tao Chi'en nie dał jej czasu i wzięwszy ją pod ramię, wyprowadził na zewnątrz. Szła za nim; najpierw do sklepików w dzielnicy, gdzie uzupełnił zapas medykamentów w swej walizeczce i porozmawiał z kilkoma chińskimi zielarzami działającymi w mieście, a potem do jednej z wielu małych szulerni, jakich pełno było na każdym rogu. Ta okazała się drewnianym budynkiem z pretensjami do luksusu, udekorowanym malunkami lubieżnych, na wpół ubranych kobiet. Złoty proszek ważono tam, aby wymienić go na monety po szesnaście dolarów za uncję, albo po prostu kładziono pełną sakiewkę na stole. Większość klientów stanowili Amerykanie, Francuzi i Meksykanie, ale zdarzali się przybysze z Hawajów, Chile, Australii i Rosji. Najpopularniejszymi grami były mordę ro-dem z Meksyku, lasquet i vingt - et - un. Jako że Chińczycy woleli fan tan i obstawiali zaledwie po kilka centów, nie byli dobrze widziani przy stołach, gdzie przyjmowano duże zakłady. Nie było widać ani jednego grającego Murzyna, chociaż kilku przygrywało jakąś muzyczkę albo podawało do stołów; później dowiedzieli się, że po wejściu do baru albo domu gry wolno im było wypić jedną kolejkę gratis, po czym musieli wyjść albo - przy użyciu broni - wyrzucano ich. W salonie były trzy kobiety: dwie młode Meksykanki o wielkich, rzucających skry oczach, ubrane na białą i pałące jednego papierosa za drugim, i jedna Francuzka w obcisłym gorsecie i ciężkim makijażu, nieco zbyt dojrzała, ale ładna. Obchodziły stoły, zachęcając do gry i do picia, i często, trzymając się pod

ramię z jakimś klientem, znikają za ciężką kurtyną z czerwonego brokatu. Tao Chi'en został poinformowany, że biorą jedną uncję złota za swoje towarzystwo przez godzinę przy barze i kilka dobrych setek dolarów za spędzenie z samotnym mężczyzną całej nocy, ale Francuzka jest najdroższa i z Chińczykami ani Murzynami się nie zadaje.

Eliza, niezauważalna w swoim przebraniu chłopaka ze Wschodu, usiadła wyczerpana w kącie, podczas gdy Tao Chi'en wdawał się w rozmowę z tym i owym, wypytując o złoto i szczegóły życia w Kalifornii. Tao Chi'enowi, strzeżonemu przez pamięć o Lin, łatwiej było odeprzeć pokusę kobiet niż hazardu. Odgłos żetonów fan tan i kości rzuconych na stół wzywał go niczym syreni śpiew. Widząc talię kart w rękach graczy, oblał się potem, jednak powstrzymał się, w czym umocniło go przekonanie, że szczęście opuści go na zawsze, jeśli złamie swoje przyrzeczenie. Po latach, mając za sobą wiele przygód, Eliza spytała go, jakie szczęście miał na myśli, a on bez wahania odparł, iż to, że żyje i że ją poznał. Tego wieczora dowiedział się, że żyły złota znajdują się w rzekach Sacramento, Americano, San Joaquin i w setkach ich dopływów, ale mapy są niewiarygodne, a odległości prze-rażające. Złota łatwego do wydobywania, położonego tuż pod powierzchnią, zaczyna brakować. Oczywiście zdarzają się wśród górników szczęśliwcy, którym udaje się natknąć na samorodek wielkości buta, ale większość zadowala się garścią piasku, zdobytą niewspółmiernym do jego wartości wysiłkiem. Wiele się mówi o złocie, powiedziano mu, a mało o poświęceniu, z jakim się je zdobywa. Żeby osiągnąć jakikolwiek zysk, potrzeba jednej uncji dziennie, o ile ktoś jest gotów wieść pieskie życie, bo ceny są wzięte z sufitu, a złoto przecieknie przez palce, nim się kto obejrzy. Bogacą się natomiast kupcy i lichwiarze, jak jeden ziomek, który wziął się za pranie bielizny i w kilka miesięcy mógł sobie postawić solidny dom, i już myślał o powrocie do Chin, kupnie wielu żon i zajęciu się płodzeniem synów, albo ten drugi, który w szulerni pożyczal pieniądze na dziesięć procent za godzinę, czyli ponad osiemdziesiąt siedem tysięcy rocznie. Potwierdzili mu bajkowe historie o olbrzymich samorodkach, obfitości złotego pyłu zmieszanego z piaskiem, żyłach złota w odłamkach kwarcu, mulicach, które kopytami odłupują kawałki skał, odsłaniając ukryte pod nimi skarby, ale żeby się wzbogacić, mówili, trzeba dużo pracy i szczęścia. Jankesom brak cierpliwości, nie potrafią pracować w grupie, gubi ich bałagan i chciwość. Meksykanie i Chilijczycy znają się na górnictwie, ale dużo wydają; mieszkańcy Oregonu i Rosjanie tracą czas na bójkach i pijaństwie. Za to Chińczycy potrafią wykorzystać nawet najmniejszy urobek, bo są oszczędni, nie upijają się i pracują jak mrówki po osiemnaście godzin bez odpoczynku i narzekań. Ludzi rasy Van giiey oburzają sukcesy Chińczyków, uprzedzono go, trzeba się maskować, udawać głupiego, nie wolno ich prowokować, bo jak nie, będzie się miał z pyszna, tak samo jak dumni Meksykanie. Tak,

poinformowali go, istnieje obóz Chilijczyków; jest trochę oddalony od centrum miasta, leży na jego prawym skraju i nazywa się Chilecito, ale już jest za późno, żeby się zapuszczać w tamte strony, mając za całe towarzystwo jedynie niedorozwiniętego brata.

- Wracam na statek - oświadczył Tao Chi'en Elizie, kiedy w końcu wyszli z szulerni.

- Kręci mi się w głowie, jakbym za chwilę miała upaść.

- Byłaś bardzo chora. Musisz dobrze jeść i odpoczywać.

- Nie dam sobie rady sama, Tao. Proszę, nie zostawiaj mnie jeszcze...

- Mam kontrakt, kapitan każe mnie szukać.

- A kto posłucha tego rozkazu? Wszystkie statki są opuszczone. Nikt nie został na pokładzie. Ten twój kapitan będzie mógł zachrypnąć od krzyku, a i tak żaden z jego marynarzy nie wróci.

„Co ja mam z nią zrobić?” - Tao Chi'en zadawał sobie to pytanie głośno i po kantońsku. Jego kontrakt kończył się w San Francisco, ale nie potrafił zostawić jej w tym miejscu na pastwę losu. Był w potrzasku, przynajmniej dopóki ona nie nabierze sił, nie skontaktuje się z innymi Chilijczykami i nie odszuka miejsca pobytu swego ukochanego, który przed nią czmychnął. To nie będzie trudne, uznał. Nawet w San Francisco, z jego plątaniną uliczek, przed Chińczykami nic się nie ukryje; równie dobrze mógł zaczekać do następnego dnia i odprowadzić ją do Chilecita. Zapadł zmrok, nadając owemu miejscu fantasmagoryczny wygląd. Prawie wszystkie domostwa były z płótna i pałace się wewnątrz lampy sprawiały, że robiły się przezroczyście i jaśniały niczym diamenty. Pochodnie i ogniska na ulicach, i muzyka dochodząca z domów gry wzmagaly owo wrażenie nierealności. Tao Chi'en szukał schronienia, gdzie by mogli spędzić noc, i natknął się na wielki barak długości dwudziestu pięciu metrów i ośmiu szerokości, zbudowany z desek i metalowych płyt odzyskanych ze statków, które osiadły na mieliźnie, i zwieńczony sztyldem głoścącym, iż jest to hotel. Wewnątrz znajdowały się dwa piętra wysokich pryczy, zwykłych drewnianych legowisk, na których mógł się położyć skulony mężczyzna, w głębi zaś była lada, przy której sprzedawano alkohol. Nie było okien i powietrze do oddychania przenikało jedynie przez szczeliny między płytami ścian. Nocleg kosztował dolara, pościel trzeba było mieć własną. Kto przyszedł pierwszy, ten zajmował pryczę, pozostali kładli się na ziemi, ale im nie dano pryczy, chociaż były wolne, bo byli Chińczykami. Położyli się na podłodze, za poduszkę mając węzełek ubrań, a za jedyne okrycie sarape i kastylijską chustę. Wkrótce miejsce to wypełniło się mężczyznami wszelkich ras i wyznań, którzy układali się jeden obok drugiego ciasnymi rzędami, w ubraniu i z bronią w zasięgu ręki. Zaduch brudu, tytoniu i ludzkich wyziewów, w połączeniu z chrapaniem i niespokojnymi krzykami śpiących pogrążonych w

otchłani koszmarów, nie dawał zasnąć, ale Eliza była tak zmęczona, że sama nie wiedziała, jak minęła noc. Obudziła się o świcie, drząc z zimna, przytulona do pleców Tao Chi'ena, i wtedy poczuła, że pachnie morzem. Na statku zapach ten mieszał się z zapachem otaczającej ich wody, ale tej nocy przekonała się, że jest to specyficzna woń ciała tego mężczyzny. Zamknęła oczy, przytuliła się do niego jeszcze mocniej i znowu zasnęła.

Następnego dnia oboje ruszyli na poszukiwanie Chilecita, które ona natychmiast rozpoznała, gdyż na wierzchołku ja-kiejs tyczki łopotała dumnie chilijska flaga, a większość mężczyzn nosiła typowe stożkowate kapelusze maulinos. Dziel-nica obejmowała jakieś osiem do dziesięciu kwartałów pękają-cych od ludzi, wśród których było kilka kobiet z dziećmi; wszyscy oni parali się handlem albo jakąś inną profesją. Ich domami były namioty, szałas i budki z desek, wokół których walały się narzędzia i śmieci; oprócz tego były tam również restauracje oraz prowizoryczne hotele i burdele. Szacowali, że w dzielnicy mogło mieszkać kilka tysięcy Chilijczyków, ale nikt ich nigdy nie policzył; w rzeczywistości był to zaledwie przystanek dla nowo przybyłych. Eliza poczuła się szczęśliwa, kiedy usłyszała ojczysty język, a na poszarpanym brezen-towym namiocie ujrzała wywieszkę zapraszającą na pequenes i chunchules. Podeszła i ukrywając swój chilijski akcent, po-prosiła o dwie porcje tego drugiego specjału. Tao Chi'en przyglądał się dziwnej potrawie, z braku talerza podanej na kawałku gazety, nie wiedząc, co to, u licha, jest. Eliza wyjaśniła mu, że to wieprzowe flaki smażone w głębokim tłuszczu.

- Wczoraj ja zjadłam twoją chińską zupę. Dzisiaj ty zjesz moje chilijskie chunchules - nakazała mu.

- Skąd wy, Chińczycy, znacie hiszpański? - zagadnął ich uprzejmie sprzedawca.

- Mój przyjaciel nie zna, tylko ja, bo byłem w Peru - odrzekła Eliza.

- A czego tu szukacie?

- Pewnego Chilijczyka, nazywa się Joaquin Andieta.

- I po co go szukacie?

- Mamy dla niego wiadomość. Zna go pan?

- Wiele ludzi przewinęło się tutaj przez ostatnie miesiące. Nikt nie zostaje dłużej jak parę dni, zaraz pędzą tam, gdzie złote żyły. Jedni wracają, drudzy nie.

- A Joaquin Andieta?

- Nie pamiętam, ale popytam.

Eliza i Tao Chi'en usiedli w cieniu sosny, żeby się posilić. Po dwudziestu minutach sprzedawca wrócił w towarzystwie mężczyzny o wyglądzie Indianina z Północy, o krótkich nogach i szerokich barach, który powiedział, że Joaquin Andieta wyruszył w kierunku żył

złota nad Sacramento dobre kilka miesięcy temu, chociaż tutaj nikt nie przykłada wagi do kalendarzy ani nie pilnuje cudzych szlaków.

- Jedziemy do Sacramento, Tao - zdecydowała Eliza, ledwie opuścili Chilecito.
- Nie możesz jeszcze podróżować. Musisz jakiś czas od-począć.
- Tam odpocznę, kiedy go znajdę.
- Wolę wrócić z kapitanem Katzem. Kalifornia to nie jest miejsce dla mnie.
- Co się z tobą dzieje? Masz w żyłach krew czy może wodę? Na statku nikogo już nie ma, został tylko ten kapitan ze swoją Biblią. Cały świat szuka złota, a ty masz zamiar dalej być kucharzem za nędzną pensję!
- Nie wierzę w łatwe bogactwo. Chcę żyć w spokoju.
- No więc, jeśli nie złoto, na pewno jest coś, co cię interesuje...
- Uczyć się.
- Uczyć się... czego? Już dużo wiesz.
- Muszę się jeszcze wiele nauczyć!
- W takim razie świetnie trafiłeś. Niczego o tym kraju nie wiesz. Tutaj potrzebni są lekarze. Jak myślisz, ilu mężczyzn pracuje w kopalniach? Tysiące! I wszyscy potrzebują doktora. To ziemia szans, Tao. Pojedź ze mną do Sacramento. Poza tym, jeśli tego nie zrobisz, nie zajadę daleko...

Płacąc tyle co nic (proporcjonalnie do nędznych warunków, jakie im zaoferowano), Tao Chi'en i Eliza udali się na północ, płynąc wzdłuż rozległej zatoki San Francisco. Barka była pełna podróżnych, wiozących swój skomplikowany sprzęt górniczy, i nikt nie mógł się ruszyć w owej ograniczonej przestrzeni wypełnionej po brzegi skrzyniami, narzędziami, kosztami i workami z prowiantem, prochem i bronią. Kapitan i jego zastępca byli to dwaj jankesi, którym źle patrzyło z oczu, za to sprawnie kierowali łodzią i szczerze dzielili się skromnymi zapasami żywności, a nawet butelkami alkoholu. Tao Chi'en uzgodnił z nimi cenę biletu Elizy, co do niego zaś umówili się, że koszty podróży odpracuje jako marynarz. Pasażerowie - wszyscy z wielkimi pistoletami u pasa, nie licząc noży i sztyletów - pierwszego dnia rzadko się do siebie odzywali, chyba żeby obrzucić się wyzwiskami za jakiegoś nieuniknionego w takim ścisku szturchańca albo kopniaka. Nazajutrz o świcie, po długiej, zimnej i wilgotnej nocy, którą nie mogąc płynąć w ciemnościach, spędzili stojąc na kotwicy przy brzegu, każdy czuł, że otaczają go sami wrogowie. Długie zapuszczone brody, brud, obrzydliwe jedzenie, koma-ry, wiatr i przeciwny prąd dodatkowo wpływały na wrzenie umysłów. Tao Chi'en, jedyny bez żadnych planów i celów, zachowywał spokój, i kiedy nie walczył z żaglem, podziwiał niezwykłą panoramę zatoki. Za to Eliza była zrozpaczona w swej

roli głuchoniemego i głupkowatego chłopaka. Tao Chi'en przedstawił ją krótko jako swego młodszego brata i udało mu się ją usadowić w kącie mniej więcej osłoniętym od wiatru, w którym siedziała tak cicho, że po chwili nikt już o niej nie pamiętał. Jej kastylijska chusta nasiąkała wodą, ona sama dygotała z zimna i miała zdrętwiałe stopy, ale siłą dodawała jej myśl, że minuta po minucie przybliży się do Joaquina. Dotykała piersi, na których ukryła jego miłosne listy, i w ciszy recytowała je z pamięci. Na trzeci dzień pasażerowie utracili już znaczną część swej agresji i leżeli pokotem w mokrych ubraniach, nieco zawiani i dosyć przy-gnębieni.

Zatoka okazała się znacznie rozleglejsza, niż się spodziewa-
li, odległości zaznaczone na ich żalonych mapach nijak się miały do rzeczywistych mil, i kiedy już myśleli, że są u celu, okazało się, że muszą jeszcze przepłynąć kolejną zatokę, San Pablo. Na brzegu majaczyły jakieś obozy i łodzie wypełnione ludźmi i towarami, za nimi zaś gęsty las. Tutaj również podróż się nie kończyła; musieli przebyć rwący kanał i wpły-
nąć do trzeciej zatoki, Suisun, gdzie posuwali się jeszcze wolniej i z większym trudem, a następnie na wody wąskiej i głębokiej rzeki, która doprowadziła ich do samego Sacramento. Nareszcie dotarli w poblize terenów, gdzie znalazli-
no pierwszy okruch złota. Owa drobina wielkości kobiecego paznokcia wywołała inwazję wymykającą się spod wszelkiej kontroli, zmieniającą oblicze Kalifornii i duszę narodu amerykańskiego, jak w parę lat później miał napisać Jacob Todd, zostawszy dziennikarzem. „Stany Zjednoczone zostały zało-
żone przez pielgrzymów, pionierów i skromnych emigrantów, kierujących się etyką ciężkiej pracy i odwagi w walce z przeciwnościami losu. Złoto ujawniło najgorsze strony amerykań-
skiego charakteru: chciwość i przemoc”.

Kapitan barki wyjaśnił im, że miasto Sacramento rozkwitło w ostatnim roku dosłownie z dnia na dzień. Port był pełen łodzi, miał porządnie wytyczone ulice, drewniane domy i bu-
dynki, rozwinięty handel, kościół i sporą liczbę szulerni, barów i burdeli, niemniej jednak wyglądał jak po potopie, gdyż na ziemi wały się porzucone worki, siodła, narzędzia i wszelkiego rodzaju śmieci pozostawione przez górników, którym spieszno było wyruszyć ku żyłom złota. Nad odpad-
kami fruwały jakieś ogromne czarne ptaszyska i ucztowały muchy. Eliza wyliczyła, że w ciągu kilku dni zdoła przejść i sprawdzić całe miasto dom po domu: odnalezienie Joaquina Andie-
ty nie będzie zbyt trudne. Pasażerowie barki, teraz - kiedy port był już blisko - ożywieni i przyjaźni, sączyli ostatnie krople alkoholu, żegnali się, poklepując po plecach, i chórem śpiewali o jakiejś Zuzannie, a wszystko to ku zdumieniu Tao Chi'ena, który nie mógł pojąć tak nagłej przemiany. Wysiedli z Elizą jako pierwsi, ponieważ mieli bardzo niewiele bagażu, i bez wahania skierowali się w stronę dzielnicy chińskiej, gdzie

zdobyli coś do zjedzenia i miejsce do spania pod dachem z woskowanego brezentu. Eliza nie mogła śledzić toku rozmów po kantońsku i jedyne, co ją interesowało, to zasięgnąć informacji o swym ukochanym, ale Tao Chi'en przypomniał jej, że musi siedzieć cicho, i poprosił ją o spokój i cierpliwość. Jeszcze tej nocy zhong yi musiał nastawić wybite ramię jakiemś krajanowi, wpychając mu kość z powrotem na swoje miejsce, dzięki czemu w jednej chwili zyskał sobie szacunek całego obozowiska.

Nazajutrz razem udali się na poszukiwanie Joaquina Andiety. Przekonali się, że ich towarzysze podróży są już gotowi wyruszyć ku żyłom złota: niektórzy zdobyli mulice do transportu bagażu, jednak większość wybierała się na piechotę, porzucając znaczną część swego dobytku. Przeszli całą osadę, nie natrafiając na żaden ślad tego, kogo szukali, ale kilku Chilijczykom zdawało się, że przypominają sobie kogoś o takim nazwisku, kto przejeżdżał tędy przed miesiącem czy dwoma. Poradzili im, aby pojechali w górę rzeki, gdzie może się na niego natknąć, wszystko jest kwestią szczęścia. Miesiąc oznaczał wieczność. Nikt nie prowadził ewidencji tych, którzy pojawiali się tu poprzedniego dnia, cudze nazwiska czy losy nie miały znaczenia. Jedyną obsesją było złoto.

- Co teraz zrobimy, Tao?

- Będziemy pracować. Bez pieniędzy nic nie można zdziałać - odparł, zarzucając na plecy kilka kawałków brezentu, które znalazł pośród pozostawionych odpadków.

- Nie mogę czekać! Muszę znaleźć Joaquina! Mam trochę pieniędzy.

- Chilijskich reali? Nie na wiele się zdadzą.

- A klejnoty, które mi jeszcze zostały? Coś muszą być warte...

- Schowaj je, tutaj ich wartość jest niska. Trzeba pracować, żeby kupić mulicę. Mój ojciec jeździł od wsi do wsi i leczył. Mój dziadek też. Mogę robić to samo, ale tutaj odległości są duże. Potrzebuję mulicy.

- Mulicy? Już jedną mamy: ciebie. Ależ jesteś uparty!

- Nie tak jak ty.

Połączyli drążki i kilka desek, pożyczyci trochę narzędzi i postawili szałas z daszkiem z brezentu, który okazał się bardzo słabym schronieniem, jakie pierwszy wietrzyk z łatwością mógł zdmuchnąć, ale przynajmniej osłaniał ich przed wieczorną rosą i wiosennymi deszczami. Rozeszła się wieść o umiejętnościach Tao Chi'ena i wkrótce pojawili się chińscy pacjenci, którzy potwierdzili niezwykły talent nowego zhong yi, następnie Meksykanie i Chilijczycy, a na koniec kilku Amerykanów i Europejczyków. Usłyszawszy, że Tao Chi'en jest tak samo kompetentny jak pozostali trzej biali lekarze, a za poradę liczy sobie mniej, wielu ludzi przewyciężyło w sobie niechęć do przedstawiciela „niebiańskiego ludu”, jak

nazywano Chińczyków, i postanowiło wypróbować az-jatycką wiedzę. Bywały dni, kiedy Tao Chi'en był tak zajęty, że Eliza musiała mu pomagać. Fascynował ją widok jego delikatnych i sprawnych rąk mierzących puls w różnych miejscach ramion i nóg, obmacujących ciała chorych, jakby je pieściły, wbijających igły w tajemnicze punkty, które tylko jemu zdawały się wiadome. Ile lat miał ten człowiek? Kiedyś go o to zapytała, a on odrzekł jej, że wliczając wszystkie jego wcielenia z pewnością jakieś siedem czy osiem tysięcy. Na oko Eliza oceniała, że ma około trzydziestu, chociaż chwila-mi, kiedy się śmiał, wyglądał na młodszego od niej. Za to kiedy w absolutnym skupieniu pochylał się nad chorym, zdawał się przybierać szacowny wiek żółwia; wtedy łatwo można było uwierzyć, że nosi na karku wiele stuleci. Przyglądała mu się z podziwem, kiedy badał mocz swych pacjentów, zebrany w szklanym naczyniu, i na podstawie jego zapachu i koloru potrafił określić ukryte choroby, albo kiedy przez powiększające szkło wpatrywał się w źrenice, aby wywnioskować, czego brakuje albo czego jest w nadmiarze w organizmie. Czasami ograniczał się do położenia rąk na brzuchu albo głowie chorego, zamykał oczy i sprawiał wrażenie, jakby zapadał w długi sen.

- Co robiłeś? - pytała go potem Eliza.

- Czuję jego ból i przekazywałem mu energię. Energia negatywna wywołuje cierpienie i choroby, pozytywna może uleczyć.

- A jaka jest ta pozytywna energia, Tao?

- Taka jak miłość: ciepła i jasna.

Usuwanie kul i opatrywanie ran należało do rutynowych interwencji i Eliza przestała bać się krwi, i nauczyła się zszywać ludzkie ciało z takim samym spokojem, z jakim niegdyś haftowała pościel na swój posąg. Praktyka chirurgiczna u Ebanizera Hobbsa okazała się dla Tao Chi'ena niezwykle przydatna. Na owej ziemi pełnej jadowitych węży nie brako-wało ukąszonych, którzy spuchnięci i sini przybywali na ramionach swych towarzyszy. Zakażone wody demokratycz-nie roznosiły cholere, na którą nikt nie znał lekarstwa, oraz inne choroby o nieprzyzwoitych objawach, chociaż nie zawsze śmiertelne. Tao Chi'en liczył sobie niewiele, ale brał zawsze Z góry, gdyż z doświadczenia wiedział, że człowiek wy-straszony płaci bez słowa, ale kiedy poczuje ulgę, zaczyna się targować. Ilekroć to robił, zjawiał się przed nim jego dawny preceptor z twarzą pełną wyrzutu, ale on odganiał tę wizję. „Nie mogę sobie pozwolić w tych warunkach na szlachetność, mistrzu” - mamrotał do siebie. Jego honoraria nie obej-mowały znieczulenia; kto sobie życzył pociechy narkotyku albo złotych igieł, musiał płacić dodatkowo. Wyjątek robił dla złodziei, których po pobieżnym procesie karano chłostą albo obcięciem uszu; górnicy byli dumni ze swego sprawnie działającego wymiaru sprawiedliwości i nikt nie miał zamiaru finansować albo pilnować więzienia.

- Dlaczego nie bierzesz pieniędzy od kryminalistów? - spytała Eliza.

- Bo wolę, żeby byli mi winni przysługę - odparł.

Wyglądało na to, że Tao Chi'en zamierza się osiedlić. Nie powiedział tego swojej przyjaciółce, ale nie chciał się ruszać z miejsca; pragnął dać Lin czas, żeby go odnalazła. Żona nie komunikowała się z nim od wielu tygodni. Eliza natomiast liczyła godziny, pragnąc kontynuować podróż, i w miarę jak upływały dni, wobec towarzysza jej przygód ogarniały ją sprzeczne uczucia. Była mu wdzięczna za opiekę i sposób, w jaki się nią zajmował, dbając, aby się dobrze odżywiała, okrywając ją w nocy, podając jej zioła i aplikując igły na wzmocnienie qi, jak powiadał, lecz irytowało ją jego opanowanie, które myliła z brakiem odwagi. Pogodny wyraz twarzy Tao Chi'ena i łatwość, z jaką się uśmiechał, raz ją ujmowały, kiedy indziej zaś raziły. Nie pojmowała tego, że nawet nie próbował szczęścia w kopalniach, podczas gdy wszyscy dokoła, a zwłaszcza jego chińscy ziomkowie, nie myśleli o niczym innym.

- Ciebie też nie interesuje złoto - odparł z niezmaconym spokojem, kiedy mu to wyrzucała.

- Boja nie po to tu przyjechałam! A dlaczego się tu znalazłeś?

- Bo byłem marynarzem. Nie myślałem, żeby tu zostać, dopóki mnie o to nie poprosiłaś.

- Nie jesteś marynarzem, tylko lekarzem.

- Tutaj znowu mogę być lekarzem, przynajmniej przez jakiś czas. Miałas rację, można się tu sporo nauczyć.

I tym się w owym czasie zajmował. Skontaktował się z tubylcami, żeby zdobyć informacje o lekach stosowanych przez ich szamanów. Były to grupy niechlujnych wędrownych Indian, okrytych brudnymi skórami kojotów i łachmanami pozostałymi z ubrań Europejczyków, którzy wraz z wybuchem gorączki złota utracili wszystko. Krążyli to tu, to tam, prowadząc ze sobą swoje udręczone kobiety i wygłodzone dzieci, próbując wypłukiwać złoto z rzek za pomocą swych delikatnych koszy z wikliny, ale ledwo znajdowali odpowiednie miejsce, a już wyganiano ich strzałami. Kiedy zostawiano ich w spokoju, zakładali swoje małe wioski z szałasów albo namiotów i osiedlali się na jakiś czas, zanim ich znowu nie zmuszono do odejścia. Zaprzyjaźnili się z Chińczykiem, przyjmowali go z oznakami szacunku, gdyż uważali go za medicine man - szamana - i chętnie dzielili się z nim swoją wiedzą. Eliza i Tao Chi'en siadali wraz z nimi dokoła zagłębienia, gdzie na gorących kamieniach gotowali papkę z grzybów albo smażyli leśne nasiona i koniki polne, które Elizie wydawały się przepyszne. Potem palili, porozumiewając się mieszaniną angielskiego,

znaków i kilku słów w ich rodzimym języku, jakie Elizie i Tao Chi'enowi udało się opanować. W tamtych dniach w tajemniczych okolicznościach zginęło kilku jankeskich górników i chociaż ciał nigdy nie odnaleziono, ich towarzysze o morderstwo oskarżyli Indian i w odwecie napadli na wioskę, uwięzili czterdzieści kobiet i dzieci oraz - gwoli przestrogi - rozstrzelali siedmiu mężczyzn.

- Jeśli tak traktują Indian, którzy są panami tej ziemi, z Chińczykami z pewnością obchodzą się znacznie gorzej, Tao. Musisz stać się niewidzialny, jak ja - powiedziała przerażona Eliza na wieść o tym wydarzeniu.

Ale Tao Chi'en nie miał czasu uczyć się takich sztuczek, gdyż był zajęty studiowaniem właściwości roślin. Robił długie wypady, podczas których zbierał próbki i porównywał je z tymi, jakich używano w Chinach. Wynajmował parę koni albo pod bezlitosnym słońcem wędrował całe mile pieszo, zabierając ze sobą Elizę jako tłumaczkę, żeby dotrzeć do rancz Meksykanów, którzy mieszkali w tym regionie od pokoleń i znali tutejszą przyrodę. Niedawno w wyniku wojny stracili Kalifornię na rzecz Stanów Zjednoczonych i owe ogromne rancza, które przedtem skupiały setki robotników rolnych, żyjących we wspólnocie, teraz zaczynały podupadać. Umowy między państwami pozostały na papierze. Początkowo Meksykanie, którzy znali się na górnictwie, uczyli nowo przybyłych procesu wydobywania złota, ale każdego dnia przybywało coraz więcej obcych, wdzierających się na tereny, które oni uważali za własne. W praktyce owi gringos mieli w pogardzie zarówno ich, jak i przedstawicieli każdej innej rasy. Rozpoczęło się zaciekle prześladowanie Hiszpanów, odmawiano im prawa do eksploatacji kopalń, gdyż nie byli Amerykanami, za to uznawano za takowych skazańców z Australii i europejskich awanturników. Tysiące bezrobotnych chłopów próbowało szczęścia w górnictwie, ale kiedy prześladowania ze strony gringos stawały się już nie do zniesienia, emigrowali na południe albo schodzili na drogę przestępstwa. W nielicznych z takich prostych gospodarstw, jakie się jeszcze ostały, Eliza mogła spędzić chwilę w towarzystwie kobiet, co było rzadkim luksusem, który na krótko przywracał jej poczucie spokojnego szczęścia, znane z czasów, kiedy przesiadywała w kuchni Mamy Frezji. Były to jedyne okazje, kiedy przerywała swoje obowiązkowe milczenie i rozmawiała we własnym języku. Te silne i szlachetne matki, które ramię w ramię ze swymi mężami uczestniczyły w najcięższych zajęciach i były zahartowane przez wysiłek i biedę, wzruszały się na widok chińskiego chłopca o delikatnym wyglądzie, zachwycone, że mówi po hiszpańsku, jakby był jednym z nich. Z przyjemnością powierzały mu tajemnice przyrody wykorzystywane od wieków w leczeniu różnych schorzeń i, przy okazji, przepisy na swoje smakowite potrawy, które Eliza notowała sobie w zeszytach, mając pewność, że prędzej czy

później okazały się bardzo cenne. Tymczasem zhong yi zamówił w San Francisco zachodnie lekarstwa, których stosowania nauczył go w Hongkongu jego przyjaciel Ebanizer Hobbs. Oczyszczył również skrawek ziemi wokół szałas, ogroził dla ochrony przed bydłem i zasadził tam podstawowe zioła potrzebne w jego profesji.

- Na Boga, Tao! Zamierzasz tu zostać tak długo, aż ci te rachityczne krzaczki zakwitną? - wołała doprowadzona do rozpacz Eliza na widok przywiedłych łądyżek i żółtych listków, otrzymując w odpowiedzi jedynie jakieś niejasne machnięcie ręką.

Czuła, że każdy upływający dzień oddala ją od celu, że Joaquin Andieta coraz dalej i dalej odjeżdża w głąb tej nieznannej krainy, podążając prawdopodobnie w stronę gór, podczas gdy ona traci czas w Sacramento, uchodząc za przygłupiego brata chińskiego znachora. Wyzywała Tao Chi'ena najgorszymi epitetami, jednak miała na tyle przezorności, by robić to po hiszpańsku, tak jak z pewnością wymyślał jej i on, zwracając się do niej po kantońsku. Do perfekcji doprowadzili znaki, jakimi w obecności innych bez słowa się porozumiewali, i od ciągłego przebywania ze sobą stali się tak podobni, że nikt nie wątpił w ich pokrewieństwo. Kiedy nie zajmowali się jakimś pacjentem, wychodzili na spacer do portu i po sklepach, nawiązując przyjaźnie i wypytując o Joaquina Andietę. Eliza gotowała i wkrótce Tao Chi'en przyzwyczał się do jej kuchni, chociaż od czasu do czasu wymykał się do chińskich jadłodajni w mieście, gdzie za parę dolarów mógł wrzucić do żołądka, ile tylko zdołał pomieścić (czyli jadł prawie za darmo, wzięwszy pod uwagę, że gdzie indziej jedna cebula kosztowała dolara). W obecności innych porozumiewali się na migi, ale kiedy byli sami - po angielsku. Wbrew wzajemnym złorzeczeniom w obu językach, jakimi od przypadku do przypadku się obrzucali, większość czasu spędzali, pracując jedno obok drugiego jak dobrzy towarzysze, a wtedy aż nadto mieli okazji do śmiechu. Tao dziwił się, że może się z Elizą śmiać, pomimo pojawiających się chwilami trudności językowych i różnic kulturowych. Niemniej jednak to właśnie one najbardziej go śmieszyły - : nie mógł uwierzyć, że kobieta może robić i mówić takie okropności. Obserwował ją z ciekawością i niewypowiedzianą czułością; zamierał z podziwu dla niej, przypisywał jej odwagę godną wojownika, ale kiedy widział, że opada z sił, wydawała mu się małą dziewczynką i ogarniało go pragnienie, by ją chronić. Chociaż nieco przytyła i nabrała rumieńców, nadal była osłabiona, to było widać. Ledwo zaszło słońce, a już głowa zaczynała jej się kiwać, otulała się w swoją chustę i zasypiała, a on kładł się obok niej. Tak się przyzwyczaili do tych godzin intymności, kiedy oddychali unisono, że ich ciała podczas snu same się dopasowywały i kiedy jedno się odwracało, drugie robiło to samo, tak że się od siebie nie odrywali. Czasami budzili się zaplątani w chustę, tuląc się jedno do drugiego. Jeśli to on budził się pierwszy, leżał

nieruchomo, tak aby ona nie zauważyła jego pożądania i rozkoszował się tymi momentami, przywodzącymi mu na myśl szczęśliwe godziny z Lin. Nie podejrzewał, że Eliza robi to samo, wdzięczna za obecność mężczyzny, pozwalającą jej wyobrazić sobie, jak - przy odrobinie szczęścia - mogłoby wyglądać jej życie z Joaquinem Andietą. Żadne z nich nigdy nie wspominało o tym, co działo się w nocy, jakby to była jakaś równoległa egzystencja, której nie byli świadomi. Ledwie się ubrali, tajemny urok owych objęć zniknął całkowicie i znowu byli dwoma braćmi. Czasami Tao Chi'en wybierał się gdzieś nocą na tajemnicze przechadzki, z których po kryjomu ; wracał. Eliza nie musiała go o nic pytać, gdyż wystarczyło jej powąchać: był z kobietą, potrafiła nawet odróżnić słodkie perfumy Meksykanek. Zostawała sama, zagrzebana pod chus-tą, drżąca i czujna na najmniejszy dźwięk dochodzący z ota-czających ją ciemności, ściskając w ręku nóż i ze strachem wzywając w myślach Tao Chi'ena. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego zbiera jej się na płacz, czuła się jakby zdradzona. Miała niejasne przeczucie, że może mężczyźni różnią się od kobiet; ona sama nie odczuwała żadnej potrzeby seksu. Czyste nocne uściski wystarczały jej do zaspokojenia tęsknoty za towarzystwem i czułością, ale nawet na myśl o dawnym kochanku nie doznawała przypływu pragnienia jak w chwilach spędzanych w pokoju pełnym szaf. Nie wiedziała, czy miłość i pożądanie są dla niej tym samym i z braku pierwszego elementu naturalną kolejną rzeczy nie pojawia się ten drugi, czy też długa choroba na statku zniszczyła w jej ciele coś zasadniczego. Któregoś razu ośmieliła się spytać Tao Chi'ena, czy w ogóle będzie mogła mieć dzieci, gdyż od wielu miesięcy nie miała miesiączki, a on zapewnił ją, że jak tylko odzyska siły i zdrowie, wróci do normalnego stanu, po to aplikuje jej igły akupunktury. Kiedy jej przyjaciel kładł się w milczeniu obok niej po powrocie ze swoich eskapad, udawała, że głęboko śpi, chociaż całe godziny leżała bezsen-nie, urażona zapachem obcej kobiety, jaki wdzierał się między nich. Odkąd zeszli ze statku w San Francisco, powróciła wstydlivość, w jakiej została wychowana przez Miss Rosę. Tao Chi'en oglądał ją nagą podczas tygodni rejsu na statku i znał ją na wylot od środka i z zewnątrz, ale domyślił się, co czuje, i o nic nie pytał, chyba że o jej zdrowie. Nawet przy wbijaniu igieł starał się nie uchybić jej skromności. Nie rozbierali się w swojej obecności i mieli milczącą umowę, nakazującą im szanować wzajemną prywatność, kiedy korzys-tali z wykopu za szaląsem, służącego im jako latryna, ale poza tym wszystkim się dzielili, od pieniędzy po ubranie. Po latach, przeglądając swoje zapiski w dzienniku z tamtych czasów, Eliza ze zdziwieniem zadawała sobie pytanie, dlacze-go żadne z nich nie potrafiło dostrzec tej niewątpliwej siły wzajemnego przyciągania, jaką odczuwali, dlaczego, pragnąc się dotknąć, robili to pod pretekstem, że śpią, a za dnia udawali chłód. Doszła do wniosku, że miłość do kogoś innej

rasy wydawała im się niemożliwa, myśleli, że na całym świecie nie ma miejsca dla pary takiej jak oni.

- Ty myślałaś tylko o swoim kochanku - wyjaśnił jej Tao Chi'en, którego włosy zdążyły się już okryć siwizną.

- A ty o Lin.

- W Chinach można mieć wiele żon, a Lin zawsze była tolerancyjna.

- A poza tym odrzucały cię moje duże stopy - zakpiła ona.

- To prawda - odparł z największą powagą.

W czerwcu nastąpiło bezlitosne lato, rozmnożyły się komary, żmije wyszły ze swych kryjówek i bezkarnie wylegiwały się na słońcu, a rośliny Tao Chi'ena rozwinęły się równie bujnie jak w Chinach. Hordy argonautów przybywały nadal, coraz to liczniej i częściej. Jako że Sacramento było portem docelowym, nie podzieliło losu tuzinów innych osad, które wyrastały jak grzyby po deszczu wokół złotodajnych złóż, rozkwiatały na krótko i ledwie wyczerpał się łatwo dostępny minerał, nieoczekiwanie zniknęły. Miasto rozrastało się z minuty na minutę, otwierały się nowe sklepy, a terenów już nie rozdawano, tak jak to było na początku, tylko sprzedawano tak samo drogo jak w San Francisco. Powstało coś w rodzaju rządu, który często zwoływał posiedzenia dla przedyskutowania szczegółów związanych z administracją. Pojawili się spekulanci, kauzyperdzi, kaznodzieje, zawodowi gracze, rozbójnicy, burdelmamy ze swoimi wesołymi dziewczynkami i inni heroldowie postępu i cywilizacji. Przez miasto przewijały się setki mężczyzn ogarniętych szalem nadziei i ambicji, a także innych, wyczerpanych i chorych, którzy powracali po miesiącach ciężkiej pracy, gotowi roztrwonić to, co udało im się zarobić. Z dnia na dzień rosła liczba Chińczyków i wkrótce działało już kilka rywalizujących ze sobą band. Grupy te, zwane tongs, stanowiły zamknięte klany, których członkowie pomagali sobie nawzajem jak bracia w trudach codziennego życia i pracy, ale także upowszechniali korupcję i zbrodnie. Pośród nowo przybyłych znalazł się inny zhong yi, z którym Tao Chi'en spędzał godziny całkowitego szczęścia, porównując terapie i cytując Konfucjusza. Przypominał mu Ebanizera Hobbsa, gdyż nie zadowalał się powtarzaniem tradycyjnych kuracji, ale także poszukiwał nowatorskich rozwiązań.

- Musimy Zgłębić medycynę rasy fan guey, nasza to nie wszystko - powtarzał, a on całkowicie się z nim zgadzał, ponieważ im więcej studiował, tym bardziej odnosił wrażenie, że nic nie wie i że nie wystarczy mu życia, aby nauczyć się wszystkiego, co jeszcze powinien wiedzieć.

Eliza założyła sklepik, w którym po paskarskiej cenie sprzedawała empanadas,

najpierw wśród Chilijczyków, a po-tem również jankesów, którzy szybko się w nich rozsmakowa-li. Zaczęła je robić z wołowiny, kiedy jeszcze mogła ją kupować u meksykańskich ranczerów, którzy przepędzali bydło z Sonory, ale kiedy zaczęło jej brakować, spróbowała robić je z mięsa jelenia, zająca, dzikich gęsi, zółwia, łososa, a nawet niedźwiedzia.

Wszystko to jej wierni klienci zjadali z wdzięcznością, gdyż alternatywą była miska fasoli i solona wieprzowina, stanowią-ce nieodmienną dietę górników. Nikt nie miał czasu polować, łowić albo gotować; warzywa były nieosiągalne, a mleko stało się luksusem większym od szampana, za to nie brakowało mąki, tłuszczu i cukru, były również orzechy, czekolada, niektóre przyprawy, brzoskwinie i suszone śliwki. Z równym powodzeniem co empanadas robiła placki i ciastka, a także piekła chleb w glinianym piecu, który zaimprovizowała, przypominając sobie ciepłą kuchnię Mamy Frezji. Kiedy jej się udało zdobyć jajka i boczek, wywieszała ogłoszenie, zapraszając w nim na śniadanie, wówczas mężczyźni ustawiali się w kolejce, żeby usiąść w pełnym słońcu przed rozpadającą się jadłodajnią. To smaczne jedzenie przygotowywane przez głuchoniemego Chińczyka przypominało im niedziele spędzane w rodzinnym gronie, bardzo daleko stąd. Obfite śniadanie, składające się z jajek na boczku, chleba świeżo wyjęte-go z pieca, placka z owocami i dowolnej ilości kawy, kosztowało trzy dolary. Niektórzy klienci, wzruszeni i wdzięczni, gdyż od miesięcy nie próbowali niczego podobnego, zostawiali w kubku na napiwki jeszcze jednego dolara. Pewnego dnia w połowie lata Eliza stanęła przed Tao Chi'eniem z oszczędnościami w ręku.

- Za to możemy kupić konie i wyjechać - oznajmiła.

- Dokąd?

- Szukać Joaquina.

- Ja nie mam żadnego interesu w tym, żeby go znaleźć. Zostaję.

- Nie chcesz poznać tego kraju? Tutaj wiele można zobaczyć i nauczyć się, Tao.

Podczas gdy ja będę szukać Joaquina, ty możesz zdobywać tę swoją sławetną wiedzę.

- Moje rośliny mi tu rosną i nie lubię się włączyć z kąta w kąt.

- Dobrze. Ja jadę.

- Sama nie dasz rady.

- Zobaczymy.

Tej nocy spali każde w przeciwnym rogu szałas, nie odzywając się do siebie ani słowem. Następnego dnia rano Eliza wyszła kupić rzeczy potrzebne do podróży, co - zważywszy, że udawała niemowę - nie było wcale łatwe, ale o czwartej po południu wróciła z

meksykańskim koniem, brzydkim i miejscami wyłysiałym, ale silnym. Kupiła również wysokie buty, dwie koszule, grube spodnie, skórzane rękawiczki, kapelusz z szerokim rondem, parę sakw z suchym prowiantem, talerz, kubek i blaszaną łyżkę, dobry stalowy nóż, manierkę na wodę, pistolet i strzelbę, której nie umiała naładować ani tym bardziej z niej wystrzelić. Reszta wieczoru upłynęła jej na pakowaniu tobołków i zaszywaniu klejnotów i pozostałych pieniędzy w bawełniany pas, ten sam, którego używała do spłaszczania piersi, i pod którym zawsze nosiła plik miłosnych listów. Zrezygnowała z zabierania ze sobą walizki z sukniami, halkami i pantofelkami, którą ciągle jeszcze przechowywała. Ze swej kastyljskiej chusty zrobiła prowizoryczne siodło, takie jak te, które po wielekroć widywała w Chile; zdjęła ubranie Tao Chi'ena, noszone od miesięcy, i przymierzyła nowo zakupione. Potem na skórzanym pasie naostrzyła nóż i ścięła włosy na wysokości karku. Jej długi czarny warkocz opadł na ziemię niczym martwa żmija. Popatrzyła na siebie w kawałku zbitego lustra i poczuła satysfakcję: wystarczy pobrudzić twarz, a brwi pogrubić kawałkiem węgla, a oszustwo będzie doskonałe. Na to wszedł Tao Chi'en, wracający z jednego ze swych spotkań z drugim zhong yi, i w pierwszej chwili nie poznał tego uzbrojonego kowboja, który wtargnął na jego teren.

- Jutro wyjeżdżam, Tao. Dziękuję za wszystko, jesteś więcej niż przyjacielem, jesteś moim bratem. Będzie mi ciebie bardzo brakowało...

Tao Chi'en nic nie odpowiedział. Kiedy zapadła noc, ona w ubraniu ułożyła się do snu w kącie, a on wszedł na zewnątrz, żeby usiąść w letnim wietrze i liczyć gwiazdy.

SEKRET

Tego dnia, kiedy Eliza opuściła Valparaiso ukryta w brzuchu „Emilii”, Rosę, John i Jeremy Sommersowie zostali zaproszeni przez Paulinę, żonę Feliciano Rodrigueza de Santa Cruz, do Hotelu Angielskiego na kolację, i do swego domu na Cerro Alegre wrócili późno. O zniknięciu dziewczyny dowiedzieli się dopiero po tygodniu, gdyż sądzili, że w towarzystwie Mamy Frezji przebywa na hacjendzie Agustina del Valle.

Następnego dnia John Sommers podpisał kontrakt jako kapitan statku „Fortuna”, nowego parowca Pauliny. Umowę stanowił zwykły dokument uściślający warunki porozumienia. Wystarczyło, że raz się spotkali, a zaraz nabrali do siebie zaufania i nie chcieli tracić czasu na prawne szczegóły; jedyne, co ich interesowało, to jak najszybciej dotrzeć do Kalifornii. Całe Chile padło ofiarą tego samego obłędu, pomimo apeli o ostrożność, publikowanych w gazetach i po-wtarzanych w apokaliptycznych homiliach z kościelnych am-bon. Tylko kilka godzin zajęło kapitanowi zgromadzenie załogi swego parowca, gdyż na nabrzeżu wiły się długie kolejki kandydatów ogarniętych gorączką złota. Wielu z nich spędzało noc, śpiąc na ziemi, byle tylko nie stracić miejsca. John Sommers ku zdumieniu innych ludzi morza, nie mogąc-ych pojąć jego racji, odmówił zabrania na pokład pasażerów, tak że jego statek płynął praktycznie pusty. Nie wdawał się w wyjaśnienia. Pragnąc uniknąć dezercji swoich marynarzy po zawinięciu do San Francisco, miał iście piracki plan, ale nie zdradzał się z nim, ponieważ - gdyby go ujawnił - nie udałoby mu się zatrudnić ani jednego. Nie powiadomił również załogi, że na północ popłyną okrężną drogą i naj-pierw skierują się na południe. Zamierzał poczekać z tym, aż znajdą się na otwartym morzu.

- A zatem czuje się pan na siłach kierować moim statkiem i kontrolować załogę, czyż nie tak, kapitanie? - zapytała kolejny raz Paulina, podsuwając mu kontrakt do podpisu.

- Tak, proszę pani, proszę się nie obawiać. Za trzy dni mogę odbijać.

- Bardzo dobrze. Wie pan, czego brakuje w Kalifornii, kapitanie? Świeżych produktów: owoców, warzyw, jajek, dob-rych serów, wędlin. Właśnie to będziemy tam sprzedawać.

- Jak to? Wszystko się zepsuje po drodze...

- Dowieziemy to w łodzie - odparła niewzruszona.

- W czym?

- W łodzie. Najpierw popłynie pan na południe. Wie pan, gdzie leży laguna San Rafael?

- Niedaleko Puerto Aisen.

- Cieszę się, że zna pan tamte strony. Powiedziano mi, że jest tam bardzo piękny błękitny lodowiec. Chcę, żeby pan napełnił „Fortunę” bryłami lodu. Co pan o tym sądzi?

- Zechce mi pani wybaczyć, ale wydaje mi się, że to szaleństwo.

- Właśnie. Dlatego nikomu nie przyszło do głowy. Zabierze pan grubą sól w beczkach, spory zapas worków i owinie pan w nie co większe kawałki. Ach! Wyobrażam sobie, że będzie pan musiał ubrać swoich ludzi, żeby nie pozamarzali. A tak przy okazji, kapitanie, proszę nikomu o tym nie wspominać, żeby mi nie ukradziono tego pomysłu.

John Sommers pożegnał się, zbity z pantałyku. Pierwsze, co pomyślał, to że kobieta owa była niespełna rozumu, ale im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej ta przygoda mu się podobała. Poza tym nie miał nic do stracenia. Ona ryzykowała, że się zrujnuje, natomiast on zarabiał swoją gażę, choćby nawet lód po drodze stał się wodą. A gdyby owa nedorzecznosc przyniosła jakiś efekt, zgodnie z kontraktem miał otrzymać premię całkiem nie do pogardzenia. W tydzień później, kiedy rozniosła się wiadomość o zniknięciu Elizy, on pełną parą płynął w stronę lodowca i dowiedział się o wszystkim dopiero po powrocie, kiedy zawinął do Valparaiso, żeby załadować produkty przygotowane przez Paulinę do transportu w gniazdku z prehistorycznego śniegu do Kalifornii, gdzie jej mąż i szwagier mieli je sprzedać za wielokrotność ich wartości. Gdyby wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowała, po trzech - czterech rejsach „Fortuny” miałyby więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek jej się śniło; wyliczyła, ile czasu zajmie innym przedsiębiorcom skopiowanie tej inicjatywy i uprzykrzanie jej życia konkurencją. A co do niego, no cóż, on również wiozł towar, który zamierzał sprzedać temu, kto da najwięcej: książki.

Kiedy Eliza i jej niania nie wróciły do domu wyznaczonego dnia, Miss Rosę wysłała stangreta z listem, w którym pytała, czy rodzina del Valle nadal przebywa na swojej hacjendzie i czy Eliza ma się dobrze. W godzinę później w drzwiach stanęła wielce zaniepokojona żona Agustina del Valle. Nic nie wie o Elizie, powiedziała. Rodzina nie ruszała się z Valparaiso, gdyż jej mąż leży złożony atakiem podagry. Od miesiący Elizy nie widziała. Miss Rosę miała dosyć zimnej krwi, żeby nie dać nic po sobie poznać: to pomyłka, przepraszała. Eliza jest u innej przyjaciółki, coś jej się poplątało, dziękuje, że facygowała się pani osobiście... Pani del Valle nie uwierzyła w ani jedno jej słowo - co było do przewidzenia - i zanim Miss Rosę zdołała zawiadomić swego brata Jeremy'ego, który był w biurze, ucieczka Elizy Sommers znalazła się już na ustach całego Valparaiso.

Reszta dnia upłynęła Miss Rosę na płaczu, a Jeremy'emu Sommersowi na złorzeczeniach. Przetrzęsąwszy pokój Elizy, znaleźli pożegnalny list i przeczytali go wiele

razy, na próżno usiłując wpaść na jakiś trop. Nie mogli także zlokalizować Mamy Frezji, żeby ją wypytać, i dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że ta kobieta pracowała u nich od osiemnastu lat, a oni nawet nie znają jej nazwiska. Nigdy się nie zainteresowali ani skąd pochodzi, ani czy ma rodzinę. Mama Frezja, podobnie jak reszta służby, należała do trudnego do określenia kręgu użytecznych widm.

- Valparaiso to nie Londyn, Jeremy. Nie mogły odejść daleko. Trzeba ich szukać.

- Zdajesz sobie sprawę ze skandalu, kiedy zaczniemy prowadzić śledztwo wśród przyjaciół?

- A co mnie obchodzi, co powiedzą ludzie! Najważniejsze to szybko znaleźć Elizę, zanim napyta sobie biedy.

- Szczerze mówiąc, Rosę, jeżeli po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy, opuściła nas w ten sposób, to znaczy, że już narobiła sobie kłopotów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jakich kłopotów? - spytała Miss Rosę przerażona.

- Mężczyzna, Rosę. To jedyny powód, dla którego dziewczyna popełnia głupstwo tej miary. Sama to wiesz najlepiej. Z kim może być Eliza?

- Nie mam pojęcia.

Miss Rosę miała doskonałe pojęcie. Wiedziała, kto jest winien temu straszliwemu nieszczęściu: ów typ o wyglądzie żałobnika, który przed kilkoma miesiącami przywiózł do domu jakieś pakunki, pracownik Jeremy'ego. Nie wiedziała, jak się nazywa, ale postanowiła to ustalić. Nie powiedziała jednak tego bratu, gdyż pomyślała, że jeszcze ma czas, żeby wyrwać dziewczynę z pułapki nieszczęśliwej miłości. Z precyzją notariusza pamiętała każdy szczegół ze swojego własnego doświadczenia z wiedeńskim tenorem, a przeżywane wówczas zgryzoty jeszcze teraz wywoływały u niej dreszcz. Nie kochała go już, to pewne, wieki temu wyrwała go sobie z duszy, ale wystarczyło, żeby wyszeptać jego imię, a w piersiach czuła donośne bicie dzwonów. Karl Bretzner stanowił klucz do jej przeszłości i osobowości, krótkie z nim spotkanie zdeteminowało jej los i uczyniło z niej właśnie taką kobietę, jaką się stała. Gdyby znowu zakochała się tak jak wtedy, myślała, postąpiłaby identycznie, nawet wiedząc, że owa namiętność wypaczy jej życie. Może Eliza będzie miała więcej szczęścia i jej się uda; może w tym przypadku kochanek jest wolny, nie ma dzieci ani zdradzanej żony. Musi znaleźć dziewczynę, skonfrontować z przeklętym uwodzicielem, zmusić ich do małżeństwa, a potem postawić Jeremy'ego wobec faktów dokonanych, a on w końcu je zaakceptuje. Zważywszy na nieugiętość brata, kiedy w grę wchodził honor, nie będzie to łatwe, ale skoro przebaczył jej, równie dobrze może przebaczyć Elizie. Już ona go przekona. Nie po to przez tyle lat wychowywała ją jak matka, żeby siedzieć z założonymi rękami, kiedy jej jedyna córka

popelnia błąd, postanowiła.

Podczas gdy Jeremy Sommers zamykał się w pełnym godności i skrytości milczeniu, co mimo wszystko nie uchroniło go od plotek, od których aż huczało, Miss Rosę wkroczyła do akcji. W ciągu kilku dni ustaliła tożsamość Joaquina Andiety i, ku swemu przerażeniu, dowiedziała się, że chodzi ni mniej, ni więcej tylko o kogoś, kto zbiegł przed wymiarem sprawiedliwości. Oskarżano go o oszustwa w księgowości Brytyjskiej Kompanii Importowo - Eksportowej i kradzież towaru. Zrozumiała, że sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż to sobie wyobrażała: Jeremy nigdy nie przyjmie takiego osobnika na łono rodziny. Gorzej; ledwie trafi mu się okazja, żeby stanąć twarzą w twarz ze swym dawnym pracownikiem, Z pewnością pośle go do więzienia, choćby nawet ten był już wtedy mężem Elizy. Chyba żeby znalazła sposób, żeby go zmusić do wycofania oskarżeń wobec tej pluskwy i oczyszczenia jego imienia dla dobra nas wszystkich, wymamrotała wściekła Miss Rosę. Najpierw musi znaleźć kochanków, potem zobaczy, jak załatwić resztę. Bardzo się pilnowała, żeby się nie wygadać ze swoim odkryciem, i reszta tygodnia zeszła jej na wypytywaniu to tu, to tam, aż w końcu w księgarni „Santos Tornero” ktoś napomknął jej o matce Joaquina Andiety. Jej adres zdobyła, pytając po prostu w kościołach; tak jak przypuszczają, katolicycy duchowni prowadzili listy swoich wiernych. W piątek w południe stanęła przed tą kobietą. Szła pełna pretensji, pałając słusznym oburzeniem i gotowa powiedzieć jej parę słów prawdy, ale w miarę jak zapuszczała się w kręte uliczki dzielnicy, w której nigdy nie postąpiła jej noga, traciła animusz. Żałowała, że wybrała strojną sukienkę, zbyt ozdobny kapelusz i białe pantofelki; poczuła się śmieszna. Zapukała do drzwi zmieszana, z uczuciem wstydu, które na widok matki Andiety przeszło w niekłamana pokorę. Była to wyniszczona nijaka kobiecina, z oczami płonącymi gorączką i smutnym wyrazem twarzy. Wyglądała jak staruszka, ale kiedy Miss Rosę przyjrzała jej się bliżej, zrozumiała, że jest jeszcze młoda i że kiedyś była piękna, jednak nie było wątpliwości, że jest chora. Kobieta przyjęła ją bez zdziwienia, przyzwyczajona do bogatych pań, które przychodziły zamówić u niej coś do uszycia albo haftowania. Jedna drugiej przekazywały sobie jej adres, więc nie było w tym nic dziwnego, że jakaś nieznajoma dama puka do jej drzwi. Tym razem była to cudzoziemka, mogła się tego domyślić po kolorowej sukni wzorzystej jak skrzydła motyla, żadna Chilijka nie ośmieliłaby się tak ubrać. Nie uśmiechając się, przywitała się z nią i wpuściła do środka.

- Proszę usiąść, señora. Czym mogę pani służyć?

Miss Rosę usiadła na skraju wskazanego jej krzesła i nie mogła wydusić słowa. Wszystko, co sobie zaplanowała, wyparowało jej z głowy w gwałtownym porwywie wszechogarniającego współczucia dla tej kobiety, dla Elizy i dla siebie samej, podczas gdy

łzy płynące niczym rzeka obmywały jej twarz i duszę. Matka Joaquina Andiety, zakłopotana, ujęła jej dłoń w swoje ręce.

- Co pani jest, señora? W czym mogę pani pomóc?

I wówczas Miss Rosę, jękając się i zacinając, opowiedziała jej swoją hiszpańszczyzną cudzoziemki, że jej jedyna córka zniknęła przed ponad tygodniem, była zakochana w Joaquinie, poznali się kilka miesięcy wcześniej i od tamtej pory dziewczyna zmieniła się nie do poznania, chodziła rozpalona od miłości, każdy to widział, tylko nie ona, która z powodu swojego egoizmu i roztargnienia nie zatroszczyła się o nią na czas, a teraz jest już za późno, bo oboje uciekli. Eliza zrujnowała sobie życie, tak samo jak ona zrujnowała swoje. I dalej przeplatała jedną sprawę z drugą, nie mogąc się powstrzymać, aż w końcu opowiedziała tej nieznanym to, o czym nigdy nie mówiła nikomu, o Karlu Bretznerze i ich romansie, po którym pozostało jej uczucie osierocenia, o swym uspionym sercu i pustym łonie w ciągu tych dwudziestu lat, jakie od tamtej pory upłynęły. Rzęsiście oplakała straty boleśnie przemilczane, sekrety dźwigane niczym kajdany skazańca dla zachowania pozorów i płomienną młodość, przegraną przez zwykłego pecha, że urodziła się kobietą, wspominała o wściekłości ukrywanej pod maską dobrego wychowania. A kiedy w końcu jej szloch ucichł, zastygła, nie pojmując, co jej się stało ani skąd się wzięła owa nagła ulga, jaka zaczęła ją ogarniać.

- Proszę się napić herbaty - odezwała się matka Joaquina Andiety po długim milczeniu, wkładając jej do ręki wyszczerbioną filiżankę.

- Proszę, błagam panią, proszę mi powiedzieć, czy Eliza i pani syn są kochankami. Nie oszalałam, prawda? - wymamrotała Miss Rosę.

- Możliwe, señora. Joaquin też chodził jak błędny, ale nigdy nie wymówił imienia tej dziewczyny.

- Proszę mi pomóc, muszę znaleźć Elizę...

- Zapewniam panią, że ona nie jest z Joaquinem.

- Skąd pani może to wiedzieć?

- Czyż nie mówiła pani, że jej córka przepadła dopiero przed tygodniem? Mój syn wyjechał w grudniu.

- Wyjechał, mówi pani? A dokąd?

- Nie wiem.

- Rozumiem panią. Na pani miejscu ja też próbowałabym go chronić. Wiem, że pani syn ma problemy z wymiarem sprawiedliwości. Daję pani moje słowo honoru, że mu pomogę, mój brat jest dyrektorem Brytyjskiej Kompanii i zrobi to, o co go poproszę. Nikomu

nie powiem, gdzie jest pani syn, chcę tylko porozmawiać z Elizą.

- Pani córka i Joaquin nie są razem, proszę mi wierzyć.

- Wiem, że Eliza pojechała za nim.

- Nie mogła za nim pojechać, señora. Mój syn odpłynął do Kalifornii.

W dniu, w którym kapitan John Sommers wrócił do Valparaiso „Fortuną” wypełnioną po brzegi błękitnym lodem, jego rodzeństwo jak zwykle oczekiwało go na nabrzeżu, ale wystarczyło mu spojrzeć na ich twarze, żeby zrozumieć, iż stało się coś niedobrego. Rosę była wymizerowana, miała podkrążone oczy i ledwie ją objął, wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Eliza zniknęła - poinformował go Jeremy z takim gniewem, że ledwo był w stanie wypowiedzieć te słowa.

Z chwilą gdy zostali sami, Rosę opowiedziała Johnowi wszystko, czego się dowiedziała od matki Joaquina Andiety. W trakcie tych ciągnących się bez końca dni, kiedy czekała na swego ukochanego brata i starała się powiązać ze sobą pojedyncze fakty, doszła do przekonania, że dziewczyna pojechała za swym kochankiem do Kalifornii, ponieważ nie-wątpliwie ona zrobiłaby to samo. John Sommers cały następny dzień spędził na zasięgnięciu w porcie języka i dowiedział się, że Eliza nie kupiła biletu na żaden statek ani nie figurowała na listach pasażerów, natomiast władze odnotowały, iż niejaki Joaquin Andieta zaokrętował się w grudniu. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna mogła dla zmylenia zmienić nazwisko i z dokładnym jej opisem przeszedł jeszcze raz tę samą trasę, ale nikt jej nie widział. Młoda dziewczyna, prawie dziecko, podróżująca samotnie albo tylko w towarzysztwie Indianki od razu zwróciłaby uwagę, zapewniono go; poza tym do San Francisco odpływało bardzo mało kobiet, jedynie te lekkich obyczajów i od czasu do czasu jakaś żona kapitana albo kupca.

- Nie mogła się zaokrętować bez śladu, Rosę - podsumował kapitan, zdawszy jej szczegółowe sprawozdanie ze swych poszukiwań.

- A co z Andietą?

- Jego matka nie okłamała cię. Jego nazwisko widnieje na liście.

- Zawłaszczyl jakieś towary Brytyjskiej Kompanii. Jestem pewna, że zrobił to, ponieważ w żaden inny sposób nie mógł sobie opłacić podróży. Jeremy nie podejrzewał, że złodziej, którego szuka, to ukochany Elizy, i mam nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie.

- Nie zmęczyły cię te ciągle sekrety, Rosę?

- A co mam robić? Moje życie to nieustanna gra pozorów, a nie prawda. Jeremy jest jak z kamienia, znasz go równie dobrze jak ja. Co zrobimy z małą?

- Jutro wypływam do Kalifornii, parowiec jest już załadowany. Jeśli, jak powiadają, jest tam mało kobiet, łatwo będzie ją znaleźć.

- To nie wszystko, John!

- Przychodzi ci do głowy coś lepszego?

Tej nocy przy kolacji Miss Rosę ponownie zaczęła obstawiać przy konieczności zmobilizowania wszelkich dostępnych środków, żeby znaleźć dziewczynę. Jeremy, który trzymał się z daleka od szalonych zabiegów siostry, nie udzielając rad ani nie zdradzając żadnych uczuć z wyjątkiem niesmaku z powodu uczestniczenia w skandalu towarzyskim, wyraził opinię, iż Eliza nie zasługuje na tyle zachodu.

- Ta atmosfera hysterii jest bardzo nieprzyjemna. Sugeruję zachowanie spokoju. Po co jej szukać? Choćbyście ją nawet i znaleźli, więcej nie przekroczy progu tego domu - oznajmił.

- Eliza nic dla ciebie nie znaczy? - natarła na niego Miss Rosę.

- Nie w tym rzecz. Popęłniła niewybaczalny błąd i musi ponieść tego konsekwencje.

- Tak jak ja je ponoszę od prawie dwudziestu lat?

W jadalni zapadła lodowata cisza. Nigdy nie rozmawiali otwarcie o tym, co się stało, i Jeremy nawet nie był pewien, czy John wie, co zaszło między jego siostrą a wiedeńskim tenorem, gdyż on sam pilnował się bardzo, by mu o tym nie wspomnieć.

- Jakie konsekwencje, Rosę? Wybaczone ci i przyjęto na powrót. Nie masz mi nic do zarzucenia.

- Dlaczego wobec mnie byłeś taki szlachetny, a wobec Elizy już nie możesz?

- Bo jesteś moją siostrą i mam obowiązek cię chronić.

- Eliza jest dla mnie jak córka, Jeremy!

- Ale nią nie jest. Nie mamy wobec niej żadnych zobowiązań: nie należy do tej rodziny.

- Owszem, należy! - wykrzyknęła Miss Rosę.

- Dosyć! - przerwał kapitan, waląc pięścią w stół, podrywając do tańca talerze i kieliszki.

- Owszem, Jeremy. Eliza należy do naszej rodziny - powtórzyła Miss Rosę, szlochając z twarzą ukrytą w dłoniach. - To córka Johna...

Wówczas Jeremy dowiedział się z ust rodzeństwa o sekrecie, który zachowywali od szesnastu lat. Ten małomówny mężczyzna, tak opanowany, że zdawało się, iż pozbawiony jakichkolwiek ludzkich uczuć, po raz pierwszy wybuchnął i wszystko, co w ciągu czterdziestu sześciu lat doskonałej angielskiej flegmy było przemilczane, puściło niczym tama, dławiąc go potokiem wyrzutów, wściekłości i upokorzenia, bo ależ ze mnie głupiec, Boże mój, żeby

mieszkać w siedlisku kłamstw i nawet się tego nie domyślać, w przekonaniu, że moje rodzeństwo to porządni ludzie i że darzymy się na-wzajem zaufaniem, podczas gdy to, co między nami napraw-dę panuje, to zwyczajne kłamstwo, obłuda i fałsz, kto wie, ileście jeszcze rzeczy systematycznie przede mną ukrywali, ale to już szczyt, dlaczegoście, u diabła, mi o tym nie powiedzieli, cóż takiego zrobiłem, żebyście mnie mieli za potwora, żebyście mną tak manipulowali, żebyście wykorzystywali moją szlachetność, a jednocześnie mną pogardzali, bo nie można nazwać inaczej jak tylko pogardą takie omotywanie mnie siecią kłamstw, a zarazem wyrzucanie poza nawias, potrzebujecie mnie tylko do płacenia rachunków, całe życie było tak samo, od kiedy byliśmy dziećmi, drwiliście sobie ze mnie za moimi plecami...

W milczeniu, nic nie znajdując na swoje usprawiedliwienie, Rosę i John przeczekali burzę, a kiedy Jeremy'emu skończyła się płyta, w jadalni zapadła długa cisza. Wszyscy troje byli wyczerpani. Pierwszy raz w życiu stali przed sobą bez maski dobrych manier i uprzejmości. Zdawało się, że coś fundamen-talnego, co utrzymywało ich w wątlej równowadze niczym stół na trzech nogach, pękło bez ratunku; jednakże w miarę jak Jeremy odzyskiwał oddech, poprawiając sobie kosmyk, który opadał mu na czoło, i przekrzywiony krawat, rysy jego twarzy na powrót przybrały ten sam nieodgadniony i arogancki wyraz co zawsze. Wówczas Miss Rosę podniosła się, podeszła od tyłu do jego krzesła i położyła mu dłoń na ramieniu, w jedynym intymnym geście, jaki ośmieliła się uczynić, czując w piersiach bolesną czułość wobec tego osamotnionego brata, tego milczącego i melancholijnego człowieka, który był dla niej jak ojciec i wobec którego nigdy nie zadała sobie tyle trudu, aby mu spojrzeć w oczy. Zdała. sobie sprawę, że faktycznie nic o nim nie wie i że w całym swym życiu ani razu go nie dotknęła.

Szesnaście lat wcześniej, rankiem 15 marca 1832 roku, Mama Frezja wyszła do ogrodu i potknęła się o zwykłą skrzynkę po marsylskim mydle, przykrytą gazetą. Zaintrygo-wana schyliła się, żeby zobaczyć, co to takiego, i podniósłszy papier, odkryła noworodka. Z krzykiem wpadła do domu i w chwilę później nad dzieckiem pochylała się Miss Rosę. Miała wówczas dwadzieścia lat, była świeża i piękna jak brzoskwinia, ubrana w suknię w kolorze topazu, a wiatr rozwiewał jej loki. Taką ją Eliza zapamiętała albo sobie wyobrażała. Kobiety podniosły skrzynkę i zabrały do pokoiku do szycia, gdzie rozgarnęły papier i ze środka wyjęły małą dziewczynkę, niedbale otuloną wełnianą kamizelką. Domyś-liły się, że nie leżała długo na powietrzu, ponieważ pomimo porannego wiatru jej ciało było ciepłe i smacznie spała. Miss Rosę kazała Indiance poszukać czystego koca, prze-ścieradła i nożyczek, żeby zrobić prowizoryczne pieluchy.

Kiedy Mama Frezja wróciła, kamizelki już nie było, a w ramionach Miss Rosę popiskiwało nagie dziecko.

- Od razu poznałam tę kamizelkę. Sama ją wydzierałam Johnowi rok wcześniej. Schowałam ją, bo ty byś ją także poznał - wyjaśniła Jeremy'emu.

- Kto jest matką Elizy, Johnie?

- Nie pamiętam, jak miała na imię...

- Nie wiesz, jak się nazywa! Ile bękartów rozsiałeś po świecie? - wykrzyknął Jeremy.

- To była dziewczyna z portu, młoda Chilijka, pamiętam, że była bardzo ładna. Nigdy więcej jej nie widziałem i nie miałem pojęcia, że była w ciąży. Kiedy w kilka lat później Rosę pokazała mi tę kamizelkę, przypomniałem sobie, że nałożyłem ją tej dziewczynie na plaży, bo było zimno, a potem zapomniałem poprosić, żeby mi ją oddała. Musisz zrozumieć, Jeremy, taki jest marynarski żywot. Nie jestem jakimś potworem...

- Byłeś pijany.

- Możliwe. Kiedy zrozumiałem, że Eliza jest moją córką, próbowałem odnaleźć jej matkę, ale przepadła. Może umarła, nie wiem.

- Dla jakichś powodów ta kobieta uznała, że powinniśmy wychować tę małą, Jeremy, i nigdy nie żałowałam, że to zrobiłam. Daliśmy jej miłość, dostatnie życie, wykształcenie. Może matka nic jej nie mogła dać i dlatego przyniosła nam Elizę zawiniętą w tę kamizelkę, żebyśmy wiedzieli, kto jest jej ojcem - dodała Miss Rosę.

- Tylko tyle? Jakaś brudna kamizelka? To absolutnie ni-czego nie dowodzi! Każdy może być ojcem. Ta kobieta bardzo sprytnie pozbyła się dziecka.

- Obawiałam się, że tak zareagujesz, Jeremy. Właśnie dlatego ci wtedy o tym nie powiedziałam - odparła siostra.

W trzy tygodnie od rozstania z Tao Chi'enem Eliza wraz z pięcioma innymi górnikami wypłukiwała złoto na brzegu rzeki Americano. Nie podróżowała sama. Opuszczając Sacramento, przyłączyła się do grupy Chilijczyków wyruszających w stronę żył złota. Kupili konie i mulice, ale ponieważ żaden z nich nie znał się na zwierzętach, meksykańscy ranczerzy sprytnie ukryli ich wiek i defekty. Były to żalosne stworzenia z łysinami zamalowanymi farbą, którym zapewne podano jakiś narkotyk, gdyż po kilku godzinach drogi straciły werwę i kulejąc, ledwo powłóczyły kopytami. Każdy jeździec wiozł ładunek narzędzi, broni i mosiężnych naczyń, tak że smutna karawana posuwała się wolnym krokiem przy ogłuszającym szczęku metalu. Po drodze stopniowo pozbywali się ładunku, który porzucali pod krzyżami, jakie tu i ówdzie urozmaicały krajobraz, wskazując miejsce spoczynku zmarłych. Eliza przedstawiła się jako Elias Andieta, świeżo przybyły z Chile, zobowiązany

przez matkę do odszukania brata Joaquina i zdecydowany przebyć Kalifornię z góry na dół, byle tylko spełnić ów obowiązek.

- Ile masz lat, chłopaczku? - zapytano go.

- Osiemnaście.

- Wyglądasz na czternaście. Nie jesteś za młody, żeby szukać złota?

- Mam osiemnaście i nie szukam złota, tylko mojego brata Joaquina - powtórzyła.

Chilijczycy byli młodzi, weseli i zachowali jeszcze entuzjizm, który kazał im opuścić swój kraj i zapędzić się tak daleko w poszukiwaniu przygód, chociaż zaczynali już zdawać sobie sprawę, że ulice nie są wybrukowane skarbami, jak to im opowiadano. Z początku Eliza nie patrzyła im w twarz i cały czas chodziła w kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy, ale wkrótce zauważyła, że mężczyźni we własnym gronie rzadko się sobie przyglądają. Uznali ją za chłopaka i nie dziwił ich kształt jej ciała, głos czy przyzwyczajenia. Zajęci każdy sobą, nie zwrócili uwagi, że nie siusia wraz z nimi, i że - ilekroć natknęli się na jakiś zbiornik wody, w której mogli się ochłodzić - kiedy oni się rozbierają, ona daje nurka w ubraniu, a nawet w kapeluszu na głowie, oświadczając, że w ten sposób za jednym zamachem kąpie się i robi pranie. Z drugiej strony czystość nie była specjalnie istotna i już po kilku dniach Eliza była tak samo brudna i spocona jak jej towarzysze. Odkryła, że brud zrównuje wszystkich w tym samym upodleniu; jej nos myśliwskiego psa ledwo odróżniał woń jej ciała od zapachu ciał pozostałych. Gruby materiał spodni obcierał jej nogi, nie nawykła jeździć konno na długich odcinkach i drugiego dnia, z odparzonymi pośladkami, ledwo była w stanie zrobić parę kroków, ale inni także byli z miasta i czuli się podobnie obolali jak ona. Suchy i gorący klimat, pragnienie, zmęczenie i nieustanne ataki komarów prędko odebrały im chęć do rozmowy. Jechali w milczeniu, przy kocięj muzyce naczyn, już zniechęceni do tego, co ich czekało, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Tygodniami prowadzili rozpoznanie terenu, poszukując odpowiedniego miejsca, gdzie mogliby rozbić obóz i rozpocząć wydobywanie złota, który to czas Eliza wykorzystała, żeby zasięgać języka o Joaquinie Andiecie. Ani zebrane wskazówki, ani źle wytyczone mapy nie na wiele się zdały, bo kiedy docierali na miejsce, gdzie spodziewali się wyplukać znaczne ilości złota, zastawali tam już setki górników przybyłych przed nimi. Każdy miał prawo do stu stóp kwadratowych, swój teren wytyczał, pracując na nim za dnia i pozostawiając swoje narzędzia, kiedy odchodził, ale jeśli opuszczał go na dłużej niż dziesięć dni, inni mogli go zająć i zarejestrować na swoje nazwisko. Największe zbrodnie, takie jak zajęcie cudzej własności przed terminem i kradzież, po krótkim procesie w trybie przyspieszonym, w którym w roli sędziów, ławy przysięgłych i katów występowali sami górnicy, karano śmiercią przez powieszenie albo

chłostą. Wszędzie spotykali grupy Chilijczyków. Rozpoznawali się po ubraniu i akcencie, obejmowali z entuzjazmem, dzielili się matę, wódką i charqui, w żywych kolorach odmalowywali sobie nawzajem swoje niepowodzenia i pod gwiazdami śpiewali nostalgiczne pieśni, ale nazajutrz rozstawali się, nie mając czasu na zbytnią gościnność. Z gogusiowatego sposobu wyrażania się i rozmów Eliza wywnios-kowała, że niektórzy to paniczyki z Santiago, półarystokratyczni modnisie, którzy kilka miesięcy wcześniej nosili surdut, lakierki, rękawiczki z koźlęcej skórki i napomadowane włosy, ale przy żyłach złota prawie niczym się nie różnili od najbardziej gburowatych prostaków, z którymi pracowali jak równy z równym. Grymasy i przesady klasowe rozwiewały się jak dym w zderzeniu z brutalną rzeczywistością, czego jednak nie można było powiedzieć o nienawiści rasowej, która pod byle pretekstem prowadziła do bójek. Chilijczycy, najliczniej-si i najbardziej przedsiębiorczy ze wszystkich Latynosów, budzili nienawiść gringos. Eliza dowiedziała się, że w San Francisco grupa pijanych Australijczyków zaatakowała Chilecito, wywołując otwartą bitwę. Na terenach złotonośnych działały liczne chilijskie spółki, które sprowadziły robotników rolnych, dzierżawców żyjących od pokoleń w systemie feudalnym i pracujących za minimalne wynagrodzenie, bynajmniej się nie dziwiąc, że złoto nie należy do tego, kto je znalazł, ale do pana. W oczach jankesów było to zwyczajne niewolnictwo. Amerykańskie ustawodawstwo miało na względzie dobro jed-nostki: każda działka ograniczała się do przestrzeni, jaką mógł eksploatować jeden człowiek. Chilijskie spółki obcho-dziły to prawo, rejestrując działki na nazwiska poszczegól-nych robotników i zagarniając w ten sposób więcej terenu.

Było wielu białych, różnych narodowości, noszących flanelowe koszule, spodnie wpuszczone w buty i parę rewolwerów; Chińczyków w pikowanych kufajkach i szerokich spodniach, Indian z wygoloną potylicą, w znoszonych wojskowych kurtkach, Meksykanów w ubraniach z białej bawełny i ogromnych kapeluszach, Latynosów w krótkich ponczach i szerokich skórzanych pasach, za którymi nosili nóż, tytoń, proch i pieniądze, bosonogich przybyszów z wysp Sandwich w przepas-kach z połyskliwego jedwabiu; wszyscy oni stanowili miesza-ninę kolorów, kultur, religii i języków, ogarniętą jedną wspól-ną obsesją. Każdego z nich Eliza pytała o Joaquina Andietę i prosiła, aby rozgłaszali, że szuka go jego brat Elias. Zapusz-czając się coraz głębiej w ten obszar, zaczynała pojmować, jaki jest ogromny i jak trudno jej będzie znaleźć kochanka pośród pięćdziesięciu tysięcy cudzoziemców, błąkających się z jednego krańca w drugi.

Grupa znudzonych Chilijczyków postanowiła w końcu roz-bić obóz. W upale, który zdawał się buchać jak od pieca, dotarli do rzeki Americano, mając tylko dwie mulice i konia Elizy, gdyż pozostałe zwierzęta padły po drodze. Ziemia była sucha i spękana, a jej jedyną

roślinność stanowiły sosny i dęby, ale z gór spływała przejrzysta i rwąca rzeka, która skakała po kamieniach i przecinała dolinę niczym nóż. Na obu jej brzegach stały długie szeregi mężczyzn ryjących w miękkiej ziemi, którą napełniali wiadra, a następnie przetrząsali w urządzeniu przypominającym dziecięcą kołyskę. Pracowali z głową wystawioną na słońce, z nogami w zimnej wodzie i w mokrym ubraniu; spali na gołej ziemi, nie wypuszczając broni z ręki, jedli twarde chleb i solone mięso, pili wodę zanieczyszczoną przez setki działek, na których wydobywano złoto, położonych w górze rzeki, oraz alkohol tak fałszowany, że pękała od niego wątroba albo mieszało się w głowie. Na oczach Elizy w ciągu kilku dni zmarło dwóch ludzi, zwijając się z bólu i oblewając pianistym cholerycznym potem, więc z wdzięcznością myślała o mądrości Tao Chi'ena, który nie pozwalał jej pić nieprzeżowanej wody. Choćby nie wiadomo jakie miała pragnienie, czekała do wieczora, kiedy rozbijali obóz, żeby przygotować sobie herbatę albo matę. Od czasu do czasu słychać było okrzyki radości: ktoś znalazł jakiś samorodek złota, ale większość była zadowolona, jeśli z kilku ton bezużytecznej ziemi udało się wydzielić kilka gramów cennego kruszcu. Jeszcze parę miesięcy wcześniej w przejrzystej wodzie można było wypatrzeć błyszczące okruchy, ale teraz ład w przyrodzie został zaburzony przez ludzką chciwość, a krajobraz zrujnowany przez stosy ziemi i kamieni, ogromne wykopy, rzeki i strumienie, które zmieniły swój bieg, wodę stojącą w niezliczonych kałużach i tysiące wyrwanych z korzeniami drzew w miejscach, gdzie kiedyś był las. Aby dotrzeć do kruszcu, potrzebna była determinacja tytanów.

Eliza nie zamierzała się tam zatrzymywać, ale była wyczerpana i nie czuła się na siłach, aby samotnie jechać konno dalej właściwie bez celu. Jej towarzysze zajęli plac na końcu szeregu górników, dosyć daleko od małej osady, która - mając już gospodę i sklep, gdzie można było zrobić podstawowe zakupy - zaczynała się tam rozrastać. Ich sąsiadami byli trzej przybysze z Oregonu, którzy okazali się niespotykanie odporni na zmęczenie pracą i alkohol i nie tracili czasu na przywitanie się z nowo przybyłymi, wręcz przeciwnie, od razu dali im do zrozumienia, że nie uznają prawa „smoluchów” do eksploatacji amerykańskiej ziemi. Jeden z Chilijczyków odparował cios argumentem, że tamci również nie są u siebie, ziemia należy do Indian, i gdyby pozostali nie wkroczyli i nie uspokoiли wzburzonych umysłów, doszłoby do bójki. Panował nieustanny zgiełk, na który składały się brzęki łopat, oskarżeń, plusk wody, odgłos toczących się kamieni i przekleństw, ale niebo było czyste, a w powietrzu unosił się zapach liści laurowych. Chilijczycy padli na ziemię, umierając ze zmęczenia, gdy tymczasem fałszywy Elias Andieta rozpałał małe ognisko, żeby przygotować sobie kawę, i poił konia. Z litości Eliza napiła także biedne mulice, chociaż nie należały do

niej, i zdjęła z nich pakunki, żeby mogły od-począć. Zmęczenie przyćmiewało jej wzrok i ledwie się trzy-mała na nogach, tak jej drżały; zrozumiała, że Tao Chi'en miał rację, kiedy ostrzegał, że musi odzyskać siły, zanim się porwie na taką przygodę. Pomyślała o szałasie z desek i brezentu w Sacramento, gdzie o tej porze on zapewne medytował albo pisał coś pędzelkiem i chińskim tuszem swoim pięknym kaligraficznym pismem. Uśmiechnęła się, zdziwiona, że nostalgia nie przywodzi jej na myśl zacisznego pokoiku do szycia Miss Rosę ani ciepłej kuchni Mamy Frezji. Ależ się zmieniłam, westchnęła, obrzucając wzrokiem swoje pełne odcisków ręce, spalone bezlitosnym słońcem.

Na drugi dzień towarzysze wysłali ją do sklepu, żeby kupiła wszystko, co niezbędne do przeżycia, oraz jedną z owych kołysek do przetrząsania ziemi, gdyż widzieli, o ile wydajniejsze jest to urządzenie od ich skromnych misek. Jedyna ulica w miasteczku, o ile można było tak nazwać ową osadę, była bajorem usłanym śmieciami. Sklep - chatka z pni i desek - stanowił w owej społeczności samotnych mężczyzn ośrodek życia towarzyskiego. Tam sprzedawano, co się dało i ile się dało, serwowano alkohol i coś do zjedzenia; nocami, kiedy górnicy przychodzili, żeby się napić, jakiś skrzypek swoimi melodyjkami ożywiał nastrój, a wtedy niektórzy mężczyźni przyczepiali sobie do pasa chusteczkę na znak, że występują w roli kobiet, a inni kolejno zapraszali ich do tańca. W pro-mieniu wielu mil nie było ani jednej kobiety, ale od czasu do czasu przejeżdżał ciągnięty przez mulice wóz pełen pro-stytutek. Czekano na nie z utęsknieniem i szczerze wyna-gradzano. Właściciel sklepu okazał się gadatliwym i dob-rodusznym mormonem, który w Utah miał trzy żony, i oferował kredyt każdemu, kto przyjmie jego wiarę. Był abstynen-tem i sprzedając alkohol, wygłaszał kazania piętnujące nałóg pijaństwa. Słyszał o jakimś Joaquinie, a i nazwisko Andieta wydawało mu się znajome, poinformował Elizę, kiedy go zapytała, ale przejeżdżał tędy szmat czasu temu i nie może powiedzieć, w jakim kierunku się udał. Pamięta go, bo był zaplątany w bójkę o jakąś działkę między Amerykanami i Hiszpanami. Chilijczycy? Możliwe, pewien jest tylko tego, że mówił po hiszpańsku, równie dobrze mógł być Mek-sykaninem, powiedział, dla niego wszystkie „smoluchy” wy-gładają tak samo.

- I co się w końcu stało?

- Amerykanie zajęli działkę, a tamci musieli odejść. A co innego im pozostało? Joaquin i ten drugi przesiedzieli tu w sklepie jakieś dwa czy trzy dni. Położyłem tam w kącie koce i pozwoliłem im trochę dojsć do siebie, bo nieźle oberwali. To nie były złe chłopaki. Pamiętam twojego brata, taki czarno-włosy, z dużymi oczami, całkiem przystojny.

- To on - powiedziała Eliza, czując, jak serce zrywa się jej do galopu.

CZĘŚC TRZECIA

1850 - 1853

ELDORADO

Pośród rozgorączkowanego tłumu czterej mężczyźni prowadzili niedźwiedzia; ciągnęli go za pomocą gru-bych lin, po dwóch z każdej strony. Zawlekli go na środek okrągłego placu i łańcuchem długości dwudziestu stóp przywiązali za łapę do słupa, po czym przez kwadrans uwalniali go z lin, on zaś usiłował drapać i gryźć wszystko dokoła z gniewem, jakiego można by się spodziewać na Sądzie Ostatecznym. Ważył ponad sześćset kilogramów, miał ciemnobraunatne futro, jedno oko zezowate, na grzbiecie liczne łysiny i blizny po poprzednich walkach, ale był jeszcze młody. Pienista ślina okrywała mu pysk o ogromnych żółtych zębach. Stojąc na tylnych łapach, rozdając niepotrzebne ciosy swymi prehistorycznymi pazurami, wodził po tłumie zdro-wym okiem, szarpiąc się rozpaczliwie na łańcuchu.

Była to zabita deskami dziura, mieścina, która wyrosła z niczego w ciągu kilku miesięcy, wybudowana przez zbiegów, pozbawiona ambicji, by przetrwać. Nie było tu areny byków, jakie posiadały wszystkie meksykańskie miasteczka Kalifornii, a jedynie szeroki krąg gołej ziemi, gdzie ujeżdżano konie i zamykano mulice, ogrodzony deskami i wyposażony w drewniane galeryjki, na których rozsiadała się publiczność. Tamtego listopadowego wieczoru stalowe niebo groziło deszczem, ale nie czuło się chłodu, a ziemia była sucha. Setki widzów siedzących za palisadą, przedrzeźniało chórem każdy ryk zwie-rzęcia. Nieliczne kobiety - pół tuzina młodych Meksykanek w białych haftowanych sukniach, z nieodłącznym papierosem w ustach - w równej mierze skupiały na sobie uwagę jak niedźwiedź, i podobnie jak on były pozdrawiane męskimi okrzykami ole, podczas gdy z rąk do rąk krążyły butelki alkoholu i sakiewki ze złotem, stanowiące stawki w zakładach. Ubrani po miejsku szulerzy, w fantazyjnych kamizelkach, szerokich krawatach i cylindrach, odróżniali się na tle nie-okrzesanej i rozczochranej zgrai. Trzej muzycy wygrywali na prymitywnych skrzypcach popularne melodie i ledwo z powo-dzeniem zaatakowali kilka taktów Oh, Susana, stanowiącej hymn górników, w środek kręgu wskoczyła para brodatych komików przebranych za kobiety, i pośród wulgarnych okrzy-ków i poklepywań wykonała rundę honorową, unosząc spódnice, żeby pokazać owłosione nogi i długie majtki z falbankami. Publiczność uczciła ich hojnym deszczem monet, burzą oklasków i wybuchami śmiechu. Kiedy zeszli ze sceny, uro-czysty sygnał kornetu i bicie w bębny zapowiedziały początek walki, po czym rozległo się wycie zelektryzowanej gawiedzi. Zagubiona w tłumie Eliza oglądała przedstawienie zafas-cynowana i przerażona. Postawiła niewielką sumkę, jaka jej

jeszcze została, w nadziei, że za parę minut ją pomnoży. Przy trzecim sygnale kornetu uniesiono drewnianą bramę i, pars-kając, wbiegł młody, czarny byk o lśniącej sierści. Przez moment na galeriach zapanowała pełna podziwu cisza i wnet powitano zwierzę przeszywającym okrzykiem ole! Byk za-trzymał się i stał zdezorientowany, z podniesionym łbem zwieńczonym wielkimi, niespiłowanymi rogami, czujnym wzrokiem mierząc odległości i kopiąc piasek przednimi kopy-tami, aż uwagę jego przyciągnął pomruk niedźwiedzia. Tam-ten zobaczył go wcześniej i kilka metrów od słupa pospiesznie kopał sobie dół, w którym teraz skulił się, przywierając do ziemi. Na wrzaski publiczności byk pochylił kark, napiął mięśnie i ruszył do natarcia wzbijając chmurę piasku, ślepy z wściekłości, dysząc, wypuszczając parę z nosa i tocząc pianę z pyska. Niedźwiedź na niego czekał. Pierwszy cios dostał w krzyż; róg zostawił w jego grubym futrze krwawiący ślad, ale nie zdołał poruszyć go ani o cal. Oszołomiony byk zrobił rundę truchcikiem po kręgu, podczas gdy tłuszczą wyzwiska-mi podżegała go do walki; znowu zaatakował, próbując rogami unieść niedźwiedzia, ale ten dalej leżał skulony i przyjmował razy, nawet nie pisnąwszy, aż do chwili, gdy dostrzegł dla siebie szansę i jednym celnym uderzeniem łapy rozerwał bykowi nos. Broczące krwią, oszalałe z bólu i zdezorientowane zwierzę zaczęło atakować, waląc na oślepe łbem, i raniło przeciwnika raz i drugi, ale nie udało się mu wypchnąć go z jamy. Nagle niedźwiedź się podniósł i straszliwym uściskiem chwycił go za szyję, wgryzając się w kark. Kilka długich minut zwierzęta tańczyły ze sobą, zakreślając koło, na ile pozwalała łańcuch, gdy tymczasem piasek powoli nasiąkał krwią, a z ga-lerii dochodził ryk ludzi. W końcu niedźwiedziowi udało się oderwać, chwiejąc się odszedł kilka kroków na miękkich łapach, z futrem niczym z lśniącego obsydianu, zafarbowa-nym krwią, aż w końcu nogi ugięły się pod nim i upadł na pysk. Wówczas ogłuszający wrzask ludzkiej gromady ogłosił jego zwycięstwo. W krąg wjechali dwaj jeźdźcy, strzelili pokonanemu między oczy, zarzucili mu lasso na tylne nogi i powlekli za sobą. Czując przemożny wstręt, Eliza przepchnę-ła się do wyjścia. Straciła swoje ostatnie czterdzieści dolarów. Podczas letnich i jesiennych miesięcy 1849 roku Eliza przebyła konno tereny z południa na północ, wzdłuż Żyły - Matki od Mariposy do Downieville, a potem z po-wrotem, podążając przez urwiste wzgórza po coraz bardziej zagmatwanych śladach Joaquina Andiety, od łożysk rzek po stoki Sierra Nevada. Kiedy na początku o niego pytała, niewiele osób przypominało sobie kogoś, kto by tak się nazywał albo wyglądał, ale pod koniec roku jego postać zaczęła nabierać realnych kształtów, a to dodawało dziewczynie sił do dalszych poszukiwań. Rozpuściła pogłoskę, że jego brat Elias jedzie za nim i w ciągu tych miesięcy wiele razy echo odbijało jej własny głos. Nieraz, kiedy pytała o Joaquina, utożsamiano ją z bratem, zanim jeszcze zdążyła się przedstawić. W tamtym dzikim

regionie poczta z San Francisco docierała z kilkumiesięcznym opóźnieniem, a i cza-sopisma szły całe tygodnie, ale nigdy nie zawiodła wiadomość przekazywana z ust do ust. Jak to możliwe, żeby Joaquin nie dowiedział się, że ktoś go szuka? Skoro nie ma rodzeństwa, powinien zadać sobie pytanie, kim jest ów Elias, i gdyby miał choć odrobinę intuicji, mógłby skojarzyć to imię z jej imieniem, myślała; ale jeśli nawet tego się nie domyśla, przynajmniej mógłby się zainteresować, kto się podszywa pod jego krewnego. Nocami z trudem zasypiała, gubiąc się w domysłach, coraz bardziej popadając w zwątpienie, gdyż dochodziła do wniosku, że milczenie jej kochanka da się wyjaśnić jedynie jego śmiercią albo tym, że nie chce zostać odnaleziony. A jeśli naprawdę od niej uciekł, tak jak to insynuował Tao Chi'en? Dzień spędzała na koniu i zasypiała wprost na ziemi, gdzie popadło, okryta kastylijską chustą, z butami jako poduszką, nie zdejmując ubrania. Brud i pot przestały jej przeszkadzać, jadła, kiedy mogła, a jedynymi środkami ostrożności, jakie zachowywała, to gotowanie wody do picia i unikanie wzroku gringos.

W tym czasie dotarło tam już ponad sto tysięcy ar-gonautów i stale napływali nowi, zalewając tereny wzdłuż żyły - Matki, wywracając świat do góry nogami, przenosząc góry, zmieniając koryta rzek, niszcząc lasy, obracając skały w proch, przewożąc tony piasku i wykopując nieprawdopodob-ne doły. W miejscach, gdzie było złoto, rajskie terytorium, które od niepamiętnych czasów trwało niezmienione, prze-kształcało się teraz w koszmarne księżycowy krajobraz. Eliza była wyczerpana, ale odzyskała siły i przestała się bać. Zaczęła ponownie miesiączkować, w najmniej odpowiednim dla niej czasie, bo przebywała stale w towarzystwie mężczyzn i niełatwo było fakt ten ukrywać, ale bardzo się ucieszyła, gdyż był to znak, że powróciła do zdrowia. „Twoje igły do akupunktury dobrze mi zrobiły, Tao. Mam nadzieję, że w przyszłości będę miała dużo dzieci” - napisała do przyjaciela, pewna, że ten dobrze ją zrozumie bez dalszych wyjaś-nień. Ani na chwilę nie rozstawała się z bronią, chociaż nie umiała się nią posługiwać, i miała nadzieję, że nigdy nie zajdzie potrzeba, aby musiała jej użyć. Tylko raz wystrzeliła w powietrze, aby odstraszyć kilku indiańskich chłopaków, którzy podeszli za blisko i wydawali się jej groźni, ale gdyby miała się z nimi zmierzyć, bardzo źle by na tym wyszła, gdyż nie potrafiła trafić w osła z odległości pięciu kroków. Nie zrobiła postępów, jeśli chodzi o celność strzelania, za to niezwykle rozwinęła swój talent do stawania się niewidzialną. Mogła wjeżdżać do wsi, nie zwracając niczyjej uwagi, miesza-jąc się z grupkami Latynosów, wśród których chłopak o jej wyglądzie niczym się nie wyróżniał. Do perfekcji nauczyła się naśladować akcent peruwiański i meksykański, tak że kiedy szukała schronienia, podawała się za osobę jednej albo drugiej narodowości. Zmieniła również swój angielski na amerykański i wprowadziła do słownika kilka

przekleństw, aby pozyskać akceptację gringos. Zauważyła, że kiedy mówi tak jak oni, liczą się z nią. Zrozumiała, że najważniejsze to się nie tłumaczyć, mówić jak najmniej, o nic nie prosić, umieć zapracować na jedzenie, nie dawać się sprowokować i trzymać się małej Biblii, którą kupiła sobie w Sonorze. Nawet najgorsi prostytutki czuli wobec tej książki jakiś zabobonny szacunek. Dziwili się na widok młodzika o głosie kobiety, który wieczorami czytywał Pismo Święte, ale nie śmiali się z niego otwarcie, wręcz przeciwnie, niektórzy stawali w jego obronie, gotowi rzucić się z pięściami na każdego, kto by próbował to zrobić. W tych samotnych i brutalnych mężczyznach, którzy niczym mityczni herosi starożytnej Grecji wyruszyli na poszukiwanie złotego runa, a czuli się zepchnięci na samo dno, częstokroć chorych, będących ofiarami przemocy i alkoholu, drzemała niewypowiedziana tęsknota za czułością i ładem społecznym. Kiedy słuchali romantycznych piosenek, wilgotniały im oczy; byli gotowi zapłacić każdą cenę za kawałek placka z jabłkami, który byłby im pociechą w ich tęsknocie za rodzinnym domem; nieraz nakładali dużo drogi, byle tylko znaleźć się w pobliżu jakiegoś domostwa, i jeśli było tam dziecko, zastygali w bezruchu, wpatrując się w nie w milczeniu, jakby widzieli jakiś cud.

„Nie bój się, Tao, nie podróżuję sama, to byłoby szaleństwo” - pisała Eliza do przyjaciela. „Trzeba poruszać się w dużych grupach, pod bronią i ostrożnie, bo w ostatnich miesiącach namnożyło się band uciekających przed prawem. Indianie, chociaż wyglądają okropnie, są nastawieni raczej pokojowo, jednak widząc bezbronnego jeźdźca, mogą pozbawić go jego najcenniejszego dobytku: konia, broni i butów. Przyłączam się do innych wędrowców: kupców, którzy ze swym towarem jeżdżą od jednej osady do drugiej, górników poszukujących nowych żył, farmerskich rodzin, myśliwych, przedsiębiorców i agentów obrotu nieruchomościami, którzy zaczynają inwazję na Kalifornię, graczy, bandytów, prawników i innych kanalii, którzy jako towarzysze podróży zazwyczaj są zabawni i wielkoduszni. Krążą po tych drogach również kaznodzieje; zawsze są to ludzie młodzi i zachowują się jak wariaci, którzy doznali objawienia. Pomyśl, ile trzeba wiary, żeby jechać trzy tysiące mil przez dziewicze pastwiska tylko po to, żeby zwalczać cudze nałogi. Opuszczają swoje miasteczka pełni sił i pasji, gotowi nieść słowo Chrystusa do tych zapadłych dziur, nie zważając na przeszkody i niedole, jakie napotykają na drodze, gdyż Bóg kroczy obok nich. Nazywają górników «czcicielami złotego cielca». Musisz przeczytać Biblię, Tao, inaczej nigdy nie zrozumiesz chrześcijan. Niestraszne tym pastorom kłopoty materialne, jakie sprowadzić na nich mogą zmienne koleje losu, ale wielu załamuje się z bezsilności wobec podporządkowującej sobie wszystko siły zachłanności. Krzepiący jest ich widok tuż po przyjeździe, ale smutno jest natknąć się na nich, kiedy - opuszczeni przez Boga

- przygnębieni i spragnieni, w straszliwym słońcu jeżdżą od jednego obozu do drugiego i na placach, i w gospodach wygłaszają kazania wobec obojętnego tłumu; ludzie słuchają ich, nie zdejmując kapeluszy i pięć minut później upijają się w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów. Poznałam grupę wędrownych artystów, Tao, byli to marni komedianci, którzy zatrzymywali się po wsiach, żeby rozśmieszać ludzi pantomimą, pieprznymi przyśpiewkami i głupawymi skeczami. Jeździłam z nimi przez kilka tygodni i włączyli mnie do przedstawienia. Jeśli udało się nam zdobyć pianino, grałam, ale jeśli nie, występowałam w roli młodej damy i wszyscy nie mogli wyjść z podziwu, jak świetnie udaję kobietę. Musiałam ich zostawić, bo od tego wszystkiego zaczynałam wariować i już nie wiedziałam, czy jestem kobietą przebraną za mężczyznę, czy mężczyzną przebrany za kobietę, czy jakimś wybrykiem natury”.

Zaprzyjaźniła się z listonoszem i kiedy tylko mogła, zabierała się z nim, bo jeździł szybko i miał kontakty; jeżeli ktoś może znaleźć Joaquina Andietę, to na pewno on, myślała. Mężczyzna ów dowoził górnikom pocztę i wracał z workami złota, które oddawali na przechowanie do banków. Był to jeden z wielu wizjonerów, którzy wzbogacili się na gorączce złota, nie mając nigdy łopaty ani kilofa w ręce. Pobierał dwa i pół dolara za zawieszenie listu do San Francisco i wykorzystując fakt, iż górnicy złaźnieni byli wiadomości z domu, żądał uncji złota za dostarczanie im listów, które do nich przychodziły. Na interesie tym zbijał fortunę, miał nadmiar klientów i żaden z nich nie sarkał na te ceny, gdyż nie było innego wyboru; nie mogli zostawić kopalni, żeby jechać po korespondencję, ani zdeponować dochodów w banku leżącym o sto mil od nich. Eliza szukała także towarzystwa Charleya, człowieka mającego w zanadrzu mnóstwo historyjek, który rywalizował z meksykańskimi poganiaczami, przewożącymi towar na mulicach. Chociaż nie bał się nawet diabła, zawsze był wdzięczny za towarzystwo, gdyż potrzebował uszu chętnych do słuchania jego opowieści. Im dłużej Eliza go obserwowała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to kobieta przebrana za mężczyznę tak jak ona. Charley miał skórę ogorzałą od słońca, żuł tytoń, klął jak bandyta i nie rozstawał się ze swymi pistoletami ani rękawiczkami, ale kiedyś udało jej się zobaczyć jego dłonie, i były drobne i białe jak u dziewczyny.

Pokochała wolność. W domu Sommersów żyła w czterech ścianach, w niezmiennie tym samym otoczeniu, gdzie czas zataczał kręgi, a przez opierające się wszelkim atakom burzy okna z trudem dawało się dostrzec linię horyzontu; wzrastała w nieprzeniknionej zbroi dobrych manier i konwenansów, od zawsze przyuczana do spełniania cudzych życzeń i usługiwania, ograniczana gorsetem, rutyną, normami społecznymi i lękiem. Stale towarzyszył jej strach: strach przed Bogiem i Jego nieodgadnioną sprawiedliwością, przed

autorytetem, przed przybranymi rodzicami, przed chorobą i urokiem, przed nieznanym i obcym, przed wyjściem z bezpiecznego domu i zderzeniem z zagrożeniem czyhającym na ulicy; strach przed swą własną kobiecą słabością, utratą czci i prawdą. Otaczała ją lukrowana rzeczywistość, na którą składały się uniki, uprzejme przemilczenia, dobrze strzeżone sekrety, ład i dyscyplina. Pragnęła żyć w cnocie, ale teraz wątpiła w sens tego słowa. Oddawszy się Joaquinowi Andiecie w po-koju pełnym szaf, popełniła błąd nie do naprawienia w oczach świata, ale w jej własnych - miłość usprawiedliwiała wszystko. Nie wiedziała, co straciła, ani co zyskała wraz z tą na-miętnością. Wyjechała z Chile, zamierzając odnaleźć swego kochanka i na zawsze stać się jego niewolnicą, sądząc, że w ten sposób ugasi pragnienie uległości i ukrytą żądzę posiadania, ale teraz już nie czuła się na siłach, by wyrzec się owych skrzydeł wyrastających jej u ramion. Nie żałowała niczego, co przeżyła ze swym kochankiem, ani nie wstydziła się tego ognia, który ją odmienił, wręcz przeciwnie, czuła, że dodał jej sił, odwagi do podejmowania decyzji i do ponoszenia ich konsekwencji. Przed nikim nie musiała się tłumaczyć; o ile nawet popełniła błąd, i tak zbyt surowo została za niego ukarana rozstaniem z rodziną, męczarnią, jaką przeżyła pogrzebana żywcem w ładowni statku, utratą dziecka i absolutną niepewnością jutra. Kiedy zaszła w ciążę, poczuła się schwytna w pułapkę, w swoim dzienniku na-pisała, że nie ma już prawa do szczęścia, jednak w ciągu tych ostatnich miesięcy, które spędziła przemierzając konno złocisty krajobraz Kalifornii, czuła, że unosi się niczym kondor. Pewnego ranka obudziło ją rżenie konia i promień wschodzącego słońca padający jej na twarz. Otworzywszy oczy, ujrzała nad sobą wyniosłe sekwoje, które, niczym stu-letni strażnicy, czuwały nad jej snem, dalej łagodne pagórki, a jeszcze dalej wysokie fioletowe szczyty; wówczas ogarnęło ją jakieś atawistyczne szczęście, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyła. Zdała sobie sprawę, że nie odczuwa już tego lęku, jaki czaił się jej gdzieś w żołądku, niczym szczur gotowy ją ugryźć. Jej obawy rozplynęły się w przytłaczającym majesta-cie tej ziemi. W miarę jak stawiała czoło niebezpieczeństwu, nabierała odwagi: już się nie bała bać. „Odnajduję w sobie nowe siły, które może zawsze we mnie były, ale o nich nie wiedziałam, bo do tej pory nie miałam potrzeby do nich sięgać. Nie wiem, za którym zakrętem drogi zgubiłam tę osobę, którą kiedyś byłam, Tao. Teraz jestem jednym z wielu poszukiwaczy przygód rozproszonych wzdłuż brzegów okolicznych przejrzystych rzek i podnóży tych odwiecznych gór. Tutejsi ludzie są dumni, mają nad sobą tylko niebo i nikomu się nie kłaniają, gdyż wynaleźli równość. A ja chcę być jedną z nich. Jedni kroczą zwycięsko z workiem złota przerzuconym przez plecy, a inni, pokonani, dźwigają tylko swoje rozczarowania i długi, ale wszyscy czują się panami swego losu, ziemi, po której chodzą, przyszłości i swojej własnej niepodważalnej godności. Teraz, kiedy ich

poznałam, nie mogę z powrotem stać się taką panienką, na jaką próbowała mnie wychować Miss Rosę. W końcu zrozumiałam Joaquina, który kradł cenne godziny naszej miłości, żeby mi mówić o wolności. Bo teraz wiem, że miał na myśli właśnie to... Tę euforię, to światło, to szczęście, które odczuwam równie intensywnie, jak w tamtych rzadkich chwilach wspólnie przeżywanej miłości, które jeszcze pamiętam. Tęsknię za Tobą, Tao. Nie mam z kim porozmawiać o tym, co widzę i czuję. Nie mam przyjaciół na tych pustkowiach, a występując w roli mężczyzny, bardzo uważam na to, co mówię. Chodzę ze zmarszczonym czołem, żeby myśleli, że taki ze mnie macho. Bycie mężczyzną jest bardzo męczące, ale bycie kobietą jeszcze bardziej”.

Przenosząc się z miejsca na miejsce, poznała ów górzysty teren, jakby się tam urodziła, umiała zorientować się, gdzie jest i w jakiej odległości, odróżniała węże jadowite od niegroźnych i grupy nastawione wrogo od przyjaciół, z kształtu chmur potrafiła przepowiedzieć pogodę, a z kąta padania swego cienia - godzinę, wiedziała, co zrobić, gdyby na jej drodze stanął niedźwiedź, i jak podejść do samotnego szałasu tak, żeby nie powitał jej grad kul. Czasami spotykała nowo przybyłych młodych ludzi, ciągnących ze sobą skomplikowane maszyny górnicze, które później porzucali jako bezużyteczne, albo grupy ogarniętych gorączką mężczyzn, którzy schodzili z gór po miesiącach jałowej pracy. Nie mogła zapomnieć pewnego trupa rozdziobyanego przez ptaki, który wisiał na dębie, z tabliczką na piersiach z wypisaną przestrogą... Podczas swoich wędrówek widziała Amerykanów, Europejczyków, Kanaków, Meksykanów, Chilijczyków, Peruwianczyków, a także długie szeregi milczących Chińczyków sunących pod kierunkiem nadzorca, który mimo iż należał do tej samej rasy co oni, traktował ich jak niewolników i płacił im nędzne grosze. Na plecach nieśli węzłki, a w rękach wysokie buty, bo dotychczas zawsze chodzili w pantoflach, więc teraz nie mogli znieść ciężaru obuwia na stopach. Byli to ludzie oszczędni, żyli byle czym i starali się wydawać jak najmniej, buty kupowali duże, bo wydawało się im, że takie są cenniejsze, i wpadali w zdumienie, widząc, że małe kosztują tyle samo. Elizie wystrzył się instynkt obronny, dzięki któremu udawało się jej unikać niebezpieczeństw. Nauczyła się żyć dniem dzisiejszym, nie robiąc planów, tak jak jej to radził Tao Chi'en. Stale o nim myślała i często do niego pisała, ale posyłać mu listy mogła jedynie wtedy, kiedy dojeżdżała do miejscowości, z której odchodziła poczta do Sacramento. Było to tak, jakby list rzucała w butelce do morza, bo nie wiedziała, czy on nadal mieszka w tym mieście, a jedyny pewny adres, jaki miała, był to adres chińskiej restauracji. O ile jej listy tam docierały, bez wątpienia mu je oddawano.

Opowiadała mu o pięknie krajobrazu, upale i pragnieniu, wzgórzach o lubieżnych

krzywiznach, grubych dębach i wy-smukłych sosnach, lodowatych rzekach, których wody były tak czyste, że widać przez nie było złoto błyszczące w ich łóżyskach, dzikich gęsiach gęgających na niebie, jeleniach i wielkich niedźwiedziach, o twardym górniczym życiu i mrzonce łatwej fortuny. Mówiła mu to, o czym oboje już wiedzieli: że nie warto tracić życia, goniąc za żółtym pro-szkiem. I domyślała się odpowiedzi Tao: że tak samo nie ma sensu trwonić go w pogoni za iluzją miłości, ale ona kontynuowała swój marsz, bo nie potrafiła się zatrzymać. Joaquin Andieta zaczynał się rozwiewać, jej dobra pamięć nie potrafiła już precyzyjnie i jasno podsunąć rysów twarzy kochanka, musiała od nowa przeczytać wszystkie miłosne listy, żeby nabrać pewności, że naprawdę istniał, że się kochali i że noce w pokoju pełnym szaf nie były wytworem jej wyobraźni. W ten sposób podsycala w sobie słodką udrękę osamotnionej miłości. Tao Chi'enowi opisywała ludzi, których poznawała po drodze: emigrantów meksykańskich, osiadłych w Sonorze, jedynym miejscu, gdzie dzieci ganiały po ulicach, skromne kobiety podejmujące ją w swoich domach, nie podejrzewając, że jest jedną z nich, młodych Amerykanów, którzy tamtej jesieni docierali do żył złota, przemierzywszy kontynent drogą lądową od wybrzeży Atlantyku po Pacyfik. Liczbę nowo przybyłych szacowano na czterdzieści tysięcy, a każdy z nich zamierzał się wzbogacić w mgnieniu oka i triumfalnie wrócić w rodzinne strony. Nazywano ich „rocznik 49”, a określenie to zdobyło dużą popularność i objęło również tych, którzy przybyli wcześniej i później. Na Wschodzie zostały całe miasta bez mężczyzn, zamieszkane tylko przez kobiety, dzieci i więźniów.

„W kopalniach widuję bardzo mało kobiet, ale jest kilka takich, którym starczyło odwagi, aby towarzyszyć swoim mężom w tym pieskim życiu. Dzieci tracą w epidemiach albo w wypadkach, wyprawiają im pogrzeb, oplakują i dalej pracują od wschodu do zachodu słońca, nie chcąc dopuścić, aby barbarzyństwo wydarło im resztki godności. Zakasują spód-nice i wchodzą do wody, szukając złota, ale niektóre od-krywają, że prać cudzą bieliznę i piec ciasteczka na sprzedaż oplaca się bardziej, tak że więcej zarabiają przez tydzień niż ich towarzysze zginający krzyż nad żyłami złota przez mie-siąc. Samotny mężczyzna z przyjemnością dziesięciokrotnie przepłaci chleb, jeśli zagniotą go ręce kobiety; gdybym ja chciała sprzedać to samo, przebrana za Eliasa Andietę, dadzą mi zaledwie parę centów, Tao. Mężczyźni są gotowi przejść wiele mil, byle tylko popatrzeć na jakąś kobietę z bliska. Dziewczyna, która by usiadła przed gospodą, żeby odpocząć na słońcu, po kilku minutach będzie miała na kolanach kolekcję woreczków ze złotem; będzie to podarunek od męż-czyzn ogłupiałych na widok spódnicy, wywołujący w nich falę wspomnień. A ceny rosną, górnicy stale biednieją, kupcy się bogacą. W chwili desperacji zapłaciłam dolara za jedno jajko i zjadłam je na surowo z łykiem brandy, solą i pieprzem, tak jak mnie nauczyła Mama Frezja:

to niezawodny środek na smutek. Poznałam pewnego chłopaka z Georgii, jest szaleńcem, biedaczek, ale powiadają, że nie zawsze był taki. Na początku roku trafił na żyłę złota i łyżką wydłubał ze skał dziewięć tysięcy dolarów, ale stracił je w jeden wieczór grając w monte. Oj, Tao, nie wyobrażasz sobie, jaką mam ochotę się wykąpać, przygotować herbatę i usiąść obok Ciebie, żeby z Tobą porozmawiać. Chciałabym włożyć czystą sukienkę i kolczyki, które podarowała mi Miss Rose, żebyś chociaż raz zobaczył, jaka jestem ładna, i nie myślał o mnie jak o jakiejś herod - babie. Notuję sobie w dzienniku, co mi się przydarza, tak że kiedy się spotkamy, będę mogła opowiedzieć Ci wszystko ze szczegółami, bo przynajmniej tego jestem pewna: któregoś dnia znowu będziemy razem. Myślę o Miss Rose i o tym, jaka musi być na mnie obrażona, ale nie mogę do niej napisać, zanim nie znajdę Joaquina, bo do tej chwili nikt nie może wiedzieć, gdzie jestem. Gdyby Miss Rose mogła sobie wyobrazić rzeczy, które ja widziałam i słyszałam, umarłaby. To ziemia grzechu, powiedziałyby pan Sommers, nie ma tu moralności ani praw, rządzą hazard, alkohol i burdele, ale dla mnie ten kraj to czysta karta, na niej mogę zapisać moje nowe życie, stać się tym, kim zechcę, nikt mnie nie zna poza Tobą, nikt nie zna mojej przeszłości, mogę urodzić się na nowo. Tutaj nie ma panów ani służących, są tylko ludzie pracy. Widziałam dawnych niewolników, którzy zgromadzili dosyć złota, aby zakładać czasopisma, szkoły i Kościoły dla członków swojej rasy; znoszą niewolnictwo, zaczynając od Kalifornii. Poznałam jednego, który kupił wolność swojej matce; biedaczka dotarła tu chora i podstarzała, ale teraz zarabia, ile chce, sprzedając jedzenie; kupiła ranczo i co niedziela ubrana w jedwabie jedzie do kościoła bryczką zaprzęgniętą w czwórkę koni. Wiesz, że wielu czarnych marynarzy zdezerterowało ze statków nie tylko ze względu na złoto, ale też dlatego, że tutaj mogą poczuć się ludźmi wolnymi. Przypominam sobie wyglądające zza krat chińskie niewolnice, które pokazałeś mi w San Francisco, nie mogę o nich zapomnieć, martwię się o nie jak o dusze potępione. Tutaj życie prostytutek też jest brutalne, niektóre popełniają samobójstwo. Mężczyźni godzinami czekają, żeby z szacunkiem ukłonić się nowej nauczycielce, ale źle traktują dziewczęta z «salonów». Wiesz, jak je nazywają? «Splamione gołąbeczki». Indianie też odbierają sobie życie, Tao. Zewsząd są wyrzucani, chodzą wygłodzeni i zrozpaczeni. Nikt nie chce ich zatrudnić, a potem oskarżają ich o włóczęgostwo, zakuwają w łańcuchy i skazują na przymusowe roboty. Burmistrzowie za każdego martwego Indianina płacą pięć dolarów, więc zabija się ich dla sportu, a czasami skalpuje. Bywają gringos, którzy kolekcjonują takie trofea i obnoszą się z nimi, przytroczywszy je do siodeł. Pewnie Cię ucieszy wiadomość, że zdarzają się Chińczycy, którzy zamieszkali z Indianami. Wyruszają daleko, ku lasom Północy, gdzie jeszcze można coś upolować. Powiadają, że na perychiach zostało już bardzo mało bizonów”.

Kiedy walka niedźwiedzia dobiegła końca, Eliza została bez pieniędzy, za to z silnym uczuciem głodu; od poprzedniego dnia nic nie miała w ustach i przyrzekła sobie, że nigdy więcej, mając pusty żołądek, nie postawi swoich oszczędności w żadnej grze. Kiedy już nie pozostało jej do sprzedania, kilka dni przeżyła nie wiedząc, co dalej ze sobą począć, aż w końcu wyszła rozejrzeć się za pracą i odkryła, że zarobić na życie jest znacznie łatwiej, niż przypuszczała, w każdym razie było to lepsze niż szukanie kogoś, kto by płacił za jej rachunki. Bez mężczyzny, który by ją ochraniał i utrzymywał, kobieta jest zgubiona, wbijała jej do głowy Miss Rose, ale Eliza odkryła, że nie zawsze jest to prawdą. Podając się za Eliasa Andietę, wykonywała prace, których mogłaby się podjąć również jako kobieta. Nie mogła zatrudnić się jako robotnik rolny albo pasterz; nie umiała posługiwać się narzędziami ani lassem i nie miała dosyć siły, żeby podnieść łopatę albo skrępować byczka, ale były też odpowiednie dla niej inne zajęcia. Tamtego dnia - tak jak to wcześniej robiła już wiele razy - postanowiła zarobić piórem. Pomysł pisania listów podsunął jej przyjaciel listonosz. Jeśli nie mogła robić tego w gospodzie, na środku placu rozpościerała swoją kastylijską chustę, na niej stawiała kałamarz i kładła papier, a następnie, krzycząc na całe gardło, ogłaszała swoje usługi. Niewielu górników potrafiło płynnie czytać albo podpisać się pełnym imieniem i nazwiskiem, żaden z nich w życiu nie napisał ani jednego listu, ale ze wzruszającą żarliwością wszyscy czekali na pocztę, gdyż był to jedyny ich kontakt z dalekimi rodzinami. Parowce Pacific Mail docierały do San Francisco co dwa tygodnie z workami korespondencji i ledwie zamajaczyły na horyzoncie, ludzie rzucali się, aby stanąć w kolejce przed urzędem pocztowym. Sortowanie zawartości worków zajmowało pracownikom dziesięć albo i dwanaście godzin, ale nikt nie protestował, nawet jeśli przychodziło mu czekać cały dzień. Stamtąd do kopalni korespondencja szła jeszcze kilka tygodni. Eliza oferowała swoje usługi w języku angielskim i hiszpańskim, czytała listy i odpowiadała na nie. Jeśli klient ledwo potrafił skłecić dwa lakoniczne zdania, w których donosił, że jeszcze żyje i wszystkich pozdrawia, cierpliwie zadawała mu pytania i dodawała nieco bardziej kwiecistą opowieść, tak żeby zapełnić co najmniej stronicę. Brała po dwa dolary od listu, bez względu na jego długość, ale kiedy dodawała jakieś sentymentalne wyrażenia, które mężczyźni nigdy by nie przyszły do głowy, zazwyczaj dostawała niezły napiwek. Niektórzy przynosili otrzymane listy, prosząc, żeby im je przeczytała, i te również trochę ubarwiała, tak że nieszczęśnik dostawał na pociechę kilka czułych słów. Kobiety, znudzone czekaniem na drugim krańcu kontynentu, zwykle wypisywały jedynie swoje skargi, wyrzuty albo długie listy chrześcijańskich porad, nie pamiętając, że ich mężowie chorują na samotność. Pewnego smutnego poniedziałku przy-szedł po nią szeryf, żeby spisała ostatnie słowa więźnia skazanego na śmierć, młodego

chłopaka z Wisconsin, którego tego ranka oskarżono o kradzież konia. Opanowany, mimo swoich ledwo skończonych dziewiętnastu lat, podyktował Elizie: „Kochana Mamo, mam nadzieję, że kiedy otrzymasz tę wiadomość, będziesz się czuła dobrze i powiesz Bobowi i Jamesowi, że mnie dzisiaj powiesz. Pozdrowienia, Theodore”. Eliza próbowała złagodzić nieco to przesłanie, aby oszczędzić nieszczęsnej matce omdlenia, ale szeryf stwierdził, że nie ma czasu na subtelności. Kilka minut później uczeni obywatele gromadnie zaprowadzili przestępcę na środek miasta, z pętlą na szyi posadzili go na koniu, drugi koniec sznura przerzucili przez gałąź dębu, po czym uderzyli zwierzę w zad i Theodore zawisł bez zbędnych ceregieli. Nie był pierwszym skazańcem, jakiego Eliza widziała. Tę karę przynajmniej wykonano szybko, ale jeśli oskarżony należał do innej rasy, zazwyczaj przed egzekucją wymierzano mu chłostę, i chociaż dziewczyna odchodziła daleko, wrzaski skazańca i krzyki obserwatorów huczały jej w uszach całe tygodnie.

Owego dnia miała właśnie zapytać w gospodzie, czy może rozłożyć swój warsztat pisarczyka, kiedy uwagę jej przykuło jakieś zamieszanie. W chwili gdy publiczność, która oglądała walkę niedźwiedzia, zaczęła się rozchodzić, jedyną ulicą miasta wjechały wozy ciągnięte przez mulice, przed nimi zaś szedł mały Indianin grający na bębenku. Nie były to zwykłe wozy, ich brezentowe plandeki pokrywały jakieś bohomazy, z dachów zwisały frędzle, pompony i chińskie lampiony, mulice były udekorowane jak w cyrku, a ich przemarszowi towarzyszył nieznośny grzechot miedzianych brząkadełek. Na koźle pierwszego pojazdu siedziała herod - baba o hiperbolicznych piersiach, w stroju mężczyzny i z piracką fajką w zębach. Drugim wozem kierował jakiś ogromny typ ubrany w wyliniałe wilcze skóry, z ogoloną głową i kółkami w uszach, uzbrojony, jakby szedł na wojnę. Oba wozy ciągnęły przyczepy, w których jechała reszta trupy: cztery młode dziewczyny wystrojone w aksamity i przywidłe brokaty, które posyłały całusy w stronę zdumionego tłumu. Osłupienie trwało zaledwie ułamek sekundy, gdyż z chwilą gdy rozpoznano wozy, pod wieczorne niebo wzbily się okrzyki i salwy strzałów na wiwat.

Do tej pory „splamione gołąbeczki” prosperowały w Kalifornii znakomicie, bo prawie nie było tam kobiet. Sytuacja zmieniła się, kiedy w nowych osadach zamieszkały pierwsze rodziny. Pojawili się też kaznodzieje, którzy za płatną miłość grozili wiecznym potępieniem. Z braku świątyń nabożeństwa odprawiali w tych samych „salonach”, które były wylęgarnią grzechów. Na godzinę przerywano sprzedaż alkoholu, chowano karty i odwracano do ściany nieprzyzwoite obrazki, i w tym czasie mężczyźni otrzymywali od pastora nagany za ich wiarołomstwo i folgowanie namiętnościom. Dziwki, stojące na balkonie drugiego piętra, z filozoficznym spokojem znosiły kazanie, pocieszając się, że za

godzinę wszystko wróci do normy. Dopóki interes się kręcił, mało je obchodziło, że ci, którzy im płacą, potem zarzucają im, że biorą pieniądze, tak jakby oni sami nie byli winni, a tylko one, ponieważ ich kuszą. Niektóre z nich, zmęczone przekupywaniem władz i znoszeniem upokorzeń, zabierały swoje manatki i przenosiły się w inne strony, gdzie prędzej czy później cykl się powtarzał. Tak zrodził się pomysł świadczenia usług metodą objazdową, który miał tę zaletę, że pozwalał uniknąć kąśliwych uwag ze strony małżonek i wielebnych pastorów, a poza tym zakres działania rozszerzał się na najdalsze strefy, gdzie stawka była podwójna. Interes kwitł przy dobrej pogodzie, ale nadciągała zima, niedługo mógł spaść śnieg, a wtedy drogi stałyby się nieprzejezdne; była to jedna z ostatnich podróży karawany. Wozy przejechały wzdłuż całej ulicy i zatrzymały się u jej wylotu z miasteczka, a za nimi ruszyła procesja mężczyzn, podnieconych alkoholem i walką niedźwiedzia. Eliza również udała się w tamtą stronę, żeby z bliska zobaczyć nowo przybyłych. Zrozumiała, że nie będzie miała klientów, którzy chcieliby skorzystać z jej usług epistolarnych, i że musi znaleźć inny sposób, żeby zarobić na kolację. Korzystając z tego, że niebo było bezchmurne, wielu chętnych zgłosiło się do wyprzęgania mulic i pomocy przy zdejmowaniu z wozu wysłużonego pianina, które postawiono na murawie, tak jak życzyła sobie madame, znana wszystkim pod wytwornym imieniem Joe Łamignata. W mgnieniu oka oczyszczono , kawałek ziemi, rozstawiono stoły i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się butelki rumu i stosy kartek pocztowych z nagimi kobietami, a także skrzynie z książkami w brukowych wydaniach, reklamowane jako „romanse łóż-kowe z pikantnymi scenami prosto z Francji”. Sprzedawano je po dziesięć dolarów, czyli po okazyjnej cenie, gdyż pozwalały podniecać się do woli, a ponadto można je było wypożyczać przyjacielom, więc były znacznie bardziej opłacalne niż ko-bieta z krwi i kości - wyjaśniała Łamignat, na dowód czego przeczytała jeden akapit, którego publiczność wysłuchiwała w śmiertelnej ciszy, jakby chodziło o jakieś prorocze ob-jawienie. Zakończeniu lektury towarzyszyło chóralne rechota-nie i sprośne żarty i w ciągu paru minut w skrzyniach nie została ani jedna książka. Tymczasem zapadła noc i trzeba było zapalić pochodnie. Madame kazała sobie słono płacić za butelkę rumu, za to taniec z dziewczynkami kosztował jedną czwartą tej ceny. „Czy jest ktoś, kto by umiał zagrać na tym przeklętym pianinie?” - zapytała. Wówczas Eliza, której kiszki grały marsza, nie zastanawiając się długo, podeszła i zasiadła do rozstrojonego instrumentu, przywołując w du-chu Miss Rosę. Nie grała od dziesięciu miesięcy i nie miała dobrego słuchu, ale wieloletnie doświadczenie z metalowym drążkiem na plecach i klapsy belgijskiego profesora zrobiły swoje. Zaatakowała jedną ze swawolnych piosenek, które Miss Rosę i jej brat kapitan śpiewali zwykle w duecie w niewinnych czasach wieczorków muzycznych, zanim los

wymierzył Elizie bolesny cios, wywracając cały świat do góry nogami. Ze zdumieniem zauważyła, że jej nieporadna interpretacja spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem. Nie minęły dwie minuty, a wtórować jej zaczęły jakieś proste skrzypce, atmosfera rozluźniła się i mężczyźni zaczęli wyrywać sobie cztery nowo przybyłe kobiety, aby biegać z nimi i truchtać na prowizorycznym parkiecie. Olbrzym w skórach zdjął Elizie kapelusz i położył go na pianinie tak zdecydowanym gestem, że nikt nie ośmielił się tego nie zauważyć, i kapelusz prędko zaczął napełniać się napiwkami.

Jeden z wozów pełnił różnorakie funkcje, służył też jako sypialnia bajzelmamy i jej adoptowanego syna, chłopczyka z bębenkiem, w drugim jechały ściśnięte pozostałe kobiety, dwie przyczepy zaś przerobiono na alkowy dla klientów. Każda z nich, wyściełana różnobarwnymi chustami, posiadała składane łóżce z czterema kolumnami i baldachimem ze strzępami moskitiery, lustro w złożonych ramach, komplet do mycia i dodatkową fajansową miskę, wyblakłe i nieco zjedzone przez mole, ale jeszcze rzucające się w oczy perskie dywany i lichtarze z lampkami oliwnymi. Ta teatralna dekoracja wprowadzała klientów w stan ożywienia, pozwalała nie widzieć kurzu dróg i nie słyszeć odgłosów towarzyszących korzystaniu z alkowy zgodnie z jej przeznaczeniem. Podczas gdy dwie kobiety tańczyły w rytm muzyki, pozostałe w pośpiechu wykonywały zawodowe obowiązki. Bajzelmama, z nieodłączną fajką w zębach, obdarzona prawdziwie czarodziejskimi talentami do kart, nie zaniedbywała stołów do gry ani obowiązku pobierania z góry opłat za usługi swoich „gołąbeczek”, sprzedawania rumu i troski o odpowiedni nastrój zabawy. Eliza zagrała piosenki, które znała na pamięć, a kiedy repertuar jej się wyczerpał, od początku zaczynała od pierwszej z nich, ale nikt nie zauważył, że się powtarzają, aż w końcu oczy zasły jej mgłą ze zmęczenia. Widząc, że słabnie, olbrzym zarządził przerwę, wyjął pieniądze z kapelusza i wsadził je pianaście do kieszeni, po czym wziął go pod ramię i właściwie zaniósł na rękach do pierwszego wozu, gdzie wcisnął mu do ręki szklankę rumu. Eliza odstawiła ją omdlewającym gestem; wypicie rumu na czczo byłoby jak uderzenie kijem w kark; wtedy olbrzym poszperał w bałaganie skrzyń i naczyń i wyciągnął chleb i kilka kawałków cebuli, na które Eliza rzuciła się, drżąc na sam ich widok. Kiedy je pożarła, podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą typa w skórach, który przyglądał się jej ze swej straszliwej wysokości. Twarz rozjaśniał mu niewinny uśmiech, ukazujący najbielsze i najrówniejsze zęby na świecie.

- Masz twarz kobiety - powiedział, a ona wzruszyła ramionami.

- Nazywam się Elias Andieta - odrzekła, sięgając dłonią po pistolet, jakby miała zamiar strzałami bronić swego męskiego imienia.

- Ja jestem Babalu, ten Zły.

- A czy jest Dobry Babalu?
- Był.
- A co się z nim stało?
- Spotkał mnie. Skąd jesteś, mały?
- Z Chile. Szukam brata. Nie słyszałeś, żeby ktoś wspominał Joaquina Andietę?
- O nikim nie słyszałem. Ale jeśli twój brat ma jaja na swoim miejscu, wcześniej czy później złoży nam wizytę. Wszyscy znają dziewczynki Joe Łamignata.

INTERESY

Kapitan John Sommers zarzucił kotwicę „Fortuny” w zatoce San Francisco na tyle daleko od lądu, aby żaden śmiałek nie odważył się skoczyć do wody i popłynąć wplaw do brzegu. Ostrzegł załogę, że zimna woda i prądy potrafią wykończyć każdego w czasie krótszym niż dwadzieścia minut, o ile wcześniej nie zrobią tego rekiny. Była to jego druga podróż z lodem i czuł się pewniejszy. Zanim wpłynął do wąskiego kanału Golden Gate, kazał otworzyć kilka beczek z rumem, rozdzielił go szczerze między marynarzy, a kiedy byli już pijani, wyciągnął z kabury parę pistoletów i zmusił wszystkich do położenia się na pokładzie twarzą do ziemi. Drugi oficer zakuł im stopy w dyby ku zaskoczeniu pasażerów, płynących od Valparaiso, którzy obserwowali tę scenę z pierwszego pokładu, nie mając pojęcia, co się, u diabła, dzieje. Tymczasem bracia Rodriguez de Santa Cruz wysłali z nabrzeża flotyllę łódek mających przewieźć z parowca na ląd pasażerów i cenny ładunek. Załoga miała zostać uwolniona w chwili podnoszenia kotwicy, żeby móc przystąpić do manewrów zawracania, otrzymawszy uprzednio jeszcze więcej alkoholu i premię w postaci praw-dziwych złotych i srebrnych monet o wartości dwukrotnie przewyższającej ich wynagrodzenie. Nie rekompensowało to faktu, że nie mogli przepaść gdzieś na stałym lądzie w poszukiwaniu kopalń, tak jak to prawie wszyscy planowali, ale przynajmniej było jakąś pociechą. Tę samą metodę zastosował - z doskonałym wynikiem - podczas pierwszej podróży; chełpił się, że jest posiadaczem jednego z niewielu statków handlowych, który nie został porzucony pod wpływem gorączki złota. Nikt nie miał odwagi sprzeciwić się temu angielskiemu piratowi, synowi wielkiej kurwy i Francisa Drake'a, jak go nazywano, gdyż nie było najmniejszej wątpliwości, że jest gotów opróżnić magazynki swoich sztucerów, pakując kule w pierś każdego, kto by się ośmielił podnieść na niego rękę. Na nabrzeżach San Francisco rosły stopy produktów wysłanych przez Paulinę z Valparaiso: jajka i świeże sery, warzywa i owoce chilijskiego lata, masło, cydr, ryby i owoce morza, wędliny najlepszego gatunku, wołowina i wszelkiego rodzaju drób, faszerowany i przyprawiony, gotowy do pieczenia. Paulina zamówiła u zakonnic kolonialne ciasteczka z kajmakiem i torciki z ciasta francuskiego, a także najbardziej popularne potrawy kuchni kreolskiej, które odbyły podróż zamrożone w komorach z niebieskiego śniegu. Pierwsza dostawa rozeszła się w niespełna trzy dni i tak dalece okazała się strzałem w dziesiątkę, że bracia porzucili pozostałe interesy i skupili się na cudzie lodu. Podczas podróży kawały lodowej kry z wolna topniały, ale jeszcze dużo ich zostało i w powrotnej drodze kapitan zamierzał sprzedać je w Panamie po paskarskiej cenie.

Utrzymanie w tajemnicy miazdzącego sukcesu pierwszej podróży było niemożliwe i wiadomość, że kilku Chilijczyków płynie z kawałem lodowca na pokładzie, rozeszła się lotem błyskawicy. Wkrótce zawiązały się spółki pragnące zrobić to samo z górami lodowymi Alaski, ale nie udało się pozyskać załogi ani świeżych produktów mogących równać się z chilijskimi, tak więc Paulina mogła rozwijać swój rozległy interes, nie obawiając się konkurencji, nabywając tymczasem drugi parowiec, dzięki któremu planowała rozwinąć przedsiębiorstwo.

Również skrzynie erotycznych książek kapitana Sommersa rozeszły się w jednej chwili, jednakże stało się to z zachowaniem największej dyskrecji i bez pośrednictwa braci Rodriguez de Santa Cruz. Kapitan za wszelką cenę pragnął uniknąć sytuacji, w której odezwałyby się głosy cnoty, tak jak to wcześniej miało miejsce w innych miastach, gdzie cenzura konfiskowała książki jako niemoralne i gdzie kończyły swój żywot palone na stosach w miejscach publicznych. W Europie, w luksusowych wydaniach, krążyły potajemnie wśród wielmożów i kolekcjonerów, jednak największe dochody przynosiły wydania popularne. Drukowano je w Anglii i spod lady oferowano tam za parę pensów, ale w Kalifornii kapitan sprzedawał je pięćdziesiąt razy drożej. Na widok entuzjazmu, jaki budziła tej klasy literatura, przyszło mu do głowy, aby dodać do niej ilustracje, gdyż większość górników potrafiła przeczytać wyłącznie tytuły czasopism. Nowe wydania drukowano w Londynie już z rysunkami - wulgarnymi, ale za to czytelnymi, a koniec końców głównie o to chodziło.

Jeszcze tego wieczoru John Sommers w salonie najlepszego hotelu w San Francisco jadł kolację z braćmi Rodriguez de Santa Cruz, którzy w ciągu kilku miesięcy odzyskali swój dawny wygląd dżentelmenów. Nic nie zostało z owych zarośniętych jaskiniowców, którzy nie tak dawno poszukiwali złota. Fortuna jest tutaj, w czystych transakcjach, które mogą przeprowadzać, siedząc w miękkich hotelowych fotelach z whisky w ręce, jak ludzie cywilizowani, a nie prostytutki, powiadali. Do pięciu Chilijczyków, których sprowadzili w końcu 1848 roku, dołączyło osiemdziesięciu robotników rolnych, ludzi skromnych i uległych, którzy nic nie wiedzieli o kopalniach, ale uczyli się szybko, wypełniali polecenia i nie strajkowali. Pod kierunkiem lojalnych zarządców pracowali dla braci nad brzegami rzeki Americano, podczas gdy oni sami zajmowali się transportem i handlem. Kupili dwa statki, którymi odbywali rejsy z San Francisco do Sacramento, i dwieście mulic, którymi przewozili towar na tereny złoto-nośne, gdzie prowadzili sprzedaż bezpośrednią, nie korzystając z magazynów. Okazało się, że zbiegły niewolnik, który przedtem pracował jako strażnik, ma niezwykłą głowę do liczb i teraz prowadził księgowość, również ubrany jak wielki pan, z kieliszkiem i cygarem w ręce, mimo szemrania gringos, którzy kręcili na to nosem i ledwo

tolerowali kolor jego skóry, ale nie mieli innego wyjścia i musieli z nim negocjować.

- Pańska małżonka kazała powiedzieć, że następnym rejsem „Fortuny” przyjadą: ona, dzieci, służba i pies. Mówi, żeby pan zaczął myśleć, gdzie ich pan umieści, bo nie zamierza mieszkać w hotelu - zakomunikował kapitan Felicianowi Rodriguezowi de Santa Cruz.

- Cóż za niedorzeczny pomysł! Gorączka złota nagle się skończy i to miasto znowu będzie taką samą miejsciną, jaką było dwa lata temu. Już są oznaki, że kruszcu ubywa, skończyły się te dobre czasy, kiedy znajdowano samородki jak kawałki skał. A kogo będzie obchodzić Kalifornia, jak się złoto skończy?

- Kiedy przypląnąłem tu pierwszy raz, wyglądało to jak obóz uchodźców, a jednak przekształciło się w miasto jak Pan Bóg przykazał. Szczerze mówiąc, nie wierzę, aby zniknęło jak zdmuchnięte: to drzwi na Zachód przez Pacyfik.

- Tak mówi Paulina w swoim liście.

- Posłuchaj rady żony, Feliciano, sam wiesz, jak jest bystra - wtrącił się jego brat.

- Poza tym nie ma sposobu, by ją zatrzymać. Następnym razem przyplynie ze mną. Nie zapominajmy, że jest właścicielką „Fortuny” - roześmiał się kapitan.

Podano im świeże ostrygi z Pacyfiku, jeden z niewielu luksusów gastronomicznych San Francisco, turkawki faszero-wane migdałami i gruszki w syropie, pochodzące z ładunku Pauliny, które hotel zakupił na pniu. Wino również pochodziło z Chile, szampan zaś z Francji. Na wieść o przybyciu Chilijczyków z lodem wszystkie restauracje i hotele w mieście wypełniły się klientami, pragnącymi dogodzić sobie świeżymi smakołykami, zanim ich zabraknie. Właśnie wzięli do ręki cygara, które zamierzali wypalić do kawy i brandy, kiedy John Sommers poczuł na ramieniu uderzenie, od którego o mało nie przewrócił szklanki. Odwróciwszy się, znalazł się twarzą w twarz z Jacobem Toddem, którego nie widział od ponad trzech lat, kiedy to - biednego i upokorzonego - wysadził w Anglii. Był on ostatnią osobą, jaką spodziewał się ujrzeć, i nie od razu go rozpoznał, gdyż dawny fałszywy misjonarz wyglądał jak karykatura jankesa. Stracił na wadze i czuprynie, długie bokobrody okalały mu twarz, ubrany był w garnitur w kratę nieco na niego przyciasny, buty z wężowej skóry i niestosowny biały kapelusz z Wirginii, a ponadto ze wszystkich czterech kieszeni marynarki wystawały mu ołówki, notatniki i stronice jakiegoś czasopisma. Uściskali się jak starzy znajomi. Jacob Todd przebywał w San Francisco od pięciu miesięcy i pisał o gorączce złota artykuły do prasy, które regularnie publikowano w Angin, a także w Bostonie i Nowym Jorku. Przybył tu dzięki szlachetnej interwencji Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, który dobrze pamiętał o tym, co Anglik dla niego zrobił. Jak prawdziwy Chilijczyk nigdy nie zapomniał przysługi - ani obrazy - i do-wiedziawszy się o jego kłopotach w Anglii, przysłał

mu pieniądze, bilet i list, w którym wyjaśniał, że Kalifornia jest najdalszym miejscem, do którego można dotrzeć, zanim - opływając ziemski glob - zacznie się wracać jego drugą stroną. W roku 1845 tryskający zdrowiem i energią Jacob Todd zszedł ze statku kapitana Johna Sommersa, gotów spuścić zasłonę na wstydlivy incydent w Valparaiso i po-święcić się duszą i ciałem krzewieniu w swoim kraju idei społeczeństwa utopijnego, o którym tak marzył. Nosił przy sobie gruby notatnik, pożółkły od częstego używania i mors-kiego powietrza, pełen zapisków. Wszystko, co dotyczyło tej społeczności, zostało w najdrobniejszych szczegółach prze-studiowane i zaplanowane, był pewien, że wielu młodych ludzi - starsi go nie interesowali - porzuci swoje męczące bytowanie i przystąpi do owej idealnej braterskiej wspólnoty wolnych mężczyzn i kobiet, żyjących w systemie absolutnej równości, bez władz, policji i religii. Potencjalni kandydaci do eksperymentu okazali się znacznie bardziej odporni na poj-mowanie jego idei, niż przypuszczał, ale po upływie kilku miesięcy miał już dwóch czy trzech gotowych podjąć próbę. Brakowało tylko mecenasa, który sfinansowałby ten kosztow-ny projekt, potrzebny był rozległy teren, gdyż społeczność zamierzała mieszkać daleko od wynaturzeń świata i musiała zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Todd przystąpił do rozmów z pewnym nieco zwariowanym lordem, który miał w Irlandii ogromną posiadłość, kiedy w Londynie dopadły go echa skandalu z Valparaiso, ścigające go niczym pies tropi-ciel, nie dając mu chwili wytchnienia. Również i tam zatrzas-nęły się przed nim drzwi i stracił przyjaciół, uczniowie i szlachetnie urodzeni wyparli się go i marzenie o utopii poszło w diabły. Jeszcze raz Jacob Todd próbował znaleźć pocieszenie w alkoholu i ponownie zabrnął w ślepy zaułek złych wspomnień. Mieszkał jak szczur w jakimś podłym pensjonacie, kiedy dotarło do niego zbawcze przesłanie od przyjaciela. Nie zastanawiał się długo. Zmienił nazwisko i zamustrował się na statek do Stanów Zjednoczonych, gotów rozpocząć nowy i wspaniały rozdział swego życia. Jedyne, czego pragnął, to pogrzebać hańbę i żyć anonimowo, dopóki nie narodzi się sposobność, by ożywić jego idylliczny projekt. Najważniejsze to znaleźć pracę; jego dochody zmalały i nad-chodził kres cudownych czasów nieróbstwa. Zawinąwszy do Nowego Jorku zjawił się w redakcjach kilku czasopism, oferu-jąc swoje usługi jako korespondent z Kalifornii, po czym ruszył w podróż na Zachód przez Przesmyk Panamski, gdyż nie miał odwagi przeprowić się przez Cieśninę Magellana i ponownie pojawić się w Valparaiso, gdzie oczekiwała go nie zmazana dotąd hańba, a piękna Miss Rosę znowu usłyszałaby jego splamione imię. W Kalifornii jego przyjaciel Feliciano Rodriguez de Santa Cruz pomógł mu znaleźć mieszkanie i zdobyć pracę w najstarszym dzienniku San Francisco. Jacob Todd, obecnie występujący jako Jacob Freemont, po raz pierwszy w swoim życiu podjął pracę, odkrywając ze zdumie-niem, że mu się to podoba. Krążył po całym

regionie, opisując wszystko, co przykuło jego uwagę, włączając w to masakry Indian, imigrantów przybywających ze wszystkich zakątków planety, niepohamowaną spekulację kupców, po-spieszny tryb wymiaru sprawiedliwości przyjęty wśród gór-ników i powszechny upadek obyczajów. Za jeden ze swych reportaży o mało nie zapłacił życiem. Opisał - używając eufemizmów, ale z doskonałą znajomością rzeczy - sposób, w jaki niektóre szulernie działały w oparciu o znaczone kości, wytłuszczone karty, „chrzczony” alkohol, narkotyki, prostytu-cję i praktykowane powszechnie upijanie kobiet do nieprzyto-mności, aby następnie za dolara sprzedać prawo do ich zgwałcenia tyłu mężczyznom, ilu tylko zechce wziąć udział w takowej zabawie. „Wszystko to dzieje się pod parasolem ochronnym władzy, która powinna zwalczać takie wynaturze-nia” - napisał w konkluzji. Rzucili się na niego gangsterzy, szef policji i politycy, i na parę miesięcy musiał się ulotnić, aż emocje opadły. Pomimo tej wpadki jego artykuły ukazywały się regularnie i powoli jego głos zaczynał się coraz bardziej liczyć. Tak jak to wyznał swemu przyjacielowi Johnowi Sommersowi: szukając anonimowości, znalazł rozgłos.

Po skończonej kolacji Jacob Freemont zaprosił przyjaciół na atrakcję wieczoru: była to Chinka, która pozwalała się oglądać, ale nie dotykać. Nazywała się Ah Toy; wsiadła na statek ze swym mężem, kupcem w podeszłym wieku, który był uprzejmy na pełnym morzu umrzeć i dać jej wolność. Nie traciła czasu na wdowie lamenty i dla uprzyjemnienia sobie dalszej części rejsu została kochanką kapitana, który okazał się człowiekiem hojnym. Kiedy - wytworna i bogata - scho-dziła na ląd w San Francisco, zauważyła ścigające ją lubieżne spojrzenia i przyszedł jej do głowy genialny pomysł, aby kazać sobie za nie płacić. Wynajęła dwa pokoje, przedziurawi-ła dzielącą je ścianę i za uncję złota dawała na siebie popatrzeć. Przyjaciele w dobrych humorach ruszyli za Jacobem Freemontem i za kilka dolarów łapówki mogli uniknąć kolejki i wejść jako pierwsi. Zaprowadzono ich do wąskiego pokoju przesiąkniętego tytoniowym dymem, w którym tłoczy-ło się pół tuzina mężczyzn z nosami przy ścianie. Z po-czuciem własnej śmieszności, jakby byli uczniakami, z nieja-kim trudem zdołali zajrzeć przez nierówno rozmieszczone otwory i w drugim pokoju zobaczyli piękną młodą dziewczynę ubraną w jedwabne kimono, rozcięte z obu boków od pasa aż do stóp. Pod spodem była naga. Przy każdym leniwym ruchu, który odsłaniał część jej delikatnego ciała, widzowie wydawali z siebie pomruk. John Sommers i bracia Rodriguez de Santa Cruz skręcali się ze śmiechu, nie mogąc uwierzyć, że po-trzeba kobiety może być aż tak dotkliwa. Tutaj się rozstali i kapitan z dziennikarzem poszli wychylić przed snem ostatni kieliszek. Po wysłuchaniu opowieści o podróżach i przygo-dach Jacoba, kapitan postanowił mu się zwierzyć.

- Pamięta pan Elizę, dziewczynkę, która mieszkała z moim rodzeństwem w Valparaiso?

- Doskonale.

- Prawie rok temu uciekła z domu i mam powody przypuszczać, że przebywa w Kalifornii. Próbowałem ją odnaleźć, ale nikt nie słyszał o niej ani o kimś, kto byłby do niej podobny.

- Jedyne kobiety, które przybyły tu same, to prostytutki.

- Nie wiem, jak przyjechała, w przypadku gdyby tak rzeczywiście było. Wiem tylko, że wyjechała szukać uko-čanego, młodego Chilijczyka nazwiskiem Joaquin Andieta...

- Joaquin Andieta! Znam go, był moim przyjacielem w Chile.

- To zbieg sprzed wymiaru sprawiedliwości. Oskarżają go o kradzież.

- Nie wierzę. Andieta był bardzo szlachetnym młodzieńcem. W rzeczywistości miał w sobie tyle dumy i poczucia honoru, że trudno było się do niego zbliżyć. I powiada pan, że Eliza i on są w sobie zakochani?

- Wiem tylko, że odpłynął do Kalifornii w grudniu 1848 roku. Dwa miesiące później dziewczyna przepadła. Moja siostra uważa, że popłynęła szukać Andiety, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, jak to zrobiła, nie zostawiając śladu. Ponieważ odwiedza pan obozowiska i osady na północy, może zdoła się pan czegoś dowiedzieć...

- Zrobię, co będę mógł, kapitanie.

- Moje rodzeństwo i ja będziemy panu za to dożgonnie wdzięczni.

Eliza Sommers przystała do karawany Joe Łamignata i przygrywała na pianinie, a napiwkami dzieliła się z bajzel - mamą po połowie. Dla uatrakcyjnienia wieczorków kupiła jeden śpiewnik muzyki amerykańskiej, a drugi latynoskiej, a w wolnych chwilach - których nie brakowało - uczyła małego Indianina czytać, pomagała w różnych codziennych zajęciach i gotowała. Jak twierdzili członkowie trupy, nigdy nie jadali lepiej. Z tego samego co zawsze suszonego mięsa, fasoli i boczku przygotowywała smakowite dania wyczarowane pod wpływem chwili; kupowała meksykańskie przyprawy i dodawała je do chilijskich przepisów Mamy Frezji, osiągając przepyszne rezultaty; piekła ciasta, nie mając innych składników jak tłuszcz, mąka i konserwowane owoce, ale ilekroć udawało się jej zdobyć jajka i mleko, jej natchnienie sięgało szczytów niebiańskiej gastronomii. Zły Babalu nie miał przekonania do gotujących mężczyzn, za to był pierwszy do pochłaniania uczt młodego pianisty i wołał zachować dla siebie sarkastyczne komentarze. Nawykły do trzymania straży po nocach olbrzym spał jak zabity przez większość dnia, jednak wystarczyło, aby do jego smocznych nozdrzy dotarł najsłabszy aromat unoszący się z nad rondli, a w jednej chwili się budził,

zrywał na równe nogi i obejmował posterunek przy kuchni. Miał nienasycony apetyt i ciągle brakowało pieniędzy, aby napęłnić jego wielgachne brzuszysko. Zanim pojawił się Chileno, jak nazywano fałszywego Eliasa Andietę, jego podstawowa dieta składała się z mięsa zwierząt, które udało mu się upolować i które następnie przecinał wzdłuż, do-prawiał garścią grubej soli i układał na rozżarzonych kamieniach, piekąc je aż do zwęglenia. W ten sposób potrafił w ciągu paru dni zjeść jelenia. W zetknięciu z kuchnią pianisty podniebienie mu się wysublimowało, polował co-dziennie, wybierał najdelikatniejsze ze schwytych zwierząt i wręczał je Eliasowi czyste i obdarte ze skóry.

Jadąc na swojej chabecie, która pomimo smutnego wyglądu okazała się równie szlachetna co kasztan czystej krwi, z bez-użyteczną strzelbą przewieszoną przez siodło i małym dobo-szem siedzącym na zadzie konia, Eliza otwierała karawanę. Tak wygodnie czuła się w męskim stroju, że sama sobie zadawała pytanie, czy jeszcze kiedyś będzie mogła ubrać się jak kobieta. Jednego była pewna: gorsetu nie włoży nawet w dniu ślubu z Joaquinem Andietą. Ilekroć przybywali nad jakąś rzekę, kobiety korzystały z okazji, aby napęłnić wodą beczki, uprać bieliznę i wykapać się; te momenty były dla niej najtrudniejsze i musiała wymyślać coraz bardziej wy-szukane preteksty, aby móc się umyć bez świadków.

Joe Łamignat była krzepką Holenderką z Pensylwanii, która na rozległych przestrzeniach Zachodu odnalazła swoje prze-znaczenie. Miała talent iluzjonisty, który wykorzystywała przy grze w karty i kości; jej pasją była gra, w której mogła oszukiwać. Zarabiała na życie obstawianiem, aż przyszło jej do głowy, żeby założyć interes z dziewczynkami i przejechać wzdłuż Żyły - Matki „w poszukiwaniu złota”, jak nazywała ów rodzaj górnictwa. Była pewna, że pianista jest homoseksualis-tą, i wystarczyło jej to, aby zapalać do niego taką samą serdecznością, jaką otaczała Indianiátko. Nie pozwalała, aby dziewczęta z niego szydziły albo żeby Babalu go przezywał; biedny chłopak nie był winien temu, że urodził się bez zarostu, a za to z subtelnym obliczem, tak samo jak ona nie była winna temu, że urodziła się mężczyzną w kobiecym ciele. To były takie kawały Pana Boga, żeby uprzykrzyć ludziom życie, i tyle. Chłopczyka za trzydzieści dolarów kupiła od jankeskich strażników, którzy wycięli w pień resztę jego szczepu. Miał wtedy cztery czy pięć lat i wyglądał jak szkielet z wielkim brzuchem pełnym robaków, ale po paru miesiącach karmienia na siłę i poskramiania ataków wściekło-ści, żeby nie zepsuł wszystkiego, co mu wpadnie w ręce, albo żeby nie rozbił sobie głowy o koła wozów, podrosł o piędź i ujawnił swoją prawdziwą naturę wojownika: był stoicko spokojny, zamknięty w sobie i cierpliwy. Nazwała go Tom Bez Szczepu, żeby nie zapomniał o obowiązku zemsty. Imię jest nieodłączne od istoty, mawiali Indianie i Joe też wierzyła, że tak jest, dlatego wymyśliła

również swoje własne nazwisko.

„Splamione gołąbeczki” należące do karawany były to: dwie siostry z Missouri, które odbyły długą podróż łądem i po drodze straciły rodzinę, Esther - osiemnastoletnia dziewczyna, która uciekała od swego ojca, fanatyka religijnego, ponieważ ją bił, oraz piękna Meksykanka, której ojcem był gringo, a matką Indianka; uchodziła za białą i żeby wprowadzić w błąd co bardziej nieuważnych, nauczyła się kilku zdań po francusku, gdyż - jak głosiła legenda - Francuzki lepiej znały się na rzeczy. W tamtym społeczeństwie awanturników i prostaków również istniała arystokracja rasowa; biali akceptowali Metyski o cynamonowej barwie skóry, ale pogardzali jakąkolwiek domieszką z czarnymi. Cztery kobiety dziękowały losowi, że na swej drodze spotkały Joe Łamignata. Esther była jedyną, która nie miała wcześniejszych doświadczeń, ale pozostałe pracowały już w San Francisco i zdążyły sięgnąć dna. Nie dane im było dostać się do eleganckich „salonów”, za to dobrze poznały bicie, choroby, narkotyki i podłość sutenerów. Złapały niezliczone infekcje, zniosły brutalne kuracje i tyle skrobanek, że zostały bezpłodne, jednakże dalekie były od ubolewania nad tym faktem, przeciwnie - uznawały to za błogosławieństwo. Zabierając je tak daleko, Joe ocaliła je przed nikczemnością świata. Przettrzymała swoje „gołąbeczki” w długim czystym abstynencji, aby wyrwać je z przyzwyczajenia do opium i alkoholu. Kobiety odpłaciły jej lojalnością córek, gdyż poza tym traktowała dziewczyny sprawiedliwie i nie okradała ich. Budząca strach obecność Babalu odbierała animusz krewkim klientom i znienawidzonym pijakom, odżywiały się dobrze, a wędrowni wozami zdawała się mieć dobry wpływ na ich zdrowie i stan ducha. Na ogromnych przestrzeniach wśród gór i lasów czuły się wolne. W ich życiu nie było niczego łatwego ani romantycznego, ale zaoszczędziły trochę pieniędzy i mogłyby odejść, gdyby tylko chciały, jednak tego nie robiły, gdyż ta mała grupka ludzi była dla nich czymś w rodzaju rodziny.

Dziewczęta Joe Łamignata również były przeświadczone, że młody Elias Andieta - chudzina o piskliwym głosie - jest pedałem. Z całym spokojem rozbierały się przy nim, myły i rozmawiały o wszystkim, zupełnie jakby był jedną z nich. Zaakceptowały Elizę z taką naturalnością, że zaczynała wypadać z roli mężczyzny, chociaż Babalu uparł się stale jej o tym przypominać. Postanowił zrobić z tego bojaźliwego młodzika prawdziwego mężczyznę i ciągle miał go na oku, gotów poprawiać go, kiedy siadał ze złączonymi nogami albo - by-najmniej nie męskim gestem - potrząsał swą krótką czupryną. Nauczył go czyścić i oliwić broń, ale stracił cierpliwość, kiedy przyszło do nauki celnego strzelania: za każdym naciśnięciem spustu jego uczeń zamykał oczy. Nie robiła na nim wrażenia Biblia, z którą obnosił się Elias Andieta, wręcz przeciwnie, podejrzewał, że używa jej jako

usprawiedliwienia dla swego tchórzostwa, i był zdania, że jeśli chłopak nie zamierza zostać jakimś przeklętym kaznodzieją, po kiego licha czyta takie głupoty; to już lepiej niech się weźmie za świńskie książki, może mu przyjdzie do głowy jakiś pomysł godny mężczyzny. Ledwo umiał się podpisać, a czytanie przychodziło mu z wielkim trudem, ale w życiu by się do tego nie przyznał. Twierdził, że ma słaby wzrok i nie widzi dobrze liter, chociaż przerażonemu zajęcowi potrafił strzelić między oczy z odległości stu metrów. Często prosił Chilena, żeby czytał na głos nieaktualne gazety i erotyczne książki Łami-gnata, nie tyle ze względu na ich nieprzyzwoite fragmenty, ile sam romans, który zawsze go wzruszał. Nieodmiennie cho-dziło o gwałtowny wybuch miłości między jakimś przed-stawicielem europejskiej szlachty i dziewczyną z gminu albo czasami odwrotnie: arystokratyczna dama traciła głowę dla mężczyzny prostego, ale uczciwego i dumnego. W opowieściach tych kobiety były zawsze piękne, a kawalerowie nie-zmordowani w swojej żarliwości. Wszystko obfitowało w orgiastyczne sceny, ale w odróżnieniu od innych pornogra-ficznych powiastek, jakie w tych stronach sprzedawano te przynajmniej miały jakąś fabułę. Eliza czytała na głos, nie okazując zdziwienia, jakby znane jej były najgorsze z ludzkich słabości, podczas gdy Babalu i trzy spośród dziewcząt słuchali z otwartymi ustami. Esther nie brała udziału w tych posiedze-niach, gdyż pisanie o owych występkach wydawało się jej gorszym grzechem niż ich popełnianie. Elizie płonęły uszy ale nie mogła nie dostrzec niezwyklej elegancji, z jaką owe świństwa zostały opisane: niektóre zdania przypominały jej nienaganny styl Miss Rose. Joe Łamignat, której jakakolwiek cielesna namiętność nie interesowała w najmniejszym stopniu w związku z czym lektury owe ją nudziły, osobiście pilnowała aby bodaj jedno słowo nie uraziło niewinnych uszu Toma Bez Szczepu. Wychowuję go na przywódcę Indian, a nie na alfonsa, mawiała, i w swoim zapędzie, by zrobić z niego mężczyznę, nie pozwalała nawet, by mówił do niej „babciu”

- Nie jestem niczyją babcią, do diaska! Jestem Łamignat, zrozumiałeś, przeklęty szczeniaku?

- Tak, babciu.

Zły Babalu, były kryminalista z Chicago, przeszedł piecho-tą cały kontynent na długo przed wybuchem gorączki złota Mówił językami Indian i żeby zarobić na życie, imał się wszystkiego, poczynając od występów w roli siłacza w węd-rownym cyrku - gdzie z równym powodzeniem unosił konia ponad własną głowę, jak też zębami ciągnął wóz wypełniony piaskiem - do dokera na nabrzeżu w San Francisco. Tam odkryła go Łamignat i przystał do jej karawany. Mógł praco-wać za kilku mężczyzn i mając jego, nie potrzebowała więk-szej ochrony. Razem mogli stawić czoło dowolnej liczbie przeciwników, czego dowiedli przy

niejednej okazji.

- Musisz być silny albo cię zgniotą, Chilenito - radził Elizie. - Nie myśl sobie, że ja zawsze byłem taki, jakiego mnie dzisiaj widzisz. Przedtem byłem jak ty, cherlawy i ciamajdowaty, ale zacząłem dźwigać ciężary i popatrz na moje mięśnie. Teraz nikt nie ośmieli się ze mną zadrzeć.

- Babalu, masz ponad dwa metry wzrostu i ważysz tyle co krowa. Nigdy nie będę taki jak ty!

- Wzrost nie ma tu nic do rzeczy, chłopie. Tylko jaja się liczą. Zawsze byłem duży, ale i tak się ze mnie śmiali.

- Kto się z ciebie śmiał?

- Wszyscy, nawet moja matka, niech spoczywa w pokoju. Powiem ci coś, czego nie wie nikt...

- Tak?

- Pamiętasz Dobrego Babalu?... To kiedyś byłem ja. Ale od dwudziestu lat jestem Zły Babalu i wiedzie mi się znacznie lepiej.

„SPLAMIONE GOŁĄBECZKI”

W grudniu zima zstąpiła nieoczekiwanie do podnóża gór i tysiące robotników musiało porzucić swoje działki i przenieść się do miast, żeby przeczekać do wiosny. Śnieg litościwym płaszczem okrył rozległy teren przeryty przez owe poządlive mrówki, i złoto, jakie jeszcze zostało, znów mogło odpocząć w ciszy przyrody. Joe Łamignat zaprowadziła karawanę do jednego z miasteczek, które ostatnimi czasy jak grzyby po deszczu wyrastały wzdłuż żyły - Matki, i wynajęła w nim szopę na zimę. Sprzedała mulice, kupiła wielką drewnianą balię do kąpieli, kuchnię, dwa piecyki, kilka sztuk zgrzebnego płótna i wysokie buty dla swoich ludzi, gdyż na deszcz i zimno były niezastąpione. Zapędziła wszystkich do zeskrobywania brudu w szopie i szy-cia zasłon oddzielających pokoje, rozstawiła łóżka z bal-dachimem, złocene lustro i pianino. Zaraz potem wybrała się z kurtuazyjną wizytą do zajazdów, sklepu i kuźni, będących ośrodkami życia towarzyskiego. W miasteczku - w charak-terze dziennika - ukazywała się stronica z wiadomościami drukowanymi na wiekowej prasie, którą siłą przeciągnięto przez cały kontynent, i która posłużyła Joe do dyskretnego zareklamowania swoich usług. Oprócz dziewcząt oferowała także butelki najlepszego rumu z Kuby i Jamajki, jak go nazywała (choć w rzeczywistości był to paskudny napój godzien kanibali, od którego dusza przekręcała się pijącemu na drugą stronę), erotyczne książki i parę stołów do gry. Wkrótce pojawili się klienci. Istniał już inny burdel, ale jakaś odmiana zawsze była mile widziana. Bajzelmama z owego „salonu” wypowiedziała tajną wojnę, obrzucając rywalki

kalu-mniami, ale wolała nie ryzykować otwartego starcia z cudownym duetem, jaki tworzyli Łamignat i Zły Babalu. W szopie figlowano za prowizorycznymi zasłonami, tańczono przy wtórze pianina i obstawiano w grach znaczne sumy, a wszystko to pod baczny okiem właścicielki, która pod swoim dachem nie dopuszczała do bójek ani szachrajstw (oprócz swoich własnych). Eliza była świadkiem, jak w ciągu kilku nocy mężczyźni tracili zarobek będący owocem kilku miesięcy tytanicznej pracy i zalewali się łzami na piersiach dziewcząt, które wcześniej pomogły ich oskubać.

W krótkim czasie górnicy przekonali się do Joe. Pomimo swego wyglądu korsarza kobieta miała matczyne serce, a oko-liczności zaistniałe tamtej zimy wystawiły je na próbę. Wybuchła epidemia dyzenterii, która zwała z nóg mieszkańców miasteczka, zabijając wielu z nich. Wystarczyło, żeby Joe się dowiedziała, że ktoś w jakiejś odległej chatynce leży na łożu śmierci, a pożyczała w kuźni parę koni i jechała z Babalu na pomoc nieszczęśnikowi. Zazwyczaj towarzyszył im kowal, wspaniały kwakier, który nie pochwałił interesu, jaki prowadziła, ale zawsze był gotów nieść pomoc bliźniemu. Joe przygotowywała choremu jedzenie, myła go, prała mu bieliznę i pocieszała, setny raz czytając listy od dalekiej rodziny, podczas gdy Babalu i kowal odgarniali śnieg, szukali wody, rąbali drewno i układali je na stosie przy piecu. Jeśli z chorym było bardzo źle, Joe otulała go w koce, przewieszała sobie przez siodło jak worek i zabierała do domu, gdzie kobiety dbały o niego z oddaniem pielęgniarek, zadowolone, że mogą poczuć się porządnymi kobietami. Nie mogły wiele zdziałać, poza tym że zmuszały pacjentów do wypijania litrów herbaty z cukrem, żeby się całkiem nie odwodnili, i zapewniały im czystość, ciepło i wypoczynek w nadziei, że biegunka nie wypłucze z nich duszy, a gorączka nie zagotuje im mózgow. Niektórzy umierali, a pozostali potrzebowali długich tygodni, żeby powrócić do świata żywych. Joe łamała sobie głowę, jak przechytryć zimę i dotrzeć do najbardziej oddalonych szala-sów, i nieraz przyszło jej odkryć ciała zamienione w lodowe posągi. Nie wszyscy czekali końca choroby, czasami ktoś strzelał sobie w usta, bo nie mógł znieść skrętu kiszek, samotności i majaków. Parę razy Joe musiała zamykać swój interes, gdyż podłoga w jej szopie była zasłana matami z chorymi, a jej „gołębiczki” nie nadążały z obsługiwaniem pacjentów. Miejscowy szeryf drżał, kiedy pojawiała się ze swoją holenderską fajką i napominającym tubalnym głosem proroka domagała się pomocy. Nikt nie potrafił jej odmówić. Ci sami mężczyźni, których występkiem miasto zawdzięczało swoją złą sławę, potulnie zgłaszali się do pomocy. Nie było tu niczego, co przypominałoby szpital, jedyny lekarz leciał z nóg, więc gdy zdarzył się nagły przypadek, ona z całkowitą naturalnością brała na siebie organizowanie pomocy. Szczęśliwcy, którym uratowała życie, stawali się jej oddanymi dłużnikami, i tym sposobem owej zimy utkała sieć

kontaktów, dzięki którym mogła później przetrwać trudne chwile po pożarze.

Jednym z takich nieocenionych przyjaciół był kowal. Nazywał się James Morton i należał do tej nielicznej grupy mężczyzn, o których można powiedzieć, że są dobrzy. Głęboką miłością darzył całą ludzkość, w tym również swych ideologicznych przeciwników, którzy - jego zdaniem - jeśli błędzili, to z niewiedzy, a nie dlatego, że byli z natury źli. Będąc niezdolnym do jakiegokolwiek podłości, nie potrafił jej sobie wyobrazić u bliźniego; wołał myśleć, że czyjeś zepsucie jest dewiacją charakteru, którą można uleczyć pobożnością i miłością. Pochodził ze starego rodu kwaków z Ohio; on i jego bracia stanowili ogniwo tajnego łańcucha solidarności ze zbiegłymi niewolnikami, których ukrywał i przeprowadzał do wolnych stanów i do Kanady. Jego działalność ściągnęła na niego gniew zwolenników niewolnictwa, którzy pewnej nocy całą zgrają napadli na jego farmę i podpalili mu dom, czemu wszyscy członkowie jego rodziny przyglądali się biernie, gdyż wierni swoim przekonaniom nie mogli użyć broni przeciw bliźniemu. Mortonowie musieli opuścić swą ziemię i rozjechać się w różne strony, ale pozostawali ze sobą w ścisłym kontakcie, gdyż należeli do organizacji humanitarnej związanej z ruchem abolicjonistów. Poszukiwanie złota nie wydawało się Jamesowi godnym sposobem zapewniania sobie egzystencji, gdyż w ten sposób ani niczego nie produkował, ani nie świadczył żadnych usług. Bogactwo upadła duszę, komplikuje życie i prowadzi do nieszczęść, twierdził. Poza tym złoto było metalem miękkim, nie nadawało się do wytwarzania narzędzi; nie pojmował fascynacji, jaką budziło w innych. Wysoki, krzepki, z gęstą brodą w kolorze orzechów laskowych, z błękitnymi oczami i mocarnymi ramionami, noszącymi ślady niezliczonych oparzeń, był wcieleniem boga Wulkana, otoczonego blaskiem bijącym od paleniska kuźni. W miasteczku mieszkało tylko trzech kwaków; byli to ludzie oddani pracy i rodzinie, zawsze zadowoleni ze swego losu, jedyni, którzy nie przeklinali, byli abstynentami i obchodzili z daleka burdele. Oczekując cierpliwie na przyjazd ze Wschodu grupy przyjaciół, która miała zasilić ich społeczność, regularnie spotykali się, żeby bez żadnych teatralnych gestów praktykować swoją wiarę, a jednocześnie własną postawą dawać dobry przykład. Morton zachodził często do szopy Łamignata, żeby pomagać przy chorych, i tak poznał Esther. Odwiedzał ją i płacił za pełną usługę, ale jedyne, co robił, to siadał obok niej, żeby porozmawiać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wybrała takie życie.

- Mając do wyboru lanie, jakie spuszczał mi ojciec, albo to, tysiąc razy wolę życie, jakie prowadzę teraz.

- Dlaczego cię bił?

- Oskarżał mnie, że wyzwalam chuć i zachęcam do grzechu. Wierzył, że Adam nadal

byłby w raju, gdyby Ewa go nie skusiła. Może i miał rację, widzisz, jak zarabiam na życie. - Są inne zajęcia, Esther.

- To nie jest takie złe, James. Zamykam oczy i nie myślę o niczym. To tylko kilka minut, i szybko mijają. Pomimo uciążliwości związanych z jej zawodem Esther zachowała świeżość swoich dwudziestu lat i w jej powściągliwym i spokojnym zachowaniu, jakże różnym od sposobu bycia koleżanek, krył się pewien urok. Nie miała w sobie nic z kokietki, była pulchniutka, miała łagodną cielecą twarz i silne chłopskie ręce. W porównaniu z pozostałymi „gołąbeczkami” nie grzeszyła urodą, ale miała jasną cerę i pełne słodczy spojrzenie. Kowal sam nie wiedział, kiedy zaczął o niej śnić, widzieć ją w iskrach paleniska, w blasku rozżarzonego metalu i na tle pogodnego nieba, aż w końcu nie mógł już dłużej nie zauważać tej materii, miękkiej niczym kłębeki waty, która z wolna ją otulać mu serce, grożąc uduszeniem. Nic gorszego, niż zakochać się w kobiecie lekkich obyczajów, nie mogło mu się zdarzyć; nie sposób byłoby usprawiedliwić tego w oczach Boga i społeczności, do której należał. Postanowił ciężką harówką zwyciężyć ową pokusę i zamykał się w kuźni, gdzie jak obłąkany rzucał się w wir pracy. Wściekłe uderzenia jego młota słychać było niekiedy przez całe noce aż po świt.

Zaraz po tym, jak osiadła w miasteczku na stałe, Eliza Napisała do Tao Chi'ena na adres chińskiej restauracji w Sacramento, podając mu swoje nowe imię i nazwisko - Elias Andieta - i prosząc, by jej poradził, jak zwalczać dyzenterię; Jedyny znany jej sposób, żeby nie ulec zarażeniu, polegał na tym, że ciało na wysokości pępka obwiązywało się czerwonym Wełnianym pasem, pod który należało włożyć kawałek surowego mięsa (tak to robiła w Chile Mama Frezja), ale nie przynosiło to oczekiwanych rezultatów. Tęskniła za nim aż do bólu; czasami budziła się rano, obejmując Toma Bez szczepu i wyobrażając sobie w półśnie, że to Tao Chi'en, ale zapach dymu bijący od dziecka przywracał ją do rzeczywistości. Nikt nie pachniał świeżym powiewem wiatru od morza tak jak jej przyjaciel. Dzieląca ich odległość liczona w milach nie była duża, ale ostry klimat sprawiał, że droga była uciążliwa, a ponadto niebezpieczna. Przyszło jej do głowy, czyby nie zabrać się z listonoszem na poszukiwanie Joaquina Andiety, tak jak to już kiedyś robiła, ale mijały tygodnie, a ona ciągle czekała na odpowiednią okazję. Nie tylko zima krzyżowała jej plany. W tych dniach na południe od Żyły - matki doszło do starcia między górnikami jankeskimi a chilijskimi. Gringos, którzy mieli już dosyć obecności cudzoziemców, połączyli swe siły, żeby ich wyrzucić, ale tamci stawili opór, najpierw zbrojny, a następnie przed sędzią, który Potwierdził ich prawa. Zamiast przywołać agresorów do porządku, wyrok tylko ich rozjuszył; wielu Chilijczyków skończyło z pętlą na szyi, część Zrzucono ze skał, a ci, którym 'dało się ująć z

życiem, musieli salwować się ucieczką. Niektórzy, chcąc się zemścić, utworzyli bandy, które napadały na ludzi, tak jak to robiło wielu Meksykanów. Eliza zrozumiała, że nie może ryzykować; jej przebranie młodego latynosa wystarczyło do oskarżenia jej o dowolną wymyśloną zbrodnię.

Pod koniec stycznia 1850 roku chwycił straszliwy mróz, jeden z największych, jakie kiedykolwiek odnotowano w tych stronach. Nikt nie miał odwagi wyjść z domu, miasteczko wyglądało jak wymarłe i przez ponad dziesięć dni do szopy nie zajrzał ani jeden klient. Było tak zimno, że mimo stale podkładanego do piecyków drewna, każdego ranka zamarzała woda w miskach, a w niektóre noce trzeba było wprowadzać do domu konia Elizy, żeby ocalić go przed losem innych zwierząt, które świt zastawał w okowach lodu. Kobiety spały po dwie w łóżku, a Eliza z dzieckiem, które otoczyła zazdrosną i dziką czułością, ono zaś odpłacało się jej z nawiązką i szczerze. Jedyną osobą z grupy, która mogłaby rywalizować z Elizą w uczuciach do małego, była Łamignat. „Któregoś dnia będę miała dziecko silne i odważne jak Tom Bez Szczepu, ale znacznie weselsze. To stworzenie nigdy się nie śmieje” - opowiadała Tao Chi'enowi w listach. Zły Babalu nie mógł spać w nocy i spędzał długie godziny, spacerując po ciemku z jednego końca szopy w drugi, ubrany w wysokie buty, wyliniałe skóry i koc zarzucony na ramiona. Przestał golić głowę i obnosił się z krótką wilczą sierścią, podobną do skóry, z jakiej uszyta była jego kamizelka. Esther wydziergała mu na drutach wełnianą czapkę w kolorze żółtej kaczuszki, która zachodziła mu aż na uszy i nadawała wygląd monstualnego niemowlęcia. To on usłyszał tamtego ranka delikatne stukanie i słusznie uznał, że nie jest to odgłos burzy. Z pistoletem w ręce uchylił drzwi i zauważył jakiś tobół leżący na śniegu. Zaalarmowany zawołał Joe i - walcząc z wichrem, który próbował wyrwać drzwi z zawiasów - wspólnie wtaszczyli go do środka. Był to na wpół zamrożony człowiek.

Nie było łatwo przywrócić go do życia. Podczas gdy Babalu nacierał go i usiłował wlać mu do ust brandy, Joe obudziła kobiety. Te podsyciły ogień w piecykach, podgrzały wodę i napełniwszy nią balię, zanurzyły w niej przybysza, który stopniowo zaczął powracać do życia, stracił siną barwę i mógł wypowiedzieć kilka słów. Nos, stopy i dłonie miał odmrożone. Powiedział, że jest rolnikiem z meksykańskiego stanu Sonora i że, podobnie jak tysiące jego rodaków, przybył do Kalifornii w poszukiwaniu złota. Przedstawił się imieniem Jack, jak jakiś gringo, które z pewnością było fałszywe, ale nikt z domowników również nie używał swojego prawdziwego imienia. W trakcie następnych godzin wiele razy znajdował się na progu śmierci, ale kiedy wydawało się, że już nic nie można dla niego zrobić, wracał z tamtego świata i wypijał kilka łyków alkoholu. Około ósmej, kiedy burza wreszcie ucichła,

Joe wysłała Babalu, żeby poszukał doktora. Usłyszawszy to, Meksykanin, który leżał nierucho-mo i oddychał chrapliwie, chwytając łapczywie powietrze jak ryba, otworzył oczy i wydał z siebie przeraźliwe „Nie!”, które wszystkim napędziło stracha. Nikt nie może się dowiedzieć, że on tu jest, mówił z taką stanowczością, że nie ośmielili się mu sprzeciwić. Nie było potrzeby niczego wyjaśniać: widać było, że ma problemy z wymiarem sprawiedliwości, a owo miasteczko z szubienicą na rynku jest ostatnim miejscem, gdzie jakiś zbieg pragnąłby szukać azylu. Tylko rozszalała burza mogła go zmusić do podejścia tak blisko. Eliza nie odezwała się, ale dla niej reakcja mężczyzny nie była zaskoczeniem: pachniał złem.

Po trzech dniach Jack odzyskał już nieco sił, ale odpadł mu czubek nosa i w dwa palce u ręki wdała się gangrena. Nawet to nie przekonało go o konieczności zwrócenia się do lekarza; woli gnić po kawałku niż skończyć na szubienicy, powiedział. Joe Łamignat zwołała swoich ludzi w drugim końcu szopy i szeptem zaczęli się naradzać: muszą odciąć mu palce. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Złego Babalu.

- Ja? Mowy nie ma!

- Babalu, sukinsynu, daruj sobie te pedalskie grymasy! - zawołała wściekła Joe.

- Ty to zrób, Joe. Ja się do tego nie nadaję.

- Skoro potrafisz poćwiartować jelenia, równie dobrze potrafisz i to. Cóż to jest para niezbędnych palców?

- Co innego zwierzę, a co innego chrześcijanin.

- Uszom nie wierzę! Ten skurwysyn - za przeproszeniem, dziewczęta - nie jest w stanie wyświadczyć mi takiej drobnej przysługi! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, nie-szczęśniku!

- Wybacz, Joe. Nigdy nie skrzywdziłem człowieka...

- Co ty powiesz? Nie jesteś przypadkiem mordercą? Nie siedziałeś w więzieniu?

- To było za kradzież bydła - wyznał olbrzym, prawie płacząc z upokorzenia.

- Ja to zrobię - przerwała spór pobladła, ale stanowcza Eliza.

Spojrzeli na nią z niedowierzaniem. Nawet Tom Bez Szczepu wydawał się im bardziej zdolny do przeprowadzenia operacji niż delikatny Chileno.

- Potrzebny mi jest dobrze naostrzony nóż, młotek, igła, nitka i kilka czystych szmat.

Przeżony Babalu usiadł na ziemi, obejmując rękoma swoją wielką głowę, a tymczasem kobiety w nabożnym mi-lczeniu przygotowywały potrzebne rzeczy. Eliza przywołała na myśl to, czego się nauczyła od Tao Chi'ena, kiedy razem wyciągali kule i zszywali rany w Sacramento. Skoro wówczas potrafiła to robić bez mrugnięcia oka, równie dobrze może i teraz, postanowiła. Najważniejsze, zdaniem jej przyjaciela, to unikać

krwotoków oraz infekcji. Nie widziała, jak przeprowadzał amputacje, ale kiedy leczyli nieszczęśników, którzy przybywali do nich bez uszu, mawiał, że pod innymi szerokościami geograficznymi za takie same przestępstwa ucinano dłonie i stopy „Katowski topór jest szybki, ale nie zostawia dosyć tkanki na pokrycie kikuta” - powiedział wtedy Tao Chi'en. Tłumaczył jej wykłady Ebanimzera Hobbsa, który zdobył praktykę, lecząc rannych na wojnie, i nauczył go, jak to robić. Całe szczęście, że w tym wypadku chodzi tylko o palce, doszła do wniosku Eliza.

Łamignat wlała w pacjenta tyle alkoholu, że aż stracił przytomność, a tymczasem Eliza dezynfekowała nóż, roz-grzewając go do czerwoności Kazała posadzić Jacka na krześle, zamoczyła mu rękę w misce z whisky, po czym położyła mu ją na skraju stołu, oddzielając chore palce Wyszeptała jedną z magicznych modlitw Mamy Frezji, a kiedy była już gotowa, dała kobietom cichy znak, żeby przytrzymały pacjenta. Przytknęła nóż do palców i pewnym ruchem uderzyła w niego młotkiem, on zaś zagłębiając się, przeciął równo kości i wbił się w stół. Jack wydał jęk z głębi trzewi, ale był tak pijany, że nie zdawał sobie sprawy ani z tego, że Eliza zszywała, ani że Esther ban-dażowała ranę. Po kilku minutach tortury się skończyły. Eliza patrzyła na odcięte palce i próbowała opanować ogarniające ją mdłości, a kobiety układały Jacka na jednej z mat. Zły Babalu, który cały czas trzymał się jak najdalej od całego przedstawienia, podszedł nieśmiało ze swą niemowlęcą czapką w rękach.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną, Chilenito - wyszeptał z podziwem.

W marcu, nikomu o tym nie mówiąc, Eliza skończyła osiemnaście lat, cały czas nie tracąc nadziei, że prędzej czy później jej Joaquin stanie w drzwiach, jak - zdaniem Babalu - zrobiłby każdy mężczyzna żyjący w promieniu stu mil Meksykanin Jack w ciągu paru dni doszedł do siebie i zanim jego palce zdążyły się zablźnić, którejs nocy wyparował, z nikim się nie żegnając. Był to paskudny typ i kiedy odszedł, wszyscy się ucieszyli. Mówił bardzo niewiele i zachowywał się, jakby siedział na rozżarzonych węglach wyzywający, gotów rzucić się do ataku na każ-dego, u którego dostrzegłby najmniejszy bodaj cień jakiejś wyimaginowanej przez siebie prowokacji. Nie wyglądało na to, aby był wdzięczny za wyświadczony mu przysługę, wręcz przeciwnie, kiedy ocknął się po przepiciu i zobaczył, że odcięto mu dwa palce potrzebne do pociągania za cyngiel, wyrzucił z siebie stek złorzeczeń i po-grózek, zaklinając się, że ten sukinsyn, który popsuł mu dłoń, zapłaci za to swoim życiem. Wówczas Babalu stracił cierpliwość Chwycił go niczym kukielkę, podniósł na wysokość swoich oczu, przeszył wzrokiem i odezwał się łagodnym głosem, jakim przemawiał, kiedy miał wy-buchnąć.

- Ja to zrobiłem Zły Babalu Masz jakiś problem?

Ledwie przestał gorączkować, zachciało mu się zrobić sobie przyjemność i skorzystać z usług „gołąbeczek”, ale te jednogłośnie mu odmówiły. Nie mają zamiaru dawać niczego gratis, a on ma puste kieszenie, o czym miały okazję się przekonać, rozbierając go przed wsadzeniem do balii tamtej nocy kiedy pojawił się u nich skostniały. Joe Łamignat zadała sobie trud, aby mu wytłumaczyć, że gdyby nie odcięli mu palców, straciłby całą rękę albo i życie, tak więc niech lepiej dziękuje niebiosom, że przy-wiodły go pod ich dach. Eliza nie pozwalała Tomowi Bez Szczepu zbliżać się do tego ciemnego typu, sama zaś robiła to tylko wtedy, gdy zanosila mu jedzenie albo zmieniała bandażę, ponieważ zapach zła drażnił ją, jakby jego obecność była wyczuwalna dotykiem. Babalu również nie mógł go znieść i dopóki był w domu, wolał się do niego nie odzywać. Te kobiety były dla niego jak siostry i wściekłość go ogarniała, kiedy Jack pozwalał sobie wobec nich na obsceniczne komentarze. Nawet w przypadku najbardziej palącej konieczności nie przyszłoby mu do głowy skorzystać z profesjonalnych usług swoich towarzyszek, gdyż dla niego równałoby się to kazirodstwu; kiedy jego natura dopominała się o swoje, chodził do lokali konkurencji i uprzedził Chilena, że powinien robić to samo, jeśli kiedyś - co wydawało mu się mało prawdopodobne - wyleczy się ze swych złych nawyków pa-nienki.

Podając Jackowi talerz zupy, Eliza ośmieliła się w końcu zagadnąć go o Joaquina Andietę.

- Murieta? - zapytał nieufnie.

- Andieta.

- Nie znam takiego.

- Może to ten sam.

- Co masz do niego?

- To mój brat. Przyjechałem z Chile, żeby go odnaleźć.

- Jak wygląda ten twój brat?

- Niezbyt wysoki, ma czarne oczy i włosy, i jasną cerę jak ja, ale nie jesteśmy do siebie podobni. Jest szczupły, muskularny, odważny i zapalczywy. Kiedy mówi, wszyscy milkną.

- Taki jest Joaquin Murieta, ale to nie Chilijczyk, tylko Meksykanin.

- Jest pan pewien?

- Pewien to ja nie jestem niczego, ale jak spotkam Murietę, powiem mu, że go szukasz.

Następnego dnia odszedł i nigdy więcej o nim nie usłyszeli, ale dwa tygodnie potem w drzwiach szopy znaleźli dwufuntowy worek po kawie. Wkrótce potem Eliza otworzyła go,

żeby przygotować śniadanie, i zobaczyła, że to nie kawa, tylko złoty proszek. Zdaniem Joe Łamignata złoto mogło pocho-dzić od któregoś z chorych górników, którymi w tam-tym czasie się opiekowali, ale Elizie coś podpowiadało, że to Jack je zostawił jako zapłatę. Mężczyzna ten nie chciał nikomu niczego zawdzięczać. W niedzielę dowiedzieli się, że szeryf organizuje oddział strażników, który ma wyruszyć na poszukiwanie mordercy pewnego górnika: nieszczęśnika znaleziono w szałasie, w którym samotnie przeżył zimę, z dziewięcioma ranami klutymi w piersi i oczami w ślup. Po jego złocie nie zostało ani śladu, a ze względu na brutalność zbrodni winą obarczono Indian. Joe Łamignat nie chciała być w nic zamieszana, zakopała dwa funty złota pod dębem, a swoim ludziom wydała stanowcze instrukcje, że mają trzymać gęby na kłódkę i nawet w żartach nie wspominać o Meksykaninie z odciętymi palcami ani o wor-ku kawy. • W ciągu dwóch następnych miesięcy strażnicy zabili pół tuzina Indian i zapomnieli o całej sprawie, gdyż mieli na głowie inne, pilniejsze problemy, a kiedy wódz plemienia z całym dostojenstwem przybył prosić o wyjaś-nienia, na tamten świat wysłali również i jego. Indianie, Murzyni i Mulaci nie mogli świadczyć przed sądem przeciwko białemu. James Morton i pozostali trzej miejs-cowi kwakrzy jako jedyni mieli odwagę przeciwstawić się tłumowi szykującemu się do linczu. Bez broni otoczyli skazańca kołem, recytując z pamięci fragmenty z Biblii zakazujące zabijać bliźniego, ale gawiedź odepchnęła ich kuksańcami.

Nikt nie wiedział o urodzinach Elizy, a zatem i nikt ich nie obchodził, ale i tak tamta noc 15 marca okazała się pamiętna dla niej i dla całej reszty. Klienci wrócili do szopy, „gołąbeczki” ciągle były zajęte, Chileno ze szczerym entuzjazmem bębnił na pianinie, a Joe robiła optymistyczne rachunki. W końcu zima nie okazała się taka mroźna, najgorsze chwile epidemii mieli już za sobą, a na matach nie leżeli już żadni chorzy. Tej nocy w szopie z całą premedytacją upijał się jakiś tuzin górników, podczas gdy na zewnątrz wichur łamał gałęzie sosen. Około jedenastej roz-pętało się piekło. Nikt nie umiał wyjaśnić, jak wybuchł pożar, i Joe zawsze podejrzewała bajzelmamę z lokalu konkurencji. Drewniane deski zapłonęły jak petardy i w jednej chwili w ogniu stanęły zasłony, jedwabne chusty i baldachim łóżka. Wszystkim udało się wyjść bez szwanku, a nawet zdążyli zarzucić na siebie jakieś koce, Eliza zaś porwała w locie blaszane pudełko zawierające jej drogocenne listy. Płomienie i dym szybko ogarnęły szopę, która po niespełna dziesięciu minutach płonęła jak pochodnia, podczas gdy na wpół ubrane kobiety i ich zamroczeni klienci bezsilnie obserwowali roz-grywający się na ich oczach dramat. Wówczas Eliza rozejrzała się, żeby przeliczyć obecnych, i z przerażeniem stwierdziła brak Toma Bez Szczepu. Dziecko zostało w łóżku, w którym razem sypiali. Bez chwili namysłu zerwała koc z ramion Esther, zarzuciła go sobie na

głowę i ruszyła pędem przed siebie, jednym pchnięciem przewracając płonące cienkie drewniane przepierzenie, a za nią biegł Babalu, który krzykiem usiłował ją powstrzymać, nie pojmując, czemu rzuca się w ogień. Chłopiec stał pośród dymu przerażony, ale całkiem spokojny. Zawinęła go w koc i usiłowała wziąć na ręce, ale był bardzo ciężki i atak kaszlu zgiął ją wpół. Upadła na kolana, popychając Toma, żeby uciekał na zewnątrz, ale on nie odstepił od niej na krok i z obojga zostałyby co najwyżej garstka popiołu, gdyby w tej chwili nie pojawił się Babalu, nie chwycił każdego z nich pod pachę jak paczkę i nie wybiegł z nimi z płomieni pośród owacji wszystkich oczekujących na zewnątrz.

- Przeklęty chłopaku! Coś ty robił tam w środku! - krzyczała Joe na małego Indianina, obejmując go, całując i poklepując po policzkach, żeby złapał oddech.

Dzięki temu, że szopa była nieco oddalona od innych zabudowań, nie spłonęło pół miasta, jak stwierdził później szeryf, doświadczony w sprawach pożarów, gdyż dochodziło do nich w tych stronach podejrzanie często. Na widok bijącej w niebo łuny tuzin ochotników z kowalem na czele rzucił się gasić płomienie, ale było już za późno i jedyne, co mogli zrobić, to ocalić konia Elizy, o którym w zamieszaniu pierwszych minut nikt nie pamiętał i który, oszalały z przerażenia, ciągle jeszcze był uwiązany pod swoim zadaniem. Joe Łamignat straciła tej nocy wszystko, co miała na świecie, i było po niej widać, że upada na duchu. Z dzieckiem w ramionach patrzyła na zniszczenie, nie mogąc powstrzymać łez, a kiedy zostały już tylko dymiące głownie, ukryła twarz na ogromnej piersi Babalu, który osmalił sobie brwi i rzęsy. Widząc słabość swojej ukochanej mateczki, której, jak sądziły, nic nie zdoła pokonać, cztery kobiety wybuchnęły chóralnym płaczem, któremu zdawały się wtórować ich halki, potargane fryzury i drżące ciała. Jednak zanim jeszcze płomienie zdążyły się dopalić, zaczęła działać sieć solidarności i w niespełną godzinę w różnych domach w miasteczku znalazły się dla wszystkich odpowiednie pomieszczenia, a jeden z górników, którego Joe wyleczyła z dyzenterii, przystąpił do zbierania pieniędzy. Chileno, Babalu i chłopiec - trzech mężczyzn należący do trupy - spędzili noc w kuźni. James Morton rozłożył przy piecu, który zawsze był ciepły, dwa materace z grubymi kocami i podjął swoich gości wspaniałym śniadaniem, przygotowanym pieczołowicie przez żonę pastora, który co niedziela grzmiał z ambony, piętnując bezwstydną uprawianie rozpusty, jak nazywał działalność burdeli.

- Nie pora się teraz krygować, ci biedni chrześcijanie dygocą z zimna - powiedziała żona wielebnego, zjawiwszy się w kuźni z gulaszem z zająca, dzbankiem czekolady i ciasteczkami z cynamonem.

Ta sama dama obeszła miasteczko, prosząc o ubrania dla „gołąbeczek”, które cały czas chodziły w halkach, i odzew pozostałych dam był bardzo szczodry. Unikwały

przechodzenia obok lokalu drugiej bajzelmamy, ale podczas epidemii musiały nawiązać stosunki z Joe Łamignatem i szanowały ją. Tak więc cztery dziwki dłuższy czas chodziły ubrane jak skromne damy, w sukniach zapiętych od góry do dołu, aż w końcu zdołały zastąpić je nowymi wyzywającymi strojami. Tej nocy, kiedy wybuchł pożar, żona pastora chciała zabrać Toma Bez Szczepu do domu, ale chłopiec chwycił Babalu za szyję i nie było ludzkiej siły, która zdołałaby go oderwać. Olbrzym spędził bezsenne godziny z Chilenitem wtulonym pod jedno ramię i chłopcem pod drugie, dosyć urażony zaskoczeniem widocznym w spojrzeniach kowala.

- Wybij to sobie z głowy, chłopie. Nie jestem pedałem - mruknął obrażony, nie wypuszczając jednak z objęć żadnego ze śpiących.

Dzięki zbiórce przeprowadzonej wśród górników i workowi po kawie zakopanemu pod dębem poszkodowani mogli prze-nieść się do tak wygodnego i solidnego domu, że Joe Łamignat postanowiła zrezygnować ze świadczenia objazdowych usług i osiąść w miasteczku na stałe. Podczas gdy inne miejsciny znikwały, kiedy tylko górnicy przenosili się w nowe miejsca, żeby wypłukiwać złoto, ta rozrastała się, umacniała, a nawet planowano zmienić jej nazwę na bardziej godziwą. Kiedy skończy się zima, podnóża gór zaleją nowe fale po-szukiwaczy przygód, a druga bajzelmama już na to czeka. Joe Łamignat ma tylko trzy dziewczynki, bo widać gołym okiem, że kowal zamyśla odebrać jej Esther, ale już ona sobie poradzi. Dzięki swej charytatywnej działalności zdobyła pew-ne poważanie i za nic nie chciała go utracić: pierwszy raz w swym burzliwym życiu czuła się akceptowana przez spo-łeczność. Było to znacznie lepsze od tego, czego zaznała wśród Holendrów w Pensylwanii, a w jej wieku idea zapusz-czenia korzeni nie była taka zła. Na wieść o tych planach Eliza postanowiła, że jeśli Joaquin Andieta - albo Murieta - nie pojawi się do wiosny, będzie musiała pożegnać swoich przyjaciół i szukać go dalej.

ROZCZAROWANIA

Pod koniec jesieni Tao Chi'en dostał od Elizy ostatni list, który przez wiele miesięcy krążył z rąk do rąk, podążając w ślad za nim aż do San Francisco. W kwietniu zhong yi opuścił Sacramento. Zima w tym mieście zdawała się nie mieć końca, na duchu podtrzymywały go tylko sporadycznie przychodzące listy od Elizy, nadzieja, że duch jego żony Lin go odnajdzie, oraz przyjaźń kolegi po fachu, drugiego zhong yi. Udało mu się zdobyć książki z dziedziny medycyny Zachodu i z zachwytem, i cierpliwością oddawał się tłumaczeniu ich swemu przyjacielowi linijka po linijce, tak że wspólnie chłonęli wiedzę jakże inną od własnej. Stwierdzili, że na Zachodzie niewiele wiadano o podstawowych roślinach, zapobieganiu chorobom czy o energii ciała qi (o której w owych tekstach w ogóle nie było mowy), ale tamtejsi lekarze byli znacznie bardziej zaawansowani pod innymi względami. Spędzał dni na dyskusjach z przyjacielem, ale studiowanie medycyny nie było wystarczającą pociechą; odosobnienie i samotność ciążyły mu tak bardzo, że opuścił swój szalas z desek i ogródek leczniczych roślin i przeniósł się do hotelu Chińczyków, gdzie przynajmniej słyszał swój język i jadał zgodnie z własnym gustem. Mimo że jego klienci byli bardzo biedni i często przyjmował ich za darmo, zaoszczędził trochę pieniędzy. Jeśli Eliza wróci, zamieszkają w jakimś dobrym domu, myślał, ale dopóki jest sam, wystarczy mu hotel. Drugi zhong yi planował zamówić sobie w Chinach żonę i na dobre osiedlić się w Stanach Zjednoczonych, gdzie - mimo iż był cudzoziemcem - mógł zapewnić sobie lepsze życie niż we własnym kraju. Tao Chi'en ostrzegł go, żeby wyzbył się próżności i nie upierał przy „złotyach lotosach”, szczególnie w Ameryce, gdzie tyle się chodziło i gdzie fan giiey szydziłoby z kobiety ze stopkami jak u lalki. Poproś agenta, żeby ci przywiózł żonę uśmiechniętą i zdrową, reszta nie ma znaczenia, poradził mu myśląc o jakże krótkim żywocie jego niezapomnianej Lin i o tym, o ile byłaby szczęśliwsza, gdyby miała stopy i silne płuca Elizy. Jego żona błąkała się, zagubiona, nie umiała się odnaleźć na tej obcej ziemi. Wzywał ją w godzinach medytacji i w wierszach, ale więcej się nie pojawiła, nawet w snach. Ostatni raz był z nią tamtego dnia w ładowni statku, kiedy odwiedziła go w sukni z zielonego jedwabiu i z peoniami wpiętymi we włosy, żeby go poprosić o uratowanie Elizy, ale miało to miejsce na wysokości Peru i od tamtej pory upłynęło już tyle czasu, że Lin z pewnością błądziła, myląc drogę. Wyobrażał sobie jej słodką duszyczkę, Jak szuka go po tym rozległym nie-znanym kontynencie i nie może odnaleźć. Za namową zhong xi kazał namalować jej portret świeżo przybyłemu z Szang-haju artyście, prawdziwemu geniuszowi tatuażu i rysunku, lecz mimo iż

ten postępował zgodnie z jego precyzyjnymi instrukcjami, rezultat nie oddawał sprawiedliwości przejrzystej urodzie Lin. Wokół obrazu Tao Chien zbudował mały ołtarzyk, przed którym siadał, by ją przywoływać. Nie pojmował, dlaczego samotność, którą przedtem uważał za błogosławieństwo i luksus, teraz wydawała mu się nie do zniesienia. Największą niewygodą podczas tych lat, które spędził jako marynarz, był brak prywatnej przestrzeni, gdzie mógłby posiedzieć w spokoju i ciszy, za to teraz, kiedy ją miał, pragnął towarzystwa. Niemniej jednak po-mysł zamówienia sobie narzeczonej wydawał mu się niedo-rzeczny. Już raz duchy przodków zdobyły dla niego dosko-nałą małżonkę, ale za tym na pozór pomyślnym zrządze-niem losu kryło się jakieś przekleństwo. Poznał odwzajem-nioną miłość i nigdy już nie miały wrócić czasy niewinności, kiedy to każda kobieta o małych stopach i dobrym charakterze wydawała mu się odpowiednia. Są-dził, że jest skazany na życie ze wspomnieniem Lin, gdyż żadna inna nie potrafiłaby godnie zająć jej miejsca. Nie pragnął służącej ani konkubiny. Nawet potrzeba posiadania synów, którzy czciliby jego imię i dbali o jego grób, nie stanowiła dla niego zachęty. Próbował wytłumaczyć to przyjacielowi, ale zaplątał się w wyjaśnieniach, nie znaj-dując w swym słowniku określeń na wyrażenie owej udręki. Kobieta jest stworzeniem przydatnym do pracy, macierzyń-stwa i przyjemności, ale żaden wykształcony i inteligentny mężczyzna nie będzie usiłował uczynić z niej swej towarzysz-ki, odrzekł jego przyjaciel, kiedy jedyny raz odsłonił przed nim swoje uczucia. W Chinach, aby pojąć takie rozumowanie, wystarczyło rozejrzeć się dokoła, ale w Ame-ryce stosunki między małżonkami zdawały się wyglądać inaczej. Przed wszystkim nikt nie miał konkubin, przynaj-mniej jawnie. Nieliczne rodziny fan giiey, które Tao Chi'en poznał na tej ziemi samotnych mężczyzn, wydawały mu się nieprzeniknione. Jako że na pierwszy rzut oka wyglądało na to, iż mężowie uważają swoje żony za równe sobie, nie potrafił sobie wyobrazić, jak funkcjonują w chwilach intymności. Była to tajemnica, którą pragnął zbadać, podobnie jak tyle innych w tym niezwykłym kraju.

Pierwsze wiadomości od Elizy dotarły do restauracji, a po-nieważ Tao Chi'en był znany w chińskiej społeczności, co prędzej mu je dostarczono. Te długie, pełne szczegółów listy były Jego najlepszym towarzystwem. Wspominał Elizę za-skoczony swoją tęsknotą, gdyż nigdy nie przypuszczał, aby przyjaźń z kobietą była w ogóle możliwa, a już tym bardziej należąca do innej kultury. Prawie zawsze widział ją w męskim stroju, ale wydawała mu się całkowicie kobieca i dziwił się, że inni brali ją za dziewczynę, nie zadając pytań. „Mężczyźni nie przyglądają się sobie, a kobiety myślą, że jestem zniewieściałym chłopakiem” - napisała mu w jednym z listów. Za to dla niego była ubraną na białą dziewczyną, której w rybackiej chacie w Valparaiso zdejmował gorset, chorą, która bez zastrzeżeń oddała się pod jego opiekę

w ładowni statku, ciepłym ciałem przytulonym do niego w lodowate noce pod daszkiem z brezentu, podśpiewującym wesoło głosem, kiedy gotowała, i twarzą pełną powagi, kiedy pomagała mu leczyć rannych. Mimo jej kruchych kosteczek, jakby utkanych z mgły, i dziecięcej buzi, nie widział już w niej dziewczynki, tylko kobietę. Myślał, jak się zmieniła, kiedy ścięła włosy, i żałował, że nie zachował jej warkocza, co przyszło mu nawet wtedy do głowy, ale co odrzucił jako przynoszący ujmę przejaw sentymentalizmu. Mógłby przynajmniej wziąć go teraz do ręki, żeby przywołać obecność tej szczególnej przyjaciółki. Ilekroć oddawał się medytacjom, zawsze przesyłał jej ochronną energię, żeby broniła jej przed śmiercią i tysiącem czyhających na każdym kroku niepowodzeń, których wolał nie nazywać, gdyż wiedział, że kto z upodobaniem rozmyśla o nieszczęściu, w końcu je sprowadza. Czasami śniła mu się, a wtedy budził się spocony i rzucał swoje patyczki I Ching, żeby zobaczyć to, co niewidzialne. W niejasnych przekazach Eliza jawiła mu się zawsze zmierzając pod jakąś górę, co go nieco uspokajało.

We wrześniu 1850 roku przyszło mu brać udział w hałaśliwych uroczystościach patriotycznych, kiedy to Kalifornia stała się jeszcze jednym stanem Unii. Państwo amerykańskie obejmowało teraz cały kontynent, od Atlantyku po Pacyfik. W owym czasie gorączka złota zaczynała przerażać się w ogromne zbiorowe rozczarowanie, i Tao widział całe masy wycieńczonych i biednych górników, czekających w kolejce, żeby odpłynąć w swoje strony. Gazety szacowały liczbę wracających na jakieś dziewięćdziesiąt tysięcy. Marynarze już nie dezertowali, przeciwnie, nie starczało statków, żeby zabrać wszystkich, którzy pragnęli wyjechać. Na każdym pięciu górników jeden zginął, utonawszy w rzece, od chorób albo z zimna; wielu padało ofiarą morderstw albo sami strzelali sobie w skroń. Nadal przybywali cudzoziemcy, którzy wsiedli na statki kilka miesięcy wcześniej, ale nie było już złota, po które mógłby sięgnąć pierwszy lepszy śmiałek, byle tylko miał miskę, łopatę i parę wysokich butów; czasy samotnych bohaterów się skończyły i na ich miejsce powstawały potężne kompanie wyposażone w maszyny, które strumieniami wody potrafiły kruszyć skały. Górnicy pracowali za pensję, a bogacili się przedsiębiorcy, równie żądni szybkiej fortuny co poszukiwacze przygód z roku 49, ale dużo sprytniejsi, jak ów żydowski krawiec nazwiskiem Levi, który produkował spodnie z grubego materiału z podwójnym szwem i metalowymi ćwiekami, jakie stały się obowiązkowym uniformem robotnika. Wielu wyjeżdżało, za to Chińczycy, przeciwnie, nadal ściągali niczym milczące mrówki. Czasami Tao Chi'en tłumaczył angielskie gazety przyjacielowi zhong yi, któremu szczególnie przypadały do gustu artykuły niejakiego Jacoba Freemonta, gdyż zgadzały się z jego własnymi opiniami:

„Argonauci całymi tysiącami wracają zrujnowani do swych domostw, gdyż nie

zdobyli «złotego runa» i ich «odyseja» przerodziła się w tragedię, ale wielu innych, chociaż równie biednych, zostaje, gdyż nie może już żyć gdzie indziej. Dwa lata spędzone na tej dzikiej i pięknej ziemi zmieniły tych mężczyzn. Niebezpieczeństwa, przygoda, zdrowie i siła życiowa, z jakimi zetknęli się w Kalifornii, nigdzie nie znajdą sobie równych. Złoto spełniło swoją rolę: przyciągnęło ludzi, którzy dokonują podboju tej ziemi, aby uczynić ją «ziemią obiecaną». To nieodwracalne...” - pisał Fremont.

Tao Chi'en uważał jednak, że żyje w raju zachłannych i niecierpliwych materialistów, którzy obsesyjnie pragną jak najszybciej się wzbogacić. Brakowało stawy dla ducha, za to kwitły przestępczość i ignorancja. Był przekonany, że z tych dwóch nieszczęść brały się wszystkie pozostałe. Wiele widział w swoim dwudziestosiedmioletnim życiu i nie uważał się za świętoszka, ale szokował go upadek obyczajów i bezkarność zbrodni. W takich miejscach jak to jest się skazanym na pogrążenie się w bagnie własnych nałogów, utrzymywał. Stracił nadzieję, że znajdzie w Ameryce tak upragniony spokój, zdecydowanie nie było to miejsce odpowiednie dla kogoś, kto aspirował do bycia mędrce. Czemu więc tak go pociągało? Powinien postarać się, aby ta ziemia nie rzuciła na niego czarów, tak jak to spotkało wielu innych, którzy po niej stąpali; zamierzał wrócić do Hongkongu albo odwiedzić w Anglii swego przyjaciela Ebanizera Hobbsa, żeby razem z nim studiować i praktykować. Na przestrzeni lat, jakie upłynęły od chwili, gdy został porwany na pokład „Liberty”, napisał do angielskiego lekarza wiele listów, jednak - jako że pływał - przez długi czas nie miał odpowiedzi, aż w końcu w Valparaiso, w lutym 1849 roku, kapitan John Sommers dostał jeden jego list i przekazał Tao Chi'enowi. Przyjaciel pisał, że praktykuje w Londynie chirurgię, chociaż jego prawdziwym powołaniem są choroby umysłowe, nowa dziedzina, dopiero zgłębianą przez naukową dociekliwość.

W Dai Fao, „Wielkim Mieście”, jak Chińczycy nazywali San Francisco, zamierzał pracować przez jakiś czas, po czym - jeśli Ebanizer Hobbs nie odpowie szybko na jego ostatni list - zaokrętować się na statek do Chin. Zdziwił się, widząc, jak w ciągu niespełna roku San Francisco zdążyło się zmienić. W miejscu hałaśliwego skupiska chat i namiotów, jakie znał, powitało go miasto o starannie wytyczonych ulicach i wielopiętrowych budynkach, zorganizowane i prosperujące, w którym wszędzie wyrastały nowe domy mieszkalne. Trzy miesiące wcześniej monstrualny pożar zniszczył kilka kwartałów ulic, nadal widać było resztki zwęglonych budynków, ale jeszcze nie zdążyły ostygnąć zgliszcza, a już wszyscy z młotkami w rękach zabrali się do odbudowy. Były tam luksusowe hotele z werandami i balkonami, kasyna, bary i restauracje, eleganckie powozy i kosmopolityczny, źle ubrany i nie-zgrabnie poruszający się tłum, nad którym unosiły się cylindry nielicznych dandysów.

Resztę stanowiły brodate i brudne typy o wyglądzie oszustów, ale tutaj nikt nie był tym, na kogo wyglądał, zwykły portowy doker mógł być latynoamerykańskim arystokratą, a woźnica - adwokatem z Nowego Jorku. Po minucie rozmowy z którymkolwiek z owych odrażających jegomościów o ponurym wyglądzie można było odkryć w nim wykształconego i subtelnego mężczyznę, który pod byle pretekstem wyciągał z kieszeni wymiętoszony list od żony, żeby pokazać go ze łzami w oczach. A zdarzało się i odwrotnie: wystrojony modniś pod dobrze skrojonym ubraniem ukrywał drania. Podczas swego spaceru po centrum Tao Chi'en nie natknął się na szkołę, za to widział dzieci, które pracowały jak dorośli przy kopaniu dołów, przenoszeniu cegieł, poganianiu mulic i czyszczeniu butów i które, ledwo zawiął wiatr od morza, pędziły puszczać latawce. Później dowiedział się, że wiele z nich było sierotami i że włóczyły się grupkami po ulicach, podkradając jedzenie, żeby przeżyć. Ciągłe jeszcze było mało kobiet i kiedy jakaś elegantka znalazła się na ulicy, wstrzymywano ruch, żeby mogła przejść. U stóp wzgórza Telegraph, na którym wznosił się maszt z flagami wskazującymi kraje pochodzenia statków wpływających do zatoki, rozciągała się wielokwartalowa część miasta, gdzie kobiet nie brakowało: była to dzielnica czerwonych latarni, kontrolowana przez sutenerów z Australii, Tasmanii i Nowej Zelandii. Tao Chi'en słyszał o nich i wiedział, że nie jest to miejsce, w jakie samotny Chińczyk mógłby się zapuszczać po zachodzie słońca. Przeszedłszy się po sklepach, stwierdził, że handel oferował takie same towary, jakie widział w Londynie. Wszystko docierało tu drogą morską, nawet transport kotów do zwalczania szcurów, które zostały rozprzedane co do jednego jako artykuły luksusowe. Las masztów statków porzuconych w zatoce zmalał dziesięciokrotnie, gdyż wiele z nich zatopiono, aby wyrównać teren pod zabudowę, albo przekształcono je w hotele, magazyny, więzienia, a nawet dom wariatów, gdzie dokonywali żywota nie-szczęśnicy pogrążeni w nieuleczalnych alkoholowych ma-jakach. Dom ten był bardzo potrzebny, gdyż przedtem szaleńców przywiązywano do drzew.

Tao Chi'en skierował się w stronę dzielnicy chińskiej i przekonał się, że pogłoski były prawdziwe: jego rodacy w samym sercu San Francisco zbudowali kompletne miasto, w którym mówiło się dialektem mandaryńskim i kantońskim, ogłoszenia były napisane po chińsku i wszędzie byli sami Chińczycy: złudzenie, że jest się w Niebiańskim Cesarstwie, było doskonałe. Zamieszkał w przyzwoitym hotelu i oddał się praktyce lekarskiej na czas niezbędny, żeby zebrać trochę pieniędzy, miał bowiem przed sobą daleką podróż. Niemniej jednak zdarzyło się coś, co obróciło wniwecz jego plany i miało zatrzymać go w tym mieście. „Nie było moją karmą znalezienie spokoju w jakimś klasztorze w górach, tak jak o tym czasami marzyłem, tylko prowadzenie wojny bez rozejmu i bez końca” - stwierdził po wielu

latach, kiedy mógł spojrzeć na swoją prze-szłość i wyraźnie zobaczyć drogi już przebyte i te, które jeszcze zostały mu do przebycia. Wiele miesięcy potem otrzymał od Elizy ostatni list w bardzo wygniecionej kopercie.

Paulina Rodriguez de Santa Cruz zeszła z pokładu „Fortuny” niczym cesarzowa w otoczeniu swej świty i ba-gażu liczącego dziewięćdziesiąt trzy kufry. Trzeci rejs kapitana Johna Sommersa z ładunkiem lodu był dla niego, reszty pasażerów i załogi prawdziwą męczarnią. Paulina dała wszystkim do zrozumienia, że statek należy do niej, i aby tego dowieść, sprzeciwiała się kapitanowi, a marynarzom wydawała własne rozkazy. Nie zapadła nawet na chorobę morską - co wszystkim dałoby może choć chwilę wytchnienia - gdyż jej żołądek słonicy zniósł bujanie statkiem bez żadnych konsekwencji, reagując naj-wyżej zwiększeniem apetytu. Jej dzieci co rusz przepadały w zakamarkach statku (mimo że ich opiekunki nie spuszczały ich z oka), a kiedy do tego dochodziło, na po-kładzie rozlegały się dzwonki alarmowe i trzeba było zatrzymać statek, gdyż zdesperowana matka piszczała, że na pewno powpadały do wody. Kapitan z największą delikatnością usiłował jej tłumaczyć, że w takim przypadku należy się poddać, ponieważ Pacyfik już zdążył je po-chłonać, ale ona wydawała rozkaz opuszczenia szalup ratunkowych. Prędzej czy później dzieci się znajdowały i po kilku godzinach „tragedii” można było kontynuować podróż. Natomiast jej paskudny piesek salonowy pewnego dnia poślizgnął się i wpadł do oceanu na oczach wielu świadków, którym odjęło mowę. Na nabrzeżu w San Fran-cisco czekali na nią mąż i szwagier z całym szeregiem wozów i karet do transportu rodziny i kufrów. Nowa, wzniesiona dla niej rezydencja - elegancki dom z epoki wiktoriańskiej - przybyła z Anglii w skrzyniach zawie-rających ponumerowane części oraz plan, jak należy je złożyć; sprowadzono również tapety, meble, harfę, fo-rtepien, lampy a nawet figurki z porcelany i sielskie obrazki do dekoracji. Nie przypadła Paulinie do gustu. W porównaniu z marmurową siedzibą, jaką zostawiła w Chile, ta wyglądała jak domek dla lalek, który grozi zawaleniem, jeśli się oprzeć o ścianę, ale na razie nie było innego wyjścia. Wystarczył jej jeden rzut oka na kipiące życiem miasto, aby zdać sobie sprawę z jego możliwości.

- Tu się osiedlimy, Feliciano. Kto przyjeżdża pierwszy, ten w ciągu paru lat staje się arystokratą.

- To już przecież masz w Chile, kobieto.

- Ja tak, ale ty nie. Wierz mi, to będzie najważniejsze miasto na całym Pacyfiku.

- Założone przez kurwy i kanalie!

- Właśnie. Im najbardziej zależy na szacunku. Nie będzie bardziej szanowanej rodziny od Crossów. Szkoda, że gringos nie potrafią wymówić twojego prawdziwego nazwiska. Cross

to dobre dla producenta serów. Ale, no cóż, nie można mieć wszystkiego...

Kapitan John Sommers skierował się w stronę najlepszej restauracji w mieście, postanowiwszy dobrze zjeść i wypić, żeby zapomnieć o pięciu tygodniach spędzonych w towarzys-twie owej kobiety. Przywiózł wiele skrzyń z nowymi ilust-rowanymi wydaniem książek erotycznych. Poprzednie od-niosły ogromny sukces i miał nadzieję, że jego siostra Rosę odzyska chęć do pisania. Od chwili zniknięcia Elizy po-grążyła się w smutku i nie wzięła pióra do ręki. Jemu również zmienił się humor. Starzeję się, do diaska, mówił do siebie, z zaskoczeniem obserwując, że ogarnia go beznadziejna nostalgia. Nie miał czasu nacieszyć się córką, popłynąć z nią do Anglii, jak planował; nawet nie zdążył jej powiedzieć, że jest jej ojcem. Miał dosyć oszustw i tajemnic. Ten handel książkami to kolejny sekret rodzinny. Piętnaście lat temu, kiedy siostra wyznała mu, że w tajemnicy przed Jeremym pisze nieprzyzwoite historie, żeby nie umrzeć z nudów, przyszło mu do głowy, żeby je wydać w Londynie, gdzie - w miarę jak narzucano sztywną moralność wiktoriańską - na równi z prostytutką i klubami biczowników rozkwitał rynek erotyczny. W dalekim, prowincjonalnym Chile, siedząc przy eleganckim biurku z jasnego drewna, nie mając innych źródeł inspiracji jak tylko po tysiackroć wyolb-rzymiane i udoskonalane wspomnienia o swej jedynej miło-ści, jego siostra produkowała powieść za powieścią, pod-pisując je kryptonimem: „Anonimowa dama”. Nikt nie wierzył, aby te płomienne historie - niektóre przywodzące na pamięć teksty markiza de Sade, będące już klasyką swego gatunku - mogły być dziełem kobiety. Do niego należało dostarczanie rękopisów do wydawcy, pilnowanie rachunków, odbieranie zysków i przekazywanie ich do banku w Londynie na konto siostry. W ten sposób odwdzięczał się jej za przeogromną przysługę, jaką mu wyświadczyła, przygarniając jego córkę i nie puszczając pary z ust. Eliza... Nie mógł przypomnieć sobie rysów twarzy jej matki, po której z pew-nością odziedziczyła cechy fizyczne, ale niewątpliwie po nim miała zamiłowanie do przygód. Gdzie może teraz być? Z kim? Rosę upierała się, że wyjechała do Kalifornii na poszukiwanie swego kochanka, ale im więcej czasu upływało, tym mniej chciało mu się w to wierzyć. Jego przyjaciel Jacob Todd - obecnie Freemont - który z poszukiwania Elizy uczynił osobiste posłannictwo, zapewniał, że nigdy nie postawiła stopy w San Francisco.

Freemont spotkał się z kapitanem na kolacji, po czym zaprosił go na pewien frywolny spektakl w jednej z tancbud w dzielnicy czerwonych latarni. Opowiedział mu, że Ah Toy, Chinka, którą kiedyś podglądali przez otwory w ścianie, ma teraz sieć burdeli i bardzo elegancki „salon”, w którym oferuje najlepsze orientalne dziewczęta, niektóre liczące sobie zaled-wie jedenaście lat, przyuczone do zaspokajania wszelkich kaprysów, ale to nie tam

teraz idą, tylko żeby zobaczyć tancerki z tureckiego haremu, dodał. Wkrótce potem palili i pili w dwupiętrowym budynku wyposażonym w marmurowe blaty barów, wypolerowane klamki i poręcze z brązu oraz obrazy przedstawiające mitologiczne nimfy gonione przez faunów. Kobiety różnych ras obsługiwały klientelę, podawały alkohol i dowodziły stołami do gry, a wszystko to pod baczny spojrzeniem uzbrojonych sutenerów wystrojonych z krzykliwą afektacją. Po obu stronach głównego salonu, w salonikach prywatnych, obstawiano duże stawki. Tutaj zbierali się królowie hazardu, aby w ciągu jednej nocy po-stawić grube tysiące: politycy, sędziowie, kupcy, adwokaci i kryminaliści, wszyscy zrównani w obliczu tej samej pasji. Orientalny spektakl wydał się kapitanowi fiaskiem, gdyż w Istambule widział już autentyczny taniec brzucha i podej-rzewał, że owe niezgrabne dziewczyny z pewnością pochodzi-ły z ostatniej dostawy prostytutek z Chicago, które dopiero co przebyły do miasta Publiczność, w większości składająca się z prostych górników, którzy nie potrafiliby wskazać Turcji na mapie, oszalała z zachwytu na widok odalisek, ledwo przy-słoniętych spódniczkami z paciorków Znudzony kapitan podszedł ku jednemu ze stołów, przy którym jakaś kobieta z niewiarygodną zręcznością tasowała karty do gry w monte Inna podeszła do niego i ujmując go pod ramię, wyszeptala mu do ucha zaproszenie Odwrócił się, by się jej przyjrzeć Była to pyzata i wulgarna Latynoska, jednak jej twarz miała szczery, radosny wyraz. Już miał ją odprawić, gdyż zamierzał spędzić resztę nocy w jednym z drogich salonów, w których bywał przy okazji każdej poprzedniej wizyty w San Francisco, kiedy jego wzrok padł na jej dekolt Do piersi miała przypiętą złotą broszkę z turkusami.

- Skąd to masz? - bzyknał, chwytając ją za ramiona rękoma jak szpony.

- To moje. Kupiłam sobie - wymamrotała wystraszona.

- Gdzie? - nadal ją szarpał, aż podszedł jeden ze zbirów.

- Coś się stało, mister? - z pogrózką w głosie zapytał mężczyzna.

Kapitan dał znak, że życzy sobie tę kobietę, i praktycznie zawłókł ją do jednego z pokoi na drugim piętrze Zasunął zasłonę i wymierzył dziewczynie siarczysty policzek, od które-go padła na wznak na łóżko.

- Powiesz mi, skąd wzięłaś tę broszkę, albo wybiję ci wszystkie zęby, jasne?

- Nie ukradłam jej, przysięgam Dostałam!

- Kto ci ją dał?

- Nie uwierzy mi pan, jak powiem.

- Kto?

- Jedna dziewczyna, już dawno, na statku.

I Azucena Placeres aha Lilia Złotodajka nie miała innego wyjścia, jak opowiedzieć

temu furiatowi, że broszkę dał jej jakiś chiński kucharz za to, że opiekowała się biedną dziewczuszną, która umierała po poronieniu w ładowni statku na środku Oceanu Spokojnego. W miarę jak mówiła, furia kapitana ustępowała miejsca grozie.

- A z nią co się stało? - zapytał John Sommers z głową ukrytą w dłoniach, przybity.

- Nie wiem, senor.

- Na wszystko, co najbardziej kochasz powiedz mi, co się z nią stało - błagał, kładąc jej na spódnicy zwitek banknotów.

- Kim pan jest?

- Jej ojcem.

- Wykrwawiła się na śmierć, a ciało wyrzuciliśmy do morza. Przysięgam panu, to prawda - odrzekła Lilia Złotodajka bez wahania, gdyż pomyślała, że skoro ta nieszczęsnica przeżyła pół świata ukryta w norze jak szczur, byłoby niewybaczalną podłością naprowadzić ojca na jej ślad.

Eliza spędziła lato w mieście, gdyż spadło na nią wiele obowiązków. Najpierw Zły Babalu dostał gwałtownego ataku dyzenterii, co wywołało panikę, gdyż epidemia zdawała się zażegnana. Od miesięcy nie było przypadków, które można by opłakiwać, z wyjątkiem zgonu dwuletniego dziecka, pierwszego, jakie przyszło na świat i odeszło z niego w tym miejscu chwilowego postoju przyjezdnych i poszukiwaczy przygód. Dziecko to nadało miastu tożsamość, już nie było ono jakimś obozowiskiem nawiedzonych, z szubienicą, która jako jedyna dawała mu prawo do figurowania na mapach, teraz posiadało chrześcijański cmentarz i małą mogiłkę kogoś, komu upłynęło tu całe życie. Kiedy szopa była zamieniona w szpital, cudem udało się im uniknąć epidemii, Joe nie wierzyła w możliwość zarażenia, twierdziła, że wszystko to kwestia szczęścia. Cały świat jest pełen wszelkiej zarazy i jedni ją łapią, a inni nie. W związku z powyższym nie zachowywała żadnych środków ostrożności, pozwalając sobie ignorować ostrzeżenia i apele do zdrowego rozsądku, jakich nie szczędził jej lekarz, i zgrzytając zębami tylko od czasu do czasu gotowała wodę do picia. Przeniósłszy się do prawdziwego, porządnego domu, wszyscy poczuli się pewnie, skoro nie zachorowali przedtem, tym bardziej nie zachorują teraz. Kilka dni po Babalu padło na Łamignata, dziewczęta z Missouri i piękną Meksykankę. Wszyscy legli, złożeni odrażającą biegunką, rozpaleni gorączką i targani gwałtownymi dreszczami, które w przypadku Babalu przenosiły się na cały budynek. Wówczas zjawił się James Morton w niedzielnym ubraniu, aby formalnie poprosić o rękę Esther.

- Aj, synu, nie mogłeś wybrać gorszej chwili - westchnęła Łamignat, ale była zbyt chora, by się sprzeciwić, i pośród lamentów wyraziła zgodę.

Esther rozdzieliła swoje rzeczy między towarzyszek, gdyż na swe nowe życie nie chciała niczego zabierać, i jeszcze tego samego dnia bez zbędnych formalności wyszła za mąż, mając za orszak Toma Bez Szczepu i Elizę, jedynych zdrowych w całym towarzystwie. W chwili gdy przechodzili przez miasto, po obu stronach ulicy uformował się podwójny szereg dawnych klientów, strzelających w powietrze i wiwatujących na cześć młodej pary. Esther zamieszkała w kuźni, zdecydowana uczynić ją swym domem i zapomnieć o przeszłości, ale uparła się codziennie przychodzić do Joe i przynosić chorym gorące jedzenie i czystą odzież. Na Elizę i Toma Bez Szczepu spadło niewdzięczne zadanie troszczenia się o pozostałych członków trupy. Miejscowy lekarz, młodzian przybyły z Fila-delfii, który od miesięcy ostrzegał że woda jest zakażona odpadami pochodzącymi od górników pracujących w górze rzeki, czym nikt bynajmniej się nie przejmował, objął dom Joe kwarantanną. Pieniądze rozeszły się piorunem, a nie pomarli z głodu dzięki Esther i anonimowym darom, które w tajemniczy sposób pojawiały się pod drzwiami. A to worek fasoli, a to parę funtów cukru, tytoń, woreczki ze złotym proszkiem, srebrne dolarówki. Pragnąc dopomóc przyjaciom, Eliza sięgnęła po sposób, którego w dzieciństwie nauczyła się od Mamy Frezji i od Tao Chi'ena w Sacramento, aż w końcu jedno po drugim wrócili do zdrowia, chociaż jeszcze długo potykali się o własne nogi, nieco zamroczeni. Zły Babalu ucierpiał najbardziej, jego cyklopie cielsko nie nawykło do słabości, zmizerniał i skóra obwisła mu do tego stopnia, że nawet jego tatuaże utraciły swe kształty.

W tamtych dniach w lokalnym periodyku ukazała się krótka wzmianka o jakimś chilijskim czy też meksykańskim (co do tego nie było pewności) bandycie nazwiskiem Joaquin Murieta, o którym - jak żyła - Matka długa i szeroka - zaczęło się robić głośno. W owym czasie na złotodajnych terenach rządziła przemoc. Rozczarowani Amerykanie, pojąwszy, że nagły uśmiech fortuny - niczym drwiący cud - był udziałem tylko niewielu, oskarżali cudzoziemców o pazerność oraz o to, że się bogacą, nie przyczyniając się do dobrobytu kraju. Rozgrzewał ich alkohol, a bezkarność, z jaką ferowali wyroki, dawała im irracjonalne poczucie siły. Nigdy żaden jankes nie został skazany za zbrodnie przeciwko przedstawicielom innych ras, co gorsza, bardzo często biały przestępca mógł wybierać swą własną ławę sędziowską. Rasowa wrogość przekształciła się w ślepą nienawiść. Meksykanie nie chcieli się pogodzić z utratą swego terytorium w wyniku wojny i nie pozwalali się wyrzucać ze swych rancz ani kopalń. Chińczycy z pokorą znosili nadużycia, nie wyjeżdżali i ciągle wydobywali złoto, zarabiając na nim tyle co nic, ale robili to z tak niezwykłym uporem, że ziarno do ziarnka zbierała się miarka. Tysiące Chilijczyków i Peruwianczyków - którzy, kiedy wybuchła gorączka złota, przybyli tu jako pierwsi - postanowiło wrócić do

siebie, gdyż w takich warunkach nie opłacało się gonić za swymi marzeniami. W owym roku 1850 kalifornijskie prawodawstwo obłożyło górnictwo podatkiem, który z założenia miał chronić interesy białych. Murzyni i Indianie nie liczyli się, chyba że pracowali jako niewolnicy, a cudzoziemcy mieli zapłacić po dwadzieścia dolarów i każdego miesiąca od nowa rejestrować swoje działki, co w praktyce okazało się niewykonalne. Nie mogli opuścić swoich żył złota i udać się w wielotygodniową podróż do miast, żeby dopełnić nałożonego prawem obowiązku, ale jeśli tego nie robili, szeryf zajmował działkę i oddawał ją Amerykaninowi. Osoby odpowiedzialne za dokonywanie pomiarów były wyznaczane przez gubernatora, a ich pobory pochodziły z podatków i grzywien, co w doskonały sposób sprzyjało rozwojowi korupcji. Prawo to stosowano tylko wobec cudzoziemców o ciemnej cerze, mimo że - w myśl traktatu, który położył kres wojnie w 1848 roku - Meksykanie mieli prawo do amerykańskiego obywatelstwa. Kolejny dekret dobił ich zupełnie: prawo własności rancz, na których żyli od pokoleń, miało być ratyfikowane przez sąd w San Francisco. Postępowanie ciągnęło się latami i kosztowało fortunę, a nieraz zdarzało się, że to sam sędzia i urzędnicy sądowi zagarniali sporną nieruchomość. Widząc, że nie mogą liczyć na sprawiedliwość, niektórzy szukali dla siebie miejsca poza nią, z całym przekonaniem wchodząc w rolę wyjętych spod prawa. Ci, którzy kiedyś zadowalali się kradzieżą krowy, teraz napadali na samotnych górników i podróżnych. Niektóre bandy zasłynęły ze swego okrucieństwa; nie tylko ograbiały swoje ofiary, ale także dla zabawy torturowały je, a dopiero potem zabijały. Mówiło się o jakimś szczególnie krwawym bandycie, któremu - między innymi - przypisywano straszliwą śmierć dwóch młodych Amerykanów. Ich ciała znaleziono przywiązane do drzewa; ślady wskazywały, że rzucano do nich nożami jak do celu; obcięto im również języki, wylupiono oczy i wydarto kawałki skóry, po czym wystawiono, jeszcze żywych, na powolną śmierć. Zbrodniarza nazywano Jack Trzy Palce i powiadano, że jest prawą ręką Joaquina Muriety.

Jednak obok tych przejawów zdziczenia Kalifornia przeżywała gwałtowny rozwój; ożywiały się miasta i rozkwitały nowe osady, osiedlały się rodziny, wydawano czasopisma, powstawały trupy teatralne i orkiestry, wznoszono banki, szkoły i świątynie, wytyczano drogi i ulepszano komunikację. Istniały usługi dylizansowe, a pocztę doręczano regularnie. Przybywało kobiet i formowało się społeczeństwo aspirujące do porządku i moralności; nie była to już zbieranina samotnych mężczyzn i prostytutek, jak na początku, starano się zaprowadzić prawo i powrócić do cywilizacji, zapomnianej w gorączkowym poszukiwaniu łatwego złota. Miasteczko otrzymało przywoitą nazwę, nadaną mu podczas uroczystej ceremonii z muzyką i defiladą, w której wzięła udział Joe Łamignat, po raz pierwszy ubrana

jak kobieta, w otoczeniu całej kompanii. Nowo przybyłe małżonki robiły miny na widok „wymalowanych gęb”, ale jako że Joe i jej dziewczynki podczas epidemii uratowały życie wielu obywatelom, nie reagowały na to, co tamte wyprawiają. Natomiast drugiemu burdelowi wypowiedziały wojnę; była ona całkiem niepotrzebna, ponieważ w dalszym ciągu na dziewięciu mężczyzn przypadała jedna kobieta. Pod koniec roku James Morton powitał pięć kwakerskich rodzin, które wozami ciągniętymi przez woły przejechały cały kontynent, a skusiło je nie złoto, ale rozległość tej dziewiczej ziemi.

Eliza nie wiedziała już, jakim ruszyć śladem. Joaquin Andieta przepadł w zawierusze tamtych czasów, a jego miejsce zaczynał zajmować jakiś bandyta o tym samym wyglądzie i podobnym nazwisku, którego ona jednak nie potrafiła utożsamić ze szlachetnym młodzieńcem, jakiego kochała. Autor namiętnych listów, które przechowywała jako jedyny skarb, nie mógł być tą samą osobą, której przypisywa-no tak okrutne zbrodnie. Jej ukochany nigdy nie przyjąłby na współnika kogoś tak wyzbytego uczuć jak Jack Trzy Palce, myślała, ale pewność opuszczała ją w nocy, kiedy Joaquin zjawiał się przed nią pod tysiącami różnych masek, przynosząc jej sprzeczne przesłania. Budziła się z drżeniem, osaczona przez rozszalałe widma ze swych koszmarów. Już nie potrafiła wejść i wyjść ze snu, kiedy zechce, jak ją tego w dzieciństwie uczyła Mama Frezja, ani odczytywać wizji i symboli, które tłukły się w jej głowie z hurkotem kamieni wleczonych przez rzekę. Niemordowana zapisywała swój dziennik w nadziei, że jeśli to zrobi, obrazy nabiorą jakiegoś znaczenia. Czytała miłosne listy litera po literze wciąż na nowo, szukając jakichś znaków wyjaśnienia, ale rezultatem było jeszcze większe zagubienie. Te listy stanowiły jedyny dowód na istnienie jej kochanka, więc czepiała się ich, żeby już całkiem nie dostać pomieszania zmysłów. Pragnienie, by pogrążyć się w apatii, będącej jakąś formą ucieczki przed udręką dalszych poszukiwań, stało się nieodparte. Wątpiła we wszystko: w pieszczoty w pokoju z szafami, w miesiące, które spędziła pogrzebana żywcem w ładowni statku, i w dziecko, które straciła wraz z krwią.

Ślub Esther z kowalem, w wyniku którego z dnia na dzień trupa została pozbawiona jednej czwartej swoich dochodów, oraz długie tygodnie, jakie pozostali jej członkowie spędzili powaleni przez dyzenterię, pociągnęły za sobą takie kłopoty finansowe, że mało brakowało, aby Joe utraciła swój domek, jednak myśl, że miałyby patrzeć, jak jej „gołąbeczki” pracują dla konkurencji, dodawała jej sił do pokonania przeciwności losu. Jej dziewczęta miały za sobą piekło, nie mogła więc na powrót zepchnąć ich do takiego życia, ponieważ - wbrew własnej woli - je pokochała. Zawsze uważała, że czyniąc z niej mężczyznę w ciele kobiety Pan Bóg popełnił duży błąd, dlatego nie rozumiała swoistego instynktu macierzyńskiego-go, który ogarniał ją w najmniej stosownych momentach. Zazdrośnie otaczała

troską Toma Bez Szczepu, ale lubiła podkreślać, że robi to „po wojskowemu”. Żadnych czułości, nie leżało to w jej charakterze, a ponadto chłopiec powinien wyrosnąć na mężczyznę silnego jak jego przodkowie; takie ceregiele mogłyby tylko zaszkodzić jego męskości, ostrzegala Elizę, ilekroć zastawała ją z małym w ramionach, opowiadając mu chilijskie bajki. Ten nagły przypływ czułości dla jej „gołąbeczek” wprawiał ją w zakłopotanie, a - co gorsza - one zdawały sobie z tego sprawę i zaczęły nazywać ją „mamą”. To określenie wściekało ją, zabroniła im surowo go używać, ale nie zwracały na to uwagi. „Łączą nas stosunki handlowe, do diaska. Nie potrafię ująć tego jaśniej: dopóki będziecie pracować, dopóty będziecie miały forszę, dach nad głową, jedzenie i opiekę, ale w dniu, w którym mi się pochorujecie, zaczniecie lenić albo porobią się wam zmarszczki i pokażą siwe włosy - adios! Nic prostszego, jak znaleźć kogoś na wasze miejsca, świat aż się roi od upadłych kobiet” - mruczała do siebie. I wówczas nagle ogarniało ją owo słodkie uczucie, które komplikowało jej życie, a na które żadna bajzelmama przy zdrowych zmysłach nie mogła sobie pozwolić. „Te kłopoty biorą ci się stąd, że jesteś porządnym człowiekiem” - podkpiwał sobie Zły Babalu. I tak rzeczywiście było, bo kiedy ona traciła swój cenny czas, opiekując się chorymi, których imion nawet nie знаła, druga miejscowa bajzelmama nie dopuściła nikogo zarażonego w okolicy swego lokalu. Joe była coraz uboższa, podczas gdy tamta utyla, obnosiła się z włosami ufarbowanymi na blond i z dziesięć lat młodszym od siebie rosyjskim kochankiem, który miał mięśnie atlety i jeden ząb inkrustowany diamentem, rozwinęła interes i w weekendy górnicy ustawiali się w kolejce do jej drzwi z pieniędzmi w jednej ręce i kapeluszem w drugiej, gdyż żadna kobieta, choćby nie wiedzieć jak nisko upadła, nie tolerowała kapelusza na głowie. Zdecydowanie ta profesja nie miała przyszłości, utrzymywała Joe: prawo ich nie ochraniało, Bóg o nich zapomniał i jedyne, co rysowało się przed nimi, to starość, nędza i osamotnienie. Przyszło jej do głowy, czyby nie zająć się praniem bielizny i pieczeniem ciast na wynos, dalej prowadząc gry hazardowe i sprzedaż nieprzy-zwoitych książek, ale jej dziewczynki nie miały zamiaru zarabiać na życie, oddając się tak pospolitym i źle opłacanym zajęciom.

- To główniany zawód, panienki. Znajdźcie sobie mężów, wyuczcie się na nauczycielki, zróbcie coś ze swoim życiem i przestańcie zawracać mi głowę! - wzdychała ze smutkiem.

Również Zły Babalu był zmęczony rolą stręczyciela i go-ryla. Osiadły tryb życia go nudził, a Łamignat tak się zmieniła, że nie miało większego sensu dalej razem pracować. Skoro ona straciła entuzjazm do zawodu, cóż pozostawało jemu? W chwilach rozpaczliwej zwierzal się Chilenitowi i obaj dla zabawy snuli fantastyczne plany, jak by tu się

unie-zależnić: mieli przygotować objazdowe przedstawienie, mó-wili o kupnie niedźwiedzia i nauczaniu go boksu, tak aby potem jeździć od wsi do wsi, wyzywając odważnych do walki na pięści ze zwierzęciem. Babalu uczeplił się myśli o tej przygodzie, a Eliza myślała, że to dobry pretekst, aby mając zapewnione towarzystwo, móc podróżować i szukać Joaquina Andiety. Poza gotowaniem i przygrywaniem na pianinie w domu Łamignata również dla niej nie było wiele do roboty, a beczynność wprawiała ją w zły humor. Pragnęła odzyskać bezkresną wolność podróżowania, ale przywiązała się do tych ludzi, a na myśl o rozstaniu z Tomem Bez Szczepu pękało jej serce. Chłopiec umiał już płynnie czytać i starannie pisał, gdyż Eliza przekonała go, że kiedy dorośnie, powinien zostać adwokatem i bronić praw Indian, zamiast kulami mścić pamięć zmarłych, jak domagała się tego Joe. „W ten sposób będziesz znacznie potężniejszym wojownikiem, a gringos będą się ciebie bali”, mówiła. Jeszcze się nie śmiał, ale kilka razy, kiedy siadał obok niej, chcąc żeby pogłaskała go po głowie, na jego chmurnej indiańskiej twarzy zarysował się cień uśmiechu.

Tao Chi'en zjawił się w domu Joe Łamignata o trzeciej po południu w pewną grudniową środę. Drzwi otworzył Tom Bez Szczepu, zaprowadził go do salonu, wolnego o tej porze, i poszedł zawołać „gołąbeczki”. Po chwili do kuchni, gdzie Chilenito zagniatał chleb, weszła piękna Meksykanka, żeby zawiadomić, że jakiś Chińczyk pyta o Eliasa Andietę, ale Eliza była tak pochłonięta pracą i wspomnieniami snów z poprzedniej nocy, w których stoły do loterii mieszały się jej z wylupionymi oczami, że nie zwróciła na nią uwagi.

- Mówię ci, że czeka na ciebie jakiś Chińczyk - powtórzyła Meksykanka, a wtedy serce Elizy szarpnęło się w piersi, jakby otrzymało cios kopytem mulicy.

- Tao! - krzyknęła i wybiegła pędem.

Jednak wpadłszy do salonu stanęła przed mężczyzną tak innym niż ten, którego znała, że minęło kilka sekund, nim rozpoznała w nim przyjaciela. Nie miał już swego warkocza, tylko włosy obcięte na krótko, napomadowane i zaczesane do tyłu, nosił okrągłe okulary w metalowych oprawkach i ciemne ubranie składające się z surduta, kamizelki zapinanej na trzy guziki i rurkowatych spodni. W jednej ręce trzymał płaszcz i parasol, w drugiej zaś cylinder.

- Dobry Boże, Tao! Co ci się stało?

- W Ameryce trzeba się nosić jak Amerykanie - roze-śmiał się.

W San Francisco napadło go trzech zbirów i zanim zdążył wyciągnąć zza pasa swój nóż, ogłuszyli go jednym uderze-niem kija, żeby móc się zabawić kosztem „syna niebiańskiego ludu”. Kiedy się ocknął, leżał w jakimś zaułku, umazany nieczystościami, z obciętym warkoczem okręconym wokół szyi. Wówczas zdecydował zachować krótkie włosy i zacząć ubierać się jak fan giiey. Jego odmieniona sylwetka wyróżniała się w tłumie

zamieszkującym dzielnicę chińską, ale odkrył, że poza jej obrębem przyjmowano go znacznie lepiej i że otwierały się przed nim drzwi do miejsc, które przedtem były dla niego niedostępne. Prawdopodobnie był jedynym Chiń-czykiem w mieście, który tak wyglądał. Warkocz uważany był za święty i decyzja o jego obcięciu była dowodem na to, że postanowił nie wracać do Chin i osiedlić się na stałe w Ame-ryce, co było niewybaczalną zdradą wobec cesarza, ojczyzny i przodków. Niemniej jednak jego ubiór i uczesanie wywoły-wały również pewne zdziwienie, gdyż wskazywały, że miał wstęp do świata Amerykanów. Eliza nie mogła oderwać od niego oczu: to był ktoś obcy, do kogo na nowo musiała się przyzwyczaić. Tao Chi'en uklonił się wiele razy w swoim rytualnym pozdrowieniu, a ona nie ośmieliła się go przytulić, chociaż paliło ją pragnienie, by to zrobić. Wiele razy spali obok siebie, ale nigdy się nie dotknęli nie mając snu na swoje usprawiedliwienie.

- Chyba podobałeś mi się bardziej, kiedy od stóp do głów byłeś Chiń-czykiem, Tao. Takiego cię nie znam. Pozwól mi się powąchać - poprosiła.

Nie ruszył się, zmieszany, gdy tymczasem ona obwąchiwała go jak pies swoją zdobycz, rozpoznając w końcu delikatny powiew morza, ten sam krzepiący zapach przeszłości. Krótkie włosy i surowy ubiór czyniły go starszym, nie wyczuwało się już w nim owej młodzieńczej swobody co kiedyś. Zeszczupłał i wydawał się wyższy, z jego płaskiej twarzy wystawały kości policzkowe. Eliza z przyjemnością przyglądała się jego ustom, doskonale pamiętała jego zaraźliwy uśmiech i równiutkie zęby, ale nie zmysłowy kształt warg. W jego spojrzeniu dostrzegła jakiś wyraz przygnębienia, ale pomyślała, że to efekt okularów.

- Jak dobrze cię widzieć, Tao! - oczy zaszyły jej łzami.

- Nie mogłem przyjechać wcześniej, nie miałem twojego adresu.

- Teraz też mi się podobasz. Wyglądasz jak grabarz, ale ładny.

- To teraz moje zajęcie, grzebanie - roześmiał się. - Kiedy dowiedziałem się, że mieszkasz w takim miejscu, pomyś-lałem, że spełniły się przepowiednie Azuceny Placeres. Mówi-ła, że wcześniej czy później skończysz tak jak ona.

- Wyjaśniłam ci w liście, że zarabiam na życie grą na pianinie.

- Nie do wiary!

- Dlaczego? Nigdy mnie nie słyszałeś, nie jestem w tym taka zła. I skoro mogłam uchodzić za chińskiego niemowę, równie dobrze mogę być chilijskim pianistą.

Zaskoczony Tao Chi'en wybuchnął śmiechem, bo po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się zadowolony.

- Znalazłaś ukochanego?

- Nie. Już nie wiem, gdzie go szukać.

Może nie zasługuje na to, żebyś go znalazła, jedź ze mną do San Francisco.

- Nie mam tam nic do roboty...

- A tutaj? Jest już zima, za parę tygodni drogi zrobią się nieprzejezdne, a ta miejscina zostanie odcięta od świata.

- Strasznie to nudne udawać twojego przygłupiego bra-ciszka, Tao.

- W San Francisco jest wiele do zrobienia, sama zobaczysz, i nie musisz ubierać się jak mężczyzna, teraz wszędzie widuje się kobiety.

- A co z twoimi planami powrotu do Chin?

- Odłożyłem je na później. Na razie nie mogę wyjechać.

SING SONG GIRLS

Latem 1851 roku Jacob Freemont postanowił prze-prowadzić z Joaquinem Muridą wywiad. W owym czasie modnymi w Kalifornii tematami byli bandyci i podpalenia; ludzie mieli się czego bać, a prasa - o czym pisać. Panoszyła się przestępczość i Wszystkim znana była korupcja panująca w policji, której wielkość stanowili krymi-naliści, bardziej zainteresowani ochroną swoich współników niż mieszkańców. Po kolejnym gwałtownym pożarze, jaki zniszczył znaczną część San Francisco, powołano Komitet Strażników złożony z rozwścieczonych obywateli z niezastąpionym Samem Brannanem na czele? mormonem, który w roku 1848 rozpuścił wieść o odkryciu złota. Ekipy straża-ków biegały z góry na dół po zboczach, ciągnąc za sobą wozy z wodą, ale zanim zdołały dotrzeć do jednego budynku, wiatr zdążył przenieść płomień na drugi. Ogień zaczął pojawiać się od chwili, kiedy australijskie „charty” (jak nazywano przybyszy z tego kontynentu) podlały obficie naftą sklep jakiegoś kupca, który odmówił im zapłaty haraczu za rzekomą ochronę, po czym wrzuciły do niego pochodnię. W obliczu obojętności władz Komitet postanowił działać na własną rękę. Dzienniki wołały: „Ile to już zbrodni popełniono w tym mieście w ciągu jednego roku? I kto został za to powieszony albo ukarany? Nikt! Ilu mężczyzn zginęło od kul albo sztylu-tu, ilu zostało napadniętych i pobitych, i kto został za to skazany? Nie jesteśmy zwolennikami linczu, ale któż może przewidzieć, co zrobią we własnej obronie oburzeni miesz-kańcy?”. Lincz - do takiego właśnie rozwiązania uciekli się obywatele. Strażnicy natychmiast wzięli się do roboty i powie-sili pierwszego podejrzanego. Z dnia na dzień przybywało członków Komitetu, którzy działali z tak szalonym entuzjaz-mem, że po raz pierwszy bandyci pilnowali się, żeby nie napadać w biały dzień. W takiej atmosferze przemocy i zemsty postać Joaquina Muriety miała szansę znaleźć się na najlepszej drodze, by stać się symbolem. Jacob Freemont postanowił mu w tym pomóc; jego sensacyjne artykuły wykreowały Murietę na bohatera Latynosów i pogromcę jankesów. Pisał o nim, że posiada liczną bandę sobie podobnych i talent wojskowego geniusza oraz że prowadzi wojnę podjaz-dową, w której obliczu władze okazują się bezsilne. Atakuje podstępnie i szybko, spadając na swoje ofiary niczym klątwa, i natychmiast znika bez śladu, aby wkrótce potem pojawić się o sto mil dalej tak niespodziewanie, że można by to wytłumaczyć jedynie działaniem sił magicznych. Freemont podejrzewał, że było to kilku bandytów, a nie jeden, ale pilnował się, żeby tego nie powiedzieć, gdyż zniweczyłoby to legendę Muriety. Przyszło mu natomiast do głowy, aby go nazwać „kalifornijskim Robin Hoodem”, czym w jednej chwili roz-palił płomień konfliktów

rasowych. Dla jankesów Murieta był ucieleśnieniem wszystkiego co najgorsze u „smoluchów”; jednak podejrzewano, że Meksykanie ukrywają go, dają mu broń i dostarczają zapasów żywności, ponieważ okradał jankesów, aby pomagać swoim pobratymcom. Podczas wojny utracili Teksas, Arizone, Nowy Meksyk, Nevadę, Utah, połowę Kolorado i Kalifornię; jakkolwiek akt przemocy wobec jankesów był więc dla nich aktem patriotyzmu. Gubernator przestrzegł redakcję, że przedstawianie kryminalisty jako bohatera jest brakiem rozwagi, ale jego imię już zdążyło rozpalić publiczną wyobraźnię. Freemont otrzymywał tuziny listów, w tym nawet od jakiejś dziewczyny z Waszyngtonu gotowej przepłynąć pół świata, aby poślubić bandytę, i ludzie zatrzymywali go na ulicy, żeby zapytać o szczegóły dotyczące sławnego Joaquina Muriety. Mimo iż nigdy nie widział go na oczy, dziennikarz pisał o nim jako o młodzieńcu epatującym męskością, o rysach twarzy hiszpańskiego szlachcica i odwadze toreadora. Bynajmniej tego nie planując, odkrył żyłę złota znacznie bogatszą niż niejedna z okolic żyły - Matki. Przyszło mu do głowy, aby przeprowadzić wywiad z owym Joaquinem, o ile ten rzeczywiście istniał, i napisać jego biografię, a gdyby jeszcze dał się pociągnąć za język, byłby to może temat na powieść. Jego praca jako autora polegałaby po prostu na spisaniu tych wyznań w heroicznym tonie, tak by zadowolić gusta przeciętnego czytelnika. Kalifornii potrzebne były własne mity i legendy, utrzymywał Freemont, było to nowo narodzone państwo dla Amerykanów, którzy jednym pociągnięciem pióra pragnęli przekreślić poprzednią historię, należącą do Indian, Meksykanów i Kalifornijczyków. A któż nadawał się lepiej na bohatera tej ziemi bezkresnych przestrzeni i samotnych mężczyzn, ziemi otwartej na podbój i przemoc - jak nie bandyta? Spakował do walizki to co niezbędne, zaopatrzył się w odpowiedni zapas zeszytów i ołówków i ruszył na poszukiwanie swego bohatera. Rozpierany podwójną dawką pychy (raz - jako Anglik, dwa - jako dziennikarz) uznał, że nic mu nie zagraża, i nawet mu w głowie nie zaświtała myśl, iż wystawia się na jakiekolwiek ryzyko. Poza tym w owym czasie podróżowało się już dość wygodnie, istniały drogi i regularne przewozy dylizansami, łączące miasta i wsie, w których zamierzał prowadzić swoje śledztwo, nie tak jak kiedyś, kiedy w początkach swojej pracy reportera przedzierał się na mulicy przez niebezpieczne góry i lasy, za jedynego przewodnika mając tylko mapy będące wytworem czyjegoś chorego umysłu, na których podstawie można było wiecznie kręcić się w kółko. Po drodze mógł obserwować zmiany, jakie zaszły w tym regionie. Niewielu wzbogaciło się na złocie, ale dzięki poszukiwaczom przygód, którzy napływali całymi tysiącami, do Kalifornii wkroczyła cywilizacja. Gdyby nie gorączka złota, podbój Zachodu nastąpiłby parę wieków później, zanotował dziennikarz w swoim zeszycie.

Tematów mu nie brakowało, jak choćby historia pewnego młodego górnika,

osiemnastolatka, który przeżywszy cały długi rok w straszliwych warunkach, zdołał uskładać dziesięć tysięcy, których potrzebował, żeby wrócić do Oklahomy i kupić swoim rodzicom ranczo. Pewnego pięknego dnia zjeżdżał ze stoków Sierra Nevada do Sacramento, wioząc swój skarb w worku przytroczonym do pleców, kiedy drogę za-stąpiła mu grupa nikczemnych Meksykanów albo Chilijczyków (dokładnie nie było wiadomo). Pewne było tylko to, że mówili po hiszpańsku, gdyż byli na tyle bezczelni, iż zostawili tabliczkę z koślawym napisem wyrytym w tym języku na kawałku drewna: „Śmierć jankesom”. Nie wystarczyło im pobić go i okraść - przywiązali go nagiego do drzewa i wymazali miodem. Po dwóch dniach, kiedy odnalazł go patrol, majaczył. Moskity wyżarły mu skórę.

Freemont dał próbkę swego talentu jako dziennikarz spe-cjalizujący się w wyszukiwaniu niezdrowych sensacji, opisując tragiczny koniec Josefy, pięknej Meksykanki zatrudnionej w pewnej tancbudzie. Zajechała do miejscowości Downeville w Dniu Niepodległości i nagle znalazła się w środku mocno zakrapianych obchodów, na których czele stał kandydat na senatora. Jakiś pijany górnik wdarł się siłą do jej pokoju, a ona, broniąc się, wbiła mu prosto w serce swój myśliwski nóż. W chwili kiedy pojawił się Jacob Freemont, okryte flagą amerykańską ciało spoczywało na stole, a dwutysięczny tłum fanatyków ogarniętych żarem nienawiści rasowej domagał się dla Josefy stryczka. Kobieta, ubrana w białą bluzkę z wid-niejącą na niej wielką plamą krwi, z niewzruszonym spokojem paliła cygareto, jakby cały ten zgiełk w ogóle jej nie dotyczył, z głęboką pogardą przesuując wzrok po twarzach mężczyzn, świadoma, jaką zapalającą mieszankę agresji i seksualnego pożądania w nich wywołuje. Jakiś lekarz usiłował jej bronić, twierdząc, że występowała w obronie własnej i że zabijając ją, zabiją również dziecko w jej łonie, ale tłuszcza kazała mu się zamknąć, grożąc, że powiesi również i jego. Siłą sprowadzono trzech zastraszonych lekarzy, żeby zbadali Josefę, i wszyscy trzej orzekli, że nie jest brzemienna, w związku z czym zwołany naprędce sąd w kilka minut wydał wyrok skazujący. „Strzelanie do tych «smoluchów» nie jest w porządku, należy postawić ich przed sprawiedliwym sądem i powywieszać w całym majestacie prawa” - ogłosił jeden z członków ławy przysięgłych. Freemontowi nie było dane wcześniej oglądać linczu z bliska, więc tym razem nie przepuścił okazji, by w podniosłych słowach opisać, jak to o czwartej po południu chciano zawlec Josefę na most, gdzie przygotowano cały rytuał egzekucji, ale ona otrząsnęła się wyniosłe i sama podeszła do szubienicy. Piękność wspięła się na nią bez niczyjej pomocy, zawiązała sobie spódnicę wokół kostek, założyła sznur na szyję, poprawiła czarne warkocze i pożegnała się odważnym „adiós, señores”, co dziennikarza wprowadziło w zakłopotanie, a pozostałych zawstydziło. „Josefa nie umarła dlatego, że była winna, tylko dlatego, że była Meksykanką.

To pierwszy przypadek, kiedy w Kalifornii linczuje się kobietę.

Cóż za nieroztropność, wszak jest ich tak mało!” - napisał Fremont w swoim artykule.

Krocząc po śladach Joaquina Muriety odkrył wiele nowo założonych miast mających już szkołę, bibliotekę, świątynię i cmentarz, oraz wiele takich, gdzie jedynymi oznakami kultury były burdel i więzienie. I jedno, i drugie miały swoje „salony”, będące ośrodkami życia towarzyskiego. W nich właśnie zatrzymywał się Jacob Fremont, żeby prowadzić swoje dochodzenie i na podstawie nielicznych prawd i mnóstwa kłamstw odtworzyć drogę życiową - albo legendę - Joaquina Muriety. Oberżyci opisywali go jako przekłętego Hisz-pana, odzianego w skórę i czarny aksamit, z wielkimi srebrnymi ostrogami i sztyletem za pasem, dosiadającego najbardziej zwawego kasztanka, jakiego kiedykolwiek widzieli. Powiadali, że z brzękiem ostróg, w otoczeniu swoich kamratów wchodził butnie do gospody, kładł na ladzie srebrne dolary i stawiał wszystkim kolejkę. Nikt nie miał odwagi odmówić kielicha i nawet najodważniejsi mężczyźni pili w milczeniu pod ciskającym gromy spojrzeniem tego łotra. Nato-miast dla urzędników sądowych w postaci Muriety nie było nic wspaniałomyślnego, dla nich był on zwykłym mordercą zdolnym do najgorszego okrucieństwa, któremu udawało się ujść sprawiedliwości, gdyż pomagały mu „smoluchy”. Chilijczycy uważali go za rodaka, twierdzili, że urodził się w miejscowości Quillota, że jest lojalny wobec swych przyjaciół i nigdy nie zapomina odwdziżyć się za wyświadczone mu przysługi, w związku z czym oplaca się mu pomagać; ale Meksykanie przysięgali, że pochodzi ze stanu Sonora i że jest młodym, wykształconym człowiekiem, potomkiem starego szlacheckiego rodu, który zszedł na złą drogę z chęci zemsty. Szulerzy uważali go za eksperta od gry w monte, ale unikali go, gdyż miał szalone szczęście w kartach i w obliczu najmniej-szej choćby prowokacji w jego rękę natychmiast pojawiał się sztylet. Białe prostytutki umierały z ciekawości, ponieważ krążyły plotki, że ten przystojny i szczodry młodzian ma niezmordowanego kutasa, którego nie powstydzilby się nawet ogier, ale Latynoski nie robiły sobie co do niego nadziei: Joaquin Murieta zwykł dawać im niezasłużone napiwki, jako że nigdy nie korzystał z ich usług, gdyż - jak zapewniały - dochowywał wierności swojej narzeczonej. Opisywały go jako mężczyznę średniego wzrostu, o czarnych włosach i oczach błyszczących niczym płonące głownie, uwielbianego przez swą bandę, nieugiętego w obliczu przeciwności, okrutnego wobec nieprzyjaciół i uprzejmego dla kobiet. Inni utrzymywali, że ma wulgarne rysy urodzonego kryminalisty i straszliwą bliznę przecinającą mu całą twarz i że nie ma w sobie nic z przystojnego, eleganckiego hidalgo. Jacob Fremont dobierał sobie opinie tak, aby jak najlepiej pasowały do jego wizerunku

bandyty, i takim ukazywał go w swoich tekstach, jednakże zawsze na tyle dwuznacznie, aby móc wszystkiemu zaprzeczyć, gdyby kiedyś przypadkiem przyszło mu stanąć ze swym bohaterem twarzą w twarz. Przez cztery miesiące lata jeździł tam i z powrotem i nigdzie go nie spotkał, jednak na podstawie rozlicznych wersji poskładał sobie fantastyczną i bohaterską biografię. Jako że nie chciał przyznać się do porażki, w swoich artykułach wymyślał krótkie spotkania odbywające się głęboką nocą w górskich jaskiniach i na leśnych polanach. Bo ktoś mógłby zadać mu kłam? Prowadzili go - z zawiązanymi oczami - zamaskowani mężczyźni na koniach, nie potrafił ich zidentyfikować, ale mówili po hiszpańsku, twierdził. Ten sam dar płomiennej wymowy, który przed kilku laty wykorzystywał w Chile, opisując Indian patagońskich z Ziemi Ognistej, gdzie nigdy nie stanęła jego stopa, teraz służył mu do czerpania korzyści z wysanej z palca postaci bandyty. Stopniowo pokochał swego bohatera i w końcu był przekonany, że go zna, że potajemne spotkania w jaskiniach zdarzyły się naprawdę i że zbieg osobiście powierzył mu misję spisania jego czynów, gdyż uważał się za mściciela uciemżonych Hiszpanów, a ktoś powinien zadbać o to, aby zapewnić jemu i jego „sprawie” należne miejsce w piszącej się właśnie historii Kalifornii. Niewiele miało to wspólnego z dziennikarstwem, ale z literaturą wystarczająco dużo, aby mogła z tego powstać powieść, którą Jacob Freemont zamierzał napisać owej zimy.

Kiedy rok wcześniej Tao Chi'en dotarł do San Francisco, zabrał się do nawiązywania niezbędnych kontaktów, co po-zwoliło mu przez kilka miesięcy pracować jako zhong yi. Miał trochę pieniędzy, ale zamierzał szybko je potroić. W Sacramento społeczność chińska liczyła sobie siedmuset mę-żczyzn i dziewięć czy dziesięć prostytutek, ale w San Fran-cisco były tysiące potencjalnych klientów. Ponadto ocean przecinało stale tyle statków, że niektórzy dżentelmeni po-syłali swoje koszule do prania na Hawaje albo do Chin, ponieważ w mieście nie było bieżącej wody; pozwalało mu to bez trudu zamawiać w Kantonie zioła i lekarstwa. W San Francisco nie był tak osamotniony jak w Sacramento, pra-ktykowało tu wielu chińskich lekarzy, z którymi mógł dzielić się pacjentami i wiedzą. Nie zamierzał otwierać własnego gabinetu, gdyż zależało mu na tym, aby jak najwięcej za-oszczędzić, ale mógł nawiązać współpracę z jakimś innym zhong yi o już ustalonej pozycji. Zameldowawszy się w hotelu, od razu wyszedł rozejrzeć się po dzielnicy, która rozpełzła się we wszystkie strony niczym ośmiornica. Teraz była to część miasta pełna solidnych budynków, hoteli, restauracji, pralni, palarni opium, burdeli, targów i fabryk. Tam, gdzie przedtem oferowano jedynie tandetę, wznosiły się sklepy ze wschodnimi antykami, porcelaną, emalią, biżuterią, jedwabiem i kością słoniową. Przybywali tu bogaci handlowcy - nie tylko chińscy, ale także amerykańscy - aby zakupione przedmioty odsprzedawać następnie w innych miastach.

Wszędzie widać było różnobarwne sterty, ale najlepszych egzemplarzy, godnych znawców i kolekcjonerów, nie wystawiano na widok publiczny, lecz pokazywano je na zapleczu, i to tylko poważnym klientom. W ukrytych pomieszczeniach niektórych lokali znajdowały schronienie szulernie, gdzie pewni siebie gracze wyznaczali sobie spotkania. Przy owych stołach, zastrzeżonych tylko dla nielicznych, daleko od wścibskiej publiczności i wzroku strażników porządku, licytowano bająnskie sumy, robiono ciemne interesy i sprawowano władzę. Rząd amerykański nie miał żadnej kontroli nad Chińczykami, którzy żyli zamknięci w swoim własnym świecie, języku, zwyczajach i odwiecznych prawach. „Synowie nie-biańskiego ludu” nigdzie nie byli mile widziani, gringos uważali ich za najpodlejszych ze wszystkich niepożądanych cudzoziemców, jacy napływali do Kalifornii, i nie mogli im wybaczyć, że dobrze im się wiodło. Wyzyskiwali ich, jak się dało, napadali na ulicach, okradali, podpalali im sklepy i domy, bezkarnie ich mordowali, ale oni niczym nie dawali się zastraszyć. Działo pięć bractw tong, które podzieliły mieszkańców między siebie; każdy Chińczyk zaraz po przyjeździe wstępował do jednego z nich, gdyż tylko w taki sposób mógł zapewnić sobie ochronę, zdobyć pracę i mieć gwarancję, że kiedy umrze, jego ciało zostanie odesłane do Chin. Tao Chi'en, któremu dotychczas udało się uniknąć wstępowania do tong, teraz musiał to zrobić i wybrał najliczniejsze, do którego wstępowała większość kantończyków. Wkrótce skontaktowano go z innymi zhong yi i objaśniono mu reguły gry. Przede wszystkim milczenie i lojalność: wszystko, co działo się w dzielnicy, pozostawało w obrębie jej ulic. Żadnego zwracania się do policji, nawet jeśli była to sprawa życia lub śmierci; konflikty rozwiązywano wewnątrz społeczności, od tego były tong. Wspólnym wrogiem byli zawsze fan giiey. Tao Chi'en znowu poczuł się więźniem zwyczajów, hierarchii i restrykcji, jak w czasach, kiedy mieszkał w Kantonie. Po kilku dniach nie było w dzielnicy osoby, która by go nie znała z imienia, a klientów zaczęło napływać więcej, niż był w stanie przyjąć. Nie musi szukać wspólnika, postanowił wówczas, że może otworzyć własny gabinet i zarobić pieniądze w czasie krótszym, niż to sobie zakładał. Nad jakąś restauracją wynajął dwa pokoje, jeden na mieszkanie, a drugi do pracy, w oknie umieścił wywieszkę i zatrudnił młodego pomocnika, który miał informować o jego usługach i rejestrować pacjentów. Po raz pierwszy, aby móc śledzić stan zdrowia chorych, zastosował system doktora Ebanizera Hobbsa. Do tej pory ufał swojej pamięci i intuicji, jednak wzięwszy pod uwagę rosnącą liczbę klientów, założył karto-tekę, w której notował kurację zastosowaną u każdego z nich. Któregoś wieczoru na początku jesieni jego pomocnik zjawił się z jakimś adresem zapisanym na karteczce i żądaniem, by stawił się tam jak najszybciej. Skończył przyjmować klientów zapisanych na ten dzień i wyszedł. Drewniany dwupiętrowy budynek, ozdobiony smokami i

papierowymi lampionami, wznosił się w samym środku dzielnicy. Nie musiał się specjalnie przyglądać, żeby poznać, że to burdel. Po obu stronach drzwi widniały małe zakratowane okienka, przez które wyglądały twarzyczki dziewczynek wołających po kantońsku: „Wejdz i zrób, co chcesz, z małą piękną Chinką”. I powtarzały w łamanej angielszczyźnie, tak by zrozumieli biali goście i marynarze wszystkich ras: „Dwa - jeśli chcesz popatrzeć, cztery - jeśli dotknąć, sześć - zrobić”, odsłaniając jednocześnie budzące litość piersi i kusząc przechodniów obscenicznymi gestami, które w wykonaniu tak małych dzieci przypominały jakąś tragiczną pantomimę. Tao Chien widział je już przedtem wiele razy, codziennie przechodził tą ulicą i prześladowało go owo pomiaukiwanie sing song girls, przywodzące mu na pamięć jego siostrę. Co się z nią mogło stać? Miałyby pewnie dwadzieścia trzy lata, o ile - co było raczej mało prawdopodobne - jeszcze żyła. Najuboższe z ubogich prostytutki zaczynały bardzo wcześnie i rzadko kiedy dożywały osiemnastu lat; w wieku dwudziestu - jeżeli miały to nieszczęście, że należały jeszcze do świata żywych - były już staruszkami. Wspomnienie utraconej siostry nie pozwalało mu korzystać z usług chińskich przybytków rozkoszy; kiedy pożądanie nie dawało mu spokoju, szukał kobiet innych ras. Drzwi otworzyła mu jakaś obrzydliwa starucha z przyczernionymi włosami i brwiami podkreślonymi dwoma pociąg-nięciami węgla, która powitała go po kantońsku. Kiedy się okazało, że należą do tego samego bractwa tong, wprowadziła go do środka. Posuwając się cuchnącym korytarzem, zobaczył pomieszczenia, w jakich mieszkwały dziewczęta; niektóre z nich przykute były do łóżek łańcuchami obejmującymi ich nogi w kostkach. W półmroku korytarza wyminął dwóch mężczyzn, którzy wychodzili, zapinając sobie spodnie. Kobieta wiodła go przez labirynt przejść i schodów, przeszli cały kwartał domów i po jakichś stoczonych przez robaki stop-niach zeszli w dół, w całkowitą ciemność. Kazała mu poczekać i przez chwilę, która wydawała mu się wiecznością, stał w mroku owej studni, wsłuchując się w przytłumiony hałas biegnącej gdzieś w pobliżu ulicy. Uszu jego dobiegł jakiś słaby pisk i coś otarło mu się o kostkę, machnął nogą i wydawało mu się, że kopnął jakieś zwierzę, prawdopodobnie szczura. Starucha wróciła ze świecą i poprowadziła go przez inne kręte korytarze do drzwi zamkniętych na kłódkę. Wyjęła z kieszeni klucz i przez chwilę zmagala się z zamkiem, aż w końcu udało się jej go otworzyć. Uniosła świecę i oświetliła klitkę bez okien, w której jedyny mebel stanowiła prycza z desek, znajdująca się kilka cali nad podłogą. W nozdrza uderzyła ich fala cuchnącego fetoru i żeby wejść, musieli zasłonić sobie nos i usta. Na pryczy leżało jakieś drobne skulone ciało, obok którego stała pusta czarka i zgaszona lampka oliwna.

- Niech ją pan zbada - rozkazała kobieta.

Tao Chi'en odwrócił ciało i stwierdził, że jest już sztywne. Była to może

trzynastoletnia dziewczynka, z dwiema plama-mi rózu na policzkach, a jej ramiona i nogi pokrywały blizny. Całe ubranie stanowiła jedynie cienka koszula. Było widać, że zostały z niej skóra i kości, ale nie umarła z głodu ani z powodu choroby.

- Trucizna - określił bez wahania.

- Coś podobnego! - zaśmiała się kobieta, jakby usłyszała coś wielce zabawnego.

Tao Chi'en musiał podpisać oświadczenie, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Starucha wyrzwała na kory-tarz, uderzyła kilka razy w mały gong i wkrótce pojawił się jakiś mężczyzna, wsadził zwłoki do worka, zarzucił go na ramię i wyniósł bez słowa, a tymczasem stręczycielka wsunęła do ręki zhong yi dwadzieścia dolarów. Następnie przeprowadziła go przez inne labirynty i w końcu zostawiła przed drzwiami. Tao Chi'en ponownie znalazł się na ulicy i trwało dłuższą chwilę, nim zdołał zorientować się, gdzie jest, i wrócić do domu.

Następnego dnia poszedł pod ten sam adres. Znowu były tam dziewczynki z wymalowanymi twarzami i obłędem w oczach, wołające w dwu językach. Dziesięć lat wcześniej w Kantonie zaczynał swoją praktykę od prostytutek, używał ich niczym ciał do wynajęcia i do przeprowadzania eks-perymentów ze złotymi igłami swego mistrza akupunktury, ale nigdy nie zatrzymał się, żeby pomyśleć o ich duszach. Uważał je za jedno z nieuniknionych nieszczęść wszechświata, jeszcze jeden błąd Stworzenia, nikczemne istoty, cierpiące, aby zapłacić za grzechy popełnione w poprzednich wcieleniach i oczyścić swoją karmę. Żałował ich, ale nie przyszło mu do głowy, że ich los mógłby się odmienić. W swoich norach bezwolnie czekały na mającą je spotkać niedolę, jak kury w klatkach na targu: to było ich prze-znaczenie. Taki był nieporządek świata. Tysiąc razy prze-chodził tą ulicą, a nigdy nie zwrócił uwagi na owe okienka, na twarze czy ręce wystające zza krat. Miał niejaki pojęcie o tym, że są niewolnicami, ale w Chinach w mniejszym lub większym stopniu były nimi wszystkie kobiety; te, które miały najwięcej szczęścia, służyły swym ojcom, mężom lub kochankom, inne - panom, dla których harowały od świtu do nocy, a wiele cierpiało podobnie jak te dziewczynki. Jednakże tego ranka nie patrzył na nie z taką samą obojętnością, gdyż coś się w nim zmieniło.

Poprzedniej nocy nie próbował zasnąć. Wyszedłszy z bur-delu, skierował się w stronę łaźni publicznej, w której moczył się długo, żeby otrząsnąć się z ciemnej energii swoich chorych i z ogromnego przygnębienia, jakie go ogarnęło. Wróciwszy do domu, pożegnał pomocnika i przy-gotował sobie jaśminową herbatę, żeby się oczyścić. Nie jadł nic od wielu godzin, ale nie był to odpowiedni po temu moment. Rozebrał się do naga, zapalił kadzidło i świecę, ukląkł z czołem opartym o podłogę i wypowiedział modlitwę za duszę zmarłej

dziewczynki. Zaraz potem usiadł, żeby na długie godziny pograć się w medytacjach, aż udało mu się oderwać od zgiełku ulicy i zapachów restauracji i mógł zanurzyć się w pustce i ciszy swego własnego ducha. Nie wiedział, ile czasu spędził zatopiony w myślach, raz za razem wzywając Lin, aż wreszcie delikatny duch usłyszał go w tajemniczym bezmiarze, w którym przebywał, i powoli odnalazł drogę, nadciągając lekko niczym westchnienie, najpierw prawie niewyczuwalne i stopniowo nabierające treści, aż w końcu Tao Chi'en jasno i wyraźnie poczuł jej obecność. Nie dostrzegł Lin w czterech ścianach pokoju, ale we własnej piersi, w samym środku swego wyciszonego serca. Tao Chi'en nie otworzył oczu ani się nie poruszył. Długie godziny trwał w tej samej pozycji, w ode-rwaniu od swego ciała, unosząc się w jakiejś świetlistej przestrzeni, w doskonałej harmonii z Lin. O świcie, kiedy oboje upewnili się, że już nigdy więcej nie stracą się z oczu, Lin pożegnała się słodko. Wówczas pojawił się mistrz akupunktury, uśmiechając się ironicznie jak za dawnych dobrych czasów, zanim jeszcze powaliły go dziwactwa wieku starczego, i został z nim, dotrzymując mu towarzystwa i odpowiadając na jego pytania, aż do chwili, gdy wstało słońce, dzielnica obudziła się, a jego pomocnik zastukał dyskretnie do drzwi. Tao Chi'en podniósł się, świeży i wypoczęty, jakby miał za sobą kojący sen, ubrał się i poszedł otworzyć drzwi.

- Zamknij gabinet. Dzisiaj nie będę przyjmował pacjen-tów, mam co innego do zrobienia - oznajmił pomocnikowi.

To, czego Tao Chi'en dowiedział się tamtego dnia, zmieni-ło jego dalsze losy. Dziewczynki z za krat pochodziły z Chin, zbierano je po ulicach albo kupowano od ich własnych rodziców, których zapewniano, że ich córki pojedą do „Złotej Góry” i wyjdą tam za mąż. Agenci wybierali najsilniejsze i najtańsze spośród nich, bynajmniej nie te najładniejsze, chyba że chodziło o specjalne zamówienia bogatych klientów, którzy kupowali je, żeby zrobić z nich swoje konkubiny. Ah Toy, cwana baba, która kazała sobie płacić za podpatrywanie siebie przez otwory w ścianie, była teraz największą importerką młodych ciał do miasta. Dla sieci swoich lokali kupowała dziewczynki przed okresem pokwitania, gdyż łatwiej było je wytresować, a tak czy inaczej nie wystarczały na dłu-go. Dorobiła się sławy i wielkiej fortuny, jej skarbiec pękał w szwach, kupiła sobie nawet w Chinach pałacyk, w którym zamierzała zamieszkać na starość po wycofaniu się z inte-resów. Chełpiła się, że jest orientalną bajzelmamą posiadającą najlepsze stosunki nie tylko wśród Chińczyków, ale i wpływo-wych Amerykanów. Uczyła swoje dziewczynki, jak wyciągać informacje od klientów i w ten sposób dowiadywała się o sekretach osobistych, manewrach politycznych i słabościach mężczyzn będących u władzy. Tam, gdzie zawiodły ją łapówki, uciekała się do szantażu. Nikt nie miał odwagi stawić jej czoło, gdyż od gubernatora w dół wszyscy mieli na

sumieniu te same grzeszki. Transporty niewolnic zawijały do portu San Francisco bez żadnych formalnych przeszkód i nawet w biały dzień. Jednakże nie ona jedna trudniła się tym rodzajem handlu, gdyż był to jeden z najbardziej opłacalnych i pewnych interesów w Kalifornii, porównywalny z kopalniami złota. Koszty można było zredukować do minimum, dziewczynki były tanie i podróżowały w ładowniach statków, w wielkich wyściełanych skrzyniach. Tak spędzały całe tygodnie, nie wiedząc, dokąd jadą ani po co, a światło słońca oglądały jedynie wtedy, kiedy przychodziło im brać lekcje swojego zawodu. Wprowadzeniem ich w jego tajniki zajmowali się marynarze podczas rejsu, tak że kiedy w San Francisco schodziły na ląd, dawno już utraciły ostatnie okrucieństwa niewinności. Niektóre umierały na dyzenterię, cholere albo z odwodnienia; innym udawało się rzucić do morza, kiedy wyprowadzano je na pokład, żeby się umyły w morskiej wodzie. Pozostałe były jak w potrzasku, nie mówiły po angielsku, nie znały tej nowej ziemi, nie miały się do kogo zwrócić. Agenci urzędu emigracyjnego dostawali łapówki, udawali, że nie widzą, jak one wyglądają, i bez czytania przystawiali pieczętkę na fałszywych dokumentach, mówiących o adopcji albo małżeństwie. Na nabrzeżu odbierała dziewczynki jakaś stara prostytutka, która - z racji wykonywanego ongiś zawodu - zamiast serca miała czarny głaz. Prowadziła je, poganiając wtką niczym bydło, przez sam środek miasta, na oczach wszystkich, którzy mieli ochotę na nie popatrzeć. Przekroczywszy próg chińskiej dzielnicy, raz na zawsze przepadały w podziemnym labiryncie mrocznych pokoiów, ślepych korytarzy, krętych schodów, zamaskowanych drzwi i podwójnych ścian, gdzie policjanci nigdy się nie zapuszczali, bo cokolwiek się tam działo, była to „sprawa żółtków”, przewrotnej rasy, z którą, jak powiadali, nie było potrzeby się zadawać.

W ogromnym podziemnym lochu - zwanym jak na ironię Komnatą Królowej - dziewczynki stawały twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem. Jedną noc pozwalano im się przespać, kąpano je, dawano im jeść i czasami zmuszano do wypicia filiżanki alkoholu, żeby je nieco zamroczyć. Kiedy przychodziło do licytacji, prowadzono je - nagie - do pokoju pełnego kupców wszelkiego autoramentu, którzy je obmacywali, zaglądali im w zęby, wkładali im palce wszędzie, gdzie tylko im przyszła ochota, i w końcu zgłaszali swoje oferty. Niektóre licytowano do burdeli wyższej kategorii albo do haremów bogaczy; najsilniejsze najczęściej trafiały do chińskich fabrykantów, górników albo rolników, dla których miały pracować przez resztę swego krótkiego życia; większość zostawała w burdelowych klitkach chińskiej dzielnicy. Starsze wprowadzały je w tajniki zawodu: musiały nauczyć się odróżniać złoto od brązu, żeby nie dać się oszukać, kiedy będą odbierać zapłatę, przyciągać klientów i zadowalać ich bez skargi, bez względu na to, jak upokarzające albo bolesne okazałyby się ich

wymagania. Aby nadać transakcji pozory legalności, podpisywały umowę, której nie umiały przeczytać; na jej podstawie sprzedawały się na pięć lat, ale wszystko było tak dobrze skalkulowane, aby nigdy nie mogły się wyzwolić. Za każdy dzień choroby dodawano im do odsłużenia dwa tygodnie, a jeśli próbowały uciec, na zawsze stawały się niewolnicami. Mieszkały gromadnie w pokojach bez wen-tylacji, przedzielonych grubą zasłoną, i służyły niczym galer-nicy aż do śmierci. Tam skierował się owego ranka Tao Chi'en w towarzystwie duchów Lin i swego nauczyciela akupunktury. Młodziutka dziewczyna w samej bluzce wzięła go za rękę i zaprowadziła za kotarę, za którą leżał jakiś obrzydliwy siennik, wyciągnęła rękę i powiedziała, żeby naj-pierw zapłacił. Otrzymawszy sześć dolarów, rzuciła się na siennik i utkwivszy wzrok w suficie, rozłożyła nogi. Miała nieruchome źrenice i z trudem oddychała; zrozumiał, że podano jej narkotyki. Usiadł obok niej, obciągnął jej bluzkę i próbował pogłaskać ją po głowie, ale ona zawyla i skuliła się, szczerząc zęby, jakby go chciała ugryźć. Tao Chi'en odsunął się i, nie dotykając jej, przemawiał do niej po kantońsku tak długo, aż litania jego słów ją uspokoiła, a przez ten czas miał okazję przyjrzeć się jej świeżym siniakom. Na koniec zaczęła odpowiadać na jego pytania, chociaż robiła to bardziej gestami niż słowami, jakby zapomniała, do czego służy język, i w ten sposób dowiedział się kilku szczegółów dotyczących jej niewoli. Nie umiała powiedzieć, ile czasu tu spędziła, ale nie musiało to trwać długo, ponieważ Ze wzruszającą dokładnością pamiętała jeszcze swoją rodzinę w Chinach.

Wyliczywszy sobie, że minuty, jakie miał prawo spędzić za kotarą, dobiegły końca, Tao Chi'en wyszedł. W drzwiach czekała na niego ta sama starucha, która przyjęła go poprzedniej nocy, ale udawała, że go nie poznaje. Stamtąd wszedł zasięgnąć języka w gospodach, salonach gry, palarniach opium i na koniec złożył wizytę innym lekarzom w dzielnicy, aż stopniowo zdołał poskładać sobie części owej układanki.

Kiedy młodziutkie sing song girls były zbyt schorowane, aby nadal móc służyć, prowadzono je do „szpitala”, jak na-zywano ukryte pokoje, gdzie był poprzedniej nocy, i tam je zostawiano z filiżanką wody, miseczką ryżu i lampką z zapasem oliwy na parę godzin. Drzwi otwierano ponownie po kilku dniach, żeby stwierdzić zgon. I nieważne było, czy jeszcze żyły: żadna nie oglądała więcej słonecznego światła. Wezwano Tao Chi'ena, ponieważ zhong yi, którego wołano zazwyczaj, tym razem był nieobecny.

Pomysł, żeby pomóc dziewczętom, nie był jego - jak miał wyznać Elizie dziewięć miesięcy później - ale Lin i starego mistrza akupunktury.

- Kalifornia to wolny kraj, Tao, tu nie ma niewolników. Zwróć się do władz amerykańskich.

- Wolności nie wystarcza dla wszystkich. Amerykanie są ślepi i głusi, Elizo. Tych dziewczynek się nie widzi, podobnie jak szaleńców, żebraków i psów.

- A Chińczyków też to nie obchodzi?

- Niektórych owszem, choćby takich jak ja, ale nikt nie będzie nadstawiał głowy, narażając się organizacjom prze-stępczym. Większość uważa, że skoro w Chinach przez całe wieki uprawiano ów proceder, nie ma powodu, żeby tutaj go krytykować.

- Cóż za okrutni ludzie!

- To nie okrucieństwo. Po prostu w moim kraju życie ludzkie nie jest w cenie. Ludzi jest dużo i stale rodzi się więcej dzieci, niż można wykarmić.

- Ale według ciebie te dziewczynki nie zasługują na pogardę, Tao...

- Nie. Lin i ty nauczyłyście mnie wiele o kobietach.

- Co zamierzasz zrobić?

- Powinienem cię posłuchać, kiedy mówiłaś mi, żebym poszukał złota. Gdybym był bogaty, tobym je kupił.

- Ale nie jesteś. A poza tym całego złota Kalifornii nie starczyłoby, żeby kupić je wszystkie. Trzeba zakazać takiego handlu.

- To niemożliwe, ale mogę ocalić niektóre z nich, jeśli mi pomożesz...

Opowiedział jej, jak w ciągu ostatnich miesięcy zdołał uwolnić jedenaście dziewcząt, ale przeżyły tylko dwie. Jego sposób był ryzykowny i mało efektywny, lecz nie potrafił wymyślić innego. Proponował, że zajmie się nimi bezpłatnie, kiedy będą chore albo brzemiennie, w zamian za przekazanie mu ich, kiedy będą umierać. Przekupywał staruchy, żeby wezwały go, kiedy przychodził moment odesłania jakiejś sing song girl do „szpitala”, a wtedy zjawiał się ze swoim pomoc-nikiem, kładli umierającą na noszach i zabierali. „Posłuży do doświadczeń”, wyjaśniał Tao Chi'en, chociaż bardzo rzadko zadawano mu jakiegokolwiek pytania. Dziewczyna nie przed-stawiała już dla swych pracodawców żadnej wartości, a dziwa-czna perwersja owego doktora oszczędzała im kłopotu z po-zbyciem się ciała. Transakcja była korzystna dla obu stron. Przed zabraniem chorej Tao Chi'en wręczał świadectwo zgonu i pragnąc uniknąć reklamacji, żądał zwrotu umowy podpisanej przez dziewczynę. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dziewczętom w żaden sposób nie można już było przynieść ulgi i jego rola ograniczała się po prostu do bycia przy nich podczas ostatnich godzin, ale dwie przeżyły.

- Co z nimi zrobiłeś? - spytała Eliza.

- Mam je u siebie w domu. Są jeszcze osłabione, a jedna wygląda na niedorozwiniętą, ale dojdą do siebie. Mój pomoc-nik się nimi zajmuje, a tymczasem ja przyjechałem po ciebie.

- Rozumiem.

- Nie mogę dłużej trzymać ich w zamknięciu.

- Może dałoby się odesłać je z powrotem do ich rodzin w Chinach...

- Nie! Znowu stałyby się niewolnicami. W tym kraju mogą się uratować, ale nie wiem jak.

- Jeśli władze nie pomogą, dobrzy ludzie to zrobią. Zwrócimy się do Kościołów i misjonarzy.

- Nie sądzę, żeby chrześcijan obchodziły jakieś chińskie dziewczynki.

- Za mało ufasz ludzkiemu sercu, Tao!

Eliza zostawiła przyjaciela przy herbatce z Łamignatem, zawinęła jeden ze świeżo upieczonych bochenków chleba i poszła z wizytą do kowala. James Morton spocony, z od-krytym torsem, w skórzanym fartuchu i ze ścierką owiniętą wokół głowy krzątał się w kuźni. Wewnątrz panował nieznośny upał, pachniało dymem i rozgrzany metal. Była to drewniana szopa z klepiskiem i podwójnymi drzwiami, które w godzinach pracy zimą i latem zawsze były szeroko otwarte. Z przodu wznosiła się wielka lada, przy której kowal obsługiwał klientów, a nieco z tyłu znajdowało się palenisko. Ze ścian i z belek sufitu zwisały narzędzia, sprzęt i podkowy wyrabiane przez Mortona. W głębi stała drabina prowadząca na półpięterko, służące za sypialnię, osłonięte przed oczami klientów kotarą z ceraty. Pod nim ustawiono meble, na które składały się balia do kąpieli i stół z dwoma krzesłami; jedyną ozdobę stanowiła amerykańska flaga rozpięta na ścianie i trzy polne kwiatki w kubku na stole. Kołysząc ogromnym brzuchem, złana potem Esther prasowała górę bielizny, a mimo to, kiedy podnosiła ciężkie żelazko na węgiel, nuciała pod nosem. Miłość i cięża uczyniły ją piękną, a wewnętrzny spokój opromieniał ją niczym aureolą. Prała cudzą bieliznę, pracując równie ciężko jak jej mąż, kiedy walił młotem w kowadło. Trzy razy w tygodniu ładowała brudną bieliznę do wózka, jechała nad rzekę i większą część dnia spędzała na kolanach przy praniu. Kiedy świeciło słońce, suszyła bieliznę na kamieniach, ale często musiała wracać z mokrą, i natychmiast zabierała się do krochmalenia i prasowania. James Morton nie zdołał jej przekonać, by dała sobie spokój z tak ciężką harówką, ale ona nie chciała, żeby jej dziecko urodziło się w takim miejscu, i odkładała każdego centa, żeby rodzina mogła się przenieść do domu w mieście.

- Chilenito! - wykrzyknęła i wyszła przywitać się z Elizą, przytulając ją mocno. - Już tak dawno mnie nie odwiedzałeś.

- Jakaś ty ładna, Esther! Właściwie to przychodzę do Jamesa - odrzekła, podając jej chleb.

Mężczyzna odłożył narzędzia, otarł chustką pot i zaprowadził Elizę na patio, gdzie dołączyła do nich Esther, niosąc trzy szklanki lemoniady. Wieczór był chłodny, a niebo zachmurzone, ale nic nie zapowiadało jeszcze nadejścia zimy. Powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą i wilgotną ziemią.

JOAQUIN

Zimą 1852 roku mieszkańcy północnej Kalifornii jedli brzoskwinie, morele, winogrona, młodą kukurydzę, arbuzy i melony, podczas gdy w Nowym Jorku, Wa-szyngtonie, Bostonie i innych ważnych miastach amerykańskich trzeba było pogodzić się z niedostatkami występującymi o tej porze roku. Statki Pauliny przywoziły z Chile smakołyki lata panującego właśnie na półkuli południowej, które w swych łożeczkach z błękitnego lodu docierały w doskonałym stanie. Interes ten okazał się znacznie lepszy od poszukiwania złota, czym zajmowali się jej mąż i szwagier, mimo że nikt już nie płacił trzech dolarów za brzoskwinę ani dziesięciu za tuzin jaj. Chilijscy robotnicy, sprowadzeni przez braci Rodriguez de Santa Cruz do pracy przy żyłach złota, zostali zdziśiatkowani przez gringos, którzy odebrali im wielomiesięczny urobek, powiesili nadzorców, wielu wychłostali i pozbawili uszu, a resztę wypędzili z miejsc, gdzie wypłukiwali złoty kruszec. Wydarzenie znalazło swoje odbicie w prasie, ale mrozące krew w żyłach szczegóły opowiedział dopiero ośmioletni chłopiec, syn jednego z nadzorców, które mu przyszło być świadkiem tortur i śmierci ojca. Statki Pauliny przywoziły również trupy teatralne z Londynu, operę z Mediolanu i zarzuele z Madrytu, które przybywały na krótkie występy do Valparaiso, a następnie kontynuowały podróż na północ. Bilety sprzedawano na kilka miesięcy naprzód, a w dniu przedstawienia śmietanka towarzyska San Francisco, w swoich najlepszych galowych strojach, wyznaczała sobie spotkania w teatrach, gdzie musiała siedzieć ramię w ramię z prostymi górnikami w roboczych ubraniach. Statki nie wracały puste: zabierały do Chile amerykańską mąkę i wyleczonych z marzeń poszukiwaczy złota, którzy wracali równie biedni, jak byli przed wyjazdem.

W San Francisco widziało się wszystko, z wyjątkiem ludzi starych; ludność była młoda, silna, hałaśliwa i zdrowa. Złoto przyciągnęło cały legion dwudziestoletnich poszukiwaczy przygód, ale gorączka opadła i - tak jak to przepowiadała Paulina - miasto nie stało się na powrót wioską, lecz przeciwnie, rozrastało się, aspirując do wyrafinowania i kultury. Paulina czuła się w tym środowisku jak ryba w wodzie, lubiła wesołość, swobodę i ostentację tego kształtującego się społeczeństwa, będącego dokładnym przeciwieństwem bigoterii panującej w Chile. Z zachwytem myślała, jak wściekałby się jej ojciec, gdyby musiał usiąść do stołu razem z jakimś skorumpowanym przybyszem, który został sędzią, i Francuzką podejrzaną konduity, wystrojoną niczym jakaś cesarzowa. Przypominała sobie, jak dorastała w czterech ścianach, a właściwie grubych murach z adobe, za zakratowanymi

oknami domu swego ojca, w ciągłej obawie przed cudzą opinią i karą bożą; w Kalifornii nie liczyła się przeszłość ani skrupuły, ekscentryczność była dobrze widziana, a wina nie istniała, o ile grzech nie wyszedł na jaw. Pisała listy do sióstr - nie mając wielkiej nadziei, że uda im się przejść przez cenzurę ojca - żeby opowiedzieć im o tym dziwnym kraju, gdzie można było wymyślić sobie nowe życie i w mgnieniu oka stać się milionerem albo żebrakiem. Była to ziemia szans, gościn-na i hojna. Golden Gate masowo przekraczali ludzie, którzy uciekali przed nędzą albo przemocą i byli gotowi wymazać przeszłość i pracować. Nie było to łatwe, ale ich potomkowie mieli już być Amerykanami. Cudowność tego kraju polegała na tym, iż wszyscy myśleli, że ich dzieciom będzie się żyło lepiej. „Prawdziwym złotem Kalifornii jest rolnictwo, wzrok ginie w rozległych obsianych równinach, wszystko rośnie tu z rozmachem tej błogosławionej ziemi. San Francisco prze-kształciło się we wspaniałe miasto, ale nie utraciło charakteru posterunku granicznego, który tak lubię. W dalszym ciągu jest kołyską wolnomyślicieli, wizjonerów, bohaterów i pros-taków. Przybywają tu ludzie z najdalszych stron, na ulicach słyszy się sto języków, czuje się zapach kuchni pięciu kon-tynentów, widzi się wszystkie rasy” - pisała. Nie było to już obozowisko samotnych mężczyzn, przybyły kobiety, a wraz z nimi społeczeństwo się zmieniło. Były one tak samo nieposkromione jak poszukiwacze złota; żeby przejechać cały kontynent wozami ciągniętymi przez woły, trzeba było mieć męznego ducha, a te pionierki go miały. Nie było miejsca dla afektowanych dam w rodzaju matki i sióstr Pauliny, tutaj rządziły amazonki takie jak ona. Dzień po dniu dawały dowody swojego hartu ducha, z wytrwałością i uporem rywali-zując z najodważniejszymi; nikt nie mówił o nich jako o „słabej płci”, mężczyźni szanowali je jak równe sobie. Pracowały w zawodach niedostępnych dla nich gdzie indziej: szukały złota, zatrudniały się przy wypasie bydła, poganiały mulice, dla nagrody polowały na bandytów, prowadziły domy gry, restauracje, pralnie i hotele. „Tutaj kobiety mogą być paniami swojej ziemi, kupować i sprzedawać majątki, roz-wodzić się, jeśli tylko przyjdzie im na to ochota. Feliciano musi bardzo uważać, bo niechby tylko wykręcił mi jakiś numer, a zostawię go samego jak palec i biednego jak mysz kościelna” - żartowała sobie w listach Paulina. I dodawała, że Kalifornia ma wszystko, co najlepsze ze wszystkiego, co najgorsze: szczury, pchły, broń i rozwiązłość.

„Jedziemy na Zachód, żeby uciec od przeszłości i zacząć od początku, ale nasze obsesje ścigają nas niczym wiatr” - pisał Jacob Freemont w gazecie, będąc sam dobrym tego przy-kładem, gdyż nie na wiele mu się zdała zmiana nazwiska, praca w zawodzie reportera i przebranie za jankesa; ciągle był tym samym człowiekiem. Oszustwo w sprawie misji w Valparaiso pozostało daleko za nim, ale teraz wymyślał nowe i jak przedtem czuł, że jego twór przejmuje nad nim władzę, a on sam nieodwołalnie pogrąża się we własnych

słabościach. Jego artykuły o Joaquinie Muriecie stały się obsesją prasy. Każdego dnia coraz to nowi obcy ludzie dawali świadectwa potwierdzające prawdziwość jego słów: dziesiątki osób zapewniały, że go widziały, i opisywały go dokładnie tak, jak wyglądała wymyślona przez niego postać. Freemont niczego nie był już pewien. Wolałby nigdy nie napisać tych historii i chwilami miał ochotę publicznie się wycofać, przyznać się do oszustwa i zniknąć, zanim cała sprawa nie nabierze rozgłosu i nie spadnie na niego jak burza, tak jak to miało miejsce w Chile, ale nie miał odwagi tego zrobić. Prestiż uderzył mu do głowy, upajał się sławą.

Historia, jaką stopniowo budował Jacob Freemont, miała cechy sentymentalnego powieścidla. Opowiadała, że Joaquin Murieta był prawym i szlachetnym młodzieńcem, który wraz ze swą narzeczoną uczciwie pracował przy żyłach złota w Stanislau. Na wieść o jego powodzeniu jacyś Amerykanie napadli nań, odebrali mu złoto, pobili go, po czym na jego oczach zgwałcili mu narzeczoną. Nieszczęsnej parze nie pozostało nic innego jak uciekać, więc odjechali na północ, jak najdalej od żył złota. Zostali rolnikami i osiedlili się, żeby uprawiać sielankowy kawałek ziemi, otoczony lasami i przecięty przejrzystym strumieniem, opowiadał Freemont, ale nawet tam nie zagrzali sobie miejsca, gdyż znowu przyjechali jankesi, żeby im wydrzeć ich własność, i zmuszeni byli szukać nowego sposobu na przeżycie. Niedługo potem Joaquin Murieta pojawił się w Calaveras jako gracz w monte, podczas gdy jego narzeczona przygotowywała przyjęcie weselne w domu swoich rodziców w Sonorze. Niemniej jednak zapisane było w gwiazdach, że młodzieniec nigdzie nie zazna spokoju. Oskarżono go o kradzież konia i bez dalszych formalności grupa gringos przywiązała go do drzewa na środku rynku i okrutnie wy - chłostała. Dumny młodzieniec nie potrafił znieść takiej publicznej zniewagi i odmieniło mu się serce. Niedługo potem znaleziono jakiegoś jankesa pokrojonego w kawałki jak kurczaka na potrawkę, a kiedy pobierano jego resztki, okazało się, że to jeden z mężczyzn, którzy batem upokorzyli Murietę. W ciągu następnych tygodni jeden po drugim ginęli kolejni uczestnicy kaźni, a każdy z nich był torturowany i zabijany w jakiś nowy, wymyślny sposób. Jacob Freemont w swoich artykułach powiadał, że na tej ziemi okrutnych ludzi nigdy nie widziano takiego bestialstwa. Przez następne dwa lata nazwisko banity wszędzie było głośnie. Jego banda kradła bydło i konie, napadała na dyliżanse, atakowała górników pracujących przy żyłach złota i podróżnych na drogach, wypowiedziała wojnę stróżom prawa, zabijała każdego Amerykanina, którego udało się jej zaskoczyć, i bezkarnie drwiła z wymiaru sprawiedliwości. Przypisywano Muriecie wszelkie akty przemocy i zbrodnie popełnione w Kalifornii, których sprawcy nie zostali ukarani. Teren doskonale nadawał się na kryjówki, w gęstych lasach, na wzgórzach i w kotlinach pełno było ryb i zwierzyny łownej, pastwisk porośniętych tak wysoką trawą, że jeździec mógł

godzinami jechać konno, nie pozostawiając nawet śladu, głębokich jaskiń, w których można się było schronić przed deszczem, i tajemnych przejść w górach dla zmylenia prześladowców. Oddziały mężczyzn wyjeżdżające na poszukiwanie złoczyńców wracały z pustymi rękami albo ginęły podczas podejmowanych prób ich znalezienia. Wszystko to opowiadał Jacob Freemont, płacząc się we własnej retoryce, i nikomu nie przyszło do głowy, żeby domagać się od niego podania nazwisk, dat albo nazw miejscowości.

Minęły dwa lata, odkąd Eliza Sommers zaczęła pracować z Tao Chi'eniem w San Francisco. W tym czasie dwukrotnie wyruszała latem na poszukiwanie Joaquina Andiey, robiąc to zawsze w ten sam sposób - przyłączając się do innych podróżnych. Za pierwszym razem wyjechała, zamierzając jeździć dopóty, dopóki go nie znajdzie albo dopóki nie nadejdzie zima, ale po czterech miesiącach wróciła wycieńczona i chora. Latem 1852 roku znowu wyruszyła, ale przebywszy tę samą trasę co poprzednio i odwiedziwszy Joe Łamignata, która ostatecznie osiadła w miasteczku w roli babci Toma Bez Szczepu, oraz Jamesa i Esther, oczekujących narodzin drugiego dziecka, wróciła po pięciu tygodniach, gdyż nie mogła znieść smutku, który ogarniał ją, kiedy była daleko od Tao Chi'ena. Zbratani w pracy i bliscy sobie duchem wiedli wygodny żywot starego małżeństwa. Ona zbierała wszystko, cokolwiek napisano o Joaquinie Muriecie, i uczyła się tego na pamięć, tak jak w dzieciństwie uczyła się wierszyków Miss Rose, ale wolała ignorować wzmianki o narzeczonej bandyty. Wymyślili tę dziewczynę, żeby pismo lepiej się sprzedawało, sam wiesz, jak czytelników fascynują romanse, wyjaśniała Tao Chi'eniowi. Z determinacją żeglarza na podartej mapie zaznaczała kroki Muriety, ale dane, jakie miała do dyspozycji, były niejasne i sprzeczne, trasy przecinały się niczym pajęczyna jakiegoś wytrąconego z równowagi pająka i właściwie prowadziły donikąd. Chociaż z początku odrzuciła możliwość, aby jej Joaquin był sprawcą tylu przerażających rozbojów, szybko się przekonała, że postać ta doskonale pasuje do młodzieńca z jej wspomnień. Tamten również buntował się przeciwko nadużyciom i miał obsesję na punkcie pomocy bezbronnym. Może to nie Joaquin Murieta torturował swoje ofiary, tylko jego zwolennicy, tacy jak na przykład Jack Trzy Palce, po którym można się było spodziewać każdej po-tworności.

Nadal chodziła w męskim ubraniu, gdyż łatwiej było jej w nim stawać się niewidzialną, co było niezbędne w bez-nadziejnej misji ratowania sing song girls, w którą wciągnął ją Tao Chi'en. Mijało trzy i pół roku, odkąd nie miała na sobie sukni i nic nie wiedziała o Miss Rose, Mamie Frezji ani o swym wuju Johnie; wydawało się jej, że już tysiąc lat ściga jakąś chimere, która staje się coraz bardziej nieuchwytna. Czasy ukradkowych pieszczot kochanka oddalały się coraz bardziej, nie była pewna swoich uczuć, nie wiedziała,

czy w dalszym ciągu czeka na niego z miłości czy z pychy. Czasami upływały całe tygodnie, a ona, pochłonięta pracą, ani razu o nim nie wspomniała, ale nieoczekiwanie pamięć chwyciła ją w swe szpony i przyprawiała o drzenie. Wówczas rozglądała się wokół siebie skonsternowana, nie mogąc odnaleźć się w świecie, w którym przyszło jej żyć. Co ona robi w spodniach, w otoczeniu Chińczyków? Sporo wysiłku kosztowało ją, zanim się otrząsnęła i przypomniała sobie, że jest tam, gdyż tego domaga się od niej miłość. Jej misją nie jest bynajmniej wspomaganie Tao Chi'ena, myślała, ale szukanie Joaquina, po to przybyła z tak daleka i dokona tego, choćby tylko po to, aby prosto w twarz powiedzieć mu, że jest przeklętym zdrajcą i że jej zrujnował młodość. Dlatego wyruszała na poszukiwanie już trzy razy, teraz jednak brakowało jej woli, aby spróbować od nowa. Stawała przed Tao Chi'eniem, by oznajmić mu, że zdecydowała się kontynuować swoją pielgrzymkę, ale słowa więzły jej w gardle niczym piasek. Już nie mogła opuścić tego dziwnego towarzysza, którego zesłał jej los.

- Co zrobisz, jeśli go spotkasz? - zapytał ją raz Tao Chi'en.

- Kiedy go zobaczę, będę wiedziała, czy go jeszcze Kocham.

- A jeśli nigdy go nie znajdziesz?

- To będę żyła z tą wątpliwością, jak sądzę.

Na skroniach swego przyjaciela zauważyła kilka przed-wczesnych siwych włosów. Czasami pokusa, aby zanurzyć palce w tej mocnej ciemnej czuprynie albo przysunąć nos do jego szyi, tak aby z bliska poczuć jego delikatny zapach morskiej bryzy, stawała się nieznośna, ale nie spali już, jak kiedyś, na podłodze, otuleni jedną chustą, i nie mieli żadnych okazji ani pretekstu, żeby się dotknąć. Tao za dużo pracował i studiował; ona domyślała się, jak bardzo musi być zmęczony, chociaż zawsze prezentował się nienagannie i nawet w najbardziej krytycznych momentach zachowywał spokój. Szedł niepewnie tylko wtedy, gdy wracał z licytacji, ciągnąc za ramię jakąś przerażoną dziewczynkę. Badał ją, żeby zobaczyć, w jakim jest stanie, i przekazywał Elizie wraz z niezbędnymi instrukcjami, po czym zamykał się na kilka godzin. Jest z Lin, wnioskuje Eliza i jakiś trudny do wyjaśnienia ból wbijał się w tajny zakamarek jej duszy. I rzeczywiście był. W ciszy medytacji Tao Chi'en usiłował odzyskać równowagę i odrzucić skłonność do nienawiści i gniewu. Stopniowo wyzbywał się wspomnień, pragnień i myśli, aż w końcu czuł, jak jego ciało rozpływa się w nicości. Na jakiś czas przestawał istnieć, aby po chwili pojawić się w postaci orła lecącego hen wysoko bez najmniejszego wysiłku, podtrzymywanego przez zimne i przejrzyste powietrze, które unosiło go wyżej niż najwyższe góry. Stamtąd mógł patrzeć na rozciągające się w dole rozległe łąki i pastwiska, niekończące się lasy i rzeki z czystego srebra. Wówczas osiągał doskonałą harmonię i współbrzmiał z niebem i ziemią niczym dobrze nastrojony instrument. Płynął w

powietrzu między mlecznobiałymi chmurami na swych dumnie rozpostartych skrzydłach i czuł, jak dochodzi do siebie. Lin materializowała się obok niego w postaci drugiego wspaniałego orła zawieszzonego w bezkresnym niebie.

- Gdzie się podziała twoja radość, Tao? - pytała go.

- Świat jest pełen cierpienia, Lin.

- Cierpienie ma swój duchowy cel.

- To tylko niepotrzebny ból.

- Pamiętaj, że mędrzec zawsze jest radosny, bo akceptuje rzeczywistość.

- A zło? Czy zło też trzeba zaakceptować?

- Jedynym antidotum jest miłość. A propos: kiedy się znowu ożenisz?

- Jestem żonaty z tobą.

- Ja jestem duchem, nie będę mogła odwiedzać cię do końca twego życia, Tao. To ogromny wysiłek przychodzić, ilekroć mnie wzywasz, już nie należę do twojego świata. Ożeń się, inaczej przedwcześnie się zestarzejesz. Poza tym, jeśli nie będziesz praktykował dwustu dwudziestu dwóch pozycji miłosnych, to je zapomnisz - żartowała ze swoim niezapomnianym perlistym śmiechem.

Licytacje były znacznie gorsze niż wizyty w „szpitalach”. Na uratowanie umierających dziewczynek szansę były tak niewielkie, że kiedy mu się to udawało, uważał to za jakiś cudowny dar, jednak na każdą wykupioną przypadają dziesiątki pozostawionych na pastwę niegodziwości. Tak bardzo się zadręczał, wyobrażając sobie, ile z nich mógłby ocalić, gdyby był bogaty, że Eliza musiała przypominać mu o tych, które rzeczywiście uratował. Łączyła ich delikatna tkanka podobieństw i wspólnych sekretów, lecz zarazem dzieliły obsesje, jakim ulegało każde z nich. Widmo Joaquina Andiey oddalało się, natomiast duch Lin był wyczuwalny niczym bryza albo odgłos fal na plaży. Wystarczyło, że Tao Chi'en ją wezwał, a ona zjawiała się, zawsze uśmiechnięta, tak samo jak za życia. I nie tylko że była daleka od tego, aby stać się rywalką Elizy, to jeszcze została jej sojuszniczką, o czym dziewczyna nie wiedziała. To Lin pierwsza zrozumiała, że ta przyjaźń za bardzo przypomina miłość, a kiedy jej mąż wytoczył argument, że ani w Chinach, ani w Chile, ani nigdzie nie ma miejsca dla takiej pary jak on i Eliza, znów się roześmiała.

- Nie mów głupstw, świat jest wielki, a życie długie. To tylko kwestia odwagi.

- Nie wyobrażasz sobie, co to jest rasizm, Lin, zawsze mieszkałaś między swoimi.

Tutaj nikogo nie obchodzi, co robię ani co umiem, dla Amerykanów jestem tylko wstrętnym pogańskim Chińczykiem, a Eliza jest „smoluchem”. W Chinatown jestem renegatem bez warkocza przebrany za jankesa. Ani tu, ani tam nie jestem u siebie.

- Rasizm to żadna nowość, w Chinach ty i ja myśleliśmy, że wszyscy należący do rasy fan giiey to dzikusy.

- Tutaj szanuje się tylko pieniądze, a wygląda na to, że ja nigdy nie będę miał ich dosyć.

- Mylisz się. Tutaj też szanują tego, kto się każe szano-wać. Patrz im w oczy.

- Jeśli pójdę za twoją radą, dostanę kulkę za pierwszym lepszym rogiem.

- Warto spróbować. Za bardzo narzekasz, Tao, nie poznaję cię. Gdzie się podział ten odważny człowiek, którego kocham?

Tao Chi'en musiał przyznać, że czuł się tak, jakby był przywiązany do Elizy nieskończoną liczbą cienutkich nitek, które łatwo by było rozerwać jedną po drugiej, ale ponieważ były splątane, tworzyły nierozzerwalne sznury. Znali się zaledwie od kilku lat, ale patrząc wstecz widzieli długą, najeżoną przeciw - nościami drogę, którą przebyli razem. Podobieństwa powoli zacierały różnice rasowe. „Masz buzię ładnej Chinki” - powiedział jej kiedyś w chwili roztargnienia. „Masz twarz przystojnego Chilijczyka” - odrzekła z miejsca. W swojej dzielnicy tworzyli dziwną parę wysoki i elegancki Chińczyk z przeciętnym hiszpańskim chłopakiem. Za to poza granicami Chinatown, na tle różnokolorowego tłumu San Francisco, byli niemalże niedostrzegalni.

- Nie możesz ciągle czekać na tego mężczyznę, Elizo. To jakieś szaleństwo, zupełnie jak ta gorączka złota. Powinnaś sobie wyznaczyć jakiś termin - powiedział Tao któregoś dnia.

- - A co mam zrobić ze swoim życiem, kiedy ten termin upłynie?

- - Możesz wrócić do kraju.

- W Chile kobieta taka jak ja to coś gorszego niż te twoje sing song girls. Wróciłbyś do Chin?

- Miałem taki zamiar, ale Ameryka zaczyna mi się podo-bać. Tam znowu będę Czwartym Synem, tutaj jest mi lepiej.

- Mnie też Jak nie znajdę Joaquina, to zostanę i otworzę restaurację. Mam to, co jest potrzebne dobrą pamięć do przepisów, dbałość o dobór poszczególnych składników, wy-czucie smaku i dotyku, instynkt w przyprawianiu.

- I skromność - roześmiał się Tao Chi'en.

- A dlaczego mam być skromna przy moim talencie? A poza tym mam psi węż Na coś musi mi się przydać ten dobry nos. wystarczy, że powącham jakąś potrawę, a już wiem, z czego się składa, i umiem przyrządzić ją jeszcze lepiej.

- Z chińskim jedzeniem ci nie wychodzi.

- Bo wy jadacie jakieś dziwne rzeczy, Tao! Ja założyłabym restaurację francuską i

byłaby najlepsza w mieście.

- Proponuję ci umowę, Elizo Jeżeli w ciągu roku nie znajdziesz tego Joaquina, wyjdiesz za mnie - powiedział Tao Chi'en i oboje wybuchnęli śmiechem.

Począwszy od tej rozmowy coś się w nich zmieniło. Kiedy byli sam na sam, czuli się nieswojo, i chociaż chcieli być razem, zaczęli się unikać. Pragnienie, aby pójść za nią, kiedy odchodziła do swojego pokoju, często dręczyło Tao Chi'ena, ale powstrzymywały go nieśmiałość i szacunek. Uznał, że dopóki Eliza nosi w sercu pamięć o dawnym kochanku, nie powinien się do niej zbliżać, ale z drugiej strony nie mógł w nieskończoność stąpać po kruchym lodzie. Licząc godziny w pełnej wyczekiwania nocnej ciszy, wyobrażał ją sobie, jak leży w łóżku i także nie może zasnąć z miłości, ale nie do niego, lecz do tego drugiego. Jej ciało znał tak dobrze, że mógł je narysować ze szczegółami, aż do najgłębiej ukrytego pieprzyka, chociaż nie widział jej nagiej od czasu, kiedy opiekował się nią na statku. Zastanawiał się, czy gdyby się rozchorowała, miałby pretekst, żeby jej dotknąć, ale potem sam się przed sobą wstydził podobnych myśli. Spontaniczny śmiech i dyskretna czułość, rozkwitające kiedyś co chwila między nimi, zastąpiło przygnębiające napięcie. Jeśli przez przypadek się musnęli, odsuwali się od siebie zmieszani, każde z nich było świadome obecności albo nieobecności drugiego, powietrze wydawało się naładowane wróżbami i przewidywaniami. Zamiast usiąść, żeby poczytać albo coś pisać w miłym poczuciu wspólnoty, zegnali się zaraz po zakończeniu pracy w gabinecie. Tao Chi'en wychodził na wizyty u obłożnie chorych, spotykał się z innymi zhong y żeby dyskutować o diagnozach i kuracjach, albo zamykał się, żeby studiować teksty na temat medycyny Zachodu. Podsycał w sobie ambicję otrzymania pozwolenia na legalne prowadzenie praktyki lekarskiej w Kalifornii, którym to projektem podzielił się tylko z Elizą i duchami Lin i swojego mistrza akupunktury. W Chinach zhong yi zaczynał jako uczeń, a następnie praktykował już sam, dlatego medycyna przez wieki pozostawała niezmienną i korzystała stale z tych samych metod i środków. Różnica między dobrym praktykan-tem a przeciętnym polegała na tym, że ten pierwszy miał intuicję w stawianiu diagnoz i talent do przynoszenia ulgi za pomocą rąk. Lekarze zachodni jednak prowadzili bardzo żmudne badania, pozostawali między sobą w kontakcie i byli na bieżąco z nowymi zdobyczami nauki, do swej dyspozycji mieli laboratoria i kostnice, w których przeprowadzali eks-perymenty, i nie obawiali się konkurencji. Wiedza fascynowa-ła go, ale ów entuzjazm w jego otoczeniu, przywiązany do tradycji, nie spotykał się z odzewem. Był wyczulony na najnowsze zdobycze nauki i kupował wszystkie książki i cza-sopisma na ten temat, jakie wpadły mu w ręce. Jego cieka-wość dla wszystkiego co nowoczesne, była tak wielka, że musiał sobie napisać na ścianie przykazanie swojego

czcigodnego mistrza: „Nie na wiele się zda wiedza bez mądrości, a nie ma mądrości bez duchowości”. Nie wszystko jest nauką, powtarzał sobie, żeby nie zapomnieć. Tak czy inaczej potrzebne mu było amerykańskie obywatelstwo, bardzo trudne do otrzymania dla kogoś jego rasy, ale tylko pod tym warunkiem mógł żyć w tym kraju, nie pozostając ciągle poza nawiasem społeczeństwa, jak również potrzebny był mu tytuł; tym sposobem mógłby zrobić wiele dobrego, myślał. Fan giiey nie mieli pojęcia o akupunkturze ani o ziołach od wieków stosowanych w Azji, jego samego uważali za kogoś w rodzaju znachora i czarownika, a pogarda dla innych ras była tak wielka, że właściciele niewolników na plantacjach na Południu wozili chorych Murzynów do weterynarza. Nie inna była opinia o Chińczykach; ale było kilku lekarzy wizjonerów, którzy - podróżując lub czytając o innych kulturach - interesowali się technikami i tysiącami leków należących do wschodniej farmakopei. Nadal utrzymywał kontakt z Ebanizerem Hobbsem w Anglii i w listach obaj skarżyli się na odległość, jaka ich dzieliła: „Proszę przyjechać do Londynu, doktorze Chi'en, i przeprowadzić pokaz akupunktury w Royal Medical Society, wszyscy ze zdumienia pootwierają usta, zapewniam pana” - pisał do niego Hobbs. Powiadał bowiem, że gdyby wiedzę, jaką każdy z nich posiada, połączyć w jedno, mogliby wskrzeszać umarłych.

NIEZWYKŁA PARA

Kiedy przyszły zimowe chłody, zapalenie płuc zabiło w chińskiej dzielnicy wiele sing song girls, których Tao Chi'enowi nie udało się uratować. Kilka razy we-zwano go, kiedy jeszcze były przy życiu, i nawet zdążył je zabrać, ale po paru godzinach umarły mu na rękach, mającąc w gorączce. W owym czasie tajne macki organizacji zrodzonej z jego współczucia rozciągały się wzdłuż i wszerz całej Ameryki Północnej, od San Francisco do Nowego Jorku, od Rio Grandę do Kanady, ale i tak ten niezwykle wysiłek był zaledwie szczytą soli w owym oceanie nieszczęścia. Jego praktyka lekarska rozwijała się dobrze i to, co udawało mu się zaoszczędzić albo zdobyć jako datek od bogatych klientów, przeznaczal na kupno najmłodszych licytowanych dziewcząt. W tym półświatku był już znany: miał opinię degenerata. Nikt nie widział, aby którakolwiek z dziewczynek, które nabywał „do doświadczeń”, jak powiadał, uszła z życiem, ale nikogo nie obchodziło, co się dzieje za jego drzwiami. Jako zhong yi był najlepszy ze wszystkich i dopóki nie robił skandalu i ograniczał się do owych stworzeń, które tak czy inaczej nie różniły się specjalnie od zwierząt, zostawiano go w spokoju. Na pytania ciekawskich jego lojalny pomocnik, jedyna osoba, która mogłaby coś na ten temat powiedzieć, ograniczał się do wyjaśniania, że niezwykle umiejętności jego pana, tak użyteczne dla jego pacjentów, pochodziły właśnie z owych tajemniczych eksperymentów. W tym czasie Tao Chi'en przeniósł się już do porządnego domu, położonego między dwoma budynkami na obrzeżach Chinatown, kilka ulic od placu Unii, przy którym miał swoją klinikę, sprzedawał leki i ukrywał dziewczęta do chwili, kiedy były w stanie wyjechać. Eliza opanowała podstawy chińskiego, niezbędne, aby móc się porozumieć na poziomie elementarnym, a resztę improwizowała, posługując się pantomimą, rysunkami i kilko-ma słowami po angielsku. Wysiłek ten bardzo się opłacił; było to znacznie lepsze, niż udawać głuchoniemego brata doktora. Nie umiała pisać ani czytać po chińsku, ale rozpoznawała lekarstwa po zapachu i dla większej pewności znaczyła buteleczki wymyślonym przez siebie kodem. Zawsze znalazła się spora grupa pacjentów, czekających na swoją kolejkę do złotych igieł, cudownych ziół i słów pociechy Tao Chi'ena. Niejeden zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, aby ten człowiek, tak mądry i uprzejmy, był jednocześnie kolekcjonerem trupów i młodocianych konkubin, ale ponieważ nie było pewności, na czym miałyby polegać jego występki, społeczność otaczała go szacunkiem. Nie miał przyjaciół, to fakt, lecz nie miał również wrogów. Jego imię stało się znane poza granicami Chinatown i niektórzy lekarze amerykańscy zwykli się z nim konsultować, kiedy

ich wiedza okazywała się niewystarczająca, ale czynili to zawsze w wielkiej tajemnicy, gdyż przyznanie, że ktoś należący do „niebiańskiego ludu” mógłby ich czegoś nauczyć, oznaczałoby dla nich publiczne upokorzenie. W ten sposób Tao Chi'en miał okazję leczyć pewne ważne osobistości miasta i osławioną Ah Toy.

Kobieta kazała go wezwać, kiedy się dowiedziała, że ulżył w cierpieniach żonie sędziego. Dokuczał jej tak bolesny ucisk w piersiach, że chwilami istniała obawa, że się udusi. W pierwszym odruchu Tao Chi'en chciał odmówić, później jednak zwyciężyła w nim chęć ujrzenia jej z bliska i przekonania się samemu o legendzie, jaka ją otaczała. W jego oczach była żmija, jego osobistym wrogiem. Wiedząc, co wizyta u Ah Toy oznaczała dla Tao Chi'ena, Eliza włożyła mu do walizeczki arszenik w ilości wystarczającej do powalenia pary wołów.

- Na wszelki wypadek... - wyjaśniła.

- Na wszelki wypadek...co?

- Wyobraź sobie, że jest bardzo chora. Nie chciałbyś, żeby cierpiała, prawda? Czasami trzeba pomóc umrzeć...

Tao Chi'en roześmiał się z całego serca, ale nie wyjął buteleczki z walizki. Ah Toy przyjęła go w jednym ze swych luksusowych „pensjonatów”, w których klient płacił tysiąc dolarów za usługę, ale zawsze wychodził zadowolony. Zwykła mawiać: „Jeśli musi pan pytać o cenę, to miejsce nie jest dla pana”. Drzwi otworzyła mu czarna służąca w wykrochmalonym uniformie i poprowadziła go przez rozliczne salony, po których przechadzały się piękne młode dziewczyny w jed-wabiach. W porównaniu ze swymi siostrami, które nie miały tyle szczęścia, żyły jak księżniczki, jadały trzy razy dziennie i co dzień zażywały kąpieli. Dom - prawdziwe muzeum wschodnich antyków i amerykańskich wynalazków - pachniał tytoniem, zwietrzałymi perfumami i pudrem. Była trzecia po południu, ale ciężkie kotary nadal były zasunięte; do owych pomieszczeń nigdy nie wpadało świeże powietrze. Ah Toy czekała na niego w małym gabinecie pełnym mebli i klatek z ptakami. Okazało się, że jest niższa, młodsza i piękniejsza, niż sobie wyobrażał. Była starannie umalowana, ale nie obwieszona klejnotami i skromnie ubrana; nie miała także długich paznokci, będących oznaką fortuny i bezczynności.

Uwagę jego zwróciły jej maleńkie stopy, wsunięte w białe pantofelki. Miała przeszywające i twarde spojrzenie, ale jej głos brzmiał pieszczotliwie, jak u Lin. Szlag by ją trafił, westchnął Tao Chi'en, pokonany od pierwszej chwili. Zbadał ją obojętnie, nie pokazując po sobie ani odrazy, ani zakłopotania, nie wiedząc, co powiedzieć, gdyż robienie jej wyrzutów z powodu handlu, jakim się trudniła, było nie tylko bezcelowe, ale i

niebezpieczne, i mogło zwrócić uwagę na jego własną działalność. Przepisał jej mahuang na astmę oraz inne leki na ostudzenie wątroby, uprzedzając sucho, że dopóki będzie żyła za tymi kotarami, paląc tytoń i opium, dopóty jej płuca będą jęczeć. Pokusa, aby zostawić jej truciznę z zaleceniem, że ma ją przyjmować po jednej łyżeczce dziennie, musnęła go niczym ćma, aż się wzdrygnął w obliczu tej chwili zwątpienia, gdyż do tej pory sądził, że nie ma w sobie tyle gniewu, żeby chcieć kogoś zabić. Wyszedł pospiesznie, przekonany, że skoro tak szorstko się z nią obszedł, kobieta nie wezwie go więcej.

- No i? - zapytała Eliza, kiedy wrócił.

- No i nic.

- Jak to nic! Nie miała ani odrobiny gruźlicy? Nie umrze?

- Wszyscy pomrzemy. A ona ze starości. Jest silna jak bizon.

- Tak to jest ze złymi ludźmi.

Eliza zdawała sobie sprawę, że znajduje się na ostatecznym rozwidleniu swej drogi i że kierunek, jaki wybierze, zdeterminuje jej dalsze losy. Tao Chi'en miał rację: powinna wyznaczyć sobie termin. Nie mogła już ignorować podejrzania, że jest zakochana w miłości jako takiej, i tkwić w pułapce jakiejś legendarnej namiętności, nie mającej żadnego związku z prawdziwym życiem. Próbowwała przywołać uczucia, jakie popchnęły ją do tego, że wyruszyła w tę straszną przygodę, ale nie udawało się jej. Kobieta, jaką się stała, niewiele miała wspólnego z szaloną dziewczyną, jaką była kiedyś. Valparaiso i pokój z szafami należały do innego czasu, do świata, który powoli ginął we mgle. Tysiąc razy zadawała sobie pytanie, dlaczego tak bardzo pragnęła duszą i ciałem należeć do Joaquina Andiety, skoro w jego ramionach nigdy właściwie nie czuła się w pełni szczęśliwa, i mogła to wytłumaczyć tylko tym, że była to jej pierwsza miłość. Kiedy pojawił się w jej domu, żeby wyładować kilka pakunków, była już na nią przygotowana, a reszty dokonał za nią instynkt. Posłuchała po prostu najpotężniejszego, odwiecznego wezwania, ale stało się to wieki wcześniej i w miejscu odległym o siedem tysięcy mil morskich. Kim wtedy była i co w nim zobaczyła, nie umiała powiedzieć, ale wiedziała, że jej serce nie chadza już tymi ścieżkami. Nie tylko zmęczyła się szukaniem, ale w gruncie rzeczy wołała go już nie odnaleźć, jednak nie mogła również dalej tak żyć, targana zwątpieniem. Musiała zamknąć ten etap, aby z czystym kontem rozpocząć nową miłość.

W końcu listopada nie mogła już dłużej znieść tej zgryzoty i nie mówiąc ani słowa Tao Chi'enowi, poszła do redakcji dziennika, żeby porozmawiać ze sławnym Jacobem Freemontem. Zaprowadzono ją do pokoju redakcyjnego, w którym we wszechogarniającym bałaganie kilku dziennikarzy pracowało przy biurkach. Pokazano jej małe biuro za szklaną

szybą i tam się udała. Stała przed stołem, czekając, aż ów gringo z czerwonymi bokobrodami podniesie wzrok znad papierów. Był to osobnik w średnim wieku, z twarzą usianą piegami, rozsiewający słodki aromat świec. Pisał lewą ręką, na prawej oparłszy czoło, i nie widziała jego twarzy, lecz wtem pod zapachem pszczelego wosku wyczuła jakąś inną, znaną woń, która przywiodła jej na pamięć coś odległego i niesprecyzowanego z dzieciństwa. Pochyliła się nieco nad nim, wężąc ukradkiem, dokładnie w tej samej chwili, kiedy dziennikarz uniósł głowę. Zaskoczeni zastygli w bezruchu, patrząc na siebie z niewygodnej odległości, aż wreszcie oboje cofnęli się. Poznała go po zapachu, mimo upływu lat, mimo szkieł, bokobrodów i stroju jankesa. To był odwieczny adorator Miss Rose, ten sam Anglik, który zawsze punktualnie przychodził na środowe wieczorki w Valparaiso. Sparaliżowana strachem nie miała odwrotu.

- Co mogę dla ciebie zrobić, chłopcze? - zapytał Jacob Todd, zdejmując okulary, żeby je przetrzeć chusteczką.

Przemowa, jaką Eliza sobie przygotowała, wyleciała jej z głowy. Stała z otwartymi ustami i z kapeluszem w ręce, przekonana, że skoro ona go rozpoznała, to on ją również, ale mężczyzna ostrożnie włożył okulary i nie patrząc na nią, powtórzył pytanie.

- Chodzi o Joaquina Murietę... - wyjąkała, a głos, jaki z siebie wydobyła, był jeszcze cieńszy niż zwykle.

- Masz jakieś informacje o tym bandycie? - zainteresował się natychmiast dziennikarz.

- Nie, nie... Wręcz przeciwnie, przychodzę, żeby o niego zapytać. Muszę się z nim zobaczyć.

- Kogoś mi przypominasz, chłopcze... Czy myśmy się już nie spotkali?

- Nie sądzę, proszę pana.

- Jesteś Chilijczykiem?

- Tak.

- Mieszkałem przed laty w Chile. Piękny kraj. Po co chcesz się widzieć z Murietą?

- To bardzo ważne.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Nikt nie zna miejsca jego pobytu.

- Ale pan z nim się spotyka!

- Tylko kiedy Murieta mnie wzywa. Kontaktuje się ze mną, kiedy chce, żeby któryś z jego wyczynów dostał się do prasy. Nie ma za grosz skromności, lubi sławę.

- W jakim języku panowie rozmawiają?

- Mój hiszpański jest lepszy niż jego angielski.

- Proszę mi powiedzieć: mówi z chilijskim czy meksykańskim akcentem?

- Nie umiałbym tego powiedzieć. Powtarzam ci, chłopcze, że nie mogę ci pomóc - odrzekł dziennikarz, wstając, żeby położyć kres temu przesłuchaniu, które zaczynało mu już ciążyć.

Eliza pożegnała się krótko, a on w zamyśleniu z niejakim zakłopotaniem patrzył za nią, jak się oddalała pośród zamętu panującego w sali redakcyjnej. Ten chłopak wydawał mu się znajomy, ale nie potrafił powiedzieć skąd. Kilka minut po wyjściu gościa przypomniał sobie o prośbie kapitana Johna Sommersa i przez pamięć niczym błyskawica przemknął mu obraz małej Elizy. Wówczas skojarzył nazwisko bandyty z nazwiskiem Joaquina Andiety i pojął, dlaczego go szukała. Stłumił okrzyk i pędem wybiegł na ulicę, ale dziewczyna zdążyła już rozplynać się w tłumie.

Najważniejsza praca Tao Chi'ena i Elizy Sommers zaczynała się z nastaniem nocy. Po zmroku robili porządek z ciałami tych nieszczęśnic, których nie zdołali uratować, a pozostałe prowadzili na drugi kraniec miasta, gdzie mieszkali zaprzyjaźnieni z nimi kwakrzy. Jedna po drugiej dziewczęta opuszczały piekło, aby po omacku rzucić się ku przygodzie, od której nie było już odwrotu. Traciły nadzieję na powrót do Chin albo na ponowne połączenie ze swymi rodzinami, niektóre nigdy więcej nie miały mówić swoim językiem ani oglądać twarzy kogoś należącego do ich rasy, musiały nauczyć się jakiegoś zawodu i ciężko pracować do końca swych dni, ale w porównaniu z ich poprzednim życiem wszystko wydawało się rajem. Te, które udawało się Tao wykupić, adaptowały się lepiej. Odbyły podróż w skrzyniach, wydane na pastwę lubieżności i brutalności marynarzy, ale jeszcze nie całkiem się załamały i można im było pomóc. Inne, w ostatniej chwili wydarte ze szponów śmierci w „szpitalu”, nigdy nie zdołały pozbyć się lęku, który - niczym choroba krwi - miał je toczyć od wewnątrz przez resztę życia. Tao Chi'en miał nadzieję, że z biegiem czasu nauczą się chociaż uśmiechać. Ledwie doszły do siebie i pojęły, że od tej chwili nigdy więcej nie będą musiały oddawać się mężczyźnie, za to już na zawsze będą uciekinierkami, Tao Chi'en i Eliza prowadzili je do swych przyjaciół abolicjonistów, stanowiących odłamek *under - ground railroad*, jak nazywano tajną organizację zajmującą się udzielaniem pomocy zbiegłym niewolnikom, do której należał również kowal James Morton i jego bracia. Przyjmowali oni niewolników pochodzących ze stanów, w których panowało niewolnictwo, i pomagali im osiedlić się w Kalifornii, jednak w tym przypadku zmuszeni byli działać w kierunku przeciwnym, wywożąc chińskie dziewczęta z Kalifornii daleko od handlarzy żywym towarem i band kryminalistów, szukając im domów i jakiegoś sposobu zarobienia na życie. Kwakrzy podejmowali ryzyko z istic religijnym zapalem: dla nich były to niewinne ofiary splamione ludzką podłością, które Bóg postawił im na drodze, żeby poddać ich próbie. Przyjmowali je tak wylewnie, że dziewczęta bardzo często

reagowały agresją lub przerażeniem; nie potrafiły odwzajemnić uczucia, ale cierpliwość tych dobrych ludzi powoli przełamwała ich opór. Uczyli je kilku niezbędnych angielskich zwrotów, wprowadzali w podstawowe reguły amerykańskich obyczajów, pokazywali mapę, żeby wiedziały przynajmniej, gdzie się znajdują, i próbowali zacząć przyuczać je do jakiegoś zawodu, a wszystko to robili w oczekiwaniu na przyjazd Złego Babalu, który miał je zabrać. Olbrzym znalazł w końcu najlepszy sposób na zrobienie dobrego użytku ze swych talentów, a był niezmordowanym podróżnikiem, uwielbiał zarywać noce i kochał przygodę. Na jego widok sing song girls rzucały się w przerażeniu do ucieczki i chowały po kątach, i żeby się uspokoiły, potrzeba było dużo perswazji ze strony ich opiekunów. Nauczył się jednej piosenki po chińsku i trzech żonglerskich sztuczek, których używał, żeby je oczarować i złagodzić piorunujący efekt pierwszego wrażenia, ale nie było sposobu, żeby zrezygnował ze swych wilczych skór, ogolonej czaszki, kolczyków flibustiera i znako-mitego uzbrojenia. Zostawał na parę dni, aż do chwili, gdy udało mu się przekonać swoje podopieczne, że nie jest żadnym demonem i nie zamierza ich pożreć, i natychmiast odjeżdżał z nimi pod osłoną nocy. Etapy podróży były wyliczone tak, aby o świcie dotrzeć do następnej kryjówki, w której odpoczywali w ciągu dnia. Poruszali się konno; wóz okazał się nieprzydatny, gdyż znaczną część trasy pokonywali jadąc na otwartej przestrzeni i unikając bitych dróg. Zły Babalu odkrył, że znacznie bezpieczniej jest podróżować po ciemku, o ile tylko ktoś potrafi się zorientować, gdzie jest, ponieważ niedźwiedzie, żmije, zbiegowie i Indianie w tym czasie śpią, tak jak wszyscy. Zostawiał dziewczynki w bezpiecznym miejscu, w rękach innych członków organizacji wolnościowej. Celem ich wędrówki okazywały się farmy w Oregonie, pralnie Kanady, warsztaty rzemieślnicze w Meksyku, niektóre zatrudniały się jako służące, a nie brakowało i takich, które wychodziły za mąż. Tao Chi'en i Eliza zazwyczaj mieli o nich wiadomości za pośrednictwem Jamesa Mortona, który śledził kroki każdego uciekiniera, ocalonego przez jego siatkę. Od czasu do czasu z jakiegoś odległego miejsca docierała do nich koperta, a kiedy ją otwierali, znajdowali karteczkę z na-gryzmołonym imieniem i kilka zasuszonych kwiatków albo rysunek, a wtedy gratulowali sobie, że jeszcze jedna z sing song girls została uratowana.

Czasami Eliza musiała przez kilka dni dzielić pokój z jakąś świeżo uratowaną dziewczynką, ale nawet przed nią nie zdradzała się, że jest kobietą; o tym wiedział tylko Tao. Miała do swej dyspozycji najlepsze pomieszczenie w całym domu, w głębi poradni przyjaciela. Był to obszerny pokój o dwóch oknach wychodzących na małe wewnętrzne patio, na którym uprawiali rośliny lecznicze dla chorych i aromatyczne zioła do kuchni. Często puszczali wodze fantazji i wyobrażali sobie, że przeniosą się do większego domu z

prawdziwym ogrodem, służącym nie tylko do celów praktycznych, ale także jako miejsce odpoczynku dla oczu i radości dla pamięci, miejsce, w którym rosłyby najpiękniejsze rośliny Chin i Chile, z altanką, gdzie wieczorami można by usiąść i wypić herbatę, a o brzasku podziwiać wschód słońca nad zatoką. Tao Chi'en zauważył starania Elizy o przekształcenie ich mieszkania w dom, dbałość, z jaką sprzątała i robiła porządki, pamiętając zawsze, aby w każdym pokoju znalazły się dyskretne gałązki świeżych kwiatów. Przedtem nie miał okazji zaobserwować takiego wyrażenia; dorastał w całkowitej nędzy, w gospodarstwie mistrza akupunktury brakowało kobiecej ręki, która zmieniłaby je w dom, a Lin była taka słaba, że na zajmowanie się sprawami gospodarstwa nie starczało jej sił. Za to Eliza miała instynkt ptaków wijących gniazdo. Na upiększanie domu przeznaczała część tego, co zarabiała, grając na pianinie w pewnym „salonie” kilka razy w tygodniu oraz sprzedając empanadas i torty w chilijskiej dzielnicy. W ten sposób nabyła zasłony, obrus z adamaszku, garnki do kuchni, porcelanowe talerze i kieliszki. Dla niej dobre manieiry, jakie jej w dzieciństwie wpajano, nie były bez znaczenia, przekształcała w ceremonię jedyny posiłek, jaki każdego dnia wspólnie jadała, dania podawała z wdziękiem i kraśniała z zadowolenia, kiedy on chwalił jej zabiegi. Sprawy codzienne zdawały się rozwiązywać same, jakby nocami dobre duchy sprzątały gabinet, aktualizowały archiwum, bezszelestnie wchodziły do pokoju Tao Chi'ena, żeby mu uprać bieliznę, poprzyszywać guziki, oczyścić szczotką ubranie i zmienić wodę różom stojącym na stole.

- Nie przytłaczaj mnie swoją troską, Elizo.

- Powiedziałeś, że Chińczycy oczekują od kobiet, żeby im usługiwały.

- Tak jest w Chinach, ale ja nigdy nie miałem takiego szczęścia... Rozpieszczasz mnie.

- I o to chodzi. Miss Rosę mówiła, że aby podporządkować sobie mężczyznę, trzeba przyzwyczaić go do dobrego życia, a kiedy zachowa się źle, karą będzie pozbawienie go przyjemności.

- A czy Miss Rosę nie została przypadkiem starą panną?

- Z własnej woli, a nie z braku okazji.

- Nie zamierzam się źle zachowywać, ale co będzie potem, jak zostanę sam?

- Nigdy nie będziesz sam. Nie jesteś taki znowu najbrzydszy i zawsze znajdzie się jakaś kobieta o dużych stopach i złym charakterze gotowa za ciebie wyjść - odrzekła, a on, zachwycony, zaczął się śmiać.

Kupił delikatne meble do jej pokoju, jedyne w całym domu, który udekorowany był z pewnym luksusem. Podczas wspólnych spacerów po Chinatown Eliza zwykła podziwiać styl tradycyjnych chińskich mebli. Są bardzo piękne, ale ciężkie. Błędem jest ustawiać ich

zbyt dużo, mawiała. Podarował jej łóżko i szafę z ciemnego rzeźbionego drewna, do których wybrała stół, krzesła i bambusowy parawan. Nie chciała jedwabnej kołdry, jakich używa się w Chinach, ale inną, bardziej europejską z wyglądu, z białego haftowanego płótna, a do niej wielkie poduszki z tego samego materiału.

- Jesteś pewien, że chcesz ponieść taki wydatek, Tao?

- Myślisz o sing song girls...

- Tak.

- Sama powiedziałaś, że nawet za całe złoto Kalifornii nie mógłbym ich wszystkich wykupić. Nie martw się, mamy go dosyć.

Eliza odpłacała mu się na tysiąc subtelnych sposobów: taktem, każącym jej szanować jego milczenie i godziny, które poświęcał studiom, dokładnością, z jaką pomagała mu w gabi-necie, odwagą w ratowaniu dziewcząt. Jednakże dla Tao Chi'ena najlepszym darem był jej niezwykły optymizm, który zmuszał go do działania, kiedy groziło mu, że całkowicie pogrzeże się w depresji. „Kiedy chodzisz smutny, tracisz moc i nikomu nie możesz pomóc. Chodźmy na spacer, muszę powąchać trochę lasu. Chinatown pachnie sosem sojowym” - mówiła, i zabierała go powozem za miasto. Spędzali dzień na świeżym powietrzu, goniąc się jak dzieci, Tao Chi'en w nocy spał snem sprawiedliwego, a rano budził się na nowo pełen wigoru i radości.

15 marca 1853 w porcie Valparaiso przybił do brzegu kapitan John Sommers, wyczerpany podróżą i wymaganiami swojej szefowej, której ostatnią zachcianką było, aby z południa Chile przyholować kawał lodowca rozmiarów statku wielorybniczego. W związku ze znacznym spadkiem cen jarzyn i owoców, spowodowanym rozwojem rolnictwa w Kalifornii, przyszło jej do głowy, aby wytwarzać sorbety i lody na sprzedaż. W ciągu czterech lat złoto przyciągnęło ćwierć miliona imigrantów, ale czasy dobrobytu już minęły. Pomimo to Paulina Rodriguez de Santa Cruz nie zamierzała opuszczać San Francisco. W jej nieustraszonej sercu to miasto bohaterskich przybyszów, w którym nie istniały jeszcze klasy społeczne, znalazło miejsce dla siebie. Ona sama nadzorowała budowę przyszłego domu, ogromnej rezydencji na szczycie wzgórza z najlepszym widokiem na zatokę, ale oczekiwała czwartego dziecka i chciała urodzić je w Valparaiso, gdzie jej matka i siostry rozpieściłyby ją aż do przesady. Jej ojciec, z korzyścią dla wszystkich, dostał ataku apopleksji, która sparaliżowała mu połowę ciała i rozmiękczyła mózg. Kalectwo nie zmieniło charakteru Agustina del Valle, ale sprawiło, że zaczął obawiać się śmierci i, naturalnie, piekła. Przenosić się na tamten świat z bagażem śmiertelnych grzechów na grzbiecie nie jest dobrym pomysłem, powtarzał mu niezmordowanie pewien jego kuzyn, biskup. Z kobieciarza i

szubrawca, którym był kiedyś, nic już nie zostało, nie z powodu skruchy, ale dlatego, że jego zmalretowane ciało nie nadawało się już do takich ekscesów. Co dzień w domowej kaplicy słuchał mszy i ze stoickim spokojem znosił czytanie Ewangelii i niekończące się różańce odmawiane przez żonę. Niemniej jednak żadna z tych rzeczy nie uczyniła go łaskawszym wobec swych dzierżawców i pracowników. W dalszym ciągu trak-tował swoją rodzinę i resztę świata jak despota, ale część jego nawrócenia stanowił nagły i niczym nieuzasadniony przypływ miłości do Pauliny, nieobecnej córki. Zapomniał, że się jej wyrzekł za to, iż uciekła z klasztoru, by wyjść za mąż za owego żydowskiego syna, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć, gdyż nie należało ono do nikogo z jego sfery. Pisywał do niej, nazywając ją swoją ulubienicą, jedyną, która odziedziczyła jego charakter i talent do interesów, błagając, aby wróciła do domu, gdyż jej biedny ojciec pragnie ją uściskać przed śmiercią. „Czy to prawda, że ze staruszką jest aż tak źle?” - pytała z nadzieją Paulina w liście do sióstr. Jednak nie było i z pewnością miał przeżyć jeszcze wiele lat, zadręczając wszystkich dokoła ze swego fotela na kółkach. W każdym razie podczas tej podróży kapitanowi Sommersowi przyszło przewozić swoją szefową, jej rozpuszczone jak dziadowski bicz dzieciaki, nieuleczalnie cierpiące na chorobę morską służące, ładunek kufrów, dwie mleczne krowy do karmienia dzieci i trzy salonowe pieski ze wstążeczkami przy uszach (jak u francuskich kurtyzan), w miejsce psa, który utonął w morskich odmętach w czasie pierwszej podróży. Rejs zdawał się nie mieć końca i kapitana napawała przerażeniem myśl, że wkrótce będzie musiał odwiedzić Paulinę wraz z całym jej cyrkiem z powrotem do San Francisco. Pierwszy raz w swoim długim życiu żeglarza pomyślał, czyby nie przejść na emeryturę i nie spędzić czasu, jaki mu jeszcze pozostał, na stałym lądzie. Jego brat Jeremy czekał na niego na nabrzeżu i przywiózł go do domu, przepraszając za nieobecność Rosę, która cierpiała na migrenę.

- Wiesz, że zawsze choruje w okolicach urodzin Elizy. Od śmierci małej nie doszła do siebie - wyjaśnił.

- O tym chciałem z wami mówić - odrzekł kapitan. Miss Rosę nie wiedziała, jak bardzo kocha Elizę, dopóki jej nie zabrakło; dopiero kiedy już było za późno, uświadomiła sobie swoją macierzyńską miłość. Obwiniła się za lata, kiedy kochała ją jakby połowicznie, z arbitralną i chaotyczną czułością; za wszystkie te przypadki, kiedy zapomniała o jej istnieniu, zbyt zajęta błahostkami, a potem odkrywała, że mała cały tydzień spędziła na patio z kurami. Eliza była kimś, kto najbardziej przypominał córkę, która nigdy nie miała być jej dana; przez blisko siedemnaście lat była jej przyjaciółką, towarzyszką zabaw, jedyną bliską osobą na świecie. Miss Rosę bolało całe ciało, a powodem tego była zwyczajna samotność. Tęskniła za wspólnymi kąpielami, kiedy obie, szczęśliwe, pluskały się w wodzie

aromatyzowanej liśćmi mięty i rozmarynu. Myślała o małych i zręcznych dłoniach Elizy, która myła jej włosy, masowała kark, kawałkiem irchy polerowała paznokcie, pomagała się uczesać. Nocami wy-czekiwała, nasłuchując kroków dziewczynki niosącej jej kieliszeczek likieru z anyżku. Pragnęła jeszcze raz poczuć na czole jej pocałunek na dobranoc. Miss Rosę już nie pisała książek i całkowicie zarzuciła swoje muzyczne wieczorki, wokół których kiedyś koncentrowało się jej życie towarzyskie. Przeszła jej również kokieteria i pogodziła się z faktem, że zestarzeje się bez wdzięku, gdyż, jak mawiała, „w moim wieku od kobiety oczekuje się już tylko, aby zachowywała się godnie i ładnie pachniała”. W ciągu ostatnich lat spod jej palców nie wyszła żadna nowa suknia, stale nosiła te same co kiedyś i nawet nie zdawała sobie sprawy, że są już niemodne. Pokoik do szycia stał opuszczony i nawet kolekcja beretów i kapeluszy niszczała w pudłach, ponieważ ilekroć Miss Rosę wychodziła na ulicę, wołała czarną chustę, jakie nosiły Chilijki. Czas wypełniała sobie ponowną lekturą klasyków i wygrywaniem melancholijnych utworów na fortepianie. Nudziła się z determinacją i metodycznie, jakby sama wymierzała sobie jakąś karę. Utrata Elizy stała się dobrym pretekstem do przywdziania żałoby; oplakiwała wszystkie cierpienia i straty, jakie poniosła na przestrzeni czterdziestu lat swego życia, a przede wszystkim brak miłości. Było to dla niej niczym drzazga za paznokciem, niczym nieprzerwany, znoszony po cichu, ból. Żałowała, że wychowała Elizę w kłamstwie; nie mogła pojąć, po co wymyśliła tę historyjkę z koszykiem z pościelą z batystu, niedorzeczną kołderką z nerek i złotymi monetami, skoro prawda byłaby dużo bardziej pocieszająca. Eliza miała prawo wiedzieć, że ukochany wujek John w rzeczywistości jest jej ojcem, że ona i Jeremy są jej wujostwem, że należy do rodziny Sommersów, a nie jest jakąś przygarniętą z litości sierotą. Z przerażeniem przypominała sobie, jak ją zawlokła do sierocińca, żeby ją nastraszyć. Ile mogła mieć wtedy lat? Osiem czy dziesięć, była małym dzieckiem. Gdyby mogła zacząć od początku, byłaby całkiem inną matką... Przede wszystkim zamiast wypowiadać jej wojnę, kiedy się zakochała, udzieliłaby jej wsparcia; gdyby to zrobiła, Eliza by żyła, wdychała, to jej wina, że podczas ucieczki dziewczyna znalazła śmierć. Powinna była przypo-mnieć sobie swój własny przypadek i zrozumieć, że w jej rodzinie pierwsza miłość odbiera kobietom rozum. Naj-smutniejsze było to, że nie miała z kim o tym poroz-mawiać, ponieważ Mama Frezja również przepadła, a brat Jeremy zaciskał wargi i wychodził z pokoju, ilekroć o niej wspomniała. Jej smutek zatruwał wszystko dookoła, przez ostatnie cztery lata atmosfera w domu była ciężka jak w mauzoleum, a jakość potraw tak się obniżyła, że ona sama żywiła się jedynie herbatą i angielskimi herbatnikami. Nie udało się jej znaleźć jakiejś przyzwoitej kucharki, ale i szukała jej niezbyt gorliwie. Czystość i porządek były jej obojętne; w wazonach brakowało kwiatów, a w

ogrodzie połowa roślin usychała z powodu zaniedbania. Przez cztery zimy w salonie wisiały letnie kwieciste zasłony i nikt nie zadał sobie trudu, żeby je z końcem sezonu wymienić.

Jeremy nie robił siostrze wyrzutów, jadł każdą mamałygę, jaką przed nim postawiono, i nic nie mówił, kiedy jego koszule okazywały się źle wyprasowane, a ubrania niewyczyszczone. Czytał kiedyś, że niezamężne kobiety zwykły cierpieć na niebezpieczne zaburzenia. W Anglii opracowano jakąś cudowną kurację dla leczenia hysterii, polegającą na tym, że rozgrzanym do czerwoności żelazem przyżegano pewne punkty na ciele, ale takie wynalazki nie dotarły do Chile, gdzie na podobne przypadłości nadal stosowano wodę święconą. W każdym razie sprawa była delikatna i nie sposób było wspominać o niej przy Rosę. Nie przychodziło mu do głowy, jak mógłby ją pocieszyć, nawyk zachowywania dyskrecji i milczenia obowiązywał między nimi od bardzo dawna. Próbował sprawić jej przyjemność prezentami pochodzącymi z przemytu, kupowanymi na statkach, ale że nie znał się na kobietach, znosił jej jakieś obrzydliwe przedmioty, które wkrótce przepadały na dnie szaf. Nie domyślał się, ile razy jego siostra podchodziła do niego, kiedy palił, siedząc w fotelu, i już miała upaść mu do nóg, położyć mu głowę na kolanach i wypłakać się za wszystkie czasy, ale w ostatniej chwili cofała się bojaźliwie, ponieważ jakiegokolwiek czułe słowo zabrzmiałoby między nimi jak ironia lub niewybaczalny sentymentalizm. Napięta i smutna Rosę zachowywała pozory dzięki swej wewnętrznej dyscyplinie, mając wrażenie, że utrzymuje ją tylko gorset i że gdyby go zdjęła, rozpadłaby się na kawałki. Nic nie zostało z jej entuzjazmu i figlarności; podobnie jak z jej odważnych opinii, buńczucznych gestów czy impertynenckiej ciekawości. Stała się tym, czego najbardziej się obawiała: wiktoriańską starą panną. „To przemiana, w tym wieku kobiety tracą równowagę” - zaopiniował niemiecki aptekarz i przepisał jej walerianę na nerwy i tran na błądź.

Kapitan John Sommers zgromadził rodzeństwo w bibliotece, żeby przekazać im nowinę.

- Pamiętajcie Jacoba Todda?

- Tego typa, który nas oszukał, opowiadając nam historyjkę o misjach na Ziemi Ognistej? - zapytał Jeremy Sommers.

- Tego samego.

- O ile sobie przypominam, był zakochany w Rosę - roześmiał się Jeremy na myśl, że kłamca ów szczęśliwie nie został ich szwagrem.

- Zmienił nazwisko. Teraz nazywa się Jacob Freemont i został dziennikarzem w San Francisco.

- No, no! A więc to prawda, że w Stanach Zjednoczonych byle jaki łgarz może zacząć

od początku.

- Jacob Todd z nawiązką zapłacił za swój błąd. Wydaje mi się cudowne, że istnieje taki kraj, który daje drugą szansę.

- A honor się nie liczy?

- Honor to nie wszystko, Jeremy.

- Jest jeszcze coś?

- Co nas obchodzi Jacob Todd? Przypuszczam, że nie zebrałeś nas tutaj, żeby mówić o nim, Johnie - wymamrotała Rosę z za chusteczki nasączonej zapachem wanilii.

- Widziałem się z Jacobem Toddem, inaczej mówiąc Freemontem, zanim wsiadłem na statek. Zapewnił mnie, że w San Francisco widział Elizę.

Miss Rosę pomyślała, że pierwszy raz w życiu zemdleje. Poczula, jak pęka jej serce, skronie o mało nie wybuchną, a twarz zalewa fala krwi. Dusząc się, nie mogła wypowiedzieć słowa.

- Temu mężczyźnie za grosz nie można wierzyć! Nie mówiłeś, że jakaś kobieta przysięgła, że poznała Elizę na pokładzie statku w 1849 roku i że nie ma wątpliwości, że wtedy umarła? - przypomniał Jeremy Sommers, wielkimi krokami przechadzając się po bibliotece.

- Rzeczywiście, ale to była kobieta lekkich obyczajów i miała turkusową broszkę, którą podarowałem Elizie. Mogła ją ukraść i skłamała, żeby się osłaniać. A jaki powód miałby Jacob Freemont, żeby mnie okłamać?

- Żaden; tyle tylko, że ma naturę oszusta.

- Dostyc, proszę - błagała Rosę, czyniąc heroiczne wysiłki, żeby w ogóle wydobyć z siebie głos. - Najważniejsze, że ktoś widział Elizę, że nie umarła i że możemy ją odnaleźć.

- Nie rób sobie złudzeń, kochana. Nie widzisz, że to jakaś fantastyczna bajeczka? Byłby to dla ciebie straszny cios, gdybyś się dowiedziała, że wiadomość jest fałszywa - uprzedził ją Jeremy.

John Sommers opowiedział im szczegóły spotkania, do którego doszło między Jacobem Freemontem i Elizą, nie pomijając i tego, że dziewczyna była przebrana za mężczyznę i w męskim stroju czuła się tak swobodnie, że dziennikarz nie wątpił, iż ma przed sobą chłopaka. Dodał, że obaj wybrali się do chińskiej dzielnicy, żeby o nią zapytać, ale nie wiedzieli, pod jakim nazwiskiem występuje, i nikt nie mógł, albo nie chciał, dać im jej adresu. Wyjaśnił, że bez wątpienia Eliza wyjechała do Kalifornii, żeby się połączyć z ukochanym, ale coś wyszło nie tak i się nie znaleźli, jako że powodem jej wizyty u Jacoba Freemonta była chęć zasięgnięcia informacji o jakimś bandycie o podobnie brzmiącym nazwisku.

- To musi być on. Joaquinin Andieta to złodziej. Opuścił Chile, uciekając przed wymiarem sprawiedliwości - wysyczał Jeremy Sommers.

Nie było sposobu, by przemilczeć tożsamość ukochanego Elizy. Miss Rosę musiała się przyznać, że zwykła odwiedzać matkę Joaquina Andiety, żeby dowiedzieć się czegoś nowego. Nieszczęsna kobieta, coraz uboższa i bardziej schorowana, była przekonana, że jej syn zmarł. Nie można było inaczej wytłumaczyć jego tak długiego milczenia, utrzymywała. Do-stała list z Kalifornii, datowany na luty 1849 roku, w tydzień po tym, jak dopłynął na miejsce, w którym zawiadamiał ją o swych planach wyjazdu na złotodajne tereny i obiecywał pisać do niej co dwa tygodnie. A potem już nic: przepadł bez śladu i słuch po nim zaginął.

- Nie wydaje się wam dziwne, że Jacob Todd rozpoznał Elizę poza jej środowiskiem i w dodatku w męskim prze-braniu? - zapytał Jeremy Sommers. - Kiedy ją ostatni raz widział, była dziewczynką. Ile to już lat? Przynajmniej sześć albo i siedem. Skąd mu przyszło do głowy, że Eliza jest w Kalifornii? To absurd.

- Trzy lata temu opowiedziałem mu, co się wydarzyło, i obiecał mi jej szukać. Szczegółowo ją opisałem, Jeremy. Poza tym Eliza nie zmieniła się na twarzy; kiedy wyjeżdżała, wyglądała jak dziewczynka. Jacob Freemont szukał jej przez dłuższy czas, aż mu w końcu powiedziałem, że prawdopodobnie zmarła. Teraz obiecał mi znowu spróbować, planuje nawet zatrudnić detektywa. Mam nadzieję z następnej po-droży przywieźć wam nieco konkretniejsze informacje.

- Dlaczego nie zapomnimy o tej sprawie raz na zawsze? - westchnął Jeremy.

- Bo to moja córka, na Boga! - wykrzyknął kapitan.

- Ja pojedę do Kalifornii szukać Elizy! - wykrzyknęła Miss Rosę, zrywając się na równe nogi.

- Nigdzie nie pojedziesz! - wybuchnął jej starszy brat. Ale ona już wyszła. Wiadomość ta była dla Miss Rosę zastrzykiem świeżej krwi. Miała absolutną pewność, że znaj-dzie swoją adoptowaną córkę, i po raz pierwszy od czterech lat znowu znalazła powód, żeby dalej żyć. Ze zdumieniem odkryła, że jej dawne siły nie osłabły, a tylko przyczyły się w jakimś tajnym zakątku w jej sercu, gotowe, by jej służyć tak, jak to robiły kiedyś. Ból głowy zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, była spocona i z podniecenia płonęły jej policzki. Krzyknęła na służące, żeby poszły z nią do pokoju z szafami poszukać walizek.

W maju 1853 roku Eliza przeczytała w gazecie, że Joaquin Murieta i jego wspólnik Jack Trzy Palce zaatakowali obozowi-sko sześciu spokojnych Chińczyków, związali ich warkoczami i poderżnęli im gardła, po czym zostawili ich głowy zawieszona-ne na drzewie niczym pęk melonów. Drogi były opanowane przez bandytów, nikt nie czuł się w tym

regionie bezpiecznie, trzeba było przemieszczać się w licznych i dobrze uzbrojonych grupach. Zabijali amerykańskich górników, francuskich poszukiwaczy przygód, żydowskich domokrażców i podróżnych dowolnej rasy, jednak z reguły nie atakowali Indian ani Meksykanów; tymi zajmowali się gringos. Wystraszeni mieszkańcy ryglowali drzwi i okna, mężczyźni czuwali z bronią gotową do strzału, a kobiety chowały się, gdyż żadna nie chciała wpaść w ręce Jacka Trzy Palce. Natomiast o Muriecie opowiadano, że nigdy nie ubliżył żadnej kobiecie, a nieraz ratował jakąś dziewczynę przed utratą czci z rąk własnych kamratów. Zajazdy odmawiały podróżnym noclegu, gdyż obawiano się, że jednym z nich mógł być Murieta. Nikt go osobiście nie widział i opisy przeczyły sobie, chociaż artykuły Freemonta wykreowały romantyczny wizerunek przestępcy, który większość czytelników przyjmowała za prawdziwy. Pierwsza grupa ochotników do złapania bandy powstała w Jackson, wkrótce każde miasto miało swoje zrzeszenie mścicieli i rozpętało się nie mające precedensów polowanie. W ciągu kilku tygodni odbyło się więcej pospiesznych linczów niż w okresie poprzednich czterech lat. Nikt mówiący po hiszpańsku nie był wolny od podejrzeń. Wystarczyło mówić tym językiem, aby stać się wrogiem publicznym numer jeden i ściągnąć sobie na kark szeryfa i policję. Szczytem zuchwałości bandy Muriety był eksces podczas ucieczki przed deptającym jej po piętach oddziałem amerykańskich żołnierzy, w trakcie której bandyci zoczyli na chwilę z drogi, żeby zaatakować obóz Chińczyków. Żołnierze nadjechali w kilka sekund po nich i znaleźli wielu zabitych, a jeszcze więcej umierających. Powiadano, że Joaquin Murieta był szczególnie zawzięty na Azjatów, ponieważ ci rzadko kiedy się bronili, choćby nawet byli uzbrojeni; członkowie „niebiańskiego ludu” tak się go bali, że na sam dźwięk jego imienia wybuchała wśród nich panika. Mało tego - najczęściej powtarzana pogłoska mówiła, że bandyta zbroił armię i że w porozumieniu z miejscowymi bogatymi meksykańskimi ranczerami zamierzał doprowadzić do przewrotu, chcąc podburzyć hiszpańską ludność, wyciąć w pień Amerykanów i zwrócić Kalifornię Meksykowi albo uczynić z niej niezależną republikę.

Na głos ludu gubernator podpisał dekret upoważniający kapitana Harry'ego Love'a i oddział dwudziestu ochotników do złapania Joaquina Muriety w ciągu trzech miesięcy. Każdemu mężczyźnie przyznano po sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznej pensji, co nie było dużą kwotą, biorąc pod uwagę, że musieli kupić sobie konia, broń i prowiant, ale mimo to nie minął tydzień, jak oddział był gotów do drogi. Za głowę Joaquina Muriety wyznaczono tysiąc dolarów nagrody. Jak podkreślał Jacob Freemont w swojej gazecie, wydano wyrok śmierci na tego mężczyznę, nie znając jego tożsamości, nie dowiódłszy mu rzekomo popełnionych przez niego zbrodni i bez sądu; misja kapitana Love'a nie była niczym innym jak linczem. Eliza

poczuła mieszaninę przerażenia i ulgi, której nie potrafiła wyjaśnić. Nie chciała, aby ci ludzie zabili Joaquina, ale może tylko oni byli w stanie go odnaleźć; chciała jedynie pozbyć się niepewności, była zmęczona ciągłym zde-rzaniem się z cieniami. Było jednak mało prawdopodobne, aby kapitan Love odniósł sukces tam, gdzie tak wielu innych poniosło klęskę. Joaquin Murieta zdawał się niezwyciężony. Powiadano, że zabić go może wyłącznie srebrna kula, gdyż z bliskiej odległości wystrzelano do niego dwa pełne magazyn-ki w samą pierś, a on dalej galopował w okolicach Calaveras.

- Jeśli ta bestia to twój ukochany, lepiej, żebyś go nigdy nie spotkała - stwierdził Tao Chi'en, kiedy pokazała mu wycinki z prasy zbierane od ponad roku.

- Myślę, że to nie on...

- Skąd wiesz?

W snach widziała swojego dawnego kochanka w tym sa-mym znoszonym ubraniu i spranych, ale czystych i porządnie wyprasowanych koszulach, jakie nosił w czasach, kiedy zakochali się w sobie w Valparaiso. Zjawiał się ze swoją tragiczną miną, głębokim spojrzeniem oczu, zapachem mydła i świeże-go potu, jak wtedy, gdy brał ją za rękę i z zapalem opowiadał o demokracji. Czasami leżeli oboje na stercie zasłon w pokoju z szafami, jedno obok drugiego, nie dotykając się, kompletnie ubrani, podczas gdy wokół nich skrzypiało drewno smagane wiatrem od morza. I zawsze, w każdym śnie, Joaquin miał na czole świetlistą gwiazdkę.

- I co to oznacza? - dopytywał się Tao Chi'en.

- Żaden mężczyzna nie ma na czole światła.

- To tylko sen, Elizo.

- To nie jest jeden sen, Tao, tylko wiele snów...

- W takim razie szukasz nie tego mężczyzny.

- Możliwe, ale nie był to czas stracony - odparła, nie wyjaśniając, co miała na myśli.

Po raz pierwszy od czterech lat znowu zaczynała mieć świadomość swojego ciała, zepchniętego na najdalszy plan od chwili, kiedy Joaquin Andieta pożegnał się z nią w Chile owego nieszczęsnego 22 grudnia 1848 roku. Ogarnięta obsesją znalezienia tego mężczyzny odrzuciła wszystko, nawet własną pleć. Obawiała się, że po drodze straciła swoją kobie-cość i przekształciła się w jakąś dziwną bezpłciową istotę. Czasami, kiedy tak galopowała po wzgórzach i lasach, wystawiona na bezlitosne działanie wszystkich wiatrów, przypomniała sobie zalecenia Miss Rose, która myła się w mleku i nigdy nie pozwoliła, aby na jej porcelanową cerę padł choćby jeden promień słońca, ale nie mogła zatrzymać się na takich rozważaniach. Znosiła wysiłek i karę, ponieważ nie miała wyboru. Ciało, podobnie jak myśli,

pamięć albo zmysł węchu, uważała za nieodłączną część swojej istoty. Przedtem, kiedy Miss Rosę rozmawiała z nią o duszy, nie rozumiała, o co chodzi, gdyż nie umiała jej wyodrębnić z jedności, jaką stanowiła, ale teraz zaczynała pojmować jej naturę. Dusza była niezmienną częścią jej samej. Natomiast ciało było napawającą strachem bestią, która po latach zimowania bu-dziła się nieokiełznana i pełna wymagań. Przybywała, żeby przypominać jej żar pożądania, którego na krótko dane jej było zaznać w pokoju pełnym szaf. Od tamtej pory nie odczuwała autentycznej palącej potrzeby miłości czy przyje-mności fizycznej, tak jakby ta część niej pozostawała głęboko uspiąca. Przypisywała to żalowi, że została porzucona przez kochanka, panice, kiedy odkryła, że jest brzemienna, wędrow-kom po labiryntach śmierci na statku, urazowi doznanemu na skutek poronienia. Była tak obolała, że strach przed ponow-nym znalezieniem się w podobnych okolicznościach był sil-niejszy niż poryw młodości. Uznała, że za miłość płaci się zbyt wysoką cenę i że lepiej całkowicie jej unikać, ale w ciągu ostatnich dwóch lat, spędzonych z Tao Chi'enem, coś się w niej zmieniło i nagle miłość i pożądanie wydały jej się nieuniknione. Konieczność ubierania się po męsku zaczynała jej ciążyć. Przypominała sobie pokoi-k do szycia, w którym w tej chwili Miss Rosę zapewne kończyła kolejną ze swych wytwornych sukien, i ogarniała ją fala nostalgii za tamtymi słodkimi popołudniami dzieciństwa, za herbatką o piątej po południu, podawaną w filiżankach, które Miss Rosę odziedi-czyła po matce, za wyprawami na nabrzeże, żeby na statkach kupować jakieś błahostki z przemytu. A co też może dziać się z Mamą Frezją? Wyobrażała ją sobie, jak gdera w kuchni, gruba i ciepła, pachnąca bazylią, zawsze z warząchwą w ręce i garnkiem, który miała za chwilę postawić na piecu, niczym miła czarodziejka. Czuła dojmującą tęsknotę za owym nie-gdysiejszym kobiecym światkiem, gwałtowną potrzebę, aby na nowo poczuć się kobietą. W jej pokoju nie było dużego lustra, w którym mogłaby obejrzeć tę kobiecą istotę, jaka usiłowała zająć należne jej miejsce. Miała ochotę zobaczyć się nagą. Czasami zrywała się o świcie, ogarnięta gorączką nie-spokojnych snów, w których na wizję Joaquina Andieży z gwiazdą na czole nakładały się inne obrazy, zrodzone z erotycznych książek, które kiedyś czytała na głos „gołąbeczkom” Łamignata. Wtedy robiła to z jawną obojętnością, gdyż owe opisy niczego jej nie przywodziły na pamięć, ale teraz dręczyły ją we snach niczym lubieżne widma. Leżąc samotnie w swym pięknym pokoju z chińskimi meblami wykorzystywała wślizgujące się przez okna światło poranka na pełne zachwyty poznawanie siebie samej. Zdejmowała piżamę, oglądała z zacie-kawieniem te części swojego ciała, których mogła dosięgnąć wzrokiem, a inne przebiegała po omacku, tak jak to robiła przed laty, w czasach kiedy poznawała miłość. Stwierdzała, że niewiele się zmieniła. Była szczuplejsza, lecz zarazem wydawała się silniejsza. Dłonie miała zniszczone

od słońca i pracy, ale reszta była tak samo jasna i gładka jak kiedyś. Wydawało się jej zdumiewające, że po tak długim spłaszczaniu nadal ma takie same piersi jak kiedyś, małe i jędrne, z sutkami niczym ziarna grochu. Rozpuszczała włosy, których nie ścinała od czterech miesięcy, i zaczesywała je w koński ogon na karku, zamykała oczy i niczym pełne życia zwierzę potrząsała głową, ciesząc się z ich ciężaru i gęstości. Zdumiewała ją ta prawie nieznaną kobietą o udach i biodrach pełnych krzywizn, wąskiej talii, że wzgórkami łonowym pokrytym kędzierzawym i szorstkim meszkiem, tak różnym od gładkich i elastycznych włosów na głowie. Unosiła ramię, żeby zmierzyć jego rozciągłość, podziwiać jego kształt, przyjrzeć się z daleka paznokciom; drugą ręką obmacywała swój bok, relief żeber, zagłębienie pachy, zarys barku. Zatrzymywała się w najwrażliwszych punktach nadgarstka i w zgięciu łokcia, zadając sobie pytanie, czy Tao czułby w tych samych miejscach takie same łaskotki. Dotykała szyi, obrysowywała palcami uszy, łuk brwi, linię warg; wkładała palec do ust, a następnie dotykała nim sutków, które twardniały w zetknięciu z gorącą śliną. Przesuwała dłońmi po pośladkach, najpierw mocno, żeby nauczyć się ich kształtu, a potem delikatnie, żeby poczuć gładkość skóry. Siadała na łóżku i sunęła dłońmi od stóp do pachwin, zdumiona widokiem niemalże niedostrzegalnego złocistego puszku, który pojawił się jej na nogach. Rozsuwała uda i dotykała tajemniczej szczeliny seksu, delikatnej i wilgotnej; szukała pączka łechtaczki, samego środka jej pragnień i wstydu, a kiedy go muskała, natychmiast nieoczekiwanie pojawiał się obraz Tao Chi'ena. Nie Joaquina Andiey, którego twarz z ledwością mogła sobie przypomnieć, ale jej wiernego przyjaciela, który przybywał, aby ożywić jej gorączkowe fantazje nieodpartą mieszaniną gorących pieszczot, delikatnej czułości i wspólnego śmiechu. Potem wachała sobie ręce, oczarowana owym mocnym zapachem soli i dojrzałych owoców, jakim emanowało jej ciało.

Trzy dni po tym, jak gubernator wyznaczył cenę za głowę Joaquina Muriety, do portu San Francisco przybił parowiec „Northener”, na którego pokładzie znajdowało się dwieście siedemdziesiąt pięć worków z pocztą oraz Lola Montez. Była najslawniejszą kurtyzaną Europy, ale ani Tao Chi'en, ani Eliza nigdy o niej nie słyszeli. Na nabrzeżu znaleźli się przypadkiem, ponieważ poszli odebrać skrzynkę chińskich lekarstw, którą z Szanghaju przywiózł im pewien marynarz. Sądziło się, że przyczyną igrzysk karnawałowego zbiegowiska jest poczta, jako że nigdy jeszcze nie przyszła w takiej obfitości, ale petardy strzelające na wiwat wyprowadziły ich z błędu. W mieście, któremu nieobce były żadne cuda i dziwy, zebrał się tłum mężczyzn pragnących ujrzeć niezrównaną Lolę Montez, która przepłynęła Przesmyk Panamski, poprzedzana rozgłosem swej sławy. Na ląd została zniesiona na ramionach kilku uszczęśliwionych marynarzy, którzy postawili ją na ziemi z rewerencjami godnymi królowej.

I taka właśnie była postawa owej sławetnej amazonki, kiedy odbierała wiwaty swoich adoratorów. Cały ten rwetes zaskoczył Elizę i Tao Chi'ena, gdyż nie domyślali się nawet rodowodu owej piękności, ale publiczność szybko zapoznała ich ze szczegółami. Była to Irlandka, nisko urodzona i do tego w nieprawym łożu, uchodząca za hiszpańską szlachciankę, baletnicę i aktorkę. Tańczyła jak gęś, a z aktorki miała jedynie nieumiarkowaną próżność, ale jej imię przywodziło na pamięć sprośne obrazy wielkich uwodzicielek, od Dalili do Kleopatry, i dlatego rozszalałe tłumy przybywały ją oklaskiwać. Nie przychodziły ze względu na jej sztukę, ale żeby z bliska przekonać się o jej niepokojącej złośliwości, legendarnej urodzie i dzikim temperamencie. Nie tyle talent, co zuchwalstwo i odwaga pozwalały jej zapelniać teatry, szastać pieniędzmi na lewo i prawo, kolekcjonować biżuterię i kochanków, miewać ataki wściekłości, o których można by napisać epopeję, i wypowiedzieć wojnę jezuitom, za co wyrzucono ją z wielu miast, jednak największym wyczynem było to, że złamała serce pewnemu królowi. Ludwik I Bawarski był człowiekiem porządnym, skąpym i ostrożnym przez sześćdziesiąt lat, aż do chwili kiedy stanęła mu na drodze, okręciła go sobie wokół palca i zrobiła z niego marionetkę. Monarcha stracił rozum, zdrowie i honor, a tymczasem ona opróżniała królewski skarbiec jego malutkiego państewka. Zakochany Ludwik dał jej wszystko, czego chciała, nawet tytuł księżnej, ale nie udało mu się sprawić, żeby zaakceptowali ją jego poddani. Okropne maniery i nedorzeczne kaprysy tej kobiety wywołały nienawiść obywateli Monachium, którzy wylegli masowo na ulice, domagając się wyrzucenia kochanki króla. Zamiast dyskretnie zniknąć, Lola zmierzyła się z tłumem uzbrojona w koński bat i zrobiono by z niej siekaninę, gdyby wierni słudzy siłą nie wepchnęli jej do powozu i nie odstawili na granicę. Zrozpaczony Ludwik I abdykował i był gotów udać się za nią na wygnanie, jednak kawaler bez korony, władzy i bankowego konta nie był wiele wart i piękność po prostu puściła go w trąbę. - Czyli że jedyną jej zasługą jest zła sława - orzekł Tao Chi'en.

Grupa Irlandczyków wyprzęgła konie z powozu Loli, zajęła ich miejsce i zawiozła ją do hotelu ulicami zasłanymi płatkami kwiatów. Eliza i Tao Chi'en patrzyli, jak przejeżdża w pełnej chwały procesji.

- Jeszcze tylko tego brakowało w tym kraju pomyleńców - westchnął Chińczyk, nie spojrzawszy nawet drugi raz na piękność.

Eliza, na wpół rozbawiona, a na wpół zdumiona, idąc za barwnym korowodem minęła kilka przecznic, a dokoła niej wybuchały fajerwerki i rozlegały się strzały na wiwat. Lola Montez trzymała w ręce kapelusz, miała czarne włosy z przedziałkiem pośrodku, ułożone w loki nad uszami i oślniewające oczy w kolorze ciemnego błękitu, ubrana była w aksamitną

spódnicę barwy biskupiej, bluzkę z koronkami przy szyi i mankietach i krótki żakiet toreadora wyszywany drobnymi paciorkami. Patrzyła drwiąco i wyzywająco, w pełni świadoma, że ucieleśnia najbardziej prymitywne ukryte męskie pragnienia i symbolizuje to wszystko, czego najbardziej obawiają się obrońcy moralności; była idolem perwersji i była swą rolą zachwycona. W jakiejś chwili entuzjazmu ktoś rzucił w nią garścią złotego proszku, który przywarł jej do włosów i ubrania niczym aura. Widok tej młodej, triumfującej i nie znającej strachu kobiety wstrząsnął Elizą. Pomyślała o Miss Rose, jak to się jej ostatnio coraz częściej zdarzało, i ogarnęła ją fala współczucia i czułości. Przypomniała ją sobie, niepewną siebie w swym gorsecie, z wyprostowanymi plecami, ściśniętą talią, spoconą pod pięcioma halkami, i pamiętała jej słowa: „Kiedy siadasz, trzymaj nogi razem, chodź prosto, nie spiesz się, mów półgłosem, uśmiechaj się, nie rób min, bo będziesz miała zmarszczki, siedź cicho i udawaj zainteresowanie, mężczyźni lubią, kiedy kobiety ich słuchają”. Miss Rose ze swym zapachem wanilii, zawsze taka usłużna... Ale przypomniała ją sobie również w wannie, ledwo osłoniętą mokrą koszulą, z oczami błyszczącymi od śmiechu, potarganymi włosami, zarumienionymi policzkami, swobodną i zadowoloną, szepczącą do niej: „Kobieta może robić wszystko, co zechce, Elizo, byle tylko robiła to dyskretnie”. Tymczasem Lola Montez robiła to, nie zachowując najmniejszych środków ostrożności; przeżyła więcej niż najodważniejszy poszukiwacz przygód i zrobiła to ze swej wysokiej pozycji dobrze ustosunkowanej samicy.

Tej nocy Eliza wróciła do swego pokoju zamyślona i jak ktoś, kto popełnia wykroczenie, ukradkiem otworzyła walizkę z sukniami. Zostawiła ją w Sacramento, kiedy pierwszy raz wyruszała na poszukiwanie swego kochanka, ale Tao Chi'en przechował ją, uważając, że zawartość któregoś dnia może jej się przydać. W chwili kiedy ją otwierała, coś upadło na podłogę i zaskoczona stwierdziła, że to naszyjnik z pereł, opłata, jaką uiściła Tao Chi'enowi za wprowadzenie na statek. Dłuższą chwilę stała z perłami w dłoni, wzruszona. Wytrzepała suknie i rozłożyła je na łóżku, były wygniecione i pachniały stęchlizną. Nazajutrz zaniosiła je do najlepszej pralni w Chinatown.

- Napiszę list do Miss Rose, Tao - oznajmiła.

- Po co?

- Jest dla mnie jak matka. Skoro ja ją tak kocham, ona z pewnością kocha mnie tak samo. Minęły cztery lata bez żadnej wiadomości, pewnie myśli, że umarłam.

- Chciałabyś się z nią zobaczyć?

- Oczywiście, ale to niemożliwe. Napiszę tylko po to, żeby ją uspokoić, ale byłoby dobrze, gdyby mogła mi odpowiedzieć. Nie masz nic przeciwko temu, żebyś podała jej ten adres?

- Chcesz, żeby twoja rodzina cię znalazła... - powiedział i głos mu się załamał.

Popatrzyła na niego i zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy z nikim na świecie nie była tak blisko, jak w tej chwili z Tao Chi'enem. Poczula, że przebywanie z nim weszło jej w krew i wrażenie to było tak silne i tak głęboko zakorzenione, że aż się zdziwiła, że minęło tyle czasu, a ona tego nie zauważyła. Tęskniła za nim, chociaż codziennie go widywała. Tęskniła do beztroskich czasów, kiedy byli dobrymi przyjaciółmi i wszystko wydawało się łatwiejsze, lecz zarazem wcale nie chciała do nich wracać. Teraz coś między nimi wisiało w powietrzu, coś znacznie bardziej złożonego i fascynującego od dawnej przyjaźni.

Jej suknie i halki wróciły z pralni i leżały na łóżku owinięte w papier. Otworzyła walizkę i wyjęła białe pończochy i panto-felki, ale gorset odłożyła. Uśmiechnęła się na myśl, że jako panienka nigdy nie ubierała się bez pomocy, po czym włożyła halki i jedną po drugiej przymierzyła wszystkie sukienki, żeby wybrać najstosowniejszą na tę okazję. Poczula się obco w tym ubraniu, zaplątała się w tasiemki, koronki i guziki, potrzebo-wała wielu minut, żeby zapiąć pantofelki i złapać równowagę, mając na sobie tyle halek, ale wraz z każdą częścią ubrania, jaką wkładała, mijały jej wątpliwości i utwierdzała się w prze-konaniu, że znowu chce być kobietą. Mama Frezja ostrzegała ją przed ryzykiem, jakie niosła ze sobą kobiecość: „Ciało ci się zmieni, myśli ci się zmacą i pierwszy lepszy chłop będzie mógł z tobą zrobić, co mu się żywnie spodoba”, ale już jej to nie przerażało.

Tao Chi'en skończył przyjmować ostatniego w tym dniu chorego. Stał w samej koszuli, zdjął marynarkę i krawat, które - zgodnie z zaleceniami starego mistrza akupunktury - za-wsze nosił przez szacunek dla swych pacjentów. Był zgrzany, gdyż słońce jeszcze nie zaszło, a był to jeden z niewielu upalnych dni lipca. Pomyślał, że nigdy się nie przyzwyczai do kaprysów klimatu San Francisco, gdzie lato przypominało zimę. O świecie słońce zazwyczaj mocno świeciło, a już po kilku godzinach przez Golden Gate wdzierała się gęsta mgła albo wiatr od morza. Wkładał właśnie igły do alkoholu i porządkował buteleczki z lekarstwami, kiedy weszła Eliza. Pomocnik wyjechał, w tych dniach nie mieli pod opieką żadnej sing song girl i byli w domu sami.

- Mam coś dla ciebie, Tao - powiedziała.

Wtedy on podniósł wzrok i zaskoczony niespodziewanym widokiem wypuścił buteleczkę z rąk. Eliza ubrana była w ele-gancką ciemną sukienkę z białymi koronkami pod szyją. Odkąd poznał ją w Valparaiso, zaledwie dwa razy widział ją w kobiecym stroju, ale nie zapomniał, jak wówczas wyglądała.

- Podoba ci się?

- Zawsze mi się podobasz - uśmiechnął się, zdejmując okulary, żeby móc jej się

przyjrzeć z daleka.

- To moja odświętna sukienka. Włożyłam ją, bo chcę sobie zamówić portret. Weź, to dla ciebie - i podała mu jakiś woreczek.

- Co to jest?

- To moje oszczędności... żebyś mógł kupić jeszcze jedną dziewczynkę, Tao. Miałam latem jechać na poszukiwanie Joaquina, ale tego nie zrobię. Już wiem, że nigdy go nie spotkam.

- Zdaje się, że wszyscy czegoś szukamy, a znajdujemy co innego.

- A czego ty szukałeś?

- Wiedzy, mądrości, już nie pamiętam. Zamiast tego znalazłem sing song girls i sama widzisz, w co się wpakowałem.

- Na Boga, ale ty jesteś mało romantyczny! Przez grzeczność powinieneś powiedzieć, że znalazłeś również i mnie.

- Ciebie i tak bym spotkał, to było z góry przesądzone.

- Tylko mi znowu nie zaczynaj opowiadać o reinkarnacji...

- Ano właśnie. W każdym wcieleniu od nowa będziemy się spotykać, aż rozstrzygnie się nasza karma.

- Brzmi to przerażająco. W każdym razie nie wrócę do Chile, ale także nie będę się już dłużej ukrywać, Tao. Teraz chcę być sobą.

- Zawsze byłaś sobą.

- Moje życie jest tutaj. Chcę powiedzieć, że jeśli chcesz, żebym ci pomagała...

- A Joaquinm Andieta?

- Może ta gwiazdka na czole oznacza, że nie żyje. Wyob-rażasz sobie! Odbyłam taką straszną podróż na próżno.

- Nic nie jest na próżno. W życiu donikąd się nie do-chodzi, Elizo, tylko się idzie i już.

- To, co przeszliśmy razem, nie było takie złe. Chodź ze mną, zrobię sobie portret, żeby wysłać go Miss Rosę.

- Możesz zrobić drugi dla mnie?

Poszli piechotą, trzymając się za ręce, na plac Unii, gdzie otwarto liczne zakłady fotograficzne, i wybrali najokazalszy z nich. Na wystawie prezentowano zbiór portretów poszuki-waczy przygód z 1849 roku: był wśród nich młodzieniec z jasną brodą i determinacją w oczach, z kilofem i łopata w rękach; grupa górników w koszulach z podwiniętymi rękawa-mi, ze wzrokiem utkwionym w kamerę, bardzo poważnych; Chińczycy stojący nad brzegiem jakiejś rzeki; Indianie wypłu-kujący złoto koszami wplecionymi z cieniutkich

łodyg; rodzi-ny pionierów pozujące na tle swych wozów. Dagerotypy stały się modne, stanowiły łącznik z postaciami z przeszłości, były dowodem na to, iż miało się do czynienia z gorączką złota. Podobno w miastach na Wschodzie wielu mężczyzn, którzy nigdy nie byli w Kalifornii, robiło sobie portrety z narzędziami górniczymi. Eliza była przekonana, że niezwykle wynalazek, jakim była fotografia, zada ostateczny cios malarzom, którym rzadko kiedy udawało się uchwycić podobieństwo.

- Miss Rosę ma portret z trzema rękami, Tao. Namalował go jej jakiś sławny artysta, ale nie pamiętam jego nazwiska.

- Z trzema rękami?

- No, malarz namalował dwie, ale ona jedną dodała. Jej brat Jeremy o mało nie umarł, jak to zobaczył.

Chciała umieścić swój dagerotyp na tle z czerwonego aksamitu, w cienkiej ramce z pozłocanego metalu, żeby pasowała do biurka Miss Rosę. Miała przy sobie listy Joaquina Andiety, żeby je uwiecznić, zanim je zniszczy. Od wewnątrz zakład przypominał kulisy jakiegoś małego teatrzyku; były tam kurtyny przedstawiające ukwiecone altanki i jeziora z czaplami, greckie kolumny z kartonu, girlandy róż, a nawet wypchany niedźwiedź. Fotograf okazał się wielce akuratywnym człowieczkiem, który się jąkał i poruszał w podskokach niczym żaba, wyciągając i proponując coraz to nowe tła, jakie miał do dyspozycji w swoim studiu. Omówiwszy szczegóły, ustawił Elizę z miłosnymi listami w ręce, a za plecami umieścił jej metalowy pręt z podpórką na szyję, całkiem podobny do drążka, który Miss Rosę zakładała jej podczas lekcji fortepianu.

- To po to, żeby się pani nie ruszała. Proszę patrzeć w kamerę i nie oddychać.

Człowieczek zniknął za jakąś czarną szmatą, a w sekundę później oślepił ją biały błysk i rozniósł się zapach spalenizny, który wywołał atak kichania. Do drugiego portretu odłożyła na bok listy i poprosiła Tao Chi'ena, żeby jej pomógł założyć sznur pereł.

Następnego dnia Tao Chi'en wyszedł bardzo wcześnie kupić gazetę, jak to zawsze robił przed otwarciem biura, i na sześciu kolumnach ujrzał tytuł: „Joaquin Murieta nie żyje”. Wrócił do domu, przyciskając gazetę do piersi i zastanawiając się, jak to powiedzieć Elizie i jak ona to przyjmie.

Rankiem 24 lipca, po trzech miesiącach uganiania się po Kalifornii i błądzenia po omacku, kapitan Harry Love i jego najemnicy dotarli do dolmy Tulare. Mieli już wówczas dosyć tropienia widm i jeżdżenia po fałszywych śladach, upału i komarów, które zdrowo im dokuczyły, i zaczęli się nawzajem nienawidzić. Trzy letnie miesiące błądzenia po owych wyschniętych wzgórzach, z rozpalonym do czerwoności słońcem nad głową, były - jak na

obiecana zapłatę - zbyt dużym poświęceniem. Po wsiach widzieli ogłoszenia oferujące tysiąc dolarów nagrody za schwytanie bandyty. U dołu wielu z nich widniały nagryzmołone słowa: „Ja dam pięć tysięcy” i podpis Joaquina Muriety. Robili z siebie głupków, a do wyznaczonego terminu brakowało już tylko trzech dni; jeśli wrócą z pustymi rękami, nie zobaczą ani centa z tysiąca dolarów obiecanych przez gubernatora. Ale to musiał być ich szczęśliwy dzień, ponieważ dokładnie w chwili, kiedy tracili nadzieję, natknęli się na grupę siedmiu nie spodziewających się niczego Meksykanów obozujących w cieniu drzew.

Później kapitan opowiadał, że tamci mieli bardzo luk-susowe ubrania i uprzęż oraz znakomite rumaki, co było dodatkowym powodem, dla którego wydali mu się podejrzani, i dlatego zbliżył się do nich, żądając, by się wylegitymowali. Zamiast usłuchać, mężczyźni rzucili się do koni, ale zanim zdążyli ich dosiąść, zostali otoczeni przez straż Love'a. Tylko jeden z olimpijskim spokojem zignorował napastników i ru-szył w stronę swego konia, jakby nie słyszał ostrzeżenia. Wyglądał na przywódcę. Miał jedynie myśliwski nóż za pasem, jego broń wisiała na siodle, ale nie sięgnął po nią, gdyż kapitan przyłożył mu pistolet do czoła. Pozostali Mek-sykanie obserwowali ich uważnie z odległości kilku kroków, gotowi przyjść z pomocą swemu szefowi przy pierwszej nieostrożności strażników, miał powiedzieć Love w swoim raporcie. Nagle podjęli rozpaczliwą próbę ucieczki, prawdopodobnie z zamiarem odwrócenia uwagi strażników, podczas gdy ich przywódca jednym wspaniałym susem dosiadł swego ręczego rumaka i wyrwawszy się z okrążenia, zaczął uciekać. Jednakże nie odjechał daleko, gdyż strzał z karabinu zranił zwierzę, które potoczyło się po ziemi, wymiotując krwią. Wówczas jeździec, którym był nie kto inny, jak sławny Joaquin Murieta, utrzymywał kapitan Love, rzucił się bie-giem niczym daniel, a strażnikom nie pozostało nic innego, jak opróżnić magazynki swoich pistoletów, strzelając w pierś bandyty.

- Nie strzelajcie więcej, już wykonaliście swoją robotę - powiedział, zanim powoli upadł, powalony przez śmierć.

Tak brzmiała udramatyzowana wersja głoszona przez pra-sę, a przy życiu nie pozostał żaden Meksykanin, który mógłby to potwierdzić lub przedstawić inną wersję wypad-ków. Bohaterski kapitan Harry Love jednym ciosem szabli odciął następnie głowę domniemanemu Muriecie. Ktoś za-uważył, że jedna z ofiar miała zdeformowaną dłoń i natych-miast domyślono się, że chodzi o Jacka Trzy Palce, tak więc również i jemu odcięto głowę, a przy okazji i kaleką dłoń. Dwudziestu strażników galopem odjechało do najbliższego miasta, położonego w odległości wielu mil, a że panował okropny upał, a głowa Jacka Trzy Palce była tak podziurawio-na kulami, że zaczęła się rozpadać na kawałki, więc po drodze ją wyrzucili. Prześladowany przez muchy i fetor kapitan Harry Love pojął, że musi

zakonserwować szczątki, gdyż inaczej nie dojedzie z nimi do San Francisco, żeby odebrać zasłużoną nagrodę, włożył więc głowę Muriety do jednego słoja z dżinem, a do drugiego - trójpalczystą dłoń Jacka. Powitano go jak bohatera: wyzwolił Kalifornię od najgorszego bandyty w jej historii. Jednakże sprawa nie była do końca wyjaśniona, podkreślił Jacob Freemont w swoim reportażu, historyjka pachniała zmyśleniem. Po pierwsze nikt nie mógł potwierdzić, że wydarzenia rozegrały się tak, jak to opowiadał Harry Love i jego ludzie, i nieco podejrzany wydawał się fakt, że po trzech miesiącach bezowocnych poszukiwań siedmiu Meksykanów padło dokładnie wtedy, kiedy kapitan najbar-dziej tego potrzebował. Nie było również nikogo, kto mógłby zidentyfikować Joaquina Murietę; on sam zgłosił się, żeby obejrzeć szczątki, ale nie może zaręczyć, że to ten bandyta, którego znał, chociaż istnieje pewne podobieństwo, stwierdził.

Na długie tygodnie wystawiono w San Francisco na widok publiczny szczątki domniemanego Joaquina Muriety i dłoni jego odrażającego współnika Jacka Trzy Palce, po czym zabrano je w triumfalną podróż po Kalifornii - Kolejki ciekaw-skich zakręcały aż za róg i nie było nikogo, kto by nie obejrzał z bliska tych jakże złowróźbnych trofeów. Eliza poszła jako jedna z pierwszych, a Tao Chi'en towarzyszył jej, gdyż nie chciał, aby sama przechodziła podobną próbę, chociaż wiadomość przyjęła ze zdumiewającym spokojem. Po niekończącym się oczekiwaniu w pełnym słońcu nadeszła w końcu ich kolej i weszli do budynku. Eliza chwyciła Tao Chi'ena za rękę i ruszyła zdecydowanym krokiem, nie myśląc o strumieniach potu, którym przesiąkła jej suknia ani o drzeniu kolan. Znaleźli się w jakiejś ponurej sali, źle oświetlonej żółtymi świecami, podkreślającymi grobowy nastrój. Ściany wyłożone były czarną tkaniną, a w kącie ustawiono fortepian, przy którym jakiś nieustraszony pianista wystukiwał żałobne akordy bardziej z rezygnacją niż z autentycznym uczuciem. Na stole, również przykrytym niczym katafalk, stały dwa szklane słoje. Eliza zamknęła oczy i pozwoliła się Tao Chi'enowi podprowadzić, przekonana, że jej walące jak młotem serce zagłusza akordy fortepianu. Stanęli, poczuła dłoń przyjaciela zaciskającą się na jej dłoni, nabrała powietrza i otworzyła oczy. Przyglądała się głowie przez kilka sekund i zaraz pozwoliła mu wyprowadzić się na zewnątrz.

- To on? - zapytał Tao Chi'en.

- Już jestem wolna... - odparła, nie puszczając jego ręki.